



DAVID I STELLA
GEMMELL

TROJA

UPADEK KRÓLÓW



PISB

David i Stella Gemmell

Upadek królów

Troja

Tom 3

Serdeczne podziękowania należą się Jamesowi Barclayowi, Sally i Lawrence'owi Bermanom, Tony'emu Evansowi, Oswaldowi Hotz de Bar, Steve'owi Huttowi, Howardowi Morhaimowi i Selinie Walker.

„Strzeż się drewnianego konia, Agamemnonie, królu wojowników i zdobywco, gdyż wzleci on w niebiosy na skrzydłach piorunów, zwiastując śmierć narodów”.

„Zaraza na twoje zagadki, kapłanie!” – odpowiedział król. – „Mów mi o Troi i o zwycięstwie”.

„Ostatnim królem Złotego Miasta będzie Mykeńczyk. Bogowie przemówili”.

Przepowiednia Jaskini Skrzydeł

PROLOG

Jasny księżyc świecił nisko na niebie nad wyspą Imbros, kąpiąc w blasku skaliste wybrzeże i stacjonującą tam wojenną flotę mykeńską. W zatoce pełno było okrętów; na brzeg wciągnięto około pięćdziesięciu galer i ponad setkę barek, jedną obok drugiej, tak że odstęp między nimi nie były większe od szerokości dłoni. Mykeńska armia zgromadziła się na plaży wokół dziesiątków ognisk. Zebrało się tu osiem tysięcy żołnierzy; niektórzy przygotowywali broń, ostrząc miecze i polerując tarcze, inni grali w kości lub drzemali w blasku płomieni. Plaża była tak zatłoczona, że wielu marynarzy wolało zostać na okrętach, zamiast walczyć z innymi o kawałek skalistej ziemi, na której można by rozłożyć koc.

Agamemnon, król Myken i dowódca zachodnich armii, stał przed swoim namiotem, okrywając szczupłą sylwetkę długą, czarną opończę i patrząc w kierunku morza, gdzie na wschodzie niebo zaciągnęło się czerwienią.

Twierdza Dardanos płonęła.

Przy odrobinie szczęścia i z błogosławieństwem Aresa misja powinna zakończyć się pełnym zwycięstwem. Żona Helikaona i jego syn zginą w trawionej ogniem fortecy, sam Helikaon zaś pozna piekło rozpaczy.

Nad plażą przeciągnął zimny powiew wiatru. Agamemnon szczelniej otulił płaszczem chude ramiona i zwrócił wzrok na ludzi, którzy nieopodal zaczęli budowę ołtarza. Przez większą część dnia zbierali duże kamienie. Kierował nimi przygarbiony kapłan Atheos o cienkim głosie zirytowanej mewy.

– Nie, nie, ten kamień jest za mały, żeby leżeć na zewnątrz. Połóżcie go bliżej środka!

Agamemnon przyglądał się kapłanowi. Człek ten nie miał talentu do wróżb, co nawet królowi odpowiadało. Pewne było, że powie wszystko, co Agamemnon mu rozkaże. Król odkrył, że problem większości wieszczów polegał na tym, iż ich proroctwa z reguły stawały się samospełniającymi przepowiedniami. Kiedy armia się dowie, że znaki są mroczne i niepomyślne, ludzie pójdą w bój, gotowi złamać szyki i uciec przy pierwszym niepowodzeniu, wystarczy zaś rzec, że zwycięstwo jest blisko i że sam Zeus ich pobłogosławił, a będą walczyć jak lwy.

Rzecz jasna, bywało niekiedy, że bitwę przegrywano. Coś takiego zawsze mogło się zdarzyć. W takim wypadku trzeba było tylko znaleźć kozła ofiarnego. Dlatego właśnie podobni

Atheosowi głupcy byli tak przydatni. Ułomny i pozbawiony talentu, Atheos miał pewną tajemnicę. Przynajmniej tak mu się wydawało. Lubił torturować i zabijać dzieci. Jeżeli któraś z jego „przepowiedni” się nie spełni, Agamemnon wyda go wojsku i skaze na śmierć, tłumacząc, iż klęskę spowodowała klątwa bogów sprowadzona przez nieprawość kapłana.

Agamemnon zadrzał. Gdybyż tylko wszyscy wieszczowie byli tak podatni na wpływ jak Atheos... Nie należało zmuszać królów do polegania na kapryśnych przepowiedni. Przeznaczenie władców powinno zależeć wyłącznie od ich umiejętności i woli. Jakaż jest chwała w zwycięstwie zaplanowanym przez kapryśnych bogów? Kiedy Agamemnon przypomniał sobie swoją ostatnią wizytę w Jaskini Skrzydeł, nastrój mu się pogorszył.

Oby zaraza spadła na kapłanów, ich środki odurzające i przeklęte zagadki! Pewnego dnia kaze ich wszystkich zabić i zastąpić ludźmi, którym można zaufać. Głupcami, takimi jak Atheos. Ale jeszcze nie teraz. Mykeńscy patrycjusze i lud bardzo poważali kapłanów Jaskini. Głupotą byłoby wytepić ich w samym środku wojny. Poza tym musiał znosić utrapienia Czasu Przepowiedni tylko raz na cztery lata.

Ostatnio było to tuż przed wypłynięciem na Imbros. Agamemnon i jego wybrani przybocznicy zebrali się w Jaskini Skrzydeł, położonej na wzgórzach poza granicami Lwiego Miasta. Potem, tak jak wymagała tego dwustuletnia tradycja, król wkroczył do oświetlonej pochodniami pieczary. Powietrze było gęste od dymu kadzideł i Agamemnon zaczął płycej oddychać, żeby uniknąć skutków ciężkich oparów. Mimo to przed oczami zawirowały mu jasne plamki i królowi zrobiło się niedobrze.

Umierający kapłan na przemian odzyskiwał i tracił przytomność, a kiedy przemówił, zdania były urywane i niezrozumiałe. Potem jego oczy się otworzyły, kościste palce zaś ujęły nadgarstek króla.

- Strzeż się drewnianego konia, Agamemnonie, królu wojowników i zdobywco, gdyż wzleci on w niebiosa na skrzydłach piorunów, zwiastując śmierć narodów.

- Zaraza na twoje zagadki, kapłanie! – odpowiedział król. – Mów mi o Troi i o zwycięstwie.

- Ostatnim królem Złotego Miasta będzie Mykeńczyk. Bogowie przemówili.

Oto było spełnienie jego marzeń i obietnica przyszłości. Mimo iż kapłan jeszcze nie poddał się cykucie i próbował powiedzieć coś więcej, Agamemnon odsunął się od niego i wybiegł z jaskini. Usłyszał wszystko, co chciał wiedzieć.

Troja upadnie, a jemu dostaną się wszystkie bogactwa ze skarbcza Priama! Król odczuł

olbrzymią ulgę. Mimo iż niewielu zdawało sobie z tego sprawę, mykeńskie imperium wykrawało się w kolejnych wojnach, jego skarby zaś powoli rozpląwały się na utrzymanie armii przeznaczonej do podbojów. Każda zwycięska inwazja tylko powiększała problem, gdyż im rozleglejszy był obszar do kontrolowania i utrzymania, tym więcej złota potrzebował król na wyszkolenie nowych wojowników. Mykeńskie kopalnie tego kruszcu, które przez tak długi czas były podstawą militarnej ekspansji, już się wyczerpywały. Agamemnonowi zostały tylko dwa rozwiązania – zredukować armię, co nieuchronnie doprowadziłoby do rebelii, buntów i wojny domowej, albo rozszerzyć wpływy Myken na bogate ziemie wschodu.

Aby taka kampania miała szanse powodzenia, trzeba było zdobyć i złupić Troję. Dzięki jej niewyczerpanemu skarbcowi mykeńska dominacja mogłaby przetrwać całe pokolenia.

Rzadko się zdarzało, aby Agamemnon był zadowolony, ale w tym momencie, pod jasnymi gwiazdami na Imbros, w pełni sycił się tym uczuciem. Złoto złupione Trakom opłaciło flotę inwazyjną, twierdza Dardanos została zdobyta, Troja zaś wkrótce miała podzielić jej los.

Nawet klęskę w Karpei można było obrócić na swoją korzyść. Hektor i jego jazda, Koń Trojański, zabili królewskiego sprzymierzeńca, tego dumna Peleusa. Tym sposobem królem Tesalii został młody Achilles. Niedoświadczony i podatny na sugestie, będzie łatwym obiektem manipulacji.

W rozmyślania Agamemnona wkraść się cień irytacji. Achilles przebywał z Odyseuszem gdzieś na południowym zachodzie. Czy dowiedział się już o śmierci ojca? Powiniennem był zatrzymać go przy sobie, pomyślał. Pocieszył się, że to nie ma znaczenia. Kiedy wieści dotrą do młodzieńca, jego serce zapłonie chęcią zemsty i wtedy powróci.

Dostrzegłszy ruch po prawej stronie, Agamemnon obrócił się. Podeszli do niego trzej żołnierze w czarnych płaszczach i napierśnikach z wypolerowanych brązowych dysków. Jeden z nich ciągnął za sobą chudą, czarnowłosą, mniej więcej dziesięcioletnią dziewczynkę. Żołnierze zatrzymali się przed królem.

- Tak jak rozkazałeś, królu Agamemnonie – powiedział pierwszy, rzucając dziecko na kamienie.

- Tak jak rozkazałem? – zapytał Agamemnon niskim, lodowatym tonem.

- Powiedziałeś... powiedziałaś, żeby przyprowadzić dziewicę na ofiarę, panie.

- Mamy poświęcić dziewicę Posejdonowi, w intencji bezpiecznej podróży i naszego zwycięstwa – powiedział Agamemnon. – Mamy wysłać mu nieskałaną młodą kobietę w celu

uprzyjemnienia mu nocy. Czy chciałbyś, żeby ta mizerna smarkuła uprzyjemniała twoje noce?

Żołnierz, wysoki mężczyzna o szerokich ramionach i gęstej czarnej brodzie, podrapał się w podbródek.

– Nie, panie, ale większość wieśniaków uciekła w góry. Pozostały tylko stare kobiety i dzieci. Ta była najstarszą dziewczynką.

Agamemnon przywołał kapłana. Atheos podwinął długą, białą szatę i pośpieszył przez plażę. Zatrzymując się przed Agamemnonem, położył obydwie dłonie na sercu i uklonił się.

– Czy to chude stworzenie wystarczy? – zapytał król. Zanim zadał pytanie, wiedział, co usłyszy.

Kapłan próbował ukryć zachwyt, kiedy patrzył na przestraszone dziecko, ale Agamemnon dostrzegł żądzę odbijającą się w jego oczach.

- Wystarczy, panie. W istocie. – Atheos obliznął wąskie wargi.

- A więc weź ją i przygotuj.

Dziewczynka zaczęła płakać, ale Atheos uderzył ją mocno w twarz.

Daleka łuna na wschodzie zaczęła zanikać, zakryta przez mgłę, która pojawiła się wzdłuż brzegu. Księżyc skrył się za warstwą chmur. Naga dziewczynka została rozciągnięta na ołtarzu ofiarnym. Agamemnon zszedł na dół, aby przyjrzeć się ceremonii. Aby wszystko poszło dobrze, klatka piersiowa dziecka powinna zostać rozplątana, a serce wyrwane, gdy mała będzie jeszcze żyła. Następnie kapłan poszuka w jej wnętrzościach znaków wieszczących zwycięstwo.

Żołnierze zaczęli się zbierać, w milczeniu czekając na strugę krwi. Podczas kiedy dwóch wojowników trzymało dziewczynkę, Atheos wyjął długi, zakrzywiony nóż i zaczął skandować imię Posejdon. Tysiące gardel podjęło grzmiący jak burza okrzyk.

Atheos odwrócił się do dziewczynki ze wzniesionym nożem.

W tym momencie wydarzyło się coś tak nieprawdopodobnego, że wzbudziło salwy śmiechu wśród zebranego wojska. Nad tłumem przeleciał gliniany garnek i uderzył w głowę żołnierza, a następnie roztrzaskał się przed kapłanem, kąpiąc go w śmierdzącej mazi. Zaskoczony kapłan zamarł z wciąż uniesionym nożem. Następnie spojrzął na swoje ociekające czymś lepkiem szaty.

Agamemnon wpadł w furję. Przyglądał się tłumowi, szukając winowajcy i planując obdarcie go żywcem ze skóry. I nagle kolejny garnek roztrzaskał się gdzieś w ciżbie. Jakiś ruch w powietrzu zwrócił uwagę króla; zobaczył kilka małych, ciemnych przedmiotów spadających z nieba. Ciskano je z mgły, spoza wciągniętych na plażę okrętów. Jeden z pocisków trafił

w ognisko. Wspomnienie tego, co wydarzyło się potem, długo jeszcze budziło w królu dreszcz przerażenia.

Gliniana kula eksplodowała, bryzgając płomieniem w tłum, zapalając ubrania i skórę. Zebrani żołnierze wpadli w panikę i runęli w kierunku wzgórz. Jeden z nich, w płonącej tunice, zatoczył się i wpadł na kapłana Atheosa. Rozległ się głośny syk, po czym szaty kapłana stanęły w żółto-niebieskich płomieniach.

Atheos upuścił nóż i zaczął gasić je rękami, ale chwilę potem jego palce również zajęły się ogniem i kapłan z wrzaskiem rzucił się w kierunku brzegu, szukając ukojenia w zimnym morzu. Płomienie tańczyły po jego ciele, podpalając włosy.

Agamemnon zobaczył, że kapłan potknął się i upadł. Jego szaty spaliły się doszczętnie, a skóra zwęgliła. Płomienie jednak nie gasły, nadal trawiąc ciało.

W pobliżu eksplodowało kolejne ognisko. Agamemnon po ostrych skałach wspiał się na wzniesienie. Obrócił się i zerknął w dół. Dopiero teraz, kiedy wzmógł się wiatr, który rozproszył mgłę, dostrzegł na wodach zatoki olbrzymi statek. Okręt miał dwa rzędy wiosł i łopoczący biały żagiel ozdobiony stojącym dęba czarnym koniem. Królem Myken targnęły wściekłość i gniew. Choć nigdy nie widział tego okrętu, znał jego nazwę. Znali ją wszyscy, którzy pływali po Wielkiej Zieleni. Był to *Ksantos*, okręt flagowy Helikaona Podpalacza.

Na brzegu marynarze zeskakiwali z pokładów galer, próbując zepchnąć je na wodę. Jako że stały praktycznie jedna przy drugiej, nie było to łatwe. Jednej galerze prawie się udało. Ale kiedy załoga wspięła się na pokład, uderzyły w niego dwa pociski. Niebo rozjaśniły płonące strzały, wznoszące się z *Ksantosa* i spadające na pokłady śliskie od neftaru. Galera stanęła w ogniu. Członkowie załogi w płonących ubraniach skakali do morza.

Ogarnięty bezsilną wściekłością Agamemnon patrzył, jak na jego flotę spadają kolejne ogniste kule, a ogień zaczął szybko rozprzestrzeniać się z pokładów na ładownie. Wschodni wiatr podsycił płomienie, które przeskakiwały z okrętu na okręt. Przerażeni zbliżającą się do nich ścianą ognia, mykeńscy żeglarze rzucili się w stronę wzgórz.

Ksantos powoli płynął przez zatokę, trafiając kolejne okręty glinianymi kulami z neftarem. Zaraz za nimi powietrze przecinały płonące strzały. Pożar objął już kilka mykeńskich galer i około czterdziestu barek; płomienie były wysoko w niebo.

Księżyc nad zatoką wychynał zza chmur, rzucając światło na Okręt Śmierci. Na jego dziób wspiał się wojownik w napierśniku z brązu i przystanął, przyglądając się poczynionym

zniszczeniom. Potem uniósł rękę. Rzędy wiosel zanurzyły się w wodzie i *Ksantos* obrócił się w kierunku otwartego morza.

Obok Agamemnona przemknęła biała postać. Chuda dziewczynka zerwała się z ołtarza i pobięła w kierunku wzgórz. Nikt nie próbował jej zatrzymać.

CZEŚĆ PIERWSZA

MROK

I. POŻEGNANIE KRÓLOWEJ

Helikaon stał na rufie *Ksantosa*, spoglądając wstecz na płonącą flotę. Nie czuł satysfakcji, patrząc na ogień rozświetlający nocne niebo. Zdjął hełm z brązu, oparł się o reling i przeniósł wzrok na wschód. Ogień płonął też w dalekiej fortecy Dardanos i *Ksantos* powoli płynął w tamtym kierunku.

Twarz samotnie stojącego wojownika chłodziła bryza. Nikt się do niego nie zbliżał. Nawet żeglarz przy wielkim wiosle sterowym niewzruszenie patrzył na wschód. Osiemdziesiąt wiosel wielkiego okrętu zanurzało się w mrocznej wodzie w regularnym rytmie, jakby bijącego serca.

Halizja nie żyła. Królowa Dardanii nie żyła. Jego żona nie żyła.

A Helikaonowi pękało serce.

Wraz z Gershomem wspięli się na strome urwisko, gdzie leżało jej ciało. Do umierającej tulił się mały Deks, w pobliżu zaś czekał czarny ogier. Helikaon podbiegł do królowej, przyklęknął i wziął ją w ramiona. Krew ze śmiertelnej rany w jej boku zrosiła ziemię. Głowa kobiety odchyliła się do tyłu, a złote włosy spływały kaskadą.

– Tato! – krzyknął Deks, on zaś przytulił go do siebie. – Musimy być bardzo cicho – szepnął chłopczyk. – Słoneczna Kobieta śpi.

Gershom wziął od niego chłopca i objął go opiekuńczo.

– Przeskoczyliśmy nad nią – powiedział podekscytowany Deks, wskazując na przepaść i spalony most. – Uciekliśmy przed złymi ludźmi.

Helikaon przytulił Halizję. Otworzyła oczy, a na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Wiedziałałam... wiedziałałam, że przybędziesz – szepnęła.

- Jestem tutaj. Odpoczywaj. Zabierzemy cię do pałacu i opatrzymy ranę.

Jej twarz była blada.

– Jestem taka zmęczona – powiedziała.

Świat dookoła rozmył się, kiedy w oczach stanęły mu łzy.

- Kocham cię – wyszeptał. Wtedy westchnęła.

- Cóż za... słodkie kłamstwo.

Nie odezwała się więcej i były to jej ostatnie słowa. Helikaon klęczał z pochyloną głową, obejmując żonę.

Odgłosy bitwy zbliżały się do przepaści. Helikaon się nie poruszył. Hektor i Koń Trojański sypchali Mykeńczyków wzdłuż wąwozu w kierunku rozpadliny zwanej Głupotą Parnia, nad którą niegdyś wznosił się most, gdzie wróg podjął ostateczną próbę obrony.

Helikaona nic to nie obchodziło. Przeczesał dłonią złote włosy Halizji i spoglądał w jej martwe oczy. Na urwisko wspięli się kolejni ludzie. Otoczyli wodza i stanęli w milczeniu. W końcu dłonią zamknął królowej powieki.

Rozkazał zanieść ciało Halizji do fortecy, a następnie powoli wyszedł na spotkanie Hektorowi.

- Na północnym wschodzie ciągle trwają walki – powiedział Hektor. – Wódz nieprzyjaciół próbował przebić się w kierunku wybrzeża. Nie wymknął się nam.

Helikaon skinął głową.

- Wzięliśmy kilku jeńców – kontynuował Hektor. – Jeden powiedział, że Agamemnon i flota wojenna znajdują się na Imbros. Nie sądzę, żebyśmy się tutaj utrzymali, jeżeli przybędą. Morska Brama jest zniszczona, a moi ludzie zmęczeni.

- Rozprawię się z nimi – powiedział chłodno Helikaon. – Ty dokończ sprawę tutaj.

Przywołał swoich ludzi, wrócił na *Ksantosa* i wypłynął w noc. Spodziewał się bitwy z galerami osłaniającymi trzon floty. Ale Mykeńczycy wyciągnęli na brzeg Imbros wszystkie okręty, z charakterystyczną dla najeźdźców arogancją nie spodziewając się żadnego ataku.

Popelnili błąd, który z pewnością zapadnie Agamemnonowi w pamięć.

Ksantos z gracją przecinał wodę, nad którą niczym daleki skrzek mew niosły się krzyki umierających. Niebo za statkiem rozświetlała luna. Pierś samotnie stojącego Helikaona przygniatało poczucie winy. Przypomnił sobie ostatnią rozmowę z Halizją, kiedy poprzedniej wiosny udali się na spacer po plaży. Właśnie przygotowywał się do rajdu wzdłuż mykeńskiego wybrzeża.

- Bądź ostrożny i wróć do mnie – powiedziała, kiedy stali razem w cieniu *Ksantosa*.

- Tak zrobię.

- I wśród trudów podróży nie zapomnij, że cię kocham – rzekła.

Ponieważ nigdy wcześniej mu tego nie mówiła, jej słowa zaskoczyły Helikaona. Stał w promieniach poranka niczym głupiec, nie wiedząc, jak się zachować. Jak to zazwyczaj bywa ze ślubami królewskimi, ich małżeństwo było podyktowane koniecznością. Halizja roześmiała się, widząc jego zmieszanie.

– Czyżby Złocisty zaniemówił? – zapytała.

– W istocie – przyznał. Następnie ujął dłoń królowej i pocałował. – Być obdarzonym przez ciebie miłością to zaszczyt, Halizjo. Mówi ci to moje serce.

Kiwnęła głową.

– Wiem, że nie wybieramy, kogo pokochamy – rzekła. – Wiem też, zawsze wiedziałam, że tęsknisz za kimś innym. Nie mogę nic na to poradzić i współczuję ci. Ale próbowałam i będę próbowała dać ci szczęście. Jeżeli będzie to choć część szczęścia, które ty przyniosłeś mnie, będziesz zadowolony. Wierzę w to.

– Już jestem zadowolony. Nikt nie mógłby życzyć sobie lepszej żony.

Pocałował ją, po czym wspiął się na pokład okrętu.

„Cóż za... słodkie kłamstwo”.

Te wspomnienia dręczyły go niczym ogniste pazury.

Zobaczył, jak czarnobrody Gershom zszedł na główny pokład. Rosły Egipcjanin wspiął się po schodach na rufę.

– Była wspaniałą kobietą. Dobrą i dzielną. Skok przez tę przepaść był nie lada wyczynem. Uratowała syna.

Dwaj mężczyźni stali w ciszy, każdy pogrążony we własnych myślach. Helikaon patrzył prosto na płomienie bijące w niebo powyżej fortecy. Podpalono składy, jak również wiele drewnianych konstrukcji poza terenem pałacu. Zabito kobiety i dzieci oraz wielu obrońców. Tej nocy i w późniejszych dniach miasto pogrążyło się w żałobie.

Kiedy *Ksantos* został ponownie wyciągnięty na piasek skalistego brzegu bezpośrednio pod zniszczoną Morską Bramą, dochodziła północ. Helikaon i Gershom powoli wspięli się po stromej ścieżce. Przy bramie spotkali się z żołnierzami Konia Trojańskiego, którzy poinformowali ich, że Hektor schwytał przywódcę Mykeńczyków i kilku jego oficerów. Przetrzymano ich poza granicami miasta.

– Ich krzyki powinny być głośnie, a śmierć długa – rzekł Gershom.

Do niewoli wzięto mniej niż dwudziestu Mykeńczyków, ale znajdował się wśród nich admirał Menados. Przyprawiono go przed oblicze Hektora na otwartą przestrzeń przed wielką Bramą Lądową. W pobliżu siedziało kilku innych jeńców ze związanymi rękoma.

Hektor zdjął hełm z brązu i przecesał palcami zroszone potem złote włosy. Był zmęczony

jak pies, w oczach miał piasek, a w gardle pustynię. Wojownik podał hełm swojemu nosicielowi tarczy, Mestaresowi, a następnie odpiął napierśnik i rzucił go na trawę. Mykeński admirał wystąpił naprzód, dotykając pięścią własnego napierśnika w geście pozdrowienia.

- Ha! – rzucił Menados, uśmiechając się ponuro. – Księżę Wojny we własnej osobie. – Wzruszył ramionami i podrapał czarną brodę przetykaną pasemkami siwizny. – No cóż, nie ma ujmy w przegranej z tobą, Hektorze. Czy możemy omówić wysokość mojego okupu?

- Nie jesteś moim więźniem, Menadosie – rzekł Hektor zmęczonym głosem. – Zaatakowałeś siedzibę Helikaona. Zabiłeś jego żonę. Kiedy powróci, to on zadecyduje o twoim losie. Nie sądzę, żeby myślał w tej chwili o okupie.

Menados zaklął pod nosem, a następnie rozłożył ręce. Wbijając oczy w Hektora, powiedział:

– Mówi się, że nie pochwalasz tortur. Czy to prawda?

– Tak.

- A więc lepiej by było, gdybyś stąd odszedł, Trojańczyku, bo kiedy Helikaon powróci, będzie chciał czegoś więcej niż naszej śmierci. Pewnie każe nas wszystkich spalić.

- Zasłużyliście na to – odpowiedział Hektor. Zbliżył się do admirała i kontynuował cichym głosem: – Słyszałem o tobie i wielu odważnych czynach, których dokonałeś. Powiedz mi, Menadosie, jakim cudem taki bohater jak ty podejmuje się misji, której celem jest zabicie kobiety i dziecka?

Menados zerknął zdziwiony na Hektora, po czym pokręcił głową.

- Ile martwych kobiet i dzieci widziałeś w swoim krótkim życiu, Hektorze? Tuziny? Setki? Cóż, ja widziałem tysiące. Pozwijane w skurczach śmierci, leżące na ulicach każdego zdobytego miasta czy wioski. I... tak, na początku skręca od tego flaki. Dawniej zastanawiałem się nad marnotrawstwem życia, myślałem o dzikości i okrucieństwie. – Wzruszył ramionami. – Po pewnym czasie, kiedy oglądałem kolejne góry trupów, przestałem się nad tym zastanawiać. Jakim cudem bohater przyjmuje misję tego typu? Znasz odpowiedź. Pierwszą powinnością żołnierza jest lojalność. Kiedy król rozkazuje, my słuchamy.

- Drogo dziś zapłacisz za tę lojalność – powiedział Hektor.

- Większość żołnierzy wcześniej czy później płaci. Dlatego po prostu od razu nas zabijcie. Proszę jak jeden żołnierz drugiego. Nie chcę temu draniowi dać satysfakcji w postaci moich wrzasków.

Zanim Hektor mógł odpowiedzieć, zobaczył Helikaona mijającego jeńców w towarzystwie

rosłego Gershoma. W niewielkiej odległości za nimi podążała garstka rozjuszonych Dardańczyków z nożami i maczugami w dłoniach.

Menados wyprostował się i splótł ręce za plecami. Z jego surowej twarzy nie można było niczego wyczytać. Helikaon zatrzymał się przed nim.

- Przyniosłeś moim ziemiom pożogę i terror – powiedział głosem zimnym jak północny wiatr. – Zamordowałeś moją żonę oraz kobiety i dzieci mojego ludu. Czy zabijanie jest jedyną umiejętnością, którą wy, Mykeńczycy, chcecie opanować?

- Ach – westchnął Menados. – Będziemy teraz dyskutować o mordowaniu? Gdybym odniósł zwycięstwo, okrzyknięto by mnie mykeńskim bohaterem, który pokonał złego króla. Ale przegrałem. Nie próbuj udzielać mi lekcji, Helikaonie Podpalaczu. Ilu bezbronnych mężczyzn zabiłeś? Ile kobiet i dzieci zginęło w czasie twoich rajdów na mykeńskie wioski?

Za ich plecami tłum Dardańczyków zbliżał się do związanych jeńców.

– Cofnąć się! – ryknął Helikaon, zwracając się do tłumu. – W naszym mieście ciągle płoną domy i wielu potrzebuje pomocy. Zbierajcie się stąd! Sam się z nimi rozprawię.

Zamilkł na chwilę. Potem zerknąwszy na Hektora, zapytał:

– Co powiesz, mój przyjacielu? To ty go schwytałeś.

Hektor ujrzał w twarzy Helikaona gniew i żądzę zemsty.

- Droga, po której stąpa żołnierz, jest węższa od klingi miecza – powiedział. – Krok w jedną stronę osłabi go i uczyni mniej sprawnym wojownikiem. Krok w drugą czyni z niego potwora. Admirał pobłądził dziś na tej ścieżce i jest za to przeklinany. Tragedia Menadosa polega na tym, że służy Agamemnonowi, bezlitosnemu okrutnikowi pozbawionemu krzty człowieczeństwa. W każdej innej armii Menados pozostałby wierny swoim przekonaniom i zapamiętano by go jako bohatera. Zanim podejmiesz decyzję w jego sprawie, chciałbym opowiedzieć ci pewną historię.

- Streszczaj się – odpowiedział Helikaon.

- Kiedy byłem chłopcem, usłyszałem opowieść o mykeńskiej galerze, którą wyciągnięto na brzeg Kytery w pobliżu wioski rybackiej. Na horyzoncie pojawiła się flota piratów, gotowych napaść na wioskę, zabić mężczyzn i dzieci, a z kobiet uczynić niewolnice. Kapitan galery, mimo iż nic nie łączyło go z mieszkańcami wioski i nie miał tam żadnych przyjaciół, poprowadził swoich czterdziestu ludzi do boju przeciwko hordzie piratów. Dwudziestu dwóch członków jego załogi zginęło, on sam zaś został poważnie ranny. Ale wioska została uratowana. Tamtejsi ludzie po dziś dzień świętują swoje ocalenie.

- I to byłeś ty? – zapytał Helikaon Menadosa.

- Byłem wtedy młody i głupi – odpowiedział admirał.

- W lecie tego roku – odezwał się cicho Helikaon – widziałem żołnierza, który płakał, bo w czasie potyczki przypadkowo zabił dziecko. To ja poprowadziłem tego żołnierza do walki. To ja zabrałem go do tej wioski i uczyniłem zeń mordercę. Masz rację, Menadosie, nie mam prawa udzielać lekcji na temat okrucieństw wojny ani tobie, ani komukolwiek innemu.

Król umilkł i odwrócił się. Hektor patrzył na niego, ale wyraz twarzy jego przyjaciela był nieodgadniony. W końcu Helikaon spojrział na Menadosa.

– Ze względu na pamięć o tym dziecku i mieszkańcach Kytery daruję ci życie, Mykeńczyku.

– Powiedziawszy to, zwrócił się do Hektora: – Każ swoim ludziom eskortować więźniów do brzegu. Znajdą tam uszkodzoną galerę. Ledwo utrzyma się na wodzie. Ale pozwólmy im spróbować dotrzeć na niej do Imbros.

Menados wystąpił do przodu i miał zamiar coś powiedzieć. Helikaon powstrzymał go gestem ręki. Kiedy przemówił, jego głos tchnął lodowatym chłodem.

– Nie popełnij błędu w ocenie mojego postępków, Mykeńczyku. Jeżeli spotkamy się w przyszłości, wytnę ci serce i nakarmię nim kruki.

Ludzie z Konia Trojańskiego kierowali się na południowy wschód od Dardanos, dopóki na horyzoncie nie dostrzegli Troi. Dopiero wtedy Hektor pozwolił im rozbić obóz w lesie tuż za miastem. W końcu spoczęli przy ogniskach, z których zimna noc i wiatr bezlitośnie wysysały ciepło. Nastroje były podłe – tuż za wzgórzem czekały ich rodziny i ukochani, których nie widzieli od przeszło dwóch lat.

Na skraju zalesionego wzgórza w ciszy stał Hektor. Wojownika smaganego zimnymi powiewami wiatru ogarnął głęboki smutek. Jutro dla niego i garstki ocalonych odbędzie się parada. Mieszkańcy będą wiwatować na ich cześć. Ale ludzie, którzy na tej okrutnej wojnie zapłacili najwyższą cenę, nie pojedą ulicami udekorowanymi kwiatami. Nie będą się do nich zalecały dziewczyny, zakładając im wieńce na szyje. Krew tych bohaterów dawno już wsiąkła w ziemię odległej Tracji, ich prochy zaś rozwiały obce wiatry. Jedni utopili się w Hellesponcie, inni padli pod murami Dardanos.

Nawet wśród ocalałych byli tacy, którzy nie będą się cieszyli nagrodą, na jaką zasłużyli. Według Priama, podczas parady na cześć zwycięstwa nie ma miejsca dla kalek i ludzi

pozbawionych kończyn.

– Chłopcze, na bogów, nikt nie chce widzieć prawdy o wojnie. Ludzie chcą zobaczyć bohaterów, wysokich, silnych i cieszących oko przystojnych młodzieńców. – Słowa te rozgniewały Hektora nie dlatego, że były ostre i niewdzięczne, lecz dlatego, że były prawdziwe.

I tak z bólem serca po zmroku rozkazał zabrać rannych i okaleczonych do uzdrowicieli, przemycając ich ulicami miasta jak ludzi okrytych hańbą.

Hektor zerknął na wozy, które niedawno przybyły z miasta. Tylko jeden przywiózł strawę dla jego ludzi. Pozostałe dwa wyładowane były dwoma tysiącami nowiutkich, białych jak śnieg płaszczy. Mieszkańcy nie mogli zobaczyć zmęczonych, brudnych i zachlapanych krwią wojowników, wycieńczonych latami wojny. Mieli w niemym podziwieniu oglądać ikony bohaterów.

Dios, brat Hektora, wspiął się na wzgórze, aby stanąć u jego boku.

- Zimna noc – rzucił, owijając się ciasniej nowym płaszczem.

- Nie czuję tego – rzekł Hektor, który pozostał w prostej tunice koloru wyblakłej żółci, sięgającej kolan.

- To dlatego, że jesteś Hektorem – stwierdził jowialnie Dios.

- Nie, to dlatego, że spędziłem dwa długie lata w Tracji, brodząc po kolana w śniegu i lodzie w górach. Nie musisz zostawać z nami, bracie. Wracaj do swojego ciepłego domu.

- Jesteś dziś w paskudnym nastroju. Nie cieszysz się z powrotu do ojczyzny?

Hektor wpatrywał się w Troję, rozmyślając o żonie i synu, jak również o swoich farmach i stadach koni pasących się na północnej równinie. Westchnął.

- Jeszcze nie wróciłem do domu. Jak się czuje Andromacha?

- Dobrze. Ale jest wściekła. Podniosła krzyk, kiedy się dowiedziała, że Priam chce dzisiaj zatrzymać żołnierzy tutaj. Powiedziała mu, że zasługują na coś lepszego.

- Oboje mają rację. Ci ludzie zasługują na coś lepszego, ale jutro będą się pławili w przesadnej chwale. Parada jest ważna. Pozwoli ukryć naszą klęskę.

- Jak możesz mówić o klęsce? – zapytał zaskoczony Dios. – Nie przegrałeś ani jednej bitwy i zabiłeś wrogię króla. Ja coś takiego nazywam zwycięstwem. Tak samo jak lud... i ty też powinieneś.

Hektora opanowało rzadko doznawane przezeń uczucie gniewu, ale jego głos pozostał spokojny.

- Wyruszyliśmy przez cieśniny, aby bronić Tracji i strzec króla Rhesosa, naszego

sprzymierzeńca. Rhesos nie żyje. Tracja padła. Nasi wrogowie gromadzą się po drugiej stronie Hellespontu i sposobią do ataku. Straciliśmy kontrolę nad północnymi szlakami handlowymi. Widzisz tu jakieś zwycięstwo?

- Rozumiem, bracie – powiedział łagodnie Dios. – Jednakże ty i twoi ludzie wyruszyliście do Tracji, aby wspomóc obronę. Klęska jest winą Rhesosa, a nie żołnierzy Troi. Twoja sława przejdzie do historii.

- Do Tartaru z historią! – uciął Hektor. – I niech szlag trafi pokręconą logikę polityki, dzięki której klęskę można przekuć na oszałamiające zwycięstwo. Prawda jest taka, że nasi wrogowie kontrolują północne tereny. Teraz Agamemnon przeniesie wojnę na nasze ziemie. Przybędzie z liczną armią.

- A ty go pokonasz – rzekł Dios. – Jesteś Panem Bitew. Każdy na Wielkiej Zieleni o tym wie. Ty nigdy nie przegrywasz.

Hektor spojrzał na młodszego brata i dostrzegł w jego oczach podziw. Nagle ogarnął go strach, ściskając trzewia. W czasie bitwy pod Karpeą od śmierci dzieliło go jedno pchnięcie miecza. Jedna dobrze wycelowana strzała bądź umiejętnie ciśnięta włócznia mogły przebić mu gardło. Kamień procarza mógł mu zmiażdżyć czaszkę. W rzeczy samej, gdyby Banokles nie poprowadził samobójczego ataku na tyły wroga, jego dusza błąkałaby się teraz po Ciemnej Drodze. Przez chwilę chciał podzielić się swoimi obawami z bratem. Powiedzieć mu o drżących rękach i bezsennych nocach. O narastającym bólu w lewym ramieniu i rwaniu w prawym kolanie. Chciał mu rzec: „Jestem człowiekiem takim samym jak ty, Diosie. Takim samym jak ci, którzy siedzą teraz przy ogniskach. Mam siniaki, krwawię, starzeję się. I jeżeli ciągle będę się pakował w kolejne bitwy, wcześniej czy później moje szczęście się skończy, a wraz z nim moje życie”.

Ale nie powiedział żadnej z tych rzeczy. Dla Diosa, żołnierzy i dla wszystkich pozostałych Trojan Hektor dawno już przestał być człowiekiem. Był jak jutrzejsza parada – fałszywym, lecz lśniącym symbolem niezwyciężonej Troi. Z każdym dniem wojny to kłamstwo coraz mocniej go niewoliło.

Ciszę przerwał Dios.

- Poczekaj, aż zobaczysz Astinaksa. Wiesz, jak wyrósł? Ma teraz prawie trzy lata. Jest dobrym, śmiałym dzieckiem, Hektorze.

Zły nastrój minął i Hektor się uśmiechnął.

- Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę. Zabiorę go na przejażdżkę po wzgórzach. Ucieszy się.

- Sam to zrobiłem niecały tydzień temu. Posadziłem go przed sobą i dałem trzymać wodze. Był wniebowzięty. Spodobał mu się zwłaszcza galop.

Smutek znów ścisnął serce Hektora. Przez te wszystkie długie i ponure miesiące walk marzył o tym, żeby zabrać chłopca na pierwszą przejażdżkę. Śnił, jak trzyma chłopca blisko siebie, słuchając jego radosnego śmiechu. Pośród całego horroru i brutalności wojny to jedno małe marzenie trzymało go przy siłach.

- Nie bał się? – zapytał.

- A skąd! Stale krzyczał, żebym jechał szybciej. Jest nieustraszony, Hektorze. Oczywiście nikt nie spodziewał się niczego innego po twoim synu.

Twoim synu.

Z tą różnicą, że nie jest mój, pomyślał Hektor. Chcąc ukryć smutek, spojrział w stronę miasta.

- Z ojcem wszystko w porządku?

Dios przez chwilę stał w milczeniu. Potem wzruszył ramionami.

- Starzeje się – odpowiedział, spuszczać oczy.

- I więcej pije?

Dios zawahał się.

- Zobaczysz się z nim jutro – powiedział w końcu. – Najlepiej będzie, jak sam to ocenisz.

- Tak zrobię.

- Co z Helikaonem? – zapytał Dios. – Dotarły do nas wieści, że zatopił flotę Agamemnona. Spalił wszystkie okręty. Możesz mi wierzyć, że to podniosło nas na duchu.

Między gałęziami znowu zaczął dąć przenikliwy wiatr. Tym razem Hektorowi zrobiło się zimno, lecz wcale nie z powodu wiatru. Przed oczami stanęła mu blada, martwa twarz żony Helikaona, pięknej Halizji, kiedy niesiono jej ciało do fortecy. Hektor słyszał opowieść o ostatnich chwilach jej życia. Królowa wzięła ze sobą syna i wsiadła na olbrzymiego karego ogiera, po czym wyruszyła przez linie wroga, wzdłuż przepaści Głupota Parnia, do mostu. Wrogowie ją gonili i byli pewni swego, bo most został strawiony przez ogień. Schwytana w pułapkę pomiędzy żądnymi krwi najeźdźcami a głęboką przepaścią, Halizja spięła konia i przeskoczyła na drugą stronę. Żaden jeździec nie miał odwagi kontynuować pościgu. Ocaliła syna, ale nie siebie. Podczas jazdy została głęboko dźgnięta włócznią i wykrwawiła się na śmierć,

kiedy Helikaon do niej dotarł.

Głos Diosa wyrwał Hektora z zamyślenia.

– Musimy omówić trasę parady. Będziesz jechał w ozdobnym wojennym rydwanie ojca. Właśnie go polerują i dekorują nowymi złotymi liśćmi. Przyprowadzą go do ciebie przed świtem. Ojciec kazał zaprząć do niego dwa śnieżnobiałe konie. – Dios uśmiechnął się. – Będziesz wyglądał jak młody bóg!

Hektor westchnął głęboko i przeniósł wzrok na miasto.

– A trasa? – zapytał.

– Cały oddział przejedzie przez przedmieścia, a potem przez Bramę Skajską i w kierunku pałacu, gdzie powita ich Priam i wręczy na grody wskazanym przez ciebie bohaterom. Potem odbędzie się uczta dziękczynna na placu Hermesa. Ojciec ma nadzieję, że wygłosisz mowę. Sugeruje, żebyś opowiedział zgromadzonym o zwycięstwie pod Karpeą, jako że była to ostatnia bitwa.

- Ostatnia bitwa odbyła się w Dardanos – zauważył Hektor.

- W istocie, jednakże śmierć Halizji uczyniłaby historię zbyt smutną.

– Oczywiście – zgodził się Hektor. – Nie możemy pozwolić, żeby ponure wzmianki o śmierci zepsuły nam opowieść o wojnie.

Kowal Kalkeus siedział w oświetlonym pochodniami megaronie królewskiego pałacu w Dardanos, rozcierając zdrętwiałe palce lewej ręki. Po chwili czucie wróciło i zaswędziały go czubki palców. Zaraz potem ręka zaczęła drżeć. Wpatrywał się w nią, mając nadzieję, że atak szybko minie. Zamiast tego paroksyzm się wzmógł. Wyglądało to tak, jakby ktoś złapał go za nadgarstek i energicznie nim potrzasał. Zirytowany, zacisnął pięść i skrzyżował ręce na piersi, tak aby nikt nie zobaczył jego ułomności.

Inna sprawa, że w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby to dostrzec. Gershom powiedział mu, aby poczekał w tym zimnym, pustym pomieszczeniu na Helikaona. Kalkeus rozejrzał się dookoła. W niektórych miejscach mozaikę na podłodze znaczyły ślady krwi. Kałuże i plamy wyschły, ale na dywanach i w większych wgłębieniach mozaiki posoka nie zastygła i pozostała mokra. Przy ścianie leżał pęknięty miecz.

Kalkeus przeszedł na drugą stronę i podniósł broń. Ostrze pękło dokładnie w połowie. Dotknął metalu grubymi palcami. Obejrawszy ostrze, doszedł do wniosku, że miecz był źle

zahartowany, a do stopu dodano zbyt dużo cyny. Miedź to miękki metal, a dodatek cyny czyni ją twardszym, bardziej przydatnym brązem. Jednak to ostrze było za twarde, przez co straciło elastyczność i pękło przy uderzeniu.

Kalkeus wrócił na siedzisko. Jego dłoń przestała drżeć, co było błogosławieństwem. Ale paroksyzm wróci. Było to przekleństwo wszystkich kowali. Nikt nie wiedział, jaka jest przyczyna owego stanu, ale zawsze zaczynało się od czubków palców. Potem choroba przenosiła się na stopy, więc wkrótce będzie kuśtykał o lasce. Mówili, że nawet Hefajstos jest chromy. Jeszcze w Milecie stary Karpitos pod koniec życia oślepl. Przysięgał, że to z powodu trujących oparów wydzielanych przez topiącą się miedź. Kalkeus nie miał możliwości sprawdzenia jego teorii, ale wydawała się ona na tyle prawdopodobna, iż kazał budować swoje paleniska na zewnątrz budynków, aby wszelkie trucizny rozwiewały się na świeżym powietrzu.

– Nie możesz narzekać – mruknął do siebie. Ataki zaczęły się dopiero, gdy miał pięćdziesiąt lat. Karpitos znosił je przez dwadzieścia lat, zanim zawiódł go wzrok.

Czas płynął. Kalkeus, który nigdy nie był człowiekiem cierpliwym, zaczął się denerwować. Wstał i wyszedł na świeże powietrze.

Czarny dym wciąż bił z centralnej części fortecy, gdzie dopalały się kuchnie.

Kowal pomyślał, że mimo wyraźnej chęci zniszczenia przeciwnicy nie bardzo znali się na rzeczy. Wiele podpalonych budynków doznało tylko pomniejszych uszkodzeń. Poza tym Mykeńczycy zignorowali belki podtrzymujące most nad Głupotą Parnia. Porąbali deski mostu toporami i mieczami, aby je osłabić, a następnie wylali olej na płaskie drewno i podpalili. Głupcy! Nie zdawali sobie sprawy, że siła mostu kryje się w podtrzymujących belkach, osadzonych głęboko w urwiskach po obydwu stronach przepaści. Ktokolwiek zaprojektował tę konstrukcję, był mistrzem w swoim fachu. Podpór ogień nie tknął i most można odbudować w ciągu kilku dni.

Kalkeus spojrzął w prawo. W świetle księżyca zobaczył trzech ludzi ciągnących szeroki wóz. Leżały na nim ciała kilku kobiet i dzieci. Nagle koło trafiło na nierówność na drodze i wóz się zakołysał. Ciało jednej z kobiet przesunęło się na bok. Jej tunika się uniosła, odsłaniając pośladki. Mężczyźni natychmiast zatrzymali wóz, a jeden z nich pośpieszył, aby okryć nagość zmarłej.

Osobliwe, pomyślał Kalkeus. Można by sądzić, że tej kobiecie i tak jest już wszystko jedno.

Wrócił do megaronu. Kilku służących umieszczało świeże pochodnie w przymocowanych do

ścian uchwytach. Kalkeus przywołał jednego z nich.

- Hej, ty tam! Przynies mi placki i wino.
- A kimże ty jesteś? – zapytał mężczyzna kwaśnym tonem.
- Jestem głodnym człowiekiem, któremu chce się pić – odpowiedział Kalkeus.
- Czy jesteś gościem króla?
- Tak. Jestem Kalkeus.

Służący uśmiechnął się krzywo.

- Czyżby? Szaleniec z Miletu?

Kalkeus westchnął.

- Nie jestem z Miletu, ale owszem, niektórzy durnie tak mnie nazywają.

Służący przyniósł tacę z jęczmiennym podplomykiem, odrobiną sera i dzbanem wina zmieszanego z wodą. Placek nie był świeży, ale razem z serem dawał się przełknąć. Kowal sączył wino, spoglądając w kierunku dużych wrót i na świecący za nimi księżyc. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby Helikaon już przyszedł. Chciał załatwić interes i wrócić do Troi, gdzie czekały na niego nowe kuźnie.

Pierwsze próby wytapiania metalu z czerwonej skały przyniosły rozczarowanie. Nawet najgorętsze piece dawały efekt w postaci bezużytecznej, gąbczastej szarej masy. Zdecydował, że temperatura musi być jeszcze wyższa. Nakazał więc budowę nowego pieca na polanie na północ od Troi, gdzie wiał dość porywisty wiatr.

Ale potrzebował więcej czasu i więcej złota.

Był przekonany, że Helikaon to zrozumie. Gdyby Kalkeus odniósł sukces, korzyści byłyby niewyobrażalne. Metal wytopiony z czerwonej skały, której zapasy na wschodzie były praktycznie niespożyte, można by przekuwać na miecze, włócznie, groty strzał i zbroje. Nie byłoby już potrzeby sprowadzania drogiej cyny z wysp położonych daleko za Wielką Zielenią i miękkiej miedzi z Cypru oraz innych ziem znajdujących się we władaniu Mykeńczyków. Koszt wyrobu przedmiotów z metalu, takich jak pługi, gwoździe czy obręcze beczek, wynosiłby zaledwie ułamek ceny brązu.

Zanim przyszedł Helikaon, służący dwukrotnie wymienili pochodnie. Otoczony przez pięciu młodych mężczyzn gospodarz wkroczył do budynku i przywołał służbę, aby przyniosła wodę. Jego przystojna twarz była wysmarowana sadzą. Długie, czarne włosy miał związane w sięgający ramion koński ogon. Podeszedł do rzeźbionego tronu i opadł na niego, odchylając głowę do tyłu

i zamykając oczy. Niektórzy z przybyłych z nim mężczyzn zaczęli rozmawiać. Kalkeus słuchał, jak narzekali na stojące przed nimi niewykonalne zadania. Tego nie da się zrobić z powodu tamtego, a tamtego nie da się zrobić z powodu tego. Kowal poczuł, jak narasta w nim irytacja. Głupi ludzie o leniwych umysłach. Zamiast rozwiązywać problemy, marnowali czas, próbując wyjaśnić swój brak pomysłów. Kowal nie pojmował, dlaczego Helikaon otoczył się takimi durniami.

Służący przyniósł srebrny puchar z winem i dzban wypełniony zimną wodą. Helikaon dołączył wody do wina w pucharze i wypił.

Jeden z młodych ludzi, z rzadką rudą brodą, podniósł głos.

- Sama odbudowa mostu zajmie miesiące. Nie mamy też wystarczającej ilości drewna, żeby odbudować składy i inne budynki zniszczone przez Mykeńczyków.

- Brakuje nam drwali i cieśli – dodał inny.

- I z pewnością brakuje wam mózgow – nie wytrzymał Kalkeus, podnosząc się z trudem. Stojący dookoła króla zamilkli i obrócili się w kierunku kowala. Ten podszedł do tronu, mierząc ich wzrokiem. – Widziałem pozostałości mostu. Można go naprawić w ciągu paru dni. Na bogów, Helikaonie, mam nadzieję, że ci durnie są lepszymi wojownikami niż myślicielami.

- Moi drodzy – powiedział Helikaon do rozjuszonych podwładnych – to jest Kalkeus. Zanim zdecydujecie się go znienawidzić, powinniście się dowiedzieć, że on wcale o to nie dba. Wszyscy nienawidzą Kalkeusa. A więc nie kłopotcie się i dajcie nam porozmawiać.

Kalkeus, ignorując wrogie spojrzenia, poczekał, aż ostatni z mężczyzn wyjdzie. Następnie podszedł do Helikaona.

– Jestem bliski rozwiązania zagadki – powiedział. – Ale potrzebuję więcej złota.

Helikaon wziął głęboki oddech, a jego twarz stężała. Kiedy Kalkeus spojrzał w oczy króla i nie znalazł tam przyjaznych uczuć, jego pewność siebie się rozwiała. Co gorsza, królewskie szafirowe spojrzenie było wręcz wrogie.

- Czy... obraziłem cię w jakiś sposób, wasza wysokość? – zapytał.

- Obraziłeś? Jesteś prawdziwą kopalnią sprzeczności, Kalkeusie. Geniusz i głupiec w jednym grubym cielsku. Nazwałeś moich ludzi durniami. Wchodzisz do mojej siedziby bez powitania, bez cienia współczucia dla osób rozpaczających z powodu okropności, które się wydarzyły – i ot, tak sobie, zuchwale żądasz ode mnie więcej złota.

- Ach! – westchnął kowal. – Teraz rozumiem. Oczywiście macz rację. Brak udawanego

współczucia był obraźliwy. Przepraszam najmocniej. Jednakże istotnie potrzebuję więcej złota. Myślę, że jestem już blisko, Helikaonie. Piece muszą mieć większą temperaturę, aby wypalić więcej zanieczyszczeń. Poza tym wydaje mi się...

- Dość! – ryknął Helikaon, zrywając się na nogi i wyciągając nóż z brązu. Zaskoczony i przestraszony Kalkeus cofnął się o krok. Zaschło mu w ustach i obydwie ręce zatrzęsły się jak w gorączce. Helikaon podszedł do niego i szarpnął za tunikę lewą ręką, drugą podnosząc nóż, aż błyszczące ostrze znalazło się nad lewym okiem Kalkeusa. Przez chwilę żaden z mężczyzn się nie poruszał, po czym Helikaon zaklął cicho i wziął głęboki oddech.

Schował nóż, wrócił na tron i nappełnił srebrny puchar wodą. Pił długo, a kiedy jego oczy spoczęły z powrotem na Kalkeusie, nie było już w nich żądy mordy.

– Mężczyźni, których obraziłeś – powiedział – wrócili do domu i znaleźli swoje żony i dzieci martwe. Masz rację, nie mają smykałki do rzemiosła i sztuki, są żeglarzami. Trzymałem ich dzisiaj przy sobie, żeby mieli co robić i myśleli o czymś innym niż o swej ogromnej stracie. Ale ty tego nie rozumiesz, prawda? Nikt, kto mówi o udawanym współczuciu, tego nie rozumie.

Kalkeus chciał coś powiedzieć, ale Helikaon podniósł dłoń.

- Nie mówmy o tym więcej. Jutro wypływam do Troi. Ty zostaniesz tutaj. Chcę, żebyś naprawił most i wybudował nową Bramę Morską. Potem możesz się zająć zorganizowaniem prac robotników, którzy będą odbudowywali składy.

- Mam dużo pracy w Troi – odpowiedział Kalkeus. Potem zobaczył zimny błysk, który ponownie pojawił się w oczach Helikaona. – Rzecz jasna, z chęcią pomogę.

– Jakież to mądre z twojej strony.

Kalkeus westchnął.

– Byłoby mądrzej, gdybym od tego zaczął rozmowę. Masz rację, królu, dubeltowy ze mnie dureń, a ty jesteś ostatnim człowiekiem, którego chciałbym obrazić, i wcale nie chodzi mi o to, że potrzebuję twojego złota. Stałeś u mojego boku i wspierałeś mnie, kiedy inni nazywali mnie szaleńcem. Mam nadzieję, że mi wybaczysz i będziemy mogli zapomnieć o tym incydencie.

Wyraz twarzy Helikaona złagodniał, ale król się nie uśmiechnął, nie było też ciepła w jego mętnych, niebieskich oczach o agresywnym wyrazie.

– Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy – powiedział – Zarówno ja, jak i ty. Wprawdzie cierpienie innych jest ci obojętne, ale za to nigdy nie paliłeś ludzi żywcem i nie cieszyłeś się, słysząc ich krzyki.

Na chwilę zamilkł, po czym znów się odezwał:

– Mówisz, że można szybko odbudować ten most?

Kalkeus przytaknął.

- Prowizoryczną naprawę można przeprowadzić w ciągu dwunastu dni. Nie sądzę, żebyś potrzebował czegoś więcej.

- A to dlaczego?

- Jesteś bogatym człowiekiem, Helikaonie, ale płynność twoich finansów zależy od handlu. Jeżeli Mykeńczycy zaatakują ponownie, każda sztaba złota, jaką zainwestujesz w odbudowę Dardanos, może się okazać marnotrawstwem. Jeśli ta wojna się przeciągnie, możesz stracić całe złoto, jakie posiadasz.

- Co zatem doradzasz?

- Tymczasową, tanią naprawę. I przeniesienie skarbcza z Dardanos.

Helikaon pokręcił głową.

– Nie mogę skorzystać z pierwszej rady. Tu nie ma jednolitego narodu, Kalkeusie, w najlepszym wypadku mamy tygiel nacji, które przy były do Dardanii w nadziei na bogactwo. Są tu Hetyci, Frygijczycy, Tesalczycy, Trakowie i wielu innych. Są posłuszni prawom i płacą mi podatki, ponieważ chronię ich przed wrogami i niszczę każdego, kto mi się sprzeciwi. Jeżeli pomyślą, że nie mam możliwości obrony mojej ziemi, stracą pokładaną we mnie wiarę. Wtedy będę musiał poradzić sobie nie tylko z inwazją z północy, ale też z buntem w sercu królestwa. Nie, naprawy muszą być gruntowne, a most solidny jak kiedyś.

– A więc tak się stanie – zgodził się Kalkeus. – Raz jeszcze zaryzykuję twój gniew i zapytam, co z moją wcześniejszą prośbą. Ponieważ nie ma szans na szybkie zakończenie tej wojny, moje prace stają się jeszcze ważniejsze.

- Wiem. Pomóż moim ludziom tutaj, ja zaś dopilnuję, żeby czekało na ciebie wystarczająco dużo złota w Troi. – Zmęczony Helikaon powoli wstał z tronu. – Pokładasz wielką wiarę w tych czerwonych skalach, Kalkeusie. Mam nadzieję, że twoja inwestycja ma solidne podstawy.

- Ma, Helikaonie. Jestem przekonany, że do końca przyszłego lata przyniosę ci najwspanialszy miecz, jaki widział ten świat.

II. MASKI PRIAMA

Sen był przerażający. Ksander zwisał nad czarną dziurą. Kiedy spojrzął w dół, zobaczył dziesiątki czerwonych jak krew, wpatrujących się w niego oczu i lśniące pazury gotowe rozszarpać go na kawałki. Popatrzył w górę, szukając pomocy u człowieka, który mocno obejmował jego nadgarstek.

W tym momencie wrzasnął – trzymający go mężczyzna był ziemistej barwy trupem, którego gnijące ciało odpadało od kości. Ściągnął w nadgarstku i łokciu zaczęły się rwać. Kości palców pękły i Ksander runął do jamy.

Obudził się z krzykiem, gwałtownie podkulając nogi. Przerazonymi oczami spoglądał na mały, znajomy pokój przeznaczony do odpoczynku. Serce powoli się uspokajało i panika minęła.

Ksander przypomniał sobie słowa Odyseusza.

– Penelopa mi mówiła, że są dwa rodzaje snów. Część przychodzi z Bramy Kości Słoniowej i są one pełne kłamstw. Inne pochodzą z Bramy Rogu i te niosą ze sobą brzemień losu.

Ksander usiadł. Za zamkniętym oknem jasno świeciło słońce, ale młody uzdrowiciel nie miał ochoty oglądać blasku dnia. Kiedy otworzy okno, czas jego wypoczynku dobiegnie końca i znów będzie musiał krążyć wśród umierających i kalek.

– Sen był kłamstwem – wyszeptał. – To po prostu mieszanina wspomnień i lęków. – Wrócił pamięcią do dnia, kiedy *Ksantos* padł ofiarą wściekłego sztormu cztery lata temu. Ksander miał wtedy dwanaście lat i była to jego pierwsza morska podróż. Olbrzymia fala niemal zmyła go z pokładu i utonąłby, gdyby czyjaś silna dłoń nie złapała go za nadgarstek. Mykeński wojownik Argurios rzucił się przez zalany wodą pokład i złapał chłopca, zanim pochłonęło go morze.

– Wspomnienia i lęki – wyszeptał znowu Ksander i oddychając powoli i głęboko, przypomniał sobie sekcję zwłok zebraka sprzed paru dni.

Chirurg Zeotos rozciął skórę ramienia martwego mężczyzny, odsłaniając łokieć.

– Zwróćcie uwagę – powiedział starszy – jak przymocowane są mięśnie i ścięgna. Wspaniale! – Ponury pokaz umiejętności chirurga oglądało czterech uzdrowicieli i pięciu uczniów. Jeden z młodzików zemdłał, przy upadku uderzając głową o ścianę.

Ksander i pozostała trójka uczniów przez chwilę cieszyła się poczuciem wyższości nad kolegą. W tym momencie Zeotos przepiłował mostek, odsłaniając wnętrze, i rozciął żołądek

trupa. Kiedy pomieszczenie wypełnił niemożliwy do wytrzymania smród, chłopcy uciekli na korytarz, ścigani chichotem chirurga.

Te dwa wspomnienia – trup i statek podczas burzy – zlały się w jeden przerażający sen.

Kiedy bicie serca zwolniło do zwykłego rytmu, Ksander wstał z łóżka i podszedł do kamiennej misy na stoliku pod oknem. Przemył twarz wodą i mokrymi palcami przycesał kędzioły. Poczul się odświeżony i otworzył okno, wpuszczając do pokoju promienie słońca. Światło nie dawało ciepła, a przenikliwy wiatr zapowiadał rychłe nadejście zimy.

– Ksandrze! – rozległ się głos Zeotosa. Młody uczeń odwrócił się i zobaczył białobrodego chirurga stojącego w drzwiach pokoju wypoczynkowego Domu Węży. – Musisz wrócić do pracy – powiedział z twarzą zastygłą w maskę zmęczenia.

Ksander poczul ukłucie winy. Staruszek pracował przez całą noc bez wytchnienia.

- Nie powinieneś być mi pozwolić tak długo spać, panie – powiedział.

- Młodzi potrzebują więcej snu niż starzy – odpowiedział Zeotos. – Niemniej jednak zamierzam zająć twoje miejsce w łóżku. Na zewnątrz czeka dwóch mężczyzn z głębokimi ranami brzucha. Miej ich na oku, chłopcze. Jeżeli szwy pękną, sprowadź mnie jak najszybciej. Zrozumiałeś?

- Tak, panie.

Pod osłoną nocy do Domu Węży sprowadzono prawie dwustu jeźdźców. Wszyscy odnieśli poważne rany i musieli znosić trudy podróży zarówno w czasie przedzierania się przez Hellespont, jak i późniejszą długą drogę z Dardanos. Wielu żołnierzy, transportowanych na podskakujących, przeładowanych wozach i wózkach do przewożenia nieczystości, zmarło po drodze.

Zeotos położył się na łóżku z cichym westchnieniem zadowolenia. Ksander wyszedł z pokoju i udał się na podwórko, gdzie większość rannych leżała na materacach pod zadaszeniem. Mimo dużej liczby żołnierzy ciszę przerywały jedynie sporadyczne jęki opatrywanych i deliryczne mamrotanie umierających. Dym z pachnących ziół płonących na ołtarzu Asklepiosa utrzymywał z dala owady. Młodzieniec dostrzegł przełożonego domu, Machaona, krążącego wśród rannych wraz z trzema uzdrowicielami. Słudzy roznosili świeżą wodę i zmieniali opatrunki.

Ksander wiedział, gdzie będą go najbardziej potrzebowali. Ci, którzy mieli szansę na przeżycie i odzyskanie sił, otrzymywali najlepszą opiekę zarówno ze strony uzdrowicieli, jak

i służących. Umierający leżeli samotnie. Szybko podszedł do rzędu łóżek najbliższej ołtarza. Pierwszy z mężczyzn miał rany na piersi i w boku. Jego twarz była blada i naznaczona cierpieniem, zdradzając rychłe nadejście śmierci.

– Bardzo cierpisz? – wyszeptał Ksander, nachylając się nad wojownikiem.

Umierający spojrzał w oczy młodzieńca.

- Bywało gorzej. Widziałeś paradę? – zapytał. – Słyszałem wiwatujące tłumy, kiedy przejeżdżali w pobliżu.

- Widziałem, ale niezbyt dobrze – odpowiedział chłopak. – Hektor jechał w złotym rydwaniu, a jeźdźcy za nim czwórkami. Ludzie rzucali kwiaty na ulice.

Uśmiech żołnierza zgasł.

– Możesz już iść, uzdrowicielu. Inni są w większej potrzebie.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? Przynieść ci wody?

Żołnierz się skrzywił.

- Nie pogardziłbym jeszcze rokiem życia.

Ksander ruszył dalej. Trzech wojowników umarło w ciszy. Uzdrowiciel wezwał służących, aby zabrali ciała. Inni umierający obserwowali to z ponurymi wyrazami twarzy.

Późnym popołudniem na podwórku pojawił się Zeotos i szybkim krokiem podszedł do Ksandra.

– Król się zbliża – mruknął. – Machaon chce, żebyś powitał Priama i księcia Hektora przy bramie. Sam musi niezwłocznie dokonać amputacji, a mnie nie mogą tu zobaczyć.

Ksander skinął głową ze zrozumieniem. Zeotos został wygnany z Troi po ataku Mykeńczyków, w czasie którego zginęła córka króla Laodike. Winą za jej śmierć Priam obarczył starego chirurga. Zeotos podróżował po kraju, świadcząc medyczne usługi, nigdy nie oddalając się od Troi, ale z trudem wiązał koniec z końcem. Kiedy Machaon dowiedział się o jego losie, zaprosił go do Domu Węży. Naczelnym lekarz przewidywał, że w czasie nieuchronnie nadciągającej wojny będzie potrzebował każdej pary rąk do pomocy.

Śpiesząc do bram, aby powitać króla, Ksander usłyszał marszowy krok. Przez zalany słońcem plac w kierunku świątyni zbliżał się oddział Królewskich Orłów eskortujący lektykę. Obok nich szedł Hektor, ciągle w paradnej zbroi i łopoczącym białym płaszczu, które przywdział na paradę. Lektyka się zatrzymała i wysiadł z niej Priam. Król, ubrany w długie niebieskie szaty, uniósł ręce i przeciągnął się.

– Zaraza na te... ruchome hamaki! – warknął. – Powiniennem być wziąć powóz. Król nie powinien być noszony jak kupa bielizny.

Rozglądając się dookoła, wbił wzrok w Ksandra.

– Kim jesteś, chłopcze? – zapytał chrapliwym głosem.

Ksander zaniemówił. Widział już wcześniej króla, ale tylko z daleka na igrzyskach i oficjalnych uroczystościach. Podobieństwo Hektora do Priama było uderzające. Obydwaj byli wysocy, szerocy w barach, i emanowali siłą. Król był lekko przygarbiony i widać było, że uczcił powrót syna sporą ilością wina, jednakże jego osobowość zdominowała cały słoneczny plac i nawet Orły w ciężkich zbrojach wydawały się przy nim małe.

Hektor podszedł bliżej.

- Ty jesteś Ksander – powiedział, uśmiechając się.

- Tak, panie – odpowiedział młody uzdrowiciel, poniewczasie rzucając się na kolana.

- Wstań, Ksandrze. Jesteś przyjacielem mojej żony, a żaden przyjaciel nie kłęczy w mojej obecności. Zaprowadź nas do naszych rannych towarzyszy.

Kiedy przechodzili przez czarne wrota świątyni, Ksander dosłyszał mamrotanie Priama.

– Widok kalek psuje mi humor, a umierający śmierdzą i ten odór trzyma się człowieka przez całe dni.

Hektor zachowywał się tak, jakby nie usłyszał tych słów.

Kiedy weszli na podwórze, na chwilę zapadła cisza, po czym ranni i okaleczeni żołnierze wzniesli okrzyk radości. Nawet ci, którzy stali już na początku Ciemnej Drogi, głośno powitali swojego króla i dowódcę.

Priam wzniosł ręce i żołnierze jeszcze głośniejszym głosem go pozdrowili. Kiedy przemówił, ostry i poirytowany głos, który Ksander słyszał chwilę wcześniej, został zastąpiony przez głęboki, ciepły i tubalny ton, który z łatwością słyszeli ranni przy dalekiej ścianie.

– Trojanie! – zawołał i wszyscy umilkli. – Jestem dumny z was wszystkich. Zwycięstwo, które odnieśliście dla Troi, będzie na ustach ludzi przez tysiące lat. Ojciec Zeus będzie znał wasze imiona równie dobrze jak imiona Heraklesa i Ilosa. – Uśmiechnął się i raz jeszcze wzniosł ręce dla podkreślenia swoich słów, po czym razem z Hektorem zaczął krążyć wśród leżących.

Ksander nie mógł tego zrozumieć. Chwilę temu słyszał, jak król narzeka, że ta wizyta jest męczącym obowiązkiem. Może nie dosłyszał albo źle zrozumiał jego słowa. Teraz patrzył, jak Priam łagodnie zwraca się do umierających, słuchając opowiadanych ostatkiem sił opowieści

o żonach i matkach. Król nawet opowiadał kalekom dowcipy i mówił każdemu z nich: „Twój król jest z ciebie dumny, żołnierzu”.

Ksander towarzyszył władcy, tłumacząc słowa mamrotane przez umierających. W niektórych przypadkach podnosił rękę żołnierza, aby ten mógł dotknąć królewskich szat. Uzdrowiciel od czasu do czasu ukradkiem zerkał na twarz Priama, ale widział w niej tylko szczerą troskę i współczucie.

Hektor cały czas szedł za królem i witał się po imieniu z każdym wojownikiem. Zanim obeszli powoli całą świątynię, nie pomijając ani jednego posłania, słońce chyliło się już ku zachodowi. Ksander zauważył, że bruzdy na twarzy Hektora się pogłębiły, a ramiona przygarbiły. Za to król zdawał się czerpać z wizyty u rannych nowe siły.

Kiedy słońce zniknęło za domami świątyni i na podwórzu zapalono pochodnie, cała trójka stanęła znowu przed bramą, gdzie czekał już ozdobny rydwan inkrustowany złotem i szlachetnymi kamieniami. Priam odwrócił się do syna.

- A teraz wracajmy do świata żywych i cieszymy się triumfem.

- Nasz widok sprawił tym żołnierzom przyjemność – odpowiedział łagodnie Hektor.

Priam wbił w niego gniewny wzrok. Jego głos znów był ostry i zimny.

- Nigdy więcej nie prosz mnie o coś takiego, chłopcze. Król to nie niańka. A od smrodu zrobiło mi się niedobrze.

Ksander zobaczył, jak twarz Hektora stwardniała, lecz księżę spokojnie wsiadł do rydwanu i ujął wodze. Priam stanął obok niego.

- Powinieneś zostawić ich wszystkich na plaży w Karpei. Honorowa śmierć za króla i ich miasto byłaby dla nich zaszczytem – powiedział.

Hektor potrząsnął wodzami i dwa białe rumaki napały na orczyk. Rydwan płynnie ruszył naprzód z truchtającymi po bokach Królewskimi Orłami.

Na podwórzu podekscytowani żołnierze wspominali wizytę króla i jego słowa. Późnym wieczorem Ksander, zasmucony dwulicowością Priama, opowiedział wszystko Zeotosowi.

- Wydawał się taki... szczerze zainteresowany ich losem, taki miły, współczujący. Ale tak naprawdę nic go nie obchodzili.

Chirurg zachichotał.

- Słyszałeś, jak mówił o swoim szacunku dla wojowników, a potem beształ Hektora za to, że robi z niego niańkę?

– Tak.

– I zakładasz, że okłamywał żołnierzy, a Hektorowi mówił prawdę?

Ksander przytaknął.

- Czy się mylę, panie?

- Być może, Ksandrze. Priam jest skomplikowanym człowiekiem. Całkiem możliwe, że to, co mówił do żołnierzy, płynęło z głębi serca, ostre słowa skierowane do Hektora zaś miały ukryć jego emocje.

- Tak myślisz? – zapytał podniesiony na duchu Ksander.

- Nie. Priam jest zimnym i wrednym draniem. Jednakże – dodał Zeotos, mrugając przyjaźnie – teraz ja mogę kłamać. Chodzi o to, Ksandrze, że niemądrze jest ferować wyroki na podstawie poszlak.

- Teraz już całkiem się pogubiłem – przyznał chłopak.

- I o to właśnie mi chodziło. Jesteś dobrym młodzieńcem, Ksandrze, szczerym, bezpośrednim i nieznającym obłudy. Priam tak się zaplątał w licznych intrygach, że już sam nie wie, które z jego oświadczeń, jeżeli którekolwiek, są prawdziwe. Koniec końców nie ma to znaczenia. Żołnierze, do których się zwracał, zostali podniesieni na duchu. Niektórzy z nich dzięki temu mają szansę na ozdrowienie. Można by wręcz powiedzieć, że Priam ich uzdrowił. Więc nie spuszczaaj nosa na kwintę z powodu kilku złych słów pijanego króla.

Andromacha wspinała się w kierunku pałacu na wysoką górę. Światło księżyca odbijało się w złotej, wyszywanej drogimi kamieniami sukni, którą miała na sobie. Długie, ogniście rude włosy ozdobiła złotą opaską wysadzaną szmaragdami. Odczuwała zmęczenie. Nie fizyczne, bo była młoda i silna, jednak wyczerpał ją dzień przepełniony wiewatami tłumów i przesłodzonymi rozmowami podszytymi nieszczerością. Z placu dobiegały dźwięki muzyki i śmiech, w którym nie było radości. Na uczcie zapanowała napięta atmosfera, ludzie śmiali się wymuszenie i ostentacyjnie głośno.

Mężczyźni rozmawiali o zwycięstwie, ale Andromacha słyszała w ich głosach i widziała w oczach strach. Priam porwał tłum ognistą przemową, w której wychwalał heroiczne czyny Hektora i Konia Trojańskiego. Ale jej efekt był krótkotrwały. Wszyscy biorący udział w biesiadzie znali rzeczywistość.

Wiele rodzin kupieckich już opuściło miasto i większość składów stała pusta. Bogactwo,

które do tej pory niczym złota rzeka płynęło do miasta, zaczęło wyciekać. Niedługo zmniejszy się do zwykłego strumyka. Tymczasem wrogowie rozbijają obóz pod murami miasta, gotując drabiny i tarany, ostrząc miecze, przygotowując się do rzezi i marząc o łupach.

Andromacha wiedziała, że to właśnie z tego powodu wszyscy chcieli być blisko jej męża, Hektora. Każdy chciał z nim porozmawiać, poklepać go po plecach, powiedzieć, ile modłów wniósł w intencji jego bezpiecznego powrotu do domu. To ostatnie pewnie było prawdą. Troja miała wprawdzie ogromne mury, silną armię i bogatego króla, ale to Hektor był największą nadzieją na uniknięcie klęski. Z pozostałych ziem napływały ponure wieści – przerwane szlaki handlowe, pokonani bądź przekupieni sprzymierzeńcy i wrogie armie panoszące się za grzbietami Idy i w cieśninach Tracji.

Andromacha szła dalej, mając po bokach dwóch żołnierzy oświetlających jej drogę. Za nimi, z rękoma na rękojeściach mieczy, szli dwaj inni z elitarnych Orłów Priama. Od czasu ataku mykeńskich zabójców za Andromachą wszędzie podążał cień w postaci uzbrojonej eskorty. Było to straszliwie denerwujące i księżniczka nie mogła się do tego przyzwyczaić.

Przypomniała sobie noc, kiedy dawno temu, w przebraniu, niepostrzeżenie poruszała się pomiędzy żeglarzami i dziwkami w Zatoce Niebieskiej Sowy i jak słuchała niedoścignionych opowieści Odyseusza. Tamtej nocy, pełnej przemocy, śmierci i znaków, poznała Helikaona.

Niestety, anonimowość odeszła w przeszłość. Jej twarz była już w Troi zbyt znana. Gdyby było inaczej, wróciłaby do pałacu, włożyła tunikę służącej i udała się do dolnej części miasta, gdzie tańczyłaby i śpiewała wśród szczerych ludzi.

Kiedy zbliżali się do pałacu, księżniczka dostrzegła kilku pijaków śpiących na ulicy. Towarzyszący jej wojownicy przyglądali się im czujnie. Jeden z pijanych obudził się, kiedy go mijali. Zagapił się na Andromachę, po czym przetarł oczy. Na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie. Chwiejnie wstał na nogi i zatoczył się w jej kierunku. Żołnierze w mgnieniu oka ze świstem wyciągnęli miecze.

– Wszystko w porządku – krzyknęła Andromacha. – Nie róbcie mu krzywdy.

Pijany zatrzymał się przed księżniczką, gapiąc się na złotą opaskę i szmaragdy, które odbijały światło pochodni.

- Myślałem... Myślałem, że jesteś boginią z Olimpu – powiedział.

- Jestem Andromacha. Powinieneś iść do domu.

- Andromacha... – powtórzył.

- Wynoś się – rozkazał jeden z żołnierzy.

Pijany spróbował się wyprostować, ale się zatoczył. Ponuro zerknął na żołnierza.

– Byłem pod Kadesz – poinformował, podnosząc prawą dłoń.

W migoczącym świetle Andromacha dostrzegła, że brakuje mu trzech palców.

– Koń Trojański – mówił dalej. – Dla mnie nie będzie parady, chłopcze. Teraz szczam do garnka farbiarzy i śpię na ulicy. Ale ciągle mogę naszczać i na ciebie, ty arogancka kupo gówna.

Andromacha szybko stanęła pomiędzy mężczyzną i wściekłym żołnierzem. Odpięła złotą broszkę zdobioną klejnotami i wcisnęła w okaleczoną rękę.

– Przyjmij ten dar od żony Hektora, żołnierzu – rzekła – jako wyraz szacunku dla twojej odwagi.

Kaleka spojrział na błyszczące złoto i Andromacha zobaczyła, że w jego oczach pojawiły się łzy.

– Jestem Pardones – powiedział. – Pozdrów ode mnie męża.

Mężczyzna odwrócił się i potykając, ruszył w ciemność.

Zachodzące słońce rzucało ogniste światło na wodę, kiedy *Ksantos* wpłynął do rozległej zatoki, nad którą leżała Troja. Ciszę mącił tylko niosący się nad wodą plusk unoszonych i opuszczanych wiosel.

W oddali miasto lśniło jak odlane ze złota. Ostatnie promienie słoneczne ślizgały się po połączonych dachach i wieżach z łopoczącymi flagami. Czubki włóczy i hełmy stojących na murach strażników lśniły niczym okruchy światła.

Egipcjanin Gershom uśmiechnął się, kiedy jego wzrok po raz kolejny spoczął na mieście. Troja była imponująca, ale przyglądając się rozdziawionym gębom członków załogi stojących w pobliżu, zastanawiał się, jak zareagowaliby, widząc cuda stubramnych Teb. Co by zrobili, widząc górujące nad otoczeniem białe piramidy lub Wielkiego Lwa? Troja nie została zbudowana dla piękna ani też umiejscowiona tak, aby cieszyć zamieszkujących gwiazdy bogów. Przede wszystkim była to forteca, dokładnie zaplanowana i solidnie wykonana, z wysokimi murami i olbrzymimi drewnianymi bramami wzmocnionymi brązem. Gershom pomyślał, że oglądany przezeń majestat Troi jest niemal efektem ubocznym, wynikającym z połączenia imponującego kamieniarstwa i wspaniałego zachodu słońca.

W zatoce było niewiele innych statków. Z czterech łodzi rybackich zarzucono sieci, blisko

południowego brzegu zaś trzy nowe galery wojenne ćwiczyły manewry. Gershom obserwował je przez chwilę. Wioślarze byli niedoświadczeni, zderzali się wiosłami, kiedy galery się zatrzymywały, obracały bądź przyśpieszały do prędkości taranowania. W ciągu ostatniego czasu wiele okrętów poszło na dno i setki doświadczonych żeglarzy utonęło lub zginęło w bitwach morskich. Teraz na morze wypłyną nowicjusze... i będą umierać tysiącami.

Ksantos płynął dalej, docierając do Plaży Króla w momencie, kiedy słońce zniknęło za horyzontem. Oniakos wydał rozkazy wioślarzom. W mgnieniu oka wiosła na lewej burcie okrętu podniosły się, podczas kiedy z prawej marynarze je opuścili i mocno pociągnęli. Dziób *Ksantosa* z gracją obrócił się w kierunku plaży.

– Uwaga... Teraz! – huknął Oniakos. Wszystkie wiosła jednocześnie uderzyły w wodę. Dziób *Ksantosa* wrył się w piach i znieruchomiał. Wiosła żwawo wciągnięto.

Otworzono włazy. Gershom poszedł pomóc załodze w rozładunku. Z ładowni wyniesiono ponad tysiąc kolczug, które przerzucane przez burtę zaścieliły plażę. Zbroje noszone przez żołnierzy Konia Trojańskiego były dobrze wykonane. Brązowe dyski pokrywały skórzane napierśniki niczym rybia łuska. W przeciwieństwie do swoich dumnych, acz martwych właścicieli były zbyt cenne, aby pozostawić je na polach bitewnych Tracji.

Kolczugi załadowano na wozy, a następnie zawieziono do dolnej części Troi i dalej do centrum miasta. W końcu włazy zostały zamknięte. Oniakos minął Gershoma, kierując się na dziób. Załoga statku rozsiadła się na pokładzie sterowym, owijając ramiona kocami w obronie przed chłodem wieczoru. Niektórzy marynarze ruszyli do miasteczka położonego pod murami Złotego Miasta.

Gershom zobaczył, jak Helikaona, tulącego w ramionach śpiącego Deksa, powitał wielki trojański książę Antifones. Marynarz odwrócił się i ruszył na dziób.

Oniakos opierał się o reling i spoglądał na nowe galery. Jego urodziwa twarz stężała, w oczach zaś czaił się gniew.

– Mogę ci coś przynieść? – zapytał Gershom. – Może wina?

Oniakos pokręcił głową.

- Powiadają, że wino pomaga zapomnieć. A ja nie chcę zapomnieć. Rozmawiać zresztą też nie.

- A więc nie rozmawiaj – powiedział łagodnie Egipcjanin. – Przyjaciele powinni umieć wspólnie milczeć, nie czując się niezręcznie.

Cisza nie trwała długo. Zresztą Gershom się tego nie spodziewał. Oniakos nie był przesadnie towarzyski, ale żal, który nosił w sobie, wcześniej czy później musiał znaleźć ujście. Zaczął opowiadać o swoich synach i o tym, jakimi dobrymi byli chłopakami. Gershom nic nie mówił, zresztą rozmówca wcale tego nie oczekiwał. Oniakos tak naprawdę nie mówił do niego, tylko do ciemnej nocy, do duchów swoich synów, do bogów, którzy nie pomogli im i ich matce, kiedy Mykeńczycy z lśnącymi mieczami zaatakowali Dardanos. Smutek Oniakosa szybko zresztą ustąpił wściekłości, tę zaś zakończyły łzy. W końcu zapadła cisza. Gershom położył dłoń na ramieniu Oniakosa. Ten westchnął.

- Nie wstydzę się swoich łez – powiedział.

- I nie powinieneś, przyjacielu. Mówi się, że bramy raju mogą otworzyć tylko łzy tych, którzy opłakują zmarłego. Nie wiem, czy to prawda. Ale powinno tak być.

Oniakos przyjrzał mu się uważnie.

- Wierzysz, że żyjemy dalej? Że... że jest jakaś nagroda dla niewinnych, którym... skradziono życie doczesne?

- Oczywiście – skłamał Gershom. – Jak może być inaczej?

Oniakos przytaknął.

- Ja też w to wierzę. Musi gdzieś być miejsce, gdzie można być szczęśliwym. Bez okrucieństwa, bez tchórzki i zabójców. Wierzę w to – powtórzył.

Przez chwilę stali w milczeniu, spoglądając na galery na spokojnym morzu.

- Źle wyważona – powiedział Gershom, wskazując najbliższą jednostkę. – Widzisz, jaka jest przechylona?

- Zbyt wielu silnych wioślarzy z lewej strony. Powinni część z nich pozamieniać miejscami – dorzucił Oniakos. W jego oczach ciągle widać było ból, ale teraz skoncentrował się na galerze. – Zbyttnio forsują wioślarzy. Wszystko, co osiągną, to nadwreżone ramiona i brak wiary w siebie.

Spojrzał na Gershoma i zmusił się do uśmiechu.

- Czas już, żebyś udał się na brzeg. Czekają na ciebie uciechy Troi i chyba nie chcesz zamienić ich na rozmowy o ćwiczeniu wioślarzy. Nie martw się o mnie. Obiecuję, że nie poderżnę sobie gardła.

- Wiem – odpowiedział Gershom. – Zobaczymy się jutro. – Powiedziawszy to, powoli ruszył na brzeg. Po chwili usłyszał okrzyk Oniakosa i odwrócił się.

- Dziękuję, przyjacielu.

Gershom przeszedł na środkowy pokład, wziął płaszcz i zarzucił go na ramiona. Następnie wdrapał się na reling i zeskoczył na plażę.

Brnąc przez piach, dotarł do ścieżki prowadzącej do miasteczka. Przy drewnianym moście przerzuconym nad fosą zobaczył dwóch strażników w zbrojach z wypolerowanego brązu i długimi włóczniami w dłoniach. Po drugiej stronie tłum zebrał się dookoła grupki żeglarzy z *Ksantosa*. Jeden ze strażników uśmiechnął się do Gershoma. Był młodym człowiekiem, ale na twarzy i ramionach miał blizny po ranach odniesionych w boju.

– Wieści o waszych zwycięstwach dotarły do nas dwa dni temu – powiedział strażnik. – Były jak promienie ciepłego słońca po śnieżnej zamieci.

Ludzie tłoczyli się przy członkach załogi, klepiąc ich po plecach i wykrzykując na przemian pozdrowienia i błogosławieństwa.

Gershom powoli torował sobie drogę, idąc obrzeżem tłumy. W pewnym momencie ktoś klepnął go w ramię.

– Tu mamy następnego! – zakrzyknął radośnie.

Kiedy więcej ludzi zaczęło mu się przyglądać, Egipcjanin szybko pokręcił głową.

– Nie, nie – zaprzeczył, wznosząc dłonie w geście protestu. – Jestem tylko skromnym podróżnym.

Ludzie natychmiast stracili zainteresowanie Gershomem i ponownie zwrócili uwagę na innych żeglarzy. Czarnowłosa dziewczyna wyszła z cienia w światło księżyca i ujęła go za łokieć. Gershom spojrzał w jej twarz. Była ładna i miała blade oczy, ni to niebieskie, ni szare. Było za ciemno, aby to stwierdzić. Mógł jednak zobaczyć, że jest młoda. Sięgająca kostek tunika ciasno przylegała do jej ciała, a piersi ledwie napinały materiał.

Zdjął jej dłoń.

– Nie jestem w nastroju do miłosnych uniesień – powiedział szorstko. – A gdybym był, oddałbym się im z kobietą, a nie z dzieckiem.

Dziewczyna się roześmiała.

– Gdybyś był w nastroju do miłosnych uniesień, nie byłoby cię na mnie stać. Nawet jako księcia Egiptu.

Gershom przystanął i powiódł wzrokiem po jej smukłej sylwetce, szukając zarysów ukrytej broni. Jego tożsamość była dotąd tajemnicą, a przynajmniej tak mu się wydawało. Jeżeli ta młoda ladacznica wiedziała, kim jest, to ilu jeszcze ludzi to wie? Z pewnością byli tacy, którzy chcieliby

zdobyć nagrodę wyznaczoną za jego głowę. Rozejrzał się nerwowo, spodziewając się zobaczyć wybiegających z mroku egipskich zabójców.

- Boisz się mnie? – zapytała dziewczyna.

- Znajdź sobie innego, z którym będziesz się drażnić – odparł Gershom, idąc dalej.

Dziewczyna pobięła za nim. Gershom odczuwał coraz większą irytację.

– Widziałam cię na morzu – powiedziała. – I wielkie fale spadające na ciebie. Byłeś bardzo silny.

Gershom znów przystanął i spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- W porządku, wiesz, kim jestem. Kto cię przysłał, dziecko? Z jakiego powodu?

- Przysłał mnie Ksidoros... – Przechyliła nagle głowę. – Tak, tak – przemówiła w ciemność – ale czepiasz się szczegółów. – Zmarszczyła brwi i wydawało się, że słucha. Następnie machnęła ręką. – Och, idź sobie! – syknęła.

Zwracając się znowu do Gershoma, powiedziała:

– Mówi, że mnie nie przysłał, tylko po prostu powinniśmy porozmawiać.

Gershom zaklął pod nosem. W jego ojczystych Tebach nad Nilem były domy z wysokimi ścianami, gdzie dotkniętych chorobami duszy trzymano przez cztery lata. W tym czasie odwiedzali ich kapłani i uzdrowiciele, astrologowie i magowie, próbując im pomóc i wypędzić demony, które ukradły im rozum. I tak chirurdzy wiercili im dziury w czaszkach, uzdrowiciele zaś podsuwali różne dziwne zioła i mikstury. Jeżeli po czterech latach chorzy nie rokowali poprawy, odczytywano to jako znak, że bogowie wzywają nieszczęśników do siebie, więc ich duszono.

Gershom słyszał, że w barbarzyńskiej Troi nie było takich miejsc, dlatego chyba biedni popaprańcy, tacy jak to dziecko, mogli swobodnie kręcić się po ulicach.

– Gdzie mieszkasz? – zapytał dziewczynkę. – Odprowadzę cię do domu.

Mała spojrzała na jego twarz i nagle się zasmuciła.

– W twojej głowie jest mgła – powiedziała. – Gęsta, mroczna i nie pozwala ci widzieć. Potykasz się jak ślepiec. – Wzruszyła ramionami. – Ale zdarza się, że sama chciałabym być ślepa. Chciałabym po prostu słuchać ludzi i słyszeć tylko te słowa, które wymawiają, a nie obmierzłe szepty rozbrzmiewające w ich głowach. – Znowu się uśmiechnęła. – Chodź, to ja odprowadzę cię do domu.

- Wiesz, dokąd zmierzam?

- Tak. Zmierzasz na Piękną Wyspę ze mną, potem zostaniesz wezwany na pustynię, później usłyszysz głosy dochodzące z płomieni i zobaczysz ogień w niebiosach, a potem ogień stopi mgłę w twojej głowie i będziesz wiedział wszystko to, co ja wiem, i będziesz widział więcej, niż ja kiedykolwiek zobaczę.

- Bardzo interesujące – stwierdził Gershom. – Ale chodziło mi o to, czy wiesz, dokąd teraz zmierzam?

- Och, tak. Do Domu Kamiennych Koni.

- Cóż, to racja. A gdzie ty mieszkasz?

Dziewczynka zaśmiała się perliście.

- Moi strażnicy mnie szukają, więc muszę już iść. Ale zobaczymy się jutro w pałacu Hektora. – Powiedziawszy to, dziewczynka podkasła białą tunikę i ruszyła biegiem.

Przez chwilę Gershom miał ochotę pobiec za nią i oddać ją w ręce straży miejskiej. Niektóre rejony miasteczka były niebezpieczne i ta skrzywdzona przez los dziewczynka mogła znaleźć się w tarapatach. W tym momencie jednak zobaczył, jak dziecko wbiega w ciemną uliczkę i znika z pola widzenia.

Kręcąc głową, rosły Egipcjanin ruszył w kierunku pałacu Helikaona.

III. BURSZTYNOWA BOGINI

Kiedy Helikaon wyszedł z Domu Kamiennych Koni, ulice Troi rozświetlały już promienie porannego słońca. Kupcy ustawiali na placach handlowych swoje kramy, służba i niewolnicy zaś nosili bele tkanin oraz towary zawinięte w wysuszoną trzcinę. Na Helikaona napierała kakofonia odgłosów miasta. Od ulicy Zbrojmistrzów dochodziły uderzenia młota, które wplatały się w ryki osłów, gdakanie kur, ujadanie psów i wrzaski naganiaczy przekrzykujących się nawzajem i próbujących przywołać klientów do poszczególnych straganów.

Powrót do Troi budził osobliwe uczucia. Wojna wydawała się tu odległa, a śmierć Halizji jedynie dziwnym sennym koszmarem.

Tego ranka obudził się, czując u swego boku miękkie, ciepłe ciało. W tej krótkiej chwili, kiedy świadomość po przebudzeniu nie jest jeszcze do końca jasna, pomyślał, że otworzy oczy i spojrzy na Halizję. W istocie był to Deks, który z kciukiem w ustach spał, położywszy główkę na ramieniu ojca. Helikaon odgarnął bujne włosy z czoła chłopca. Deks na chwilę otworzył oczy, a potem znowu zapadł w sen.

Helikaon wstał i ubrał się. Wybrał białą tunikę przetykaną złotą nicią oraz szeroki pas z klamrą w kształcie złotego liścia. Wprawdzie czuł się nieswojo w tak wystawnym odzieniu, ale było ono odpowiednie na spotkanie z Priamem. Na końcu sięgnął po sztylet w pochwie i wsunął go za pas. Choć obecność zabójców na ulicach Troi była mało prawdopodobna, nie należało tego wykluczać.

Dawniej Helikaon przemierzał ulice w towarzystwie Hektora albo jednego z braci księcia, Antifonesa lub Agatona. Były to szczęśliwe, beztriosko upływające dni, kiedy przyszłość rysowała się w pięknych barwach. Właśnie tutaj dziesięć lat wcześniej dyskutowali z Hektorem na temat zalet i wad ożenku z miłości.

- Dlaczego chciałbyś czegoś takiego? – zapytał Hektor. – Wszystko, co robi książę, powinno wzmacniać królestwo, co za tym idzie, żona ma mu wnieść okazały posąg, ziemie i obietnicę przymierza z królestwem jej ojca. A potem można sobie szukać miłości, gdzie tylko dusza zapagnie.

- Nie zgadzam się – odpowiedział Helikaon. – Odyseusz kocha swoją żonę i jest szczęśliwy. Powinieneś zobaczyć ich razem, Hektorze. W mgnieniu oka zmieniłbyś zdanie. Odyseusz mówi,

że bez Penelopy życie byłoby jak ziemia pozbawiona słońca. Ja też chcę mieć żonę, która obdarzy mnie takim szczęściem.

– Mam nadzieję, że tak się stanie, przyjacielu – powiedział Hektor.

I tak się stało. Znalazł kobietę swoich snów.

Los musi mieć interesujące poczucie humoru, pomyślał, skoro to właśnie Hektora ożenił z tą kobietą.

Przystanął, aby obejrzeć egipską biżuterię, i natychmiast podszedł do niego starszy kupiec o szczupłej sylwetce, ciemnej karnacji i ufarbowanych henną włosach i brodzie.

- Nie znajdziesz lepszego towaru w całym mieście, panie. – Mężczyzna podniósł okazałą broszę z bursztynu zdobionego złotym drucikiem. – Szesnaście srebrnych pierścieni, panie. Prawdziwa okazja.

- W ostatnim sezonie w Egipcie za szesnaście srebrnych pierścieni kupiłbym cały worek takich błyskotek – odpowiedział Helikaon.

- Być może, panie – odpowiedział kupiec, mrużąc oczy. – Ale ponieważ handel z Egiptem ustał, któż wie, jaka jest teraz cena bursztynu?

- Mądre słowa – przyznał Helikaon, rozglądając się po placu. – Widzę, że od czasu mojej ostatniej wizyty zniknęła część straganów.

- Kilku wyjechało – potwierdził kupiec. – Myślę, że wyjedzie więcej. Mój brat spakował towar, kiedy tylko ukończono rów fortyfikacyjny. Tłumaczyłem mu, że to za wcześnie. Ale zawsze był strachliwy. Teraz mówi się o wybudowaniu muru do obrony Dolnego Miasta. Jeżeli okaże się to prawdą, pójdę w ślady brata.

- Ciekawy punkt widzenia – stwierdził Helikaon, uśmiechając się. – Zostaniesz, dopóki Dolne Miasto będzie kiepsko bronione?

Handlarz zachichotał.

– Priam to dobry król. Trzeba jednak powiedzieć, że jest bardzo ostrożny, jeżeli chodzi o wydawanie pieniędzy. Skoro zgodził się na wydatek związany z wybudowaniem muru, to znaczy, że nie będzie w stanie powstrzymać Mykeńczyków przed atakiem na jego ziemie. Widziałem już ruiny miast splądrowanych przez Mykeńczyków i nie chcę oglądać ich więcej.

Helikaon przytaknął.

- Jest pewien sens w twoich słowach, ale chyba jeszcze więcej kupców by wyjechało, gdyby Priam nie wybudował murów dla ich obrony?

- Pewnie tak. Kto chciałby być królem?

Uwagę Helikaona przykuł wisior z bursztynu leżący na straganie. Artysta wygrawerował na nim boginię Artemis z uniesionym łukiem i naciągniętą cięciwą. Przypomniał sobie Andromachę, kiedy stojąc na balkonie pałacu Priama, spokojnie posyłała kolejne strzały w mykeńskich najeźdźców. Podniósł wisior, przyjrzał mu się i skonstatował, że jest ładnie wykonany.

- O, widać, że znasz się na klejnotach, panie – powiedział kupiec, natychmiast wracając do swojej roli. – Wybrałaś najpiękniejszy przedmiot z mojej kolekcji. – Chciał mówić dalej, ale Helikaon mu przerwał.

- Zanim powiesz coś więcej, ostrzegam cię, że nie jestem dzisiaj w nastroju do targów. Raz tylko podasz cenę. Jeżeli mi się spodoba, zapłacę. Jeżeli nie, odłożę tę błyskotkę na miejsce i pójdę dalej. A więc... wymień cenę.

Stary kupiec oblizwał usta i podrapał się w podbródek. Wyszedł przed stragan i zamyślił się. Helikaon nic nie mówił, kiedy kupiec spoglądał na niego. W końcu mężczyzna przemówił.

- Dwadzieścia srebrnych pierścieni.

- Zgadzam się – powiedział Helikaon, uśmiechając się. – Jesteś roztropnym człowiekiem. Jak masz na imię?

- Tobios.

- Hetyta?

Kupiec wzruszył ramionami.

– Powiedziałbym, że to zależy od tego, kto zadaje pytanie. Ziemia, gdzie się urodziłem, jest przedmiotem ostrych sporów. Faraonowie powiedzieliby, że jestem śmierdzącym Hetytą z pustyni, ale ten kraj jest obecnie rządzony przez hetyckiego cesarza Hattusilisa. W związku z tym Hetyci widzą we mnie obecnie śmierdzącego Egipcjanina z pustyni. Dla mojego ludu życie zawsze było skomplikowane.

Helikaon uśmiechnął się.

– Takie komplikacje pomagają zachować bystry umysł – powiedział. Odliczył dwadzieścia srebrnych pierścieni i położył na straganie. – Jeżeli postanowisz pozostać w mieście, odwiedź mnie w Domu Kamiennych Koni, Tobiosie. Jestem Helikaon z Dardanii i ludzie roztropni zawsze są u mnie mile widziani.

Tobios pokłonił się i hetyckim zwyczajem dotknął serca.

Helikaon ruszył dalej z bursztynowym wisiosem w ręce. Cena była wysoka. Kupiec ocenił

wartość jego odzienia i wywnioskował, że ma do czynienia z bogatym człowiekiem. Biała tunika była egipskiego kroju i uszyta z materiału najwyższej jakości. Pas zdobiony złotym liściem. Nawet sandały uszyto z połączanej krokodylej skóry. Gdyby nie ubrał się specjalnie na spotkanie z królem Priamem, miałby na sobie stary, wygodny przyodziewek i kupił wisior za dwie trzecie tej ceny.

Idąc ciasnymi uliczkami i odkrytymi placami, doszedł do imponującej Bramy Skajskiej, ze strzegącymi jej kamiennymi strażnikami. Dalej ciągnęło się Górne Miasto ze swoimi pałacami, ogrodami i szerokimi ulicami. Oznaki bogactwa widać było na każdym kroku. Kobiety nosiły ciężkie naszyjniki, bransolety i kolczyki i nawet mężczyźni zakładali kosztowne naszyjniki bądź obręcze na nadgarstki.

W pałacu Helikaona zaprowadzono do ogrodów, gdzie oczekujący na spotkanie z królem mogli przebywać w wygodnych warunkach, zamiast cisnąć się w tłoczonym megaronie. W powietrzu wyczuwało się chłód, więc ustawiono kilka piecyków na węgiel drzewny.

Helikaon rozejrzał się dookoła, skinięciami głowy pozdrawiając tych, których znał. W pewnym momencie skurczył mu się żołądek – kilka kroków dalej, okryta płaszczem koloru rdzy, stała Andromacha. Na jej płomińście rudych włosów tańczyły promyki słońca. Miała na sobie długą żółtą suknię, która przy każdym ruchu połyskiwała złotem. Helikaonowi zaschło w ustach i serce забиło mocniej. Poczul się niezręcznie. Andromacha ruszyła w jego kierunku.

- Na wieść o śmierci Halizji ogarnął mnie głęboki smutek – powiedziała. – Lecz sposób, w jaki odeszła, podniósł mnie na duchu. Myślę, że bogowie ją wynagrodzą.

- Być może. Ale zasłużyła na coś więcej – odparł. – Powinna mieć lepsze życie i lepszego męża ode mnie. Lud jednak ją kochał i myślę, że nigdy o niej nie zapomni.

- Co z chłopcem?

- Deks jest dzielny, ale będzie nosił blizny na duszy. W nocy śniły mu się koszmary i przybiegł do mojego pokoju. Przytulił się do mnie i zasnęliśmy razem. Dziecko nie powinno widzieć śmierci matki.

- Ale kiedy dorośnie, będzie wiedział, że go kochała – tak bardzo, że była gotowa oddać za niego życie – powiedziała cicho Andromacha. – To podtrzyma go na duchu w ciężkich chwilach.

Andromacha ujrzała, że urodziwa twarz Helikaona łagodnieje i pojawia się na niej smutny uśmiech. Zapragnęła nagle choć na chwilę go dotknąć i przytulić, bo wiedziała, że Helikaon też widział śmierć swojej matki. Zmusiła się jednak do zachowania spokoju i powiedziała uprzejmie:

- Mam nadzieję, że przyjdiesz nas odwiedzić z synem w czasie pobytu w Troi.

- Chętnie, Andromacho.

Usłyszawszy swoje imię w jego ustach, zaczerwieniła się lekko.

– Jestem tutaj, żeby zobaczyć się z królem – rzuciła nagle. Stwierdzenie to było niepotrzebne i śmieszne, gdyż jedynym powodem, dla którego ktokolwiek przebywał w tym ogrodzie, była chęć spotkania się z władcą.

Zła na siebie, mówiła dalej:

– Chciałam powiedzieć, że zostałam wezwana, żeby zobaczyć się z królem. Wczoraj z Tery przyplłynął okręt z wiadomością od głównej arcykapłanki. Najprawdopodobniej ma to związek z Kasandrą. Jak zapewne wiesz, ma ona zostać kapłanką w Świątyni Konia. Wiedziałeś o tym?

Słodka Artemis! Pomóż mi przestać trajkotać!

- Tak, wiedziałem. Mam ją tam z wiosną zawieźć na *Ksantosie*. Dobrze się czujesz? – zapytał nagle z troską. – Zarumieniłaś się.

- Wszystko w porządku. Po prostu jest mi trochę gorąco.

- Przyniosę ci wody – powiedział i odszedł.

Wiele osób czekało w ogrodzie na wizytę u króla. Gdy Helikaon ruszył przed siebie, ludzie zaczęli się rozstępować. Andromacha widziała, że Złocisty nie zauważa, jakie wrażenie wywiera na zebranych. Wydawał się nie zwracać uwagi na zazdrosne spojrzenia mężczyzn ani też nieskrywany podziw ze strony kobiet.

Na Andromachę padł cień. Księżniczka uniosła głowę i zobaczyła swojego męża, Hektora. On też patrzył na Helikaona. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, choć Andromasze się zdawało, że widzi smutek w jego oczach.

– Mężu, czy stało się coś złego? – zapytała, ujmując go za ramię.

Wzruszył ramionami i przytulił ją.

– Czy może stać się coś złego, kiedy mam cię u swego boku? Przegapiłem ciekawą rozmowę z Helikaonem?

– Nie, szczególnie. Zaprosiłam go z synem do naszego pałacu.

Hektor zmarszczył czoło i Andromacha poczuła, że spiął się wewnętrznie.

- Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał.

- Dlaczego miałabym tego nie robić? – odpowiedziała nagle zbita z tropu.

Kiedy przemówił, udręka w jego głosie była tak wielka, że słowa niczym nóż trafiły ją prosto

w serce.

– Ilu jeszcze synów Helikaona zjawi się w moim domu, Andromacho?

Pytanie to tak ją dotknęło, że poczuła się niedobrze. Hektor obiecał, że wychowa Astinaksa jak własnego syna i będzie go kochał całym sercem. Dotrzymywał słowa i Andromacha nigdy wcześniej nie dostrzegła, żeby Hektor przejawiał takie uczucia, jakie ujrzała w nim teraz. Księżniczka nie miała pojęcia, co powiedzieć. Stała i patrzyła na męża, ponownie zaskoczona jego podobieństwem do ojca. Do tej pory był on uosobieniem wszystkiego, co Priam miał w sobie dobrego – odwagi, współczucia i delikatności. Ale teraz Andromacha po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, ile wad odziedziczył po ojcu.

Odwróciła się bez słowa i podeszła do piecyka, wyciągając ręce i pocierając o siebie dłonie, jakby było jej zimno. Czuła gniew, ale nie skierowała go przeciwko Hektorowi. Była zła na siebie. Oczywiście, że jej zaproszenie go zraniło! On wie, że kocha Helikaona. Powiedziała mu o wszystkim podczas ich pierwszego spotkania po tym, jak dzielili łożę z Helikaonem. Choć Złocisty przeżył pchnięcie sztyletem zabójcy, zaczęła go trawić gorączka złej krwi. Uzdrowiciel z pustyni powiedział Andromasze, że Helikaon zdaje się tracić chęć do życia. Zasugerował, aby położyła się przy nim naga kobieta, by przypomnieć mu o radościach życia. Kilka dni później, obawiając się, iż Helikaon umiera, Andromacha zdjęła suknię i położyła się obok chorego w łóżku. Następnego ranka, kiedy do niego wróciła, Helikaon powiedział jej, że mu się śniła. Zrozumiała, że nie pamięta ich miłosnych uniesień. Pozwoliła mu uwierzyć, że był to sen, a później nie powiedziała mu, iż ma syna.

Stojąc przy piecyku, czuła, iż nastrój jej się pogarsza i umysł wypełniają czarne myśli. Przybyła do tego miasta jako młoda kapłanka, dumna, szczerą i zdecydowaną, iż oszustwa i nieprawości Troi jej nie zmienią. Była zdeterminowana nie pozwolić się wciągnąć w świat kłamstw i intryg. Jakąż głupią, arogancką dziewczyną byłam, skarciła się w myślach. Od czasu przyjazdu zaszła w ciążę z jednym mężczyzną, będąc poślubiona innemu, uwiodła starego króla, żeby uwierzył, iż dziecko jest jego, i otruła umierającą królową Troi, Hekabe.

Ale Hekabe była złą, zawistną kobietą. Uśmierciła moją siostrę i zabiłaby moich przyjaciół, pomyślała. A co do uwiedzenia Priama – czy miała inne wyjście? Gdyby odkrył prawdę, zabrano by jej Astinaksa i być może zabito, tak samo jak ją i Helikaona.

Zło zawsze znajdzie sobie wytłumaczenie, upomniała się.

W ponurym nastroju obróciła się do Hektora. Zanim zdążyła się odezwać, usłyszała młodego

żołnierza, który wzywał księcia. Był to Polidoros z przybocznej gwardii króla. Podszedł do Hektora.

– Król wzywa was oboje – powiedział, zerkając na nią. – Jest w Bursztynowej Komnacie.

Z wiatrem zwanym przez Trojan Kosą duży klucz złoto ubarwionych wilg leciał na południe, zostawiając za sobą ośnieżone szczyty Rodopów i ostre zimy Tracji. Kierowane instynktem przetrwania ptaki nurkowały i wzbijały się w powietrze, prześlizgując się nad falami i wyspami Wielkiej Zieleni. Kiedy złota chmura przelatowała nad Troją, promienie porannego słońca odbijały się od żółto-czarnego upierzenia ptaków.

Ubrany w starą szatę koloru wyblakłej żółci, Priam stał na wysokim balkonie i wpatrywał się w lecące na południe ptasie stado. Szybowały nad nim, kręcąc pętle w powietrzu, jakby przyciągała je złota szata króla. Priam wznosił ręce i zawołał do nich:

– Jestem też i waszym królem, ptaszyny.

Dzięki ptakom stary król zapomniał o swoich zmartwieniach. Przypomniawszy sobie, iż jego ukochana Hekabe studiowała zwyczaje wielu ptaków, białopiórych orłów, karłowatych sów, pelikanów, czajek i mnóstwa innych, których nazw już nie pamiętał.

Hekabe zawsze uważała, że złote wilgi mają szczególne znaczenie dla Troi. Jeżeli odlatywały do Egiptu przed świętem Aresa, zapowiadało to ostrą i chłodną zimę, pełną sztormów i silnych wiatrów.

A święto Aresa miało być dopiero za osiemnaście dni.

Wilgi nagle się rozproszyły i zniknęły. W kierunku pałacu dmuchnął zimny wiatr i król zadrżał.

– Przynies mi płaszcz – powiedział do swojego przybocznego Polidorosa. Po chwili żołnierz podał mu nowy płaszcz z zielonej wełny zdobionej złotą nicią. – Nie tę bezużyteczną szmatę – sarknął Priam. – Mój stary płaszcz, jeśli można. – Polidoros wrócił ze starą brązową szatą, postrzępioną na brzegach. Zarzucając ją na ramiona, Priam podszedł do balustrady.

Rano słyszał ruch w całym mieście – ryki osłów, piania kogutów, stukot wozów i końskich kopyt na kocich łbach, okrzyki żołnierzy zmieniających się na warcie i marynarzy wracających na plażę, żeby wyjść w morze z porannym odpływem. Wyobraził sobie mrugających sennie piekarzy ugniatających ciasto i zmęczone dziwki wracające do swoich łóżek. Na szczycie Wielkiej Wieży Ilionu wciąż płonęły cztery pochodnie zapalane na noc.

Wzrok Priama ciągle wracał do czarnego kształtu wieży. Kiedyś codziennie rano wspinał się po jej stromych schodach, aby podziwiać wschód słońca nad miastem, ale ostatnio zaprzestał tej praktyki.

- Kiedy ostatnio byłem na wieży, Polidorosie?

- Późnym latem, panie.

- Tak dawno? Czas leci szybciej niż wilgi. Jutro pójdę. Ludzie powinni widzieć, że król się nimi opiekuje.

- Tak, panie – zgodził się przyboczny. – Mam przynieść wino?

Priam obliznął usta. Myśl o winie była kusząca. Więcej, tęsknił za smakiem wina.

- Nie – odparł w końcu z wysiłkiem, który przyprowadził go o gniew. – Dzisiaj żadnego wina, Polidorosie. – Kiedyś cieszył się winem, tak jak człowiek powinien, traktując je jako dodatek do radości czerpanej z tańca, śpiewu i chędożenia. Teraz myślał o nim cały czas, organizując swój dzień tak, aby trafiać na największe uczty, gdzie mógł sobie zdrowo popić. Nie dzisiaj, pomyślał. Dzisiaj potrzebował całej siły umysłu, na jaką było go stać. Żadnego wina do jutra, obiecał sobie.

- Czy moi goście już przybyli?

- Pójdę zobaczyć, panie. – Żołnierz się oddalił.

Stojąc samotnie, król rozmyślał o Andromasze i poczuł, jak zapiera mu dech w piersiach i robi się ciepło w brzuchu. Andromacha! Zbyt długo już nie cieszył oczu jej widokiem.

Jego wzrok znowu spoczął na Wielkiej Wieży. Nie mógł patrzeć na budowlę, nie myśląc o dziewczynie. Kiedy pierwszy raz spotkał księżniczkę na szczycie wieży, ta odmówiła ukłonienia przed nim, tak jak wiele lat wcześniej zrobiła to jego Hekabe. Andromacha! Pamiętał, jak była wtedy ubrana – żółta szata, płomienne włosy ciasno związane w koński ogon. I to odważne spojrzenie, jakim żadna młoda kobieta nie powinna spoglądać na króla. Próbował ją przestraszyć, ale nawet kiedy stali na skraju balkonu i Andromacha wiedziała, że król może ją rzucić na kamienie poniżej jednym pchnięciem, Priam widział w jej oczach gotowość chwycenia go za szaty i pociągnięcia za sobą na Ciemną Drogę do Hadesu.

Później, kiedy tak jak przewidział, w końcu mu uległa, spojrzął w mrok i zobaczył płonące pochodnie na Wielkiej Wieży. W tym momencie zrozumiał, że przez całe życie jego przeznaczeniem było dokonanie tego pojedynczego aktu. Wszystkie bitwy, jakie stoczył, synowie, których spłodził – co w większości wypadków było stratą sił i nasienia – nawet lata z ukochaną Hekabe bładły w porównaniu z tą jedną nocą, którą spędził z Andromachą i wypełnił

proroctwo. Tarcza Gromu spłodziła Orle Dziecię, Troja zaś przetrwa tysiąc lat. Tym samym spełniły się wszystkie jego marzenia, ale w jego łędźwiach nadal płonął ogień. Nie było dnia, żeby nie wypominał sobie obietnicy, jaką jej złożył. Zgodziła się dzielić z nim łożę, ale tylko do czasu, aż zajdzie w ciążę. Andromacha zażądała, żeby dał jej słowo, iż uhonoruje umowę. I Priam dał jej słowo. Głupiec!

Mimo to był przekonany, że księżniczka, uwięziona w pozbawionym uroków łoża małżeństwie z mężem impotentem, wróci do niego. Na pewno wróci.

Jednak nie wróciła i ciągle go to zdumiewało.

- Hektor i Andromacha czekają na ciebie w Bursztynowej Komnacie, panie – obwieścił Polidoros, wchodząc na balkon. – Posłałem żołnierza, żeby poszukał Helikaona.

- Mówiąc o nim, nazywaj go księciem Eneaszem – warknął Priam. – To szlachetne imię, od dawna poważane przez moją rodzinę.

– Tak, królu. Przepraszam, zapomniałem.

Priam wyszedł ze swoich komnat i ruszył szerokim korytarzem z Polidorosem za plecami. Pokój, gdzie czekali na niego goście, znajdował się w południowej części pałacu, chronionej przed przenikliwymi wiatrami zimy. Mimo to w powietrzu wyczuwało się chłód.

Na króla czekała Andromacha, Hektor i młody król Dardanii. Priam nakazał Polidorosowi zostać w korytarzu i pilnować drzwi i wszedł do środka, aby przywitać gości. Nie mógł oderwać oczu od Andromachy – od zarysu piersi pod żółtą suknią, jasnej zieleni jej oczu i pełnych ust.

Kierując w końcu wzrok na drugiego z gości, powiedział:

– Eneaszu, mój chłopcze, dzielę z tobą ból twojej straty. Kiedy umarła moja droga Hekabe, czułem się, jakby serce przebiła mi płonąca strzała.

Priam się rozejrzył. Atmosfera w pokoju była tak gęsta, że można by ją kroić nożem. Andromacha siedziała sztywno z rękoma złożonymi na kolanach. Za jej krzesłem z nieruchomą twarzą i chłodem w oczach stał Hektor. A Eneasze wyglądał na zmieszanego. Czy wiedzieli, o co zamierza ich poprosić? Wprawdzie kapłanka przybyła dopiero wczoraj wieczorem, ale mogła podzielić się wieściami ze służbą. Jednak nie. Kapłanka była starą, zamkniętą w sobie wiedźmą i było mało prawdopodobne, aby plotkowała z pałacowymi posługaczami. Nie, chodziło o coś innego. Król postanowił zignorować ten mały problem i skoncentrować się na głównej sprawie. Spojrzył na Eneasza i zapytał:

– Czy ciągle chcesz zaryzykować przeprawę w zimie i wyruszyć na zachód?

Jego krewniak przytaknął.

– Potrzebujemy cyny – stwierdził. – Zapasy na Cyprze się kończą, Hetyci zaś wykorzystują całą cynę, jaką tylko uda im się znaleźć. Musimy poszukać dalej. Jeżeli wyruszę niezwłocznie, mogę dotrzeć do Siedmiu Wzgórz na długo przed Odyseuszem, który pewnie jak zwykle będzie spędzał zimę na Itace.

Mimo grozących niebezpieczeństw był to dobry plan i Priam o tym wiedział. Bez cyny nie było brązu dla kowali. Bez brązu nie będzie mieczy, włóczni, tarcz ani też hełmów. Bez brązu nie będzie szans na pokonanie Mykeńczyków.

- Popłyniesz na *Ksantosie*? Rejs tego zionącego ogniem potwora z pewnością nie ujdzie niczyjej uwagi.

- Zapewne – zgodził się Eneasz. – Ale z pełną osiemdziesięciosobową załogą mój okręt jest szybszy niż jakakolwiek inna galera i stawia czoło wzburzonemu morzu. Nie muszę chyba dodawać, że przewiezie więcej cyny niż trzy inne galery razem wzięte. Co do potworności zaś... Jestem pewien, że Agamemnon by się z tobą zgodził.

- Jeżeli jakiś statek jest w stanie dotrzeć zimą do Siedmiu Wzgórz i powrócić bezpiecznie, to tylko *Ksantos* – wtrącił się Hektor. – Powinniśmy przyjąć, że Agamemnon zaatakuje znowu na wiosnę, czy to Dardanos, czy Teby pod Plakos, czy samą Troję. Musimy mieć broje dla naszych oddziałów. Zgadzam się, że Helikaon powinien wyruszyć jak najszybciej.

- W istocie – zamruczał Priam, podchodząc do małego stolika i nalewając sobie wody do pucharu. Znowu spojrzął na Andromachę. Miała naszyjnik z koników morskich wyrzeźbionych z kości słoniowej i także klamry spinające z tyłu jej gęste rude włosy. Siedziała z rękami na kolanach i wpatrywała się z powagą w jego twarz. Jeżeli nawet zastanawiała się, po co została zaproszona, to nie pokazywała tego po sobie. – Jest jeszcze jedna sprawa, którą musimy omówić – oznajmił król. – Wczoraj przybyła przedstawicielka arcykapłanki z Tery. Zdaje się, że podjęto decyzję w sprawie twojej przyjaciółki i zbiegłej kapłanki, Andromacho.

- Kaliope. Miała na imię Kaliope. – Głos Andromachy był cichy, ale król słyszał w nim napięcie.

- Tak, Kaliope. Jak wszyscy wiemy, karą za ucieczkę jest zakopanie żywcem na wyspie i służba śpiącemu Bogu. Ta kara ciągle obowiązuje. Arcykapłanka żąda, aby przywieźć kości dziewczyny na Terę, gdzie wiosną zostanie pochowana i po kres czasów będzie służyła Minotaurowi.

Andromacha chciała coś powiedzieć, ale Priam podniósł rękę.

– Daj mi dokończyć. Jak wiadomo, ci, którzy pomagali uciekinierce, również muszą ponieść karę. Zazwyczaj jest nią spalenie. Ale dwaj mykeńscy żołnierze, którzy przyłożyli do tego ręki, są obecnie poważanymi członkami Konia Trojańskiego. Jako opiekun Błogosławionej Wyspy postanowiłem uznać, że byli nieświadomymi ofiarami manipulacji. Co do Odyseusza, który również pomagał dziewczynie, arcykapłanka może przyjąć własny punkt widzenia. Jednakże pozostajesz jeszcze ty, Andromacho.

Jak się tego spodziewał Priam, odpowiedź Hektora była szybka.

- Andromacha nie jest odpowiedzialna za czyny Kaliope – powiedział gniewnie. – Nie miała pojęcia, że dziewczyna opuściła Terę, dopóki Kaliope nie pojawiła się w mojej posiadłości. Nie pozwolę, aby ktokolwiek karał moją żonę za coś, czego nie zrobiła.

- Tak, tak – przerwał mu niecierpliwie Priam. – Arcykapłanka nie zamierza jednak jej karać. Prosi tylko, aby to Andromacha przywiozła kości uciekinierki na Terę. W końcu to z jej powodu dziewczyna uciekła z wyspy. Postanowiłem, że przychylę się do tej prośby i Andromacha w akcie zadośćuczynienia popłynie na Terę z kośćmi Kaliope. I tak Kasandra miała udać się na wyspę z wiosną. Wyruszą razem.

Gniew Hektora się wzmógł.

– To szaleństwo! Andromacha powinna zostać w Troi. To kolejna sztuczka Agamemnona. Już wcześniej próbował zabić moją żonę. Wszyscy wiemy, że arcykapłanka jest z nim spokrewniona. Teraz próbuje z jej pomocą wywabić Andromachę na Wielką Zielęń. Na wiosnę okręty Agamemnona znowu będą kontrolowały morskie szlaki. To pułapka.

Priam wbił w niego zimny wzrok.

– Oczywiście, że to może być pułapka – warknął. – Ale nie mam powodu, żeby odmówić. Jeżeli to zrobię, ryzykuję, że Tera przeklnie Troję. Taka klątwa wzmocniłaby naszych wrogów. Nasi sprzymierzeńcy dwakroć by się zastanowili, zanim przybyliby nam na ratunek. Ale, tak jak zawsze, przechytrzymy wszystkich. Nie będziemy czekać do wiosny. Andromacha i Kasandra popłyną na Terę już jutro. Na *Ksantosie*.

Na chwilę zapadła cisza. Priam spojrzał na syna i zobaczył, że ten zbladł.

– Nie – rzucił Hektor. – Nie mogę na to pozwolić.

Reakcja syna zaskoczyła Priama. Hektor był świetnym strategiem i człowiekiem, który doskonale wiedział, że nie da się toczyć wojny, nie podejmując ryzyka. Król przeniósł wzrok na

Andromachę, spodziewając się, że ta coś powie. Zawsze miała swoje zdanie na każdy temat. Jednakże tym razem księżniczka siedziała cicho ze spuszczonej oczami. Odezwał się Eneasze.

- To sprytny plan – powiedział. – Ale muszę się zgodzić z Hektorem. Ryzyko jest bardzo duże. W zimie dni są krótsze, co oznacza, że będziemy musieli płynąć na Terę w ciemnościach przy zdradliwej pogodzie. Będziemy też płynęli w pobliżu pirackich kryjówek.

- Ryzyko jest duże – potwierdził Priam. – Ale nie widzę alternatywy. Nasi wrogowie są od nas znacznie liczniejsi, nasze szlaki handlowe zaś zostały przecięte. Na wiosnę na naszych brzegach mogą się pojawić tysiące Mykeńczyków. Będziemy wtedy potrzebowali *Ksantosa* i wszystkich sprzymierzeńców, jakich uda się nam znaleźć. Z błogosławieństwem Tery możemy być pewni ich wierności. Myślisz, że cieszę się perspektywą wystawienia Andromachy i Kasandry na niebezpieczeństwa morskiej zimowej podróży? Nie, wcale nie jestem temu rad. Ale nie widzę innej możliwości.

- A więc ja też popłynę – oświadczył Hektor.

- Co?! – krzyknął Priam. – Teraz już pleciesz bzdury i doskonale o tym wiesz. Jeżeli rozeszłyby się wieści, że ty pływasz po Wielkiej Zieleni, Mykeńczycy wysłaliby w morze wszystkie okręty. Nie. Już obiecałem królowi Ektionowi, że ty i Koń Trojański pojedziecie na południe do małych Teb. Wróg pustoszy jego ziemie. Trzeba go zniszczyć albo przynajmniej wygnać z ziem Ektiona. – Priam podszedł do Hektora i położył rękę na jego ramieniu. – Mój synu, miej wiarę – powiedział. – Eneasze jest świetnym żeglarzem i ufam, że poradzi sobie z niebezpieczeństwami na morzu.

- Nie morze budzi mój niepokój, lecz... – zaczął Hektor, ale umilkł, po czym pokręciwszy głową, wyszedł na balkon.

Priamowi zachciało się pić. Zawołał Polidorosa. Przyboczny wszedł do komnaty.

- Przynieś wina! – rozkazał król.

- Tak panie, ale powiedziałaś...

- Nieważne, co powiedziałem!

Hektor przez chwilę stał na balkonie i oddychał głęboko zimnym powietrzem. Następnie wrócił do Bursztynowej Komnaty. Stanąwszy przed Priamem, powiedział:

- Wola króla jest dla mnie rozkazem.

Potem odwrócił się do Helikaona. Spojrzał na starego przyjaciela i ogarnął go głęboki

smutek. To był mężczyzna, którego kochała jego żona i któremu urodziła dziecko. Zmuszając się do uśmiechu, rzekł:

– Uważaj na siebie, Helikaonie. I przywieź Andromachę bezpiecznie do domu.

Helikaon nic nie powiedział. Hektor doskonale to rozumiał – trudno było czynić jakiegokolwiek obietnice. Wielka Zielen w zimie była wystarczająco niebezpieczna i bez wrogich okrętów czy piratów.

Helikaon podszedł do Hektora i objął go. Ten pocałował przyjaciela w policzek, po czym odsunął się i spojrzał ponownie na ojca. Ale Priam nie patrzył na niego, tylko pożerał wzrokiem Andromachę. Nie żegnając się już z żoną i ojcem, Hektor opuścił komnatę.

Przystanął na zewnątrz i oparł się o ścianę, czując kojący chłód kamienia na czole. Zamęt w głowie był niczym gorączka, na sercu ciążył mu jakby ogromny głaz.

Podczas kampanii w Tracji marzył jedynie o bezpiecznym powrocie do domu, do Troi, i kobiety, którą kochał. Wiedział, że Andromacha kocha innego i że Astinaks jest synem Helikaona. Jednakże kiedy był blisko żony i dziecka potrafił zapomnieć o tych przykrych faktach. Nigdy się nie zastanawiał, jak będzie wyglądała sytuacja, kiedy Helikaon również będzie przebywał w Troi, a jemu pozostanie świadomość, że to właśnie do Złocistego należy serce Andromachy i że dziecko, które nazywa go tatką, naprawdę jest synem innego mężczyzny.

Hektor przez całą swoją młodość starał się być inny niż ojciec, traktując mężczyzn z honorem i szacunkiem, kobiety zaś delikatnie i z kurtuazją. Kiedy Andromacha powiedziała mu, że nosi pod sercem syna Helikaona, pogodził się z tym, wiedząc, że sam nie może obdarować jej dzieckiem. Ale wtedy jej nie znał, ledwie się poznali. W następnych latach głęboko ją pokochał, podczas kiedy ona dalej widziała w nim brata, dobrego przyjaciela. Nigdy nie dał jej odczuć, jak bardzo go to boli – aż do dzisiejszego dnia, kiedy beztrząsko poinformowała go o tym, że Deks, syn Helikaona, jest w pałacu. A teraz miała wypłynąć ze swoim ukochanym w długą morską podróż. Przez cały czas będą razem.

Nigdy wcześniej Hektora nie cieszyła perspektywa rzucenia się w wir wojny – aby móc walczyć i – tak! – zabijać. W tej chwili wojna i być może śmierć wydawały się tak cudownie proste. Życie było o wiele trudniejsze.

Spojrzał w górę. W stronę komnaty zmierzali korytarzem jego bracia, Dios i Parys. Rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami. Dios zobaczył Hektora i jego twarz rozpromienił uśmiech. Potem dostrzegł go Parys. Mimo smutku Hektor uśmiechnął się na widok Parysa

ubranego w pancerz i niosącego pod pachą hełm z brązu. Pomyślał, że nikt nie wyglądałby w zbroi bardziej zabawnie. Parysowi zawsze brakowało koordynacji, jego ruchy były niezdarne. Ubrany jak wojownik wyglądał niemal groteskowo. Dios miał na sobie tylko niebieską tunikę i zielony płaszcz.

- Cóż zdecydowaliście bez konsultacji z nami, bracie? – zapytał Dios, a jego uśmiech przygasł.

- Nie podjęliśmy żadnych decyzji dotyczących ciebie, Diosie. Rozmawialiśmy tylko o zaplanowanej podróży Helikaona na zachód.

Parys podszedł do Hektora i spojrzał mu w oczy z gniewną miną.

- Nie odeślcie Heleny z powrotem do Sparty? – spytał.

- Dlaczego mielibyśmy to zrobić? – odparł zaskoczony Hektor.

- Uważasz mnie za głupca? Przecież właśnie tego zażądał Agamemnon. To jest powód tej głupiej wojny.

Hektor westchnął.

- Parysie, nie uważam cię za głupca. Ale teraz nie czynisz użytku ze swego rozumu. Żądanie wydania Heleny było tylko pretekstem. Agamemnon jej nie chce i kiedy wysuwał to żądanie, wiedział, że ojciec mu odmówi.

- Wiem o tym – uciął Parys. – Nie zmienia to faktu, że Agamemnon wykorzystał to do zebrania sprzymierzeńców. Tym samym spełnienie jego żądania osłabiłoby Mykeńczyków, czyż nie?

Hektor pokręcił głową.

- Już nie, Parysie – powiedział. – Gdybyśmy zgodzili się od razu, w istocie nasi wrogowie nie byłiby tak liczni. Ale teraz to bez znaczenia, bracie. Jeden król nie żyje, zamordowano też królową. Ta wojna będzie trwała do całkowitej zagłady jednego z przeciwników. Nie ma odwrotu. Kres jej może położyć tylko upadek Myken bądź też Złotego Miasta.

- A więc przyplyną tutaj? – zapytał Dios. – Nie możemy ich powstrzymać?

- Przybędą z północy, z południa i od morza. Agamemnon, Menelaos, Achilles, Odyszeusz...

– Jego głos przycichł. – I pomniejsi królowie, hersztowie band i grupy najemników szukających łupów.

- Ale ty tu będziesz i ich pokonasz – powiedział Dios.

- Jeżeli bogowie pozwolą, to tak, Diosie, będę tutaj. Tak jak i wy, bracia.

Dios roześmiał się głośno i poklepał Parysa po plecach.

- Słyszysz, Parysie? Zostaniesz bohaterem. – Wziąwszy hełm z jego rąk, Dios umieścił go na głowie brata. Hełm był za duży i zsunął się księciu na oczy.

- Wyglądasz jak sam Herakles, który powrócił z Pól Elizejskich – śmiał się Dios.

Parysowi udało się zdjąć hełm i cisnąć nim w Diosa, który zręcznie się uchylił. Hełm uderzył o ścianę i upadł na podłogę. Parys rzucił się na Diosa i chwycił go za tunikę. Zaatakowany potknął się i obaj upadli na posadzkę. Diosowi udało się wstać, ale Parys złapał go za kostkę i próbował z powrotem przewrócić. Hektor uśmiechnął się i wrócił myślami do czasów dzieciństwa. Dios i Parys zawsze trzymali się razem. Pierwszy był nieposłuszny i zadziorny, a drugi cichy i dobrze się uczył. Stanowili dziwną parę.

Nagle niczym grom przetoczył się po korytarzu głos Priama:

– Na Hadesa, co się tu wyrabia?

Bracia zaprzestali zapasów i wstali. Priam, z czerwoną twarzą, szedł w ich kierunku, ciskając pioruny z oczu.

- Na jaja Aresa, czy wyście powariowali? – krzyknął. – Synowie Priama nie zachowują się jak dzieci!

- Przepraszam, ojcze – powiedział Parys. – To moja wina.

- Myślisz, że obchodzi mnie, czyja to wina? Obydwaj precz mi stąd!

Dios i Parys cofnęli się.

- Czyje to? – zapytał Priam, wskazując na wgnieciony hełm z brązu.

- Moje, ojcze – odparł Parys.

Priam zaczepił stopą o rzemień do zapięcia hełmu i zręcznie wyrzucił go w powietrze w kierunku Parysa. Ten z wahaniem wyciągnął rękę i hełm go uderzył. Parys z okrzykiem bólu odskoczył i hełm raz jeszcze zadzwonił o posadzkę.

– Musiałem mieć gorączkę w dniu, kiedy cię spłodziłem – sarknął Priam, obracając się na pięcie i ruszając z powrotem do Bursztynowej Komnaty. Kiedy echo obelgi odbijało się od kamiennych ścian, Parys zgarbił się przygnębiony.

Hektor podniósł hełm i podał bratu.

- Ojciec ma wiele spraw na głowie – powiedział.

- Być może – zgodził się bez przekonania Parys. – Ale co to za różnica? Czy ojciec kiedykolwiek przepuścił okazję, żeby upokorzyć swoich synów?

Dios podszedł i objął ramieniem młodszego brata.

– Nie bierz tego do siebie, braciszku – doradził. – Priam jest stary i z każdym dniem słabnie. Przy odrobinie szczęścia obydwaj będziemy żyli wystarczająco długo, żeby naszczać na jego stos pogrzebowy.

Parys wyszczerzył zęby.

– To dopiero pocieszająca myśl – stwierdził.

Trzej bracia wyszli przed pałac w promienie przedpołudniowego słońca. Dios i Parys ruszyli do Dolnego Miasta, podczas kiedy Hektor skierował się do swojego pałacu. Na miejscu spotkał Astinaksę z niańką, bawiących się w ogrodzie. Chłopczyk, ubrany w mały skórzany napierśnik, uderzał zabawkowym mieczem w tarczę trzymaną przez niańkę. Zobaczył Hektora i z okrzykiem „Tatko!” upuścił drewniane ostrze, i pobiegł w jego kierunku. Hektor przyklęknął na jedno kolano i złapał malucha, po czym podrzucił go wysoko i tulił w ramionach. Astinaks chichotał z radości.

- Tatku, będziesz teraz potworem?

Hektor spojrzał w szafirowe oczy dziecka.

- A co robi potwór?

- Zabija ludzi – oznajmił z powagą Astinaks.

Księżę zdjął mały hełm z głowy chłopca i przeczesał mu rude kędziory.

- A mogę przez chwilę być twoim tatusiem i mocno cię przytulić?

- Nie! – krzyknął Astinaks. – Chcę zabić potwora.

Hektor postawił chłopca na ziemi, a potem opadł na kolana.

– Zawsze możesz spróbować. – Księżę wy dobył z siebie udawany warkot, obnażył zęby i ryknął jak lew.

Astinaks pisnął i uciekł kilka kroków, chowając się za niańką. Po chwili malec, wymachując drewnianym mieczem, rzucił się na Hektora.

IV. KREW NA TARGOWISKU

W ciągu sześciu lat, które spędził w mieście, kupiec Ploteus zakochał się w Troi. Choć był obcokrajowcem, sąsiedzi przyjęli go ciepło, inni kupcy zaś traktowali z szacunkiem. Ploteus wprawdzie nie mógł uważać Złotego Miasta za dom rodzinny, ale z pewnością uznawał Troję za dom swojego serca. Uważano go za szczęściarza, gdyż jego statkom zawsze udawało się ominąć blokady i przywieźć jedwab oraz przyprawy z Miletu, a nawet przeszmygłować miedź z Cypru.

Los sprzyjał Ploteusowi, a ten codziennie szedł do świątyni Hermesa i składał w ofierze białe gołębicę odzianemu w skrzydlate sandały bogu kupców. Dziesięć razy w ciągu sezonu składał też ofiary Atenie, bogini strzegącej Troi, raz na rok zaś wspomagał świątynię Zeusa dziesięcioma złotymi sztabkami. Ploteus był przede wszystkim człowiekiem wierzącym i miłosiernym.

W ziemi ojczystej znany też był ze swej niezachwianej lojalności. Był dumny z tej reputacji przez całe życie. Aż do dzisiaj.

Teraz siedział ze swoim gościem w odległym rogu ogródka. Ciszę mącił tylko syk węgla w stojącym opodal piecyku. Przybysz był młodszy i szczuplejszy od tęgiego Ploteusa o czerwonej, lecz przyjaznej twarzy. Przybysz zaś miał pociągłą twarz i zimne oczy. Przez ogród przetoczyła się fala chłodnego wiatru. Z piecyka sfrunęło kilka tłących się węgielków. Przybysz zaklął cicho. Ploteus zauważył, że gość strzepnął coś ze swojego niebieskiego płaszcza, i odgadł, że to gorący popiół spadł mu na ubranie. Kupiec przetarł oczy. Jasne promienie słońca wywoływały u niego ból głowy i łzawienie.

- W środku byłoby cieplej – zauważył gość.

- Tak – zgodził się Ploteus. – Ale tutaj, na zimnie, nikt nie będzie nas podsłuchiwał, Aktonionie.

- Wiesz, czego się od ciebie oczekuje – powiedział Aktonion, drapiąc się po małej, czarnej bródce. – Nie musimy więcej o tym mówić.

- Nie rozumiesz natury zadania, które sugerujesz – zaprotestował Ploteus.

Aktonion uniósł dłoń i pogroził mu palcem.

- Ja niczego nie sugeruję, Ploteusie. Przyniosłem ci polecenie od twojego pana. Twój król żąda śmierci wroga. Ty i twoi synowie macie zabić tego człowieka, który jest istnym wcieleniem zła.

- Tak po prostu! – sarknął Ploteus, czerwieniejąc z gniewu. – Moi synowie są odważni, ale brakuje im umiejętności. I jak sam możesz to zobaczyć, chętnie cieszyli się dobrym jadem Troi. Dlaczego nas o to prosicie? Dlaczego nie zrobią tego ludzie żądni krwi, tacy jak ty? Dlaczego nie żołnierze lub zabójcy?

Oczy przybysza jeszcze się zwężyły.

- A więc – rzucił – kwestionujesz mądrość naszego pana. Ty gnido! Wszystko, co masz, zawdzięczasz królowi Agamemnonowi. Przysięgałeś mu służyć niezależnie od natury żądań. A teraz chcesz się wycofać przy pierwszych oznakach niebezpieczeństwa.

- Z niebezpieczeństwem mamy do czynienia od dawna – zaprotestował Ploteus. – Wraz z synami zbieraliśmy informacje, wysyłaliśmy raporty. Wiele razy ryzykowaliśmy życie. Ale gdy wykonamy zlecone nam przez króla zadanie, jeżeli w ogóle da się to zrobić, nasza przydatność dobiegnie końca. Nie widzisz tego? Czy nie byłoby rozropne mieć lojalnych ludzi wewnątrz miasta, kiedy nasze wojska przybędą na wiosnę?

- Oczywiście. I będziemy ich mieli – odpowiedział Aktonion. – Myślisz, że jesteście jedynymi szpiegami w Troi? – Wstał. – Jak już ci mówiłem, Helikaon jest w pałacu na spotkaniu z Priamem. Kiedy wyjdzie, uda się w kierunku Dolnego Miasta. Ty i twoi synowie urządźcie na niego zasadzkę i uderzycie razem.

- Był dla nas miły – rzekł ze smutkiem Ploteus.

- Słyszałem o tym. – Aktonion wyszczerzył zęby w złowrogim uśmiešku. – Ucztowałeś w jego domu i podpisywałeś z nim umowy handlowe. W Dniu Dojrzałości Helikaon podarował twojemu najmłodszemu synowi kucyka. Dlatego właśnie ty zostałeś wybrany do tego zadania. Próbowaliśmy wysłać żołnierzy. Wynajmowaliśmy zabójców. Ale on zawsze unikał śmierci. Jest przebiegły i ostrożny, silny i szybki. Jednak niewielu ludzi spodziewa się ataku ze strony przyjaciół.

Aktonion okrył się płaszczem i odszedł od piecyka. Obejrząwszy się, powiedział:

- Kiedy zadanie zostanie wykonane, czym prędzej udajcie się na plażę. Weźcie ze sobą całe bogactwo, jakie tylko zdołacie unieść.

- Czy będziesz na pokładzie czekającego na nas okrętu? – zapytał Ploteus.

- Nie. Na jakiś czas zostanę w Troi, ale ty już mnie więcej nie zobaczysz, Ploteusie. Chyba... Chyba że zawiedziesz. Król Agamemnon ma niewiele zrozumienia dla tych, którzy nie spełniają pokładanych w nich nadziei. A teraz lepiej zabierz się do przygotowań. Masz przyjaciela, którego

musisz zabić.

Tobios, handlarz klejnotami, podniósł kołnierz grubego, wełnianego płaszcza i przytupywał na zimnie. Poranny tłum przerzedził się, gdy ludzie ruszyli na przedpołudniowy posiłek do jadłodajni. Pomyślał, że na razie dzień był całkiem udany. W znacznej mierze była to zasługa Helikaona, który kupił wisior, jednakże kupcowi udało się też sprzedać trzy broszki oraz obręcz z bursztynu. Korciło go, aby przywołać służbę, spakować stoisko i udać się do ciepłego domu. Jednakże wspomnienie wielu lat przeżytych na granicy bankructwa i o głodzie odeгнаło te kuszące myśli. Zziębnięty do szpiku kości, Tobios pozostał na miejscu, skulony za płócienną osłoną rozpiętą za straganem dla ochrony przed wiatrem.

Będę miał dość czasu na tak beztroskie zachowanie, kiedy zima rozhula się na całego, pomyślał. Wtedy będzie mógł spędzać więcej czasu w warsztatach, nadzorując wyrób broszek i błyskotek, pierścieni i ozdób. Bursztyn był w modzie od kilku sezonów. Jubiler nie spodziewał się, że potrwa to długo. Trojanie byli wyjątkowo kapryśni. Pięć lat temu popularnością cieszyły się rubiny, korale i płaszcze oraz tuniki o barwie krwawej czerwieni. Obowiązującym kolorem była purpura. Obecnie na krótką chwilę przewagę zdobyła czerń. Pewien egipski kupiec o imieniu Kthosis opanował produkcję barwnika, dzięki któremu czarne tkaniny nie płowiały wraz z kolejnymi praniem. Ostatnim krzykiem mody wśród Trojanek stały się więc wisiorki i kolczyki z obsydianu i hebanu.

Teraz przyszła kolej na bursztyn. Co będzie następne, zastanawiał się Tobios. Duże szanse miał błękit. Tak naprawdę lapis-lazuli nigdy nie wyszedł z mody i jego ceny utrzymywały się na wysokim poziomie. Im bardziej błękitny odcień miał kamień, tym był droższy. Skoro już o tym mowa, wiele kobiet, a także mężczyzn, dało się uwieść komplementem, iż ich oczy mają kolor lapis-lazuli.

Pogrążony w myślach Tobios zauważył mykeńskiego kupca Ploteusa wchodzącego wraz z synami na plac. Pomachał im ręką na powitanie, ale ci, najwyraźniej pogrążeni w poważnej rozmowie, nie zwrócili na niego uwagi. Być może nawet notoryczny szczęściarz Ploteus zaczął odczuwać brzemień tej bezsensownej wojny. Do tej pory wszystkie jego statki unikały pojmania bądź zatopienia, co bardzo denerwowało innych kupców. Wprawdzie Tobios nie życzył uczciwym marynarzom śmierci na Wielkiej Zieleni, ale szczęście Ploteusa zmuszało go do sprzedawania towarów o wiele taniej. To zaniżało ceny, obniżając zyski, i czyniło handel ledwie

opłacalnym.

Inni kupcy zaczęli zazdrościć Ploteusowi, ale Tobios nie marnował czasu na takie emocje. Powiadano, że Ploteus jest religijnym człowiekiem, który oddaje cześć wielu bogom. Być może w zamian za to mieli go w swojej opiece. Tobios bardzo chętnie przekupiłby bogów tej ziemi, ale wieść o tym wcześniej czy później dotarłaby do Proroka. W takiej sytuacji śmierć byłaby kwestią czasu. Mogło zresztą być gorzej. Mówiło się o tym, że kilka lat temu Prorok przeklął pewnego człowieka i nieszczęśnika zaczął zżerać trąd. Jeden ze służących Tobiosa zaś opowiadał historię mężczyzny, który rozgniewał Proroka i następnego ranka obudził się ślepy.

Lepiej ryzykować gniew anonimowych bogów, bo ich istnienie jest dyskusyjne, niż rozgniewać Proroka, który z całą pewnością istnieje.

Podmuchy Kosy wzmogły się, wiatr gwizdał dookoła i wdzierał się za osłonę. Tobios wyjął spod lady starą wełnianą czapkę i wcisnął na ufarbowane henną włosy.

Kiedy się wyprostował, dostrzegł królewskiego syna, Parysa, zmierzającego w jego stronę. Młodzieniec miał na sobie zbroję, jego głowę zaś zdobił wgnieciony hełm. Tobios rozejrzał się po placu, szukając wzrokiem zazwyczaj towarzyszącej mężowi pulchnej Heleny. Stanowili uroczą parę i Tobios ich lubił. Helena była prostą kobietą obdarzoną instynktem macierzyńskim. Miała włosy koloru mysiego futra i uroczy uśmiech. Widać było, że mąż nie widzi poza nią świata. Kiedy tylko przychodził sam, kupował dla niej najbardziej wymyślne ozdoby – klejnoty, które odważyłaby się nosić tylko piękna kobieta. Następnego dnia Helena przychodziła do niego i w tajemnicy je wymieniała. Księżniczka gustowała w prostych ozdobach. Wybierała broszki ze względu na kształt kamienia bądź piękno szlif, przedkładając srebro nad złoto.

Tobios uśmiechnął się, kiedy młodzieniec zbliżył się do jego kramu.

- Witam cię w ten zimny poranek, panie – powiedział.

- Zazdroszczę ci twojego płaszcza, Tobiosie – odpowiedział Parys. – Zbroja nie chroni przed zimmem.

– Tak słyszałem, panie. Czy spodziewasz się dzisiaj jakiejś bitwy?

Parys uśmiechnął się chłopięcym uśmiechem.

- Jeżeli w istocie czekałaby nas jakaś bitwa, byłbym równie przydatny jak pióra na rybie, Tobiosie.

- Zręczność w walce jest przeceniana – uznał Tobios. – W moim długim życiu odkryłem, że nad umiejętnością władania mieczem ogromną przewagę mają szybkie i lekkie stopy. A nad

jednym i drugim niewątpliwie góruje bystry umysł.

- Brałeś udział w wielu wojnach? – zapytał Parys, obracając w palcach kawałki zręcznie obrobionego bursztynu.

- W zbyt wielu, panie. – Wzdrygnął się Tobios, kiedy zalały go wspomnienia. Szybko zmienił temat. – Ten bursztyn, który trzymasz w ręce, oszlifował mój wnuczek. To pierwszy zwiastun jego przyszłych umiejętności.

Tobios kątem oka zobaczył przeciskającego się przez tłum Helikaona. Kupiec zmarszczył brwi. Miał nadzieję, że nie zechce on zwrócić naszyjnika, który kupił wcześniej. Zwróciwszy się do Parysa, czekał cierpliwie, podczas gdy młodzieniec dokładnie oglądał bransoletkę. Była zrobiona ze zdobionego srebrnego drutu, skręconego i przechodzącego przez siedem małych ognistych opali. Młody Aaron radził sobie z biżuterią coraz lepiej.

– Jeżeli mi wybaczysz, panie, urocza Helena znajdzie tę ozdobę szczególnie miłą swemu sercu.

Zanim Parys odpowiedział, rozległ się przenikliwy okrzyk:

– Ojcze! Nie! To nie on!

Tobios obejrzał się i dostrzegł rosnącego Ploteusa walczącego z Helikaonem. Przez jedno uderzenie serca wyglądało to komicznie – nieopodal straganu piekarza gruby kupiec w zaawansowanym wieku, w szkarłatnej, sięgającej kostek tunice, zaciekle zmagał się z wysokim, smukłym wojownikiem ubranym na niebiesko.

Kiedy Tobios przyjrzał się bliżej, stwierdził, że wojownikiem nie był Helikaon, tylko książę Deifobos, jeden z bękartów Priama, znany bardziej jako Dios. Kupiec zastanawiał się, dlaczego człowiek tak spokojny jak Ploteus ryzykował zniewagę królewskiego syna. W tym momencie tunikę Diosa splamił szkarłat i promień słońca błysnął na klindze sztyletu w ręku Ploteusa.

Dios chciał złapać nadgarstek Ploteusa, ale kupiec wyszarpnął dłoń i jeszcze raz wbił ostrze w pierś Diosa. Szaty nieszczęśnika nasiąkły czerwienią, a po jego nogach ciekły strużki krwi. Mimo to Dios walczył dalej. Na odsiecz Ploteusowi rzucili się jego synowie. Tobios myślał, że odciągną ojca, lecz zamiast tego młodzieńcy również wyciągnęli miecze i zaczęli dźgać rannego księcia.

– Parysie! Parysie! – krzyczał Dios i Tobios zobaczył, że ranny wyciąga rękę w stronę brata. Potem w ciało napadniętego wbiło się kolejne ostrze i Dios upadł, brocząc obficie krwią z ust.

Tobios zerknął na Parysa. Młody książę stał bez ruchu, sparalizowany zaskoczeniem

i strachem. Tobios wyrwał Parysowi miecz z pochwy i rzucił się na napastników, krzycząc ile tchu w płucach:

– Mordercy! Zabójcy!

Młodszy syn Ploteusa obrócił się w kierunku Tobiosa. Twarz młodzieńca znaczyły plamy krwi, a nóż do skórowania w jego ręku błyszczał czerwienią. Młodzik spojrział na kupca, po czym upuścił ostrze i rzucił się do ucieczki. Starszy syn chwycił ojca i już odciągał go w tłum, kiedy Tobios się do nich przepchnął. Zamachnął się mieczem. Uderzył młodzieńca w skroń, rozcinając skórę i rozpryskując krople krwi. Ten zatoczył się, po czym spróbował przejść jeszcze kilka kroków.

– Mordercy! – krzyknął ponownie Tobios. – Łapcie ich! – Kolejny kramarz podbiegł z tyłu do rannego napastnika i uderzył go pałką.

Młodzieniec stracił przytomność i runął na twarz.

Ploteus z grymasem cierpienia stał obok ciała Diosia. Spojrział w oczy Tobiosowi, kręcąc głową.

– Nie chciałem tego! – krzyknął. – Przysięgam na wszystkich bogów, Tobiosie, nie miałem wyjścia...

– Podły zdrajco! – wrzasnął gniewnie jakiś mężczyzna z tłumu. Tobios rozpoznał w nim jednego z kupców, Aktoniona. Zanim ktokolwiek zareagował, handlarz skoczył i głęboko wbił sztylet w kark Ploteusa. Z rany bryznęła krew i Ploteus osunął się na kamienie.

Tobios uklęknął przy Diosie. Jego oczy były otwarte, ale już nie widziały. Rany na twarzy i szyi przestały krwawić.

Człowiek, który zabił Ploteusa, również uklęknął przy ciele księcia. Tobios spojrział w czarne oczy Aktoniona.

- Myślałem, że tak sławny wojownik będzie bardziej rośły – skomentował Aktonion, spoglądając na zwłoki.

- Sławny wojownik? – zapytał Tobios.

- Czy ktoś nie wspominał, że to wzbudzający grozę Helikaon?

- Zabójcy się pomylili. To Deifobos, syn Priama.

Podnosząc się z kolan, Tobios podszedł do swojego straganu. Parys wciąż tam stał z na wpół otwartymi ustami i oczami pełnymi łez.

- Czy on nie żyje? – wyszeptał.

- Człowiek dźgnięty tyle razy sztyletem zazwyczaj umiera – odpowiedział Tobios.

Parys jęknął boleśnie.

- Wołał mnie, a ja nie przyszedłem mu na ratunek. Nie mogłem się ruszyć, Tobiosie.

- A więc podejdź do niego teraz – powiedział Tobios cicho. – Nie godzi się, żeby syn króla leżał samotnie w kurzu na placu targowym.

Wydawało się, że Parys wrósł w miejsce.

– Tobiosie, zawiodłem go. To był mój największy przyjaciel, a kiedy mnie potrzebował, nie zrobiłem nic, żeby mu pomóc.

Ugryźszy się w język, Tobios próbował ukryć pogardę. Parys był mięczakiem, ale dobrym klientem, a obrażanie dobrych klientów szkodziło interesom. Kupiec spojrzał na młodego człowieka, który przyglądał mu się z niemym pytaniem w oczach. Jubiler westchnął. Doskonale wiedział, czego chłopak odeń oczekuje. Potrzebował tego, co każdy tchórz.

– Byłeś bezsilny, panie – powiedział, wkładając w kłamstwo tyle przekonania, na ile tylko było go stać. – Pierwsze ciosy były śmiertelne. Rzucając się na ratunek, tylko niepotrzebnie zaryzykowałbyś własne życie. Postąpiłeś mądrze.

Parys pokręcił głową i nic nie powiedział.

Jak zwykle za późno, na plac wbiegł oddział żołnierzy. Ciało Diosa zostało podniesione i oddział ruszył w kierunku Bramy Skajskiej. Tobios poszukał wzrokiem Aktoniona, ale mężczyzna zniknął.

Dziwne, pomyślał. Priam z pewnością wynagrodziłby człowieka, który zabił mordercę jego syna.

Pozostawiwszy Priama i Helikaona zajętych rozmową w Bursztynowej Komnacie, Andromacha skierowała się do megaronu, gdzie pośród tłumu dostrzegła Antifonesa. Trudno było go nie zauważyć, jako że był najbardziej roslym mężczyzną w Troi, a większość masy jego ciała stanowiły mięśnie. Kiedyś znany z uczt godnych Heraklesa, teraz służył z cyklu morderczych treningów. Andromacha bardzo go lubiła, ale nie była w nastroju do czej pogawędki.

- Widziałeś Hektora? – zapytała zwięźle.

- Przed chwilą opuścił pałac. – Antifones pochylił się nad nią i wyszeptał: – Wyglądasz na zmartwioną, moja droga.

- To był ciężki dzień – odparła.

- Ciężkie dni często się teraz zdarzają. Hektor również wyglądał na przygnębionego. Czy między wami wszystko w porządku?

Andromacha się zawahała, a kiedy otworzyła usta, jej własny głos wydał jej się pusty.

- Kochamy się, Antifonesie, a więc koniec końców wszystko się ułoży. Muszę w to wierzyć.

- On cię bardzo kocha. Mam nadzieję, że się nie mylisz – powiedział Antifones.

Andromacha spojrzała w oczy wielkoluda, odnosząc wrażenie, że ten chce jeszcze coś dodać.

Ich rozmowę przerwało przybycie Politesa, syna króla i sekretarza w jednej osobie. Przygarbiony i łysiejący Polites zdawał się starzeć o rok z każdą mijającą porą roku. Miał bladą twarz, podkrążone oczy i wiecznie wykrzywione usta.

- Musimy porozmawiać, Antifonesie – oznajmił.

- Zapominasz o manierach, bracie – zganiał go Antifones.

Dopiero wtedy Polites zauważył Andromachę. Jego zmęczona twarz zaczerwieniła się ze wstydu.

- Przepraszam, siostrze – powiedział. – Wybacz mi.

- Nie musisz przeproszać, Politiesie. Z pewnością bardziej potrzebujesz towarzystwa Antifonesa niż ja. Zostawię was samych.

Andromacha opuściła megaron i w towarzystwie dwóch strażników ruszyła w kierunku pałacu Hektora. Gdy tylko wyszła na zewnątrz, znów dopadły ją problemy. Rozumiała obawy Hektora. Od początku byli wobec siebie szczerzy, więc znał jej uczucia do Helikaona. Teraz myśl o żonie płynącej przez Wielką Zielę w towarzystwie Żłocistego musiała drażnić jego myśli jak robak świeże jabłko.

Zatopiona w myślach, Andromacha przystanęła przy studni. Jeden z przybocznych zaczerpnął dla niej wody, uznawszy, że pani jest spragniona. Andromacha podziękowała mu i pociągnęła łyk z drewnianego czerpaka. Jej umysł wypełniły niespodziewanie myśli o Kaliope. Kochana, okrutnie skrzywdzona, odważna Kaliope. Przypomniała sobie ohydnych zabójców, płonące zabudowania oraz wyprostowaną Kaliope stojącą na zboczu i ślącą kolejne strzały w kierunku napastników. Oczami duszy zobaczyła dumną sylwetkę przyjaciółki i mimo woli po jej policzkach spłynęły łzy. Chciała zatrzymać ten obraz na zawsze, ale było to niemożliwe i chwilę potem napłynęła wizja ciemnego grotu przeszywającego ciało Kaliope. Teraz

wszystkim, co zostało po jej ukochanej towarzysze, było kilka kości, które Andromacha zabrała ze stosu pogrzebowego. Schowała je do zdobionej mahoniem i srebrem skrzyni stojącej pod oknem w sypialni.

Kilka razy Andromacha śniła, że wraca z kośćmi na Błogosławioną Wyspę i zagrzebuje je pod tamaryszkami w ogrodzie nieopodal świątyni Artemis. Teraz arcykapłanka chciała wrzucić kości Kaliope w otchłań i spętać jej duszę, aby na wieki służyła Minotaurowi.

- Pani, dobrze się czujesz? – zapytał Ethenos, najmłodszy z jej strażników. – Jesteś blada. – Był poważnym młodzieńcem, kuzynem zamordowanego Cheona, który zginął razem z Kaliope w dniu zamachu.

- Nic mi nie jest – odparła. Kłamała.

Kaliope wielbiła boginię Artemis i zanosila do niej modły wiele razy w ciągu dnia. Czy bogini jakoś odwdzięczyła się swej wyznawczyni? Dziewczyna została w dzieciństwie zgwałcona, zdradzona przez rodzinę, a następnie zamordowana. Nie miała dwudziestu lat. Nawet po śmierci ktoś chciał ją zbzczyć.

Chciała pomodlić się do bogini, ale w tym samym momencie w jej duszy zawrzały gniew i gorycz. Myślisz, że Artemis albo innych bogów obchodzi życie twoje czy Kaliope? Pomyśl tylko! Czy którakolwiek z waszych modlitw została wysłuchana?

Andromacha uśmiechnęła się, ale jej myśli były gorzkie. Kiedy pierwszy raz opuściła Terę, myślała tylko o powrocie na Błogosławioną Wyspę, do prostego życia z Kaliope. Wznosiła modlitwy w intencji odzyskania wolności, której nigdy wcześniej nie dane jej było zakosztować. W czasie pierwszych nieszczęśliwych dni w Troi marzyła o tym, aby uciec z Helikaonem na pokładzie *Ksantosa*, i gorąco się modliła, żeby tak się stało. I oto teraz dopadła ją niespodziewana niczym pchnięcie nożem decyzja bogów: na swój przewrotny sposób postanowili wysłuchać obydwu modlitw.

Ciałem Andromachy targnął chłodny gniew. Półbóg o byczej głowie nie dostanie Kaliope w swoje łapy – nawet gdyby od tego miał zależeć los świata. Zabierze na Terę kości, ale nie swojej ukochanej.

Podjąwszy decyzję, upuściła czerpak do wiadra i ruszyła dalej. W pałacu odesłała żołnierza, kiwnęła strażnikom przy bramie i zanurzyła się w ogrodach. Zobaczyła grzebiącego w ziemi Astinaksa i Hektora klęczącego u jego boku.

Jej miłość do Astinaksa była inna od wszystkiego, czego do tej pory doświadczyła. Czuła,

jakby ktoś przywiązał do niej dziecko delikatnymi linami. Za każdym razem kiedy go opuszczała, choćby na jeden dzień, czuła pustkę w sercu. Spędzenie bez niego całej zimy wydawało się niemożliwe. Serce księżniczki panicznie miało się w piersi. Bała się również o jego życie. Obawiała się zdrajców, szpiegów, trucizny i zdradzieckiego ostrza tnącego mrok nocy.

Słońce wychynęło zza chmur i oświetliło chłopca oraz towarzyszącego mu potężnego mężczyznę. Obydwaj byli rozchełstani i pokryci kurzem, jakby przed chwilą tarzali się po ziemi. Klęczeli naprzeciwko siebie i z uwagą obserwowali coś w piachu. Chłopiec wskazał owada czy też liść i z pytaniem w oczach spoglądał na ojca. Wyraz miłości i łagodności na twarzy Hektora sprawił, że Andromacha poczuła ucisk w gardle.

Moment paniki minął. On kocha Astinaksa i to się nigdy nie zmieni, pomyślała. Będzie strzegł chłopca choćby za cenę własnego życia.

Cicho, nie zdradzając swej obecności, Andromacha wróciła do pałacu.

V. LUDZIE MIEDZI I BRĄZU

Kiedy Andromacha weszła do swoich przestronnych komnat, pozdrowiły ją dwie młode służące siedzące w zewnętrznym pomieszczeniu, zajęte tkaniem grubego gobelinu. Obydwie były Kobietami Konia Trojańskiego i nosiły na biodrach pasy zdobione brązowymi dyskami i przetykane złotą nicią.

Andromacha przypomniała sobie, kiedy pierwszy raz zobaczyła taki pas. W zaawansowanej ciąży szła z Hektorem wzdłuż ulicy Kowali. Przy jednym ze straganów stała młoda kobieta z udekorowanymi blond włosami. Miała długą, białą tunikę, na biodrach zaś spoczywał pas z dysków.

- Chciałabym mieć taki pas – powiedziała Andromacha.

Hektor przyjrzał się jej uważnie.

- Chyba nie wiesz, o czym on świadczy – zauważył cicho.

- Nie, nie wiem – odpowiedziała szczerze.

– Jeżeli kiedyś dostaniesz taki pas, będzie to oznaczało, że nie żyję.

Andromacha dowiedziała się później o Kobietach Konia Trojańskiego, o żonach i córkach żołnierzy zabitych w służbie Troi. Pasy z brązowych dysków wyrabiano z napierśników poległych.

Służące były siostrami, ognistowłosymi córkami wojownika imieniem Ursos, który zginął w czasie bitwy o Dardanos. Miały pracować w pałacu do czasu, aż wśród członków Konia Trojańskiego nie znajdą się dla nich odpowiedni mężowie. Starsza z sióstr, Penthesilea, była wysoka, miała głęboko osadzone oczy i silnie zarysowany podbródek. Jej siostra Anio, młodsza i bardziej nerwowa, była ładną dziewczyną o szczupłej budowie.

– Czy możemy coś dla ciebie zrobić, pani? – zapytała Penthesilea.

- Nie. Zjadłyście już posiłek?

- Tak, pani – odpowiedziała Anio. – W kuchni są świeże podplomyki. Przynieść kilka?

Andromacha uśmiechnęła się do niej. Dziewczynka miała piętnaście lat i odczuwała potrzebę potwierdzenia własnej przydatności.

- Na razie niczego nie potrzebuję – powiedziała. – Może przejdziecie się na spacer? Poznałybyście okolice pałacu.

- Jesteśmy twoimi służkami – rzekła stanowczo Penthesilea. – Musimy dla ciebie pracować.
Andromacha westchnęła.

- Owszem, jesteście moimi służkami, ale będziecie też moimi przyjaciółkami. Nie jesteście niewolnicami, tylko córkami bohatera. Jeżeli będę czegoś potrzebować, pošlę po was.

- Tak, pani – odpowiedziała Anio. – W twoich komnatach czeka na ciebie gość. To księżniczka Kasandra. – Nagle dziewczyna zrobiła stropioną minę. – Ona... – ściszyła głos – ... rozmawia ze sobą.

- Czasami tak robi – zbagatelizowała sprawę Andromacha. – Nie przejmuj się tym.

Idąc do swoich prywatnych komnat, Andromacha usłyszała podekscytowany głos Kasandry.

– Nie widziałam tego, Diosie. Nie widzę wszystkiego – mówiła pod niesionym tonem.

Kiedy Andromacha weszła do pomieszczenia, zobaczyła Kasandrę wpatrującą się w ścianę naprzeciwko. Dziewczynka jak zwykle ubrana była na czarno, jej niesforne włosy zaś mocno ściągnięto do tyłu kilkoma grzebieniami. W pokoju nie było nikogo oprócz niej.

Andromacha wzięła głęboki oddech i zbliżyła się do niej.

– Tak się cieszę, że cię widzę, Kasandro – powiedziała, siadając obok niej na sofie. – Tęskniłam za tobą przez te parę miesięcy.

Głowa dziewczynki opadła do przodu i Kasandra westchnęła.

- Wiesz, że Vora nie żyje? – zapytała.

- Kim jest Vora?

Oczy Kasandry miały wyraz głębokiego zamyślenia.

– Vora była delfinem. Była bardzo stara. Jej towarzysz Cavala śpiewa o niej. Spędzi rok, pływając po Wielkiej Zieleni, śpiewając jej piosenki we wszystkich miejscach, które kochała. Następnie podąży za nią na ocean Południowego Wiatru i znów będą razem.

Andromacha uśmiechnęła się.

- Może popłynie razem z nami na Terę.

- Nie. Boi się Tery. Nie popłynie tam. Ja też się jej boję. Nie spodziewałam się tego. – Kasandra westchnęła i odchyliła się do tyłu, kładąc ręce na kolanach. Znowu wyglądała jak zwykle dziecko.

Andromacha ją przytuliła.

- Nie ma się czego obawiać. Tera jest pięknym i spokojnym miejscem. Spodoba ci się tam.

- Tam skończy się świat – wyszeptła Kasandra. – Wzniosę się w niebiosa niczym orzeł,

trzej królowie zaś zginą wraz ze mną... – Jej głos ucichł.

Andromacha pocałowała ją w policzek.

– Może chciałabyś przejść się ze mną do ogrodów? Możemy postrzelać z łuków. Kiedyś to lubiłaś. Na pewno poprawi ci się humor.

Kassandra wstała i nagle się uśmiechnęła.

– Oczywiście! – powiedziała. – Musimy je przygotować. Można zacząć teraz. Podoba mi się ten pomysł. To bardzo ważne!

Dziewczynka pobiegła do ściany i wzięła dwa łuki z kołczanami pełnymi strzał, po czym wybiegła na zewnątrz. Andromacha udała się za nią. Kassandra zbliżyła się do sióstr.

– Odlóżcie wyszywanie – rozkazała i wcisnęła im łuki w ręce. – Musicie nauczyć się strzelać! Kobiety Konia Trojańskiego ze strzałą i łukiem! – Obróciła się do Andromachy. – Widzisz? Widzisz, Andromacho? – Poderwała głowę, po czym się obróciła. – Co? Ach tak... – powiedziała do ściany. Następnie pokiwała głową i westchnęła.

Odwróciła się do Andromachy i uśmiechnęła do niej smutno.

- Za wcześnie – stwierdziła. – Ale będziesz pamiętać, Andromacho? Kobiety Konia Trojańskiego? Nauczysz je strzelać z łuku?

- Spokojnie, siostrzyczko – powiedziała łagodnie Andromacha. Służące stały bez ruchu, bacznie obserwując dziewczynkę. Andromacha objęła szczupłe ramiona Kasandry. – Chodź, weźmiemy nasze łuki i pójdziemy do ogrodu – powiedziała, odbierając broń siostrom.

- Będziesz pamiętać? – krzyknęła Kassandra.

– Tak, obiecuję. Nauczę je strzelać. – Obróciła się do sióstr i zapytała: – Chciałybyście się nauczyć strzelać z łuku?

– Ja trochę umiem – odparła Penthesilea. – Ojciec mnie nauczył. Chętnie znowu wezmę łuk do ręki.

Andromacha wyczuła, że zdenerwowanie Kasandry mija. Młoda księżniczka spojrzała na Penthesileę i uśmiechnęła się.

- Będziesz wojowniczką Troi i o twojej odwadze będą śpiewać piękne pieśni.

- Nie będziemy już potrzebowały łuków – powiedziała Kassandra, odsuwając się od Andromachy.

Andromacha odniosła łuki do wewnętrznych komnat i poprowadziła Kasandrę przez pałac w kierunku ogrodów, gdzie cienie powoli zaczynały się wydłużać. Zobaczył je Hektor i podszedł

ze śpiącym na jego ramieniu Astinaksem. Andromacha uśmiechnęła się, kiedy mąż nachylił się i pocałował ją w policzek.

- Przepraszam, że cię dzisiaj skrzywdziłam – powiedziała.

Hektor kiwnął głową.

- To już przeszłość.

Wiedziała, że to kłamstwo, ale wypowiedziane w dobrej intencji. Kasandra podeszła do księcia. Ujęła go za wolną rękę i pocałowała, po czym przytrzymała przy swoim policzku.

– Po dzisiejszym wieczorze już się nie spotkamy. Będziesz mnie dobrze wspominał, prawda? Nie jako szaloną smarkulę. – Łzy nagle spłynęły jej po policzkach.

Hektor podał śpiącego chłopca Andromasze i szybko wziął Kasandrę w ramiona.

- Będę za tobą tęsknił – powiedział, całując ją w czoło. – Kocham cię i zawsze tak będzie. Jesteś moją małą siostrzyczką i to się nigdy nie zmieni.

- Nie jestem szalona, Hektorze. Po prostu widzę rzeczy, których nie widzą inni.

- Wiem.

Ciszę przerwał żołnierz, który wpadł przez bramę podwórza i puścił się biegiem w ich stronę.

- Hektorze! Panie! – Przystanął i zawahał się, jak gdyby nagle zdał sobie sprawę z wagi swoich wieści.

- Cóż się stało? – zapytał Hektor, opuszczając Kasandrę i stając naprzeciwko żołnierza. – Mów, przyjacielu Mestaresie! Nikt ci tu nie utnie języka!

- Chodzi o Diosa, panie... Nie żyje. Został zamordowany na rynku w Dolnym Mieście.

Na moment zapadła cisza. Potem Andromacha zdała sobie sprawę, że słyszy bicie własnego serca. Jej przyjaciel Dios martwy? To było wręcz nieprawdopodobne.

– To był mykeński kupiec, Ploteus – wyjaśnił żołnierz. – On i jego synowie zaatakowali Diosa na placu targowym. Ploteus został zabity przez kogoś z tłumu. Jeden z synów kupca zbiegł. Drugiego udało się nam złapać. Parys był na miejscu – on będzie wiedział więcej.

– Parys? Czy został ranny?

– Nie, panie.

W ogrodzie pojawiła się służąca, która szybko do nich podbiegła.

– Księżę Hektorze! – krzyczała. – Król po ciebie przysłał.

Twarz Hektora poszarzała i opuścił ogród, nie pożegnawszy się ani z Andromachą, ani

z Kasandrą. Służąca zbliżyła się do Andromachy.

– Czy mam zabrać chłopca, pani? – zapytała łagodnie.

Andromacha kiwnęła głową i podała jej dziecko. Astinaks przez chwilę marudził, po czym ułożył główkę na ramieniu dziewczyny. Kiedy służąca odeszła, do ogrodu wdarł się zimny powiew wiatru, szeleszcząc leżącymi na ścieżce zeschniętymi liśćmi. Andromacha zauważyła, że niebieskoszare oczy Kasandry są pełne łez.

– Wiedziałaś, że on nie żyje, prawda? – spytała Andromacha. – Rozmawiałaś z jego duchem. Dziewczynka skinęła głową.

– Gruby kupiec miał słaby wzrok. Pomylił Diosa z Helikaonem.

Andromacha przypomniała sobie wcześniejsze spotkanie z Diosem. Miał na sobie niebieską tunikę podobną do tej, jaką nosił Helikaon. Odyseusz zwrócił kiedyś uwagę na podobieństwo tych dwóch mężczyzn.

– Są podobni do siebie – stwierdził. – Ale tak naprawdę bardzo się różnią. Są jak brąz i miedź. Każdy z nich ma swoje zalety. – Bajarz przebiegle zmrużył oczy. – W burdelu człowiek potrzebuje miedzianych pierścieni, żeby zapłacić za przyjemność. Jednakże w bitwie wojownik potrzebuje ostrego brązu w dłoni. Helikaon jest brązem, a Dios miedzią.

Głos Kasandry przerwał jej myśli.

– Diosowi oddadzą cześć po śmierci. Jego kości będą spoczywały w mieście, które kochał. To ważne.

– Tak – zgodziła się Andromacha. – Jestem pewna, że to ważne.

Kassandra nachyliła się do niej.

– Kaliope chce, żebyś zabrała ją do domu. Możesz ją zanieść do zagajnika tamaryszku, gdzie będzie bardzo szczęśliwa. Tam, gdzie siedziałyście razem w tę letnią noc. Pamiętasz?

Andromasze głos uwiązł w gardle, skinęła tylko głową. Po jej twarzy spływały łzy.

– Będiesz mogła z nią tam rozmawiać – dodała Kassandra. – Będiesz ją czuła w swoim sercu.

Andromacha pokręciła głową.

– Nie – powiedziała. – Nie mogę jej zabrać do domu. Nie mogę pozwolić, aby uwięziono jej duszę.

Przez wysokie okna przedzierało się już blade światło przedświt, kiedy Andromacha

pocałowała śpiącego syna. Księżniczka pozwoliła, aby przez krótką chwilę ciepło pieściło jej policzek, a następnie wstała i wyszła z komnat.

Ubrana w sięgającą kolan, żółtą tunikę z wełny i owinięta ciężką, szarozieloną opończę, chyłkiem wyszła z pałacu i ruszyła w noc. Pod łukiem bramy czekała już na nią Kasandra. Jej smukłą postać otulał czarny płaszcz. W pobliżu stali służący z pochodniami, oświetlając czteroosobowy rydwan. Zaniepokojone migotaniem pochodni konie nerwowo dreptały w miejscu i rżały cicho.

Z mroku nagle wyłonił się Hektor. Był w pełnej zbroi, gotów do drogi. Podniósł Kasandrę i podrzucił ją jak małe dziecko, po czym ułożył dziewczynkę delikatnie w rydwanie. Zarumieniła się i wyglądało na to, że sprawił jej tym przyjemność. Następnie Hektor pocałował Andromachę i pomógł jej wsiąść. Księżniczka uśmiechnęła się do niego i dotknęła jego policzka. W nocy odbyli długą rozmowę. Dziś miał ruszyć na południe, żeby bronić ziem jej ojca, podczas gdy ona wypływała na wrocie morza, by dostać się na Terę.

– Niechaj bogowie mają cię w opiece i sprowadzą szczęśliwie do mnie – pożegnała męża.

Prowadzący rydwan delikatnie dotknął lejcami grzbietów koni i w asyście oddziału żołnierzy ruszyli brukowaną drogą w kierunku nabrzeża.

Andromacha i Kasandra objęły się mocno, stojąc w powozie mknącym budzącymi się do życia ulicami. Kiedy otwierano masywne wrota Bramy Skajskiej, rydwan przystanął i odgłosy drewnianych kół, skrzypiącej uprzęży oraz parskanie koni ucichły.

Andromacha pomyślała o Diosie i niemal fizycznie poczuła ciężar ogarniającego ją smutku. Żałowała, że nie będzie mogła uczestniczyć w jutrzejszej ceremonii pożegnalnej, i obiecała sobie, że gdziekolwiek *Ksantos* zostanie wyciągnięty na noc, tam własnymi słowami pożegna cicho cień zmarłego. Rydwan ponownie skoczył do przodu. Gdy z łoskotem kół skierował się w stronę plaży, Andromacha mocno chwyciła się burty.

W oddali zobaczyła potężnego *Ksantosa*. Dwukrotnie większy od jakiegokolwiek innego okrętu na królewskim nabrzeżu, leżał na plaży na poły zanurzony w wodzie. Pomimo wielkości galera tchnęła gracją i pięknem. Zbliżający się do niej rydwan sunął przez piasek, a nad horyzontem błysnęły pierwsze promienie wschodzącego słońca, zamieniając wypolerowane dębowe deski kadłuba *Ksantosa* w złoto.

Spoczywający w bezruchu okręt otaczało mrowie ludzi – członkowie załogi wspinali się po linach na górny pokład, tragarze i ich pomocnicy wnosili towary, a wcześniej wstający rybacy

i wracające do domu dziwki zwlekali z odejściem, podziwiając olbrzyma.

Wysiadłszy z rydwanu, Andromacha zastanawiała się przez chwilę, jak się dostaną na pokład. Ale kiedy tylko zbliżyli się do okrętu, z góry podano solidny drewniany trap i opuszczono na piasek od strony rufy. Na szczycie trapu majaczyła sylwetka spokojnego i pewnego siebie Gershoma, który niedbale opierał się o reling. Ujrzawszy kobiety, pomachał ręką i pozdrowił je przyjaznym okrzykiem.

Drepcząc po piachu, zbliżył się do nich Oniakos, poprawiając dłonią bujną czuprynę.

- Poradzisz sobie, pani? Możesz wolałabyś usiąść w siodełku podnośnika?

- Żeby wciągał mnie jak krowę, Oniakosie? Moja siostra i ja bez trudu sobie poradzimy. – Andromacha złagodziła ostre słowa uśmiechem, przypominając sobie, iż mężczyzna niedawno stracił całą rodzinę w Dardanos.

- Reszta twojego bagażu jest już na okręcie – powiedział. – Złożono go na tyłach dolnego pokładu.

- A mahoniowa skrzynia?

Oniakos kiwnął głową.

- Leży bezpiecznie obok twojego bagażu, pani. Jest tam również twój łuk i dwa piękne kołczany pełne strzał. Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiała ich używać – znaczy, poza ćwiczeniami.

Andromacha zauważyła, że Kasandra chce coś powiedzieć, i szybko ją ubiegła.

- Dziękuję, Oniakosie. Wzięłyśmy sobie do serca twoją radę i zabrałyśmy dodatkowe ciepłe ubrania. Mamy także natłuszczone opończe i grube bawełniane nogawice.

- To dobrze. Może być wściekle zimno i wilgotno.

Andromacha ujęła Kasandrę za ramię i podprowadziła pod trap.

- Wchodź pierwsza – poleciła. – Będę za tobą i pomogę ci, jeżeli się poślizgniesz.

Kasandra roześmiała się.

- Myślisz, że jestem ułomną beksą, która nigdy nie wspinała się po drabinie? – Dziewczynka podkasała długą czarną suknię i niemalże wbiegła po szczeblach, po czym złapała za rękę Gershoma i wskoczyła na pokład. Andromacha ruszyła za nią.

Znalazłszy się bezpiecznie na tylnym pokładzie, przy rzeźbionym wiośle sterowym, Andromacha natychmiast rozejrzała się za Helikaonem. Dowódcy nie było jeszcze na pokładzie i księżniczka doznała lekkiego zawodu. Członkowie załogi wciągali na środkowy pokład

rozmaite towary – bele ozdobnej tkaniny, solidne drewniane skrzynie, siatki pełne sucharów i owoców, jak również setki małych amfor związanych po dwie rzemieniami i owiniętych trzcina dla bezpieczeństwa. Inni opuszczali towary do ładowni.

Oniakos przeskoczył nad relingiem, po czym otworzył właz w pokładzie tuż obok miejsca, gdzie stała Andromacha. Schodząc na drugi pokład wiosłowy, pozdrawiał członków załogi. Panował tu gwar, bo wiosłarze wymieniali barwne opowieści i wysłuchiwali nowin od innych. Wszyscy wyglądali na uradowanych perspektywą rychłego wypłynięcia w morze.

Andromacha też poczuła ogarniającą cały Złoty Statek radosną ekscytację. Spojrzała na Kasandrę. Oczy rozglądającej się dookoła z zaciekawieniem dziewczynki lśniły radością. Jej niezwykle dar sprawiał, iż łatwo było zapomnieć, że Kasandra była w końcu tylko dzieckiem, które teraz stało u progu wielkiej przygody.

– Rozpakujmy się – zaproponował Gershom. – Wkrótce wypływamy. – Długo przyglądał się Kasandrze, jakby skądś ją znał. – Chodźcie – powiedział w końcu i poprowadził obydwie kobiety wzdłuż głównego przejścia pomiędzy ławami.

Andromacha widziała blizny, jakich *Ksantos* dorobił się w wielu bojach. Niektóre części pokładu były poczerniałe od ognia i wymagały wymiany, a wyrwę w sterburcie z prawej strony prowizorycznie zabito deskami. Trzej cieśle na przeciwległej burcie zajmowali się wymianą odcinka relingu. Machali młotkami z wielkim entuzjazmem.

Kiedy Andromacha dotarła do gniazda podstawy masztu, zobaczyła okrągłą drewnianą obejmę zbudowaną wokół dębowego pała. Po bokach znajdowały się uchwyty z plecionych lin. Krawędź obejmę zdobił niedokończony rzeźbiony wzór.

– Spodziewamy się nieprzyjemnej pogody – wyjaśnił Gershom. – Podczas zimowych sztormów nawet najbardziej zahartowani marynarze odczuwają mdłości. Śródkręcie jest najmniej wystawione na kołysanie. Jeżeli będziesz źle się czuła albo zobaczysz zbliżający się sztorm, schroń się tutaj.

Andromacha skinęła głową i spojrzała na Kasandrę. Dziewczynka wyglądała teraz na lekko przestraszoną i jej twarz zbladła. Gershom szedł dalej w kierunku wyżki dziobowej. Spoglądając w dół przez otwarte włazy, Andromacha mogła zobaczyć wiosłarzy zajmujących miejsca na ławkach na niższym pokładzie. Żeglarze śmiali się i żartowali, podając sobie wzajemnie skórzane bukłaki. Nie patrzyli w ich stronę, ale wiedziała, że wszyscy zdają sobie sprawę, że na pokładzie *Ksantosa* wraz z nimi popłyną dwie trojańskie księżniczki.

Na dziobie okrętu rozpostarto żółte płótno, które miało zagwarantować kobietom odrobinę prywatności. Gershom wyjaśnił, że podczas podróży będą mogły tutaj spać i wypoczywać. Andromacha przyzwyczała się do takich warunków podczas swoich wycieczek na Terę, ale Kasandra wyglądała na przerażoną.

– Tu jest tak ciasno – wyszeptała do Andromachy.

Andromacha chciała właśnie zauważyć, że na dziobowej wyżce *Ksantosa* jest więcej miejsca niż na jakimkolwiek innym okręcie pływającym po Wielkiej Zieleni, kiedy zapadła cisza. Andromacha obejrzała się i zobaczyła wdrapującego się na pokład rufowy Helikaona. Długie, czarne włosy związał w koński ogon, a ubrany był w prostą tunikę koloru wyblakłego błękitu. Nastrój załogi nagle się zmienił, a przedłużająca się cisza świadczyła bardziej o szacunku niż odczuwanym wobec wodza strachu. Księżniczka wyczuwała emanującą z Helikaona siłę. Siła ta przemówiła wprost do jej krwi i dziewczyna, rumieniąc się, musiała odwrócić wzrok.

Na przedni pokład wbiegło ośmiu krzepkich żeglarzy, którzy rozdzielili się na dwa czteroosobowe zespoły, odwiązali dwie długie liny przymocowane do grubego wspornika.

- Co oni robią? – zapytała Gershoma zaintrygowana Andromacha.

- Przygotowują się do przecignięcia statku na wodę. *Ksantos* jest ciężką bestią i zwodowanie go to nie lada wyzwanie. Dlatego rzucamy kotwice w pewnej odległości od okrętu i kiedy marynarze ciągną za liny, łatwiej jest zepchnąć go do wody.

Andromacha zobaczyła, jak z całej plaży zbiegają się ludzie. Członkowie innych załóg, rybacy, tragarze, nawet kupcy z obcych krajów – wszyscy chcieli pomóc, napierając na złoty kadłub *Ksantosa*, aby zepchnąć go na wody zatoki.

Przez chwilę wydawało się, że okręt ani drgnie. Następnie rozległ się okrzyk:

– Jeszcze raz! – Przez chwilę nic się nie działo, po czym skrzypnęły deski, rozległ się dudniący, głęboki zgrzyt, okręt przesunął się trochę, potem znowu... i oto, nagle uwolniony, zakołysał się na wodach zatoki.

Marynarze na tylnym pokładzie odwiązali liny i zostawili ociekające wodą kamienie kotwiczne na specjalnie wzmocnionym kawałku pokładu.

Kiedy wysunęło się osiemdziesiąt wiosł, ludzie na plaży zaczęli wiwatować. Następnie rozległ się głęboki głos Oniakosa podającego wiosłarzom rytm.

Raz! Jeden był wiosłarzem

I czarne serce miał,
Raz! Drugi był procarzem
I smutek w duszy tkął.

Raz! Jeden był bękartem,
Podobno był szalony,
Raz! Drugi był śpiewakiem
I chodził wciąż wkurzony.

Ksantos z gracją oddalał się od plaży. Wiatr dął z północy, od Tracji, i galera płynęła powoli, podczas gdy wiosłarze zmagali się z przeciwnym prądem, aby wypłynąć z płytkiej trojańskiej zatoki. Okręt poruszał się, jakby każda fala starała się go zatrzymać.

– Przyspieszamy, wy leniwe krowie syny! – ryknął Oniakos. – Na cztery!

Raz! Jeden dziurawy miał ząb,
Raz! Jeden, co stanął, to sapał.
Raz! Jeden miał fiuta jak dąb,
Raz! Jeden chędożył, co złapał.

Wiosła przecinały pieniając się wodę i ogromny okręt nabierał prędkości, choć przypływ i wiatr chciały go zepchnąć z powrotem ku Troi. Dwie kobiety stały ramię w ramię, patrząc, jak Złote Miasto powoli zostaje z tyłu.

– Nigdy już nie zobaczę Troi – powiedziała Kasandra.

Andromacha już wcześniej słyszała te słowa z ust dziewczynki, ale nie mogła przedstawić żadnego kontrargumentu, więc tylko otoczyła ją ramieniem i delikatnie obróciła w kierunku, w którym płynęli.

- Musimy patrzeć w przyszłość, a nie pogrążyć się w naszych smutkach – powiedziała. W myślach ujrzała twarzyczkę śpiącego syna i ta wizja ugodziła ją prosto w serce.

- Okręt jest bardzo powolny – zauważyła Kasandra, wpatrując się w spienioną wodę bulgoczącą poniżej. Wydawała się rozczarowana.

- Wkrótce dopłyniemy do przylądka – odpowiedziała Andromacha. – Potem zobaczysz

swoją zatokę delfina i Radość Króla.

Przylądek Pływów był najdalej wysuniętym na północ punktem ich podróży. Potem galera miała skręcić na południe i rozpocząć długi rejs wzdłuż wybrzeża. Kiedy *Ksantos* wypłynął z Zatoki Troi, chwyciły go silne i burzliwe prądy morskie. Okręt drgnął i nabrał szybkości. Pokład zaczął się kołysać. W tym momencie okazało się, jak doświadczeni są wiosłarze. Ci siedzący na lewej burcie od strony lądu rytmicznie zanurzali wiosła głębiej i mocno ciągnęli, podczas kiedy ich towarzysze po prawej unieśli wiosła nad wodę. *Ksantos* wyprostował się. Gershom gromkim głosem wydał rozkaz i sześciu żeglarzy skoczyło, żeby wciągnąć główny żagiel, który zaczął gwałtownie łopotać na wietrze. Kiedy oczom wszystkich ukazał się czarny koń, załoga pozdrowiła godło donośnym okrzykiem. Zaraz potem żagiel chwycił silny północny wiatr i wciągnięto wiosła.

Tak oto *Ksantos* wyruszył w swoją podróż na południe.

VI. WIELKI KRĄG

Ksantos płynął na południe wzdłuż wybrzeża, gdy na niebie zaczęły się zbierać chmury. Okręt kierował się ku odległemu łańcuchowi wysp znanych jako Wielki Krąg. Gershom z ponurą miną stał na dziobie i wpatrywał się w niebo. Mimo że nikomu o tym nie mówił, dalej dręczyły go koszmary, w których widział wraki statków i tonął wśród rozszalałych fal, próbując kurczowo uchwycić się krwawiącymi palcami kawałka drewna. Mężczyzna wzdrygnął się i skupił uwagę na ciemnych, niskich chmurach.

Swego czasu był wioślarem na statku handlowym, przeciążonym ładunkiem bryłek rudy miedzi. Statek przełamał się na pół, co było skutkiem zjawiska, które żeglarze nazywali „ciosem”. Gershom ocalał jako jedyny z całej załogi. Rzadko pozwalał sobie na wspomnianie koszmarnych dni, jakie przeżył na morzu po katastrofie, ale podczas obecnego rejsu czuł się szczególnie niepewnie.

Obejrzał się na tylny pokład, gdzie stały pasażerki. Andromacha spoglądała na pozbawione życia wysepki, ale czarnowłosa, dotknięta obłędem dziewczynka wpatrywała się w niego. Jej wzrok był wyjątkowo niepokojący.

Obok Gershoma zatrzymał się Helikaon.

- Znajdziemy osłoniętą zatokę – powiedział – i wyślemy zwiadowców.

- Myślisz, że możemy zostać zaatakowani tak blisko trojańskich wód?

- Nie sądzę, ale z drugiej strony podejrzewam, iż Dios też czuł się bezpiecznie na miejskim placu targowym.

Gershom zamilkł. Zabójstwo sprzed dwóch dni wstrząsnęło wszystkimi, zwłaszcza kiedy podczas tortur syn zabójcy wyznał, iż prawdziwym celem był Helikaon. Słaby wzrok kupca sprawił, że przez pomyłkę rzucili się na Diosa. Gershom zerknął na przyjaciela i zobaczył w jego oczach ból.

- Kapłani w Egipcie powiadają, że życie człowieka wyznacza kosmiczna klepsydra. Kiedy piasek się przesypie, ludzkie życie dobiega końca.

- My nie wierzymy w takie rzeczy – odpowiedział Helikaon. – Chciałbym być wtedy na tym placu.

- Wolałbyś być martwy?

Helikaon pokręcił głową.

– Nie byłbym martwy. Nigdy nie wszedłbym w tłum bez broni i nie sądzę, aby zapasiony kupiec był wystarczająco szybki, żeby mnie zaskoczyć.

Gershom uśmiechnął się.

– Przyjacielu, Karpoforos cię zaskoczył. Masz rację, jesteś twardszy, niż kiedykolwiek był Dios. Nie pozwól jednak, żeby arogancja przyćmiła świadomość, że nie jesteś niepokonany.

Helikaon głęboko wciągnął powietrze, po czym westchnął.

- Wiem, że to, co mówisz, jest prawdą, Gershomie. I faktycznie lubiłem tego opasłego kupca, więc być może zdołałby się do mnie zbliżyć. Nigdy się już tego nie dowiemy.

- Czy jego syn został stracony?

- Jeszcze nie. Drugiego chłopaka znaleziono ukrywającego się w składzie. Obydwaj mają umrzeć jutro. Priam zdecydował, iż zostaną żywcem spaleni na stosie pogrzebowym Diosa, aby służyć mu na Ciemnej Drodze.

- Nie zasługują na nic więcej – powiedział Gershom. Rzucił okiem na tylny pokład i zaklął pod nosem. – Dlaczego ona ciągle się na mnie gapi?

Helikaon się roześmiał.

- To tylko dziecko. Prawie. Dlaczego tak cię niepokoi?

- Nigdy nie czułem się swobodnie w towarzystwie obłąkanych. Są tacy... nieprzewidywalni. Widziałem ją w Troi po naszym przybyciu. Powiedziała mi, że w mojej głowie jest mgła i że kiedyś przejrzę na oczy. Jej słowa ciągle odbijają się echem w moich myślach. O co jej chodziło?

Helikaon położył rękę na ramieniu Gershoma i pochylił się w jego stronę.

– Najpierw mówisz, że jest obłąkana, a chwilę później doszukujesz się znaczenia w jej słowach? Czy to też nie jest oznaką szaleństwa?

Gershom chrząknął, żeby ukryć zmieszanie.

– I właśnie dlatego nie czuję się dobrze w towarzystwie ludzi dotkniętych szaleństwem. Boję się, że ich stan może być zaraźliwy, jak choroba. Jeżeli będę stał zbyt blisko, zacznę wyc do księżycy.

– Ona nie jest obłąkana, przyjacielu. Lepiej byłoby powiedzieć, że jest przeklęta. Kiedy była niemowlęciem, zmogła ją gorączka umysłu. Większość noworodków dotkniętych tą chorobą umiera, ale ona odzyskała siły. Od tego momentu jej umysł zaczął błędzić.

– Czy może być prawdziwą wieszczką?

Helikaon wzruszył ramionami.

– Kasandra powiedziała mi kiedyś, iż ona, Hektor i ja będziemy żyć wiecznie. Potem dodała, że ona sama umrze wysoko w powietrzu, siedząc na skale, i że trzej królowie polecą wraz z nią. Czy cokolwiek z tego brzmi dla ciebie jak wiarygodna przepowiednia?

Gdy Helikaon mówił, chmury nagle się rozstały i na falach zatańczyły oślepiające promienie światła. Wyspy, do tej pory szare z brunatnymi skałami, w mgnieniu oka zamieniły się w oazy lśniące srebrem i krwistym złotem. Blask świtu podświetlał deszczowe chmury, przekształcając je w lśniący koral. Gershom z podziwem gapił się na majestat wschodzącego słońca.

– Czy widziałeś kiedyś takie piękno? – wyszeptał Helikaon.

Gershom właśnie miał zaprzeczyć, kiedy zauważył, że wzrok Helikaona skierował się na tył okrętu. Egipcjanin odwrócił się i zobaczył Andromachę otoczoną nimbem złotego światła. Jej żółta suknia lśniła niczym płynny metal. Księżniczka uśmiechała się i wskazywała na morze. Gershom przesunął spojrzenie nad prawą burtą i zobaczył wyskakującego nad wodę delfina, który zaraz potem z wdziękiem dał nura w fale.

– To Cavała. – Usłyszał radosny głos Kasandry.

Dziewczynka podbiegła do prawej burty i pozdrowiła delfina różnym okrzykiem.

Ten, jak gdyby odpowiadając Kasandrze, wydał przenikliwy szczebiot, po czym wyskoczył wysoko w powietrze, obracając się jednocześnie wokół osi. Towarzyszyły temu rozbryzgi kropel wody, które promienie słońca zamieniły w diamenty.

Delfin przez chwilę płynął koło okrętu, od czasu do czasu wyskakując w powietrze i nurkując. Kiedy *Ksantos* skręcił w kierunku osłoniętej zatoki, stworzenie wydało ostatni gwizd, po czym oddaliło się na zachód.

Gershom raz jeszcze poczuł na sobie wzrok czarnowłosej dziewczynki. Wyglądała na bardzo smutną i Egipcjaninowi nagle zrobiło się jej żal. Podniósł rękę i pomachał do Kasandry.

Dziewczynka odpowiedziała mu uśmiechem, po czym odeszła.

Księżyc wisiał wysoko i dał zimny wiatr, kiedy Helikaon, owinięty grubą opończą z czarnej wełny, wspinał się na skały górujące nad południowym morzem. Większość załogi spała na plaży w dole; żeglarze poukładali się blisko siebie, żeby jak najdłużej zatrzymać ciepło. Inni, ku rozdrażnieniu kucharzy, przycupnęli przy ogniskach rozpalonych do przygotowania śniadania na

plaży.

Helikaon wiedział, że wszyscy doświadczą jeszcze większych chłódów. W Siedmiu Wzgórzach czekały na nich śnieg i lód, po drodze zaś z pewnością natkną się na śnieżne zamiecie. Przyklękawszy, by uniknąć podmuchów wiatru, Helikaon wpatrywał się w morze, widząc w myślach drogę wzdłuż wybrzeża, a następnie przez Wielki Krąg do Tery. Przy odrobinie szczęścia, o tak późnej porze roku, powinni uniknąć spotkania z flotami wojennymi, kapitanów pirackich okrętów zaś zuchwałych na tyle, żeby zaatakować *Ksantosa*, można by policzyć na palcach jednej ręki.

Nie, niebezpieczeństwo kryło się dalej na zachodzie i w późniejszej drodze powrotnej. Westchnął i poprawił się w myślach. Przynajmniej niebezpieczeństwo ze strony morza. Jego nastrój się pogorszył, kiedy przypomniał sobie kupca Ploteusa. Był to dobry, uczciwy człowiek i sprawny handlarz. Helikaon nigdy by nie pomyślał, że można spodziewać się zagrożenia z jego strony. Gershom miał rację, gruby kupiec zbliżyłby się do niego wystarczająco, żeby zadać śmiertelny cios. Ilu jeszcze ludzi zostało przekupionych, wynajętych bądź zastraszonych? Czy na jego okręcie są tacy, którzy czekają na okazję, żeby go zabić?

Helikaon wrócił myślami do syna kupca, Perdikasa. Kiedy Helikaon poszedł do lochów, młodzieniec bełkotał i błagał o litość. Jedno oko miał wypalone i krwawił z kilku płytkich ran. Oprawcy byli zmęczeni i zniesmaczeni brakiem wyników. Na początku założyli, że przesłuchiwany wykazuje się ogromną odwagą, jednakże potem odkryli, że naprawdę nic nie wie, i tym samym ich czas i umiejętności poszły na marne. Helikaon uklęknął przy płaczącym Perdikasie.

- Pamiętasz mnie? – zapytał cicho.

- Tak... Przykro mi, panie. Tak mi przykro.

- Dlaczego tak się śpieszyliście z atakiem? Mogliście przyjść do mojego domu albo poczekać do zmroku. Dlaczego zaatakowaliście w biały dzień?

- Ojcu powiedziano, że tego samego dnia bądź następnego wypływasz na południe. Nie mieliśmy czasu na planowanie. – Chłopak znów zalał się łzami. – Proszę, wybac mi, Helikaonie.

- Wybaczam. Wspierałeś swojego ojca. Co innego mogłeś zrobić?

- Czy tortury już się skończyły?

- Myślę, że tak.

- Bogom niech będą dzięki.

Helikaon zostawił Perdikasa i opuścił cuchnące lochy, wychodząc na oświetlony słońcem dziedziniec. Młodzieniec nie będzie dziękował bogom, kiedy wyciągną go z lochu, a potem rzucą, związanego i zakneblowanego, na stos pogrzebowy człowieka, którego zamordował.

Rozmyślał nad tym, co powiedział mu zwiedziony na manowce chłopak. Mykeńczycy wiedzieli, że wypływa na południe. Mieli szpiega na pokładzie *Ksantosa* czy w otoczeniu Priama? A może po prostu jakiś żeglarz przechwalał się przed dziwką swoimi przyszłymi podróżami i ta przekazała informacje mykeńskiemu szpiegowi?

Gdyby chodziło o tę ostatnią ewentualność, to właściwie nic wielkiego się nie stało. Członkowie załogi nie znali celu podróży, wiedzieli tylko, że mają płynąć na południe. Jeżeli jednak zdrajca znajdował się w pałacu, wrogowie mogli wiedzieć, iż *Ksantos* popłynie na Terę.

Wiatr ucichł. Niebo na wschodzie rozjaśniało się powoli, a czern nocy ustępowała blaskowi wschodzącego słońca. Helikaon usłyszał za sobą nagłe poruszenie. Obrócił się szybko, płynnie wyciągając miecz.

W odległości kilku metrów kudłaty kozioł podskoczył i umknął rączo, szukając kryjówki wśród skał. Helikaon uśmiechnął się, chowając miecz, po czym ruszył w dół klifu. Przystanął na chwilę, patrząc na *Ksantosa* z mieszaniną radości i smutku. Był to okręt jego marzeń i ciągle pamiętał każdą chwilę pierwszego rejsu, od momentu, w którym niezdarny członek załogi upuścił amforę z winem, aż po nagły powiew wiatru, który zdmuchnął kapelusz Kalkeusa za burtę. Cóż to był za dzień! Załogę przerażała perspektywa rejsu na Okręcie Śmierci – nawet Zidantas, który zawsze twierdził, że niczego się nie boi, zbladł jak marmur, kiedy uderzył sztorm.

Zidantas!

Zamordowany i pozbawiony głowy przez Mykeńczyków. Tak jak Dios i Pauzaniasz, Argurios i Laodike. Jak mały Diomedes i jego matka Halizja.

Wspomnienia były bolesne, ale kiedy Helikaon stał w bladym świetle przedświt, nie było już w nim gniewu. Czuł się tak, jakby wokół niego unosiły się duchy przeszłości, oferując mu ciche wsparcie i nieustanną przyjaźń.

– Robisz się cikliwy – ostrzegł sam siebie. – Martwi odeszli, a ty jesteś tu sam.

Mimo to poczuł, że po raz pierwszy od wielu dni zaznaje spokoju.

Ludzie na plaży zaczęli się budzić. Dorzucali drewna do ognia, żeby przegnać ziąb nocy. Helikaon zobaczył wstającą ze swego posłania Andromachę. Kiedy przypomniał sobie pocałunek w megaronie w noc bitwy, serce zabiło mu szybciej. Ze złością odwrócił wzrok od księżniczki.

Nie wspominaj tej nocy! – skarcił się w myślach.

Jego uwagę przyciągnął ruch na morzu. Rybacy w dwóch małych łodziach zarzucali sieci na wodach poza zatoką. Helikaon obserwował ich przez chwilę. Łodzie były stare, zbudowane prawdopodobnie w czasach, kiedy dziadowie rybaków byli młodymi mężczyznami, pełnymi nadziei i marzeń.

Wojny wybuchają i gasną, pomyślał, a rybacy będą tu zawsze.

Zszedł ścieżką prowadzącą w dół klifu, po czym zeskoczył na piasek i skierował się do ognisk. Jeden z żeglarzy nabrał chochlą strawę do drewnianej miski i podał Helikaonowi. Ten podziękował, wziął podpłomyk i ruszył dalej wzdłuż plaży.

Usiadłszy na skale, zaczął powoli jeść. Po chwili podeszła do niego Kasandra, zamiatając piasek suknią.

- Szukam twojego przyjaciela – powiedziała. – Gdzie on jest?

Helikaon zdał sobie sprawę, że dziewczynka ma na myśli kozła.

- Może się schował.

- Dlaczego miałby się chować? – zapytała, przechylając głowę.

- Myślę, że ty go przerażasz – zażartował.

- Tak jest – odpowiedziała poważnie. – Nic na to nie poradzę. Mogę dokończyć twój placek?

- Oczywiście. Ale więcej podpłomyków i dobrego jedzenia znajdziesz przy ogniskach.

- Twój będzie smakował lepiej – uznała. – Jedzenie innych ludzi zawsze lepiej smakuje.

Zdjęła opończę, rozłożyła ją na piasku niczym koc i usiadła. Helikaon przez chwilę przyglądał się jedzącej dziewczynce i ogarnęło go poczucie smutku. Mimo wszystkich bogactw ojca, własnej urody i inteligencji Kasandra zawsze była samotna, uwięziona w świecie urojonych duchów i demonów. Czy na Terze naprawdę będą się o nią troszczyć? – zastanawiał się. Czy znajdzie tam szczęście?

Czarnowłosa księżniczka w ciszy skończyła resztę placka, strzepnęła piasek z opończy i energicznie zarzuciła ją na ramiona. Potem podeszła do Helikaona i pocałowała go w policzek.

- Dziękuję za poczęstunek – powiedziała, po czym obróciła się i pobiegła wzdłuż plaży w kierunku okrętu.

Przez trzy dni *Ksantos* płynął, nie natykając się na sztormy ani okręty przeciwnika. Czwartego dnia próbowały ich schwytać trzy kreteńskie galery, ale mający wiatr w żaglach *Ksantos* bez trudu im umknął. Kilka dni później pierwszy raz w czasie rejsu zmoczył ich ulewny

deszcz. Morze wzburzyło się, wiatr zaczął mocniej wiać, na niebie zaś zebrały się burzowe chmury. Nagle nad wodami przetoczył się grzmot, niebo się otworzyło i zadał potężny wichur.

Andromacha i Kasandra skryły się w namiocie przygotowanym dla nich na przednim pokładzie, ale silny podmuch wiatru rozdarł materiał. Andromacha chwyciła linę bezpieczeństwa i przyciągnęła do siebie Kasandrę. Okrętem rzucało, co chwilę wznosił się i opadał.

Usłyszała, jak Helikaon pewnym głosem wydaje rozkazy wiosłarzom. Załoga rzuciła się, aby opuścić żagiel z czarnym koniem. Andromacha odwróciła się, szukając wzrokiem sylwetki Helikaona. Stał na tylnym pokładzie, mocno trzymając się relingu, jego długie, czarne włosy rozwiewał wiatr.

Nagle noc rozświetlił błysk pioruna i chwilę później o pokład wściekle zadudniły strugi deszczu. Kasandra krzyknęła, ale nie ze strachu. Andromacha zobaczyła, że oczy dziewczynki błyszczą ekscytacją. Nad pokładem przewaliła się olbrzymia fala i uderzyła w nie ściana wody. Napór fali wyrwał Kasandrę z uścisku Andromachy. Wylądowała na plecach i próbowała się podnieść. Kolejny grzywacz poderwał dziób *Ksantosa* i dziewczynka mocno uderzyła o deski, po czym zaczęła zjeżdżać w dół splukanego wodą pokładu.

Widział to siedzący na swoim miejscu przy maszcie Gershom. Kasandrze nie groziło raczej zmycie za burtę, ale Egipcjanin obawiał się, że osuwająca się bezwładnie dziewczynka może uderzyć w jedną z ławek wiosłarzy i rozbić sobie głowę. Osóbka tak krucha jak Kasandra mogła sobie nawet złamać kark.

Okręt miotał się na falach jak zwykły kawałek drewna. Gershom wiedział, że nie uda mu się po prostu dojść do Kasandry. Puścił linę bezpieczeństwa i rzucił się szczupakiem na pokład ku dziewczynce. Gdy zderzyli się z impetem, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. *Ksantos* podskoczył raz jeszcze, ciskając nimi w kierunku masztu. Egipcjaninowi udało się tak obrócić, żeby przyjąc impet uderzenia na ramię. Stęknąwszy boleśnie, wyrzucił do przodu rękę. Jego dłoń natrafiła na coś twardego i mocno zacisnął palce. Był to wspornik okrągłej osady masztu i otaczającej go ławy. Podciągając się na kolana, Gershom usadowił tam Kasandrę.

– Złap się liny! – polecił jej.

Kasandra tak zrobiła, a Gershom wciągnął się na ławę obok niej.

Pogoda się pogorszyła, a z nieba lunęło. Gershom widział wiosłarzy napierających z wysiłkiem na wiosła i słyszał Helikaona, który wykrzykiwał kolejne rozkazy. Przeniósłszy wzrok na prawą burtę, zobaczył zarys skalistego przylądka. Powoli, walcząc z przeciwnym

wiatrem, *Ksantos* wpłynął pod osłonę wysokiego cypla.

Chwiejba *Ksantosa*, osłoniętego przed najgorszym wiatrem przez wyniosłe skały, szybko ustała. Helikaon zarządził wciągnięcie wiosł i rzucenie kotwic. Wioślarze wstali z ławek i zaczęli rozprostowywać kości, przechadzając się po pokładzie.

Po jakimś czasie przestało padać i na niebie pokazały się plamy błękitu. Gershom zerknął w dół na przytuloną do niego czarnowłosą dziewczynkę.

- Jesteś już bezpieczna – powiedział, mając nadzieję, że dziecko się odsunie.

- Cały czas byłam bezpieczna – odpowiedziała Kasandra, opierając głowę na jego ramieniu.

- Głuptasie! Twój kark mógł pęknąć jak gałązka.

Kasandra się roześmiała.

- Nie jest moim przeznaczeniem umrzeć na tym okręcie.

- Racja. Helikaon mi powiedział, że zamierzasz żyć wiecznie.

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Tak jak ty.

- Słowa miłe mej duszy. Jakoś nigdy nie uśmiechała mi się perspektywa śmierci.

- Och, umrzesz – powiedziała. – Wszyscy umierają.

Gershom poczuł narastającą irytację i starał się ją opanować. W końcu dziewczynka była obłąkana. Mimo to nie mógł się powściągnąć przed zadaniem pytania.

- Jak mogę jednocześnie żyć wiecznie i umrzeć? – zapytał.

- Nasze imiona będą żyć wiecznie. – Zmarszczyła brwi i przechyliła głowę. – Tak, tak – powiedziała. – „Wiecznie” to nieodpowiednie słowo. Przyjdzie taki dzień, kiedy nie będzie miał kto pamiętać. Ale to tak odległa przyszłość, że równie dobrze można ją uznać za wieczność.

- Skoro będę martwy, to czemu miałbym się przejmować tym, że moje imię będzie znane? – zapytał Gershom.

- Nie mówiłam, że to cię będzie obchodzić – wytknęła mu. – Wiesz, gdzie jesteśmy?

- Wewnątrz Wielkiego Kręgu. Helikaon mówi, że wkrótce dotrzemy na Terę.

Kasandra wskazała na ląd.

- To wyspa Delos, leży w centrum Kręgu. Świąte miejsce. Wielu ludzi uważa, że właśnie tu urodzili się Apollo i Artemis.

- Ale ty tak nie myślisz?

Pokręciła głową.

- Słońce i księżyc nie wyrosły jak kwiaty na morzu. Ale Delos jest świętym miejscem. Tu się kryją olbrzymie moce. Wyczuwam to.

- Jakie moce?

- Takie, które przemawiają wprost do serca – odpowiedziała. – Już ich doświadczyłeś, Gershomie. Wiem, że tak było. – Kasandra się uśmiechnęła. – Dziś w nocy rozpalę ognisko modlitewne i będziesz siedział ze mną w blasku gwiazd. Wtedy zaczniesz rozumieć.

Gershom ciężko się podniósł.

– Możesz rozniecić ognisko, gdzie tylko zechcesz, księżniczko, ale mnie przy nim nie będzie. Nie zamierzam oglądać tego, co ty. Chcę po prostu żyć, wdychać świeże powietrze i pić słodkie wino. Chcę mieć żonę i spłodzić synów i córki. Nie obchodzi mnie, czy moje imię będzie żyło wiecznie.

Gershom opuścił dziewczynkę i ruszył w kierunku tylnego pokładu.

Pogoda uspokoiła się dopiero późnym popołudniem. Helikaon zerknął na zaczerwienione niebo. Zimowe słońce szybko się osuwało i wkrótce miały zapaść całkowite ciemności.

– Wioślarze na pozycje! – zawołał.

Mężczyźni pośpieszyli do ławek, odwiązali wiosła i szybko je wysunęli. Oniakos wysłał ludzi na dziób i rufę okrętu, żeby wciągnęli kotwice. Następnie wdrapał się na tylny pokład i zajął swoją pozycję przy wiosle sterowym.

- Na południe – polecił mu Helikaon.

- Na trzy! – krzyknął Oniakos do wioślarzy. – Raz... gotuj się! Dwa – zaprzyj sięęęę! Trzy – CIĄGNIJ! – Osiemdziesiąt wiosła zanurzyło się w wodzie i *Ksantos* zaczął się oddalać od małej wysepki, wypływając na pełne morze. – I... raz! I... raz! I... raz!

Oniakos pokrzykiwał jeszcze przez chwilę, aż wszyscy złapali rytm. Umilkł, kiedy wioślarze zaczęli pracować jak jeden doskonały organizm.

Kiedy wysunęli się z przylądka, Helikaon dostrzegł w oddali kilka łodzi rybackich, ale żadnego śladu okrętów przeciwnika. Wiatr im sprzyjał i przy maszcie ustawiło się sześcioro marynarzy szykujących się do rozwinięcia żagla. Jeden z nich spojrzał pytająco na Helikaona, ale ten pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Poczekajcie! – zawołał. Przechodząc na lewą burtę, spojrzał w dół na dwa rzędy wiosła. Wznosiły się i opadały w idealnie zgodnym rytmie. Następnie przeszedł na prawą

burzę i również przyjrzał się ruchowi wiosła.

- Szóste wiosło, dolny rząd – zauważył Oniakos.

- Tak – zgodził się Helikaon. – Co mu się stało?

– Przytrzasnął sobie palec pokrywą włazu. Nic poważnego. Najprawdopodobniej skończy się na stracie paznokcia.

Gershom podszedł do nich i również przyjrzał się rządowi wiosła.

– Nie widzę niczego złego w pracy wiosła numer sześć – skomentował.

- Przyjrzyj się lepiej – powiedział Helikaon. Egipcjanin zmrużył oczy.

- Nie dostrzegam tego, co wy – przyznał w końcu.

– Rytm jest dobry, ale wiosło nie zanurza się tak głęboko, jak powinno. W postępującym ruchu okrętu jest krótki moment nierównowagi. Jeżeli zamkniesz oczy, wyczujesz to.

Helikaon pochwycił niedowierzający wzrok Gershoma.

– To nie żart, przyjacielu.

Gershom obrócił się do Oniakosa.

– Możecie wyczuć tę... nierówną pracę jednego wiosła na osiemdziesiąt? Nie kpijcie sobie ze mnie!

Oniakos kiwnął głową.

– Ból w ręce sprawia, że wiosłarz trochę szarpie w momencie, kiedy zanurza wiosło. Mówiłem mu, żeby dzisiaj zrobił sobie wolne, ale to dumny człowiek.

Kilka czarno upierzonych mew pojawiło się na niebie, nurkując i kręcąc pętle w powietrzu.

- Poczuliście? – zapytał nagle Gershom.

- Co? – zapytał Oniakos.

- Jedna z mew zesrała się na pokład. Poczekajcie, zaraz zmienię postawę, bo trzeba wziąć pod uwagę nowy rozkład ciężaru.

Oniakos ryknął śmiechem.

– Gershomie, wcale sobie z siebie nie żartujemy. Gdybyś spędził tyle lat co my na pokładzie, też czułbyś najmniejszą zmianę w zachowaniu *Ksantosa*. Ot, na przykład okręt inaczej stawia czoło fali, kiedy nasze zapasy się wyczerpią i dziób uniesie się wyżej albo kiedy zamoknie żagiel, lub gdy wiosłarze są zmęczeni.

Gershom nie wyglądał na przekonanego, ale wzruszył ramionami.

– Wierzę wam na słowo. A więc dokąd skierujemy się wieczorem?

– Może na Naksos, może na Minoę. Jeszcze nie zdecydowałem – powiedział Helikaon.

- Na plaży Kronos jest miła osada – wtrącił Oniakos.

- I mniej miły kreteński garnizon – dodał Helikaon.

- W istocie, ale to tylko straż miejska. Założę się, że chętnie by zarobili, sprzedając nam nieco żywności. A ja mam już dość suszonego mięsa i cienkiej zupy. Zapewne pamiętasz, że mieszka tam całkiem niezły piekarz.

- Oniakos mnie przekonał – uznał Gershom. – Gdzie jest plaża Kronos?

- Na wyspie Naksos – odpowiedział Helikaon.

- Największa wyspa w Wielkim Kręgu – dodał Oniakos. – Piękne miejsce. To tam spotkałem swoją żonę.

Zapadła niezręczna cisza. Potem odezwał się Helikaon.

– Oniakos ma rację – powiedział do Gershoma. – To piękna wyspa, ale na Minoi będziemy chyba bezpieczniejsi. Tamtejszy władca jeszcze nie zdecydował, czy chce wziąć udział w wojnie. Jest przebiegły, więc zaczeka, aż się wyjaśni, której ze stron przypadnie zwycięstwo. Poza tym ma do dyspozycji tylko pięć galer i nie podejmie ryzyka rzucenia ich przeciwko okrętowi Podpalacza.

Helikaon, oszczędzszy od nich, dał znać marynarzom przy maszcie, aby wciągnęli żagiel. Kiedy tylko sylwetka czarnego konia zatrzepotała na wietrze, Oniakos wydał polecenie wciągnięcia wioseł.

Znowu zaczęło padać i o pokład delikatnie bębniły krople deszczu. Helikaon spojrzał na dziób okrętu. Naprawiono już mały namiot i Andromacha z Kasandrą stały przy relingu obok niego.

- Czy Andromacha obraziła cię w jakiś sposób? – zapytał Gershom.

- Oczywiście, że nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Prawie w ogóle z nią jeszcze nie rozmawiałeś.

Była to prawda, ale Helikaon nie chciał o tym mówić z Gershomem. Ruszył więc w kierunku obu kobiet. Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że są pochłonięte obserwowaniem delfina. Andromacha spojrzała na Helikaona i wojownik natychmiast poczuł moc kryjącą się w jej zielonych oczach. Ale to Kasandra przerwała ciszę.

- Cavala ciągle jest z nami – powiedziała, wskazując na delfina.

- Czy coś ci się stało, kiedy upadłaś? – zapytał ją.

- Nie. Złapał mnie Gershom. On jest bardzo silny. – Wzdrygnęła się. – Chciałabym, żebyśmy mieli tu ognisko. Jest bardzo zimno.

Helikaon zauważył, że jej usta zsiniwały. Zdjąwszy swą ciężką opończę, otulił ramiona Kasandry. Rada z odrobiny ciepła dziewczynka mocno owinęła się grubym sukniem.

– Posiedź trochę w namiocie – poradził.

Kasandra uśmiechnęła się do niego.

- Martwisz się o mnie czy chcesz porozmawiać sam na sam z Andromachą?

- Martwię się o ciebie, mała kuzynko.

- A więc tak zrobię – powiedziała. – Dla ciebie.

Kasandra schyliła się i zniknęła w małym namiocie, a Helikaon nagle stracił pewność siebie. Spojrzał w oczy Andromachy.

– Rzadko czuję się tak niezręcznie – zaczął.

– Czy to dlatego unikałeś mnie od rozpoczęcia rejsu? – W jej spojrzeniu czaił się chłód, a w głosie wyczuwało się ledwie powstrzymany gniew.

– Tak – przyznał. – Nie wiem, jak... – urwał nagle. Co mógł powiedzieć? Że przez całe życie marzył o miłości i że ona jest spełnieniem tych marzeń? Że od dnia, kiedy ją poznał, stała się panią jego serca? Że kiedy zasypia, zawsze widzi jej twarz i jest też pierwszą osobą, o której myśli po przebudzeniu? Westchnął.

- Nie mogę powiedzieć, co się dzieje w moim sercu – wyznał w końcu. – Nie żonie drogiego przyjaciela i matce jego syna.

- Tak – przytaknęła. – Matce syna mężczyzny, którego kocham z całego serca.

Słowa wypowiedziane z naciskiem i pasją ugodziły go niczym miecz. Cofnął się o krok.

– Cieszę się twoim szczęściem – zdołał wykrztusić. I zobaczył, że po policzkach Andromachy spływają łzy.

Odwrócił się i ruszył na tylny pokład.

Gershom przyjrzał mu się uważnie.

– Wszystko w porządku? Zbladłeś.

Helikaon zignorował tę uwagę i zwrócił się do Oniakosa.

– Na południowy zachód ku Minoi – rozkazał.

VII. PRAWDA PRZEPOWIEDNI

Król Alkajos nie był ambitny. Żyzna ziemia wyspy Minoa zapewniała mu wystarczające bogactwo, aby on sam i jego trzy żony mogły żyć na godziwym poziomie. Regularne dochody z handlu bydłem i zbożem pozwalały mu na utrzymanie niewielkich sił zbrojnych – wybrzeże patrolowało pięć galer, ziemi zaś broniło około pięciuset wojowników. Zarówno okręty, jak i mała armia nie były wystarczająco silne, aby królowie sąsiednich wysp czuli się zagrożeni inwazją, ale też i nie zachęcały ich do ataku na Minoę.

Dwudziestoosmioletni Alkajos był zadowolony ze swojego życia.

Już wiele lat temu odkrył, że kluczem do sukcesu są harmonia i równowaga. Dla Alkajosa nie była to łatwa droga. Jako dziecko, ku rozpaczy swego ojca, który próbował wpoić mu umiejętność panowania nad uczuciami, łatwo poddawał się emocjom i lubił popisywać się krasomównictwem. Stary król utrzymywał, że wszystkie podejmowane przezeń decyzje muszą mieć racjonalne uzasadnienie i być dogłębnie przemyślane. Nieustannie pokpiwał z impulsywności syna. W wieku dwudziestu lat Alkajos zdał sobie sprawę, że ojciec ma rację. Zrozumienie tej prawdy stało się swego rodzaju wyzwoleniem – Alkajos udał się do ojca, podziękował za naukę, po czym wbił mu nóż w serce i został królem.

Po tym wydarzeniu nikt go już nie wyśmiewał, dla króla zaś nastał czas harmonii i równowagi. W rzadkich chwilach, kiedy ktoś próbował zaburzyć ową sielankę, władca natychmiast znajdował źródło ukojenia w sztylecie.

Niestety, dzisiejszy dzień jest inny, pomyślał Alkajos z irytacją. Trudno będzie znaleźć w nim choć odrobinę równowagi.

Poprzedniego dnia król przygotowywał się do przeniesienia do swojego drugiego pałacu na zachodnie wybrzeże, osłonięte od przenikliwych zimowych wiatrów. Dwie jego żony były w ciąży, trzecia zaś kusząco bezpłodna. Mimo toczącej się wojny sezon kupiecki przyniósł mu jeszcze większe zyski niż zeszłego lata. Wszystko wskazywało na to, że bogowie patrzą na Alkajosa przychylnym okiem.

A potem powróciła galera Mykeńczyków. Musiał odłożyć swoją podróż na południowy zachód i stać się czarującym gospodarzem dla dwóch kreatur Agamemnona – jednego węża i jednego lwa. Obydwaj byli niebezpieczni.

Mykeński poseł Kleitos, człek o wyblakłych i zimnych oczach, przedstawiał właśnie, jak wdzięczny byłby król Agamemnon, gdyby następnego lata zboże z Minoi zostało wykorzystane do wykarmienia armii zachodu, kiedy rozpoczną inwazję na Troję.

Kleitos perorował monotonnym głosem, lecz Alkajos ledwo go słuchał. Wszystko to słyszał już wcześniej. Jego zboże eksportowano na całą Wielką Zielen, co przynosiło znaczące profity. Jak to zgrabnie ujął Kleitos, zaopatrywanie Agamemnona byłoby „gestem zaufania”. Poseł zapewniał, że zyski Alkajosa byłyby ogromne i w całości pochodziły z zagrabionego skarbcza Troi. Alkajos powstrzymał uśmiech wypływający mu na usta. Jak to powiedział kiedyś jego ojciec, „nie wyszarpuj zębów lwu, dopóki nie zobaczysz much unoszących się nad jego językiem”. Na myśl o lwie Alkajos przeniósł spojrzenia na drugiego Mykeńczyka, wojownika Persjona.

Muskularny mąż, z czarną rozwidloną brodą, milczał, swobodnie opierając dłoń na rękojeści miecza. Alkajos znał ten typ ludzi. W jego ciemnych oczach błyszczała arogancja mówiąca o jego zwycięstwach. Persjon był wojownikiem, mordercą i najprawdopodobniej niekiedy płatnym zabójcą. Stał nieruchomo niczym posąg, nie mrugnawszy nawet okiem. Jego obecność była niewypowiedzianym ostrzeżeniem. Ci, którzy odmawiali prośbom Agamemnona, nie żyli zbyt długo.

Alkajos odchylił się do tyłu i dał znak służącemu. Ten przeszedł przez megaron i nalał mu kolejny puchar wina. W pomieszczeniu dawało się wyczuć zimne podmuchy wiatru. Alkajos podszedł do piecyka stojącego przy północnej ścianie. Kleitos poszedł za nim.

– Odniesiemy zwycięstwo najpóźniej w lecie – powiedział. – Największa flota w historii przewiezie siedemdziesiąt tysięcy wojowników, którzy staną pod murami Troi. Miasto nie będzie w stanie stawić czoła naszej potędze.

- Ciekawe – zauważył Alkajos. – Zdaje się, że słyszałem od ciebie podobne słowa rok temu?

- Pojawiły się pewne nieprzewidziane komplikacje – odparł Kleitos, zaciskając usta. – Mogę cię zapewnić, że więcej nie przewidujemy.

Alkajos uśmiechnął się krzywo.

– Zechciej mi wybaczyć – rzekł swobodnie. – Zapewniasz mnie, że nie przewidujecie więcej nieprzewidzianych komplikacji. Gdybyście je przewidzieli, wszak nie byłyby one nieprzewidziane. To istota niespodzianki, drogi Kleitosie. Niespodzianka zawsze jest nieprzewidziana. Więc utrzymujesz, że księżę Hektor, jego Koń Trojański, przebiegły Priam

i zabójczy Eneasz nie mogą cię już niczym zaskoczyć. Bardzo odważne stwierdzenie, jeśli mogę zauważyć.

Kleitos zamrugał, po czym jego oczy się zwęziły.

- Jestem żołnierzem. Gierki słowne mnie nie interesują. Chcę tylko powiedzieć, królu Alkajosie, że Troja jest zgubiona.

- Pewnie masz rację – odpowiedział pojednawczo król. – Jednakże pamiętam moją rozmowę z królem Peleusem z Tesalii zeszłego roku. Mówił, że nie może się doczekać zniszczenia Konia Trojańskiego i chwili, kiedy zmusi tego pyszałka Hektora do całowania ziemi u jego stóp. Właśnie wczoraj dowiedziałem się, że wprawdzie w Karpei doszło do długo wyczekiwanego spotkania, ale nikt nie wspominał o całowaniu ziemi.

Król zauważył, że Kleitos powoli traci panowanie nad sobą. Niedługo ciepłe słowa zamieniają się w twarde żądania. Alkajosa denerwowało, że będzie musiał teraz znaleźć sposób na ugłaskanie tego zwierza. Wyprowadzanie z równowagi posła Agamemnona było miłą, acz nierozważną rozrywką.

Rozmowę przerwało gwałtowne walenie do szerokich wrót megaronu. Służący szybko je uchylił, wpuszczając masywnego żołnierza. Był to Malkon, dowódca jazdy Alkajosa. Przez otwarte na chwilę wrota wpadł silny powiew wiatru. Podmuchił z piecyka fontannę iskiei, zmuszając Kleitosa, żeby się cofnął. Malkon podszedł do króla. Był niskim mężczyzną o szerokich barkach, miał brązowy napierśnik. Grzmotnąwszy w niego pięścią, skłonił głowę przed Alkajosem.

- Co się stało, Malkonie?

- Duża... galera została wyciągnięta na plażę przy Skale Tetydy, panie. – Alkajosowi nie umknęło wahanie przed wypowiedzeniem słowa galera i uważniej przyjrzał się dowódcy. – Podróżują na Terę – kontynuował żołnierz. – Wiozą nową kapłankę w służbie Minotaura. Poprosili o udzielenie schronienia na plaży na noc i możliwość zakupu żywności.

- Rozumiem – odpowiedział spokojnie król, choć jego myśli goniły jak szalone. Malkon miał wszystkie pełnomocnictwa, aby odpowiedzieć na prośbę obcych żeglarzy bez kontaktowania się z nim. Nie przerywałby ważnego spotkania, gdyby nie chodziło o coś więcej. Był bystry i inteligentny i jego wahanie oznaczało, że przybysze stanowili bliżej nieokreślone zagrożenie bądź też ich zjawienie się wróżyło komplikacje, z którymi kapitan sam nie mógł się uporać. Może przybyszem był król jakiejś sąsiedniej wyspy? Nie, to nie to. W takim wypadku

Malkon niezwłocznie udzieliłby pozwolenia. A więc musiało to mieć jakiś związek z obecnością Mykeńczyków...

Co oznaczało, że był to okręt trojański bądź też jednego ze sprzymierzeńców Priama. Ale dlaczego nacisk na dużą galerę?

Zrozumienie uderzyło jak włócznia w cel, choć wyraz twarzy króla się nie zmienił. Alkajos spojrział w niebieskie oczy Malkona.

- Okręt płynący na Terę – powiedział powoli – tak późną porą. No cóż, bogowie żądają, abyśmy byli dla ich sług gościnni. Czyż nie tak, Kleitosie? – zapytał nagle, spoglądając na Mykeńczyka.

- Musimy zawsze okazywać respekt panom ziemi – odpowiedział Kleitos. – W przeciwnym razie pozbawią nas swego błogosławieństwa bądź wręcz przeklną nasze działania.

- Słusznie i ładnie powiedziane. – Odwracając się do żołnierza, król rzekł: – Idź i przekazaj przybyłym, że są u nas mile widziani.

Malkon pokłonił się i ruszył w stronę wrót. Kiedy do nich dochodził, Alkajos zadał mu pytanie:

- Czy pośród naszych gości jest ktoś znany?

Malkon odchrząknął.

- Eneasz z Dardanii, panie. Wiezie córkę Priama, która ma na Terze rozpocząć nowicjat.

- Podpalacz jest tutaj! – wrzasnął Kleitos. – To niewiarygodne! Twoi żołnierze muszą natychmiast go zatrzymać. Król Agamemnon sownie cię wynagrodzi.

- Nie mogę go zatrzymać, Kleitosie – odparł Alkajos. – Statek płynie do świątyni na Terze i, jak sam przed chwilą zauważyłeś, jesteśmy winni bogom szacunek. – Odwróciwszy się do Malkona, król zawołał: – Zaproś króla Eneasza i jego pasażerów do pałacu na wieczór.

Żołnierz szybko opuścił megaron. Alkajos odwrócił się do Kleitosa.

- Nie bądź taki ponury, mój przyjacielu – powiedział, kładąc rękę na ramieniu Mykeńczyka.

- Twój człowiek, Persjon, wygląda na zręcznego wojownika.

- Bo nim jest. Do czego zmierzasz?

- Czy kiedy go przedstawiałeś, nie wspomniałeś, że jest krewnym wielkiego mykeńskiego bohatera?

- Tak. Alektruon, podstępnie zamordowany przez człowieka, którego zapraszasz do swojego stołu, był jego wujem.

- Jako król i sługa bogów nie mogę, czy to dla zysku, czy z okrucieństwa, występować przeciwko ludziom, którzy im służą. Jednakże, Kleitosie, bogowie ponad wszystkie inne cechy cenią sobie honor i męstwo. Czy zgodzisz się ze mną?

- Oczywiście. Wszyscy o tym wiedzą.

- Persjon poniósł olbrzymią stratę. W jego żyłach płynie bohaterska krew Alektruona, a krew domaga się krwi. Bogowie z pewnością zrozumieją – ba, może nawet przyklasną – jeżeli Persjon uczci honor swojego wuja i wyzwie na pojedynek człowieka, który go zabił?

W bladych oczach posła załśniło zrozumienie.

– Na Aresa, tak! Stokrotne przeprosiny, królu Alkajosie. Źle cię oceniłem. To wspaniały plan!

Jasne światło księżyca oświetlało nadmorskie skały i odbijało się na wypolerowanych deskach *Ksantosa*, sprawiając, że okręt nienaturalnie lśnił. Na plaży rozpalono ogniska, ale członkowie załogi nie wylegiwali się w ich ciepłe. Wielu miało na sobie lekkie pancerze i krótkie miecze u boku. Inni nałożyli cięciwy na łuki. Tylko kucharze przygotowujący kolację byli nieuzbrojeni.

Helikaon wezwał do siebie ludzi, którzy mieli trzymać pierwszą wartę, i ośmiu mężczyzn stanęło dookoła niego w półokręgu. Helikaon mówił cicho, ale nikomu ze zgromadzonych nie umknęło napięcie w głosie wodza.

– Musicie założyć, że to jest port wroga – ostrzegł. – W następnej zatoce znajdują się dwa mykeńskie statki i do tej pory nieprzyjaciel na pewno już się dowiedział, że tu jesteśmy. Wybierzcie sobie pozycje wysoko na skałach i bądźcie czujni.

Andromacha, siedząca niedaleko przy ognisku, odziana w prostą tunikę z zielonej wełny sięgającą kostek, przyglądała się Złocistemu. Ileż jest w tobie sprzeczności, pomyślała. Bywasz gwałtowny i nieprzewidywalny, a w następnej chwili jesteś opanowany i racjonalny niczym siwobrody weteran. Andromacha wpatrywała się w jego profil oświetlany księżycem. Jakby wyczuwając jej spojrzenie, Helikaon odwrócił się nagle i spojrzał na nią beznamiętnie. W jego szafirowych oczach czaił się chłód.

Księżniczka odwróciła wzrok. Wstając od ognia, strzepnęła piasek, który przyłgnął do jej szaty, i ruszyła w kierunku brzegu. Była na siebie zła. Kiedy Helikaon przeszedł na dziób okrętu w złocistych promieniach zachodu słońca, chciała mu wyznać całą prawdę. Że go kocha i nigdy

nie będzie w stanie pokochać innego. Zamiast tego w jednym nierozważnym zdaniu poinformowała go, że to Hektor jest mężczyzną jej marzeń. Teraz nie była już w stanie cofnąć tych słów ani nawet ich wytłumaczyć.

Przez plażę powoli zbliżali się Oniakos i Gershom. Obaj pozdrowili Andromachę, po czym dołączyli do Helikaona. Strażnicy oddalili się na swoje pozycje na wzgórzach i Andromacha usłyszała, jak Gershom wyłuszcza swoje obiekcje dotyczące zbliżającej się uczty.

- Po cóż to ryzyko? – zapytał. – Wiesz, że tam mogą być Mykeńczycy.

- Myślisz, że powinienem sobie znaleźć jaskinię i się w niej zaszyć?

- Nie to miałem na myśli. Jesteś dzisiaj w dziwnym nastroju, Złocisty. Z uwagą wybierasz najlepszych wojowników na wartę. Rozbijasz obóz w miejscu dogodnym do obrony i przygotowujesz się do walki. Po czym beztrząsco decydujesz się udać w miejsce, gdzie mogą otoczyć cię wrogowie.

- Nie będzie żadnej zasadzki, Gershomie – odpowiedział Helikaon. – Wśród zaproszonych jest wojownik, który zamierza wyzwać mnie na pojedynek po uczcie.

- To żarty?

- Skądże znowu. Alkajos przysłał sługę, żeby mnie ostrzec.

- Znasz tego człowieka?

Helikaon pokręcił głową.

- Zwie się Persjon. Jest krewnym drania, którego zabiłem kilka lat temu. Alkajos mówi, że mój przyszły przeciwnik wygląda na krewkiego siłacza.

Gershom zaklął pod nosem.

- A niech to zaraza! Wojownik? A więc nie masz wyboru. – Zerknął ze złością na Helikaona. – Powinieneś być posłuchać Oniakosa i popłynąć na tę wyspę, gdzie mają utalentowanego piekarza.

Helikaon wzruszył ramionami.

- Tam również byliby Mykeńczycy, przyjacielu.

- Cóż... więc przynajmniej nie ryzykuj i zabij go szybko.

Helikaon uśmiechnął się krzywo.

- Taki właśnie mam plan.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, ale Andromacha oddaliła się od nich z żołądkiem ściśniętym ze strachu. Dziś w nocy Helikaon ma stoczyć pojedynek. Księżniczce zaschło

w ustach. Jeżeli zginie, cząstka niej umrze wraz z nim. Nawet nie myśl w ten sposób, skarciła się w myślach. To Helikaon, Złocisty. Razem z Arguriusem walczył z najlepszymi wojownikami, jakich mogli wysłać przeciw niemu Mykeńczycy. I pokonał wszystkich.

Andromacha usłyszała za sobą chrzęst piasku, ale nie odwróciła się, lecz skupiła wzrok na oświetlanych światłem księżycą falach.

- Byłoby najlepiej, gdyby Kasandra nie uczestniczyła w przyjęciu – powiedział Helikaon.

- Już wcześniej mówiła mi, że nie chce iść – odparła Andromacha. – Jest przerażona. Twierdzi, że na uczcie pojawi się karmazynowy demon. Nie chce go oglądać.

- Karmazynowy demon? Na bogów, jej stan pogarsza się z każdym sezonem – stwierdził ze smutkiem w głosie.

Teraz Andromacha odwróciła się do niego, ciskając błyskawice z zielonych oczu.

- Jej stan? Wszyscy myślicie, że jest szalona. Ale to nieprawda. Ona rzeczywiście widzi, Helikaonie. Owszem, siła jej wizji doprowadza ją niemal do obłądu. To jeszcze ciągle dziecko, a już widziała dzień swojej śmierci.

- Nie wierzę w to – odpowiedział. – Słyszałem już przepowiednie rozmaitych wieszczów. Słuchałem wyroczeni. Czasami ich wizje się spełniają, ale też często sam byłem w stanie przewidzieć taki rozwój wydarzeń, mimo iż wieszczem nie jestem. Bogowie, jeżeli istnieją, są kapryśni i działają z premedytacją, ale zawsze zaskakują. Myślisz, że stworzyliby świat całkowicie pozbawiony niespodzianek, gdzie wszystko jest z góry zaplanowane?

Andromacha pokręciła głową.

- Dlaczego mężczyźni zawsze popadają ze skrajności w skrajność? To, że czegoś nie da się uniknąć, nie oznacza, że nakreślone jest całe życie, jedno uderzenie serca po drugim. Doświadczylam prawdy przepowiedni, Helikaonie. Na Terze, na plaży Zatoki Niebieskiej Sowy i w Troi, razem z Kasandrą.

Helikaon wzruszył ramionami.

- A więc lepiej ubierz się bardziej stosownie na ucztę – powiedział – chyba że chcesz przegapić przybycie karmazynowego demona.

- Przebrać się? – zapytała księżniczka z niedowierzaniem.

- Strój, który masz na sobie jest... praktyczny, ale niezbyt pasuje do królewskiej uczyty.

- Ależ ze mnie gapa! – warknęła. – Musiałam zajrzeć do niewłaściwej skrzyni. Otworzyłam tę z ubraniami na podróż morską. Natychmiast udam się na *Ksantosa* i pożyczę królewskie szaty

od jednego z żeglarzy.

Helikaon zaczerwienił się, po czym uśmiechnął.

– Bałwan ze mnie – powiedział łagodnie. – Wybacz mi, proszę. Bizuterii też nie wzięłaś?

Andromacha spojrzała na niego ponuro.

– Nie.

Helikaon postąpił krok do przodu i otworzył skórzaną sakiewkę wiszącą u pasa. Wyciągnął z niej ciężki wisior ze złota i bursztynu i podał księżniczce. Na wisiorze artysta przepięknie wygrawerował wizerunek Artemis napinającej łuk. Ozdoba przyjemnie ogrzewała jej dłoń. Andromacha nieświadomie przesunęła palcami po bursztynie, wyczuwając wgłębienia grawerunku. Spojrzała w oczy Helikaona.

- Dlaczego nosisz go przy sobie?

- Wpadł mi w oko na targu – powiedział, zbyt swobodnie wzruszając ramionami. Wiedziała, że kupił ozdobę z myślą o niej. – To byłby dla mnie zaszczyt, gdybyś włożyła go dziś wieczorem.

- A więc tak zrobię – odparła, unosząc wisior. Helikaon stanął za nią i zamknął zapięcie na jej szyi. – Masz zadziwiająco spokojne ręce jak na kogoś, kto ma walczyć dziś wieczór – stwierdziła księżniczka. – Czy jest ci to tak obojętne?

- Tak – przyznał. – Myślisz, że jestem zbyt pewny siebie?

- Oczywiście, Helikaonie. Masz ku temu solidne podstawy. Jednak zdajesz sobie sprawę, że każdego można pokonać? Nikt nie jest niezwyciężony.

Helikaon uśmiechnął się krzywo.

- I chcesz, żebym z tą myślą ruszył do walki? Że przeciwnik może mnie okaleczyć lub zabić?

- Nie! – krzyknęła Andromacha. – Wcale nie. Po prostu nie chciałam, żebyś był zbyt pewny siebie w czasie pojedynku.

- Teraz już nie musisz się tym martwić – rzucił. – Powinniśmy iść. To nieładnie kazać na siebie czekać królom i mordercom.

Gershom szczelniej okrył się ciężką wełnianą opończę, osłaniając się przed silnymi podmuchami północnego wiatru, i przelotnie wspomniął dobre jedzenie i ciepłe łóżko. Dziesięć niespokojnych, zimnych nocy na plażach sprawiło, że z nostalgią wspominał luksusowe pałace Egiptu, splendor Memfis o białych murach czy też zniewalający majestat Luksoru. Były to

miejsca, gdzie na gładkich kobiercach wylegiwały się kobiety o jeszcze gładziej skórze. Ale ponad wszystko było tam ciepło!

Westchnął. Jako książę Ahmose był właścicielem wszystkich tych pałaców, jednakże dom Gershoma banity był tam, gdzie leżał jego koc. To nie jest czas na rozpamiętywanie utraconych rzeczy, powiedział sobie. Na wyspie znajdowali się Mykeńczycy i trzeba było chronić *Ksantosa* przed możliwym atakiem. Helikaon wysłał zwiadowców na wzgórze na południe i przez wąski przesmyk lądu na wschód.

Na zachodzie rósł rzadki, niemal sięgający plaży las. Część zwiadowców ukryła się na jego skraju, bacznie obserwując skalną ścieżkę prowadzącą do cytadeli króla.

Zwolnieni z obowiązków członkowie załogi rozsiedli się dookoła ognisk. Wszyscy zachowywali czujność i trzymali broń w pobliżu. Jednakże mimo świadomości zagrożenia w zapadającym zmroku słychać było śmiechy i od czasu do czasu rozlegały się śpiewy. Ludzie byli przyzwyczajeni do wojny i niebezpieczeństw, jakie ze sobą niosła.

Gershom spojrział na usiane gwiazdami niebo, a następnie poszukał Oniakosa.

- Zmienimy strażę, kiedy księżyc będzie w zenicie – powiedział. – Dzisiejszej nocy nikt porządnie się nie wyśpi. Dopilnuj, żeby ludzie pili z umiarem.

- Mimo swego uczucia do *Ksantosa* wolałbym teraz pilnować Helikaona – odpowiedział Oniakos. – Co zrobimy, jeżeli te zdradzieckie psy zaatakują Złocistego?

Gershoma dręczyły podobne myśli, ale zachował je dla siebie. Zamiast tego powiedział:

– Helikaon zna tego króla i ufa mu. Myślisz, że ryzykowałby życie żony Hektora i córki Priama?

Twarz Oniakosa zachmurzyła się.

– Kasandra nie poszła z nimi – powiedział nagle zaniepokojony. – Oznajmiła, że zostanie z tobą.

Gershom zaklął. Z tą dziewczynką były same kłopoty! Razem z Oniakosem ruszył pomiędzy marynarzy, pytając, czy ktoś jej nie widział. Zadziwiające, jak niewiele zwracało na nią uwagę. Czarnowłosa księżniczka pośród młodych, silnych mężczyzn powinna wzbudzać większe zainteresowanie. Ale wszystko wskazywało na to, że poruszała się niczym duch. W końcu jeden z kucharzy uświadomił sobie, iż widział ją w pobliżu wąskiej skalnej ścieżki. W tym momencie Gershom przypomniał sobie ognisko modlitewne, o którym wspominała.

– Miej baczenie na wszystko, Oniakosie – powiedział. – Ja spróbuję ją znaleźć. – Podniósł

miecz i ruszył w noc.

Kiedy piął się ścieżką w górę, po prawej stronie widział skąpaną w blasku królewską cytadelę. Po lewej stronie teren pograżony był w mroku, ale jasne światło księżyca oświetlało ścieżkę prowadzącą na skalny cypel osłonięty drzewami. Ścieżka była wąska, najprawdopodobniej wydeptała ją zwierzęta. Mimo to Egipcjanin szedł pewnym krokiem. Zewsząd dobiegały odgłosy nocy – im bardziej oddalał się od morza, tym wyraźniej słyszał przenikliwe cykanie świerszczy i natarczywe skrzeczenie żab. W leśnej ściółce myszkowały niewidoczne stworzenia, gdzieś poza zasięgiem wzroku zaś beczały kozy. Gershom zaczął się pocić pod swoją wełnianą opończą i przystanął na chwilę. Po chwili poczuł nikły zapach płonących ziół. Obrócił się powoli, szukając źródła tej woni. Na skale powyżej dostrzegł drżący poblask ogniska.

Wspinając się ostrożnie, od południa znalazł wejście do głębokiej jaskini osłoniętej od północnych wiatrów. Pod przeciwległą ścianą ktoś rozpałił ognisko i dym powoli wzbijał się pod sklepienie.

– Kasandro? – zawołał, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Schyliwszy głowę, przesunął się w głąb jaskini. Dym z ogniska był dość ostry, ale wyczuwało się w nim też pachnące mdło zioła. Oczy Gershoma zaczęły łzawić i Egipcjanin przykucnął, aby być bliżej skalnego podłoża i nabrać haustu bardziej czystego powietrza. – Kasandro! – zawołał znowu. Własny głos zabrzmiał obco w jego uszach. – Ka-san-dro! – krzyknął, po czym zachichotał, tak dziwnie zabrzmiało to imię. Zwinął się w kłębek, położył głowę na ramieniu i zaczął wpatrywać się w ognisko.

Było dość mizerne – w zasadzie tlił się tylko mały suchy krzaczek. Co ciekawe, wyglądało na to, że liście nie płonęły. Wprawdzie dookoła nich tańczyły płomienie, jasne jak schwyte promienie słońca, ale same listki pozostawały nietknięte. Mimo że ognisko było małe, wydzielalo sporo ciepła. Gershom niezgrabnie odpiął klamrę z brązu spinającą opończę i pozwolił jej opaść na ziemię. Wysilek go wyczerpał i zmusił do głębokiego zaczerpnięcia kolejnej porcji mdłego zapachu unoszącego się w powietrzu. Poczul ogromną senność, choć nadal wpatrywał się w płomień szeroko otwartymi oczami. Odgłosy nocy powoli ucichły.

Potem wydało mu się, że płomień ogarniają go całego, i jego umysł wypełniły kolorowe wizje. Ogień zniknął, a Gershom zaczął śnić.

Unosił się w świetle księżyca nad ogrodem pałacu w Tebach i zaśmiał się w duchu. Zabawne, pomyślał, śnię i wiem, że śnię. Poniżej dostrzegł służkę, która chyłkiem szła przez

ogród z noworodkiem w ramionach. Dziecko było owinięte w kocyk przetykany złotem. Kobieta z płaczem przebiegła przez spowity nocą ogród, po czym wydosła się na ulicę. Gershom poznał służkę, mimo że we śnie była o wiele młodsza, niż ją zapamiętał. Kiedy ostatni raz widział Merysit, była kruchą, siwowłosą staruszką dotkniętą artretyzmem. Była to dobra kobieta, przez siedem lat służyła mu za niańkę. Zaintrygowany, przyglądał się, jak zanosząca się płaczem służąca biegnie słabo oświetloną ulicą. Następnie skierowała się w stronę szerokiego koryta rzeki, gdzie uklękała pośród sitowia. Przytuliła dziecko, ale głowa niemowlęcia opadła na bok, jego niewidzące oczy zaś były szeroko otwarte. W jasnym świetle księżycy Gershom zobaczył, że noworodek jest martwy. Z mroku wychynął brodaty starzec, ubrany w wypłowiałe szaty wyrobnika cegieł. Chwilę potem pojawiła się następna kobieta, w zwiewnych szatach ludu pustyni. Ona również niosła w ramionach dziecko, tym razem żywe. Merysit z czułością okryła żyjące niemowlę złotym kocykiem, po czym pobiegła z powrotem do pałacu.

Gershom podążył za nią do królewskich komnat, gdzie spała jego matka. Prześcieradła były splamione krwią. Królowa otworzyła oczy. Merysit usiadła na łożu i podała władczyni dziecko, które zaczęło płakać.

– Cyt, mały Ahmose, jesteś już bezpieczny – wyszeptła królowa.

To tylko sen, pomyślał Gershom, porażony strachem. Tylko sen.

Wizja uległa zmianie... Oto unosił się niczym orzeł nad gorącą pustynią. Przez rozżarzone piaski brnął tłum ludzi o twardych rysach i trwożliwie spoglądających oczach. Kobiety ubrane były w jasne szaty, pomiędzy stadami owiec i kóz zaś beztrudnie śmigwały dzieci. W pewnym momencie Gershom zobaczył siebie samego, z brodą przetykaną pasmami siwizny, z zakrzywionym kosturem w dłoni. Podbiegł do niego młody chłopak, wykrzykując czyjeś imię.

Egipcjanin zamrugał i wizja przysła, znowu stając się płomieniem ognia w jaskini. Chcąc za wszelką cenę odsunąć się od ogniska, Gershom spróbował wstać, ale opadł z powrotem na ziemię. Płonące gałązki przesunęły się i rozgorzały czerwienią. Zobaczył w nich lśniące rzeki krwi płynące przez ziemię pogrążoną w ciemności i trawioną rozpaczą. Zobaczył ściągniętą smutkiem twarz swojego brata, Ramzesa.

Ognisko rozbłysnęło, wypełniając całe pole widzenia. Wysoko w powietrze biły słupy ognia, a uszy raniły grzmoty tysiąca błyskawic. Dysk słońca pochłonęły ciemności. Gershom patrzył z przerażeniem, jak morze wystrzeliło w górę na spotkanie kłębiących się czarnych chmur. Ogrom i gwałtowna siła wizji sprawiły, że bezwiednie krzyknął i zakrył twarz dłońmi. Ale ciągle

widział...

W końcu ogień się wypalił i do jaskini wpłynęło świeże, chłodne powietrze. Kiedy Gershom wyczołgał się na zewnątrz i padł na błotnistą ziemię, po jego policzkach spływały łzy. W pobliżu, smukła i wyprostowana, z koroną z liści oliwnych na głowie, siedziała Kasandra.

– Teraz zaczynasz widzieć – powiedziała łagodnie. Nie było to pytanie.

Gershom przewrócił się na wznak i spojrzał w gwiazdy. Jego umysł powoli się uspokajał.

- Dodałeś do płomieni ziół odurzających.

- Tak. Żeby pomóc ci otworzyć oczy.

Gershoma zaczęła boleć głowa i jęknął, kiedy podnosił się z ziemi.

– Wypij to – poleciła księżniczka, podając mu bukłak. – To pomoże ci oczyścić umysł.

Wyciągnąwszy korek, Egipcjanin podniósł bukłak i zaczął łapczywie pić. Miał wrażenie, że w jego ustach płonie taki sam żar jak na widzianej przed chwilą pustyni.

- Co widziałem? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- To twoje wizje. Nie wiem, co widziałeś.

- Pod koniec zobaczyłem wybuchającą górę, która zniszczyła słońce.

– Ach... – westchnęła. – A więc się myliłam, bo znam tę wizję. Góra nie zniszczy słońca, najwyżej zasłoni jego światło. To prawdziwa wizja, Gershomie.

Egipcjanin napił się więcej wody.

– Mój umysł spowija mgła – powiedział. – Na ognistej górze znajdowała się wielka świątynia w kształcie konia.

– Tak, to świątynia na Terze.

Gershom nachylił się do przodu.

- A więc nie możesz tam płynąć. Żadne stworzenie nie może przeżyć tego, co widziałem.

- Wiem – powiedziała dziewczynka, zdejmując z głowy koronę z liści oliwnych i wytrząsając gałązki z długich, czarnych włosów. – Umrę na Terze. Wiedziałam o tym, odkąd byłam na tyle duża, żeby cokolwiek wiedzieć.

Gershom miał wrażenie, że zobaczył ją po raz pierwszy, i jego serce wypełnił smutek. Wyglądała na tak kruchą i samotną, z nieobecny wzrokiem i smutnym wyrazem twarzy. Pochylił się, żeby ją przytulić, ale dziewczynka odsunęła się od niego.

- Nie boję się śmierci, Gershomie. Wszystkie moje smutki dobiegną końca na Pięknej

Wyspie.

- Dla mnie nie wyglądała na piękną – powiedział.

- Na przestrzeni wieków miała już wiele kształtów i wiele imion. I będzie miała ich jeszcze więcej. Wszystkie będą piękne – westchnęła. – Ale dzisiejszej nocy nie chodzi o moje życie i śmierć. Ta noc należy do ciebie, Kamienny Człowieku. Twój czas na morzu prawie dobiegł końca. Złożyłeś przysięgę i wkrótce będziesz musiał jej dotrzymać.

Kiedy mówiła, Gershom wrócił myślami do czasu, kiedy Helikaon był bliski śmierci. Kiedy okazało się, że trojańscy lekarze i uzdrowiciele są bezsilni, Gershom udał się na poszukiwanie tajemniczego świętego, mieszkańca pustyni znanego jako Prorok. Nawet teraz potrafił sobie przypomnieć każdy szczegół pierwszego spotkania z nim i słowa, które wtedy padły. Białobrody Prorok zgodził się wyleczyć Helikaona, ale wyznaczył cenę za tę przysługę. I to niemierzoną w złocie czy srebrze.

- Pewnego dnia wezwę cię – powiedział Gershomowi tamtej nocy – i przybędziesz do mnie, gdziekolwiek bym był. Potem będziesz robił to, co ci każę, przez rok.

- Zostanę twoim niewolnikiem?

Odpowiedź Proroka była cicha, jednakże Gershom pamiętał słyszalną w niej nutę potępienia.

- Czy cena jest zbyt wysoka, książę Ahmose?

Gershom chciał odmówić. Domagała się tego jego duma. Chciał krzyknąć, iż cena w istocie jest zbyt wysoka. Był księciem Egiptu, a nie niewolnikiem. Ale nic nie powiedział. Siedział w napięciu, ledwo mogąc oddychać. Helikaon był jego przyjacielem i uratował mu życie. Niezależnie od ceny, musiał spłacić ten dług.

- Zgadzam się – powiedział w końcu.

Teraz w świetle księżyca spojrzął na Kasandrę.

- Czy on już wkrótce wezwie mnie do siebie?

- Tak. Już nigdy więcej nie zobaczysz Troi, Gershomie.

VIII. KARMAZYNOWY DEMON

Mykeński poseł Kleitos siedział bez słowa, obracając w rękę kubek wina. Atmosfera w megaronie Alkajosa była przygnębiająca. Ponad pięćdziesięcioro gości jadło i piło w niemal namacalnej ciszy. W pomieszczeniu wyczuwało się napięcie i Kleitos przyglądał się, jak ludzie ukradkowo zerkali to na Persjona, to na Helikaona, którzy siedzieli na przeciwległych końcach królewskiego stołu.

Dla Kleitosa dzisiejszy dzień stał się odpowiedzią na modły i darem bogów dla człowieka, który wiernie im służył. Jego życie było pasmem błogosławieństw. Przede wszystkim urodził się na ziemiach ukochanych przez bogów i pośród ludzi, którym bogowie sprzyjali. Mykeńczycy byli najzacieńszym narodem Wielkiej Zieleni, szlachetniejszym i bardziej walecznym niż jakikolwiek inny. Usobieniem tej wielkości był król Agamemnon. To on jako pierwszy dostrzegł, że Troja jest zagrożeniem dla wszystkich innych narodów. Zrozumiał, że Priam to despota zamierzający podporządkować sobie wszystkich wolnych ludzi. Przebiegły trojański król przekupił bądź skusił obietnicami innych władców, Agamemnon jednak nie dał się zwieść. To dzięki jego mądrości zło, jakim jest Troja, zostanie wypalone – jej mury runą, lud zaś zasili szeregi niewolników.

Dzisiejszy wieczór będzie zapowiedzią tego wspaniałego dnia. Oto jeden z największych wrogów Myken, człowiek będący usobieniem wszelkich nieprawości, zostanie powalony szlachetną siłą mykeńskiego wojownika. Będzie to noc sprawiedliwości, która uraduje bogów.

Siedząca po lewej stronie Mykeńczyka kobieta w zaawansowanej ciąży nachyliła się nad nim, próbując dosięgnąć tacy z owocami. Ramieniem trąciła rękę posła i odrobina wina zrosiła szaty Kleitosa.

– Najmocniej przepraszam, szlachetny Kleitosie – powiedziała.

Mykeńczyk miał ochotę wymierzyć jej policzek. Zamiast tego uśmiechnął się, sięgnął po tacę i postawił przed ciężarną.

- Nie musisz przepraszać, królowo Arianno – odpowiedział, natychmiast odwracając głowę. Miał nadzieję, że ta gruba maciora zrozumie, iż on nie ma ochoty na rozmowę. Ale kobieta, jak większość istot jej gatunku, była mało pojętna i nie potrafiła zrozumieć prostej aluzji. Chciała kontynuować rozmowę, którą zaczęli wcześniej.

- Nie rozumiem, pośle – powiedziała. – Mówisz, że Priam chciał skąpać świat we krwi.

- Tak. Chce zostać władcą świata.

- Dlaczego?

Spojrzał na nią nie bez zdziwienia.

- Dlaczego? Ponieważ... jest zły. To tyran.

- Chodzi mi o to, co by zyskał z wysłania armii na swoich sąsiadów? Już jest najbogatszym królem. Utrzymywanie armii to kosztowna sprawa. Każdy podbity obszar trzeba kontrolować. Trzeba by też wybudować tam forty. Nieprzeliczona armia nieustannie utrzymująca w posłuchu podbite ziemie wyczerpałaby zasoby nawet tak bogatego miasta jak Troja.

- Co by zyskał? – powtórzył poseł, dając sobie czas na odpowiedź. – Wszyscy widzieliby w nim zdobywcę i bitnego władcę. Zdobyłby sławę i chwałę.

- I to byłoby dla niego ważne?

- Oczywiście. Wszyscy prawdziwi mężczyźni pożądamy sławy i chwały.

- Ach... – westchnęła. – Znowu się pogubiłam. Jest więc prawdziwym mężczyzną czy złym tyranem? A może jednym i drugim?

- Jest zły, tak jak powiedziałem.

- A więc zło również pożąda sławy i chwały. Jak więc odróżnić jedno od drugiego?

- To nie takie proste – odpowiedział wyrozumiale. – Zwłaszcza dla kobiet. Należy polegać na mądrości wielkich królów, jak Agamemnon.

- Słyszałam o jego wielkości – powiedziała Arianna. – Mój mąż opowiada o jego podbojach, jak również o podbitych przez niego miastach, zdobytych niewolnikach oraz wielkości zgromadzonych łupów. Jego ambicje sięgają od Sparty na południu, aż po Trację na północy. Nie znam się dobrze na liczbach. Zabił czterestu czy szesnastu królów i książąt?

- Nie liczyłem – powiedział Kleitos. – Jednakże to prawda, że król Agamemnon jest wojownikiem bez skazy.

- Sławnym i zwycięskim.

- W istocie.

Królowa pochyliła się ku ambasadorowi.

- Ach tak... myślę, że teraz rozumiem. Priam wyprowadził nas wszystkich w pole, maskując swoje plany zdobycia władzy czterdziestoletnim okresem pokoju. Taka przebiegłość jest bliska geniuszowi, nie sądzisz, panie?

Arianna uśmiechnęła się słodko, po czym obróciła, aby porozmawiać z innymi gośćmi. Kleitos spojrzał na nią złowrogo. Pewnego dnia, powiedział sobie, zapłaci za taki brak szacunku. Tak samo jak jej mąż, gorzko odpokutuje swoją przewrotność i kpiny.

Poseł spojrzał nad stołem na Helikaona. Łotr wyglądał na spokojnego. Śmiał się i rozmawiał z jakimś kupcem. Jednakże Kleitos zauważył, że Podpalacz ledwo tknął swój puchar z winem. Alkajos był pogrążony w rozmowie z żoną Hektora. Jej osoba wywarła wielkie wrażenie na Kleitosie. Nie przybyła na ucztę, uginając się pod ciężarem biżuterii, jak inne kobiety. Zamiast tego wdziała prostą zieloną suknię i ozdobiła ją pojedynczym wisiosem. Takie właśnie zachowanie było godne kobiety, która podróżuje bez męża. Światło pochodni odbijało się w złotorudych włosach Andromachy i Kleitos złapał się na tym, że jego wzrok ześlizguje się po jej szyi, aby spocząć na piersiach. Hektor był prawdziwym szczęściarzem, mając taką żonę. Wysoka, pełna gracji, o dobrym guście i niezłomnym charakterze, księżniczka była prawdziwą pięknoscią. Kleitos zastanawiał się, czy król Agamemnon podaruje mu ją jako łup wojenny po upadku Troi. Najprawdopodobniej nie, skonstatował gorzko. Jej syn zostanie stracony, a kobiety rzadko wybaczą ten skądinąd konieczny czyn. Stwierdził ze smutkiem, że ją też trzeba będzie zabić.

Pod koniec uczy wywołano aojdę. Był to młodzieniec o krótko przyciętych jasnych kędziorach i niemal dziewczęcej twarzy. Gdy chłopak stanął przed zgromadzonymi, Kleitos natychmiast poczuł doń antypatię. Z pewnością był to jakiś bojaźliwy syn bogacza, który nigdy nie musiał się bić o to, czego zapragnął, ani też walczyć o przetrwanie w twardym świecie.

Jego głos miał jednak głębię i młodzik potrafił utkać zajmującą historię. Ta zaś była niezwykła sama w sobie, ułożył ją sam Odyseusz i Kleitos słyszał ją kiedyś z ust mistrza. Ten to dopiero potrafił snuć opowieści!

Aojda o delikatnej twarzy zabawiał tłum opowieściami o morskim królu i czarodziejce, jak również o bitwie ze straszliwym Cyklopem. Na zakończenie szeroko rozłożył ramiona i pokłonił się głęboko Alkajosowi. Nastąpiła burza oklasków, król zaś rzucił chłopakowi sakiewkę miedzianych pierścieni.

W ciszy, która zapadła po tym występie, Kleitos znacząco rzucił okiem na Persjona. Wojownik skinął głową, po czym podniósł się powoli.

– Oznajmiam wszystkim, że jestem zwaśniony z jednym z twoich gości, królu – powiedział donośnym głosem. – Krwawa to waśń, a morderca zasiada przy tym stole.

Mimo iż Andromacha przez cały wieczór przygotowywała się na ten moment, nagłe oświadczenie Mykeńczyka było dla niej szokiem. Spojrzała nad stołem na młodego wojownika. Jego ciemne oczy lśniły osobliwym blaskiem, na twarzy zaś malowało się uniesienie. Wyglądał na niezwykle pewnego siebie i swej siły człowieka, który nigdy wcześniej nie zaznał smaku porażki. Andromacha poczuła, że zaczyna się bać. Strachowi nie można ufać, ostrzegła się. Strach wszystko wyolbrzymia. Jest równie zdradliwy jak nieszczerzy.

Mimo racjonalnego rozumowania, kiedy spojrzała ponownie na Persjona, znów zobaczyła wojownika o żywiołowej mocy. Odwróciła wzrok ku Helikaonowi – Złocisty wydał jej się bardziej ludzki, a tym samym bardziej podatny na rany. Zamknąwszy oczy, księżniczka raz jeszcze przywołała wizerunek walczącego na schodach Helikaona; wtedy wyglądał na niezwykłego herosa, którego nie można pokonać. Wspomnienie to sprawiło, że jej serce znowu zaczęło bić równym rytmem.

Głos zabrał Alkajos.

- Uczta jest czasem przyjaźni, Persjonie. Czy ta sprawa nie może poczekać do rana?

- Z szacunku do ciebie, królu Alkajosie, czekałem do zakończenia biesiady. Jednakże bogowie i honor Myken domagają się, abym szukał zadośćuczynienia za okrucieństwa, jakich doznała moja rodzina, mój lud oraz mój król.

Alkajos się podniósł.

- Z którym z gości jesteś zwaśniony? – zapytał.

Persjon wstał i oskarżycielsko wskazał na koniec stołu.

- Mówię o Helikaonie przez moich ziomków nazywanym Złowrogim i Przeklętym.

Alkajos obrócił się do Helikaona.

- Jesteś moim gościem i jeżeli taka będzie twa wola, mogę zakazać temu człowiekowi pojedynku z tobą na podstawie prawa gościnności.

- Nie chcę korzystać z tego prawa – odpowiedział Helikaon, również wstając. – Czy mogę zapytać swojego oskarżyciela, którzy członkowie jego rodziny ucierpieli z mojego powodu?

- Szlachetny Alektruon – krzyknął Persjon – został otoczony przez twoich wojowników, ty zaś ściałeś mu głowę. Wcześniej jednak wydłubałeś mu oczy, aby w Hadesie był ślepcem.

Przez tłum przeszedł szmer i Andromacha zauważyła, że niektórzy zaczęli patrzeć na Helikaona zimno i nieprzychylnie.

– Szlachetny Alektruon – zwrócił się Helikaon do zgromadzonych – jak zresztą niemal każdy Mykeńczyk, nie był nikim więcej jak krwiożerczym dzikusiem lubującym się w nękanii słabszych. Pokonałem go w uczciwej walce, po czym uciąłem mu głowę. I owszem, wydłubałem mu martwe oczy, zanim wyrzuciłem głowę za burtę, rybom na żer. Być może pewnego dnia będę tego żałował. Obecnie żałuję, że nie obciąłem mu języka i nie urwałem uszu.

Helikaon zamilkł na chwilę, po czym przeniósł wzrok na zgromadzonych w megaronie królewskich gości.

– Wszyscy wiecie, jak w praktyce wygląda mykeński honor, o którym opowiada ten nędznik. Dowodów owego honoru możecie szukać pośród ruin waszych miast i wiosek, zgwałconych kobiet i na złupionych ziemiach. Arogancja Mykeńczyków nie zna granic. Mój oskarżyciel mówi o bogach i mykeńskim honorze tak, jakby obydwa pojęcia były sobie w jakiś sposób pokrewne. Nie są. Wierzę całym sercem, że bogowie brzydzą się i pogardzają Agamemnonem i jego ludem. Jeżeli się mylę, niech zginę tu dzisiaj z ręki tej... żalosnej kreatury.

Persjon z okrzykiem nienawiści wyciągnął miecz i ruszył wzdłuż stołu.

– Schowaj miecz! – zagrzmał Alkajos. – To ty wzywałeś bogów, Persjonie, i teraz poczekasz, dopóki nie zadbamy o prawidłowe dopełnienie wszystkich rytuałów. Pojedynek zostanie przeprowadzony według reguł ustanowionych przez bogów z Olimpu. Będziecie walczyć nago, każdy z prostym mieczem i sztyletem w ręku. Kiedy będziemy czekali na kapłana Aresa, kobiety opuszczą salę.

Andromacha siedziała w całkowitym bezruchu, podczas gdy inne kobiety wstawały i opuszczały megaron. Alkajos spojrzał na nią.

– Nie możesz tu zostać, pani.

– Nie mogę też odejść – odparła.

Alkajos zbliżył się do niej i wyszeptał:

- Muszę nalegać, Andromacho. Żadna kobieta nie może być świadkiem pojedynku na śmierć i życie.

- Królu Alkajosie, Helikaon jest moim przyjacielem i będę świadkiem tego pojedynku. Chyba że twoim życzeniem jest, żeby żonę Hektora usunięto z twojego megaronu siłą?

Król uśmiechnął się słabo.

– Niestety, słodka Andromacho, imię twojego męża nie budzi już takiego respektu jak kiedyś. Mimo to spełnię twe żądanie. Nie ze strachu, nie z powodu przyszłych korzyści. Po

prostu dlatego, że jesteś żoną wielkiego człowieka, którego podziwiam.

Alkajos spojrział w górę i przywołał do siebie żołnierza, niskiego, barczystego mężczyznę o surowej twarzy i jasnych, błękitnych oczach.

– Malkonie – mruknął – szlachetna Andromacha chce obserwować pojedynek. Zaprowadź ją do Komnaty Szeptów i upewnij się, że nikt nie będzie jej przeszkadzał.

Andromacha wstała i wygładziła fałdy zielonej sukni. Było tyle rzeczy, które chciała powiedzieć Helikaonowi, ale zaschło jej w ustach, a serce biło jak szalone. Szafirowe spojrzenie Złocistego spoczęło na niej i Helikaon się uśmiechnął.

- Niedługo się zobaczymy, pani – powiedział.

- Dotrzymaj obietnicy – odparła, po czym odwróciła się i ruszyła za żołnierzem, który wyprowadził ją z megaronu i powiódł korytarzem.

Po chwili doszli do kamiennych stopni prowadzących w górę, przez ciasne przejście na dach, z którego rozpościerał się widok na miasto i dalej na morze. Wiał porywisty wiatr i Andromacha zadrżała. Malkon przeciął dach i ruszył do przeciwległego wejścia. Księżniczka poszła za nim, ale nagle zaniepokojona przystanęła w drzwiach, w których zniknął żołnierz. Pomieszczenie było ciemne i pozbawione okien. W świetle księżycy mogła zobaczyć sylwetkę Malkona w drugim końcu pokoju. Wyglądał, jakby klękał. Nagle od strony ściany pomieszczenie przeszła wąska niczym klinga strużka światła. Andromacha zobaczyła, że żołnierz wyjął kawałek deski z podłogi. Wstał i skradając się, cicho wrócił na dach.

– Jeżeli położysz się na dywanie, pani – powiedział szeptem – będziesz mogła zobaczyć to, co dzieje się teraz w megaronie. Ja poczekam na zewnątrz.

Andromacha raz jeszcze zerknęła na ciemny pokój oświetlony tylko wąską strugą światła i zawahała się.

- Czy zmieniłaś zdanie i chcesz wrócić na okręt? – zapytał Malkon.

- Nie. – Andromacha weszła do pokoju, przyklękała i przesunęła się w kierunku smugi światła. Jego źródłem były pochodnie oświetlające megaron znajdujący się poniżej. Pole widzenia było wąskie i Andromacha ledwie mogła dostrzec krawędź stołu biesiadnego, jak również centralne kamienie posadzki megaronu. Po sali krzątali się służący, rozsypując suchy piasek. Szelest ziarenek piasku rozbrzmiewał dziwnie głośno. Jeden ze służących pochylił się do drugiego i szepnął:

- Stawiam dwa miedziane pierścienie na Mykeńczyka. – Słowa te odbiły się w uszach

Andromachy nienaturalnym echem. A więc to tak Komnata Szeptów zyskała swoje miano, pomyślała. Szpiedzy mogli tu leżeć i słuchać rozmów toczących się w megaronie.

Służba oddaliła się i do megaronu przybył starszawy kapłan. Nosił czarne szaty, a jego chude ramiona zdobiły bliźniacze czerwone szarfy będące oznaką wyznawców Aresa.

– Wezwaliście boga wojny na świadka tego pojedynku – powiedział. – Niechaj będzie wiadome, że Ares jest zainteresowany tylko walką na śmierć i życie. Zakazuje się błagania o litość, poddawania się bądź prób ucieczki. Tylko jeden z walczących odejdzie stąd o własnych siłach. Drugi zrosi swoją krwią kamienie. Niech walczący wystąpią.

Pierwszym mężczyzną, którego zobaczyła Andromacha, był Persjon. W świetle pochodni blada skóra jego klatki piersiowej, przez kontrast z opalonymi na brąz ramionami i nogami, wydawała się biała niczym marmur. Wojownik rozciągał mięśnie ramion i pleców, przygotowując się do starcia. Następnie Andromacha dostrzegła Helikaona. Był niższy i mniej szeroki w barach od Persjona i księżniczka poczuła, jak strach ponownie ściska ją za gardło. Obydwaj mężczyźni mieli miecze i noże z brązu, które lśniły niczym splamione krwią złoto w świetle pochodni.

– Wzywam bogów, aby zaświadczyli o słuszności mej sprawy – rzucił Persjon.

Następnie zbliżył się do Helikaona i wyszeptał coś, czego w megaronie nikt nie usłyszał. Ale Komnata Szeptów zaniósła słowa do uszu Andromachy.

– Byłem jednym z tych, którzy zabili twojego brata. Podpaliłem jego tunikę. Och, jak on wył! Kiedy zacznę cię rąbać na kawałeczki, ty też będziesz wył, Helikaonie.

Helikaon nie odpowiedział i zdawał się w ogóle nie słyszeć słów Persjona.

– Rozpoczynajcie pojedynek! – krzyknął kapłan, odsuwając się od wojowników.

Persjon natychmiast skoczył naprzód, celując sztychem miecza w głowę Helikaona. Dardańczyk z gracją uchylił się w lewo, unikając ciosu. Tłum westchnął. Na brzuchu Persjona pojawiła się długa czerwona linia – płytkie cięcie, z którego krew powoli zaczęła spływać na genitalia i uda Mykeńczyka. Persjon zaklął i ponownie zaatakował, wymachując mieczem. Helikaon sparował cios. Persjon pchnął nożem, ale i ten atak został odparty. Helikaon wyskoczył naprzód i uderzył głową, miażdżąc nos przeciwnikowi. Mykeńczyk odskoczył z okrzykiem bólu. Złocisty szybko skrócił dystans, błyskawicznie ciął mieczem z lewa i z prawa, po czym odskoczył. Obok cięcia na brzuchu Mykeńczyka pojawiły się trzy kolejne długie rany. Persjon raz jeszcze rzucił się na Helikaona. Tym razem Dardańczyk nie zrobił uniku. Z łatwością parował

i blokował zamaszyste cięcia Mykeńczyka. Nóż Helikaona błysnął w świetle pochodni i liznął skórę na policzku Persjona. Kawalek mięsa osunął się z twarzy niczym odarty żagiel.

Persjon ryknął z gniewu i frustracji, jednocześnie ciskając nożem w swego dręczyciela. Helikaon uchylił się i sztylet przeleciał obok, uderzając o przeciwległą ścianę. Persjon zadał pchnięcie, ale Helikaon wykonał kolejny unik, ruszając jednocześnie do przodu. Karmazynowa struga bryznęła z ramienia Persjona i Andromacha zobaczyła, że ramię zostało głęboko rozcięte. Mykeński wojownik obficie już krwawił z zadanych mu ran.

– Wezwij bogów jeszcze raz, nędzniku – warknął Helikaon. – Może poprzednio cię nie usłyszeli.

Persjon znowu ruszył do przodu. Broczył krwią, która ochlapała też Helikaona. Mykeńczyk skoczył naprzód, ale się poślizgnął. Helikaon doskoczył i chlasnął mieczem przez usta Persjona, rozcinając skórę i wybijając mu przednie zęby. Persjon upadł na kolana, plując krwią. Powoli wstał i odwrócił się, aby raz jeszcze stawić czoło wrogowi.

Helikaon nie okazał rannemu żadnej litości. Jego miecz i sztylet raz po raz okrutnie cięły tors i twarz Mykeńczyka. Jedno brutalne cięcie pozbawiło Persjona ucha, drugie rozorało mu twarz, odcinając nos. Na widowni zapadła cisza, ale Andromacha widziała przerażenie na twarzach zgromadzonych. Nie była to walka ani nawet egzekucja, tylko przeprowadzone bezwzględnie i z zimną krwią morderstwo. Z każdym kolejnym bolesnym cięciem Helikaon wrywał z piersi okaleczonego Mykeńczyka okrzyk bólu. W końcu, pokryty od stóp do głów krwią, która zaczęła zbierać się w kałuży u jego stóp, Persjon upuścił miecz i po prostu stał, brocząc krwią.

Helikaon odrzucił miecz, szybko się zbliżył i wbił sztylet w serce Persjona. Mykeńczyk zatoczył się na niego i przeciągle, chrapliwie westchnął.

Helikaon odepchnął od siebie umierającego. Nogi odmówiły Persjonowi posłuszeństwa i wojownik zwał się na podłogę.

Andromacha miała już dość. Podniosła się i zaczekała, aż Malkon umieścił na miejscu deskę. Następnie obydwójce wrócili na dach. Wiatr ustał, ale ciągle było zimno.

Żołnierz poprowadził Andromachę schodami i na drogę prowadzącą na plażę. Eskortował ją w świetle księżyca aż do momentu, kiedy w polu widzenia pojawił się *Ksantos* i ogniska rozniecone przez załogę. W tym momencie Malkon odwrócił się bez słowa i ruszył z powrotem do pałacu.

Andromachę powitali Oniakos i reszta załogi. Księżniczka powiedziała, że ich kapitan

zwyciężył. Nikt nie był zaskoczony, ale – co wydało jej się paradoksem – wszyscy się odprężyli.

Nie mając ochoty na towarzystwo, Andromacha przeszła na mały kawałek plaży w pobliżu lasu, z dala od ognisk. Siedząc samotnie przy brzegu, owinięta ciasno grubą opończą, księżniczka nie mogła przestać myśleć o niedawnej walce i Helikaonie, który z zimną krwią szlachtował coraz bardziej bezbronnego przeciwnika. Przywołała w pamięci obraz bryzgającej krwi. Pod koniec pojedynku nagie ciało Helikaona było szkarłatne, prawie tak samo jak ciało jego przeciwnika.

Przed północą zobaczyła, jak Helikaon idzie w jej kierunku wzdłuż plaży. Jego włosy były ciągle mokre po kąpieli, w czasie której musiał zmyć z siebie krew Mykeńczyka.

- Powinnaś być przy ognisku – powiedział. – Tu jest bardzo zimno.

- Tak – przyznała.

- Czy coś się stało? – zapytał, wyczuwając jej nastrój. – Jeden z naszych wrogów został pokonany i mamy prowiant na podróż na Terę. Nasze sprawy idą coraz lepiej. Powinnaś być szczęśliwa.

- Cieszę się, że przeżyłeś tę walkę, Helikaonie. Naprawdę. Ale dziś zobaczyłam karmazynowego demona Kasandry i ten widok nappełnił mnie smutkiem.

Te słowa zaskoczyły Helikaona.

– Nie było żadnego demona. O czym ty mówisz?

Księżniczka podniosła rękę i dotknęła palcem skóry na jego szyi.

Kiedy cofnęła dłoń, palec był pokryty krwią.

– Chyba niedokładnie się umyłeś – powiedziała zimno.

Wtedy Helikaon zrozumiał, a w jego głosie zabrzmiał gniew.

- Nie jestem żadnym demonem! Mykeńczyk sam ściągnął na siebie zgubę w chwili, kiedy podpalił mego brata.

- Nie zrobił tego – odparła Andromacha. – Król Alkajos opowiadał mi o nim podczas uczy. Powiedział, że Persjon stoczył wiele pojedynków na zachodnich ziemiach, ale nigdy wcześniej nie był na morzu. Jak więc mógł wziąć udział w pierwszym ataku na Dardanos?

- Więc czemu tak powiedział?

- Sam sobie odpowiedz na to pytanie.

Miała rację. Już w momencie zadawania pytania Helikaon znał odpowiedź. Persjon chciał go rozgniewać i wyprowadzić z równowagi przed walką. Rozjuszeni ludzie zapominają

o ostrożności, a zapalczywi i uniesieni gniewem rzadko przeżywają pojedynki. Helikaon usiadł i spojrzał bacznie na Andromachę.

- Był więc głupcem – rzucił po dłuższej chwili milczenia.

- Tak – zgodziła się z westchnieniem.

- Mówisz, jakbyś go żałowała.

Gwałtownie odwróciła się w jego stronę i zobaczył gniew w jej oczach.

- Tak, żałuję. Ale jeszcze bardziej jest mi przykro z powodu tego, że widziałam, jak dręczysz i niszczysz odważnego przeciwnika.

- Był złym człowiekiem.

Jej dłoń wystrzeliła niczym wąż, wymierzając mu siarczysty policzek.

- Ty hipokryto! To ty byłeś dzisiaj zły. O podłości czynu, które go dzisiaj dokonałeś, będzie się mówiło na całej Wielkiej Zieleni. Ludzie będą sobie opowiadali, jak dręczyłeś dumnego człowieka, powoli zamieniając go w bełkoczącą kupę mięsa. Opowieść o tej jatce dodadzą do listy innych twoich heroicznych wyczynów, takich jak wydłubanie oczu Alektruonowi, spalenie związanych ludzi w Zatoce Niebieskiej Sowy i napady na bezbronne wioski na zachodzie. Jak śmiesz mówić o podłości Mykeńczyków, jeżeli jesteś ulepiony z tej samej gliny? Między tobą a nimi nie ma żadnej różnicy.

Powiedziawszy to, Andromacha wstała i chciała odejść. Helikaon zerwał się i złapał ją za ramię.

- Kobieto, łatwo ci mnie krytykować! Ty nie musiałaś się błąkać wśród ruin miast i oglądać trupów. Nie chowałaś swoich towarzyszy i nie patrzyłaś na zgwałcone i okrutnie torturowane osoby, które kochałaś.

- Nie, nie musiałam – warknęła, ciskając błyskawice z zielonych oczu. – Ale zobaczą to Mykeńczycy powracający do osad, które ty zniszczyłeś. Będą grzebali ukochanych, których ty zabiłeś lub torturowałeś. Myślałam, że jesteś dzielnym i szlachetnym bohaterem. Że jesteś mądry. Ale potem słyszę, jak mówisz, że wszyscy Mykeńczycy są źli. Argurios, który walczył i zginął u twego boku, był bohaterem. Był też Mykeńczykiem. Dwaj wojownicy towarzyszący Kaliopie, którzy ochronili mnie przed zabójcami, też byli Mykeńczykami!

- Trzech ludzi! – syknął. – A co z tysiącami innych, którzy niczym szarańcza niszczą podbijane przez siebie ziemie? Co z hordami szykującymi się do złupienia Troi?

- Co mam ci powiedzieć, Helikaonie? Że ich nienawidzę? Tak nie jest. Nienawiść to źródło

wszelkiego zła. To nienawiść kieruje takimi ludźmi jak Agamemnon czy ty. Rywalizujecie, który z was popełni bardziej potworny czyn. Puść mnie!

Ale Helikaon jej nie puścił. Andromacha próbowała się wyrwać, po czym ze złością zamachnęła się na niego drugą ręką. Podświadomie przyciągnął ją do siebie, otaczając jej kibić ramieniem. Z tej odległości czuł zapach perfum w jej włosach i ciepło jej ciała. Czoło księżniczki uderzyło go w policzek i Helikaon złapał ją za włosy, aby zapobiec kolejnemu uderzeniu.

I wtedy, zanim zorientował się, co robi, zaczął ją całować. Poczł na ustach smak wina, co niemal go zamroczyło. Andromacha broniła się tylko przez chwilę, po czym jej ciało odprężyło się i oddała mu pocałunek, tak jak cztery lata wcześniej na schodach. Przyciągnął ją bliżej, przesunął dłonie na biodra i podciągnął suknię, aż poczuł ciepło jej skóry na swoich palcach.

Ciągle spleceni ramionami osunęli się na piasek. Andromacha zarzuciła mu ręce na szyję i Helikaon poczuł w jej pocałunkach pragnienie nie mniejsze niż jego żądza. Ułożyła się pod nim z rozsuniętymi nogami, ocierając uda o jego biodra. Wszedł w nią z jękiem rozkoszy.

Kochali się gwałtownie, bez słowa. W całym swoim życiu nie doświadczył takiej intensywności, takiego poczucia spełnienia. Cały świat przestał dlań istnieć, poza leżącą pod nim kobietą. Stracił poczucie miejsca i czasu, zagubił nawet swoje jestestwo. Wojna, zadanie, dalsze życie przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie było poczucia winy, a jedynie radość, której doświadczył przedtem tylko raz, dawno temu, w czasie owego delirycznego snu na krawędzi śmierci.

Andromacha wydała gardłowy okrzyk i jej ciało wygięło się w łuk. On również jęknął i opadł na nią, obejmując ją mocno.

Dopiero teraz dotarły do niego odgłosy fal bijących o brzeg i świst wiatru w koronach drzew. Spojrzał na jej twarz, w głębię zielonych oczu. Chciał coś powiedzieć, kiedy otoczyła jego kark ramieniem i przyciągnęła go w delikatnym uścisku.

– Ani słowa więcej... tej nocy – wyszeptwała.

IX. PODRÓŻ KRWAWEGO SOKOŁA

W odległości połowy dnia żeglugi na wschód, w bezpiecznej zatoce wyspy Naksos, załoga *Krwawego sokoła* wraz z żeglarzami czterech innych okrętów siedziała dookoła legendarnego tkacza opowieści, Odyseusza, który gromkim głosem snuł historię o bogach i ludziach oraz o okręcie złapanym w szpony wielkiego sztormu, aż wzleciał wysoko w niebo i zakotwiczył na srebrnym dysku księżyca. Słuchacze głośno wiwatowali, kiedy krępy król upiększał swoją opowieść wzmiankami o nimfach i driadach.

W niewielkim oddaleniu od kręgu zebranych siedział pogrążony w milczeniu i uważnie słuchający króla Itaki Achilles. Podobały mu się opowieści Odyseusza. Zwłaszcza te, w których śmiertelni ludzie stawiali czoło bogom i odnosili zwycięstwa. Ale najbardziej lubił pojedyncze sceny – wizerunki towarzyszy broni stojących ramię w ramię, nawzajem się osłaniających i gotowych umrzeć jeden za drugiego.

– Jak udało się wam zejść z nieba? – zakrzyknął mężczyzna z tłumu.

Odyseusz parsknął śmiechem.

- Zdjęliśmy żagiel, przecięliśmy go na pół, po czym przymocowaliśmy kawałki do wiosel. Potem używając wiosel niczym skrzydeł, zlecieliśmy z niebios. Męcząca robota, takie machanie wiosłami.

- Kiedy ostatnio raczyłeś nas tą opowieścią – krzyknął ktoś inny – mówiłeś, że prosiłeś o wstawiennictwo Zeusa Ojca, który przysłał pięćdziesiąt orłów, aby przepawiły was na dół.

- To było innym razem – ryknął Odyseusz. – I nie chciałem wtedy marnować żagla. A jeżeli jeszcze któryś krowi syn mi przerwie, obleję go olejem i podpalę mu tyłek.

Achilles się uśmiechnął. Odyseusz był jedyny w swoim rodzaju. Spojrzał z uwielbieniem na starego króla. Był ubrany w wyblakłą czerwoną tunikę, a jego ozdobny złoty pas z trudem opinał pokaźne brzuszysko. W brodzie miał więcej pasm siwizny niż ognistej czerwieni, włosy zaś wyraźnie mu się przerzedziły. Mimo to emanowała z niego niepodatna na upływ czasu siła.

Po raz pierwszy spotkali się przed wielu laty, kiedy Achilles był jeszcze dzieckiem i mieszkał w pałacu swojego ojca w Tesalii. Jako malec wykradł się z sypialni i wraz z siostrą Kaliope ukryli się na szerokiej galerii nad megaronem Peleusa, aby posłuchać opowieści Odyseusza. Historie o bohaterach przyprawiły go o gęsią skórę i razem z siostrą siedział,

sluchajac, z szeroko otwartymi oczyma.

Wspomnienie siostry sprowadziło na niego uczucie smutku i straty. Przypomniał też sobie pierwszą poważną rozmowę z Odyseuszem, zaraz po upadku trackiego miasta Kalliros. Brzydki Król poprowadził flotę statków zaopatrzeniowych w górę rzeki, a następnie zajął się zabawianiem oddziałów. Achilles postanowił zaprosić go na ucztę do zdobytego pałacu.

Odyseusz był zmęczony po wcześniejszym występie i spotkanie przebiegało dość sztywno. W pewnym momencie padła wzmianka o Kaliopie. Czy Odyseusza się zwęziły.

- To była dobra, dzielna dziewczyna – powiedział. – Bardzo ją lubiłem.

- Zdradziła ród Peleusa – odparł Achilles.

Zamiast odpowiedzieć, Odyseusz milczał przez chwilę. Zamieszał wino w pucharze, po czym opróżnił go do dna.

- Achillesie, porozmawiajmy o innych sprawach, bo nie chcę znieważać gospodarza na wydanej przez niego uczcie, w jego własnym domu.

Odpowiedź ta zaskoczyła młodego wojownika.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że powiedziałem cokolwiek, co mogłoby wzbudzić chęć znieważenia mnie. Po prostu stwierdziłem fakt.

- Nie, młodzieńcze, po prostu powtarzasz wielkie kłamstwo. Kaliopie nie byłaby zdolna do zdrady, tak samo zresztą jak ty. Opuściła Terę, bo wieszczka jej powiedziała, iż przyjaciółka znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie. Zrobiła to, co zrobiła, narażając się na śmierć, aby ratować inną dziewczynę. I oddała za nią życie.

- Nie to miałem na myśli – powiedział Achilles. – Zdradziła mojego ojca.

- Teraz to naprawdę musimy przestać o niej rozmawiać – rzucił Odyseusz, wstając od stołu.

- W przeciwnym razie dojdzie do rękoczynów. A ja jestem za stary i za gruby, żeby się bić z takim młodym wojownikiem jak ty. Dziękuję za poczęstunek.

Achilles podniósł się, aby uścisnąć mu rękę.

- Nie rozstawajmy się w gniewie – powiedział. – Jako dziecko uwielbiałem twoje opowieści. Inspirowały mnie i sprawiły, że również chciałem zostać bohaterem. Przez całe życie walczyłem, aby spełnić to marzenie.

Oblicze Odyseusza złagodniało.

- Życie to nie tylko heroizm, Achillesie. Jest w nim też miejsce na miłość, przyjaźń i radość. Wydaje mi się, że o tych rzeczach wiesz trochę za mało.

Achilles się zawstydził.

- Ależ wiem – rzekł, jakby się tłumacząc. – W młodości byliśmy z Kaliope bardzo sobie bliscy. Co do przyjaźni, mężczyzna nie mógłby mieć lepszego przyjaciela niż mój nosiciel tarczy Patroklos. Znam go od dziecka.

- Napijmy się wina... – powiedział Odyseusz, na powrót siadając za stołem. – I porozmawiajmy o smutkach tego świata i o tym, jak dzięki błyskotliwości naszych umysłów możemy je uśmierzyć.

I tak rozmawiali do świtu. Kiedy opróżniali piąty gąsior wina i niebo na wschodzie zaczęło blednąć w świetle poranka, Achilles się przyznał, iż nigdy przedtem nie doznawał takiej radości, prowadząc zwykłą rozmowę.

Odyseusz roześmiał się.

- Widzisz, mój chłopcze, nie jesteśmy rywalami – wyjaśnił. – Jestem za stary, żeby z tobą konkurować. A to jest powód, dla którego brak ci przyjaciół. Jesteś Achillesem. Rywalizujesz o wszystko. Większość młodych ludzi cię podziwia albo się ciebie boi. Tylko Patroklos czuje się swobodnie w twoim towarzystwie, bo razem dorastaliście i zna zarówno twoje mocne strony, jak i słabości.

Stary król pomyślał przez chwilę, po czym kontynuował.

- Słyszałem, jak Peleus mówił o twoim dzieciństwie. Wtedy było dokładnie tak samo. Opowiadał o tym, jak wygrywałeś wszystkie biegi, zapasy, rzuty oszczepem i walki na miecze. Unicestwiałeś szanse wszystkich rówieśników, nigdy nie przegrywając. Można podziwiać człowieka, który ciągle cię pokonuje. Ale są niewielkie szanse, że się go polubi.

- Hektor jest lubiany – skontrował Achilles.

- Tu mnie masz. Ale... Kiedy przybyłem dzisiejszej nocy, eskortowało mnie do ciebie dwóch żołnierzy. Co to byli za ludzie?

- Nie zauważyłem.

- Hektor by zauważył. Gdybym go spytał, wymieniłby też imiona ich żon i dzieci.

- To sprytne z jego strony – przyznał Achilles.

- Zgadza się, ale on nie robi tego dlatego, że to jest sprytne. Naprawdę dba o swoich ludzi.

I dlatego właśnie oni go kochają.

- Z twojego tonu wnoszę, że ty również go lubisz.

- W istocie. To tragedia, że muszę być jego wrogiem. Ale nie ja o tym zdecydowałem.

- Wydaje mi się, że dobrze oceniasz charakter mężczyzn, Odyseuszu.

- Tak samo jak kobiet, co, jeżeli nie będę ostrożny, sprowadzi nas znowu do rozmowy o twojej siostrze. Tak więc, skoro mamy poranek, udam się do swojego łóżka.

- Odpowiesz na jedno pytanie, zanim odejdiesz?

- To zależy od pytania.

- Dlaczego nie lubisz mojego ojca?

- Nie chcę odpowiadać, Achillesie. Nikt nie powinien stawać pomiędzy ojcem i synem. Jesteś porządnym młodym mężczyzną i masz umysł nieskażony złem. Więc zamiast odpowiedzi dam ci dobrą radę. Ufaj swoim instynktom i formułuj swoje sądy na podstawie tego, co podpowiada ci serce. Ono nigdy cię nie zdradzi, Achillesie.

Kiedy kolejne miesiące wojny zaczęły ciążyć na barkach Achillesa, młody wojownik wiele razy wspominał ową radę, zwłaszcza w kontaktach z ojcem. Jako dziecko widział w Peleusie wielkiego króla, silnego i dzielnego. I taki obraz chciał zachować. Pomimo to łapał się na tym, że ciągle usprawiedliwia Peleusa i szuka wymówek dla jego małostkowości, okrucieństw i, co najgorsze, umiejętności przrzucania ciężaru swoich błędów na barki innych. A potem doszła do tego ojcowska zazdrość. W przeszłości Peleus był dumny z osiągnięć syna, ale ostatnimi czasy zaczął go besztać za to, że „kradnie mu chwałę”. Każdy sukces Achillesa w bitwie był umniejszany.

Koniec końców, kiedy Tracja została podbita, Hektor zaś z niedobitkami swej armii uciekł na wschodnie wybrzeże, Peleus pozbawił Achillesa dowództwa i wysłał go z Odyseuszem do Naksos celem pertraktacji z królem Gadelosem o dostawy zboża i mięsa.

- Chcesz, żebym został kupcem? – zapytał z niedowierzaniem ojca.

- Zrobisz, co ci każę. Agamemnon potrzebuje jada dla swojej armii. Pochlebimy Gadelosowi, jeżeli w skład delegacji wejdzie wielki bohater.

- A kto poprowadzi atak na Hektora? To nie jest zwykły wódz. Sama jego obecność warta jest stu wojowników.

Peleus poczerwieniał.

– Sam poprowadzę atak. Ja, Peleus, król Tesalii, rozgromię tego Trojanina.

Zdenerwowany Achilles przemówił bez zastanowienia:

– Do tej pory nie okazywałeś wojowniczości, ojcze.

Peleus uderzył go otwartą dłonią w twarz.

– Czy bogowie przeklęli mnie tym, że moje dzieci mnie zdradzają? – krzyknął.

Zaszokowany uderzeniem, Achilles w końcu dał upust temu, co od dawna podpowiadało mu serce.

- Kochałem Kaliope i nie wierzę, że byłaby w stanie zdradzić kogokolwiek.

- Ty psie! – Ręka Peleusa wystrzeliła raz jeszcze, ale tym razem Achilles złapał tłusty ojcowski nadgarstek.

– Nigdy więcej nie próbuj mnie uderzyć! – powiedział młody wojownik zimnym tonem.

W tym momencie zobaczył strach w oczach ojca i resztki dziecięcego uwielbienia wyparowały jak poranna mgła w promieniach słońca. Peleus nerwowo oblizał usta i zmusił się do uśmiechu.

– Przepraszam, mój synu. To przez napięcie wywołane wojną... Wiesz, że cenię cię ponad wszystkich innych. Jestem z ciebie bardzo dumny. Ale pozwól, żeby i mi przypadła odrobina chwały – poprosił. – Znajdę Hektora i doprowadzę nas do zwycięstwa. Trzeba jednakże, abyś udał się do Naksos. W przeciwnym razie ludzie będą mówili, że Hektor został pokonany dzięki tobie. Zrób to dla mnie!

Zasmucony i zniesmaczony proszącym tonem ojca Achilles cofnął się.

- Zrobię, jak sobie życzysz, ojcze. Dobrze będzie wyjechać stąd na jakiś czas i cieszyć się opowieściami Odyseusza.

- Ten człowiek to tłusty, nic niewarty i próżny samochwała. Nie przywiązuj zbyt dużej wagi do jego kłamstw, chłopcze.

Achilles zignorował tę uwagę.

– Ojcze, pamiętaj, że Hektor jest wielkim wojownikiem. Jeżeli przyprzesz go do muru, stoczy bój na śmierć i życie. Nie będzie możliwości wycofania się ani pardonu. To lew. Kiedy już złapiesz go za ogon, tylko jeden z was wyjdzie ze starcia żywy.

Następnego dnia Achilles wypłynął na pokładzie *Krwawego sokoła*, smukłej galery wojennej obsadzonej przez itackich żeglarzy – zaprawionych weteranów, którzy od wielu lat pływali z Odyseuszem. Achilles starał się z nimi zaprzyjaźnić, ale jak zawsze, wszyscy byli przytłoczeni jego sławą i odnosili się doń z szacunkiem, ale i z dystansem.

Początkowo dni spędzane na morzu i wymuszona bezczynność wywoływały u Achillesa napięcie i nudę, ale z czasem odprężył się i zaczął rozumieć, dlaczego Wielka Zieleń tak fascynowała wilków morskich. Zew rozległych, odwiecznych wód uwolnił jego umysł od

przyziemnych myśli i próżnych ambicji.

Teraz, siedząc na plaży Naksos i słuchając Odyseusza, Achilles zrozumiał, że nie ma ochoty wracać do Tracji ani też nawet brać udziału w wojnie przeciwko Troi. Część jego jestestwa chciała po prostu zostać żeglarzem wiosłującym po morzach.

Odyseusz zakończył swoją opowieść w burzy oklasków, po których słuchacze zaczęli domagać się kolejnych baśni.

– Jestem zbyt stary i zmęczony, aby gadać dalej – zgasił ich Odyseusz, po czym odszedł do jednego z ognisk.

Achilles zobaczył, że do starego króla podchodzi kilku żołnierzy. Po krótkiej rozmowie Odyseusz stanął nieruchomo niczym posąg i młody wojownik zaczął się zastanawiać, o czym była mowa. Wkrótce wokół króla zebrali się inni członkowie załogi. Achilles zauważył, jak Odyseusz na niego spojrzał. Najwyraźniej przekazywano mu jakieś ważne informacje. Wojownik zastanawiał się jeszcze, czy nie podejść do grupki, ale w tym momencie Odyseusz ruszył w jego kierunku. Achilles wstał, aby go powitać.

Stary król wyglądał na oszołomionego. Jego twarz miała ziemisty kolor i była zroszona kroplami potu. Spojrzał w oczy Achillesowi i westchnął.

– Mamy wieści o bitwie twojego ojca z Hektorem – oznajmił w końcu.

Po wyrazie twarzy Odyseusza Achilles wywnioskował, że nowiny nie są dobre.

– Czy on nie żyje?

– Tak. Przykro mi, chłopcze. Hektor zniszczył go wraz z całą jego armią pod Karpeą.

Stary król zamilkł. Achilles odwrócił wzrok, spoglądając w mrok.

– Tego się obawiałem – powiedział cicho. – Próbowałem go ostrzec. Ale był spragniony sławy. Czy umarł z godnością?

Odyseusz wzruszył ramionami.

– Nie znam wszystkich szczegółów. Ale musisz wracać. Król Gadelos ciągle zachowuje neutralność. Jutro spróbujemy go przekonać, że by użył ci galery, która zabierze cię na północ.

- Nie wrócisz ze mną?

Odyseusz pokręcił głową.

- Mam też inne wieści. Muszę natychmiast wracać na Itakę.

Achilles spojrzał na bladą twarz starego króla i już wiedział, że to nie śmierć Peleusa tak go

oszołomiła. Odyseusz jakby się postarzał o dziesięć lat.

– Co się stało, przyjacielu?

– Piracka flota, licząca kilkuset wojowników, zaatakowała Itakę.

Mają moją Penelopę.

Przez chwilę Achilles się nie odzywał. Rozważał problem z taktycznego punktu widzenia.

– Masz tylko czterdziestu ludzi – powiedział. – Musimy poprosić o wsparcie kreteńskie galery albo znaleźć chętnych wojowników na kontynencie.

Odyseusz znowu pokręcił głową.

– Kreteńczycy mają patrolować morze w pobliżu Naksos. Tylko bezpośredni rozkaz króla Idomeneosa mógłby to zmienić. A on jest daleko stąd i walczy w pobliżu małych Teb.

– Chcesz więc wyruszyć na nich z jednym okrętem?

W oczach Odyseusza zabłyśnięła ogień.

- Penelopa jest miłością mego serca i światłem mego życia. Wypływam o świcie.

- A więc wyruszę z tobą, przyjacielu.

Król był wzruszony. Podniósł rękę i uściśnął ramię Achillesa.

- Dziękuję ci, chłopcze. Naprawdę. Ale teraz jesteś królem i twoje miejsce jest w domu, a nie na polach bitew innych ludzi.

- Mylisz się, Odyseuszu. Zanim zostałem królem, byłem mężczyzną, a godny tego miana nie porzuca przyjaciela w potrzebie. Nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów. Płynę z tobą.

Odyseusz westchnął.

- Nie mogę powiedzieć, że nie czuję ulgi. Dobrze więc, wypływamy jutro. Muszę znaleźć pewnego człowieka, który może nam pomóc.

- Czy jest wojownikiem posiadającym wielką armię?

- Nie – odpowiedział Odyseusz. – To stary pirat o imieniu Sekundos.

X. BŁOGOSŁAWIONA WYSPA

Tak jak każdego wieczoru od czterdziestu lat, najwyższa kapłanka Tery wyszła na urwisko położone w cieniu Świątyni Konia i patrzyła, jak dysk słońca powoli zanurza się w morzu. Późnym latem oglądałaby zachód słońca bezpośrednio spod wielkiej głowy, ale kiedy zima chwyciła na dobre i Łuk Apolla stał się niższy, wołała go obserwować z osłoniętej ławki skierowanej na południe.

Uśmiechnęła się na myśl o Łuku Apolla. Nie żeby nie wierzyła w boga słońca. Wręcz przeciwnie. Ifigenia wierzyła we wszystkich bogów, a zwłaszcza w półboga zamieszkującego trzewia wyspy, dla którego wybudowano świątynię, aby ukoić i złagodzić jego furię. Uśmiech na jej twarzy wywołał mit, jakoby złoty Apollo każdego ranka wsiadał do swojego ognistego rydwanu i gonił po niebiosach swoją kapryśną siostrę, dziewicę Artemis, która powoziła białym rydwanem księżyca. Głupotą jest myślenie, że bogowie marnowaliby swoją nieśmiertelność na tak jałowe działania.

Pierś Ifigenii przeszył ostry ból. Kapłanka krzyknęła i zachwiała się. Jej lewe ramię chwycił bolesny skurcz. Zatoczyła się na ławkę i opadła na nią ciężko. Sięgnąwszy do sakiewki u pasa, wyjęła szczyptę proszku, który umieściła pod językiem. Specyfik miał ostry i gorzki posmak, ale połknęła go i usiadła bez ruchu, głęboko, uspokajająco oddychając. Po chwili ból ustał, choć przez jakiś czas jeszcze czuła go w ramieniu.

W oddali dostrzegła małą plamkę statku manewrującego wśród naszyjnika wysp otaczających Terę. Podczas zimy statki rzadko zapuszczały się głębiej na wody Wielkiej Zieleni – załogi obawiały się nagłych szkwałów wywołanych przez prądy i kaprysy Posejdona. A już z pewnością nie przyływały na Terę bez zaproszenia. A mimo to przybyły aż dwa – najpierw okręt egipski, a teraz ten nowy.

Egipcjanie zjawili się wczoraj, ale nie wytłumaczyli powodu swojej wizyty. Przywódca, smukły, młody mężczyzna o ogorzałej twarzy, imieniem Jezua, przysłał w podarunku dwie baryłki suszonych owoców i poprosił o pozwolenie na pozostanie na plaży przez kilka dni. Ifigenia się zgodziła, zakładając, że przybysze muszą dokonać napraw statku. Była to dziwna jednostka, z wysoko wygiętym dziobem i żaglem w kształcie półksiężyca. W porównaniu z solidnie zbudowanymi mykeńskimi czy kreteńskimi galerami statek egipski wyglądał na kruchy

i delikatny.

Na skutek niedawnego ataku bólu Ifigenia odczuwała mdłości i było jej zimno. Owinąwszy ciaśniej płaszczem swoje chude ramiona, oparła się o ławkę. Podniosła głowę i spojrzała na konia. Nawet teraz dokładnie pamiętała swoje uczucia, kiedy pierwszy raz zobaczyła wyspę i monstrualną świątynię. Zaledwie czternastoletnia dziewczynka była wysoka i szczupła, pozbawiona krągłości przykuwających uwagę mężczyzn. Niemożność zwrócenia uwagi zalotników sprawiła, że była nieśmiała i przepojona wstydem, ale kiedy spojrzała na olbrzymiego konia, poczuła, że tu właśnie znajdzie cel swego życia i tu skierowało ją przeznaczenie.

– Pani! – Z zamyślenia wyrwał ją głos młodej kapłanki, która łapczywie chwyając oddech, z rozwianymi jasnymi włosami, podbiegła do niej. – To *Ksantos! Ksantos!* – Dziewczyna była przerażona, zresztą nie bez powodu.

Ifigenia popatrzyła na nią z góry.

- Jesteś pewna, Melisso?

- Tak, pani. Powiedziała mi to Kolea, a ona widziała ten okręt wiele razy. Kolea pochodzi z Lesbos. Jej ojciec jest sprzymierzeńcem Troi.

- Wiem, kim jest jej ojciec, głupia dziewczyno!

- Przepraszam, pani. Kolea powiedziała mi, że to okręt Helikaona. Żaden inny na Wielkiej Zieleni nie jest tak duży. Czy powinniśmy się ukryć?

- Ukryć? – Ifigenia zerwała się z ławki. – Przed tym rzezimieszkiem i mordercą? Jestem Ifigenia, córka Atreusa Zwycięzcy i siostra Agamemnona. Myślisz, że będę się ukrywała?

Melissa rzuciła się na kolana i przycisnęła czoło do ziemi.

– Wybacz mi, pani!

Ból raz jeszcze uderzył w pierś Ifigenii. Tłumiąc rodzący się w krtani okrzyk, usiadła na powrót na ławce i wzięła drugą szczyptę proszku. Wiedziała, że to za dużo; kolory popołudniowego nieba zaczęły falować i się rozmywać. Ale ból minął.

– Wyślij Koleę na dół, aby powitała *Ksantosa* – poleciła Melissie. – Powiedz jej, aby natychmiast przyniosła mi wszystkie wiadomości.

Znów spojrzała na morze. *Ksantos* przebijał się przez wielki port, mijając czarną wyspę znajdującą się na środku. Młoda kapłanka podkasła szatę i pobiegła w kierunku stajni i kwater znajdujących się za świątynią.

– Melisso! – szczeęknęła starsza kobieta. Dziewczyna zatrzymała się i odwróciła, wzburzając

tuman kurzu dookoła swych bosych stóp. – Zachowuj się z godnością. Kapłanka Tery nie biega jak przestraszona wieśniaczka. Nie wpada w panikę.

Twarz dziewczyny oblała się rumieńcem.

– Tak, pani. – Odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła w kierunku stajni.

Ifigenia uśmiechnęła się ponuro. Wiedziała, że wszyscy w niej widzą wyniosłą i nieprzystępną kobietę, z włosami koloru stali ściągniętymi surowo z tyłu, co jeszcze uwydatniało jej orli nos i gęste brwi. Nie widzieli, że pod pomarszczoną, obwisłą skórą pozostał cień młodej kapłanki, która kiedyś również biegła niczym żreback, odurzona życiem na wyspie pełnej wolności i niespodziewanych przyjemności. Ludzie dostrzegali tylko kobietę, która zestarzała się w służbie Błogosławionej Wyspie.

Spojrzała na konia. Jak myślisz, wielki ogierze, co to oznacza? Helikaon Podpalacz przybywa na Terę. Wróg mojej krwi i mojego rodu.

Przez głowę kapłanki przemknęła myśl, że *Ksantos* przybył tu w celach grabieżczych, jednak została odrzucona równie szybko, jak się pojawiła. Król Priam był patronem wyspy i mimo iż potępiała jego ekscesy, musiała przyznać, że wypełniał swoje obowiązki skrupulatnie, dostarczając złoto i otaczając Błogosławioną Wyspę swoją protekcją. Pogwałcenie świętości sanktuarium Tery potępiliby zarówno Trojanie, jak i Mykeńczycy. Wszystkie strony o tym wiedziały. Nie, Helikaon musi pełnić rolę posłańca. Nie spodziewała się odpowiedzi na swoje poselstwo tak wcześnie. Jej serce zaczęło bić mocniej. Być może jej plan się powiódł i z nadejściem wiosny uda się zwabić Andromachę na Terę.

Przyciskając dłoń do piersi, rozsiadła się na ławce. Mimo iż chętnie sama by sprawdziła, po co *Ksantos* przyplłynął na Terę, nie miała już sił na wycieczkę do portu. Było to o tyle kłopotliwe, że mężczyźni, którzy znaleźli się na Błogosławionej Wyspie, uzyskiwali wstęp tylko do drewnianego domu gościnnego znajdującego się na czarnej piaszczystej plaży. Miała więc do wyboru albo pozwolić, żeby Podpalacz wkroczył na teren świątyni, albo spróbować poznać cel jego wizyty, zdając się na pośredników. Przybycie do świątyni mężczyzny, zwłaszcza tak plugawego jak Podpalacz, byłoby świętokradztwem. Z drugiej strony, zdając się na inne, mniej przebiegłe od niej osoby, ryzykowała, że nie będzie w stanie zbadać sprawy należycie.

Pojawienie się mężczyzny w świątyni nie byłoby wydarzeniem bezprecedensowym. Priam wkroczył na jej teren czterdzieści lat temu. Ifigenia miała wtedy czternaście lat i była na wyspie nowicjuską. Spoglądała z zaciekawieniem na żwawego króla i jego młodą królową, kobietę

o mrocznej urodzie i jeszcze mroczniejszych ambicjach.

Kapłanka położyła dłoń na masywnej podkowie konia.

– Wtedy wzbudzałeś większy zachwyt, przyjacielu – powiedziała, ponownie zachwycając się umiejętnościami budowniczych. Rzemieślnicy z Troi i Hattusasu wybudowali tron świątyni z wapienia. Był to ogromny prostokątny budynek z wieżą po jednej stronie. Następnie doświadczeni stolarze z Kypros i Aten okryli budynek dębowymi balami, tak że z oddali wyglądały one jak nogi, szyja oraz wielka głowa. Potem na Błogosławioną Wyspę przybyli egipscy artyści, którzy pokrywszy drewnianego konia gipsem, za pomocą farb i barwników sprawili, że wyglądał jak żywy. Obecnie część farby odpadała płatami i w niektórych miejscach widać było popękane i podziurawione bale. Jednakże z morza biały drewniany koń ciągle wyglądał wspaniale, niczym masywny strażnik czuwający nad bezpieczeństwem wyspy.

Ifigenia ponownie wstała i zbliżyła się do krawędzi urwiska. Wielka galera z żaglem zdobionym czarnym koniem w końcu przybiła do brzegu. Dookoła zakręcili się mężczyźni. Już wkrótce czegoś się dowie.

Była zła, kiedy królowa Hekabe rozkazała, aby wysłać Andromachę do Troi. W tej dziewczynie były siła i energia, które nigdy nie powinny zostać zmarnowane na podsycanie ambicji mężczyzn. Andromacha była wściekła. Wpadła jak burza do sali zgromadzeń i wszczęła kłótnię z Ifigenią.

Kapłanka uśmiechnęła się, wspominając to wydarzenie. Zielonooka Andromacha bała się jej tak samo jak wszystkie inne kobiety tutaj. Jednakże miała tak silny charakter, że była w stanie pokonać swój strach i często klóciła się o sprawy, w które wierzyła. Zamykając oczy, starsza kobieta przywołała obraz młodej, rozgniewanej kapłanki. W pobliżu, wpatrując się w posadzkę, stała zdenerwowana kochanka Andromachy, Kaliope.

Andromacha nie chciała opuścić Tery i Ifigenia próbowała jej wyjaśnić, jak nadzwyczajne były okoliczności tej decyzji.

– Nadzwyczajne? – natarła na nią Andromacha. – Sprzedajesz mnie za złoto Priama! Co w tym takiego nadzwyczajnego? Kobiety sprzedawano, odkąd bogowie byli młodzi. Ale dotąd zawsze sprzedawali je mężczyźni. Nie oczekiwaliśmy od nich niczego więcej – są, jacy są. Ale ty?!

Te słowa zabolowały jak cios nożem. Od dziesiątków lat Ifigenia walczyła, aby Tera była bezpieczna i niezależna od wpływu królów. Czasami wymagało to niezachwianej odwagi, ale

często potrzebny bywał kompromis.

Zamiast zareagować gniewem i zgasić nieposłuszeństwo Andromachy, Ifigenia przemówiła łagodnie głosem pełnym żalu.

– Tu nie chodzi tylko o złoto Priama, Andromacho, ale też o wszystko to, co złoto sobą reprezentuje. Bez niego nie byłoby świątyni na Terze ani też żadnych księżniczek uśmierzających furie mieszkającej pod nami bestii. Tak, byłoby wspaniale, gdybyśmy mogły ignorować życzenia potężnych mężczyzn, takich jak Priam, i pełnić naszą służbę tutaj w spokoju. Jednakże taka wolność to ułuda. Nie jesteś już kapłanką Tery. Jutro opuścisz wyspę.

Andromacha nie podjęła dalszego sporu. W ciągu dwóch lat spędzonych na Błogosławionej Wyspie zmądrzała i w końcu zaczynała dostrzegać potrzebę takich kompromisów.

Ifigenia wiedziała, że kiedy wiosną Andromacha przybędzie na Terę, zapewne nie wykaże się podobnym zrozumieniem. Będzie wściekła, kiedy się dowie o zdradzie. Ale jej furia była niczym wobec potrzeb Tery. Bezpieczeństwo świątyni to rzecz najważniejsza – w tym rachunku jedno życie niewiele znaczyło.

W końcu usłyszała parskanie osłów i brzęk uprzęży. Kapłanka podniosła się powoli i podeszła do krawędzi skały. Poniżej zobaczyła sylwetki trzech osób na osłach, które powoli wspinały się ścieżką wijącą się od strony portu. Z przodu jechała kapłanka Kolea. Prowadząca obróciła się do tyłu i rozmawiała z pozostałą dwójką – czarnowłosą dziewczynką, której Ifigenia nie знаła, i... Andromachą.

Stara kapłanka chwyciła się za serce. Andromacha już jest tutaj? Przypłynęła zimnymi morzami aż z Troi!

– Nie! – wyszeptała. – To za wcześnie. O wiele za wcześnie.

Andromacha siedziała na grzbiecie osiołka, kiedy ten powoli i mozolnie wspinał się stromą, wąską ścieżką. Daleko w dole został *Ksantos*, w połowie wyciągnięty na czarną plażę. Wokół okrętu kręcili się mężczyźni wyglądający z tej wysokości jak małe żuczki.

Księżniczka spojrzała w kierunku Kasandry. Zazwyczaj goście jadący tą zdradziecką ścieżką sztywno siedzieli na osłach, bo zdawali sobie sprawę, iż każde poślizgnięcie strąci ich wprost w objęcia śmierci. Ale nie Kasandra. Jej oczy miały nieobecny wyraz i dziewczynka zdawała się śnić.

Jeszcze na plaży, kiedy Andromacha rozkazała Oniakosowi przynieść z ładowni ozdobną

skrzynię, Kasandra poszła za nim i powróciła ze starym jutowym workiem, który zarzuciła na ramię.

- Co tam masz? – zapytała Andromacha.

- Podarek dla przyjaciela – odpowiedziała Kasandra, uśmiechając się nieśmiało.

- Nie mogłaś przywieźć go w... bardziej odpowiednim opakowaniu? Arcykapłanka jest kobietą surową i łatwo wybucha gniewem. Będzie bacznie wypatrywała czegokolwiek, co mogłoby zostać poczytane za zniewagę – jej lub też świątyni.

- Nie lubisz jej – zauważyła Kasandra.

Andromacha roześmiała się, ale w jej śmiechu nie było wiele radości.

- Nikt nie lubi Ifigenii, siostrzyczko. Tak samo jak jej brat, Agamemnon, jest zimna, nieugięta i bezduszna.

- Żywisz do niej urazę, ponieważ pozwoliła twojemu ojcu wysłać cię do Troi.

- Sprzedała mnie za złoto.

Kasandra wzięła swoją sakwę i ruszyła w kierunku dwóch kapłanek, które wysłano im na powitanie. Andromacha знаła jedną z nich, Koleę, najmłodszą córkę króla Lesbos. Dziewczyna przybyła na wyspę w tym samym okresie co Andromacha. Z długimi czarnymi włosami splecionymi w ciasny warkocz, Kolea była wyższa i szczuplejsza, niż Andromacha ją zapamiętała. Kapłanka uśmiechnęła się na powitanie. Druga dziewczyna była w wieku Kasandry, jasnowłosa i piegowata. Wyglądała na przestraszona.

Helikaon podszedł przez plażę, aby stanąć obok Andromachy. Księżniczka bardzo wyraźnie odczuwała ciepło jego ciała, które ledwie jej dotykało. Za każdym razem, kiedy rozmawiali po pamiętnej nocy na Minoi, lekko drżała, słysząc jego głos. Teraz, bojąc się zdradzieckiego rumieńca, Andromacha spuściła głowę.

- Zarówno Hektor, jak i Priam uważają, że to zaproszenie cuchnie zdradą – powiedział cicho zatroskanym głosem. – Obawiają się, że zostałam zwabiona na Terę na rozkaz Agamemnona. Ale ani tutaj, ani w pobliżu nie ma żadnych okrętów, poza małym egipskim statkiem kupieckim. Nie znam arcykapłanki, więc nie mogę ocenić jej motywów. Ale ty ją znasz.

Andromacha spojrzała w jego szafirowe oczy i zobaczyła w nich cień niepokoju.

- Ona mnie nie lubi – odparła, starając się mówić stanowczo i jasno. – I ma własne powody, dla których chciała, abym tu przybyła. Już wcześniej dokładnie to omawialiśmy. To może być pułapka. Ale ona jest przede wszystkim pierwszą kapłanką Tery, a dopiero potem Mykenką. Nie

wierzę, że spełniłaby prośbę brata, jeżeli takie działanie zagroziłoby reputacji Błogosławionej Wyspy. Bardziej prawdopodobne jest to, że chce mnie ukarać, a nie zdradzić.

- Chodzi o Kaliopę? – spytał, wskazując na zdobione pudełko, które niosła Andromacha.

Skinęła głową.

- Kiedy wrócisz, ukochana? – zapytał cicho.

- Rankiem.

- Będę cię wypatrywał o brzasku.

- Przyjdę.

- Jeżeli nie przyjdiesz, pójdę po ciebie ze swoimi ludźmi. Dopilnuj, żeby ta stara wiedźma o tym wiedziała.

- Ona jest córką Atreusa i mykeńską księżniczką. Zrozumie to i bez moich ostrzeżeń. Nie działaj zbyt pochopnie!

Helikaon zbliżył się do niej, dotknął jej włosów i lekko poklepał pudełko, które trzymała.

- Gwałtowne działania mogą być potrzebne, jeżeli ta jędza odkryje, że ją okłamałaś.

Andromasze zaschło w ustach.

- O czym ty mówisz? – zapytała obronnym tonem.

- Znam cię, Andromacho – wyszeptał. – Nigdy nie oddałabyś duszy swojej przyjaciółki, aby służyła potworowi. Nie jesteś taka. Gdzie znalazłaś te kości?

- Przyniósł mi je Ksander. To czaszka i kość udowa mordercy.

Helikaon wyszczerzył zęby.

- Cóż, będą się dobrze dogadywać z Minotaurem.

Ifigenia siedziała sama w chłodnej świątynnej sali zgromadzeń. Rzeźbione krzesło z wysokim oparciem było niewygodne, ale arcykapłanka nie miała sił, aby długo stać.

W końcu zjawily się obie przybyłe kobiety. Przeszły do świątyni z zalanego światłem gościńca i przez chwilę stały, mrugając, kiedy ich oczy przyzwyczajały się do ciemnego wnętrza. Andromacha, której włosy w promieniach światła sączących się od wejścia lśniły czerwienią, była ubrana na zielono i miała przy sobie tylko pudełko z kości słoniowej. Czarne włosy Kasandry również były rozpuszczone. Miała bladą i ściągniętą twarzyczkę, a gdy usiłowała coś dojrzeć w otaczających ją niemal kompletnych ciemnościach, w jej oczach lśniła gorączka. Dziewczynka upuściła starą sakwę.

Kolea wystąpiła naprzód.

- Pani, to są...

- Wiem, kim one są – skarciła ją Ifigenia. – Możesz już iść.

Dziewczyna skłoniła się szybko i wybiegła w światło słońca. Ifigenia wstała powoli i podeszła do Andromachy.

- Cieszę się, że twoje poczucie obowiązku cię nie opuściło – powiedziała. Umilkła, gdyż księżniczka wpatrywała się w nią uważnie z wyrazem smutku na twarzy. Przez chwilę stara kapłanka starała się zrozumieć, co się stało, po czym spłynęło na nią olśnienie. – Wyglądam aż tak źle? – zapytała zimnym tonem.

- Przykro mi, że zastaję cię w takim stanie – odparła Andromacha.

Szczerłość w jej głosie dotknęła Ifigenię.

- Jestem chora, ale nie zgłębiajmy tego tematu. Twoje przybycie to niespodzianka. Oczekiwaaliśmy cię na wiosnę.

- Rytuał ku czci Minotaura nie powinien być tak długo odkładany – rzekła Andromacha.

Ifigenia zobaczyła, że wyraz jej twarzy się zmienił. Troska o jej zdrowie została zastąpiona buntowniczą postawą, którą kapłanka tak dobrze pamiętała.

- Przywiozłaś szczątki Kaliope?

- Tak. – Andromacha położyła pudełko z kości słoniowej na ziemi i chciała je otworzyć, ale nagle dziewczynka wystąpiła do przodu położyła swoją sakwę u stóp Ifigenii.

- To są kości Kaliope. – Kasandra się pochyliła i wyciągnęła z sakwy ciemnoszarą chustę. Rozwijając materiał, odsłoniła białą kość udową i czaszkę.

Ifigenia przeniosła spojrzenie z jednej kobiety na drugą. Twarz Andromachy stała się szara jak popiół.

- Jak mogłaś to zrobić? – zapytała.

- Bo Kaliope mnie o to poprosiła – odpowiedziała dziewczynka. – Chciała wrócić do domu, na Piękną Wyspę, gdzie była szczęśliwa. Chce zostać złożona w tamaryszkowym gaju, w pobliżu świątyni Artemis.

- Nie zdajesz sobie sprawy, co uczyniłaś – natarła na nią Andromacha, podchodząc z zaciśniętymi pięściami.

Przez chwilę Ifigenii się wydawało, że uderzy dziewczynkę. Ale sięgnęła tylko po trzymane przez nią kości i przycisnęła je mocno do piersi. Wbiła wyzywający wzrok w Ifigenię.

- Nie dostaniesz jej. Ani jej kości, ani jej duszy.

Stara kapłanka zignorowała ją i zawołała Kasandrę.

- Podejź tu, dziecko, niech ci się przyjrzę.

Kasandra wystąpiła do przodu i Ifigenia ujęła jej rękę.

- Powiadasz, że w gaju tamaryszkowym? – zapytała łagodnym tonem.

- Tak.

- I wiedziałaś, że nie miałam zamiaru więzić jej duszy?

- Wiedziałam. Nie chodziło o kości, tylko o zwabienie Andromachy na Terę.

- Masz rację. Osiągnęłam sukces i jednocześnie poniosłam porażkę – powiedziała Ifigenia, odgarniając czarny lok z czoła małej. – Wiele mi o tobie mówiono, dziecko, i teraz widzę, że większość to były bzdury. Być może twoja dusza jest chora, ale Artemis obdarzyła cię darem widzenia istoty rzeczy i wieszczona. A więc powiedz Andromasze, dlaczego chciałam mieć ją przy sobie.

Kasandra obróciła się do siostry.

- Nie zamierzała cię wydać Agamemnonowi, tylko przed nim ocalić. Ale myślała, że przybędziesz tutaj na wiosnę, kiedy rozpocznie się pora żeglowania, tuż przed rozpoczęciem oblężenia. W ten sposób nie miałabyś jak wrócić i musiałabyś pozostać tutaj.

- I po co to wszystko? – zapytała gniewnie Andromacha. – Aż tak bardzo się o mnie troszczysz, pani? – rzuciła z przekąsem.

Ifigenia puściła rękę Kasandry.

- Błogosławiona Wyspa pozostaje wolna tylko dlatego, że jej arcykapłanki zawsze były silne, nieustraszone i nie bały się świata mężczyzn. Ja umieram, Andromacho. Sama to widzisz. Wkrótce Tera będzie potrzebowała nowej arcykapłanki. Miałam nadzieję, że ty nią zostaniesz.

Andromacha milczała i wpatrywała się w twarz Ifigenii. W końcu przemówiła łagodnie.

- Ale jestem zameżna i mam syna.

- I żaden z nich nie przeżyje zbliżającej się rzezi – odparła smutno Ifigenia. – Ty też umrzesz albo zostaniesz niewolnicą, jeżeli tam wrócisz.

W oczach Andromachy znowu zatańczyły iskry gniewu.

- Być może taki jest mykeński punkt widzenia – odpowiedziała. – Ale nie mój. Przede wszystkim przeszkodzić mogą temu Hektor i jego Koń Trojański. Poza tym mamy naszych dzielnych sprzymierzeńców, jak Helikaon i mój ojciec Ektion. Ale pomijając nawet ludzi wojny,

znajdą się chyba wśród wrogów tacy, którzy się wycofają, choćby teraz, poznawszy szaleństwo i głupotę, dumę i zazdrość, które uosabia Agamemnon.

Ramiona Ifigenii zgarbiły się i stara kapłanka z ulgą wróciła na krzesło.

– Duma? – zapytała cicho. – Myślisz, że Agamemnonem kieruje duma? Mylisz się i dlatego właśnie ta wojna nie może zakończyć się wcześniejszym zawarciem pokoju.

Kassandra usiadła u stóp Ifigenii, opierając głowę na kolanach starej kobiety.

– A więc dlaczego? – zapytała Andromacha. – I nie opowiadaj mi o biednej Helenie i wielkiej miłości, którą najwyraźniej pałał do niej Menelaos.

Ifigenia uśmiechnęła się ponuro.

– Nie, Helena nie gra tu żadnej roli – choć gdyby Priam ją zwrócił, armie Agamemnona nie byłyby tak potężne. Ale teraz nie ma to znaczenia. – Spojrzała w zielone oczy Andromachy. – Czy wiesz, co mój ojciec wymalował na swojej tarczy?

Andromacha zmarszczyła brwi.

- Jak mi mówiono, był to wąż.

- Wąż zjadający własny ogon – uzupełniła kapłanka. – Atreus miał cyniczne poczucie humoru. Jego wodzowie nieustannie go namawiali, aby atakował i podbijał dalsze ziemie. Mój ojciec walczył w wielu bitwach, ale tylko przeciwko tym, którzy nam zagrażali. Armia jest jak olbrzymi wąż. Trzeba ją karmić i musi mieć jakiś cel. Król, który zdobywa kolejne ziemie, potrzebuje coraz większej armii. Im większa armia, tym więcej złota potrzeba do jej utrzymania. Widzisz? Z każdym kolejnym zdobytym miastem skarbiec łupiącego rośnie, ale tak samo musi wzrosnąć liczebność jego armii, aby mógł zachować kontrolę nad podbitymi terenami. Atreus to rozumiał i stąd wziął się wąż. Kiedy armia i oficerowie nie dostają pieniędzy bądź tracą poczucie celu, zwracają się przeciwko władcy. Tym samym jest on zmuszony toczyć wciąż nowe wojny i podbijać ziemie leżące coraz dalej od swojej ojczyzny.

Ifigenia uniosła dłoń i zawołała. W mgnieniu oka zza kolumny wyłoniła się kapłanka, która szybko podbiegła do krzesła.

– Wody – zażądała Ifigenia.

Kapłanka przebiegła przez salę i szybko powróciła z karafką i srebrnym pucharem. Ifigenia wzięła go i długo piła, po czym znów zwróciła się do Andromachy.

- Agamemnon nie ma wyboru. Musi zbudować imperium albo paść ofiarą uzurpatora, który wyłoni się z jego własnych szeregów.

- Ale na ziemiach Myken są kopalnie złota – nie poddawała się Andromacha. – Wszyscy wiedzą, że Agamemnon jest bogaty, nawet jeżeli nie liczyć bogactw z podbitych ziem.

- Tak, ma trzy kopalnie – przyznała kapłanka. – Zaledwie jedna dostarcza tyle kruszcu, by wystarczyło na utrzymanie pracujących w niej górników. Największa i kiedyś najbogatsza kopalnia zapadła się dwa sezony temu.

Andromacha była zaskoczona.

- Chcesz powiedzieć, że Agamemnon nie ma żadnego złota?

- Grabił złoto, ale za mało. Pożyczał złoto, ale za mało. Obiecał zaś o wiele za dużo złota. Jego ostatnią nadzieją jest pokonanie Troi i położenie ręki na jej bogactwach. I tak się stanie, Andromacho. Armie, które ze sobą prowadzi, są liczne jak gwiazdy na niebie. Będzie towarzyszyć mu Achilles, który – tak jak Hektor – jest niepokonany w bitwie. Razem z nim przybędzie Odyseusz, przebiegły jak lis, śmiertelnie groźny w boju, ale równie niebezpieczny w radzie. Będzie tam też stary Szablozęby. Idomeneos być może jest chciwy, ale jest też królem, którego waleczności należy się obawiać. Troja nie oprze się im wszystkim.

- Wszystko, co mówisz, jest prawdą – rzekła Andromacha. – Ale wiesz, że nie opuściłabym, nie potrafiłabym zostawić mojego syna.

- Oczywiście, że o tym wiem – odparła smutno Ifigenia. – Lecz wiosną nie miałabyś wyboru, a w lecie nie byłoby do czego wracać. Ale teraz nie mogę cię ocalić. Jestem już zmęczona, Andromacho, jednak ty jesteś młoda i silna. Weź więc kości Kaliope do tamaryszkowego gaju i wylej wino ku jej pamięci. Lubiłam ją, wiesz? Wiele wycierpiała, zanim tu przybyła.

Ifigenia wyciągnęła rękę do Kasandry.

- Pomóż mi, dziecko, i odprowadź mnie do mojej sypialni. Obawiam się, że moje stare kości zupełnie straciły już siłę.

Kassandra otoczyła ją ramieniem.

- Pewnego dnia nie będziemy miały kości – powiedziała radośnie – jako pył będziemy się unosić wśród gwiazd.

XI. ZEW PRZEZNACZENIA

Tej nocy Helikaon wiele razy się budził, bo jego wypoczynek zakłócała troska o Andromachę, która wpływała też na śnione przezeń sny. Znalazł się w ciemnościach, niby na dnie głębokiej studni. Wysoko nad sobą widział Andromachę na tle światła – jej włosy wiły się szaleńczo, kiedy wyciągała do niego rękę. Nagle znalazła się w jego ramionach i poczuł krągłości jej ciała oraz zapach soli we włosach, ale była zimna niczym kamień i zdał sobie sprawę, że jest przemoczona do nitki. Miała też bladą i pozbawioną życia twarz. Krzyknął, ale jego głos był cienki, jak odległe skrzeczenie mewy, i nie mógł jej pomóc.

Obudził się z jękiem i odrzucił koc. Ogień przygasł, a na plaży było zimno. Wszędzie dookoła spali ludzie, ściśnięci jak tylko to możliwe, próbując zachować jak najwięcej ciepła. Helikaon spojrział w górę na wielkiego konia na skale. Noc była bezchmurna i gwiazdy jasno świeciły dookoła łuku księżyca, którego złowieszcze światło oblewało rzeźbę.

Przeszedł go dreszcz, więc wstał i zaczął rozcierać gołe ramiona. Wiedział, że już nie zaśnie. Będzie wyglądał Andromachy i przygotowuje się do wejścia na kamienną ścieżkę, aby ją odnaleźć. Powiedział sobie, że poczeka do pierwszych promieni świtu, ale chęć ponownego zobaczenia ukochanej i troska o nią czyniły go niecierpliwym.

Rozejrzał się dookoła. Po lewej stronie, na brzegu w dole, zobaczył sylwetkę rosnącego mężczyzny wpatrującego się w morze. Ostatnimi czasy Gershom wydawał się zamknięty w sobie i spędzał wiele czasu w samotności.

Helikaon gotów był na rozmowę o czymkolwiek, byle oderwać myśli od Andromachy, ostrożnie przeszedł więc pomiędzy śpiącymi i ruszył przez czarny piasek plaży. Gershom usłyszał jego kroki i odwrócił się, aby go powitać.

- Myliłeś się co do niej, Złocisty – powiedział. – Ona ma dar.

Helikaon unióśł brwi i uśmiechnął się.

- Wróżyła ci z ręki?

- Nie. Otworzyła mój umysł. – Gershom pokręcił głową i roześmiał się ochryple. – Nie przekona cię nic, co powiem.

- Pewnie masz rację. Ale martwisz się, a jesteśmy przyjaciółmi. Więc mów.

- W jaskini na Minoi dowiedziałem się, kim jestem.

- A czego nie wiedziałaś? Jesteś zbiegłym księciem Egiptu.

- Nie, Helikaonie, jestem podrzutkiem. Dziecko, które urodziła moja matka, było martwe. Służąca zaniosiła ciało na brzeg rzeki. Tam spotkała się z dwoma mieszkańcami pustyni... niewolnikami. Dali jej chłopca, aby podmienić martwe niemowlę. Dali jej... mnie.

- Kasandra ci to powiedziała?

- Nie, pokazała. Roznieciła ognisko i spaliła w nim odurzające zioła. Kiedy wciągnąłem dym w płuca, wypełnił mój umysł wizjami.

- Skąd wiesz, że były prawdziwe?

- Uwierz mi, Złocisty, wiem. Tyle widziałem – westchnął ciężko. – Zniszczenie i rozpacz. Widziałem Troję i ciebie...

- Nie mów o Troi, przyjacielu – przerwał mu szybko Helikaon. – W głębi serca wiem, jaki los spotka to miasto. Nie potrzebuję do tego żadnych przepowiedni, prawdziwych czy fałszywych.

- A więc nic ci nie opowiem. Ale teraz rozumiem, dlaczego wysłałeś tylu swoich ludzi przez morze do Siedmiu Wzgórz. Nowa ziemia, nowy naród, z dala od wojen i zdrad starych imperiów.

- To tylko osada, Gershomie, mieszkający tam ludzie zaś pochodzą z wielu narodów i ras. Ciągłe kłóć się o błahostki. Tylko szczęście i przychylność bogów powstrzymywały ich dotychczas przed walkami, w których porozrywaliby się na strzępy. Najprawdopodobniej osada nie przetrwa dłużej niż kilka sezonów.

- Mylisz się, Helikaonie. Połączą ich przeciwieństwa losu, którym stawiają czoło. Przetrwają. Zapewniam cię. Zobaczysz. – Gershom się uśmiechnął. – Cóż – kontynuował – ty możesz tego nie zobaczyć, nie wiem, ale świadkami będą twoi synowie i ich potomkowie.

Helikaon spojrzał na przyjaciela.

- Poczułem się nagle trochę głupio. Zostałeś wieszczem?

- Tak i wiem, że muszę wyruszyć na pustynię, a następnie wrócić do Egiptu.

- Jeżeli wrócisz, faraon każe cię zabić! – powiedział Helikaon. Troska o przyjaciela wyparła mu z głowy własne ponure myśli. – Kasandra zatrzała ci umysł.

- Ja tak nie uważam. Jest słodkim, smutnym, okaleczonym dzieckiem. Ale jej wizje są prawdziwe. Wierzę, że to, co widziałem, również takie było. Przekonamy się o tym przed świtem.

- O czym?

Gershom wskazał na egipski statek wciągnięty na plażę w oddali.

– Jeżeli to, co widziałem, jest prawdą, zostaną wezwani, aby jutro wypłynąć na jego pokładzie.

Helikaon wzdrygnął się nagle – zimno nocy wlewało się do jego kości niczym lodowata woda.

– Dość! – krzyknął. – Gershomie, to, co mówisz, jest szaleństwem. Jutro wszyscy wypłyniemy do Siedmiu Wzgórz i wtedy będziesz mógł wyrzucić z głowy myśli o Kasandrze i wizjach.

Gershom spojrzał w oczy Helikaonowi.

- Dlaczego tak się boisz przepowiedni, przyjacielu? – zapytał łagodnie.

- Niczego się nie boję. Po prostu nie wierzę w nie. Ja również wdychałem odurzające zioła i widziałem wirujące kolorowe plamy. Widziałem, jak twarze ludzi zakwitały nagle niczym kwiaty, i słyszałem psy ujadające w dziwnych językach, które prawie mogłem zrozumieć. I człowieka, który upadł na ziemię i zamienił się w tuzin żab. Myślisz, że on naprawdę zamienił się w żaby? A może po prostu trujące wyziewy pomieszały mi zmysły?

- Owszem – zgodził się Gershom. – W istocie, mogły też pomieszać moje zmysły. Nie będę się spierał. Jeżeli rankiem z tego statku nikt po mnie nie przyjdzie, z radością w sercu wsiądę na pokład *Ksantosa*, *Złocisty*.

- Dobrze – powiedział Helikaon, klepiąc przyjaciela po ramieniu. – A kiedy wypłyniemy na morze, będę wraz z tobą śmiał się z tej rozmowy. Wracajmy do ogniska. Ta bryza od morza zamraza mi krew.

Choć kiedy wracali, starał się mówić lekko i beztrosko, Helikaon był wewnętrznie spięty i podenerwowany. Spojrzał uważnie na egipski statek. Nikt się przy nim nie krzątał, cała załoga spała na plaży. Gershom położył suche gałązki na żar gasnącego ogniska. Pojawiły się języki płomieni. Egipcjanin wyciągnął się na piasku i niemal od razu zasnął.

Helikaon zarzucił na ramiona gruby koc i usiadł blisko. Na wschodzie zaczęły formować się chmury i zakryły księżyc. Niebo pociemniało. Chwilę potem zaczął padać lekki deszcz. Helikaon siedział sam z ciężkim sercem.

Tak jak wcześniej Zidantas, Gershom odsłonił głęboko ukryte miejsce w sercu Helikaona i dardański król zorientował się, że rozpacza nad utratą przyjaciela, czując nagłą pewność, iż pustynny lud przyjdzie po niego rankiem. Odkąd żeglarze *Ksantosa* wyciągnęli go z morza,

Gershom stał się nieocenionym członkiem załogi, prawą ręką Helikaona, a także jego przyjacielem i kimś, komu można było powierzyć nie tylko swoje życie, ale też zwierzyć się z uczuć, obaw i nadziei. Kilkakrotnie uratował życie Helikaonowi, zarówno w boju, jak i wtedy, gdy przyprowadził Proroka z leczniczymi robakami, aby przywrócić mu zdrowie po próbie zamachu.

Wspominanie, kiedy leżał bez sił w pałacu Hektora i opiekującej się nim Andromachy, znów sprowadziło na niego myśli o ukochanej i król odwrócił się, aby raz jeszcze spojrzeć na skalną ścieżkę, licząc na to, że zobaczy schodzącą w dół księżniczkę. Było jednak zbyt ciemno i deszczowo, aby mógł coś ujrzeć, i Helikaon owinął się ciasniej kocem, cierpliwie oczekując pierwszych promieni poranka.

Prawie świtało i światła ognisk na plaży lśniły jak gwiazdy, naprowadzając Andromachę, kiedy schodziła w dół kamienną ścieżką. Ziemia była tu nierówna, wąski szlak zaś w kilku miejscach został prawie zatarty. Gęstniejące chmury zasłoniły księżyc i wędrownka zaczęła robić się niebezpieczna. Zaczęło padać, na początku łagodnie, ale wkrótce ścieżka stała się śliska i zdradliwa. Wzmógł się wiatr, smagając podmuchami zieloną suknię oraz pożyczoną opończę, które miała na sobie Andromacha.

Deszcz zaczął padać mocniej, ostry i zimny, kłując kroplami skórę jej twarzy i rąk. Szła dalej, teraz wolniej, jedną ręką sunąc po linii pokruszonej skalnej ściany. Obute w sandały stopy ślizgały się na mokrej ziemi. Mimo chęci jak najszybszego powrotu do Helikaona i *Ksantosa* zmusiła się w końcu do przystąpienia. Oparłszy się o skalną ścianę, przykucnęła i otuliła się ciasniej opończę.

Siedząc samotnie na ścieżce, zaczęła rozmyślać o wydarzeniach dnia. Myśl o ponownym zobaczeniu Ifigenii napawała ją grozą, gdyż pamiętała swoją niechęć do zimnej Mykenki o surowej twarzy. Teraz ujrzała ją w innym świetle. Czy sprawił to fakt, że arcykapłanka umierała? Czy ta świadomość pozwoliła jej bardziej trzeźwo spojrzeć na starą kobietę? A może to współczucie zmieniło jej postrzeżenie?

Większość kobiet wysyłanych na Terę nie miała ochoty służyć półbogu i wiele z nich opłakiwało świat, jaki znały, świat marzeń i nadziei na miłość i rodzinę. Być może Ifigenia również kiedyś taka była. Andromacha raz jeszcze zobaczyła, jak Kasandra uklękła przy kapłance i złożyła głowę na jej kolanach. Ifigenia podniosła rękę i przeczesła włosy

dziewczynki. Andromacha spojrzała wtedy na jej twarz i zobaczyła w niej tęsknotę. Czy Ifigenia w tej chwili rozmyślała o swoim pustym życiu, o stracie szansy na posiadanie własnych dzieci?

Deszcz zelżał i Andromacha przygotowywała się, aby ruszyć dalej, kiedy zobaczyła, że w górze, na zboczu, ktoś się porusza. Była to Kasandra krocząca samą krawędzią ścieżki. Andromacha wstrzymała oddech. Dziewczynka zauważyła ją i pomachała ręką.

- Taka piękna noc – zawołała. – Taka ekscytująca!

Andromacha wyciągnęła rękę i przyciągnęła dziewczynkę do siebie.

- Co tutaj robisz? To niebezpieczne.

- Musiałam cię zobaczyć, zanim wypłyniesz. Rozmawiałas z Kaliope?

Andromacha westchnęła. Zakopała jej kości pod drzewem i zapłakała na wspomnienie ich miłości.

- Tak – odparła łamiącym się głosem. – Powiedziałam, że mi jej brakuje i że zawsze będę o niej pamiętać. Myślisz, że mnie usłyszała?

- Nie wiem, nie było mnie tam – odparła Kasandra rezolutnie. – Próbowałam porozmawiać z Ksidorosem, ale tu go nie ma. Myślisz, że to dlatego, iż mężczyźni nie mogą przebywać na wyspie?

Andromacha przytuliła i pocałowała dziewczynkę.

- Będziesz tutaj szczęśliwa? – zapytała.

Kasandra wyzwoliła się z jej uścisku.

- Musisz powiedzieć coś Helikaonowi – rzuciła nagłym tonem. – Musi się udać na wyspy piratów. Będą tam Odyseusz i Achilles.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby toczyć bitwy, Kasandro.

- Ale zaatakowano Itakę i pojmano Penelopę. Pobito ją i udręczono. Odyseusz uda się tam i zginie, jeżeli Helikaon mu nie pomoże.

Wiatr ucichł i na zboczu zapadła cisza. Andromacha prawie słyszała bicie własnego serca. Odyseusz był najstarszym przyjacielem Helikaona, ale teraz stał się jego wrogiem. Jeżeli zginie wraz z Achillesem, osłabi to siły Mykeńczyków, być może do tego stopnia, że Troja zostanie ocalona. Milczenie się przeciągało i Andromacha zobaczyła, że Kasandra się jej przygląda. Poczła ukłucie winy.

- Muszę to przemyśleć – powiedziała, nie będąc w stanie spojrzeć blade oczy siostry.

- Nad czym tu myśleć? – zapytała dziewczynka. – Penelopa to wspaniała kobieta, która nosi

w łonie syna Odyseusza.

- Tu nie chodzi tylko o Penelopę. Są też inne kwestie. Na przykład ocalenie Troi.

- Inne kwestie... – mruknęła Kasandra. – Jak dziwni bywają ludzie.

Andromacha poczuła, że na jej twarz wypływa rumieniec.

- Nie ma niczego dziwnego w chęci ochrony tych, których kochamy.

- O tym właśnie mówię. Helikaon kocha Odyseusza i Penelopę. Wiesz, że jeżeli mu o tym powiesz, rzuci się im na pomoc. Tak samo jak ryzykował życie, aby przybyć do ciebie, kiedy Mykeńczycy zaatakowali Troję. On jest bohaterem i zawsze będzie chciał bronić tych, których kocha.

Andromacha przełknęła gniewną odpowiedź. Wciągnąwszy głęboko powietrze, spróbowała jeszcze raz.

- Powiedz mi, że śmierć Odyseusza i Achillesa nie ocali Troi.

Kasandra pokręciła głową.

- Nie, tego ci nie powiem. Wiem jednak, że Odyseusz zmierza ku swej zgubie. A tego właśnie chcą piraci. Ich przywódca ma waśń krwi z Odyseuszem. Na Itace znajduje się teraz prawie dwustu wojowników. Odyseusz ma zaledwie trzydziestu ludzi.

- Brzydki Król nie jest głupcem – odparła Andromacha. – A tylko głupiec zaatakowałby dwustu ludzi z trzydziestoma wojownikami.

Kasandra znowu pokręciła głową.

- Kocha Penelopę bardziej niż swoje życie. Ścięli jej włosy, Andromacho. Każdej nocy herszt piratów każe ją wywlekać z lochów, ubraną w łachmany, i przykuwać do tronu. Ich dziwki rzucają w nią jedzeniem i wykrzykują w twarz najgorsze obelgi.

Kasandra zamilkła. Przechyliła głowę.

- Decyzja należy do ciebie. Muszę iść. – Odwróciła się i szybko ruszyła w górę ścieżką.

Andromacha zaklęła i pobiegła za nią, ślizgając się na mokrej ziemi.

- Kasandro, nie możemy się rozstać w ten sposób. Czy jeszcze cię zobaczę?

Dziewczynka się uśmiechnęła.

- Spotkamy się jeszcze przed końcem. – Delikatnie dotknęła policzka siostry, po czym odeszła.

Andromacha patrzyła za nią, po czym odwróciła się i ruszyła ścieżką. Kiedy zbliżyła się do plaży, zobaczyła grupkę mężczyzn w zwiewnych szatach rozmawiających z Helikaonem.

Większość załogi zebrała się w półokręgu. Prawie niezauważona, Andromacha przebiła się przez tłum. Kiedy podeszła bliżej, stwierdziła, że jednym z mężczyzn w powłóczystych szatach jest Gershom.

- Co tu się dzieje? – zapytała, stając u boku Helikaona.

- Gershom nas opuszcza – oznajmił. Uśmiechnął się na jej widok, ale uśmiech zaraz zniknął z jego twarzy i w głosie słychać było tłumiony gniew. – Wypływa dzisiaj z ludźmi pustyni.

Andromacha spojrzała na czterech brodatych mężczyzn o zimnych oczach, stojących obok Gershoma.

- Dlaczego chcesz nas opuścić? – zapytała.

- Nie chcę. Kilka lat temu złożyłem komuś obietnicę. Teraz poproszono mnie, abym jej dotrzymał. Mam wiele wad, Andromacho, ale dotrzymuję danego słowa.

Obrócił się do Helikaona i wyciągnął do niego rękę. Przez chwilę Andromacha myślała, że Helikaon ją odtrąci. Ale dardański król pokręcił głową, podszedł bliżej i uściśnął Gershoma.

- Będzie mi ciebie brakować, przyjacielu – powiedział, odsuwając się. – Wszyscy moi ludzie i ja mamy powody, aby być ci wdzięcznymi.

Wśród zebranej załogi rozległy się pomruki zgody, Oniakos zaś poklepał Gershoma po plecach. Egipcjanin uśmiechnął się szeroko i skinął głową.

- Mamy nadzieję usłyszeć opowieści o twoich wspaniałych przygodach – rzekł Helikaon, zmuszając się do uśmiechu.

- Bardziej prawdopodobne, że usłyszycie o mojej rychłej śmierci – odparł Gershom. – Ale niewielkie są na to szanse, bo będę teraz podróżował pod nowym imieniem, wybranym dla mnie.

Po tych słowach Gershom zwrócił się do załogi:

- Przyjaciele – zaczął – wyciągnęliście mnie z morza i zaszczyciliście swoją przyjaźnią. Zawsze będę was miał w sercu, tak samo jak Zidantasa i innych, którzy nie są już z nami. Niech Źródło Wszelkiego Stworzenia ma was w swej opiece i uchroni od krzywdy.

Na koniec spojrzał na Helikaona i Andromachę.

- Obyście znaleźli wielkie szczęście – życzył im.

Nie mówiąc już nic więcej, ruszył w kierunku statku. Patrząc na Gershoma, w długich szatach, i podążających za nim ludzi pustyni, Andromacha zobaczyła w nim teraz księcia, jakim był kiedyś, stanowczego i emanującego autorytetem. Zastanawiała się, jak potoczą się jego losy, ale wiedziała, że nigdy się tego nie dowie.

W ciszy patrzyli, jak Gershom wdrapuje się na pokład egipskiego statku. Andromacha spojrzała na twarz swego kochanka i zobaczyła w niej głęboki smutek. Położyła mu dłoń na ramieniu i mocniej się przytuliła.

– Przykro mi widzieć, że jesteś taki smutny.

- Gershom to mój przyjaciel, jeden z najlepszych, jakich kiedykolwiek miałem, serce zaś podpowiada mi, że już się nie zobaczymy.

- Masz innych przyjaciół, którzy cię kochają.

- Tak – zgodził się. – Cenię ich wszystkich.

– Czy Odyseusz ciągle jest jednym z nich?

Uśmiechnął się.

– Odyseusz przede wszystkim. Jest najwspanialszym człowiekiem, jakiego spotkałem.

Andromacha westchnęła.

– A więc jest coś, o czym musimy porozmawiać.

XII. ŻEBRAK I ŁUK

W wietrznym megaronie królewskiego pałacu na smaganej wiatrem Itace piraci radośnie oddawali się uciechom wieczornej pijatyki. Wielu stało na podwórku, szukając ciepła tam, gdzie piekły się na ruszcie owce Odyseusza, ale większość podpitej już braci porozsiadała się w środku, śmiejąc się, kłócąc, jedząc i pijąc. Kilku zdążyło się osunąć na zimną kamienną posadzkę. Od czasu do czasu wybuchała drobna bójka, ale tej nocy nikt jeszcze nie zginął, pomyślała z żalem Penelopa. Liczbę tych, którzy ginęli każdego dnia w nagłych bójkach na noże, z nadatkiem uzupełniali nowo przybyli. W ciągu kilku dni na Itakę ściągnęła ponad setka łajdaków ze wszystkich mórz, zwabiona zza świątym chłodami zimy wód opowieściami o gościnności wyspy. Ponadto do piratów dołączyła grupka członków plemienia Sykulów z Wyspy Ognia położonej na zachodzie. Byli to gwałtowni, okrutni ludzie o twarzach pokrytych tatuażami. Posługiwali się zakrzywioną bronią z brązu.

Królowa siedziała przykuta do rzeźbionego drewnianego tronu i, jak każdej nocy, próbowała odgrodzić się myślami od rozgrywających się wokół niej wydarzeń. Mimo iż była wyczerpana, ogoloną głowę trzymała wysoko, wpatrując się w przeciwległą ścianę, gdzie, na co nikt nie zwracał uwagi, wisiała olbrzymia malowana tarcza ojca Odyseusza. Starła się zapomnieć o bólu połamanych palców, o pulsowaniu krwi w związanych nadgarstkach oraz nieustającym swędzeniu wywoływanym przez zawszone szmaty, które zmuszona była nosić.

Penelopa usiłowała przypomnieć sobie szczęśliwe dni, kiedy zarówno ona, jak i Odyseusz byli młodzi. Przywołała w myślach twarz syna, Laertes. W pierwszych latach po jego zgonie widziała go tylko takim, jaki był w obliczu nadchodzącej śmierci, ale teraz odkryła, iż przypomina sobie dokładnie kolor jego oczu, czuje gładkość policzka na swoich wargach i jasno widzi wyraz twarzyczki chłopczyka, kiedy do pokoju wchodził jego ojciec. Nie było dnia, żeby nie wspominała synka, ale teraz myśli o nim były uspokajające i słodkie i uwalniały ją choćby na kilka cennych chwil od niekończących się cierpień.

Jak zawsze, umysł ciągle ją zwodził, wzbudzając płonne nadzieje, iż Odyseusz wkroczy do megaronu, wymachując mieczem, i wyrąbie sobie do niej ścieżkę, uwolni z więzów i zapewni bezpieczeństwo w swoich szerokich ramionach, tak jak w jednej ze swych opowieści, które w nocy, kiedy płomień buchał wysoko w górę i otaczały ją ukochane osoby, opowiadał w tej

wysoko sklepionej sali. Ale nadzieje branki gasiła zimna struga rozsądku. Odyseusz był teraz starszy, miał prawie pięćdziesiąt lat. Dawno minęły dni jego krzepy i niespożytej wytrzymałości. W zimie bolały go stawy, po dniu pracy zaś rzucał się na wygodne krzesło z ciężkim, wdzięcznym westchnieniem sędziwego człowieka.

Złodziej czas kradł powoli żywotność mężczyzny, którego kochała, i wiedziała, że jeżeli przybędzie, starzejące się ciało zawiedzie go w obliczu tych okrutnych młodych mężczyzn, pławiących się w sile swego wieku.

Potem uderzała w rozpacz i w myślach błagała: Nie przychodź, Brzydalu! Choć raz w życiu zrób coś rozsądnego i trzymaj się z daleka. Poczekaj do wiosny i sprowadź armię, aby mnie pomścić. Nie przychodź do mnie teraz.

Ale on przybędzie. Wiedziała to z całą pewnością. Mimo jego sprytu, geniuszu i przebiegłości miłość do żony zaślepi Odyseusza.

Beznamiętnie zwróciła myśli ku samobójstwu. Gdyby Odyseusz się dowiedział, że nie żyje, i tak by przybył, ale z jaśniejszym umysłem skupionym na myśli o zemście. Poczekaliby, aż zgromadzi flotę, i potem każdemu piratowi na Itace zapewniłby dziesięciokrotną śmierć. Gdybyż tylko udało jej się zdobyć nóż albo ostry kij, mogłaby w mgnieniu oka przeszyć nim pierś. Ale w tym samym momencie poczuła ruchy dziecka w łonie i jej oczy zasnuły się łzami. Mogłabym zabić siebie, ale ciebie nie mogę zabić, mój mały.

– Cóż, wasza wysokość, czy uczynisz nam zaszczyt i zjesz oraz napijesz się z nami dziś wieczór? – zapytał znenawidzony głos.

Penelopa z niechęcią popatrzyła na chudą twarz o okrutnym wyrazie trzymającego ją w niewoli i torturującego Antinousa, kiedy ten składał jej wyszukany ukłon. Mając niewiele ponad dwadzieścia wiosen, był młody, ale przebiegły i pozbawiony skrupułów. Pomyślała, że cień szaleństwa w jego zielonych oczach mógł być udawany. Niemniej jednak sprawiał, iż starsi piraci mieli się na baczności w obecności młodego wilka. Długie ciemne włosy spletał w cienki warkocz ozdobiony złotym drutem, zwisający z prawego boku głowy.

W ciągu dziewiętnastu niekończących się dni od momentu ataku – dni, które królowa liczyła tak dokładnie jak kopnięcia dziecka w swoim łonie – Penelopa nauczyła się wiele o piratach i ich zachowaniu. Większość była zawistnymi, głupimi ludźmi wierzącymi, iż okrucieństwo i mordy czynią ich silnymi. Brakowało im choćby elementarnej dyscypliny i padali ofiarami nagłych wybuchów wściekłości i przemocy. Z pięciu pirackich hersztów, którzy do ataku na Itakę zebrali

się pod dowództwem Antinousa, trzech zginęło już z jego ręki. Kolejny został zabity w bójce o pojmaną kobietę.

– I jak, moja pani? Rozwiązać ci ręce i podać jedzenie? – Wykrzywiona grymasem gęba Antinousa znajdowała się tylko kilkanaście centymetrów od jej twarzy. Czuła w jego oddechu mięso, ale nie wino, gdyż nigdy nie piła.

Penelopa go zignorowała. Szybkim ruchem uderzył ją w twarz, aż zadzwoniły jej zęby. Poczowała smak krwi na języku.

– Czy mam cię wieczorem wydać moim ludziom? – zapytał łagodnie Antinous, wskazując na zapijaczoną bandę. – Sprawia, że będziesz kwiczeć.

Królowa skoncentrowała wzrok na jego zwodniczo spokojnych oczach, które będzie widziała w snach po kres swych dni.

– Rób, co uważasz, piracie – powiedziała zimno. – Patrzysz na Penelopę, królową Itaki. Moim mężem jest wielki Odyseusz i przybędzie tutaj, aby cię zabić. Zapamiętaj słowa wieszczące ci śmierć, Antinousie.

Pirat zaśmiał się cicho i odsunął.

– Wprost nie możemy się doczekać przybycia twojego męża. Słyszałem, że zamierza cię oswobodzić wraz z kilkoma ludźmi równie starymi jak on sam. Podejrzewam, że opowiadają o tym po całej Wielkiej Zieleni. – Raz jeszcze wskazał na wnętrze sali. – Moi wojownicy są młodzi, silni i nieustraszeni. Z radością wytną serce grubemu Odyseuszowi. – Podszedł bliżej i szepnął: – Ale najpierw zmuszę go do oglądania, jak umierasz. Zobaczy, jak gwałcą cię moi ludzie, a potem, jak wydłubuję ci oczy i wycinam z twojego brzucha jego plugawą latorośl.

Mimo ogarniającego ją przerażenia Penelopa zmusiła się do uśmiechu.

– Mów sobie, co chcesz, chełpliwy gnojku. Już nie żyjesz. Mogę cię o tym zapewnić.

Przy wejściu po drugiej stronie sali wszczął się ruch i królowa zobaczyła, że do środka wchodzi kolejna grupa łotrzyków. Z nadzieją przyglądała się ich twarzom. Był wśród nich muskularny olbrzym, którego wzięła za Leukona, ale kiedy odwrócił się w jej stronę, zobaczyła w jego oczach żądzę mordu i zdała sobie sprawę, że jest tylko zabójcą.

Potem zobaczyła twarz, którą знаła. Sekundos! Stary bandyta, z którym Odyseusz w szczęśliwszych dniach miał wspólne interesy, co jednak nie zmieniało faktu, że staruch był tylko nędznym piratem. Nie ma co na niego liczyć. Reszta załogi weszła do środka za hersztem, banda łotrów w wyświechtanych tunikach. Wyglądali raczej na żebraków niż na piratów.

– Szukasz ratunku, Penelopo? – zapytał Antinous. – Stary Sekundos niewiele ci pomoże. Jest miękki jak gówno szczeniaka i bliski obłądu, ale twierdzi, że dobrze zna wyspę. Wie o wszystkich kryjówkach, w których twoi wieśniacy i kobiety kulą się ze strachu.

Penelopa zamknęła oczy, aby choć przez kilka uderzeń serca zapomnieć o obecności bezwzględnego łotra i mordercy. Ale nie mogła usunąć jego twarzy ze swoich myśli i oczyma wyobraźni raz jeszcze zobaczyła straszny dzień, kiedy przybył na Itakę.

Osiem galer wyłoniło się z porannej mgły i na brzeg wylały się dwie setki piratów. Mały garnizon liczący trzydziestu wojowników dzielnie stawiał im czoło cały dzień, ale o zmierzchu wszyscy jej żołnierze, w większości chłopcy i starcy, polegli. Ciała tych odważnych ludzi zostały nabite na poustawiane wzdłuż plaży pale, żeby Odyseusz zobaczył je po swoim przybyciu. Smród gnijącego mięsa kalający morską bryzę był potworny.

Herszt piratów odezwał się ponownie. Penelopa otworzyła oczy.

– Sekundos pokaże nam także, gdzie chowa się ten czarny małpolud – powiedział. – Każę go tutaj sprowadzić, po czym powoli poucinam mu wszystkie członki. Będziesz mogła patrzeć, jak cierpi, i słuchać jego wrzasków.

Jednoręki Bias chronił ją w dniu ataku, zabijając i raniąc ponad tuzin najeźdźców, aż w momencie kiedy zniknęła ostatnia nadzieja, na jej wyraźny rozkaz niechętnie uciekł, niczym duch rozmywając się w mroku nocy. Każdego dnia słyszała, jak piraci szeptali o czarnym demonie, który likwidował strażników i pojedynczych maruderów. Antinous w poszukiwaniu ostatniego obrońcy honoru Itaki kazał przeczesać całą wyspę, ale go nie znaleziono, za to on wciąż znajdował nowe ofiary.

Penelopa została zaciągnięta do własnego pałacu i ciśnięta na podłogę przed młodym przywódcą piratów. Kopnął ją w twarz, po czym podniósł za włosy. Kiedy próbowała go uderzyć, złapał jej palce i wykręcił, aż dwa pękły. Następnie uderzył ją i ponownie runęła na ziemię. Na wpół zamroczona bólem, usłyszała jego zimny głos.

- Jestem Antinous, syn człowieka zamordowanego kiedyś przez Odyseusza. Przybyłem tu po zemstę.

- Odyseusz nie jest mordercą – odpowiedziała, wypluwając krew.

- Nędzne kłamstwo. Był na statku z Nestorem i Idomeneosem podczas bitwy morskiej przeciwko mojemu ojcu.

- Trzej królowie w bitwie morskiej? A, tak – mruknęła, patrząc na jego podłużną, chudą

twarz. – Odyseusz często o tym opowiadał i teraz widzę podobieństwo. Twoim ojcem był mężczyzna znany jako Ośła Morda.

Wtedy uderzył ją znowu, łamiąc jej nos, po czym złapał ją za włosy i raz za razem wymierzał bezlitosne ciosy. W końcu nieprzytomna opadła na posadzkę i ocknęła się w ciasnej celi.

Teraz patrzyła, jak podchodzi do niej Sekundos Kreteńczyk z luźno zwisającą z ramienia starą tarczą. Wyglądał na przestraszonego, na jego łysej głowie lśnił pot.

Zerknął nerwowo na Antinousa, po czym przemówił:

– Witaj, pani. Przykro mi widzieć cię tak pohańbioną. – Zobaczyła, jak jego wzrok prześlizguje się po jej wykrzywionych palcach i zaschłej krwi w okolicach oczu i ust.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Witaj, Sekundosie. Towarzystwo, w którym przebywasz, przynosi ci hańbę.

- W moim życiu było tyle hańby, pani, iż odrobina więcej nie będzie mi ciężką.

Antinous roześmiał się i odepchnął starego pirata. Potem odwrócił się do Penelopy.

– Mówisz o hańbie w mojej obecności, kiedy tak dobrze cię traktuję? Obawiam się, że muszę cię nauczyć manier! – Uniósł lewą rękę, aby ją uderzyć. W tym momencie wszyscy usłyszeli złowrogi syk i strzała o czarnych piórach zamiast w głowę ugodziła pirata w przed ramię. Antinous ryknął z bólu i zatoczył się w tył.

Penelopa spojrzała na drugi koniec sali.

W drzwiach, przebrany za żebraka, stał Odyseusz z wielkim łukiem Akiliną w dłoni.

– A teraz, krowie syny – ryknął – czas umierać!

Zapadła cisza. Nikt się nie ruszał. W tym momencie Odyseusz spokojnie nałożył kolejną strzałę i posłał ją w cel. Grot przeszył gardło żółtobrodego plemieńca, który runął martwy.

I dopiero wtedy rozpoczęło się pandemonium. Niektórzy piraci rzucili się, by szukać schronienia, inni zaś chwycili za broń i przypuścili atak na króla Itaki, ale nagle na ich drodze wyrósł olbrzymi wojownik o ciemnych włosach, dzierżący dwa miecze. Jednym rozplątał gardło pierwszego z piratów, po czym drugie ostrze wbił głęboko w pierś pirata stojącego obok.

Inni przebrani członkowie załogi Odyseusza wyciągnęli broń i ruszyli do ataku. Ich kapitan pobiegł w kierunku długiego stołu biesiadnego stojącego pośrodku sali. Mężczyznę, który stanął mu na drodze, staranował barkiem i obalił na podłogę, po czym wskoczył na stół.

– Jestem Odyseusz! – krzyknął. – Wszyscy dacie gardła! – Jego głos przetoczył się przez megaron niby grom, odbijając się echem od sklepienia.

Ciemnowłosy wojownik wraz z załogą *Krwawego sokoła* walczył wściekle przed drzwiami, spychając wroga na środek pomieszczenia. Odyseusz wypuścił kolejną strzałę, przeszywając głowę wysokiego pirata. Dwóch kolejnych napastników wdrapało się na stół i rzuciło na starego króla. Ten zamachnął się Akiliną jak pałką, drzewcem łuku uderzając pierwszego z mężczyzn w twarz. Cios zmiotł napastnika ze stołu. Zaraz potem król odwrócił się bokiem i kopnął drugiego pirata w kolano. Obwieś runął na ziemię, wydając przeraźliwy okrzyk bólu.

W powietrzu obok głowy Odyseusza śmignęła włócznia. Ale wkrótce król zabił oszczepnika, posyłając mu niechybny grot.

Stojący przy tronie Antinous złamał strzałę sterczącą z przedramienia i z okrzykiem bólu wyciągnął ją z rany. Niewiele jednak mógł dokonać lewą ręką ze sparalizowanym kciukiem. Wyciągając krótki miecz, krzyknął:

- Zobacz, Odyseuszu, jak umiera twoja żona! – Penelopa próbowała się odsunąć, gdy ostrze miecza śmignęło ku niej – ale odbiło się od tarczy Sekundososa. Stary pirat ciął mieczem, mierząc w Antinosa, ale zamach był zbyt powolny i przywódca piratów uchylił się przed klingą.

- Ty zdradziecki knurze! – wysyczał. – To ty ich tutaj sprowadziłeś! Teraz możesz z nimi umrzeć.

Zaatakował. Sekundos zablokował pchnięcie tarczą, ale Antinous opadł na jedno kolano i ciął mieczem pod jej krawędzią, głęboko wbijając ostrze w udo starego pirata. Sekundos krzyknął i cofnął się. Antinous spojrział na drugi koniec długiego megaronu. Odyseusz zeskoczył ze stołu i odrzucił łuk. Walczył teraz mieczem, tnąc zaciekle na lewo i prawo, próbując przebić się ku żonie.

W tej chwili Antinous pojął, że kolejne bitwy zaczynają się zmieniać. Element zaskoczenia na początku dał przewagę Odyseuszowi i jego ludziom, ale teraz pierwsze wrażenie minęło i powoli dawała o sobie znać przewaga liczebna. W megaronie było ponad stu pięćdziesięciu piratów. Po stronie Odyseusza walczyło czterdziestu mężów. Powoli spychano ich w kierunku wielkich drzwi. Dawno by ich pokonano, gdyby nie olbrzymi czarnowłosy wojownik z dwoma mieczami. Jego siła była przerażająca. Błyszczące miecze raz za razem przebijały się przez obronę przeciwnika – dookoła olbrzyma zaczął się tworzyć wał trupów.

Antinous musiał się zająć Sekundosem, gdyż starzec ruszył na niego, wysoko trzymając

tarczę, z krótkim mieczem przygotowanym do pchnięcia.

Młody pirat zaśmiał się.

– Stary głupcze, powinieneś dawno już osiąść na lądzie. Twoje mięśnie zwiotczały, szybkość odeszła, a kości są kruche.

Herszt piratów skoczył naprzód, markując cios w kierunku krocza. Sekundos opuścił tarczę, aby go zablokować. Antinous pchnął krótkim mieczem ponad tarczą i wbił ostrze w pierś starego. Sekundos jęknął i cofnął się, upuszczając tarczę na posadzkę.

Tymczasem na środku sali Odyszeusz został otoczony przez piratów, ale rzucił się na nich, miotając przekleństwa.

– Brać go żywcem! – krzyknął Antinous. – Chcę mieć go żywego!

Nagle z łoskotem wielkie drzwi otworzyły się ponownie. Do megaronu z okrzykiem bitewnym na ustach wbiegła kolejna grupa wojowników.

– Penelopa! PENELOPA!

Antinous znieruchomiał zdjęty przerażeniem, widząc kolejnych wojowników wpadających do pałacu jak wściekłe szerszenie. W samym środku szuku przez wrogów przedzierał się wojownik w hełmie i z napierśnikiem z lśniącego brązu. Wbił się w szeregi piratów, powalając jednego, a potem drugiego przeciwnika.

Ogarnięci paniką rzezimieszkowie znów zaczęli się cofać. Niektórzy czmychnęli przez boczne wrota do kwater służących. Inni cofnęli się pod tron. Przybyły wojownik i jego ludzie deptali im po piętach, zadając zbryzganymi krwią mieczami śmiertelne pchnięcia.

Czarnowłosy olbrzym był teraz u jego boku. Antinous nigdy wcześniej nie widział tak zabójczego pokazu umiejętności walki i nie wierzył, że coś takiego jest możliwe. Wojownik z brązowym napierśnikiem błyskawicznie uchylał się przed śmigającymi ku niemu ostrzami, jego miecz zaś ciął z nieopisaną precyzją. Wyrabujący sobie drogę przez zastępy piratów i rozrzucający ich jak snopy słomy olbrzym wydawał się wprost niezniszczalny.

Antinous cofnął się, szukając drogi ucieczki.

I wtedy zobaczył broczące krwią z wielu ran na rękach i ramionach Odyszeusza. Król rzucił się naprzód, roztrącił piratów stojących mu na drodze i zaatakował Antinosa.

Ten zaklął i skoczył mu na spotkanie. Ich klingi ze szczękiem spotkały się w powietrzu. Odyszeusz szybko jak atakujący wąż wysunął lewą rękę, złapał Antinosa za tunikę i pociągnął go do przodu, prosto na spotkanie ciosu z byka, którym złamał mu nos. Na wpół ślepy Antinous

próbował się uwolnić z uścisku starego króla. Ale nie był w stanie. Poczł niewypowiedziany, palący ból, który przeszył mu trzewia, a potem przesunął się w górę do płuc. Straciwszy resztkę sił, usłyszał, że odgłosy bitwy przycichły. Wpatrzył się w oczy Odysusza i nie zobaczył w nich litości.

Brzydki Król wyciągnął nieco miecz z brzucha herszta piratów, a następnie gwałtownie obrócił klingę.

Ciałem Antinousa targnęła agonia. Odysusz wyszarpnął ostrze razem z wnętrznościami. Odrzucony na bok jak zakrwawiona lalka, Antinous skonał, zanim jego ciało uderzyło o ziemię.

Stary Sekundos, z twarzą szarą od bólu, doczołgał się do Penelopy. Zabrakło mu sił i oparł się o tron, po czym osunął na posadzkę.

Na zewnątrz uciekających piratów powitał grad strzał, a następnie atak poprowadzony przez Oniakosa i garstkę wojowników z *Ksantosa*. Kilku z uciekinierów udało się przedrzeć przez szeregi mścicieli, ale tam czekał już na nich olbrzymi, jednoręki czarny mężczyzna. Skoczywszy naprzód, Bias dźgnął pierwszego z piratów w kark, a następnie wbił ostrze w pierś drugiego. Trzeci przebiegi obok, ale po chwili w jego plecy wbiła się strzała o czarnym grocie. Zatonął się kilka kroków do przodu, po czym padł na ziemię.

Grupka piratów uciekła przez boczne drzwi i rzuciła się w kierunku portu. Na wielkim pokładzie *Ksantosa* panował mrok i ocaleni pobiegli w tym kierunku, mając nadzieję na przejęcie okrętu. Kiedy zaczęli się wspinać po zwisających linach, pojawiły się nad nimi ciemne sylwetki i z pokładu sypanął się ku nim grad strzał. Na rufie spokojnie stała Andromacha, wraz z innymi łucznikami szyjąc strzałami; wystrzelone przez nią strzały z zimną precyzją kosiły kolejnych napastników. Bitwa o pałac dobiegła końca. Niektórzy piraci krzykiem błagali o litość, ale mściciele nie brali jeńców.

Odyseusz odrzucił miecz, podbiegł do żony i uklęknął przy niej. Szybko rozwiązał jej ręce i tuląc jej ogoloną głowę do piersi, ucałował skroń. Oczy Brzydkiego Króla były pełne łez.

– Tak mi przykro. To moja wina.

Penelopa przyciągnęła go do siebie zdrową ręką i przez chwilę milczeli trzymając się w ramionach, nie wierząc, że znowu są bezpieczni, razem.

– Wiedziałaś, że przybędziesz, Brzydalu. To było wyjątkowo głupie z twojej strony – wymruczała w końcu. Uniosła ranną dłoń i delikatnie dotykała jego twarzy. – I spójrz na siebie – cały jesteś poraniony i w siniakach.

Wojownik w brązowym napierśniku zbliżył się do nich i zdjął hełm. Penelopa spojrzała w jego oczy o barwie nieba.

– Myślałam, że na tym świecie już niewiele mnie zaskoczy – powiedziała. – Ale pokazałeś, że się myliłam. Witaj w moim domu, Helikaonie. – Spojrzała pytająco ponad nim na stojącego nieco dalej zakrwawionego olbrzymia.

- Jestem Achilles – przedstawił się.

- Nie możesz być nikim innym – odpowiedziała.

Przez następne trzy dni ludzie z *Ksantosa* pomagali załodze Odyseusza usuwać ciała piratów i przygotowywać stopy pogrzebowe. Uciekinierzy powrócili ze swoich kryjówek w górach do splądrowanych domostw. Andromacha dołączyła do innych kobiet, które krzątały się po megaronie i przyległych pokojach, zmywając krew i usuwając brud, jaki pozostawili po sobie piraci i ich dziwki.

W tym czasie Penelopa prawie w ogóle się nie pokazywała, Odyseusz zaś pojawiał się rzadko.

Wieczorem trzeciego dnia pałac znowu stał się miejscem, w którym można było zamieszkać. Sprzątanie domostw częściowo przywróciło wrażenie normalności, ale wielu straciło swoich bliskich i mieszkańcy osady pogrążeni byli w bólu.

Jedyny medyk na Itace został zabity przez najeźdźców i rannymi zajmowali się Bias, Oniakos i Andromacha. Cała trójka miała pewne doświadczenie w ziołolecznictwie.

Tuż przed południem czwartego dnia Penelopa opuściła swoje pokoje i wkroczyła pomiędzy rannych z jasną, złotą chustą zawiązaną na głowie. Nie mogła pomagać w pracy, bo miała usztywnione palce. Niemniej siadała przy rannych, rozmawiała z nimi i wychwalała ich odwagę.

Stary Sekundos umierał. Penelopa podeszła do jego materaca, który leżał w słońcu. Dawny pirat poprosił, aby wynieść go na zewnątrz, by mógł po raz ostatni zobaczyć Wielką Zieleń.

Kiedy przyszła Penelopa, uśmiechnął się.

- Zbyt stary... i za powolny – mruknął. – Był taki czas...

- Tak – zgodziła się Penelopa drżącym głosem – byłeś za stary, aby wygrać. Ale nie na tyle, by nie ocalić życia mojego i dziecka.

Na ustach starego pojawił się cień uśmiechu.

– Zawsze... chciałem wystąpić... w jednej z opowieści Odyseusza. – Spojrzał na bezchmurne

niebieskie niebo. – Piękny dzień na... rejs – wyszeptał.

Wzrok Penelopy się zamglił.

– Jesteś bohaterem, Sekundosie. I przykro mi, że mówiłam o hańbie.

Stary, usłyszawszy komplement, ożywił się.

– Ty... pamiętasz moje imię. To... zaszczyt dla mnie – powiedział. Tracąc siły, spojrzał na nią. – Musisz mnie teraz zostawić. Chcę... umrzeć samotnie. Tylko ja... i Wielka Zieleń.

Penelopa schyliła się i pocałowała go w czoło.

– Niech twoja podróż będzie krótka, a Pola Elizejskie gościnne.

Wtedy z pałacu wyszła Andromacha.

– Przejdźmy się – zaproponowała królowa, po czym ruszyła w górę po łagodnym zboczu.

Księżniczka widziała, że Penelopa drży i jej kroki są niepewne. Wzięła ją pod ramię i tak dotarli do szczytu wzgórza.

– Ciągłe jesteś słaba – zauważyła Andromacha. – Powinnaś odpoczywać.

Penelopa wzięła głęboki oddech.

- Odyseusz nie poruszał tego tematu, ale czuję pytający wzrok innych. Wszyscy się zastanawiają, jakiego pohańbienia doznałam i czy moja duma została zdruzgotana.

- Nie ma na tym świecie człowieka, który mógłby odebrać ci dumę – powiedziała Andromacha.

- Piękne słowa jak na kogoś, kto w ogóle mnie nie zna. – Uwaga została wypowiedziana łagodnym tonem.

– Znam cię – odparła Andromacha. – Znam cię ze wszystkich opowieści Odyseusza i z tego, co widziałam i słyszałam, odkąd tu jestem. Wszyscy mówią o miłości, dumie i szacunku, jakie żywią w stosunku do ciebie.

Penelopa nie odpowiedziała, tylko skręciła w kierunku kamiennej ławki, z której roztaczał się widok na zatokę. Pirackie okręty były nadal częściowo wciągnięte na piasek, tak samo jak potężny *Ksantos*. Obie kobiety siedziały przez chwilę w ciszy, po czym odezwała się Andromacha.

- Odyseusz jest dobrym człowiekiem. Bardzo go lubię.

Penelopa westchnęła.

- Nie pytał mnie, co wycierpiałam. Zastanawiam się nad tym.

– Nie rozmyślaj o tym zbyt głęboko – ostrzegła ją Andromacha. Obserwowałam Odyseusza,

kiedy *Ksantos* przybił do pirackiej wysepki. Nigdy nie widziałam tak umęczonego i przestraszonego człowieka. Bał się, że cię straci. Teraz jest zasmucony z powodu twojego bólu, ale nie może ukryć radości z tego, że żyjesz. Nie pyta dlatego, że liczy się dlań tylko to, iż nic ci nie grozi i znowu jesteście razem.

– Jest starym, sentymentalnym głupcem – westchnęła z uczuciem Penelopa.

Z pałacu wyszli Odyseusz wraz z Helikaonem. Stary król spojrział w górę i pomachał im ręką. Penelopa uniosła dłoń w odpowiedzi. Mężczyźni ruszyli na spacer wzdłuż brzegu. Królowa spoglądała na siedzącą obok Andromachę i zobaczyła, że jej twarz złagodniała, kiedy patrzyła na spacerujących.

– A więc – zaczęła królowa – jak to się stało, że żona Hektora podróżuje po Wielkiej Zieleni?

Andromacha opowiedziała jej o celu ich podróży oraz o wizycie na Terze, gdzie została Kasandra, ale kiedy mówiła, jej wzrok cały czas podążał za Helikaonem. W tym momencie Penelopę ogarnęło uczucie wielkiego smutku, gdyż zobaczyła w oczach Andromachy miłość.

– Jestem zmęczona – stwierdziła. – Chyba wrócę do swoich komnat.

Andromacha towarzyszyła jej w drodze do pałacu. Na miejscu Penelopa pocałowała ją w policzek.

- Mimo tego wszystkiego, co się stało – powiedziała – będę miło wspominała kilka ostatnich dni. Dobrze jest znowu zobaczyć Helikaona i Brzydala jako przyjaciół. Cieszę się też, że się spotkałyśmy, Andromacho.

- Tak samo jak ja. Teraz rozumiem, dlaczego Odyseusz darzy cię taką miłością.

Penelopa westchnęła.

– Mieliśmy szczęście. Zawarliśmy małżeństwo ze względów politycznych, ale dało mi ono znacznie więcej radości, niż kiedykolwiek mogłabym przypuszczać. Inni nie mają tyle szczęścia. Miłość jednak należy pielęgnować, gdziekolwiek się ją znajdzie, chociaż czasami może ona prowadzić do bólu i udręki poza wyobrażeniem. Wiesz, co mam na myśli?

Andromacha oblała się rumieńcem.

- Myślę, że tak.

- Kiedy wrócisz do Troi, pozdrów ode mnie Hektora, zawsze go podziwiałam. To dobry człowiek, w którym nie znajdziesz zawiści ani kłamstwa. Powiedz, że Penelopa dobrze mu życzy.

- Tak zrobię – odparła Andromacha spokojnie, jednak w jej oczach pojawił się gniew.

- Nie zrozum mnie źle, moja droga – kontynuowała Penelopa – nie oceniam cię, ale porozmawialiśmy i znam cię lepiej. Nie jesteś przebiegła ani kapryśna, droga zaś, którą podążasz, będzie cię coraz bardziej przygnębiać. Odyseusz powiedział mi o twojej miłości do Helikaona. Mówi mi o wszystkim.

Gniew Andromachy się ulotnił.

- Nie wiem, co robić – wyszeptwała.

- Chodźmy do środka. Usiądziemy i porozmawiamy.

W komnatach królowej rozpalono ogień i kobiety usiadły obok siebie na sofie. Andromacha opowiedziała o swoim pierwszym spotkaniu z Helikaonem i o bitwie w pałacu Priama. Mówiła o Halizji i Deksie. Powiedziała Penelopie o chorobie Helikaona i ranie, która nie chciała się zagoić.

- A potem, pewnego dnia, gorączka minęła – zakończyła.

- I byłeś wtedy z nim?

- Tak. – Andromacha uciekła spojrzeniem.

- Nikogo innego tam nie było?

Andromacha skinęła głową i zapanowała przedłużająca się cisza. Penelopa jej nie przerywała, tylko siedziała w milczeniu, czekając. Andromacha wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

– Hektor jest dobrym człowiekiem i moim przyjacielem – powie działa. – Kocha mojego syna.

Te słowa uderzyły Penelopę, ale z niczym się nie zdradziła. Kocha mojego syna.

- Czy Helikaon wie?

- O czym?

- Że jest ojcem twojego dziecka?

Oczy Andromachy rozszerzyły się, kiedy zrozumiała, jaką informację ujawniła.

– Nie, nie wie! I tak musi zostać! Przez całe życie trawiło go poczucie winy, najpierw z powodu matki, która zabiła się na jego oczach, potem dlatego, że nie mógł ocalić małego Diomedesa, a w końcu i Halizji. Ta wiadomość przysporzyłaby mu tylko więcej cierpienia.

- Uspokój się, Andromacho. Jesteśmy przyjaciółkami. Nie powiem ani słowa. Nawet Odyseuszowi. Obiecuję. Czy Hektor wie?

- Tak, powiedziałam mu o tym na samym początku – odpowiedziała Andromacha ledwo słyszalnym głosem. – Ale wiemy o tym tylko on i ja, a teraz ty. Najważniejsze, aby nie dowiedział się o tym Priam. Zabiłby Astinaksa, mnie i ścigałby Helikaona. Tak jest lepiej. To jedyny sposób. Ale to takie trudne – wyszeptała.

- Moja droga, współczuję ci w twoim bólu. Ale musisz podjąć decyzję, a wybór jest tylko jeden. Wiesz jaki.

Andromacha kiwnęła głową i z jej oczu popłynęły łzy. Penelopa pochyliła się i objęła ją ramieniem. Wszystko już zostało powiedziane.

Na plaży załoga Helikaona ładowała zapasy.

- Zmierzasz do Siedmiu Wzgórz? – zapytał Odyseusz. Helikaon spojrział na niego, ale nie odpowiedział. Odyseusz rozumiał wahanie przyjaciela odnośnie do omawiania swoich planów. Mimo uratowania Penelopy ciągle znajdowali się po przeciwnych stronach. – Nie zdradzę cię, chłopcze. Mam nadzieję, że o tym wiesz?

Helikaon skinął głową.

- Wiem. Szaleństwo wojny wpływa na nas wszystkich. Tak, tam właśnie zmierzam. Co tam znajdę? Czy moi ludzie żyją, Odyseuszu?

- Oczywiście, że tak. Rani mnie takie pytanie. Kiedy zaczęła się wojna, zebrałem wszystkich i oznajmiłem, że nie doświadczą żadnej nienawiści, nie będzie też żadnych zatargów. Cały kontynent pustoszą bandyci i wędrujące nieustannie dzikie plemiona barbarzyńców. Na morzu są piraci. Mają wystarczająco wielu wrogów bez walk pomiędzy sobą. Wszystko jest w porządku, Helikaonie, i zostaniesz tam powitany przez wszystkich jako przyjaciel. Jak rozumiem, szukasz cyny?

- Tak. Będziemy potrzebowali każdej ilości, jaką uda się znaleźć.

- Mają tam składy. Weź tyle, ile zdołasz zabrać.

Kiedy rozmawiali, zbliżył się do nich Bias. Helikaon spojrział na niego, przypominając sobie nienawiść w jego głosie, kiedy spotkali się ostatnio.

„Mam nadzieję, że spłoniesz wraz ze swoim statkiem śmierci”.

Czarnoskóry nie spojrział na Helikaona, lecz przemówił do Odyseusza.

- Załadowaliśmy większość zapasów, jak rozkazałeś – oznajmił. – Ale piraci niewiele nam pozostawili.

- Jutro możesz wypłynąć do Pylos – powiedział Odyszeusz – i pohandlować z ludźmi Nestora.

Bias skinął głową, ale nie odchodził. Cisza się przedłużała, w końcu mężczyzna wziął głęboki oddech i zwrócił się do Helikaona:

- Nie cofam tego, co powiedziałem, Helikaonie. Ale dziękuję ci, że przybyłeś nam na pomoc.

– Nie czekając na odpowiedź, oddalił się.

- Dobry człowiek, choć nie umie przebaczać – skomentował Odyszeusz.

Helikaon wzruszył ramionami.

- Przebaczenie nigdy nie powinno być dawane łatwo. Jak się czuje Penelopa?

- Jest silna, o wiele silniejsza ode mnie. Ale nie chcę rozmawiać o tym, przez co musiała przejść. Myślenie o tym przepelnia mnie gniewem, nad którym ledwo panuję. Wspomniałeś o szaleństwie wojny i ten atak na Itakę był jego przykładem. Syn Ośleji Mordy chciał zemsty, ale i bez tego piraci rosną w siłę. Zbieramy się, aby zniszczyć Troję, podczas kiedy nasze królestwa są zaniebdywane. Kiedy podbijemy Troję – a uwierz, Helikaonie, że tak się stanie – do czego przyjdzie nam wracać? Boję się, że ten konflikt pochłonie nas wszystkich. Nie będzie zwycięzców i nawet w skarbcu Troi nie znajdzie się tyle złota, aby odbudować to, co stracimy.

Helikaon spojrzał na starego przyjaciela. We włosach i brodzie miał teraz więcej siwizny niż rudych włosów, a jego twarz była poznaczona zmarszczkami i zatroskana.

- Wszystko, co mówisz, jest prawdą, Odyszeuszu... wszystko, poza skarbcem Troi. Nie widziałem gór złota Priama, ale musiałyby to być góry nad górami, aby pokryć wydatki na tę wojnę. Złoto wypływa z miasta każdego dnia, aby wynająć najemników, kupić sprzymierzeńców. A teraz, kiedy kupcy opuszczają miasto, niewiele złota wraca. Jeżeli walki potrwać dłużej i w istocie zdobędziecie miasto, może się okazać, że nie znajdziecie niczego wartościowego.

- Też o tym pomyślałem – przyznał Odyszeusz, kiwając głową. – Jeżeli okaże się to prawdą, wszyscy będziemy skazani na biedę i życie w ruinach. – Westchnął raz jeszcze i spojrzał w niebieskie oczy Helikaona. – Mam nadzieję, że nie znajdę cię w Troi, kiedy zdobędziemy miasto.

- A gdzie miałbym być, Odyszeuszu? Będzie tam kobieta, którą kocham, i zamierzam chronić ją własnym życiem.

- Boję się o ciebie, chłopcze. – Odyszeusz nagle wydał się zmęczony. – Ty i Hektor jesteście dwoma największymi wojownikami Troi – powiedział cichym głosem. – Jak myślisz, co się stanie, kiedy on odkryje, że jego żona jest twoją kochanką?

Helikaon cofnął się gniewnie, ale potem się przygarbił.

- To takie oczywiste?

- Tak, nigdy nie stajesz blisko niej w komnacie ani też nie patrzysz na nią, kiedy jesteście razem. Wbijasz wzrok w podłogę za każdym razem, gdy zabiera głos, ale obydwójce wychodzicie do swoich pokoi w przeciągu kilku uderzeń serca. Nie minie wiele czasu i nie znajdziesz ani jednego członka twojej załogi, który by czegoś nie podejrzewał. A może już tak jest.

Odyseusz położył rękę na ramieniu Helikaona.

– Zabierz ją z powrotem do Troi, a potem opuść miasto. Broń północy i utrzymuj szlaki handlowe, tocz bitwy na morzu. Ale trzymaj się od niej z daleka, chłopcze. W przeciwnym razie boję się o waszą przyszłość.

CZEŚĆ DRUGA

BITWA O TROJĘ

XIII. WIEŚNIACY I KSIĄŻĘTA

Tak ostrej zimy nie pamiętali najstarsi mieszkańcy Troi. Sztormy przychodzące od północy niosły ze sobą lodowaty deszcz ze śniegiem, a potem, co było zaskakujące, sam śnieg. Na oknach i dachach pojawiły się sople, owce zaś, które utknęły w zaspach na pastwiskach na północ od miasta, zamarzły. Zamiecie śnieżne szalały przez dwadzieścia dni i nawet po ich ustaniu szlaki pozostały nieprzejezdne.

W niższej części miasta zaczęli umierać biedniejsi mieszkańcy. Zła pogoda i plotki o wojnie spowodowały, że liczba karawan kupieckich przybywających ze wschodu znacząco zmalała, ceny żywności zaś gwałtownie wzrosły. Priam rozkazał wszystkim składom ze zbożem racjonowanie zapasów, co wzbudziło gniew i niezadowolenie mieszkańców.

Nawet w najgorszych dniach zimy ludzie nadal opuszczali miasto, gdyż wiadomości z południa były niezmiennie złe. Hektor wygrał trzy bitwy, ale znaczna przewaga liczebna przeciwnika zmusiła go do wycofania się do Teb pod Plakos, które teraz były oblegane.

Na północy mykeński atak na Dardanos został skutecznie udaremniony przez wodza Banoklesa i jego Traków, wspieranych przez oddziały najemników dowodzonych przez Tudhaliasa, skazanego na banicję syna hetyckiego imperatora. Wynik bitwy do ostatniej chwili był niewiadomy. Banokles byłby przegrał, gdyby flota inwazyjna nie natknęła się na sztorm. Tylko trzeciej części statków udało się przedrzeć przez cieśniny. Niepogoda zredukowała siły wroga do czterech tysięcy ludzi, zamiast dwunastu tysięcy, które mogły zalać wybrzeże.

W dzień przesilenia zimowego królewski syn Antifones wyszedł ze swojego domu w niższej części miasta i ruszył w górę skutymi lodem i praktycznie opustoszałymi ulicami w kierunku centrum. Wiał lodowaty wiatr i nawet opończa z owczej skóry, którą miał na sobie, nie mogła utrzymać chłodu z dala od jego kości.

Przeszedłszy przez Bramę Skajską, ruszył po kamiennych schodach w stronę południowych blanków. Kiedy się wspinał, przypomniał sobie długie dni niemocy, która prawie go zabiła, po oblężeniu pałacu przed czterema laty. Niemal zadźgany na śmierć, walczył o odzyskanie sił, a także zrzucenie zbędnych kilogramów, raz za razem wspinając się na schody. Na pierwszy cel obrał sobie zachodnie blanki, tam gdzie wysoki mur był najniższy. Myślał wtedy, że zemdleje z bólu i wycieńczenia. Ale w ciągu następnych miesięcy nabierał siły i teraz – mimo że ciągle

ważył tyle co dwóch mężczyzn – był tak silny jak każdy inny wojownik trojański.

Nie miał pojęcia, dlaczego jego brat Polites chciał się z nim spotkać na Wielkiej Wieży Ilionu. Antifones nie był tam od czasów dzieciństwa. Priam mu tego zabronił.

– Dach zawaliłby się pod tobą, chłopcze – powiedział – a odbudowanie go byłoby koszmarnym zadaniem dla inżynierów.

Na południowych murach nad Bramą Skajską przystanął na chwilę, a następnie otworzył dębowe drzwi Wielkiej Wieży i wszedł w mrok. Począł, aż oczy przyzwyczajają się do ciemności. Schody wbudowane w wewnętrzną ścianę wieży wznosiły się po lewej stronie.

Kiedy w końcu wychynął na drewniany, wysoki dach, wiatr uderzył weń niczym topór. Czterej strażnicy obsadzeni w rogach wieży stali bez ruchu, ze stoickim spokojem znosząc niepokogę. Łysiejący, chroniący głowę czapą z owczej skóry Polites, którego chudą sylwetkę okrywała ciężka opończa, pośpieszył do niego, popychany przez dmący z północy wiatr.

- Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną tutaj spotkać, bracie – powiedział, choć połowę słów porwał wiatr, zanim na dobre opuściły jego usta. – Jak się czujesz?

- Zostawmy wzajemne dociekania na temat naszego zdrowia na bardziej stosowną okazję – krzyknął Antifones. – Co tu robimy?

- Jak zwykle, potrzebuję twojej rady, bracie. – Położywszy rękę na ramieniu Antifonesa, Polites poprowadził go do części wieży, skąd roztaczał się widok na Dolne Miasto i zatokę. Szerokie blanki chroniły dolną część jego ciała, ale Antifones mógł ledwo wciągać powietrze z powodu wiatru. Osłonił usta dłonią, aby oddychać.

– Ojciec postanowił po raz kolejny zrobić ze mnie głupca – krzyknął Polites blisko ucha Antifonesa. – Wezwał mnie wczoraj i powiedział, że mianuje mnie *strategošem*, mam przygotować plan obrony Troi. Miałem bezsenność, bracie.

Antifones skinął głową.

- A dlaczego jesteśmy na Wielkiej Wieży? – wydusił.

- Stąd możemy zobaczyć całą Troję i przyległe tereny. Możemy dostrzec, z której strony nadejdą najeźdźcy, i zaplanować naszą obronę.

Antifones chrząknął. Złapał brata za chude ramię i zaciągnął go z powrotem na szczyt schodów.

– Chodź ze mną, Politiesie!

Nie tracąc czasu na sprawdzenie, czy brat za nim podąża, zaczął schodzić w ciemnej,

litościwie bezwietrznej wieży. W końcu wyszedł na światło dnia i zszedł po schodach przedpiersia muru.

Kiedy znalazł się na dole, zawołał jednego ze strażników bramy.

– Przyrowadź rydwan! – rozkazał.

Mężczyzna skinął głową i pobiegł w kierunku pałacu. Antifones wyszedł przez otwartą Bramę Skajską. Dopiero wtedy, spoglądając na leżące poniżej Dolne Miasto, odwrócił się do brata.

– Aby obronić miasto, musimy myśleć jak najeźdźca – oznajmił. – Nie możemy myśleć jak Agamemnon stojący na Wielkiej Wieży. Musimy pójść tam, gdzie on by poszedł, i zobaczyć to, co on będzie widział.

Polites pokiwał głową z przygnębioną miną.

– Masz rację. Nie jestem w tym dobry. To dlatego ojciec mnie wybrał. Żeby zrobić ze mnie głupca. Tak samo jak na igrzyskach z okazji ślubu Hektora.

Antifones pokręcił głową.

– Bracie, jesteś w błędzie. To prawda, Priam w przeszłości robił z nas głupców. Mianował mnie kapitanem Konia Trojańskiego, kiedy byłem tak niemożliwie gruby, że złamałbym grzbiet jednemu z nieśmiertelnych wierzchowców Posejdona. Ale on wie, co robi. Kiedy przybędą Mykeńczycy, musi być gotowy. Mogą być na naszych brzegach już na wiosnę. Niewykluczone, że tylko dni dzielą nas od momentu, kiedy zobaczymy ich okręty. Ojciec nie wybrał cię po to, żeby zrobić z ciebie głupca. Wybrał cię, ponieważ uważa, że jesteś odpowiednią osobą do tego zadania. Musisz to zrozumieć.

– Pomimo igrzysk?

– Z powodu igrzysk. Igrzyska były dla niego ważne. Chciał pokazać Agamemnonowi i jego bandzie nędznych królów, jak Trojanie potrafią się zorganizować. Wierzył, że ci się to uda. I sprawiłeś, że był z ciebie dumny. Dzięki tobie tysiące ludzi dotarły na właściwe rozgrywki, we właściwym dniu i o właściwej porze. Wszyscy zostali wykarmieni i zakwaterowani. To był wielki sukces. Wtedy byłeś zbyt zdenerwowany, żeby to dostrzec.

- Zdarzyło się kilka bójek – mruknął Polites, częściowo podbudowany pochwałą.

- Więcej niż kilka – roześmiał się Antifones. – Sam byłem świadkiem tuzina. Ale nie zakłóciło to programu uroczystości i wszyscy wyjechali zadowoleni. Poza królem Eioneusem – wrzucił ramionami – i tymi dwoma zabitymi w wyścigach rydwanów. No i tego kreteńskiego

pięściarza, którego Achilles zabił jednym uderzeniem. – Znowu się roześmiał i poklepał brata po plecach.

- Nie widziałem tego – powiedział ponuro i z żalem w głosie Polites. – Wczoraj spotkałem się z naszymi wodzami, Lukanem i Tersytesem. Rozmawiali w języku, którego nie rozumiałem.

Antifones zachichotał.

– Żołnierze lubią mówić własnym narzeczem.

W polu widzenia pojawił się rydwan, który ze skrzypieniem kół przejechał przez bramę. Antifones odesłał woźnicę i wziął lejce.

– Chodź, Politiesie. Wybierzemy się na przejażdżkę.

Polites wspiął się na rydwan. Antifones potrząsnął lejcami i rydwan ruszył przez krecią plątaninę ulic i uliczek Dolnego Miasta, osłoniętego cieniem wielkich murów. Przedostawszy się przez rów fortyfikacyjny, Antifones skierował rydwan w dół łagodnie zakręcającej drogi, a potem przez pokrytą śniegiem równinę Skamandra, dopóki nie znaleźli się przy rzece. Była pora zimowych wylewów i koła rydwanu zaczęły chlupać w wodzie, zanim dotarli do szerokiego drewnianego mostu. Antifones zatrzymał konie i wysiadł z rydwanu. Stojąc na środku mostu, spojrzeli w kierunku, z którego przyjechali.

– A teraz, co widzisz? – zapytał Antifones.

Polites westchnął.

– Widzę wielkie miasto na wzgórzu, którego mury są nie do zdobycia. – Spojrzał na brata, który skinął zachęcająco głową. – Widzę niższą część miasta, która leży na pochyłym terenie, głównie na południu. Można ją obronić, ale jeżeli obrońców będzie za mało, można ten teren zdobyć, ulica po ulicy i budynek po budynku. Przyniesie to duże straty obydwu stronom, ale jest do zrobienia. Ojciec rozważa poszerzenie rowu fortyfikacyjnego wzdłuż miasta, co będzie oznaczało zburzenie wielu budynków, ale obawia się, że to byłby niepokojący sygnał dla mieszkańców. Jeżeli Trojanie zdadzą sobie sprawę, że Agamemnon na pewno przybędzie, zaczną opuszczać miasto jeszcze liczniej i ucierpi na tym skarbiec.

Antifones wzruszył ramionami.

- Agamemnon i tak przyjdzie. Co jeszcze widzisz?

- Wszędzie dookoła nas, na wschód, zachód i południe, widzę rozległą równinę, idealną do wykorzystania przez jazdę. Koń Trojański byłby w stanie rozbić każde wojska, które się tu znajdują. Nic nie mogłoby się im przeciwstawić. – Kiedy Polites patrzył na miasto, Antifones

zauważył, że wyraz jego twarzy uległ zmianie.

- O co chodzi? – zapytał.

- Koń Trojański – mruknął Polites. – Tysiące koni. Nie będziemy w stanie trzymać ich w stajniach Górnego Miasta. Zabrakłoby nam paszy. Nie możemy ich też zostawić w barakach w Dolnym Mieście. Co zrobimy, kiedy zostanie zdobyte?

- Teraz zaczynasz myśleć – stwierdził Antifones, który nie zwrócił uwagi na ten problem. Koń Trojański składał się z oddziałów przystosowanych do szybkiego przemieszczania się i zaskakiwania wroga. W czasie oblężenia stałby się bezużyteczny. Do serca Antifonesa zakradł się strach.

Polites wpatrywał się intensywnie w teren otaczający miasto i okolice zatoki.

- Będziemy potrzebowali więcej jeźdźców – powiedział. – Zarówno posłańców, jak i zwiadowców. Hektor i jego ludzie muszą pozostać na zewnątrz murów, ciągle się przemieszczać i uderzać wroga tam, gdzie najmniej się tego spodziewa. – Polites zmarszczył brwi – Jak więc będziemy ich zaopatrywać w jedzenie, broń, strzały i włócznie?

- Jesteś dla mnie za szybki – uznał Antifones. – Jak możemy przetrwać, skoro nasza armia będzie na zewnątrz?

- Nie cała. Tylko Koń Trojański. Możemy obsadzić mury piechurami i łucznikami oraz przeprowadzać kontrataki przy pomocy naszych pieszych oddziałów, jeżeli będzie do tego okazja. Będziemy musieli ukryć zapasy daleko w górach i lasach, gdzie wróg się nie zapyści – kontynuował, powoli się rozgrzewając. – Trzeba też będzie znaleźć sposób na komunikowanie się z Hektorem, abyśmy mogli uzgadniać wspólną strategię.

- Jesteś kopalnią niespodzianek, braciszku – powiedział Antifones z uznaniem. Polites oblał się rumieńcem, słysząc komplement. – Ale – kontynuował Antifones znowu poważnym tonem – nie możemy polegać wyłącznie na Koniu Trojańskim. To nasza włócznia i tarcza, ale nawet najmocniejsza tarcza może zostać strzaskana.

- Myślisz, że Agamemnon przyprowadzi własną jazdę? Z pewnością nie!

- Nie, siłą Mykeńczyków jest piechota. Mykeńska falanga to najlepsi żołnierze świata, doświadczeni i zdyscyplinowani. Nie możemy dać się im wciągnąć w żadną walkę w zwarciu.

- Ależ bracie – sprzeciwił się Polites – to my mamy najwspanialszą piechotę. Oddziały Skamandryjski i Heraklioński oraz twoi Ileanowie z pewnością mogą się równać z każdą armią. Wszyscy są nieustraszonymi wojownikami.

Antifones pokręcił głową.

– Z wyjątkiem Orłów nie mamy piechoty, która byłaby w stanie zmierzyć się z Mykeńczykami – przyznał. – Nasi piechurzy to głównie Hetyci i frygijscy najemnicy w słabych zbrojach. Mykeńczycy przeszliby przez nich jak kosa przez wysoką trawę. Tylko Hektor i Koń Trojański mogą pokonać elitarnych wojowników Agamemnona. Mykeńczycy to najlepsi wojownicy, ale w swoich ciężkich zbrojach wolno się ruszają. Tylko szarża będzie w stanie przełamać i rozbić ich szyk.

Polites skinął głową.

- Orły ojca z pewnością dałyby im radę?

- Tak, ale Orłów jest tylko trzystu. Mykeńska piechota będzie liczyła tysiące i większość z nich to weterani kilku wojen. Oni są bardzo niebezpieczni, Politiesie, i wiedzą, jak wygrywać. Mają w tym dużą praktykę.

Antifones spojrział na miasto w ponurym nastroju. Od czasu otarcia się o śmierć codziennie dziękował bogom za dalsze życie i każdy kolejny dzień atakował z wigorem, zdeterminowany, aby wycisnąć z niego ostatnią kropelkę radości. Ale teraz, pierwszy raz od lat, popadł w prawdziwie ponury nastrój. To, co się zaczęło jako spokojna rozrywka intelektualna – omawianie z bratem aspektów obrony Troi – przekształciło się w czarną rozpacz na myśl o przyszłości. Oczami wyobraźni widział obozy nieprzyjaciela rozbite na równinie Skamandra, rzekę spływającą krwią, Dolne Miasto, opustoszałe i spalone, oraz mykeńskie oddziały gromadzące się pod murami Troi.

– My też wiemy, jak wygrywać, bracie – odezwał się Polites, dodając mu otuchy. – Nasze mury są nie do pokonania. Tego miasta nie można zdobyć.

Antifones odwrócił się do niego.

– Jeżeli Mykeńczycy dotrą do murów, Politiesie, Troja się nie utrzyma. W mieście są tylko dwie studnie. Większość naszej wody pochodzi ze Skamandra i Simoeis. Poza tym jak długo będziemy w stanie karmić wszystkich ludzi? Nie przetrwalibyśmy lata. Wcześniej czy później pojawi się też zdrajca. Zawsze tak jest. Pamiętaj, że Dardanos nie zostało zdobyte na skutek oblężenia. Wystarczył jeden zdrajca, żeby wrogie wojska po prostu wmaszerowały przez bramę.

Zamilkł. Kiedy ostatnio Agamemnon próbował zdobyć Troję, to ja byłem tym zdrajcą. Niewiele brakowało, a swoją arogancją ściągnąłbym śmierć na króla, Troję zaś poddał władzy obcych. Tylko bohaterstwo Arguriosa temu zapobiegło. Dwaj Trojanie planowali upadek Troi,

a miasto uratował Mykeńczyk. Bogowie uwielbiają taką finezyjną ironię.

Antifones uśmiechnął się ponuro, próbując otrząsnąć się z przygnębienia i użalania się nad sobą.

– Gdybym nadal był gruby, usiadłbym za Bramą Skajską i cała armia Mykeńczyków nie dałaby rady jej sforsować.

Polites parsknął śmiechem.

– Powinniśmy więc udać się do domu i czekającej tam na nas góry miodowych ciasteczek.

Rosła, tęga kobieta kroczyła przez ulice Dolnego Miasta, niosąc na ramieniu koszyk wypełniony miodowymi ciasteczkami. Wielu starszych kupców wykrzykiwało pozdrowienia. Znała ich wszystkich. Dobrze wiedziała, kim był złotnik Tobios z ufarbowanymi henną włosami, handlarz tkaninami Palicos, wysoki i smukły sprzedawca mięsa Rasha i wielu innych. Dla nich ciągle była Dużą Rudą, służką Afrodyty.

Ale tamte dni dawno już minęły. Teraz była żoną Banoklesa, żołnierza Konia Trojańskiego. Uśmiechnęła się. Ni mniej, ni więcej tylko żoną wodza. Myśli o mężu ogrzewały ją, kiedy szła w ten zimny poranek.

Kiedy była młoda i piękna, marzyła o poślubieniu bogatego męża, wysokiego i przystojnego, mieszkającego w pałacu ze sługami, którzy troszczyliby się o jej potrzeby. Byłyby tam łazienki wypełnione zapachem perfum oraz szaty zdobione szlachetnymi kamieniami. Miłość męża grzałaby ją bardziej od letniego słońca i spacerowałyby po Troi niczym legendarna królowa. Takie były marzenia jej młodości. Dziewczyna z tamtych lat nie wierzyła, że kiedykolwiek się zestarzeje. Nigdy nie miał nastąpić dzień, kiedy mężczyźni nie będą jej pożąдали i kiedy jedno spojrzenie fiołkowych oczu nie zawładnie ich sercami.

Jednakże ten dzień nadszedł, skradając się niezauważenie w cieniach jej życia. Bogaci klienci ją opuścili i Duża Ruda zorientowała się, że uprawia swoje rzemiosło wśród obcych żeglarzy i pospolitych żołnierzy, tudzież uboższych kupców i podróżników.

A potem nastąpiła noc, kiedy w jej życiu pojawił się Banokles.

Ruda szła uliczkami do swojego małego, schludnego domku przy ulicy Garnarzy, przekraczając po drodze plac, na którym po raz pierwszy spotkała jasnobrodego Mykeńczyka. Był pijany jak bela i przebywał w towarzystwie złodziei i morderców. Zawołał ją, po czym zatoczył się w jej kierunku.

– Na bogów – wymamrotał – jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem. – Pogmerał w sakiewce wiszącej u pasa, wyjął srebrny pierścień i wsunął jej do ręki. Oznajmiła mu, że skończyła pracę tej nocy, ale to go nie zmartwiło. – To za samą twoją urodę – powiedział.

Mimo wieloletnich doświadczeń w kontaktach z mężczyznami i ich żądzami jego gest ją wzruszył. I współczuła temu pijanemu głupcowi. Znała tych, którzy mu towarzyszyli. Byli rzezimieszkami i zanim noc dobiegłaby końca, zabiliby go bądź okaleczyli dla pierścieni, które miał przy sobie.

Ale zostawiła go i poszła – tak samo jak tego ranka – do domu piekarza Krenia.

Kiedy później wracała tą samą drogą, przygotowywała się na widok martwego żołnierza leżącego na kamieniach. Kiedy w końcu dotarła na plac, zobaczyła, że spokojnie pije, otoczony rozrzuconymi wokół ciałami złodziejasków.

W następnych dniach obserwowała go, kiedy jako pięściarz brał udział w igrzyskach z okazji ślubu Hektora. Spacerowała z nim po plaży, spała obok niego i słuchała jego oddechu. I w pewnym momencie, nie bez zdziwienia, zorientowała się, iż zaczęło jej na nim zależeć. Dlaczego tak się stało, pozostawało zagadką. Nie był inteligentny, nie miał też intuicji. Pod wieloma względami przypominał przerośnięte dziecko, skore do gniewu i szybko przebaczące. Nawet teraz jej miłość do niego ją zaskakiwała.

Wódz Banokles. Ta myśl była zabawna.

Dotarłszy do domu, położyła koszyk z ciasteczkami na stole i naląła sobie puchar wina. Ogień przygasł, więc go podsyciła i usiadła przed płomieniami. Banokles ciągle walczył w Dardanii. Do miasta dotarły plotki, iż wygrał jakąś bitwę. Jego imię było na ustach wszystkich.

Ruda wzięła łyk wina, po czym sięgnęła po miodowe ciasteczko. Tylko jedno, obiecała sobie. Smak był boski. Jako piekarz Krenio nie miał sobie równych.

Stary znowu się popłakał, kiedy odwiedziła go rankiem. Ciągle powtarzał, jak bardzo ją kocha.

- Zamierzam opuścić miasto – powiedział raz jeszcze.
- Powtarzasz to od roku – odparła. – Ale jeszcze tego nie zrobiłeś.
- Czekam, aż odzyskasz rozsądek, moja droga, i wyruszysz razem ze mną.
- Nie zaczynaj znowu, staruszk. Teraz jestem zameżna.
- Ale ciągle nie możesz się ode mnie oderwać, prawda? Naszym przeznaczeniem jest być razem. Czuję to całym sercem. Ruda, jedź ze mną na wschód.

Nie mogła mu powiedzieć, że zabawia go tak jak zawsze tylko dla jego miodowych ciasteczek. Wgryzła się w kolejne. Było takie pyszne. Jej myśli wróciły do Banoklesa.

– Tęsknię za tobą – wyszeptwała.

Banokles się nudził. Rozłożeni obozem na zewnątrz twierdzy Dardanos żołnierze ciągle świętowali swoje ostatnie zwycięstwo nad Mykeńczykami. Wojownik słyszał śmiechy i śpiewy, radość ludzi, którzy przeżyli bitwę. Czuł zapach pieczonych mięs i chciał być pomiędzy żołnierzami, beztrudnie pijąc i tańcząc. Zamiast tego utknął w tej zimnej komnacie, podczas gdy Kalliades i Hetyta o plecionej brodzie i imieniu, przy którego wymawianiu plątał mu się język, w nieskończoność rozprawiali o plażach i zatokach, potencjalnych miejscach lądowania i polach bitew. Rozmawiali o zapasach żywności, zwiadowcach i awansach żołnierzy mających zastąpić poległych oficerów. Podczas gdy potokiem spływały na niego kolejne słowa, Banokles stwierdził, że coraz bardziej się irytuje.

Prawda była taka, że tęsknił za Dużą Rudą. Jej nieobecność ciążyła mu na sercu niczym kamień. Wyobraził sobie, jak siedzi na swoim małym podwórku, oparta na poduszkach, ze stopami spoczywającymi na obitym stołku. Ten obraz trochę go uspokoił.

Ich rozstanie nie należało do szczęśliwych. Jej fiołkowe oczy ciskały w niego piorunami.

- Ty wielki, głupi wole! – wykrzyczała. – Idziesz na wojnę, której nie można wygrać. Troja nie oprze się zachodnim królom i ich armiom. Wszyscy mądrzy kupcy opuszczają miasto. Powinniśmy uczynić to samo i udać się na wschód. Masz teraz złoto i reputację. Mógłbyś znaleźć pracę wśród Hetytów. Moglibyśmy być szczęśliwi.

- Ja jestem szczęśliwy – odpowiedział Banokles, próbując wziąć ją w ramiona.

Odrzuciła go, po czym westchnęła.

– Tak jak i ja – przyznała z wahaniem. – I to mnie przeraża. Nigdy się tego nie spodziewałam. Spójrz na mnie, Banoklesie. Jestem grubą, starzejącą się dziwką. Myślałam, że wszystkie moje marzenia umarły dawno temu. Byłam szczęśliwa w swoim małym domku. A potem pojawiłeś się ty...

Banokles wziął ją w ramiona. Nie opierała się, tylko położyła głowę na jego barku.

- Jesteś radością mojego życia – powiedział.

- A więc jesteś kretynem i twoje życie przed naszym spotkaniem musiało być niewiele warte.

- Tak było, ale ja o tym nie wiedziałem. Nie martw się. Będę w domu na wiosnę. Ty

odpoczywaj i ciesz się. Weź więcej tych ciastek od starego piekarza.

- Ty naprawdę masz zakuty łeb – stwierdziła, ale jej głos złagodniał.

Jakiś żołnierz zawołał Banoklesa. Ruda podała mężowi hełm, a Banokles nachylił się, aby ją pocałować.

- Słuchaj, co mówi Kalliades – przestrzegła go. – I nie daj się zabić.

- Nie bój się. Już zmiażdżyliśmy ich armię. Nie wrócą przed wiosną, a wtedy będę już w domu.

Ale Mykeńczycy wrócili i bitwa była zacięta. Gdyby nie sztorm, który rozbił ich flotę, przynietliby ich samą liczebnością.

Banokles wpatrywał się z niechęcią w hetyckiego księcia. Był młody i zapuścił sobie długą brodę, którą zaplatał w wyszukany sposób. Miał szatę z połyskliwego materiału koloru nieba, który lśnił w świetle pochodni. Ubiera się jak kobieta, pomyślał z niesmakiem dawny Mykeńczyk, widząc błyski klejnotów wszytych w rękawy. Nawet buty miał wyszywane srebrną nicią odbijającą światło. Głównię miecza zdobiły szlachetne kamienie. Książę był chodzącym skarbcem.

Banokles opróżnił puchar wina i beknął. Beknięcie było porządne, o należytej głębi i prosto z trzewi. Spowodowało przerwanie rozmowy. Jego przyjaciel Kalliades spojrzął na niego i uśmiechnął się krzywo.

- Obawiam się, że tracimy uwagę naszego towarzysza – powiedział do hetyckiego księcia.

Tudhalias pokręcił głową.

- Ryzykując, że nazwiesz mnie pedantem, chciałbym zauważyć, że nie można stracić czegoś, czego się nigdy nie miało. – Hetyta wstał, przeszedł przez pokój i wyszedł na balkon.

- Ten człowiek mnie nie lubi – zauważył Banokles, drapiąc się w krótko przystryżoną blond brodę. – A ja nie lubię jego.

Ciężko stając na nogi, rozejrzał się po pomieszczeniu, skupiając wzrok na tacy z kawałami mięsa i serem.

- Ciastka się skończyły – poskarżył się. Podeszedł do drzwi, otworzył je na oścież i krzykiem zażądał więcej ciastek. Następnie znów się położył.

- To nie niechęć – kontynuował Tudhalias, wracając do pokoju lekkim krokiem. – Zostałem wychowany przez cenionych filozofów i nauczycieli, historyków i myślicieli. Studiowałem mechanizmy starożytnych wojen, jak również dzieła wielkich wodzów, poetów i twórców prawa.

Teraz zostałem wygnany z królestwa ojca i przebywam w towarzystwie żołnierza, którego ulubioną rozrywką jest popisywanie się próbami szczania ponad koroną drzewa. Brak sympatii nie jest nawet dobrym początkiem dla opisanego mych uczuć.

Banokles rzucił mu mordercze spojrzenie i zerknął na Kalliadesa.

- Myślę, że to była zniewaga, chociaż przestałem słuchać, kiedy dotarł do filozofów. Nigdy krowich synów nie lubiłem. Nie rozumiem ani słowa z ich paplaniny.

- Zgodzę się, że nie mówią wiele o rzeczach, które by cię interesowały, przyjacielu – odparł Kalliades. – Ale byłbym wdzięczny, gdybyśmy wrócili do zajmujących nas kwestii.

- A o czym tu gadać? Wróg przybył, a my go zniszczyliśmy. Są martwi. My nie. – Zobaczył, że Hetyta wpatruje się w niego gniewnie.

- Próbujemy przewidzieć, gdzie nastąpi kolejne natarcie i jak się na nie przygotować. Tak robią inteligentni dowódcy – sarknął Tudhalias.

- Inteligentni, tak? – warknął Banokles. – Jeżeli jesteś taki mądry, to dlaczego cię wygnano? Jak to się stało, że musisz się użerać z takimi wieśniakami jak my?

- Zostałem wygnany właśnie dlatego, że jestem mądry, kołku. Mój ojciec to chory człowiek, którego zawodzi umysł. Myślał, że planuję go obalić.

- To dlaczego cię nie zabił?

- Bo jest chory i zawodzi go umysł. – Tudhalias obrócił się do Kalliadesa. – Czy nie możemy omówić kluczowych elementów kampanii w cztery oczy?

- Możemy – zgodził się Kalliades – ale to byłoby niegrzeczne w stosunku do naszego wielkiego wodza. Dobrze byłoby też pamiętać, że to szarża jego jazdy przerwała linie wroga, pozwalając twojemu oddziałowi rozgromić przeciwnika.

- Nie zapomniałem o tym, Kalliadesie – powiedział książę. – Nie kpię też z jego odwagi lub zdolności na polu walki. Obraża mnie lenistwo jego głupiego umysłu.

Banokles zerwał się na nogi i wyciągnął miecz.

- Dostyc mam twoich obelg, przypominającej łajno gęby i tej twojej głupiej brody. Pozwól, że ci ją przytnę – przy samym gardle!

Szabla Tudhaliasa ze świstem wyskoczyła z pochwy. Kalliades wskoczył pomiędzy dwóch mężczyzn.

- Taki widok z pewnością bardzo by ucieszył naszych wrogów! – krzyknął. – Dwaj zwycięscy wodzowie tnący się nawzajem na kawałki. Odłóżcie miecze! Być może powinniśmy

spotkać się później, kiedy opadną emocje.

Przez chwilą żaden z mężczyzn się nie poruszył, po czym Tudhalias z brzękiem wsunął szablę do pochwy i wyszedł. Kiedy drzwi się zamknęły, Banokles westchnął.

- Co się z tobą dzieje? – zapytał Kalliades.

- Tęsknię za Rudą. Nie widziałem jej od miesiący.

- Ruda będzie na ciebie czekać. Ale nie to cię martwi. Jesteśmy przyjaciółmi od dawna. Ani razu nie widziałem, żebyś wyciągnął miecz przeciw bratniemu żołnierzowi. Zabiłbyś dobrego człowieka i dzielnego wojownika. To do ciebie niepodobne, Banoklesie.

Banokles zaklął cicho.

- Nienawidzę tego, że jestem wodzem. Tęsknię za starym życiem, Kalliadesie. Walczyć, zabić wroga, upić się i pójść na dziwki. To jest odpowiednie życie dla żołnierza. Ja tylko udaję wodza. To ty o wszystkim myślisz i wszystko planujesz. Hetyta o tym wie. Na bogów, wszyscy o tym wiedzą. Kiedyś byłem kimś. Byłem wielkim wojownikiem i ludzie mnie podziwiali.

- Ciągle nim jesteś, a ludzie cię podziwiają.

- Nie w tym rzecz. Wiedziałem, co robię, i radziłem sobie równie dobrze jak każdy inny. Teraz sobie nie radzę, a jacyś obcokrajowcy rzucają mi w twarz obelgi. Mówię ci, jeszcze jedna zniewaga, a wezmę jego szczypcę do kręcenia brody i wsadzę mu w dupę tak głęboko, że będzie mógł sobie zawijać to cholerstwo od wewnątrz.

Kalliades parsknął.

- Nie wiem, dlaczego wkurza cię jego broda. Wielu Hetytów takie zapuszcza i, jak mieliśmy okazję zobaczyć, są bardzo groźnymi wojownikami. Może wyjdź i świętuj zwycięstwo, jak inni? Może się upijesz?

Banokles pokręcił głową.

- Nie mogę już tego robić, Kalliadesie. Ludzie przestają gadać, kiedy podchodzę. Cichną, jakby się spodziewali, że naszczam im do ogniska.

- Jesteś ich dowódcą. Szanują cię.

- Nie chcę być szanowany! – krzyknął Banokles. – Chcę być sobą! Dlaczego ty nie możesz być wodzem? To ty sporządzasz wszystkie plany.

Kalliades spojrzał na niego.

- W wojnie chodzi o coś więcej niż tylko o planowanie, przyjacielu – powiedział cicho. – Cała strategia na nic się nie zda, jeżeli w ludziach nie będzie chęci. Kiedy poprowadziłeś tę

szarżę, ludzie poszli za tobą, z sercami pełnymi ognia i nadziei. To jest coś, czego żaden wódz nie kupi, choćby nie wiedzieć jak sypał złotem. Ty jesteś ich natchnieniem. Wierzą w ciebie. Pojechaliby do Hadesu, gdybyś ich o to poprosił. Musisz to zrozumieć. Denerwujesz Tudhaliasa nie dlatego, że jesteś głupi, ale dlatego, iż on nie może się nauczyć być taki jak ty. Może zrozumieć przebieg wojny, może opanować wszystkie umiejętności i strategię, ale nie zdoła nikogo natchnąć odwagą i zapalem. Po prawdzie, ja też tego nie potrafię. To rzadki dar, Banoklesie. A ty go posiadasz.

- Nie chcę go – zaprotestował sam zainteresowany. – Chcę, żeby wszystko było tak jak kiedyś.

- Chcesz, żebyśmy zginęli w Tracji?

- Co? Chciałem powiedzieć, że chcę... Nie wiem, czego chcę. Ale na pewno nie tego. Zaraza na Hektora, że dał mi dowództwo!

- Hektor nie mógł zabrać ze sobą Traków do Troi. Wiesz, co się stało, kiedy ostatni raz byli tam Trakowie.

- Co?

- Och, do diaska! – uciął Kalliaades. – Ty i ja byliśmy tam, razem z armią najeźdźców! Tracki oddział Troi zbuntował się i przyłączył do nas, dzięki czemu prawie zdobyliśmy miasto.

Banokles opadł na krzesło i westchnął.

- Powiedziałem Rudej, że w czasie zimy nie będzie w Dardanos więcej bitew. Jak wiele zakichanych armii Agamemnon trzyma za cieśninami?

- Najwyraźniej więcej niż myśleliśmy – odparł Kalliaades. – Ale dlaczego przybywają w zimie? Zapasy są niewielkie, ziemia i aura zaś nie sprzyjają rozbijaniu obozów. Śnieg i ulewne deszcze czynią wiele okolic Tracji nie do przebycia. To nie ma sensu.

- Jeżeli to prawda, to czym się martwisz?

- Bo Agamemnon nie jest głupcem. Podbijał już miasta i przeprowadził wiele skutecznych inwazji na zachodzie. W wielu obaj braliśmy udział. Zdrowy rozsądek mówi mi, że atak na Troję musiałby być skoordynowany z zajęciem Dardanii na północy, jak również przesunięciem wojsk przez Idę na południu. Tylko wtedy byłby w stanie sprowadzić flotę inwazyjną do Zatoki Troi. Ale atakować tutaj w zimie, odizolowaną armię? Nawet gdyby udało im się wylądować i ruszyliby na południe, można by ściągnąć posiłki z Troi i ich zniszczyć. Co on knuje?

- Może postradał zmysły – zauważył Banokles.

Kalliades pokręcił głową.

– Miło byłoby tak myśleć. Ale obawiam się, że on ma plan, a my nie możemy go przejrzeć.

XIV. ZNAKI NA NIEBIE

Późnym wieczorem Kalliades wyruszył na poszukiwania Tudhaliasa. Strażnik skierował go na blanki ponad Bramą Morską i po chwili znalazł hetyckiego księcia patrzącego na północ ponad oświetlonym światłem księżyca Hellespontem.

Na plażę poniżej wyciągnięto pięć galer, dookoła których na piasku spały załogi. Za lepszych czasów przysliby do miasta wczepiającego się w mury fortecy, aby pić i kupić towarzystwo ladacznic. Ale teraz miasto było opuszczone – jego mieszkańcy skryli się za murami, z dala od zagrożeń wojny. Okręty przyplłynęły po zapasy przed dalszym patrolowaniem cieśnin.

Tudhalias obejrzał się na Kalliadesa, ale go nie pozdrowił.

- Ciągłe jesteś zły? – zapytał Kalliades.

- Byłem zły przez większość zimy. Jak na razie nie zanoszę się na zmianę. Ale nie martw się tym, Kalliadesie. To nie ten wół rozpala mój gniew.

- A więc co?

Tudhalias uśmiechnął się zimno.

- Zbyt długo by tłumaczyć. A więc po co mnie szukałeś?

Kalliades nie odpowiedział od razu. Tudhalias był księciem, wychowanym wśród wielmożów. Wojownik zaś nie miał doświadczenia w kontaktach z takimi ludźmi. Ich sposób bycia i zwyczaje były mu obce. Za to wiedział, że Hetyta jest dumnym człowiekiem, więc musi uważnie dobierać słowa.

- Pomiędzy wami zrodziła się dziś niezgoda – powiedział w końcu. – Myślałem, że będzie lepiej nie zostawiać jej na noc, aby rozgorzała jeszcze bardziej.

- Przynosisz jego przeprosiny?

Kalliades pokręcił głową i przemówił cicho:

- Nie ma powodu, aby przeproszał. To ty obraziłeś go pierwszy.

W oczach Hetyty pojawił się gniewny błysk.

- Oczekujesz, że to ja będę przeproszał?

- Nie. Banokles do rana zapomni o tym incydencie. Taki już jest. To prosty człowiek, który nie żywi długo urazy. Wszystko, co powiedziałaś, było prawdą. Wiem o tym. Nawet Banokles

o tym wie. Ważne jest to, żeby zostawić to za sobą.

- Gdyby był hetyckim wodzem – skomentował Tudhalias – i jeden z jego oficerów przemówiłby tak jak ja, wezwano by kata i oficer szybko pożegnałby się z głową.

- Na nasze szczęście, Banokles nie jest hetyckim wodzem. A gdybyście jutro trafili w zamęt bitwy i znalazłbyś się w opalach, Banokles, nie zwracając uwagi na zagrożenie, ruszyłby ci na ratunek. Taki jest i kwita.

- Już raz to zrobił – potwierdził Tudhalias i Kalliades zobaczył, że gniew opuszcza księcia. Hetyta raz jeszcze spojrział ponad morzem. – Nigdy nie byłem oczarowany Wielką Zielenią – powiedział. – Nie rozumiem, dlaczego ludzie pragną pływać po niej w kruchych drewnianych statkach. Wy, ludzie morza, jesteście dla mnie zagadką.

- Ja też nigdy nie kochałem morza – przyznał się Kalliades. – Ale, z drugiej strony, moje życie to żołnierka.

- Moje również. Byłem piętnastoletnim gołowąsem, kiedy ojciec wysłał mnie, abym walczył pod Kadesz. Od tego czasu nieustannie biłem się z Egipcjanami, a teraz walczę przeciwko plemięcom Idonoi i Tesalczykom, którzy przybyli z Mykeńczykami. Ludzie zawsze myślą o ostatecznym zwycięstwie. Ja nigdy żadnego nie widziałem.

- Ani ja – zgodził się Kalliades.

- I tutaj też go nie zobaczymy – powiedział cicho Tudhalias. – Wróg przybędzie znowu. Mam teraz mniej niż trzystu ludzi, z czego co najmniej trzydziestu jest rannych. Trakowie Banoklesa liczą kilka setek, mamy jeszcze dwustu Dardańczyków, z których wielu to nowi rekruci. Dodaj do tego pięćdziesięciu ludzi z Konia Trojańskiego, których zostawił nam Hektor, a wychodzi, że do utrzymania Dardanii mamy mniej niż tysiąc żołnierzy.

- Posłałem do Priama po posiłki – oznajmił Kalliades. – Ale wątpię, żebyśmy teraz, kiedy Hektor i Koń Trojański wyjechali i walczą na południu, dostali jakieś wsparcie, oprócz mizernych oddziałów piechoty.

- Mógłbyś utrzymać fortecę przez kilka miesięcy – powiedział Tudhalias – ale w końcu wzięliby was głodem. Jeżeli wróg przybędzie w dużej liczbie, myślę, iż najlepiej zrobimy, jeśli zostawimy Dardańczyków tutaj, a następnie zorganizujemy odwrót na południe, w kierunku Troi. Tym sposobem moglibyśmy dostać posiłki i przeprowadzić kontratak.

- Słabość tego planu – zwrócił uwagę Kalliades – polega na tym, że najeźdźcy mogliby nas okrążyć i złapać na otwartej przestrzeni. Jeżeli przeciwnicy będą lekko uzbrojonymi

plemieńcami, zdołamy wywalczyć sobie przejście. Ale gdy Agamemnon wysłał opancerzonych Mykeńczyków, rozniosą nas na strzępy.

- Są aż tak dobrzy?

- Uwierz mi, Tudhaliasie, nie ma lepszej piechoty pod słońcem. Każdy z nich jest weteranem i zwarłszy tarcze, walczą w ciasnym szyku, głębokim na cztery bądź sześć szeregów. Wy, Hetyci, jesteście dzielnymi ludźmi, ale wiklinowe tarcze nie wytrzymają pchnięcia ciężkiej włóczni. Tak samo jak szable nie przebiją zbroi z brązu.

Ich uwagę przykuł nagły rozbłysk światła na wschodzie. Kalliades spojrział w górę i zobaczył spadającą gwiazdę na tle nocnego nieba. Chwilę później kilka następnych błysnęło na horyzoncie.

- To znak – stwierdził Tudhalias. – Ale dobry czy zły?

- Podobne światła były na niebie w nocy poprzedzającej złupienie przez nas Sparty – powiedział Kalliades. – Dla nas to był dobry znak. Wygraliśmy.

- W tamtych dniach byłeś mykeńskim wojownikiem – zauważył Hetyta. – Może więc jest to dobry omen dla Mykeńczyków.

Kalliades zmusił się do uśmiechu.

- A może po prostu są to światła na niebie.

- Być może – zgodził się nieprzekonany Tudhalias. – Mówi się, że Agamemnon jest sprytnym przeciwnikiem. To prawda?

- Służyłem mu jako żołnierz przez większość życia. Jest dobrym strategiem. Wyszukuje słabe punkty przeciwnika, po czym uderza w samo serce. Bez litości, bez współczucia.

- Dlaczego więc dobry strateg marnuje tutaj życie swoich ludzi w czasie zimy?

- Sam zadaję sobie to pytanie – odparł Kalliades, kręcąc głową. – Nie znam odpowiedzi.

Hetyta spojrział na niego.

- Może zadajesz złe pytanie.

- A jakie byłoby prawidłowe?

- Czy jest ryzykantem, czy też wybierze ostrożność?

Obaj zamilkli. Po chwili Hetyta spytał:

- Dardańska flota zebrała się na Hellesponcie i wypatruje wrogich okrętów, czyż nie?

- Tak.

- I Agamemnon właśnie tego by się po nas spodziewał?

- Tak mi się wydaje.

- Być może tego właśnie chce. Bo jeżeli flota strzeże Hellespontu, to nie pilnuje Troi.

- Nie może zaatakować Troi w zimie – powiedział Kalliades. – Strach przed sztormami, niesprzyjającym wiatrem. Brak zaopatrzenia dla jego oddziałów. Inwazja, nawet jeżeli by się powiodła, byłaby nieskoordynowana. Żadnych posiłków ani z południa, ani z północy.

Jednak Kalliades, mówiąc to, poczuł nagły chłód.

– Hektor i Koń Trojański są na południu i bronią Teb – zauważył Tudhalias. – Trojańska flota jest niewielka, gdyż Troja liczy na ochronę dardańskich okrętów Helikaona. Galery znajdujące się tutaj strzegą nas przed atakiem z północy. Jeżeli Agamemnon zaatakuje Troję teraz, w środku zimy, ze wszystkimi swoimi ludźmi i zachodnimi sprzymierzeńcami, zostanie miasto nieprzygotowane. I, jak mówisz, uderzy w samo serce. Bez litości. Bez współczucia.

Stary rybak Tymeon nie chciał przeklinać swojego losu. Kiedy innych spotykały nieszczęścia, klęli na bogów albo narzekali na niesprawiedliwość życia. Ale nie Tymeon. Szczęście to szczęście. Sprzyja albo nie, ale wydawało mu się, że szanse na jedno bądź drugie są takie same. A w większości przypadków – jeżeli człowiek był cierpliwy – koniec końców wszystko się równoważyło.

Ten sezon wystawił jednak jego filozofię na ciężką próbę. Stara łódź zaczęła przeciekać akurat wtedy, gdy z dalekiego Morza Czarnego migrowały ławice makreli, płynąc wzdłuż wybrzeża w kierunku cieplejszych mórz na południu. Tymeon stracił najlepsze dni, bo deski jego łodzi okazały się przegniłe, a naprawy trwały długo i były kosztowne.

Kiedy łódź znów była zdatna do pływania, siedział już po uszy w długach. Potem dwaj z jego trzech synów oświadczyli, że wybierają się do miasta, aby dołączyć do oddziałów trojańskich. Został z nim tylko młody Mikos, dobry chłopak, ale niezdara. Osiem dni temu, kiedy patroszył śledzie z dużego połowu, rozciął sobie rękę i rana zaczęła się jątrzyć.

Los więc zmusił Tymeona do samotnych połowów. Nie było to łatwe. Kiedy wyciągał sieć, jego stare mięśnie napinały się do granic możliwości.

Gdy inni rybacy jeszcze spali, po ciemku zepchnął swoją łódź na wodę i zachęcony widokiem stada delfinów wypłynął z Zatoki Heraklesa. Polujące delfiny oznaczały, że w pobliżu przepływa jakaś ławica.

Nad czarnym morzem unosiła się mgła, ale niebo było czyste i gwiazdy świeciły jasno. Dęła

zimna bryza, ale Tymeonowi wydawało się, że czuje w niej pierwszy oddech wiosny. Dwa razy zarzucił sieci i dwa razy wyciągnął puste.

Koło jego małej łódki przepłynął delfin, obserwując rybaka ciemnym okiem.

– Wyglądasz na tłustego i dobrze odżywionego – odezwał się do niego Tymeon. – Może podzieliłbyś się posiłkiem? – Delfin obrócił się na wznak, wychlapując ogonem fontannę w powietrze. Potem znowu zanurkował, znikając w głębi. Tymeon przygotował sieć. Ze zmęczenia czuł piasek pod powiekami.

Na niebie zabłysło światło. Spojrzał w górę. Na wschodzie spadały gwiazdy, znacząc ciemne niebo białymi pasmami. Piękno tego widowiska zaparło mu dech w piersi. Poczuł smutek, kiedy nawiedziło go pewne wspomnienie. Gwiazdy spadały w noc, kiedy dawno temu poślubił Minę.

– Bogowie nas pobłogosławili – powiedziała, kiedy leżeli razem na plaży i wpatrywali się w niebo.

Razem wychowali trzech synów i pięć córek. Wystarczające błogosławieństwo dla każdego mężczyzny, powiedział sobie. Przeszył go dreszcz. Jak szybko mijają kolejne sezony... Teraz wydawały się upływać o wiele szybciej, niż kiedy był dzieckiem. Wtedy dni nie miały końca. Pamiętał, jak bardzo pragnął być dorosły, aby wypłynąć w łodzi ojca, przynieść do domu makrele i zostać obwołanym wielkim rybakim. Wydawało się, że czekał na to całą wieczność.

Teraz dni już mu się nie dłużyły. Uciekały zbyt szybko, aby je zatrzymać. Mina umarła przed pięcioma laty. Wydawało się, że od momentu, kiedy siedział przy jej łóżku i błagał ją, aby go nie zostawiała, minęło ledwie kilka dni.

Zarzucił sieć po raz trzeci, po czym wolno zaczął wyciągać linę. Prawie od razu pojął, że coś złapał. Poruszając się najszybciej jak mógł, ściągnął sieć, ciągnąc zdobycz w kierunku niskiej burty. W sieci szamotały się tuziny śledzi. Wykorzystując resztę swej dawnej imponującej krzepy, stary rybak pociągnął za liny. Ryby wysypały się, bijąc ogonami dookoła jego stóp.

Połów wart dwadzieścia miedzianych pierścieni w jednej sieci!

Los w końcu się odmienił. Serce Tymeona było nieregularnie i stary, ocierając pot z twarzy, opadł na ławeczkę. Potem zobaczył okręt sunący przez mgłę. Dziwnie było ujrzeć galerę na morzu w nocy. Pewnie jakiś dardański okręt patroluje zatokę, pomyślał.

Na dziobie stał mężczyzna z drągiem do pomiaru głębokości. Tymeon patrzył, jak okręt się zbliża. Nikt nie wykrzyknął powitania i galera minęła go w ciszy. Tymeon zwinął sieć i postanowił wracać do domu.

A potem pojawił się następny okręt. I kolejny.

Światło świtu lśniło czerwienią na niebie, kiedy coraz więcej okrętów wynurzało się z mgły.

Dwadzieścia.

Trzydzieści.

Tymeon obserwował je w ciszy. Na pokładach zobaczył mężczyzn w zbrojach. Spoglądali na niego w milczeniu. Wiatr się wzmógł, rozwiewając mgłę. Rybak zobaczył, że morze pełne jest okrętów i barek. Zbyt licznych, aby je policzyć.

I w tym momencie zrozumiał. Przybyli Mykeńczycy. Świat się zmienił.

Serce Tymeona waliło jak młotem. Ogarnął go strach. Ile czasu minie, zanim okrutni wojownicy zdecydują się go zabić?

Z boku jego malej łódki pojawiła się galera. Spojrzał w górę i zobaczył zwałistego mężczyznę z brodą w kolorze czerwieni i srebra. Koło niego stali łucznicy z nałożonymi na cięciwy strzałami.

– Dobry połów, rybaku! – krzyknął mężczyzna. – Miałeś szczęście tej nocy.

Usta Tymeona były suche.

– Nie czuję się szczęściarzem – odpowiedział, modląc się, aby zabójcy nie zobaczyli jego przerażenia.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Mogę to zrozumieć. Zawieź połów na ląd, a ja dopilnuję, żeby ci za niego zapłacono. Kiedy dopłyniesz do brzegu, powiedz, że wysłał cię Odyseusz. Nie stanie ci się żadna krzywda. Masz na to moje słowo.

Rudobrody dał znać sternikowi, po czym wiosła galery zanurzyły się w wodzie i okręt popłynął dalej.

Z ciężkim sercem Tymeon postawił podarty żagiel i popłynął w kierunku lądu.

XV. NARODZINY LEGENDY

U wejścia do ciasnego przesmyku prowadzącego z plaży nad Zatoką Heraklesa na równinę Skamandra wybudowano solidną, drewnianą palisadę. Król Priam nakazał jej budowę do obrony przejścia. Strzegło jej pięćdziesięciu żołnierzy z oddziału Helikaona. W razie inwazji ich rola była dwójaka – mieli utrzymać się tak długo jak to możliwe, jednocześnie śląc wieści do miasta, oraz sprowadzić bezpiecznie za mury członków rodziny królewskiej rezydujących w pałacu Radość Króla na szczycie urwiska.

W dzień bramy palisady pozostawały otwarte, co pozwalało kupcom na przejazdy wozami w dół na plażę i zabieranie ryb złowionych przez małą flotę rybacką. Na noc zamykano wrota, szczyt palisady zaś patrolowali strażnicy.

Tej nocy o wyznaczonej godzinie swoich zmęczonych towarzyszy zastąpiło dwóch nowych strażników. Pierwszym z nich był Kefas, we własnym mniemaniu człowiek mądry, którego mnogie talenty pozostawały niedostrzeżone przez zazdrosnych oficerów. Drugi był młodym rekrutem, którego Kefas wziął pod swoją opiekę. Chłopiec darzył go podziwem i Kefas nie przepuszczał żadnej okazji, aby podsycać to uczucie.

Dziś w nocy Kefas był zmęczony. Spędził dzień w Troi, gdzie zabrał młodzika do burdelu odwiedzanego przez żołnierzy. Pili tam wino i wydali wszystkie pierścienie, jakie chłopiec miał przy sobie. Kiedy wrócili na palisadę, obiecał mu, że odegra całą kwotę w kości. Tak więc zamiast odpoczywać, grał do północy. Na początku szczęście mu nie sprzyjało, ale potem los się doń uśmiechnął i zakończył grę z pokazną sakiewką pierścieni u pasa.

Chłopiec wszystkiemu się przyglądał.

- Byłeś niesamowity – powiedział Kefasowi. Potem ziewnął. – Jestem taki zmęczony.
- Nie przejmuj się, chłopcze, załatwiłem dla nas wartę przed świtem. Wtedy sobie pośpimy.
- Nie możemy spać w czasie służby – sprzeciwił się młodzik nerwowo.

Kefas pokręcił głową wobec naiwności młodego.

– Musisz się wiele nauczyć o żołnierce. Nie martw się. Trzymaj się mnie, a wszystkiego się dowiesz.

Teraz Kefas czekał na palisadzie, wpatrując się w drzwi chatki oficera.

- Założę się z tobą o miedziany pierścień, że wyjdzie stamtąd, zanim doliczysz do

dwudziestu – zaproponował.

- Nie zostały mi żadne pierścienie.
- I tak za późno na zakład – powiedział Kefas z uśmiechem.

Poniżej drzwi otworzyły się i na zewnątrz wytoczył się oficer, wkładając hełm z brązu. Przeszedł przez otwarty teren i wspiał się po wąskich drewnianych schodach.

- Zimna noc – powiedział.
- Tak jest.

Oficer spojrzał na morze.

- Gęsta mgła dzisiaj. – Wziął głęboki oddech. – Bądź czujny, Kefasie.
- Tak jest – odpowiedział Kefas. Bądź czujny na warcie! W ciemnościach przemykały tylko gryzonie. Całe to przedsięwzięcie było stratą czasu. Jeżeli Mykeńczycy przybędą, wpłyną do Zatoki Troi i zaczną oblegać miasto. Wiedział o tym każdy mający jakie takie pojęcie o strategii.

- Dobry z ciebie człowiek – powiedział oficer, odwrócił się i zszedł po schodach.

Kefas patrzył, dopóki drzwi chatki się za nim nie zamknęły.

- Cóż, teraz pójdzie do łóżka – powiedział młodzikowi. – Więc wyciągnijmy się i odpocznijmy trochę.

- Jesteś pewien?
- Nie wyjdzie ponownie. Nigdy tego nie robi. Pewnie już zasnął.
- Jestem zmęczony.
- Walnij się, chłopcze. Zdrzemniemy się i obudzimy na długo przedtem, zanim ktokolwiek zacznie się tu kręcić. Nie martw się. Mam lekki sen. Kiedy tylko usłyszę jakiś ruch, obudzę się i będę czujny. Tak działa dwadzieścia lat żołnierki.

Chłopiec rozciągnął się na deskach. Kefas po raz ostatni spojrzał na pustą plażę, a potem usiadł, oparłszy się plecami o palisadę.

Zamknął oczy.

Kiedy flota z mykeńską armią płynęła w świetle gwiazd w stronę Zatoki Heraklesa, Achilles stał na dziobie prowadzącego okrętu. Ubrany w czarną tunikę, z dwoma mieczami u pasa, oparł się o reling i wpatrywał w mgłę, szukając wrogich galer patrolowych.

Zobaczył tylko małą łódź i starego rybaka zarzucającego sieć. Rybak spojrzał w górę, kiedy galerka przepływała obok niego, po czym wrócił do swojego zajęcia. Kilku wojowników Achillesa

podniosło łuki.

- Zostawcie go – polecił. – Nie stanowi zagrożenia.

Galera płynęła dalej. Nosiciel tarczy Patroklos zbliżył się do Achillesa.

- Nie ma oznak obecności dardańskich okrętów – powiedział wojownik o blond włosach. – Myślę, że spadające gwiazdy pokazały, że bogowie są z nami.

- Być może – odparł Achilles. – Ale wolę polegać na sile naszych ramion.

Kolejny wojownik przeszedł na dziób. Był to zwałisty, ogolony na łyso Tibo. Jak zawsze przed bitwą zaplótł długą czerwoną brodę.

- Nie powinienesz wystawiać się na niebezpieczeństwo, mój królu – powiedział. – Nie dla zdobycia takiej małej forteczki.

- Myślisz, że powinienem się ukryć?

- Nie w tym rzecz, Achillesie – nie dawał za wygraną wojownik. – Jedna dobrze wycelowana strzała i nie będziemy mieli króla.

- Tego argumentu można użyć przed każdą bitwą – skontrował Achilles. – Agamemnon chce, żebyśmy zdobyli fort, a potem zabezpieczyli letni pałac. Powierzył to zadanie mnie i moim Myrmidonom. To zaszczyt. Cóż to byłby za król, który pozwoliłby ryzykować ludziom, jeżeli sam nie byłby gotów dzielić z nimi niebezpieczeństwa?

Tibo zachichotał.

- Nie widzę wśród nas Agamemnona. Ani Idomeneosa. Ani nawet Odyseusza.

- Wszyscy są w drodze – oznajmił Achilles. – I żadnemu z nich nie brak odwagi. A zwłaszcza Odyseuszowi. – Uśmiechnął się. – Widziałem go na Itace, kiedy ratował swoją panią. Nieprędko zapomnę ten widok.

Patroklos nachylił się ku przyjacielowi.

- Kolejna bitwa, w której nie powinienesz brać udziału. Na bogów, Achillesie, to było szaleństwo!

- Zgadza się, ale był to najszlachetniejszy rodzaj szaleństwa. Czy wszyscy są przygotowani?

- Wszyscy wiemy, czego się od nas oczekuje – powiedział Tibo. – Nie zawiedziemy cię.

- Wiem o tym, Rudobrody.

Kiedy kadłub galery wrył się w piasek, Achilles zeskoczył lekko na ziemię. Śmignąwszy przez plażę, podbiegł do wejścia przesmyku. Trzymając się blisko ściany klifu po lewej stronie, spojrzał w kierunku palisady znajdującej się w odległości około sześćdziesięciu kroków. Na

szczycie nie było widać żadnego ruchu, co go zaskoczyło. Zgodnie z najnowszymi doniesieniami szpiegów fortu powinno pilnować około pięćdziesięciu ludzi, dwóch strażników zaś powinno cały czas patrolować szczyt. Odsuwając się od wejścia, podniósł rękę. Z galery zeskokczyli kolejni czarno odziani wojownicy i szybko podbiegli do miejsca, gdzie czekał Achilles. Czterech było łucznikami i Achilles wezwał do siebie ich dowódcę.

– Nie widać żadnych strażników – wyszeptał.

Mężczyzna wyglądał, jakby mu ulżyło. Plan zakładał, że łucznicy cicho zabiją trojańskich strażników – nie było to łatwe zadanie, kiedy strzelało się po ciemku w kierunku opancerzonych ludzi na wysokiej ścianie.

– Poczekaj tu ze swoimi ludźmi, dopóki nie zdobędziemy palisady – polecił Achilles.

Niebo zaczęło się przejaśniać – wkrótce miało świtać. Achilles przesunął wzrokiem po wojownikach. Wybrał ich osobiście, namyślając się nad każdą decyzją. Byli nieustraszeni i sprawni.

Dał znak, aby podążali za nim, i biegiem ruszył w kierunku palisady. Z prawej strony w polu jego widzenia pojawiła się wysoka, szczupła sylwetka biegnącego szybko Patroklosa. Po lewej sunął Tibo.

Biegąc, Achilles przeczesywał wzrokiem szczyt palisady. Czy to może być pułapka? Czy mają setkę łuczników czekających w ukryciu? Zaszło mu w ustach. Jeżeli tak, to pokażą się, kiedy Achilles i jego ludzie będą w odległości około trzydziestu kroków. W tym momencie atakujący znaleźliby się w optymalnej odległości rażenia.

Achilles biegł dalej. Jeszcze pięćdziesiąt kroków. Czterdzieści.

Tibo przeciął mu drogę z lewej strony, Patroklos przesunął się z prawej. Oni podobnie ocenili skuteczny zasięg łuczników i formowali przed nim osłonę.

Przez kilka następnych kroków serce Achillesa waliło, a jego wzrok ciągle ślizgał się po palisadzie. Oczekiwał, że w każdej chwili zobaczy podnoszących się strzelców z naciągniętymi łukami i strzałami z brązowymi grotami nałożonymi na cięciwy.

Ale nie było żadnego ruchu i tesalskie siły dotarły do podstawy palisady. Achilles obrócił się do Patroklosa, który stał plecami do ściany. Smukły wojownik skinął głową, splótł palce i wparł nogi w ziemię. Achilles postawił stopę na złączonych dłoniach, po czym się podciągnął. Opierając się o drewnianą ścianę dla równowagi, zrobił kolejny ruch, tym razem stając na ramieniu Patroklosa.

Był teraz tuż pod drewnianym przedpiersiem. Wyprostowując nogi, zerknął ponad palisadą. Dwaj strażnicy spali w niewielkiej odległości po prawej stronie. Wojownik płynnie się wspiął, wyciągnął miecze i cicho podszedł do śpiących. W ostatnich promieniach księżyca mógł zobaczyć, że jeden z nich był prawie chłopcem.

I nie będzie już nikim więcej.

Achilles wbił miecz w kark młodzieńca. Umierając, chłopak wydał niski, bulgoczący jęk. Drugi strażnik otworzył oczy. Zobaczył Achillesea i chciał krzyknąć. Król wbił drugi miecz w jego gardło z taką siłą, że przeciął kręgosłup i ostrze wbiło się w drewnianą ścianę za nim.

Wyciągnąwszy miecze, zbiegł po stopniach w kierunku bramy. Była zamknięta grubą belką. Podstawiwszy ramię, wojownik ją odsunął i otworzył bramę.

W ciszy wojownicy wkroczyli do koszar, skradając się do łóżek. Achilles poczekał przy drzwiach, dopóki wszyscy nie byli na miejscach. Wznosząc rękę, dał sygnał do przygotowania się. W mroku zaślnęły miecze, ostrza zawisły nad pięćdziesięcioma zgubionymi już ludźmi.

Achilles dał znak, gwałtownie opuszczając rękę. Pięćdziesiąt mieczy trafiło w cel. Niektóre ofiary skonały, nawet się nie budząc, inni krzyknęli i przez chwilę walczyli. Nikt nie przeżył.

Król wyszedł z baraków i skierował się do bramy. Widział żeglarzy ze swojej galery, którzy wynosili pancerze, hełmy i tarcze dla jego wojowników. Za nimi, na plaży, gromadzili się kolejni żołnierze. Podeszło doń dwóch żeglarzy z jego pancerzem i tarczą. Achilles przypiął napierśnik i ułożył tarczę na lewym ramieniu.

Spojrzał w górę. Wysoko na zboczu znajdowała się Radość Króla.

Według szpiegów, ciągle mieszkał tu Parys z Heleną. Agamemnon rozkazał, aby schwytać Helenę, Parysa i dzieci zaś zabić. Achilles rozumiał konieczność zglądzenia dzieci. Gdyby pozwolono im żyć, dorósłszy, szukałyby pewnie krwawej zemsty na ludziach, którzy uśmiercili ich ojca. Zabijanie dzieci wrogów było przykre, ale konieczne.

Achilles miał wielką nadzieję, że w pałacu nie znajdą dziś Heleny i dzieci.

Wysoko w pałacu Radość Króla rozbudzona Helena leżała w łóżku i nadśluchiwała, jak mąż przemierza komnatę. Ostatnimi czasy Parys rzadko sypiał – tak było i teraz, słuchała więc miękkich, nieustających odgłosów bosych stóp drepczących tam i z powrotem po dywanach przedionka.

Westchnęła. Bardzo kochała męża, ale tęskniła za cichym uczonym młodym mężczyzną,

którego poślubiła na długo przed tą okropną zimą, obfitującą w ciągle plotki o wojnie i inwazji, na długo przed śmiercią Diosy, która zmieniła Parysa ponad wszelkie wyobrażenie.

Kiedy spotkali się cztery lata temu, była uciekinierką ze Sparty. Małomówną i cichą dziewczynę przerażało to dziwne obce miasto wraz z jego ostentacyjnie dumnymi kobietami noszącymi pyszną biżuterię, które patrzyły z niesmakiem na jej prosty strój i pulchne ciało.

Wychowana na surowym spartańskim dworze, wśród chłopców i mężczyzn, których wszystkie myśli koncentrowały się na wojnach i podbojach, Helena stwierdziła, iż Parys jest cudownie odmienny. Jego nieśmiałość ukrywała cierpkie poczucie humoru, ciekawość świata zaś była kompletnie różna od tego, co reprezentowali młodzi mężczyźni, jakich dotąd znała. Nauczył ją czytać i pisać, gdyż ze wszystkich ziem Wielkiej Zieleni zbierał pisma do biblioteki. Pokazywał jej różnokolorowe ptaki fruujące nad Troją i wyjaśniał, jak podróżowały z jednej ziemi na drugą w zależności od pór roku. Kazał wybudować zbiornik wodny z marmuru i srebra i sprowadził dla niej koniki morskie, aby mogli razem obserwować narodziny i śmierć, jak również codzienne życie tych małych stworzeń. Kiedy wzięli cichy ślub, była pełna radości i czuła, że reszta jej dni upłynie pod znakiem błogosławieństwa bogów.

Noc przechodziła już w szarość przedświt i Helena nasłuchiwała odgłosu ruchu z następnej sypialni, gdzie spało dwoje jej dzieci. Trzyletni Alipius rzadko przesympiał świt i zaraz potem budził swoją małą siostrę Fileę. Ale tym razem, pominąwszy odgłos bosych stóp na dywanach, panowała tam cisza.

Odrzucając pościel, nałożyła ciepłą opończę na ramiona i wyszła do przedsiionka.

Parys ciągle ubrany był w grubą brązową szatę, którą miał na sobie poprzedniego dnia. Stał ze spuszczoną głową i nawet jej nie zauważył.

- Powinieneś odpocząć, ukochany – powiedziała i wtedy rozejrzał się dookoła. Przez jedno uderzenie serca jego twarz była ściągnięta, szara i wycieńczona. Potem zobaczył żonę i jego oblicze rozjaśnił uśmiech.

- Nie mogłem spać – oznajmił, podchodząc i biorąc ją w ramiona. – Śniłem o Diosie.

- Wiem – powiedziała. – Ale zbliża się świt i musisz choć trochę odpocząć. Posiedzę z tobą i potrzymam cię za rękę.

Opadł na krzesło i smutek targnął jej sercem, gdy wyraz twarzy męża powiedział jej, że znów pogrąży się w smutku i poczuciu winy.

- Powiniennem był wtedy coś zrobić – powiedział tysięczny raz.

W ciągu zimy znalazła tylko trzy odpowiedzi: „Nie jesteś żołnierzem”. „To wszystko stało się tak szybko”. I „Nic nie mogłeś zrobić”. Ale tym razem milczała, trzymając go za rękę.

Spojrzała w kierunku drzwi balkonowych, gdzie ciemność ustępowała miejsca świtowi, i dostrzegła ruch. Zmarszczyła brwi.

– Zobacz, kochany, co to jest?

Parys podążył za jej wzrokiem, po czym oboje wstali i poszli zachwyceni na balkon. Ciemne niebo na wschodzie płonęło setką jasnych świateł opadających w kierunku lądu. Pojawiały się, po czym znikwały w mgnieniu oka.

- To kawałki księżycy – powiedział ze zdziwieniem w głosie.

- Czy są niebezpieczne? – Helena rzuciła okiem w kierunku pokoju, gdzie spały dzieci.

Po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnął się.

– Większość ludzi wierzy, że księżyc to rydwan Artemis, ale ja myślę, że to gorący metalowy dysk, który ciska takimi odłamkami. Czasami zostają na niebie i nazywamy je gwiazdami, a czasami spadają na ziemię, tak jak te. To szczęśliwy znak, moja droga. – Objął ją i czuła, jak napięcie go opuszcza. – Są daleko stąd i nie zrobią nam krzywdy. – Ziewnął. – Może teraz się prześpię.

Usiadła na łóżku i trzymała go za rękę, błądząc myślami, kiedy niebo się rozjaśniało i pałac zaczął się budzić. Na podwórzu ktoś upuścił jakiś ciężki gliniany przedmiot, który roztrzaskał się pośród głośnych przekleństw. Po chwili Helena usłyszała, jak synek gramoli się z łóżka w sąsiednim pokoju. Przez długi czas panowała cisza i zaczęła się zastanawiać, co tym razem przyszło mu do głowy. Potem usłyszała ostrzegawcze krzyki z daleka, do pokoju zaś wbiegł Alipius – ubrany tylko w koszulę nocną, z rozwianymi czarnymi włosami i wyrazem podekscytowania na twarzy.

- Tatko, tatko, tam są okręty! Mnóstwo okrętów!

- Ciii! Tata śpi. – Helena puściła dłoń Parysa i otoczyła chłopca ramionami.

Chłopiec się wyrwał.

– Chodź, musisz zobaczyć! Mnóstwo statków!

Potem do pokoju przydreptała jasnowłosa Filea, przyciskając do piersi sfatygowaną lalkę z niebieskiej tkaniny.

– Statki! – wysepleniała.

Parys się obudził i usiadł otumaniony.

- O co chodzi?

- Nic takiego, kochany. Zobaczyli jakieś statki. Nic takiego. – Ale w oddali słyszała krzyki i zimny brzęk metalu uderzającego o metal i jej serce nagle ścisnął strach.

Parys podniósł się i wyszedł na balkon. Kiedy spojrzął w lewo, wciągnął powietrze i Helena zobaczyła, że zaczął drżeć. Podbiegła do niego. Daleko, poniżej, rozciągała się Zatoka Heraklesa, zazwyczaj oślepiająco niebieska w świetle porannego słońca. Teraz zatoka i szerokie morze dalej jak okiem sięgnąć wypełnione było okrętami. Tuziny już wyciągnięto na piasek, setki kolejnych zaś zmierzały ku nim z zachodu, wyłaniając się z lekkiej mgły.

Plaża pełna była uzbrojonych mężczyzn i ich równy szereg zmierzał w górę w kierunku pałacu. Pierwsze światło poranka odbijało się od hełmów i ostrzy włóczni. Helena mogła zobaczyć, że opanowali już obronną palisadę garnizonu na plaży.

Spojrzała nad balustradą balkonu. Poniżej znajdował się główny dziedziniec pałacowy. Żołnierze i słudzy biegli, aby bronić bram. Słyszała potężny łoskot tarana.

– Są ich tysiące – wyszeptała przerażona. – Dzieci...

Spojrzała na Parysa i zobaczyła rozpacz malującą się na jego twarzy oraz błyski szaleństwa w oczach.

– Muszę iść! – krzyknął. Wypadł do przedsionka i zdjął dwa miecze wiszące na ścianie.

Helena go zatrzymała.

- Nie jesteś wojownikiem. Zabiją cię.

- Zabiją mnie niezależnie od tego, czy jestem wojownikiem czy nie!

- Możemy uciec razem – błagała, przyciągając jego rękę do swej twarzy. – Jeżeli szybko przedostaniemy się na północny taras, możemy stamtąd zejść na dół i ruszyć na Skamander, zanim otoczą pałac.

- Uciec? – powiedział. – Tak, ty musisz uciekać! – Odpychając ją, wybiegł z pokoju i usłyszała, jak zbiega po schodach.

Helena zamarła na jedno uderzenie serca. Jej umysł był oszołomiony i bezwolny, nie umiała ogarnąć straszego losu, który nagle ich spotkał. Potem wzięła Fileę na rękę, złapała Alipiusa i ruszyła po schodach za mężem. Północny taras był ich jedyną nadzieją. Znajdował się daleko od głównych bram, które wyłamywali najeźdźcy. Rozpościerał się z niego widok na Troję, teren za nim zaś, porośnięty krzakami o gęstym listowiu, opadał stromo w dół w kierunku równiny Skamandra. Mogła tam doprowadzić dzieci i je ukryć albo nawet dotrzeć do bezpiecznych

murów miasta.

Piętro niżej usłyszała trzask pękającego drewna. Zatrzymała się i spojrzała przez okno na podwórze. Najeźdźcy wlewali się przez szeroką wyrwę w bramie. Żołnierze strzegący pałacu, którzy wybiegli im naprzeciw, walczyli rozpaczliwie, ale było ich niewielu i padli pod naporem przeciwnika.

Potem zobaczyła Parysa biegnącego przez podwórze, wymachującego dwoma mieczami. Na początku go zignorowano, ale potem olbrzymi wojownik o czarnych włosach obrócił się i go zobaczył. Stał przed Parysem, który zaatakował niczym szalencie. Jego natarcie trwało kilka uderzeń serca, po czym czarnowłosy wojownik przebił Parysowi gardło mieczem. Ten upadł, brocząc krwią z tętnicy. Przez chwilę drżał, a potem legł bez ruchu, z bosymi stopami wystającymi żałośnie spod brązowej szaty.

Stary sługa, Pamones, który służył rodzinie królewskiej od czasów ojca Priama, próbował włóczyć bronić ciała księcia, ale wojownik z łatwością go rozbroił. Złapał starego za gardło. Przez chwilę odgłosy bitwy ucichły i słowa wojownika dobiegły do uszu Heleny.

- Gdzie jest księżniczka Helena, starcze?

- W Troi, panie – krzyknął mężczyzna, wskazując w kierunku miasta. – Księżę Parys wysłał ją tam z dziećmi, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

Żołnierz odrzucił Pamonesa i spojrzał w górę na pałac. Helena ukryła się przed jego wzrokiem.

- Co się dzieje, mamó? – zapytał Alipius, który nie widział rzezi na podwórku.

Słyszac kroki na niższym piętrze, wzięła dzieci w ramiona i rzuciła się w kierunku schodów. Najwyższym piętrem pałacu była wieża, którą Parys wybrał na swoją czytelnię. Były tam półki i szuflady oraz pudła pełne pergaminowych i papirusowych zwojów. Wraz z Heleną spędził wiele szczęśliwych dni, segregując pisma według własnej tajemnej metody. Helena rozejrzała się z desperacją po komnacie. Nie było gdzie się schować. Oszołomiona, wyprowadziła dzieci na niewielki balkon, wysoko nad zakrzywionymi skałami u podstawy klifu.

- Co się dzieje, mamó? – zapytał raz jeszcze Alipius, z miną pełną wyczekiwania i strachu. Filea mamrotała coś cicho, trzymając niebieską lalkę przy ustach.

Helena usłyszała głośne tupanie na schodach i drzwi otworzyły się z hukiem. Do środka wpadł mykeński wojownik. Miał ogoloną głowę i zaplecioną rudą brodę. Wraz z nim do pokoju wdarł się odór jak z rzeźni. Inni wojownicy tłoczyli się w wejściu.

Helena mocno przytuliła dzieci i cofnęła się. Czterech wojowników zbliżało się do niej powoli z mieczami w dłoniach.

Cofała się przez cały balkon, ze wzrokiem utkwionym w wojownikach, dopóki nie uderzyła w niską balustradę. Ostrożnie wspięła się na nią. Dzieci przestały szarpać się w jej ramionach. Alipius spojrzał przez ramię na skały poniżej.

- Boję się, mammo!

- Pozbądź się strachu – wyszeptała.

Po chwili stanął przed nią czarnowłosy wojownik, którego widziała wcześniej na dziedzińcu. Był bez hełmu, jego włosy i zbroję zaś plamiła krew.

- Księżniczko Heleno... – przemówił grobowym głosem. – Jestem Achilles.

Nadzieja załopotwała w jej umęczonym sercu. Mówiono, że Achilles jest człowiekiem honoru. Nie zabije kobiety ani dziecka.

- Pani – zwrócił się do niej łagodnie, chowając miecze i wyciągając rękę. – Chodź ze mną. Jesteś bezpieczna. Król Menelaos życzy sobie, abyś powróciła do Sparty. Chce uczynić cię swoją żoną.

- A co z moimi dziećmi? – zapytała, znając odpowiedź. – Co z dziećmi Parysa?

Na jego twarzy odmalowało się uczucie, które mogło znamionować winę, i na chwilę opuścił wzrok. Potem spojrzał na nią.

- Jesteś młoda – powiedział. – Będą inne dzieci.

Helena spojrzała w dół. Skały wyglądały niczym ostrza włóczy w promieniach poranka.

Uspokoila się i poczuła, jak całe napięcie ją opuszcza. Zamykając na chwilę oczy, poczuła ciepło słońca na plecach. Potem znów spojrzała na wojowników.

Pozbywszy się już strachu z duszy, popatrzyła w oczy każdemu z nich spokojnym wzrokiem, niby matka patrząca na niesforne dzieci. Zobaczyła, jak wyraz ich twarzy ulega zmianie. Wiedzieli, co zamierza zrobić. Gniew i wrogość zgasły w ich oczach.

- Nie rób tego – poprosił Achilles. – Pamiętaj, kim jesteś. Twoje miejsce nie jest wśród obcych. Jesteś Heleną ze Sparty.

- Nie, Achillesie, jestem Heleną z Troi – powiedziała. Przytuliła dzieci i pocałowała je. – Zamknijcie oczy, moje kochane – wyszeptała. – Zamknijcie mocno. A kiedy je otworzycie, tatko znów będzie tutaj.

Achilles rzucił się do przodu, ale za późno. Helena zacisnęła powieki i runęła w pustkę.

XVI. BITWA O SKAMANDER

Kalliades oparł się o ociekający wodą pień pochylego drzewa i zerknął w mrok w kierunku Troi. W tak dżdżystą noc równie dobrze mógłby mieć opaskę na oczach. Odwrócił się i popatrzył tam, gdzie wokół ledwo widocznych i mizernie posykujących ognisk siedziało w ponurym nastroju stu wojowników. Jadąc z Dardanos najszybciej jak to możliwe, dotarli do miejsca oddalonego ledwie o pół dnia drogi od Złotego Miasta, ale bezksiężycowa noc zmusiła ich do postoju. Wszyscy byli sfrustrowani i zdenerwowani; jedyne, co ich pocieszało, to fakt, że walki w Troi nie rozpoczną się przed wschodem słońca.

Swoje żołnierskie życie Kalliades zaczął w wieku piętnastu lat. Uczestniczył w setkach bitew, cierpiał z powodu suchości w ustach i pełnego pęcherza przed walką oraz widywał przyjaciół umierających powoli od ciosu w brzuch albo z powodu gangreny. Wiedział, że te same doświadczenia były udziałem każdego z wojowników czekających na leśnej polanie. A mimo to wszyscy, co do jednego, nie mogli się doczekać pierwszych blasków świtu, aby wsiąść na konie, ruszyć do Troi i rzucić się na armię Mykeńczyków. Wielu miało umrzeć.

Być może wszyscy.

Posłaniec Priama do garnizonu w Dardanos dotarł do Głupoty Parnia zmęczony i brudny po podróży. Banokles i Kalliades zjechali w dół, aby porozmawiać z nim tam, gdzie stał, po drugiej stronie przepaści. Wódz rozkazał mu, aby przeszedł na drugą stronę. Mężczyzna spojrzał z powątpiewaniem na kładkę, jaką do tej pory przerzucili robotnicy Kalkeusa. Ale ponieważ był Królewskim Orłem, przekroczył wąski pomost pewnym krokiem i z podniesioną głową. Dopiero kiedy stanął na solidnym gruncie, zobaczyli, że w jego oczach czai się strach, czoło zaś zrosił pot.

– Wodzu – zwrócił się do Banoklesa, który skwitował tytuł grymasem. – Troja została zaatakowana! Agamemnon wylądował w Zatoce Heraklesa z setkami okrętów. Nasza piechota próbuje zatrzymać ich nad Skamandrem. Król Priam rozkazuje, abyś ruszył miastu na odsiecz.

Kalliades zerknął na twarz przyjaciela i zobaczył podekscytowanie.

- Wyjdziemy natychmiast – odpowiedział Banokles, próbując ukryć zadowolenie. – Zostawimy tu mały oddział i weźmiemy moich Traków.

- Nie Traków – powiedział posłaniec, zniżając głos, kiedy zarówno trojańscy, jak i traccy

żołnierze zaczęli się zbierać dookoła. – Król chce, aby na pomoc miastu ruszyli tylko lojalni trojańscy żołnierze. Powiedział, że Trakowie mają strzec twierdzy Dardanos.

Kalliades prychnął. Czy wszyscy w Troi zapomnieli, że on i Banokles zaledwie przed kilku laty byli mykeńskimi żołnierzami? Rozkazał, aby posłańcowi dać jedzenie i wodę, po czym zwrócił się do Banoklesa:

– Bardzo łatwo jest powiedzieć „wyjedziemy natychmiast”, ale jak to zrobić? Pieszy może przejść przez ten pomost, ale nie możemy przeprowadzić na drugą stronę koni. Objazd zaś zajmie nam dodatkowy dzień.

Kalkeus, który krążył w zasięgu słuchu, przepchnął swe zwaliste ciało przez krąg otaczających ich ludzi i rzucił niecierpliwie:

- To prosty problem, który łatwo rozwiązać. Moi robotnicy przerzucą szereg solidnych desek wzdłuż całego mostu, poszerzając go o długość kroku wysokiego mężczyzny. Potem można założyć koniom opaski i przeprowadzić je w jednej kolumnie. To całkiem proste – powtórzył.

- Czy ta konstrukcja je utrzyma? – zapytał z powątpiewaniem Banokles.

- Oczywiście – odpowiedział inżynier z irytacją w głosie. – Utrzyma taką wagę, jaką sobie wybiorę.

Kalliades zerknął na niebo.

- Kiedy się tym zajmiesz?

- Jak tylko przestanę odpowiadać na głupie pytania. – Rudobrody inżynier odwrócił się na pięcie i zaczął rzucać rozkazy swoim robotnikom. Chwilę później jedni piłowali deski, inni zaś pobiegli przynieść więcej drewna.

Kalliades i Banokles wrócili do miejsca, gdzie Tudhalias spokojnie czekał ze swoimi ludźmi, którzy już przygotowali się do jazdy.

– Przyłączysz się do nas w obronie Troi? – zapytał Kalliades, choć domyślał się odpowiedzi Hetyty.

Tudhalias smętnie pokręcił głową.

- Nie, mój przyjacielu. Ty byś tego nie chciał. Jeżeli ja i moi ludzie walczylibyśmy o Troję, mój ojciec nigdy by się nie zgodził przyjść z pomocą miastu. Wrócę więc i rozpuszczę wieści o waszym nieszczęściu – może imperator wyśle armię.

- Możliwe, że Priam wolałby pomoc trzystu ludzi teraz niż hetycką armię obozującą pod jego bramami w przyszłości – powiedział Kalliades. – To może się wydać bardziej zagrożeniem niż

pomocą sprzymierzeńca.

Tudhalias się uśmiechnął.

– Być może masz rację. Wojna czyni przyjaciół z wrogów i wrogów z przyjaciół, czyż nie, Mykeńczyku?

Po tych słowach odwrócił się i wsiadł na konia, po czym hetycy wojownicy wyruszyli na północ. Banokles charknął i splunął.

– Szerokiej drogi – rzucił. – Nigdy nie lubiłem tych krowich synów.

Kalliades westchnął.

- Tych trzystu krowich synów bardzo by nam się przydało – rzekł. – Teraz jesteś tylko ty, ja i naszych pięćdziesięciu ludzi z Konia Trojańskiego.

- Pojadę z wami, wodzu, z moją pięćdziesiątką – odezwał się głos.

Przywódca Traków Hillas, pan Zachodniej Góry, szedł ku nim wąskim przejściem. Włosy i brodę miał zaplecione, jego twarz zaś zdobiły niebieskie pasy na modłę Kikonów.

– Priam powiedział, że traccy wojownicy powinni zostać tutaj i bronić Dardanos – oznajmił ostrożnie Banokles. – Nie wiem dlaczego. Każdy z twoich Kikonów jest wart dwóch zasyfionych Orłów.

Hillas zachichotał.

– Wszyscy wiemy, że jeżeli Troja upadnie, Dardanos będzie zgubione. A wtedy Kikonowie nigdy nie odzyskają swojej ojczystej ziemi. Ślubowałem wierność królowi Peryklosowi i będę dla niego walczył w Troi. Moi ludzie pojadą z tobą, niezależnie od tego, czy są mile widziani czy nie. Priam nie odrzuci naszej pomocy, kiedy staniemy przed nim z głowami Mykeńczyków na włóczniach.

Teraz, w strugach deszczu smagających ciemny las, Kalliades przestał marzyć o nadejściu świtu i wrócił do ogniska, gdzie na plecach leżał Banokles, który nawet nie zdjął zbroi.

– Jutro będziemy w Troi – powiedział radośnie. – Będzie niezła rąbanina, zabijemy setkę wrogich bękarci synów, a potem pójdę do domu zobaczyć Rudą i wypić kilka dzbanów wina.

– Idealny plan na najbliższy dzień – zauważył Kalliades.

Banokles podniósł głowę i obrócił się do niego. Blask płomieni tańczył na w jego blond włosach i brodzie.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał.

Kalliades położył się obok niego na mokrej trawie.

– Nic – odparł i zdał sobie sprawę, że to prawda. Był zmarznięty, przemoczony i głodny, następnego dnia zaś miał wziąć udział w bitwie przeciwko znacznie przeważającym siłom wroga, a mimo to opanowało go rzadkie uczucie spełnienia.

Uśmiechnął się.

– Myślę, że zbyt dużo razem przeszliśmy, Banoklesie – powiedział. – Z każdym dniem staję się coraz bardziej podobny do ciebie.

Zobaczył w świetle ogniska, że przyjaciel zmarszczył brwi i otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale nagle wybuchło zamieszanie wśród przywiązanych koni, które zaczęły bić kopytami i rzeć. Niektórzy zaspani wojownicy wstali, aby je uspokoić.

- Ten wielki czarny koński bydlak znowu wszczyna awantury. Nie wiem, dlaczego wzięliśmy go ze sobą.

- Oczywiście, że wiesz – cierpliwie odpowiedział Kalliades. – Byłeś przy tym, jak Hektor powiedział, że ten koń powinien być traktowany z honorami jako bohater Troi. Nie mogliśmy zostawić trojańskiego bohatera z Wollinem i jego Trakami.

Oprócz własnych wierzchowców mały oddział z Dardanos wziął ze sobą ostatni tuzin złocistych koni Helikaona, w tym trzy brzemienne klacze i wielkiego ogiera, na którym królowa Halizja i jej syn przeskoczyli nad przepaścią.

– Powinniśmy go jakoś nazwać – powiedział Banokles w zamyśleniu. – Nie możemy ciągle o nim mówić „ten wielki czarny bydlak”. Powinien mieć jakieś imię.

- Co proponujesz?

- Zadopyski.

Wojownicy dookoła ogniska zachichotali cicho.

- Banoklesie, wszystkie konie nazywasz Zadopyskimi – powiedział ten siedzący obok niego.

- Tylko te dobre – zaprotestował urażony Banokles.

- Powinniśmy nazwać go Bohaterem – zasugerował Kalliades.

- A więc niech będzie Bohater – zgodził się Banokles. – Dobre imię. Może teraz, kiedy ma imię, będzie z nim mniej kłopotu. – Zmienił niewygodną pozycję, w której leżał, i z triumfalnym sapnięciem wyciągnął spod siebie małą gałąź. – Ale, na Aresa, to dopiero był skok, no nie? Myślisz, że dałbyś radę coś takiego zrobić?

Kalliades pokręcił głową.

- Nawet bym nie próbował.

- Szkoda, że tego nie widziałem – westchnął Banokles. – To musiał być piękny widok. Lot ogiera nad przepaścią z królową i chłopcem na grzbiecie. – Przez chwilę milczał. – Szkoda, że umarła. Znaczą królowa. Po takim skoku.

Kalliades pomyślał, jak Banokles zmienił się w ciągu ostatnich lat. W czasach, kiedy po raz pierwszy walczyli razem, rozprawiał tylko o piciu, chędożeniu i bitwach, w których brał udział. Jego największym dokonaniem była umiejętność szczania na drzewo wyżej niż ktokolwiek inny.

Ale w ciągu kilku ostatnich lat nabrał nieco oglady. Kalliades wiedział, że jego małżeństwo z Rudą było przemyślaną decyzją. Wódz uwielbiał swoją żonę i nie ukrywał tego. Jak często mówił Kalliadesowi, jego ambicją było teraz wygranie wojny i odejście z Konia Trojańskiego z honorami, aby razem z Rudą osiąść w małej, wiejskiej posiadłości. Kalliades nie wyobrażał go sobie w roli właściciela ziemskiego, ale nigdy mu tego nie powiedział.

Śmierć kapłanki Pirii szczerze Banoklesa zasmuciła. Rzadko o niej wspominał, choć raz, kiedy Kalliades to zrobił, Banokles powiedział krótko:

– Zginęła w walce, broniąc życia swojej przyjaciółki, czyż nie? Postąpiła jak każdy wojownik wart swego imienia. – Potem nic już nie mówił.

I oto teraz Banokles Jednouchy mówił z szacunkiem o nieżyjącej kobiecie, której nigdy nie spotkał.

– Wodzu! – Z zamyślenia wyrwał go krzyk żołnierza. – Świta! Możemy ruszać!

Echios z Rodos nienawdził krwi. Zmieszana z błotem na płaskiej równinie Skamandra była śliska i zdradliwa. Z kolei krzepnąc na rękojeści miecza, robiła się lepka niczym koński klej i utrudniała mocne trzymanie broni.

Jako weteran służący od piętnastu lat w trojańskim oddziale Skamandryjskim Echios walczył na dalekim południu w Likii, w wysuniętej na wschód Zelei i w zaśnieżonych górach północnej Tracji, ale nigdy nie myślał, że będzie stawiał czoło wrogiej armii zalewającej Złote Miasto. Ku jego twarzy śmignął miecz. Odchyliwszy się w prawo, Echios zadał zdradliwy oburęczny cios, który odbił się od brzegu tarczy przeciwnika i wrył głęboko w jego policzek, powalając go na ziemię. Przeszedłszy nad powalonym wrogiem, Echios ruszył dalej. O pierwszym brzasku na południe od rzeki Skamandryjczycy zaatakowali mykeńską falangę. Mykeńscy weterani w ciężkich zbrojach ustawili się w zwartej formacji. Byli niezmordowani i krok po kroku przez cały długi ranek spychali trojańskie oddziały z powrotem ku rwącej wodzie. Skamandryjczycy

walczyli na prawym, oddział Heraklitów zaś na lewym skrzydle. Przekłęci Heraklici ulegli jako pierwsi, pomyślał Echios. Gdyby nie niemal samobójcza szarża jazdy, byłoby po bitwie. Ostatnia przebywająca w mieście setka członków Konia Trojańskiego, prowadzona przez rosnącego mężczyznę na wielkim bojowym rumaku, wbiła się klinem we flankę mykeńskiej hordy. Echios i otoczeni obrońcy wzniesli okrzyk, kiedy zobaczyli, że był to Antifones, gruby syn króla Priama. Zaatakowany bok falangi załamał się, gdy w wyłom wbiła się klinem trojańska piechota, rąbiąc i tnąc zaciekle znad wielkich tarcz. Od tego momentu walka przekształciła się w rzeź i ponurą rąbaninę. Trojanie, krwią okupując każdy krok, zaczęli odzyskiwać teren.

Mykeński wojownik ciął szaleńczo w jego kierunku, lecz poślizgnąwszy się w krwistym błocie, stracił równowagę. Echios przyjął uderzenie na tarczę. Mykeńska zbroja szczelnie osłaniała gardło, więc Trojanin pod osłoną tarczy opadł na jedno kolano i wbił miecz w krocze przeciwnika. Kiedy ten padał na ziemię, ześliznął mu się z głowy hełm. Echios podniósł się szybko i ciął go z góry przez czoło; mózg bryznął na wszystkie strony. I znów Trojanin przeszedł nad powalonym.

Zaryzykował zerknięcie w prawo, gdzie walczył jego młodszy brat Boros. Nie widział go, ale trudno odróżnić jednego zbryzganego krwią wojownika od drugiego. Echios martwił się o niego. W czasie potyczki w Tracji cięto go mieczem w głowę i teraz nie widział dobrze na lewe oko. Boros nie powiedział o tym nikomu, bojąc się utraty przydziału. Tak więc Echios znalazł mu prostokątną tarczę. Był to wiekowy ekwipunek i inni śmiali się z niego, ale prostokąt chronił lepiej jego lewy bok niż okrągła tarcza. Wojownik zastanawiał się, czy chłopak jeszcze żyje.

Pojawiła się przed nim zakrwawiona postać. Sądząc po ozdobnej zbroi, był to Tesalczyk. Echios przyjął cios miecza na tarczę, po czym wepchnął ostrze w kark Greka. Te ich zbroje są nieźle zaprojektowane, ale kiepsko chronią szyję, pomyślał, kiedy mężczyzna zwałił się przed nim, brocząc krwią z rany na gardle.

Tuż przed nim jeden z Mykeńczyków z dużą raną w udzie runął w błoto. Echios dźgnął go mieczem w twarz. Mężczyzna zadrżał i znieruchomiał.

W stronę Echiosa skoczył teraz wielki wojownik. Był chyży i silny, szybkość jego ataku zaskoczyła Trojanina. Ich klingi zderzały się raz za razem i Echios musiał się cofnąć. Mykeńczyk wyszczerzył się do niego arogancko. Zaatakował ponownie i tym razem Echios zrewanżował się brutalną ripostą, która na policzku wojownika zostawiła brzydką ranę. Teraz on zaczął napierać, ale Mykeńczyk parował każde uderzenie. Nagle przeciwnik zmniejszył dystans i kiedy ich ostrza

się spotkały, hakiem z prawej rąbnął Echiosa w twarz. Wojownik stęknął i upadł do tyłu, pośliznąwszy się w błocie. Mykeńczyk machnął mieczem w stronę jego głowy. Echios schylił się pod ciosem i odpowiedział pchnięciem z dołu w brzuch. Kiedy przeciwnik upadł, Echios zatrzymał się na uderzenie serca, po czym przestąpił nad jego ciałem.

Zdał sobie sprawę, że jego miecz zaczyna się tępić. Zawsze nosił zapasowy na plecach, ale już go wykorzystał. Będzie musiał się rozejrzeć za jakimś ostrzejszym. W końcu istniała możliwość, że natknie się na Achillesa Zabójcę. Wszyscy wiedzieli, że jest gdzieś tutaj. Szukaj go w tłoku, powiadali – tam właśnie będzie. Tak samo jak Hektor, pomyślał Echios. A on by się nam teraz przydał. Wódz Tersytes powiedział, że będzie tu w ciągu pięciu dni. Razem z Koniem Trojańskim. Wtedy te mykeńskie wieprze nie dowiedzą się nawet, co na nich spadło i z której strony nadszedł cios.

Teraz zobaczył, że trojański jeździec, którego znał jako Olganosa, został zrzucony z konia. Krwawił z kilku ran i wyglądał na oszołomionego. Rzuciło się na niego dwóch Mykeńczyków. Echios przeskoczył nad trupem konia i zamachnął się na jednego z atakujących. Jego miecz wrąbał się w pachwinę mężczyzny, po czym pękł. Drugi z wojowników wbił ostrze w pierś Olganosa, zanim Echios zdążył uderzyć go w głowę resztką swojego miecza. Olganos upadł twarzą w błoto i znieruchomiał. Echios przestąpił nad ciałami powalonych.

I nagle przez odgłosy bitwy i krzyki umierających Echios usłyszał tętent kopyt. Jako że nie stał przed nim żaden przeciwnik, zaryzykował zerknięcie do tyłu, w kierunku rzeki.

Od strony równiny oddział konnych galopował w ich kierunku; z łomotem kopyt przemknęli przez jeden z prowizorycznych mostów. Prowadził ich rosły wojownik o złotych włosach i brodzie. W czasie jazdy wymachiwał dwoma mieczami, jego usta zaś otwarte były w okrzyku bitewnym. Echios widział, że z tyłu podąża za nim Koń Trojański i wymalowani plemięcy.

Posiłki, pomyślał. Czas, jego mać, najwyższy!

Obrócił się w kierunku pola bitwy akurat na czas, aby kątem oka dostrzec śmiertelny cios, który rozplątał mu gardło.

Późnym popołudniem Banokles siedział na południowym brzegu Skamandra i wypłukiwał krew i błoto z włosów i brody. Woda ściekała mu pod pancerz i jej chłód koił rozgrzaną skórę. Nie odniósł żadnych ran poza draśnięciem strzały na ramieniu. Był zmęczony i głodny.

Rzeka była czerwona od krwi; unosiły się w niej trupy ludzi i koni, szybko spływając

w kierunku zatoki. Na drugim brzegu widział Kalliadesa, który krążył wśród rannych, dobijając wrogów mieczem oraz wzywając noszowych do Trojan i ich sprzymierzeńców. Młodzi biegali po polu bitwy, zbierając strzały, porzucone miecze i tarcze. Wysoko na niebie zbierali się już padlinożercy.

W pobliżu sześciu mężczyzn próbowało wyciągnąć martwego konia z wody. Banokles wstał gwałtownie.

– Najpierw nasi ludzie, durnie! – krzyknął. – Nie jakieś zawszone konie!

Żołnierze pobiegli wykonać polecenie, wojownik zaś ponownie usiadł na ziemi. Bolały go plecy, a reszka ucha denerwująco szczypała. Robię się na to za stary, pomyślał.

Padł na niego rozległy cień, spojrzał więc w górę.

- Dobra robota, Banoklesie – powiedział syn króla, Antifones. Pomimo swojej zwalistości on również chyba nie odniósł żadnych ran. – Dzięki niech będą Aresowi, wybrałeś dobry moment na przybycie. Zaczęliśmy już spychać przeciwnika. Twoja szarża była żdźbłem, które złamało grzbiet osła.

- Ładny mi osioł! – burknął Banokles. – Mykeńska piechota, najlepsi żołnierze na świecie.

- Niemniej jednak, wodzu, dzisiaj okazaliśmy się lepsi.

- Już nie jestem wodzem – oznajmił radośnie Banokles. – Kazano mi zostawić moich Traków w Dardanos.

- A mimo to ich część przybyła z tobą – powiedział książę ze zdziwieniem w głosie.

Banokles wzruszył ramionami.

– No to nie jestem dobrym wodzem. Zdegraduj mnie.

Antifones roześmiał się i jego głęboki bas zabrzmiał czysto i donośnie nad polem bitwy.

- Banoklesie, dla mnie jesteś bohaterem – powiedział. – Spełniłbym każde twoje życzenie, jeżeli tylko byłbym w stanie. Ale obawiam się, że król może postrzegać to inaczej.

- Król?

- Ty i ja mamy natychmiast stawić się u Priama w jego pałacu. Znajdź więc konia i chodź ze mną – polecił Antifones, po czym się odwrócił.

- Nie pójdę – powiedział z uporem Banokles, nie ruszając się z miejsca. – Chcę najpierw zobaczyć żonę.

Książę się odwrócił.

- A tak, pamiętam. Ożeniłeś się z Dużą Rudą, była... dziwką.

- Tak, właśnie – potwierdził dumnie Banokles. – Jest dobrą żoną. Tęskni za mną i będzie się zastanawiała, gdzie się podziewam po tej całej rąbaninie.

- Królowie mają pierwszeństwo – rzucił z niecierpliwością Antifones. – Chodź ze mną.

- A co z Kalliadesem?

- Człowieku, na Hadesa – zawrzał gniewem królewski syn. – Kim jest Kalliades?

- Jest moim przy... zastępcą. Tam. – Wskazał na pole bitwy.

- Możesz posłać po swojego zastępcę po rozmowie z Priamem. A teraz chodź, zanim każę cię aresztować i zaprowadzić do króla w łańcuchach.

Jadąc wolno w górę ku miastu, Banokles patrzył z tęsknotą w kierunku ulicy Garnarzy, gdzie znajdował się jego mały biały domek. Zastanawiał się, czy Ruda jest tam i czeka.

Przy pałacu Priama zsiadli z koni i wkroczyli do megaronu. Banokles z zainteresowaniem rozglądał się dookoła. Od czasu oblężenia pałacu, kiedy wraz z Kalliadesem byli wśród napastników, znalazł się tu po raz pierwszy. Z nostalgią przypomniał sobie bitwę na schodach oraz wspaniałego, niepokonanego Arguriosa, który odpierał najeźdźców, walcząc z niespożytą siłą i precyzją. Banokles podrapał bliznę na ramieniu, gdzie miecz Arguriosa przebił je na wylot. Pamiętał przybycie Hektora, potężnego niczym bóg, oraz ścianę tarcz w miejscu, gdzie napastnicy chcieli stanąć do ostatecznej potyczki. A potem ich ukradkową ucieczkę na statki i krzyki Kolanosa.

Banokles uśmiechnął się ponuro. Tak, to był dzień wart zapamiętania.

Kiedy król zszedł po schodach, Banokles patrząc nań uważnie, lekko zmrużył oczy. Ostatni raz widział Priama na paradzie pod koniec lata. Kiedy ze złotego rydwanu pozdrawiał żołnierzy skinieniami dłoni, wyglądał na silnego i potężnego władcę. Zmiana, jakiej uległ, była szokująca. Priam stał się kruchym starcem, który jedną ręką opierał się na ramieniu swojego przybocznego, a drugą wspierał się na drewnianej lasce. Jego twarz była biała niczym papirus, kroki zaś niepewne. Przyboczny króla, Polidoros, pomógł mu dojść do tronu i król usiadł zmęczony, wpatrując się w kamienną podłogę. Za nim stał chudy człowiek, którego Banokles rozpoznał jako sekretarza Politesa. Tron otaczało sześciu Królewskich Orłów.

W końcu Priam spojrzał przed siebie. Kiedy przemówił, głos mu się rwał.

– A więc to jest wielki Banokles, bohater, który nigdy nie przegrywa i zmienia koleje bitwy każdą szarżą. Czy nie klęknie przed swoim królem, Banoklesie?

Banokles wystąpił do przodu.

- Uczyłem się żołnierki jako Mykeńczyk, królu Priamie. Na ziemiach mykeńskich nie klękamy przed królami. Okazujemy lojalność czynami.

Na twarzy króla pojawił się nikły uśmiech.

- Przypominanie, że kiedyś walczyłeś w tym megaronie, pragnąc mnie zabić, nie jest może najmądrzejsze. Gdyby nie bohaterstwo Arguriosa, zostałbyś razem z twoimi kompanami rozsiekany na miejscu.

- Cóż... – westchnął Banokles. – Jak wiesz, królu, Argurios był Mykeńczykiem...

- Dosyć! – zagrział Priam, nagle nabrawszy siły. – Nie jesteś tutaj, aby ze mną dyskutować, żołnierzu! A więc – pochylił się do przodu na tronie – mój syn Hektor powierzył ci dowodzenie Trakami, ponieważ podczas odwrotu przez Trację zebrałeś lojalną armię. Przekazywanie dowództwa głupcowi wtedy wydało mi się błędem. Ale okazuje się, że Hektor miał rację, bo jesteś głupcem, któremu sprzyja szczęście.

Banokles otworzył usta, aby przemówić, ale Priam go uciszył.

- Milcz i słuchaj, żołnierzu! Mój wódz Tersytes dał się dzisiaj zabić w bitwie, idiota. A więc potrzebuję nowego wodza dla skamandryjskiego oddziału. Zawsze będę wolał mianować głupca, któremu sprzyja szczęście, nad pechowego geniusza. Tak więc znowu jesteś wodzem, Banoklesie, dowódcą oddziału najlepszej piechoty na świecie.

- Tak, ale wydaje mi się... – zaczął Banokles.

Król wstał gwałtownie. Gniew go ożywił i Banokles dostrzegł w nim wielkiego człowieka, jakim kiedyś był.

- Jeżeli jeszcze raz mi się sprzeciwisz, wodzu Banoklesie, każę swoim Orłom zabić cię na miejscu!

Zapanowała pełna napięcia cisza, po czym Banokles odezwał się pojednawczo:

- Co z Kalliadesem?

Król zmarszczył brwi.

- Kalliades? Znam to imię. A tak, wysoki żołnierz, który objął dowództwo nad mykeńskimi najeźdźcami po aresztowaniu Kolanosa. O co chodzi?

- Jest moim przyjacielem.

- Jest jego przybocznym, ojciec – wtrącił się pośpiesznie Antifones.

- A więc dalej będzie jego przybocznym. A teraz – zwrócił się do syna – złóż raport, Antifonesie.

- Przeciwnik został zepchnięty z powrotem do nasypu, jaki wznosił przy wejściu do przesmyku, ojciec. Szacujemy, że podczas dwóch dni bitwy na równinie stracili przynajmniej tysiąc ludzi.

- A nasze straty?

- Niewiele mniejsze. Może siedmiuset zabitych oraz dwie setki rannych tak ciężko, że nie będą w najbliższym czasie walczyć, o ile w ogóle wrócą do zdrowia. Na obrzeżach Dolnego Miasta, w barakach Ilean, otworzyliśmy szpital. Z Domu Węży przeniosło się tam wielu naszych medyków i uzdrowicieli.

- A oddział Ilos?

Antifones wzruszył ramionami.

- Są żołnierzami. Będą odpoczywali tam, gdzie się im każe.

Priam rozejrzał się dookoła.

- A gdzie jest Lukan? Nie widać tu przedstawiciela Heraklitów.

- Oddział Heraklitów ciągle przebywa w polu. Uznałem, że najlepiej będzie zostawić jednego wodza nad Skamandrem na wypadek, gdyby nieprzyjaciel w nocy podjął kolejną próbę ataku.

- Spodziewasz się tego?

- Nie.

Priam skinął głową.

- Hektor będzie tu za trzy bądź cztery dni. Musimy się utrzymać tylko do tego czasu. Kiedy główne siły Konia Trojańskiego dotrą na miejsce, te zachodnie szakale zostaną zepchnięte z powrotem do morza z podwiniętymi ogonami.

Banokles zobaczył, jak Antifones i Polites wymienili spojrzenia. Priam również to zauważył. Pochylił się do przodu na tronie.

- Wiem, synkowie, że macie mnie za starego głupca. Ale Hektor nigdy jeszcze nie zawiódł zaufania, jakie w nim pokładałem. Koń Trojański zawsze triumfuje. Wygrał pod Kadesz, wygra też tutaj. Agamemnon i jego sojusznicy zostaną zepchnięci do przesmyku. Odzyskamy go, tak samo jak Radość Króla; wtedy wróg znajdzie się w pułapce w Zatoce Heraklesa, z Hektorem z jednej strony i z naszymi okrętami z drugiej. Wyłuskamy ich wtedy jak pchły z psa.

- Na razie jednak nasza flota utknęła w Zatoce Troi, bo okręty Agamemnona kontrolują Hellespont – zauważył Antifones. – Dardańska flota dostała ciężki w bitwie morskiej w pobliżu

Karpei. I nie wiemy, gdzie jest Helikaon.

Priam zbył ten komentarz gestem zniecierpliwienia.

– Kiedy *Ksantos* wróci, Eneasze rozprawi się z wrogimi statkami. Wszyscy boją się jego miotaczy ognia. Zniszczy flotę tak samo jak tę na Imbros, a następnie przełamie blokadę Hellespontu.

Antifones pokręcił głową.

– Nie możemy być pewni nawet tego, czy Złoty Okręt przetrwał zimę. Nie mieliśmy żadnych wieści od pół roku. Nie możemy liczyć na Helikaona. – Umilkł. – Czy nie za wiele spodziewasz się po dwóch tylko ludziach, nawet jeżeli są takimi bohaterami jak Hektor czy Helikaon?

Król odwrócił się do niego w gniewie.

– Dwóch takich ludzi jak oni wartych jest tysiąca takich jak ty! Gardzę wami, niedowiarki i kruki wieszczące zgubę! Hekabe ostrzegała mnie przed wami. Pamiętaj o przepowiedni, mawiała. Troja przetrwa i będzie wieczna.

Usiadł wyczerpany i przez chwilę wydawał się głęboko zamyślony. Cisza się przeciągała i Banokles przestąpił z nogi na nogę, chcąc już iść.

Kiedy Priam w końcu przemówił, jego głos zabrzmiał ostro i kłótliwie.

– Gdzie jest Andromacha? Sprowadźcie ją do mnie. Nie widziałem jej dzisiaj.

Polites po raz pierwszy zabrał głos. Położył dłoń na ramieniu ojca i przemówił bardzo łagodnym tonem:

- Nie ma jej tu, ojczu. Popłynęła z Eneaszem na pokładzie *Ksantosa*. – Spojrzał gniewnie na Antifonesa, po czym powiedział: – Chodź, ojczu, trzeba ci odpocząć.

- Potrzeba mi tylko wina – sprzeciwił się starzec, ale wstał niepewnie i dał się poprowadzić na kamienne schody.

Antifones obrócił się z westchnieniem do Banoklesa.

– Na Aresa, mam nadzieję, że Hektor szybko się pojawi – powiedział.

Wolny wreszcie Banokles szybko opuścił megaron, wsiadł na konia i pogalopował w dół przez miasto. Otworzono przed nim Bramę Skajską, zamkniętą teraz zarówno w dzień, jak i w nocy, i wojownik z radością w sercu pośpieszył w kierunku ulicy Garnarzy. Zapomniał już o problemach dzisiejszego dnia, ciężarze przywództwa oraz czekających nań jutro walkach. Chciał tylko jak najszybciej zobaczyć Rudą.

Kiedy dojechał na miejsce, zeskoczył z konia i dopiero teraz zauważył, że przed małym białym domkiem zgromadził się tłum.

Podbiegł do niego sąsiad, garncarz o imieniu Alastor, jego twarz była blada.

– Banoklesie, mój przyjacielu...

Banokles złapał go za przód tuniki i rozejrzał się dookoła po zdenerwowanych mężczyznach oraz zapłakanych kobietach o zaczerwienionych oczach.

- Co się stało?! – ryknął. Potrząsnął Alastorem. – Co się dzieje, na Hadesa!

- Twoja żona... – wyjąkał mężczyzna.

Banokles odepchnął go i wbiegł do domu. Na białym płóciennym prześcieradle pośrodku głównego pokoju leżała Ruda. Jej ciało zostało umyte i ubrane w białą szatę, ale nic nie mogło ukryć niebieskiego odcienia jej twarzy oraz czarnych siniaków dookoła szyi.

Banokles upadł przy niej na podłogę. Był w szoku, a myśli rozbiegły się jak szalone.

– Ruda... – Ujął ją za ramiona i potrząsnął delikatnie. – Ruda! – Ale ciało żony było sztywne i zimne w jego drżących rękach.

Wstał z pobladałą od furii twarzą. Ludzie tłoczący się dookoła odsunęli się nerwowo.

- Co się stało? Mów, garncarzu! Co tu się stało? – Ruszył gwałtownie w kierunku przestraszonego sąsiada.

- To ten stary piekarz, przyjacielu... – odparł Alastor. – Ten, co robił miodowe ciasteczka, które ona uwielbiała. Udusił ją, Banoklesie, a następnie podciął sobie gardło nożem. Tam leży...

– Wskazał w kierunku podwórza. – Powiedział córce, że kocha Rudą i nie może bez niej żyć. Opuścił miasto i chciał, aby pojechała razem z nim, ale odmówiła. Prosił ją i prosił, ale ona się z niego śmiała...

Banokles już nie słuchał. Z rykiem rozpaczony rzucił się na wybrukowane podwórze, gdzie znalazł ciało małego Krenia leżące na ziemi, z jedną ręką zaciśniętą kurczowo na skrawku szaty Rudej i z nożem w drugiej. Krew wsiąkła w ziemię dookoła głowy.

Banokles wydarł suknię z ręki trupa i z furią ją odrzucił. Potem wyciągnął nóż i wbił w pierś piekarza. Krzycząc coś niezrozumiale, z twarzą ociekającą łzami, wbijał raz za razem nóż w martwe ciało.

XVII. JAZDA HEKTORA

Skorpion był zmęczony, nie tylko długim dniem jazdy. Zmęczenie sięgało samych kości. Był zmęczony bitwą, zmęczony wojną. Chciał już tylko znów zobaczyć gospodarstwo ojca, usiąść z rodziną przy stole, posłuchać codziennych opowieści o zagubionych owcach albo pladze mszyc na winogronach.

Spojrzał w dół trawiastego rowu, gdzie jego towarzysz o szerokich ramionach i ogolonej głowie, Justinos, uderzał krzemieniem, ciskając migocące iskry na suche gałązki. Pojawił się mały płomień i Justinos pochylił się, aby delikatnie dmuchnąć. Ogień rozgorzał mocniej i wojownik ostrożnie dodał kilka szczap.

Dwaj jeźdźcy stanęli na późny popas tuż pod szczytem góry. Jako zwiadowcy Konia Trojańskiego Hektora wyprzedzali główne siły śpieszące do Troi przez Idę. Jazda przebyła ją utartym szlakiem prowadzącym z Teb pod Plakos do Złotego Miasta. Oczekiwali, że oddział dogoni ich przed zapadnięciem zmroku.

Skorpion siedział i spoglądał na pogrążający się w ciemnościach krajobraz na północnym zachodzie. Powietrze wypełniał zapach rozkwitających pod wieczór kwiatów. W końcu westchnął i wrócił na dół do obozu. Justinos spojrzał na niego, ale nic nie powiedział. Podał Skorpionowi kawałek gruboziarnistego, jęczmiennego placka i obaj w milczeniu zabrali się do jedzenia.

– Myślisz, że Olganos ciągle będzie w Troi? – zapytał Skorpion, kiedy Justinos rozpostarł koc na ziemi, przygotowując się do snu.

Towarzysz wzruszył ramionami.

– W mieście jest tylko setka członków Konia Trojańskiego. Każdego dnia będą w samym środku bitwy, dopóki tam nie dotrzemy. W tej chwili wszyscy mogą już nie żyć.

- Ale on jest twardy – nie dawał za wygraną Skorpion.

- Wszyscy jesteśmy twardzi, chłopcze – wymamrotał Justinos, wyciągając się i zamykając oczy.

– Chcę wrócić do domu, Justinosie. Mam już dość tego wszystkiego.

Justinos westchnął, po czym usiadł, dodając kolejne patyki do płomieni.

– Idziemy do domu – powiedział.

– Miałem na myśli mój dom. Z dala od wojny.

Justinos uśmiechnął się ponuro.

– Z dala od wojny? Na całej Wielkiej Zieleni nie masz takiego miejsca, które byłoby z dala od wojny.

Skorpios spojrział na przyjaciela.

- Ale któregoś dnia to się musi skończyć?

- Ta wojna? Oczywiście. Potem będzie następna, a potem kolejne. Lepiej nad tym nie rozmyślać. Tutaj jest cicho i jesteśmy bezpieczni przynajmniej tej nocy. Mnie to wystarcza.

- A mnie nie. Jutrzejszy dzień mnie przeraża.

- Dlaczego? Jutro nic się nie stanie. Będziemy dalej jechali na północ, wypatrując zasadzki. Hektor zatrzyma się pod Gargaronem, tak jak zawsze, aby złożyć ofiarę Zeusowi Ojcu. Co jest takiego specjalnego w jutrzejszym dniu?

- Nic. Nie wiem.

- A więc czegoś się bać? Posłuchaj mnie, chłopcze, teraz jest wszystkim, co mamy. Wczorajszy dzień minął. Nic nie możemy na to poradzić. Jutro jest zagadką. Na to też nic nie możemy poradzić, dopóki go nie dożyjemy. Jutrzejszym dniem niech się martwią Hektor i wodzowie. To ich robota.

– I Banoklesa – dodał Skorpios.

Justinos zachichotał.

- Tak, Banoklesa też, jak sądzę. Żał mi go, ale ktoś, kto miał dostatecznie twarde jaja, żeby się ożenić z Dużą Rudą, powinien sobie poradzić z obowiązkami wodza.

- Dlaczego ktoś miałby poślubić dziwkę? – zapytał Skorpios.

- To pytanie zdradza, że jesteś kompletnym durniem! – warknął Justinos. – Co tu ma do rzeczy to, że Ruda kupczyła swoim ciałem?

- Ożeniłbyś się z dziwką?

- Dlaczego nie? Gdybym ją kochał i gdyby mogła dać mi synów.

Skorpios spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Ale one są niegodne i nieczyste.

Oczy Justinosa zwęziły się, a twarz pociemniała.

– Niegodne? Na jaja Aresa, cieszę się, że nie wychowałem się w twojej małej wiosce. Posłuchaj mnie, Skorpiosie. Moja matka była dziwką, ojca nie znałem. Zostałem wychowany

wśród dziwek. Kilka było wrednych, niektóre złe, inne chciwe. Ale większość była zwyczajna, jak ty czy ja. Wiele z nich było kochających, uczciwych i wrażliwych. Wielu ludzi robi to, co robi, żeby po prostu przetrwać. Niegodne i nieczyste? Gdybyś nie był moim przyjacielem, rozwaliłbym ci łeb o pień drzewa. A teraz zamknij się i daj mi spać. – Położył się raz jeszcze, obracając się plecami do przyjaciela i okrywając kocem ramiona.

Skorpios siedział oparty o dąb i zdrzemnął się na chwilę. Księżyc był już wysoko na bezchmurnym niebie, kiedy usłyszeli tętent setek kopyt, który ogłaszał, że dogonili ich Hektor i Koń Trojański. Kopniakiem obudził Justinosa i obaj szybko zapalili przygotowane pochodnie, po czym stanęli, trzymając je wysoko nad głowami. W ciągu kilku uderzeń serca zostali otoczeni przez jeźdźców w lśniących w świetle księżyca zbrojach, konie kopytami wzbijały tumany kurzu.

Z ciemności wyjechał wielki wojownik na ciemnobrażowym ogierze. Pochylił się w ich kierunku i wydawało się, że jego złote włosy błyszczą w świetle pochodni.

– Justinosie, Skorpiosie. Macie coś do zameldowania?

Justinos wystąpił naprzód.

– Nic, panie. Cały dzień widzieliśmy tylko ptaki i króliki oraz jednego niedźwiedzia. Wygląda na to, że teren jest opuszczony.

– Tak – zgodził się książę. – Spodziewałem się, że Agamemnon zorganizuje na naszej drodze zasadzkę. Wiedział, że przybędziemy. Ale wygląda na to, że się myliłem. Być może rzucił wszystkie siły na Troję.

Odchylił się na swoim wierzchowcu i przez chwilę spoglądał na księżyc w pełni. Potem, wznosząc głos nad parskanie koni i ciche rozmowy jeźdźców, krzyknął:

– Koniec z postojami, chłopcy! Będziemy jechać całą noc!

Justinos i Skorpios szybko zaczęli pakować ekwipunek, kiedy jeźdźcy kręcili się dookoła nich.

– Wygląda na to, chłopcze – powiedział cicho Justinos – że jutro nastąpi szybciej, niż się tego spodziewaliśmy.

Podczas gdy na równinie trwała krwawa jatka, czas wydawał się płynąć boleśnie wolno. Dla Kalliadesa kolejne dni zaczęły się zlewać. Kiedy było jasno, walczył u boku ludzi z oddziału Skamandryjskiego, rąbiąc i tnąc przeciwników mieczem Arguriosa. Nie było tu miejsca na umiejętności szermiercze, liczyła się tylko krwawa rąbanina. W nocy odpoczywał tam, gdzie

mógł – ogromne zmęczenie ciskało go w sen pomimo jęków i krzyków umierających oraz smrodu setek płonących ciał.

Piątego ranka obudził się, żeby stwierdzić, iż świt dawno już minął i słońce wysoko świeci na niebie, a mimo to wróg nie zaatakował.

Zmęczony ponad wszelkie wyobrażenie, wsiadł na konia i stanął obok Banoklesa, Antifonesa i wodza Lukana z oddziału Heraklitów, małego żylastego mężczyzny o pomarszczonej twarzy, krzywych nogach i włosach poznaczonych siwizną, który służył swojemu królowi i Troi dłużej, niż ktokolwiek pamiętał.

Kalliades spojrzął na Banoklesa, który z kamienną twarzą wpatrywał się w wojska Agamemnona; jego oczy były zimne niczym deszcz w zimie. Kiedy Kalliades usłyszał o śmierci Rudej, pośpieszył do domu przyjaciela i znalazł go skulonego w rogu podwórza, z oczami utkwionymi w zmasakrowanych zwłokach starego piekarza. Banokles się nie odezwał, ale wstał i opuścił dom, nie oglądając się na ciało żony. Wrócił na pole bitwy i przez całą noc siedział przy rzece, wypatrując ataku wroga. Od tego czasu walczył jak w transie, jego dwa miecze zaś siały śmierć, gdzie tylko się pojawił. Skamandryjczycy czcili go niczym nowe wcielenie Heraklesa i walczyli przy nim jak demony, podziwiając jego niekończące się i niezmordowane ataki na wroga.

– No to ruszamy – rzucił Banokles głosem wypranym z emocji.

Kalliades obrócił się w kierunku pola bitwy, gdzie wroga armia formowała szyki. W środku znajdowała się mykeńska falanga; była bardziej zwarta, niż widywali wcześniej, oflankowana z każdej strony przez inne oddziały piechoty. Po obu stronach mykeńskiego szyku widzieli oddziały jazdy.

– Tesalska piechota i jazda po lewej stronie. Tam będzie Achilles ze swoimi Myrmidonami – powiedział stary Lukan, krzywiąc się. – Nie mogę się zorientować, kogo mają dzisiaj po prawej.

- Kreteńczyków – powiedział Banokles. – W każdym razie kreteńską jazdę. Mają jaja chłopaki. Dziwi mnie, że nie posłali ich wcześniej.

- Być może dopiero co przybyli – warknął Antifones. – Codziennie do Zatoki Heraklesa wpływają okręty, nie tylko z żywnością i bronią. Najemnicy ściągają z całej Wielkiej Zieleni, z nadzieją zdobycia części skarbcza Priama. Ci po prawej to zapewne ich oddział.

- Będą mieli energię, której nam już brakuje – stwierdził Kalliades. – I świeże konie.

- Świeży czy nie, przed zapadnięciem zmroku będą martwi – zapowiedział Banokles,

zsiadając z konia.

Kalliades poszedł za jego przykładem. Antifones pochylił się z wierzchowca.

– Wódz powinien zaczynać bitwę na tyłach armii – powiedział zmęczonym głosem, tak samo jak każdego dnia. – Nie można oceniać stanu sił od czoła.

Banokles zignorował go jak zwykle i przeszedł wzdłuż swoich oddziałów, aby stanąć na czele Skamandryjczyków. Piechota wzniosła okrzyk i Kalliades zobaczył, jak ich zmęczenie nieco ustępuje, kiedy nad pierwszym szeregiem piechoty przetoczył się skandowany okrzyk:

– Ba-no-kles! Ba-no-kles! Ba-no-kles! BA-NO-KLES!

Kalliades spojrzął na Antifonesa i wzruszył ramionami, a potem wyciągając miecz Arguriosa, ruszył, by zająć miejsce u boku przyjaciela. Antifones i Lukan zawrócili konie i przeprowadzili je z powrotem przez szeregi.

Antifones rozkazał Skamandryjczykom zająć lewą część pola, Heraklitom zaś prawą. W centrum uformowała szyk elitarna piechota, Orły Priama, a za nimi oddział trzystu frygijskich łuczników, osłanianych z każdej strony przez oddział z Ilos i najemników z Macedonii. Niewielka grupa niedobitków Konia Trojańskiego pozostała w odwodzie na dalekim brzegu rzeki. Większość żołnierzy odniosła rany, tak samo wierzchowce.

Kalliades zobaczył promienie słońca odbijające się od zbroi, kiedy mykeńska armia ruszyła w ich kierunku. Nałożył hełm i sprawdził rzemienie napierśnika.

– Chłopcy, na co czekamy? – zakrzyknął Banokles i wznosząc oby dwa miecze, ruszył na przeciwnika.

Znajdujący się z tyłu Antifones poczekał, aż mógł zobaczyć twarze nacierających Mykeńczyków. W tym momencie wydał rozkaz frygijskim łucznikom, którzy nad głowami sprzymierzonych oddziałów wypuścili deszcz strzał, prosto w pierwsze szeregi zbliżającego się wroga. Wystrzelili tylko trzy razy, a potem, zgodnie z rozkazem, wycofali się po drewnianych mostach na północny brzeg, gotowi zatrzymać wroga, gdyby dotarł do rzeki.

Kalliades, biegnący w kierunku falangi ramię w ramię z Banoklesem, zobaczył strzały przelatujące nad ich głowami i odbijające się od mykeńskich tarcz oraz hełmów. Ale niektóre trafiły w cel, wbijając się w twarze, ramiona i nogi i powodując, że zbliżający się szereg zafalował, kiedy ludzie potykali się i upadali.

Kalliades odkrył w sobie nowe siły. Skoncentrował się na wyrwie w szeregu, gdzie jeden z żołnierzy został powalony przez strzałę, pozostawiając towarzysza po lewej stronie bez

ochrony. Kalliades, krzyżąc nieartykułowanie, runął na mężczyznę i ciął w ramię trzymające miecz. Niemal odrąbał rękę powyżej łokcia. Uniósł miecz i uderzył padającego Mykeńczyka w twarz.

Jeden z wojowników zamachnął się mieczem, celując w głowę Kalliadesa. Ostrze zsunęło się po brzegu tarczy. Kalliades pchnął mieczem w gardło mężczyzny, ale ostrze odbiło się od ciężkiego pancerza. Uklęknąwszy, sparował uderzenie, a następnie ciął w udo przeciwnika. Z rany trysnęła struga jasnej krwi. Padający na kolana Mykeńczyk raz jeszcze spróbował wykonać desperackie cięcie. Kalliades cofnął się szybko, zostawiając konającego swemu losowi.

Przez chwilę znalazł się poza walczącymi. Zobaczył, że Banokles wyrąbał sobie przejście w kierunku miejsca najcięższych walk. Wrogowie, zarówno Mykeńczycy, jak i Tesalczycy, z trzech stron otaczali jasnowłosego wojownika.

Kalliades ruszył w tamtym kierunku, ale kątem oka zobaczył ruch po prawej stronie. Zablokował brutalne pchnięcie, po czym ciął atakującego przez gardło w śmiertelnie skutecznej riposcie. Zerkając w lewo, uniósł tarczę akurat na czas, aby zablokować cios toporem. Stracił równowagę w błocie i topornik zamachnął się raz jeszcze. W desperacji Kalliades odturlał się na bok.

Nagle inny trojański żołnierz skoczył na topornika, tnąc go w ramię; ostrze ześliznęło się po naramienniku. Grek odwrócił się w kierunku młodego żołnierza i walnął go toporem w głowę. Trojanin miał starą prostokątną tarczę i topór odbił się od jej krawędzi. Kiedy topornik wzniosł broń ponownie, Kalliades doskoczył i z tyłu wbił mu miecz pomiędzy żebra. Uwolnił ostrze, Grek zaś ciężko padł na ziemię.

Kalliades skinął w podziękowaniu młodzieńcowi z prostokątną tarczą i obrócił się, by zobaczyć, gdzie jest Banokles. Nie mógł go dostrzec i rozglądał się dookoła. Nawet znajdując się w środku bitwy, Kalliades mógł ocenić rozwój sytuacji. Wiedział, że Trojanie posuwają się do przodu.

Odbił miecz wycelowany w jego brzuch, po czym zabił atakującego błyskawicznym cięciem w szyję.

Wśród walczących na wprost otworzyła się wyrwa i ponownie zobaczył Banoklesa rąbiącego ze skupieniem i furją, z dwoma błyskającymi i wirującymi mieczami, które trzymały otaczających go wrogów na dystans. Kalliades ruszył biegiem w jego kierunku, odtrącił jednego z walczących i ciął mieczem wzniesioną rękę tesalskiego żołnierza. Ten znieruchomiał na chwilę,

wpatrując się w okaleczone ramię, a wtedy Kalliades wbił mu miecz w gardło.

Zobaczył, że Banokles stracił jeden ze swoich mieczy, więc podniósł ostrze Tesalczyka i zawołał towarzysza, ale Banokles go nie usłyszał – uszy zakrywał mu hełm.

Kalliades dostrzegł, jak Mykeńczyk zabija swojego przeciwnika, po czym obraca się w kierunku odsłoniętych pleców Banoklesa. Uśmiechając się krzywo, żołnierz wznosił miecz do śmiertelnego ciosu. Kalliades rzucił się do przodu. Ale zanim ostrze Mykeńczyka sięgnęło celu, Banokles wystawił za siebie miecz i bez oglądania się wbił w brzuch atakującego.

Kalliades dźgnął w kark jednego z przeciwników Banoklesa. Dostrzegł, że przyjaciel go zauważył, i rzucił mu nowy miecz, po czym zaczął szukać kolejnego wroga.

– Nie przejmuj się, starczy dla nas obu! – zakrzyknął Banokles.

Potem przyjaciele zaczęli walczyć, odwróceniem plecami do siebie, a góra trupów dookoła nich zaczęła rosnąć.

I tak włócił się długi poranek.

Kiedy walki uspokoiły się na chwilę, Kalliades przystanął dla złapania oddechu. Ręka, w której trzymał miecz, była zmęczona i wydawało mu się, że nie zrobi już ani kroku więcej. Wraz z Banoklesem i mniej więcej tuzinem Skamandryjczyków byli teraz głęboko za linią wroga. Dookoła leżały tuziny martwych i umierających – niektórzy byli Trojanami, ale większość stanowili Mykeńczycy i wojownicy tesalscy.

Banokles pozbył się ciężko opancerzonego Mykeńczyka zgrabnym pchnięciem w lewy bok, po czym również się zatrzymał i rozejrzał. Po lewej widzieli niezbornie cofające się oddziały Trojan. Wcinał się w nich wielki wojownik w czarnej zbroi. Jego miecze śmigły niczym błyskawice, a on sam poruszał się z niezwykłą energią i gracją w porównaniu ze zmęczonymi żołnierzami dookoła niego.

– Achilles! – krzyknął Banokles do Kalliadesa, wskazując mieczem w tamtym kierunku. – To Achilles!

Przez wizurę w hełmie Kalliades zobaczył, jak twarz Banoklesa wykrzywia grymas niecierpliwości. Skinął mu głową i obydwaj ruszyli, aby wyrąbać sobie drogę do tesalskiego króla.

Nagle rozległ się niski, głęboki grzmot wstrząsający przesiąkniętą krwią ziemią.

– Trzęsienie ziemi! – Kalliades usłyszał krzyk, który po chwili podjęli wszyscy dookoła niego. Walka zaczęła ustawać, kiedy żołnierze obydwu stron poczuli, jak ziemia trzęsie się im

pod nogami.

Kalliades znalazł trupy dwóch Mykeńczyków, leżące jeden na drugim, i podpierając się ręką o ramię Banoklesa, wspiął się na nie dla lepszego widoku.

W oddali na południu, wzdłuż linii Skamandra, widział wznoszącą się olbrzymią chmurę kurzu. Kiedy zbliżyła się do zwartych w śmiertelnym boju armii, drzenie ziemi się wzmogło. Tętent koni!

– To nie trzęsienie ziemi! – zakrzyknął radośnie Kalliades do swoich wyczerpanych towarzyszy. – To Koń Trojański!

Skorpios pochylił się nisko nad kłębem swojego wałacha i poczuł, jak strach w jego trzewiach się rozprasza, kiedy Koń Trojański niczym burza gnał przez równinę w kierunku flanki wroga.

Zaledwie chwilę wcześniej jeźdźcy wyprowadzili konie poza linię drzew na północnym brzegu Skamandra, gdzie kończył się łańcuch porośniętych dębami pagórków, rzeka zaś szybko płynęła w kierunku Zatoki Troi. Tam zatrzymali się, zadziwieni widokiem bitwy, która rozgrywała się przed nimi. Skorpios miał tylko kilka uderzeń serca, aby oswoić się z sytuacją. Równinę na południe od Skamandra wypełniali walczący wojownicy: z powodu poplamionych krwią i błotem pancerzy nie dało się odróżnić wrogów od swoich. Potem Hektor wprowadził swojego wielkiego rumaka bojowego Aresa w spienioną rzekę i ogier przedarł się na drugi brzeg; reszta Konia Trojańskiego podążyła za nim. Znalazszy się na południowym brzegu, Hektor nawet się nie odwrócił, żeby zobaczyć, czy jego ludzie bezpiecznie przeprawiają się przez wartki nurt, tylko wyciągnął miecz, spiął konia do galopu i ruszył w kierunku pola bitwy.

Skorpios z mieczem w dłoni, z Justinosem u boku, był w czwartym szeregu jeźdźców zmierzających w stronę flanki wroga. Otarłszy pył z oczu, zobaczył jazdę przeciwnika, która rozpaczliwie próbowała obrócić wierzchowce, aby stawić czoło nowemu zagrożeniu, ale swobodę manewru ograniczały ścielące się wokół ciała koni i ludzi.

Hektor był już daleko z przodu. Jego nosiciele tarcz, Mestares i Areoan, gnali co sił, aby go dogonić, ale zaledwie kilka koni mogło dotrzymać kroku Aresowi w pełnym galopie.

Wspaniały bojowy rumak wpadł na szeregi przerażonych żołnierzy wroga z siłą tarana. Jeden z koni runął, rżąc przeraźliwie, kiedy impet Aresa złamał mu obydwie przednie nogi. Hektor zabił jeźdźca ciosem w głowę, pozostali zaś zaczęli cofać się w nieładzie. Następnie

nosiciele tarcz również wbili się w przeciwnika, a za nimi niby grot oszczepu uderzył cały Koń Trojański.

Skorpios powstrzymał wierzchowca, aby poczekać na swoją kolej, kiedy jeźdźcy przed nim rzucili się w wir walki. Nagle jakiś Tesalczyk, przedarłszy się przez Trojan, ruszył w jego kierunku z opuszczoną włócznią. Skorpios odchylił się w lewo i grot minął go z prawej strony, wbijając się w bok wałacha. Koń w panice stanął dęba, dając Skorpiosowi okazję do wbicia włóczni z góry w gardło Tesalczyka. Oszalały z bólu wałach stanął dęba raz jeszcze, po czym runął na ziemię.

Skorpios bezpiecznie zeskoczył, przetoczył się i wstał, wyciągając miecz. Pobiegł w kierunku pierwszego jeźdźcy, jakiego zobaczył; był to ciężko opancerzony Mykeńczyk. Wojownik pchnął go włócznią, ale grot odbił się od napierśnika. Skorpios złapał drzewce i pociągnął ku sobie, a zaskoczony Mykeńczyk spadł z wierzchowca. Skorpios zabił go błyskawicznym cięciem w gardło. Następnie, schowawszy miecz do pochwy, złapał za grzywę konia zabitego wroga i wskoczył mu na grzbiet, nie wypuszczając włóczni z dłoni.

Rozglądał się za kolejną ofiarą. Zobaczył, że jeźdźcy przeciwnika ustąpili pod siłą ataku i niektórzy ranni próbowali odjechać z pola bitwy. Sapałszy, Skorpios wymierzył i rzucił tesalską włócznię w kierunku uciekającego jeźdźcy. Trafił wojownika w środek pleców i ten zsunął się z grzbietu konia. Skorpios wyrzucił do góry zaciśniętą pięść w geście triumfu.

– Skorpiosie! – Obrócił się i zobaczył Justinosa, z twarzą i mieczem pokrytymi krwią. Wojownik szczyrzył zęby w uśmiechu. – Dalej chcesz wrócić na farmę ojca i paść owce?

XVIII. FARTOWNY GŁUPIEC

Z wysokości Wielkiej Wieży Ilionu Polidoros obserwował przebieg bitwy. Czuł dziwną mieszaninę, dumy i głębokiej, zzerającej zazdrości. Jego dłoń rwała się do miecza; pragnął go wznieść w obronie króla i miasta. Widział, jak poniżej żołnierze gromią wroga i chciał znaleźć się pomiędzy nimi.

Po swoim heroicznym wyczynie w czasie oblężenia pałacu cztery lata temu, kiedy to pomógł Arguriosowi, Helikaonowi i Diosowi w obronie schodów, młody Orzeł został szybko awansowany, najpierw na strażnika Priama, a później, ku swemu niesmakowi, na osobistego przybocznego króla.

- Nie chcę tego! – zwrócił się wzburzony do swojej żony Casilli. – To nie przystoi żołnierzowi!

- Cicho – powiedziała. – Obudzisz dzieci. To wielki zaszczyt, mężu. Król Priam wybrał cię osobiście. To oznacza, że ci ufa. Być może cię lubi. Łatwo cię polubić, Polidorosie. – Uśmiechnęła się i próbowała otoczyć ramionami jego szyję.

Ale on się odsunął, nie dając się ułagodzić.

- Nie będę nikim więcej jak tylko służącym przynoszącym mu wino i pomagającym się ubierać – ściszył głos. – Jestem wojownikiem, Casillo. Walczyłem dla Troi, odkąd skończyłem piętnaście lat. To jest... to jest... – zniżył głos raz jeszcze. – To jest zniewaga – wyszeptał, jak by ktoś mógł podsłuchiwać w ich małym domku blisko zachodniego muru.

Ale wraz z upływem czasu Polidoros przywykł do swojej roli. Prawda, musiał pomagać staremu królowi przy posiłkach i każdej nocy odprowadzać odurzonego winem do sypialni. Ale obecny przy rozmowach Priama i jego wodzów oraz doradców poznawał rozmaite sekrety miasta, król zaś wiele razy z zadowoleniem wysłuchiwał jego skromnych przemyśleń na temat pertraktacji z obcymi królami i przebiegu wojny.

I przez te dwa lata polubił króla i zaczął się o niego troszczyć.

Teraz obrócił się, aby na niego spojrzeć. Ubrany w grubą wełnianą szatę i płaszcz z owczej skóry dla ochrony przed ostrym wiatrem dmącym na wieży, Priam zaciskał kościste ręce na krawędzi muru i cheiwie wpatrywał się w potyczkę daleko w dole. Załzawione oczy zawodziły go często i ostrym głosem pytał Polidorosa, jak toczy się walka. Młody człowiek widział dumę

na twarzy króla i łzy w jego oczach, kiedy Hektor i Koń Trojański pojawili się na równinie.

– Hektorze, synu... – wyszeptał. – Teraz, kiedy wróciłeś, Agamemnon i podlizujący mu się królowie uciekną jak szczury, którymi są w istocie. Będą walczyć między sobą, aby dostać się na swoje okręty, mój chłopcze.

Polidoros walczył w Tracji, ale jego doświadczenie na polu bitwy było niewielkie. Mimo to wiedział, że Agamemnon może wystawić znacznie liczniejsze zastępy wojowników niż Priam. Zaskakujący atak Hektora uratował ten dzień, pomyślał, kiedy zobaczył wrogich żołnierzy kierujących się z powrotem do przesmyku. Ale co będzie jutro?

Spojrzał ponad królem na księcia Politesa, również okrytego owczą skórą i niecierpliwie obserwującego odwrót zaczerwienionymi oczami. Jakby wyczuwając wzrok Orła, Polites obrócił się do niego i uśmiechnął smutno. Polidoros wiedział, że księżę podziela jego opinię – wojna się nie skończyła i jeszcze długo się nie skończy.

Polites zwrócił się nerwowo do ojca:

– Bitwa już toczyła się po naszej myśli, kiedy pojawił się Koń Trojański. Koniec końców Antifones by zwyciężył, ojczu, choć z dużo większymi stratami.

Priam splunął.

– Phi! Antifones jest grubym głupcem. A ty jesteś idiotą. Nic nie wiesz na temat wojny. Powinieneś być tam na dole i walczyć, a nie obserwować bitwę z góry, z bezpiecznej odległości.

Polites się zaczerwienił.

– Nie jestem wojownikiem, ojczu. Wybrałeś mnie na swojego sekretarza, abym doglądał skarbcza. Służę miastu tak, jak potrafię.

Priam obrócił się do niego i syknął jadowicie:

– A jak tam skarbiec, Politiesie? Jak ci idzie doglądanie go dla mnie? Czy jest wypełniony po brzegi?

Zraniony tymi słowami, Polites odpowiedział gniewnie:

– Wiesz doskonale, ojczu, że musimy płacić za tę wojnę. Trzeba było kupić najemników, a jeżeli pomyślą, że przegrywamy, zażąda ją jeszcze więcej. Potrzebujemy cyny na brąz, aby wyrabiać pancerze i broń, ale musimy szukać jej na coraz odleglejszych obszarach, nasza desperacja zaś podbija ceny. Bardzo potrzebujemy cyny i *Ksantos* to nasza jedyna nadzieja.

O dziwo, ta informacja jakby poprawiła królowi humor.

– Tak, *Ksantos* – powiedział z zadowoleniem. – Mam nadzieję, że Eneasza wkrótce się

pojawi, bo w ogóle przegapi walki. Cieszę się myślą o okrętach Agamemnona trawionych przez płomienie.

Polidoros obrócił się, aby ponownie spojrzeć na pole bitwy. Wrogowie uciekali w kierunku nasypu, jaki wzniesli do obrony przesmyku. Niektórzy zmykali w nieładzie, inni cofali się w karnych szeregach. Mykeńczycy, pomyślał, albo Achilles i jego Myrmidoni, elitarna straż przyboczna. Ci nie pokażą pleców swoim przeciwnikom. Nagle poczuł braterską więź ze zdyscyplinowanymi żołnierzami, niezależnie od tego, czy byli wrogami czy nie. Przypomniał sobie odważnego mykeńskiego bohatera Arguriosa, utrzymującego schody i umierającego ze swoją ukochaną Laodike, po tym, jak ze względu na nią ocalił Troję.

– Panie, może powinniśmy wrócić do pałacu – zasugerował. – Niedługo nastanie mrok i walki dobiegną końca. W gasnącym świetle dnia nawet moje młode oczy nie będą w stanie dostrzec, co się dzieje tak daleko.

Król prychnął.

– A więc będę musiał sobie znaleźć przybocznego z lepszym wzrokiem – powiedział, ale pozwolił wprowadzić się na schody.

Kiedy ostrożnie schodzili po stopniach mrocznej wieży, Polidoros usłyszał, jak stary król mruczy do siebie: „Mój Hektor wrócił i szczury uciekną do swoich dziur”.

Przez dwa dni wśród armii Agamemnona panował dość niewielki ruch. Odepchnięte za umocniony nasyp, który osłaniał przejście od strony lądu, mykeńskie wojska nie wykazywały chęci ponownego ataku. Trojanie, którzy wysłali do walki wszystkich żołnierzy mogących utrzymać się na nogach, wykorzystali cenny czas, aby oddać należne honory zabitym, opatrzyć rannych i odpocząć. Hektor ze swoimi wodzami niezmordowanie układał plany obrony, odwiedzał Dom Węży i szpital przy barakach, aby dodać otuchy rannym i umierającym, i osobiście oglądał pole bitwy, gdzie armia Trojan przygotowywała się do odparcia następnego ataku Agamemnona. Kiedy trzeciego dnia spotkali się na równinie Skamandra, Kalliades zobaczył, że twarz księcia jest szara ze zmęczenia.

– Musisz odpocząć, Hektorze – powiedział wodzowi stary Lukan, jakby usłyszał myśli Kalliadesa. – W zbliżających się bitwach Troi potrzebne będą wszystkie twoje siły.

Hektor nie odpowiedział, Lukan zaś kontynuował:

– Poza tym jesteś zbyt blisko linii wroga. Celna strzała może cię tu dosięgnąć i położyć

kres wszystkim naszym nadziejom.

Hektor i Lukan, razem z Banoklesem i Kalliadesem, stali niecałe sto kroków od nasypu przeciwnika, wzmocnionego teraz zaostrzonymi kołkami, które miały utrudnić atak trojańskim jeźdźcom. Masywna fortyfikacja tworzyła półokrąg strzegący wejścia do wąskiego przesmyku. Na skałach powyżej i na białych murach Radości Króla, skąd obserwowali ich Mykeńczycy, Trojanie mogli dostrzec błyski pancerzy.

– Kim ty jesteś, jego matką? – zapytał Banokles z irytacją w głosie. Nie ukrywał, że nie lubi starego wodza, Kalliades zaś pomyślał, że to uczucie jest odwzajemnione.

Lukan uśmiechnął się z przymusem, choć jego oczy pozostały zimne.

– Gdybyś spotkał kiedyś królową Hekabe, Mykeńczyku, nie zadawałbyś głupich pytań.

Hektor wpatrywał się w górę w urwisko i wydawało się, że niczego nie słyszy. Potem powiedział głuchym głosem:

- Nie umrę od strzały, wodzu.

- Czy wieszcz króla Priama przepowiedział ci okoliczności twojej śmierci? – zapytał Lukan sceptycznie.

Hektor otrząsnął się z zamyślenia, po czym poklepał wodza po ramieniu.

– Nie, stary przyjacielu, ale Agamemnon postarałby się, żeby łucznik, który mnie zabije, poniósł okrutną i powolną śmierć. Ma co do mnie inne plany. Chce, żeby mnie wszyscy zobaczyli pohańbionego i upokorzonego przez Achilleusa bądź innego z jego największych wojowników.

– Jest tam Ajaks Rozbijacz Czaszek. Widziałem go w samym środku walki – podsunął Banokles.

Kalliades skinął głową.

– Ja też go widziałem. Zabił dwóch naszych ludzi za jednym za machem.

– Miał też starą, prostokątną tarczę. – Twarz Banoklesa, ostatnimi czasy niezmiennie ponura, rozjaśniła się na to wspomnienie. – Wielka, ciężka rzecz. Nikt inny nie był na tyle potężny, aby dźwigać ją przez cały dzień. Był silny jak wół. I mniemam, że ciągle taki jest.

Nagle Hektor odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, a wielu żołnierzy odpoczywających dookoła również się uśmiechnęło, tak zaraźliwy był jego śmiech.

– Jestem pewien, że Agamemnon ma wielu wojowników, którzy niecierpliwą się, aby zmierzyć się ze mną, Banoklesie. Słyszałem o Ajaksie. To wielki wojownik.

Myśl o Ajaksie sprawiła, że Kalliades przypomniał sobie młodego żołnierza, który uratował mu życie.

– Czy ktoś zna imię młodego Trojanina, który również posługuje się prostokątną tarczą? – zapytał.

Hektor odpowiedział bez zastanowienia.

– Boros. On i jego brat są z Rodos, choć ich matka była Trojanką. Brat, Echios, nie żyje, jak mówią. Obydwaj walczą w oddziale Skamandryjczyków.

W jego głosie nie było nagany, ale Kalliades poczuł się głupio. Był przybocznym wodza Skamandryjczyków, a znał zaledwie kilku swoich żołnierzy. Hektor mógł z imienia pozdrowić każdego wojownika walczącego za Troję, znał też imiona ich ojców. Nie znał tylko najemników z Frygii, Zelei i ziem hetyckich.

Lukan wskazał na przesmyk i zapytał ze zniecierpliwieniem w głosie:

– Hektorze, kiedy na nich uderzymy?

Kalliades i Banokles spojrzeli na siebie. Wszyscy byli obecni tego ranka w Bursztynowej Komnacie, kiedy Priam rozkazał natychmiastowy atak na przesmyk i Radość Króla.

Siedzący swobodnie w wielkim rzeźbionym krześle, z pucharem wody w dłoni, Hektor przemówił łagodnie i cierpliwie:

– Zaatakowanie przesmyku byłoby samobójstwem, ojcze. Moglibyśmy zdobyć nasyp, choć nie obyłoby się bez ofiar, bo walczylibyśmy pod górę i nie bylibyśmy w stanie użyć jazdy. Potem moglibyśmy wywalczyć sobie drogę do przesmyku. Ale w jego największym miejscu może walczyć tylko dwóch żołnierzy obok siebie. Choćbyśmy rzucili tam naszych najlepszych wojowników, niewiele byśmy osiągnęli. Z tym że – kontynuował łagodnie, acz dobitnie – oni obozują na zboczu powyżej. Zasypaliby nas deszczem strzał i włóczni. To byłoby samobójstwo – powtórzył.

Król przechadzał się wzdłuż i wszerz wielkiej komnaty, szaty zaś szeleściły wokół jego bosych stóp.

- A więc musimy zaatakować od morza – powiedział po chwili. – *Ksantos* wykorzysta swoje miotacze płomieni, aby zniszczyć okręty Agamemnona.

- To w istocie byłoby darem od Posejdona – odpowiedział Hektor cierpliwie. – Gdybyśmy mogli skoordynować atak z morza w nocy i wysłać wspinaczy, którzy najpierw zdobyliby klify, a potem Radość Króla. Ale to pobożne życzenia, ojcze. Nasze okręty blokuje flota Menadosa.

W Zatoce Troi są bezużyteczne. I nie wiemy, gdzie jest *Ksantos*.

- Być może Posejdon roztrzaskał go o jakiś obcy brzeg – dodał Antifones. Ranny w udo siedział na sofie z jedną nogą opartą na poduszkach. Był blady i widać było, że cierpi; nie zachowywał się tak jowialnie jak zwykle.

Priam przestał spacerować i przystanął, jakby pochłonięty myślami, poruszając ustami. Potem rzucił przebiegle, z błyskiem w oku:

– Zaatakujemy od morza! *Ksantos* wykorzysta swoje miotacze płomieni. Zobaczymy, czy Agamemnonowi się to spodoba!

Straciwszy w końcu cierpliwość, Hektor podniósł głos.

– Nie wiemy, gdzie jest *Ksantos*, ojcze! A na jego pokładzie jest moja żona. Czy wysłałbyś okręt w bitwę i ryzykował życie Andromachy?

Nietypowy dla syna ton zaskoczył Priama, który nagle zaczął zrzędzić:

– Gdzie jest Andromacha? Gdzie? Czy jest tutaj? – Rozglądał się dookoła zniecierpliwiony, podczas kiedy zebrani z zażenowaniem odwracali wzrok.

Kalliades wrócił myślami do chwili obecnej.

– Możemy w nieskończoność trzymać wroga zakorkowanego w zatoce – odezwał się Hektor. – Nie zdołają wywalczyć sobie drogi z przesmyku, tak samo jak my nie możemy wdrzeć się do środka. Agamemnon może się mienić Królem Bitew, ale inni akceptują jego zwierzchnictwo tylko tak długo, jak długo trwają bitwy. W miarę upływu czasu rozmaici królowie zmęczą się swoim towarzystwem i zaczną się kłótnie. Jeżeli szybko nie zobaczą bogactwa Priama, tak jak im to obiecano, wszyscy niedługo wyruszą do domu. Mówiono mi, że Achilles gardzi Agamemnonem i jest tutaj tylko po to, by pomścić śmierć ojca. Stary Nestor zostaje, bo obawia się władzy Agamemnona. Król Myken może polegać tylko na Szablozębym i jego Kreteńczykach.

- A Odyseusz? – zapytał Kalliades. – Co z Brzydkim Królem? To człowiek honoru.

- W istocie – westchnął ciężko Hektor. – Zbratał się z Mykeńczykami i nie odejdzie.

Banokles przyglądał się siłom przeciwnika.

– Spójrzcie! – powiedział nagle. – Co oni robią?

Mniej więcej pięćdziesięciu żołnierzy przesuwało się do przodu od strony najwęższej części przesmyku i gorączkowo kopało.

– Powiedzieć naszym łucznikom, aby do nich strzelali? – zasugerował Lukan.

Hektor pokręcił głową.

– Są zbyt daleko, marnowalibyśmy tylko strzały. Nie możemy sobie pozwolić na takie marnotrawstwo. – Jego twarz przybrała ponury wyraz i Kalliades zgadywał, że wódz pomyślał o opłakanym stanie zbrojowni Troi. Kalkeus z Miletu został odwołany od budowy mostu w Dardanos, aby zarządzać kowalami, którzy dzień i noc pracowali nad wykuwaniem mieczy i włóczni z brązu. Hektor rozkazał, że każdy walczący dla Troi mężczyzna powinien mieć brązowy napierśnik i hełm, nawet jeżeli to oznacza, iż elitarne oddziały będą walczyć bez brązowych nagolenników, jak również osłon pleców i ramion.

Ale brak cyny spowodował, że większość palenisk wygaszono, kowalom zaś przydzielono role noszowych i strażników bram. Kalliades znał młodego kowala, mistrza w swoim fachu, który teraz szlachtował ranne konie i oprawiał je dla mięsa. Całe miasto oczekiwało powrotu *Ksantosa* z domniemanym ładunkiem cyny.

- Budują drugi nasyp – powiedział Kalliades, osłaniając oczy.

- Powodzenia – odpowiedział Hektor, odwracając się. – Marnują czas i energię, budując więcej umocnień. Nie zamierzam ich atakować. To tylko utrudni im każdą ofensywę, jaką będą chcieli podjąć.

– Ale król... – rzucił gniewnie Lukan. – Rozkazał ci zaatakować, panie.

Hektor wpatrywał się w oczy starego wodza, dopóki ten nie opuścił wzroku, po czym książe się oddalił.

Kalliades dosiadł konia i powoli ruszył przez pole bitwy. Oddział Ilos znajdował się na czele, skupiony w obronnych kwadratach; mimo tego żołnierze byli spokojni, spali bądź jedli, wpatrując się w płomienie ognisk.

Za nimi byli Skamandryjczycy. Jechał wzdłuż ich rzędów, szukając wysokiej prostokątnej tarczy Borosa, ale nie mógł jej znaleźć. Zastanawiał się, dlaczego tak mu na tym zależy. Podczas wielu lat żołnierskiego życia dziesiątki razy ratował go miecz bądź tarcza kompana znajdujące się we właściwym miejscu, tak samo jak jego miecz czy tarcza ratowały innych. Kalliades wzruszył ramionami. Być może po prostu dlatego, że on też kiedyś nosił prostokątną tarczę, którą stracił podczas oblężenia pałacu. Teraz wołał przypiętą do ramienia okrągłą tarczę z drewna i skóry, która w czasie walki pozwalała na większą swobodę ruchów. Pierwsze szeregi mykeńskiej falangi były uzbrojone w klejone prostokątne tarcze z rogu i garbowanej skóry, które

dobrze ich kryły, kiedy atakowali niczym wielki żółw, ale dawały mniej swobody w walce wręcz.

Objechawszy wszystkie oddziały i odnotowawszy w pamięci rozmieszczenie Orłów i żołnierzy Konia Trojańskiego Hektora, Kalliades wrócił do linii Skamandryjczyków, żeby znaleźć Banoklesa. W końcu go zobaczył. Przyjaciel zdjął stary napierśnik i leżał na plecach, wpatrując się w ciemniejące niebo.

Kalliades zsiadł i przekazał konia młodemu stajennemu, po czym usiadł obok Banoklesa. Inny młodzik przyniósł dwa kubki rozcieńczonego wina i talerz z mięsem oraz gruboziarnistym podplomykiem. Kalliades podziękował skinieniem głowy.

Szturchnął Banoklesa i wskazał na wino. Banokles usiadł i wziął kubek. Popijał przez chwilę bez większej ochoty, po czym zapytał:

– Myślisz, że zaatakują ponownie?

Kalliades rozejrział się, ale w zasięgu słuchu nie było nikogo.

- Ambicja Agamemnona i żądza zemsty Achillesa dodadzą im determinacji – odpowiedział.

– Przynajmniej na razie. Tak, myślę, że zaatakują. Ale muszą się przedostać przez przełęcz, a więc nie mogą wykorzystać falangi. To będzie szarża na śmierć i życie.

- Zawsze takie lubiłem – stwierdził Banokles. – Nam się udawało. Może im też się uda. Tam nie ma wypierdków o krągłych brzuchach. – Kiwnął głową w kierunku przełęczy.

Kalliades wiedział, że przyjaciel ma rację. Sami służyli w mykeńskiej armii przez wiele lat i zdawali sobie sprawę z tego, że reputacja tych ponurych wojowników była w pełni zasłużona.

Cisza się przedłużała. Była spokojna noc i Kalliades wsłuchiwał się w jej odgłosy – śmiechy mężczyzn, trzask pobliskiego ogniska i ciche parsknięcia drepczących w miejscu koni. Potem zapytał:

– Co powiedział król o wodzach? Wolałby mieć fartownego głupca niż pechowego geniusza?

Banokles zmarszczył brwi i podrapał gęstą blond brodę.

- Myślę, że tak właśnie powiedział. Na Wielkiego Zeusa – rzucił gniewnie – tylko król może bezkarnie nazywać mnie głupcem!

- Nie jesteś głupcem, Banoklesie. Ale zawsze miałeś szczęście w bitwie.

Twarz Banoklesa spochmurniała i nic nie powiedział. Kalliades zgadywał, że myśli o szczęściu i Rudej, więc się nie odzywał. W końcu Banokles zapytał:

- Kalliadesie, jak myślisz, w ilu bitwach braliśmy udział?

Kalliades wzruszył ramionami.

- Nie wiem. W setkach.

- I ot, jesteśmy tu, czekając na kolejną. Zdrowi, silni i gotowi. Żaden z nas nie był poważnie ranny. Jak mniemam, największa strata to moje ucho. – W zamyśleniu potarł resztkę ucha, a potem bliznę na prawym bicepsie, gdzie ranił go miecz Arguriosa. – Obydwaj jesteśmy wielkimi wojownikami. Mieliśmy szczęście, prawda?

Spojrzał na Kalliadesa, który potwierdzająco kiwnął głową, domyślając się ciągu dalszego.

- Więc dlaczego... – Banokles zmarszczył brwi. – Dlaczego, w imię Hadesa, umiera ktoś taki jak Ruda, kto nigdy nikogo nie skrzywdził, podczas kiedy my ciągle jesteśmy tutaj? Co za wszawy bóg zdecydował, że umrze tak bezsensownie głupią śmiercią? – Spojrzał na Kalliadesa, który zobaczył smutek i złość w lodowato niebieskich oczach przyjaciela.

- Dziwki czasami giną – kontynuował Banokles. – Wszyscy wiedzą, że to niebezpieczny interes. Ale kiedy wyszła za mąż, Ruda zrezygnowała z kupczenia tyłkiem. Ona po prostu uwielbiała miodowe ciasteczka, a on był jedynym piekarzem w mieście, który jeszcze je wypiekał. To był powód, dla którego zaprosiła go do naszego domu. – Nastąpiła kolejna pauza. – A on był tylko małym, chudym szczurem.

- Był piekarzem – powiedział Kalliades łagodnie. – Miał silne dłonie i ramiona. Ruda nie miała żadnych szans.

Banokles milczał, patrząc, jak błękit nieba przechodzi w nieprzeniknioną czerń. Potem rzekł:

- Ta kapłanka... Piria, Kaliope, czy jak się nazywała. To była dobra śmierć... ratowanie swojej przyjaciółki. I ta królowa na czarnym ogierze. Choć były kobietami, los dał im obu szansę na śmierć godną wojownika. Mimo iż były kobietami... Ale Ruda... – umilkł. – Mówią, że bohaterowie, którzy zginą w bitwie, odchodzą na Pola Elizejskie i uczują w Sali Bohaterów. Ta myśl zawsze mnie radowała. Ale co się dzieje z kobietami, które też są bohaterkami? Tak jak Piria czy ta królowa? I co stanie się z Rudą? Dokąd ona teraz pójdzie?

Kalliades wiedział, że przyjaciela trawia bezsilność i smutek z powodu straty. Banokles zawsze postępował według prostych zasad kodeksu wojownika – jeżeli ktoś zabije twojego przyjaciela lub towarzysza broni, musisz ich pomścić. Ale jak wyrzucić zemstę na martwym piekarzu?

Kalliades westchnął.

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie, przyjacielu. Może pewnego dnia sam ją odkryjesz.

Mam taką nadzieję – dodał smutno. – Ty i ja widzieliśmy mnóstwo śmierci, więcej niż większość ludzi. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że śmierć nie zawsze przychodzi do tych, którzy na to zasługują.

Wrócił myślami do wiejskiej posiadłości za Troją i Pirią stojącej na zboczu wzgórza. Dziewczyna, o nieruchomej twarzy i jasnych włosach lśniących w świetle płonących zabudowań, spokojnie posyłała strzały w zabójców, którzy przybyli zgładzić Andromachę. Obiecał Odysusowi, że zabierze Pirię na spotkanie z żoną Hektora, że bezpiecznie doprowadzi ją do celu podróży. Jakaż głupia z jego strony, jakże arogancka była myśl, że może zagwarantować jej bezpieczeństwo; tak jakby miłość była wszystkim, czego potrzeba. W miarę, upływu czasu trawiący go ból zelżał, ale pojawiło się zwątpienie. Czy naprawdę kochał Pirię? Czy może Ruda miała rację?

Pomyślał o jej słowach, które usłyszał dawno temu.

– Jesteśmy do siebie bardzo podobni, Kalliadesie. Oderwani od życia, bez przyjaciół ani ukochanych. Dlatego potrzebujemy Banoklesa. On jest życiem, czystym i nieokiełznanym, w całej jego chwale. Bez subtelności ani przebiegłości. Jest jak ogień, do którego się garniemy, jego światło zaś odgania mrok, którego się lękamy.

Spojrzał na ledwo widoczną na tle płomieni sylwetkę Banoklesa, który ponownie się położył. Kalliades poczuł nagły przypływ strachu. Podczas kilku minionych lat jego stary towarzysz broni bardzo się zmieniał. Śmierć żony tylko przyspieszyła ten proces. Czy dalej będzie fartownym głupcem, jak nazwał go Priam?

– Pomóżcie mi. Proszę, pomóżcie mi! – wołał umierający mężczyzna. Młody uzdrowiciel, Ksander, ciągnąc wózek pełen obciętych kończyn wzdłuż szeregu rannych żołnierzy w szpitalu w barakach, zawahał się, po czym przystanął. Naciągnął zaplamioną krwią tkaninę na wózek, aby ukryć jego koszmarny ładunek, po czym podszedł do mężczyzny.

Był on jeźdźcem. Ksander, który w swoim młodym życiu widział więcej obrażeń niż większość żołnierzy, mógł ocenić to po jednym spojrzeniu. Na jednej nodze zionęła nierówna rana, być może od ciosu topora. Uszkodzenie drugiej, spowodowane zapewne fatalnym upadkiem z konia, było tak ciężkie, że należało ją amputować nad kolanem. Obydwa kikuty toczyła gangrena i Ksander wiedział, że mężczyzna wkrótce umrze, cierpiąc ogromne męki.

Położył mu delikatnie rękę na ramieniu.

- Czy jesteś z Konia Trojańskiego? – zapytał.

- Tak, panie. Moje imię... Fegeus, syn Daresa. Czy ja umieram? – Ksander zorientował się, że Fegeus stracił wzrok od uderzenia w głowę. Myślał, że rozmawia z jakimś wodzem, a nie piegowatym uzdrowicielem, który przeżył mniej niż siedemnaście wiosen.

- Tak, żołnierzu – odparł łagodnie. – Ale król wie, że dzielnie walczyłeś za swoje miasto. Twoje imię nie schodzi z jego warg.

Ksander dawno już nauczył się kwieciście kłamać umierającym.

– Czy on tu przybędzie, panie? Król? – Fegeus rzucił się nerwowo, łapiąc oddech.

Ksander ujął jego dłoń.

- Owszem, król Priam niedługo tu będzie – powiedział cicho. – Jest z ciebie dumny.

- Panie – westchnął wojownik, poufale przyciągając Ksandra do siebie. – Ten ból... Czasami nie mogę... Czasami... ból jest zbyt wielki. Powiedz mi, kiedy przybędzie król. Nie chciałbym, aby usłyszał, że płaczę jak kobieta.

Ksander zapewnił Fegeusa, że poinformuje go, kiedy pojawi się król, po czym odszedł opróżnić wózek przed barakami. Przystanął na chwilę, z wdzięcznością wciągając świeżą nocną bryzę od morza, zanim z powrotem zanurzył się we wnętrzu gorącego, przesiąkniętego wonią śmierci budynku.

Naczelnny uzdrowiciel Machaon zmywał krew z rąk w beczce wody w rogu pomieszczenia. Obiektywnie ciągle był młodym mężczyzną, ale teraz wyglądał jak starzec. Miał szarą twarz, kości policzkowe wystawały spod przezroczywej skóry, oczy zaś były zapadnięte i mocno podkrążone.

– Potrzebujemy cykuty – powiedział Ksander nagłoco. – Mamy tutaj dzielnych ludzi, których odwaga chwieje się w obliczu cierpień, jakich przysparzają im rany.

Machaon obrócił się do niego i młodzieniec zobaczył w jego oczach ból.

– W całym mieście nie ma cykuty – odpowiedział. – Moje modlitwy do Boga Węża pozostały bez odpowiedzi.

Ksander z przerażeniem się zorientował, że Machaon jest nie tylko zmęczony, ale też ciężko chory.

– Co się stało, Machaonie? – krzyknął. – Ty też cierpisz.

Machaon podszedł bliżej do młodzieńca i ściszył głos.

– W moich trzewiach od zimy rozrasta się jakieś plugastwo. Próbowałem ziół

i oczyszczającego miodu, ale to na nic. – Przez jego twarz przemknął skurcz i pochylił się, jakby ściśnięty silnym bólem. Kiedy się wyprostował, jego twarz była popielata i zroszona potem, a oczy rozbiegane. – Nikomu nie mówiłem, Ksandrze – powiedział łamiącym się głosem. – Proszę, abyś dochował tajemnicy. Ale jestem zbyt chory, aby wyruszyć na pole bitwy. Musisz się tam udać zamiast mnie.

Pomimo obawy o mentora serce Ksandra podskoczyło. Była to okazja, aby wyrwać się z tego siedliska śmierci i wyjść na świeże powietrze, opatrywać lżejsze rany ludzi, którzy nie umierali i nie cierpieli mąk. Hektor ogłosił, że wszyscy ranni mogący chodzić powinni zostać na równinie w razie dalszych ataków armii Agamemnona. Ci z ciężkimi ranami możliwymi do wyleczenia byli odnoszeni do Domu Węży w Górnym Mieście, aby tam odzyskać siły do dalszej walki. Tych, którzy najprawdopodobniej umrą, przenoszono do tego szpitala, do dawnych koszar Ilean. Koszary znajdowały się w Dolnym Mieście, w niewielkiej odległości od płonących dzień i noc stosów pogrzebowych.

- Pójdę, Machaonie – powiedział. – Ale ty musisz odpocząć. – Spojrzał w jego umęczone oczy i nie zobaczył w nich nadziei na odpoczynek. – Dokąd mam iść?

- Ranni są wszędzie. Nie będzie trudno ich znaleźć. Zrób, co w twojej mocy. – Kiedy Ksander obrócił się, aby odejść, ręka Machaona kurczowo złapała go za ramię. W kościach starszego człowieka czał się tylko chłód. – Zawsze robisz wszystko, co w twojej mocy – powiedział.

Ksander wypakował skórzany worek lekarstwami, bandażami, ulubionymi ziołami, różnymi igłami i nićmi. Potem wziął dzban wina oraz trzy skórzane sakwy na wodę i ruszył w kierunku pola bitwy.

Był chłodny wieczór i idący szybko Ksander próbował sobie wyobrazić, że jest w domu na Cyprze; wałęsa się po zielonych wzgórzach wśród stad swojego dziadka. Tłumione krzyki rannych zamieniły się w łagodne beczenie pasących się kóz. Przymknął oczy i prawie poczuł zapach odległego morza oraz usłyszał krzyk mew. Potknął się na nierównej ścieżce, niemal upadł i wyszczerzył się na myśl o swojej głupocie. Tak, pomyślał, łaż z głową w chmurach i złam sobie nogę, Ksandrze!

Machaon miał rację. Nietrudno było znaleźć rannych. Ksander chodził pomiędzy nimi, obwiązując rany czystymi bandażami, szyjąc drobnymi igłami rozcięcia na twarzach, większe zaś na nogach i ramionach łątając grubszymi igłami i mocną nicią. Gotował wodę nad ogniskami

żołnierzy, aby przysposobić lecznicze zioła, i unieruchamiał złamane palce. Ponaglił kilku ciężiej rannych, aby udali się do lecznic, ale wszyscy odmówili. Nie potrafił ich winić.

Noc upływała, Ksander zaś pracował dalej. Wielu żołnierzy spotkał już wcześniej – przychodzili do niego ze swoimi ranami, niewytłumaczalnymi bólami oraz pomniejszych chorobami, niektórzy z nich wiele razy w ciągu ostatnich lat. Witali go jak towarzysza i żartowali z nim tak, jak potrafią tylko żołnierze. Nazywali go nicponiem i piegusem, on zaś czerwienił się z radości na okazywaną mu poufałość.

Nad równiną Skamandra osiadła gęsta mgła, zasłaniając widok Ksandrowi. Był teraz tak zmęczony, że ledwo się włókł od jednego małego ogniska do następnego, jego drżące ręce zaś nie były już w stanie szyć ran. A mimo to szedł dalej.

- Ksandrze, czas wracać – powiedział znajomy głos koło jego ucha.

- Machaon? – zapytał, rozglądając się dookoła, ale mgła zasłaniała wszystko. – Machaonie? Czy to ty?

- Szybko, chłopcze – powiedział głos ponaglająco. – Przerwij to, co robisz, i szybko wracaj do miasta. Prędkiej.

Ksander podniósł skórzany worek i zarzucił na ramię, po czym wziął puste sakwy na wodę i ruszył w kierunku rzeki. Ledwo widział własną rękę przed twarzą i zmuszony był iść powoli, aby nie potknąć się o leżących ludzi lub boki drzemiących koni.

A potem we mgle rozległ się krzyk, rozbrzmiewając donośnie w ciemnościach, podnoszony przez kolejne zastępy wojowników.

– Pobudka, pobudka! Nadchodzą!

XIX. MGLY WOJNY

Wcześniej tej nocy, kiedy słońce opadło za horyzont, aby odkryć niebo pełne gwiazd, Odyseusz stał na murach Radości Króla, próbując ukoić ból w ramieniu i ból serca.

Trzy dni temu jego dzielny itaccy wojownicy walczyli na równinie Skamandra obok ludzi z Kefalos, kiedy Koń Trojański niczym taran wbił się w zachodnie armie, obracając nierozstrzygniętą bitwę w prawie całkowitą klęskę i rzeź.

Dwaj jeźdźcy Hektora zaatakowali piechurów Odyseusza niczym jeden mąż, strzegąc boku towarzysza i tnąc mieczami, zabijając i raniąc wszystkich wokół. Kiedy jeden z jeźdźców uniósł wysoko miecz, aby ciąć młodego członka załogi *Krwawego sokoła*, Odyseusz podbiegł z tyłu i wbił włócznię głęboko w bok wojownika, mierząc prosto w serce. Brązowy grot zaklinował się pod zębem. Odyseusz próbował go wyszarpnąć, ale zamiast tego ściągnął zabitego z konia. Otoczony umierającymi, król Itaki zbyt wolno się uchylił i ciało zważyło się na niego, wybijając mu bark. Tesalski medyk, Podalerios, nastawił mu ramię, ale nawet teraz, po kilku dniach, ból wciąż dawał się we znaki Odyseuszowi. Wyrzuciwszy temblak, który dał mu medyk, Brzydki Król ukrywał cierpienie przed innymi. Ale teraz, kiedy na próbę poruszył ramieniem, jakby chciał ciąć mieczem, zaklął, bo bark przeszył dotkliwy ból. Ze złością pomyślał, że dwadzieścia lat temu, albo nawet dziesięć, wyleczyłby uraz w ciągu jednego dnia.

Jednakże większy ból ścisnął teraz jego serce. Pamiętał, co wiele lat temu, na plaży Itaki, powiedziała Penelopa.

– Boję się, że będziesz musiał dokonywać trudnych wyborów. Nie podejmuj pochopnych, podyktowanych przez twój zakuty łeb decyzji, których potem będziesz żałować i nie będziesz mógł zmienić. Nie bierz tych ludzi na wojnę, Odyseuszu.

– Nie mam ochoty na wojnę, ukochana – odparł i tak właśnie czuł.

Bogowie Olimpu muszą się rozkoszować ironią tej sytuacji, pomyślał gorzko. Albo też jego żona nigdy nie powinna była zdradzić głośno swoich obaw, na wypadek gdyby jacyś bogowie podsłuchiwali i postanowili je zrealizować.

I oto w zasięgu wzroku miał Złote Miasto, walcząc ze swoimi lojalnymi ludźmi u boku Mykeńczyków, dla Agamemnona, którego obsesją było je zniszczyć, zabić dawnych przyjaciół Odyseusza i złupić całe bogactwo dla siebie.

Przypomniał też sobie słowa Helikaona, które usłyszał od niego w czasie ostatniego spotkania. „Nie widziałem gór złota Priama, ale musiałyby to być góra nad górami, aby pokryć wydatki na tę wojnę. Złoto wypływa z miasta każdego dnia, aby wynająć najemników, kupić sprzymierzeńców. A teraz, kiedy kupcy opuszczają miasto, niewiele złota wraca. Jeżeli walki potrwać dłużej i w istocie zdobędziecie miasto, może się okazać, że nie znajdziecie niczego wartościowego”.

Odyseusz uśmiechnął się ponuro. Agamemnon i sprzymierzeni z nim królowie ciągle mieli nadzieję na bogactwa Priama. Oni przynajmniej mieli powód, by walczyć. Jaka jest twoja wymówka, Brzydalu? – usłyszał głos Penelopy. – Bo dałeś słowo? Czy twoje słowo jest potężne i tak święte, że musisz walczyć ramię w ramię ze swoimi wrogami przeciwko przyjacielom?

Trzy dni temu, walcząc na równinie obok mykeńskiej armii, zobaczył, jak Koń Trojański z grzmotem zjeżdża w dolinę. Poczł wtedy mocniejsze bicie serca, tak jakby Hektor i jego jeźdźcy przybywali mu na ratunek.

Odyseusz westchnął. Wojna zmusza ludzi do osobliwych przymierzy. Gardził Agamemnonem i sprzymierzonymi z nim królami. Idomeneos był zachłanny i kłamliwy, a Menestheos z Aten i Agapenor z Arkadii nie lepsi. Pozbawiony charakteru Menelaos robił wszystko, co kazał mu brat. Stary Nestor był rodakiem Penelopy i Odyseusz lubił starca, ale on też został omamiony obietnicą bogactw Priama. Tylko Achilles przybył pod Troję z powodu honoru, aby znaleźć wojownika, który zabił jego ojca.

Wrócił myślami do igrzysk z okazji ślubu Hektora, kiedy przebiegły Priam ogłosił Odyseusza wrogiem Troi. Mniej dumny człowiek po prostu opuściłby miasto. Ale Odyseusz, dotknięty i obrażony, pozwolił, aby duma pchnęła go w ramiona tej królewskiej zbieraniny. Prawda, był winny wynajęcia zabójcy, który zabił ojca Helikaona, ale tylko po to, żeby chronić chłopaka. Ten sam zabójca został opłacony, by zabić właśnie jego.

Teraz Odyseusz, ze zbolałym sercem i chorą duszą, opuścił swoich odrażających sprzymierzeńców, którzy pili i kłócili się w megaronie Radości Króla, i wyszedł na taras, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Rozejrzał się dookoła. Przyboczni Agamemnona, królewscy oprawcy, upiekli tu wcześniej dwie świnie i taras wypełniał zapach krwi i przypalonego mięsa. Potem zabawiali się jedną ze świńskich głów, kopiąc ją, aż stała się bezkształtną, czarną masą. Odyseusz podniósł ją i przyglądał się przez chwilę, a potem odrzucił pod ścianę. Uśmiechnął się do siebie,

przypominając sobie wieprza Ganny'ego, najpierw uratowanego z morza, a potem, obleczonego w jego złoty płaszcz, siedzącego na plaży piratów i niby słuchającego opowieści Odyseusza o złotym runie.

– Na jaja Apolla, Ganny, mój chłopcze, przeżyliśmy razem trochę przygód – powiedział na głos.

Pokrzepiony wspomnieniem, przeszedł na zachodnią stronę tarasu. Spojrzał w dół na Zatokę Heraklesa z jej białym piaskiem ledwie widocznym pod dziobami setek statków, które wyciągnięto na brzeg. Pomyślał, że stanowiłyby wspaniały cel dla miotaczy płomieni Helikaona. Czy Agamemnon nie wyciągnął wniosków ze swojej klęski pod Imbros? Odyseusz nie słyszał żadnych wieści o *Ksantosie*, odkąd ten opuścił Itakę, ale przezornie i skrycie przesunął większość swojej floty w dół wybrzeża, do małej ukrytej zatoczki.

Obrócił się i spojrzał w drugą stronę, na Troję widoczną w oddali, oświetloną przez księżyc, niby magiczne miasto z jednej z jego opowieści, oraz na równinę Skamandra, gdzie obozowała trojańska armia. Miriady ognisk wskazywały, że była uformowana w obronne kwadraty. Wiedział, że Hektor nie będzie na tyle głupi, żeby zaatakować, jak twierdził ten idiota Menelaos. Człowiek, który nie ma zielonego pojęcia na temat strategii, zakłada, że inni są tak samo głupi jak on. Odyseusz zerknął w dół, na miejsce, gdzie żołnierze pracowali, aby utworzyć wewnętrzny nasyp. Pomyślał, że to strata czasu i energii. I kolejna przeszkoda, kiedy zaatakują. Bezsens takiego działania denerwował go.

Patrząc na południe, wzdłuż równiny Skamandra, zobaczył koc gęstej mgły, która uformowała się nad rzeką i zaczęła powoli pełznąć w kierunku trojańskiej armii na równinie. Zdał sobie sprawę, że nie mogą jej dostrzec. Nie minie dużo czasu, a nie będą w stanie dojrzeć mieczy przed czubkami nosów.

Myśląc intensywnie, opuścił taras i ciężko zszedł po kamiennych schodach do megaronu, gdzie powitały go pijackie okrzyki i śmiechy. Menelaos leżał na podłodze w kałuży wina, najwyraźniej nieprzytomny. Agamemnon beznamiętnie spojrzał na króla Itaki. Nigdy nie pił, Odyseusz zaś pilnował się, żeby nie pić w jego towarzystwie.

– Cóż – westchnął mykeński król – tkacz opowieści zdecydował ponownie przyłączyć do naszej kompanii. Jesteśmy zaszczytzeni. Książę Kłamstw, czy masz jakąś historię, aby zabawić nas tej nocy?

Odyseusz zignorował znieważający ton i nic nie powiedział, stojąc w przejściu, dopóki nie

przykuł ich uwagi.

– Trzeźwieć szybko, pijackie ryje! – ryknął. – Mam plan.

Achilles, bez zbroi i ubrany w prosty czarny płaszcz i skórzany napierśnik, z twarzą wysmarowaną sadzą, przykucnął przy wejściu do wąskiego przesmyku i wpatrywał się w gęstą mgłę.

– To szaleństwo – stwierdził radośnie.

Odyseusz, który przyklęknął obok niego na jednym kolanie, zachichotał.

- I tak musimy zaatakować o świcie. Nasi sprzymierzeńcy zobowiązali się, że będą tu wkrótce po wschodzie słońca. Jeżeli zaatakujemy teraz, mgła da nam dodatkowy element zaskoczenia.

- Cóż, mnie zaskoczyła – obwieścił ponuro czerwonobrody wojownik. – Jest środek nocy, a mgła tak gęsta, że nie widzę czubka własnego miecza. Nie będziemy widzieli, kogo zabijamy.

- Wrogiem będą ci, którzy będą leżeli, Tibo, albo śpiący, albo martwi – powiedział Odyseusz.

Raz jeszcze przemyślał plan. Agamemnon uparł się, żeby zaatakować dzisiaj, co oznaczało przeprowadzenie armii przez przesmyk. Gęsta mgła dawała doskonałą okazję, aby przeprowadzić wojska pod jej osłoną. Rzecz jasna, Hektor będzie się tego spodziewał i o świcie jego siły będą gotowe. Atakując w środku nocy, mogą zaskoczyć go nieprzygotowanego.

Odyseusz i Achilles oraz pięćdziesięciu Myrmidonów i kolejna setka osobiście przez nich wybranych wojowników mieli podkraść się do przesmyku pod osłoną mroku i mgły, przekroczyć nasypy i ruszyć na Trojan, kiedy ci będą pogrążeni we śnie. Nikt nie miał na sobie zbroi, żeby brzęk metalu nie zdradził ich obecności. Trojanie szybko podniosą alarm, ale Odyseusz przewidywał, że najpierw we śnie zginie nie mniej niż tysiąc wojowników.

Daleko za nimi, w głębi przesmyku, czekała niecierpliwie reszta armii Agamemnona. Kiedy tylko cicha banda zabójców wykona swoją mokrą robotę i rozlegnie się alarm, zaatakuje piechota. Jazda będzie musiała poczekać w części przesmyku od strony morza, aż nastanie świt i mgła się podniesie. Ale wróg był w tej samej sytuacji. Nawet Koń Trojański nie mógł zaatakować, skoro nic nie było widać.

Odyseusz poruszył ramieniem i skrzywił się z bólu, po czym obliznął wyschnięte usta. Jeszcze tylko jedna bitwa, pomyślał. Robiłeś to już wcześniej, starcze. Ścisnął miecz w jednej ręce i długi

nóż w drugiej. Zerknął na Achillesa, który miał miecze na plecach i wyciągnięte dwa noże, po czym skinął głową.

Obaj ruszyli cicho do przodu w tłumiącej wszelkie dźwięki mgle, z małą armią poruszającą się bezgłośnie za ich plecami. Odyseusz wspiał się na nowy nasyp, przeklinając go pod nosem. Zanim dotarł do głównego nasypu, był już daleko z tyłu za Achillesem, który zniknął na przedzie niczym duch. Śpiesząc się, aby dotrzymać mu kroku, Odyseusz wgramolił się na nasyp z ziemi i błota, kątem oka dostrzegając ubranych na czarno wojowników z mieczami i nożami w dłoniach, mijających go w ciszy z obu stron. Był to niepokojący widok.

Potem zaczęła się rzeź. Z przodu dobiegły Odyseusza wyciszone odgłosy zimnego brązu wbijającego się w ciało i szybko duszone westchnienia. Pośpieszył naprzód. Chwilę potem szedł w bladym świetle płonących ognisk obozowych z porozrzucanymi dookoła ciałami martwych i umierających, z krwią ciągle lejącą się z poderżniętych gardeł, z oczami wpatrującymi się w niego oraz rękoma wyciągniętymi po pomoc, która nigdy nie nadejdzie.

Było tak cicho, że słyszał bicie własnego serca. A potem rozległ się krzyk:

– Pobudka! Wstawać! Zostaliśmy zaatakowani!

W jednej chwili powietrze wypełniły szcęk mieczy, krzyki rannych, przekleństwa i stęknienia walczących mężczyzn, chrzęst łamanych kończyn i rozrywanego ciała. Usłyszawszy gdzieś od przodu gromki bojowy okrzyk Achillesa, Odyseusz ruszył w tamtym kierunku.

W półmroku pojawił się wojownik, tracki plemieniec z pomalowaną twarzą. Itacki król skoczył do ataku, ale mężczyzna poruszał się niczym wąż, blokując jego pchnięcia i wyprowadzając kontruderzenia. Ramieniem uderzył Odyseusza w pierś, odpychając go w tył. Król upadł i szybko się przetoczył, kiedy ostrze miecza uderzyło w ziemię obok niego. Odyseusz wbił sztylet w nieosłonięte udo wojownika. Trysnęła krew i wróg runął. Odyseusz się zerwał i ciął mieczem w głowę rannego.

Pochylił się, aby wyciągnąć sztylet, ale jeden z Orłów Priama warknął wściekle i skoczył na niego, rozpoznawszy króla Itaki. Odyseusz sparował cios miecza i zrewanżował się cięciem w szyję wojownika. Ostrze uderzyło w nadgarstek – i pękło. Upuściwszy bezużyteczną rękojeść, Odyseusz złapał mężczyznę za zbroję i przyciągnął do siebie, brutalnie uderzając z byka, a następnie wbił pięść w jego brzuch. Orzeł zgiał się wpół, a zaraz potem jego głowa odskoczyła do tyłu, kiedy kolano Odyseusza rąbnęło go w twarz.

Król podniósł miecz przeciwnika i wbił w jego kark. Potem, z okrzykiem „Itaka! Itaka!”,

rzucił się na szeregi Trojan, tnąc i rąbiąc ze straszliwą furią, zapominając o zranionym ramieniu.

Nieopancerzony trojański wojownik podbiegł do Odyseusza, przemknął jak wąż pod jego mieczem i pchnął sztychem w brzuch Brzydkiego Króla. Odyseusz odskoczył i potknął się o ciało. Przeturlał się i wstał, a potem oburęcznym zamachem prawie odrąbał głowę przeciwnikowi.

Kątem oka zauważył ruch z prawej strony i zablokował błyskawiczny cios miecza. Wyginając nadgarstek, odwrotnym cięciem rozpruł atakującego od szyi po żołądek.

Wszędzie dookoła znajdowali się Trojanie. Jego miecz wznosił się i opadał w zajadłej rąbaninie, tnąc skórę, ciało i kości. Odyseusz wygiął się i zamachnął, a potem, zbyt późno, zobaczył miecz mknący ku swojej szyi. Inne ostrze wystrzeliło, aby zablokować śmiertelne uderzenie. Odyseusz rozpoznał zaplecioną czerwoną brodę i wyszczerzył się do nosiciela tarczy Achillesa.

– Uważaj, starcze! – krzyknął Tibo. – Nie mogę uważać na nas obydwu.

Odyseusz przykucnął pod oburęcznym cięciem z prawej i wbił miecz w pierś przeciwnika. Obok niego Tibo skręcał się i podskakiwał, rąbiąc i zabijając. Odyseusz zobaczył, jak światło poranka odbija się w jego zakrwawionym mieczu, i zdał sobie sprawę, że nocna mgła zaczyna się podnosić.

Dwaj trojańscy żołnierze ruszyli biegiem w kierunku Tibo. Ten zablokował cios pierwszego, w ripoście tnąc w brzuch. Jego miecz utknął w trzewiach mężczyzny. Klinga drugiego śmignęła łukiem ku jego głowie. Odyseusz sparował uderzenie, po czym ciął w szyję przeciwnika, uderzając jak toporem.

– Gdzie jest Achilles? – zapytał, łapiąc oddech. – To na niego masz uważać.

Tibo wzruszył ramionami.

– Achilles sam potrafi o siebie zadbać.

Światło poranka szybko rozpraszało mgłę i Odyseusz zobaczył, że wszędzie dookoła walczą i umierają wojownicy obu stron. Jednocześnie zaatakowało go trzech Trojan. Brzydki Król głośno zaklął, rąbiąc w szyję jednego z nich i kucnąwszy, przepuścił ostrze nad głowę. Potem pochylił się i zaszarżował na dwóch pozostałych żołnierzy niczym byk. Trafił jednego w brzuch uszkodzonym ramieniem i stęknął z bólu. Drugi odskoczył, potknął się o ciało i nadział na inny miecz.

Odyseusz zobaczył stojącego nad nim Achillesa z dwoma mieczami ociekającymi krwią.

– Wracaj, Itako! – ryknął tesalski król. – Albo ta rana cię zabije. Ratuje cię tylko nóż.

Odyseusz spojrział w dół i zobaczył rękonoż wystającą z uda. Krew obficie spływała mu po nodze. W bitewnej furii nie zauważył rany.

– I nałóż zbroję – rozkazał Achilles. Odchylił się, kiedy miecz niczym kosa przeleciał obok jego piersi, i w tym samym momencie powalił przeciwnika ciosem w szyję.

– Ty też nie masz zbroi, Achillesie! – odkrzyknął Odyseusz.

Achilles odpowiedział mu tylko szerokim uśmiechem i ponownie ruszył do walki.

Odyseusz zdał sobie sprawę, że z powodu utraty krwi ma zawroty głowy, i zaklął. Zrobiwszy krok, poczuł, że uginają się pod nim kolana. Ktoś go chwycił i postawił na nogi, po czym krzepki żołnierz podniósł go i wziął pod ramię. Odgłosy walki ucichły, kiedy ciągle przeklinającego króla odciągnięto z pola bitwy.

Znów był na *Penelopie*, z wiatrem we włosach i świeżym morskim powietrzem wypełniającym piers. Duże stado mew przelatywało nad statkiem, zasłaniając niebo skrzydłami. Ich trajkot był ogłuszający. Głupie ptaszyska, powiedział do siebie. Potem zobaczył, że ptaki miały twarze kobiet, wykrzywione nienawiścią i pogardą. Harpie, pomyślał, przybyły, żeby obdrzeć mnie ze skóry.

Ostry ból wbijających się w nogę zębów ocucił go i zorientował się, że leży na błotnistej ziemi z dala od pola bitwy. Jeden z członków jego załogi, potężny wojownik Leukon, szły ranę na jego udzie, niezdarnie operując grubymi paluchami przy czerwonej od krwi nici. Trzy dni wcześniej Leukonowi złamano nogę i nie mógł walczyć. Teraz siedział niewygodnie i z pewnością cierpiał katusze.

Odyseusz usiadł.

- Niech ktoś da mi wina – zażądał i podano mu puchar. Wypił, poprosił o następny i ze zniecierpliwieniem patrzył, jak Leukon wiąże szwy. Krew przestała lecieć i poczuł, jak wino zaczyna go cucić.

- Z powrotem na pole bitwy, Leukonie – polecił.

- Tak jest, mój królu – powiedział wielki wojownik i chciał wstać.

- Nie ty, durniu. Ja!

Spróbował wstać, ale ręka na jego ramieniu go przytrzymała i zimny głos oznajmił:

– Odyseuszu, dla ciebie dzisiejsza bitwa już się skończyła.

Spojrział w górę i zobaczył Agamemnona. Z ogromnym wysiłkiem podniósł się na nogi,

próbując zignorować rwanie w ramieniu i ból spowodowany naciągającymi się na udzie szwami. Król Myken miał rację. Był słaby jak szczeniak i tylko siłą woli trzymał się na nogach.

Patrzyli na pole bitwy z punktu obserwacyjnego przed głównym nasypem. Wczesne słońce rozpędziło mgłę i można było oglądać bitwę toczącą się na równinie. To była bezładna rąbanina. Piechurzy obydwu stron walczyli desperacko, nie ustępując ani na krok. Jazda Agamemnona w całości uformowała się po lewej, nacierając na prawe skrzydło wroga i zmuszając Hektora, aby przeniósł większość Konia Trojańskiego w to samo miejsce, by dokonać wściekłego kontrataku. Odyseusz widział, że Trojanie zdobyli przewagę i teraz spychają jeźdźców Agamemnona z powrotem w kierunku rzeki. Ciesz się swoim sukcesem, póki możesz, przyjacielu Hektorze, pomyślał.

Pośród morza walczących mężczyzn widział grupę wojowników ubranych na czarno, którzy w formacji grotą wdzierali się w szereg trojańskiej piechoty.

- Achilles i jego Myrmidoni walczą bez pancerzy – powiedział gniewnie. Podczas długiej nocy planowania zachodni królowie ustalili, iż w momencie podniesienia alarmu elitarny oddział zabójców wycofa się i nałoży pancerze. Achilles pod wpływem bitewnej furii zignorował to ustalenie i walczył dalej. – Nie ma szans na przeżycie. A jego ludzie go nie opuszczą. Skazuje ich wszystkich na śmierć.

- Cóż by to była za szkoda – oznajmił Agamemnon tonem pozbawionym emocji.

Odyseusz spojrzał na niego i poczuł, jak w jego piersi wzbiera gniew.

- Mykeńczyku, czy nie ma nikogo, wobec kogo poczuwałbyś się do lojalności? – zapytał z furią. – Achilles bierze udział w twojej wojnie.

Agamemnon obrócił się i spojrzał na niego. Jego ciemne oczy były zimne i puste jak niebo w zimie.

- Achilles walczy o chwałę Achillesa – powiedział i Odyseusz wiedział, że jest to prawda.

Słońce wspięło się po niebie, a bitwa toczyła się dalej. Odyseusz widział, jak zachodnie armie są powoli spychane do tyłu. Achillesowi i jego ludziom groziło otoczenie. Spojrzał na słońce wznoszące się dumnie nad horyzontem i zaczął nerwowo zerkać na południe, wzdłuż doliny rzeki. W końcu zobaczył daleką plamkę, jeźdźca zmierzającego ku nim w pełnym galopie. Zwiadowca ominął łukiem tyły walk, podjechał i zeskoczył na ziemię przed Agamemnonem.

- Panie, nadchodzą! – wysapał.

- Czas najwyższy – powiedział król z satysfakcją.

Promienie słońca odbijały się od grotów włóczni setek maszerujących piechurów, osłanianych przez jazdę, kiedy nowa armia zmierzała w kierunku Troi. Odyseusz obejrzał się na pole bitwy. Znajdujący się niżej Trojanie nie zauważyli jeszcze zagrożenia.

Zbliżająca się jazda przeszła w galop, a jeźdźcy skierowali opuszczone włócznie na niechronioną flankę trojańskiej piechoty. Dostrzegłszy niebezpieczeństwo, zmęczeni bitwą Trojanie desperacko próbowali się przeformować, aby stawić czoło atakowi, ale impet uderzenia, z jakim opancerzeni jeźdźcy wdarli się w ich szeregi, był druzgoczący. Tuziny padły pod tratującymi wszystko końskimi kopytami.

Hektor zareagował szybko. Jego frygijscy łucznicy, znajdujący się z tyłu pola bitwy, zaczęli wypuszczać chmury strzał w kierunku zbliżającej się piechoty. Pociski odbijały się od tarcz i stożkowych hełmów, ale niektórzy padli na ziemię, a inni zaczęli się o nich potykać.

Koń Trojański był odizolowany w niewłaściwej części pola walki, ale na rozkaz Hektora połowa jeźdźców oddzieliła się od reszty i pogalopowała zrównoważyć nowe zagrożenie. Sam Hektor wbił pięty w boki swojego wielkiego rumaka bojowego i runął na jazdę wroga. Kiedy się zbliżył, kilku jeźdźców wyrwało się z szyków ku niemu. Jego ostrze wystrzeliło do przodu, zwalając pierwszego jeźdźcę z konia; drugi upadł, gdy miecz księcia, wspierany ogromnym gniewem, rozrząbał mu czaszkę. Potem włócznia wbiła się w pierś Aresa i koń upadł, zrzucając Hektora na ziemię.

Odyseusz nie mógł już go dostrzec. Sfrustrowany, zwrócił wzrok na dowódcę nowo przybyłej armii, który w otoczeniu swoich przybocznych wjechał na pagórek i ruszył w jego kierunku.

– Cóż, Kygonesie – zagaił Brzydki Król, kiedy likijski władca zatrzymał konia. – Nie weźmiesz dzisiaj udziału w bitwie?

Likijczyk ściągnął hełm i uśmiechnął się zimno.

– Powinieneś być bardziej wdzięczny, Itako... – powiedział. – Kiedy widzieliśmy się ostatnio, dałeś wyraz wielkiemu moralnemu oburzeniu z powodu śmierci jednego człowieka, prostego żeglarza. Teraz ty i twoi zaprzyjaźnieni królowie prosicie mnie, abym pomógł wam zabić tysiące. Gdzież są twoje podziękowania?

Zsiadł i przekazał wierzchowca jednemu ze swoich ludzi.

– Wszystkie nasze działania mają konsekwencje, Odyseuszu. Trzymając swoje statki z dala

od moich plaż z powodu śmierci tego jednego żeglarza, wraz z Helikaonem zadaliście Likii ciężki cios, który załamał handel i mocno ją wykrwawił. Moi ludzie cierpieli i pierwszy raz od pokoleń dzieci w zimie chodziły głodne. Czy dziwi cię, że nie czułem lojalności wobec Helikaona i jego krewniaka Priama, kiedy Agamemnon zaproponował mi przymierze?

Odyseusz nie miał odpowiedzi na to pytanie. Obrócił się w kierunku pola bitwy, po czym usłyszał dźwięk rogu Hektora – dwa krótkie sygnały powtarzane raz za razem, sygnalizujące odwrót. Dobrze, pomyślał. Tego dnia nie zwyciężysz, Hektorze. Równina Skamandra należy do nas. Wycofaj się, póki możesz.

Ale Trojanie, cofając się powoli w kierunku rzeki i czterech mostów, do upragnionego schronienia, walczyli, na każdym kroku ochraniając rannych. Na jednym z drewnianych mostów znajdowała się setka żołnierzy, kiedy pomiędzy nimi, niczym olbrzymia pochodnia, buchnął jasny płomień. Nagle cały most stanął w ogniu, spowijając gorącą zasłoną znajdujących się na nim ludzi. Ci wrzeszczeli i rzucali się w agonii. Wielu skoczyło do Skamandra, ale ich ciała dalej płonęły i krzyki ciągle odbijały się w uszach. Potem zapalił się drugi most. W ciągu kilku chwil wszystkie cztery mosty, będące jedyną drogą ucieczki Trojan, ogarnął gwałtowny pożar.

Oszołomiony tym widokiem Odyseusz obrócił się do Agamemnona.

– Czy to twoja robota? – zapytał, ale mykeński król pokręcił tylko głową, nie mniej zaskoczony.

Patrzyli, jak zdesperowani Trojanie, uwięzieni pomiędzy zbliżającymi się armiami przeciwnika a rzeką, zaczęli skakać w rwącą wodę. Niektórzy pomagali przedostać się rannym, inni płynęli, by ocalić własne życie. Ranni byli wciągani pod wodę i ściągani w kierunku zatoki, zbyt słabi, aby walczyć z potężnym nurtem.

Nagle Agamemnon sapnął i wskazał na Hektora, który, znowu siedząc na olbrzymim Aresie, wprowadził ogiera w wody Skamandra, wysoko ponad płonącymi mostami. Zatrzymał konia na środku rzeki i stał w miejscu, a woda kaskadami przelewała się dookoła niego. Inni jeźdźcy z Konia Trojańskiego dołączyli do niego, podprowadzając swoje wierzchowce do Hektora, aby zmniejszyć siłę nurtu. Chwilę później w rzece stało trzydzieści koni bojowych, dając odpór uderzającej wodzie. Do ochrony siebie i wierzchowców przed strzałami i włóczniami wroga jeźdźcy mieli tylko tarcze; trzech wpadli do Skamandra i zniknęli w odmętach, ale większość stała twardo, umożliwiając rannym Trojanom znalezienie schronienia po drugiej stronie rzeki. Frygijscy łucznicy biegli wzdłuż brzegu i stali strzały w kierunku zbliżającego się wroga, aby

pomóc w ochronie jeźdźców.

Odyseusz chciał wiwatować, ale tylko uśmiechnął się do siebie, widząc gniew na twarzy Agamemnona.

- Hektor żyje – wyszczał król Myken. – Czy nic nie może go zabić?

- Zaatakował całą armię, a mimo to żyje – powiedział radośnie Odyseusz. – Dlatego właśnie Hektor jest Hektorem, a my jesteśmy królami, którzy tylko stoją i patrzą.

Mając dość towarzystwa Agamemnona, Brzydki Król ruszył w kierunku pola bitwy, utykając z powodu rany na nodze. Teraz po polu krzątali się noszowi, zbierając rannych. Widział uzdrowicieli i chirurgów pomagających wojownikom zachodnich armii oraz żołnierzy dobijających rannych Trojan. Ziemię zalegało ubite błoto wymieszane z krwią i Odyseusz poczuł, że szybko się męczy.

Potem zobaczył postać, którą rozpoznał, grubego wojownika w wielgachnej zbroi, leżącego w błocie, opartego plecami o bok martwego konia. Król pokuśtykał w jego kierunku.

Żołnierz krwawił z tuzina ran.

- Proszę, proszę, Odyseusz – powiedział słabym, urywanym głosem. – Przyszedłeś, żeby mnie dobić?

- Nie, Antifonesie – zaprzeczył itacki król, nagle zmęczony, i siadł obok niego. – Chciałem po prostu porozmawiać ze starym przyjacielem.

- Czy my jesteśmy przyjaciółmi?

Odyseusz wzruszył ramionami.

- Jesteśmy w tej chwili. Jutro będzie inny dzień.

- Jutro będę martwy, Odyseuszu. To będzie mój koniec. – Wskazał na głęboką ranę w boku, z której bluzgała na ziemię ciemna krew. – Ktoś szczuplejszy już by nie żył.

Itacki król skinął głową.

- Co się stało przy mostach? – zapytał.

Antifones skrzywił się i jego blada twarz lekko pociemniała.

- To sprawka mojego głupiego ojca. Priam w tajemnicy poinstruował Orły, żeby podpalił mosty za pomocą neftaru, jeżeli nasze siły zaczną się wycofywać. Powiedział, że Trojanie nie uciekają.

Odyseusz poczuł obrzydzenie.

- Czy on całkiem oszalał? – zapytał, wstrząśnięty zimnym okrucieństwem króla Troi wobec

własnych oddziałów. – Czasami trudno znaleźć różnicę pomiędzy szaleństwem a bezwzględną brutalnością.

Antifones próbował się unieść do pozycji siedzącej, ale był zbyt słaby i z powrotem opadł na ziemię. Odyseusz zobaczył, że strumień krwi tryskającej z rany zelżał. Wiedział, że księżę nie ma już wiele czasu.

– Jest okrutny i samolubny, jak zawsze... – westchnął Antifones. – Bywają momenty, kiedy czuje się zagubiony. Myśleliśmy, że to przez wino, bo w dodatku niewiele jada. Poza tym ma szalone pomysły, jak na przykład ten. Hektor po prostu je ignoruje. Ale to... – Wskazał w kierunku rzeki. – Widzisz, on ciągle jest przebiegły. Nie powiedział o tym nikomu, poza Orłami. A oni wszyscy pozabijaliby się na jego rozkaz.

Podszedł do nich mykeński żołnierz z mieczem czerwonym od krwi, szukając rannych wrogów. Odyseusz odesłał go machnięciem ręki. Antifones milczał przez chwilę i Odyseusz pomyślał, że księżę umarł. Potem jednak odezwał się z desperacją w głosie:

– Troja upadnie. Nie można jej uratować.

Odyseusz skinął głową ze smutkiem.

– Agamemnon wygra i miasto upadnie. Kiedy dotrzemy do wielkich murów i rozpoczniemy oblężenie, będzie to tylko kwestia czasu. Znajdzie się zdrajca. Zawsze tak jest.

Antifones znowu cicho przemówił:

– Myślałem, że ona przetrwa tysiące lat. Jest przepowiednia...

Odyseusz przerwał mu z irytacją w głosie:

– Zawsze jest jakaś przepowiednia. Nie wierzę w przepowiednie, Antifonesie. Za tysiąc lat Złote Miasto będzie ruiną, ze zniszczonymi murami i kwiatami rosnącymi dziko w miejscu, gdzie kiedyś stał pałac Priama.

Ranny uśmiechnął się słabo.

– To brzmi jak przepowiednia, Odyseuszu.

Król nachylił się do niego.

– Ale ona nie umrze, Antifonesie. Mogę ci to obiecać. Jej historia nie zostanie zapomniana. – Już teraz w głowie kształtowała mu się opowieść o gniewie wojownika i śmierci bohatera.

Oczy księcia się zamknęły. Wszeptał:

– To ja byłem zdrajcą... – po czym umarł.

Zmęczony Odyseusz wstał. Dostrzegł, że żołnierz, którego odesłał, znalazł innego Trojanina,

śmiertelnie rannego i niezdolnego się bronić. Mykeński wojownik wprawnie przeszył mu serce, po czym ruszył dalej. Jego wzrok przyciągnęło ciało młodego mężczyzny leżącego w błocie i ruszył w jego kierunku. Odyseusz zobaczył, że młodzieniec ma rude włosy i jest bez zbroi. Jedną ręką ruszała się niemrawo, jakby chłopak chciał się przewrócić na drugi bok. Kiedy mykeński wodnik podniósł miecz, Odyseusz rzucił:

– Stój!

Mykeńczyk znieruchomiał i spojrzał na niego z wahaniem.

– Jest jednym z moich ludzi, żołnierzu. Znasz mnie?

– Jesteś Odyseusz, król Itaki. Każdy cię zna. – Żołnierz opuścił miecz i oddalił się.

Chłopak był powalany błotem i krwią i zdawał się ogłuszony od ciosu w głowę. Odyseusz uklęknął przy nim i pomógł mu się odwrócić.

– Ksander! Nigdy nie myślałem, że cię tu zobaczę – powiedział. – Znowu zgrywasz bohatera, chłopcze?

Ksander obudził się nagle i zorientował, że jest wieczór i że znajduje się na piaszczystej plaży. Słyszał szum fal załamujących się na skałach, daleki dźwięk lir i piszczałek oraz cichą rozmowę w pobliżu.

- Leż spokojnie, głupcze – powiedział głęboki głos. – I daj tej ranie szansę, żeby się zagoiła. Być może przeszło ci wnętrzości.

- A więc jestem martwy – odparł inny głos z irytacją. – Jeżeli mam kroczyć Ciemną Drogą, nie zamierzam robić tego na trzeźwo. Dawaj ten dzban.

Głowa Ksandra pękała od bólu i kiedy próbował wstać, świat się zakotyssał, więc z jękiem wrócił do pozycji leżącej.

– Jak się czujesz, Ksandrze? – zapytał głos.

Otworzył lekko oczy i ze zdziwieniem spojrzał na Machaona, który patrzył na niego z góry. Jego twarz spowijał cień, bo stał ze słońcem.

- Gdzie jesteśmy, Machaonie? – zapytał. – Dlaczego leżę na plaży? – Raz jeszcze spróbował usiąść i tym razem mu się udało. Odkrył, że jego skórzany wór leży obok niego.

- Wypij to – powiedział uzdrowiciel, klękając obok niego i podtykając Ksandrowi kubek wyśmienicie pachnącego napoju. Chłopak zwilżył usta, po czym zaczął łapczywie pić. Ciecz była ciepła i pomyślał, że smakuje jak nektar z letniego kwiecica. Nigdy nie pił czegoś równie dobrego.

Przejaśniło mu się w głowie i rozejrzał się dookoła.

Ze swojego miejsca widział tylko żołnierzy, jednych rannych i leżących, innych siedzących dookoła ognisk, śmiejących się i żartujących. Czarne dzioby okrętów wyciągniętych na piasek zasłaniały mu morze, choć w powietrzu czuł sól. Kiedy zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje, trzewia ścisnęło mu bolesne uczucie strachu.

- Jesteśmy na plaży, którą nazywacie Zatoką Heraklesa, a ja nie jestem Machaonem – powiedział uzdrowiciel. Siadając, nalał gęstej cieczy z glinianego garnka do kubka wody grzejącej się nad ogniem. Spojrzał w górę. Ksander mógł teraz dostrzec, że nie była to twarz jego mentora, choć mężczyźni byli do siebie bardzo podobni. Ten człowiek był starszy i prawie łysy, jedno jego oko zaś było dziwne – gałka była blada i zaciągnięta bielmem.

- Nazywam się Podaleiros, Machaon jest moim bratem – przedstawił się uzdrowiciel. – Najwyraźniej go znasz, Ksandrze. Czy zdrowie mu dopisuje?

- Nie – przyznał z żalem chłopak. – Kiedy ostatni raz go widziałem, był bardzo chory, panie. Chciałbym wiedzieć, jak mu pomóc. Zawsze był dla mnie miły. Dlaczego jestem wśród wrogów?

Jego słowa spotkały się z wybuchem śmiechu, po czym ktoś powiedział:

- Jesteś w tesalskim obozie, chłopcze. Powinieneś być dumny, że znalazłeś się w towarzystwie Achillesa i jego Myrmidonów, najwspanialszych wojowników na świecie.

Mówiący był szczupłym młodym mężczyzną z jasnymi włosami, zaplecionymi z tyłu głowy. Obmywał ramiona z krwi, ale Ksander zgadywał, że należała ona do kogoś innego, bo nie wyglądał na rannego. Obok niego siedział olbrzymi wojownik o czarnych włosach i w czarnym odzieniu, pomiędzy nimi zaś leżał łysy mężczyzna z zaplecioną rudą brodą. Jego pierś była ciasno obandażowana i Ksander widział przeciekającą krew, która plamiła biały materiał. Okiem uzdrowiciela zauważył szary odcień twarzy mężczyzny i błysk gorączki we wzroku.

- Podaleirosie – zagadnął Ksander uzdrowiciela – nie wiem, jak się tu znalazłem, ale czy mogę już wrócić do Troi?

Mężczyźni roześmiali się raz jeszcze i Podaleiros powiedział:

- Nazywaj mnie Białooki, Ksandrze. Wszyscy do mnie tak mówią. Sprowadził cię tutaj Odyseusz z Itaki. Znalazł cię nieprzytomnego na polu bitwy i zaniósł w bezpieczne miejsce. Nie, nie możesz wrócić do Troi. Jesteś teraz uzdrowicielem i chirurgiem wojowników tesalskich. To jest Achilles, król Tesalii. – Uzdrowiciel wskazał czarno odzianego olbrzyma. – A ty jesteś jego sługą.

Ksander spojrział z zaciekawieniem na legendarnego wojownika.

– Panie – zaczął pokornie – nie jestem kapłanem Asklepiosa, który przysięgał pomagać chorym i rannym, gdziekolwiek ich znajdzie. Jestem tylko pomocnikiem Machaona. Moje miejsce jest w Troi.

Achilles zmarszczył brwi.

– Odyseusz powiedział mi, że szkoliliś się u Machaona w Domu Węży. Skoro tak znakomity uzdrowiciel wysłał cię na pole bitwy, abyś pomagał rannym, musi pokładać wiarę w twoje umiejętności. Chcesz powiedzieć, że nie pomożesz moim potrzebującym wojownikom? Pomyśl dobrze, zanim odpowiesz, chłopcze.

Zawstydzony Ksander odparł:

– Przepraszam, panie. Zrobię, co w mojej mocy.

Achilles zwrócił się do Białoookiego:

– O świcie, kiedy chłopak odpocznie, zabierz go do Radości Króla. Przyda się tam.

Uzdrowiciel skinął głową i oddalił się. Przy ognisku pojawił się sługa, oferując wojownikom półmiski z mięsem i gruboziarnistym plackiem. Jeden położył przy boku rannego, ale ten nawet nie tknął jedzenia, ograniczając się do sączenia wina z dzbanu. Achilles wskazał na Ksandra i skinął głową, więc sługa dał chłopcu trochę jedzenia. Była to pieczona wieprzowina, ciepła, tłusta, solona i smaczna. Wyśmienity zapach pieczystego sprawił, iż Ksandrowi zaburczało w brzuchu. Zdał sobie sprawę, że nie jadł przez cały dzień, ani też dzień wcześniej. Zastanawiał się, kiedy ostatnio najadł się do syta, ale przestał o tym myśleć, gdy zatopił zęby w soczystym mięsie.

Przez chwilę wojownicy jedli w milczeniu. Potem Achilles zwrócił się do rannego:

– Każę cię zanieść do Radości Króla, Tibo. W nocy na plaży będzie zimno. Tam przynajmniej będziesz miał schronienie.

Tibo pokręcił głową.

- Będzie mi dobrze tutaj, przy ognisku. Nie chcę leżeć na górze razem z trupami i umierającymi.

- Jestem twoim królem i mógłbym wydać ci rozkaz – powiedział łagodnie Achilles.

Tibo chrząknął.

– Czy chcesz, abym wylądował w tym miejscu cierpień?

Achilles pokręcił głową i nic więcej nie powiedział.

Jasnowłosy wojownik szturchnął go łokciem.

– Poszliśmy tam raz, kiedy byliśmy dziećmi. Zwiedzaliśmy Radość Króla z twoim ojcem, pamiętasz? Nie wiem po co.

Achilles skinął głową, żując mięso i przerykując.

– Pamiętam, Patroklosie.

Patroklos mówił dalej:

– Wtedy to było piękne miejsce, z białymi ścianami zdobionymi kolorowymi obrazami bogów. Były tam miękkie dywany na marmurowych posadzkach – nigdy wcześniej takich nie widziałem – i wszędzie lśniło złoto i szlachetne kamienie. To był piękny widok.

Achilles znowu skinął głową.

– A teraz przybocznicy Agamemnona zrobili tam chlew – powiedział. Potem uśmiechnął się. – Pamiętam, że zakazano nam zabawy na wysokim balkonie, z którego rzuciła się Helena.

Patroklos pokręcił głową w zadumie.

– Nie zapomnę tego dnia, póki nie wstąpię na Ciemną Drogę. Księżniczka z dziećmi rzucająca się w objęcia śmierci.

Tibo chrząknął.

– I tak już nie żyły, te dzieci. Agamemnon by o to zadbał.

Patroklos zaproponował:

– Ale Helena nie musiała umierać. To niewłaściwe, żeby takie piękno roztrzaskało się o skały.

Ksander słuchał ze zdziwieniem. Księżniczkę Helenę spotkał tylko raz, w komnacie Helikaona, kiedy Złocisty był śmiertelnie chory. Widział pulchną, prostą kobietę o słodkim uśmiechu. Być może rozmawiają o innej Helenie, pomyślał.

- Nie była piękną – powiedział Tibo w zamyśleniu.

- Tak, ale ty nie lubisz, jak mają krągłości, Tibo – odpowiedział, szczerząc zęby Patroklos. – Wolisz kobiety szczupłe jak chłopcy. – Puścił oko do przyjaciela.

- To prawda – zgodził się Tibo. – Ale miałem na myśli to, że nie była piękna jak kosztowna dziwka...

Patroklos zaczął się śmiać, ale wtrącił się Achilles.

– Wiem, co masz na myśli, Tibo. Nie miała urody złotowłosej Afrodyty. Bardziej była podobna do twardej i straszliwej Hery, przy której maleją nawet bogowie.

Tibo przytaknął.

– Poczulem się przy niej jak mały chłopczyk. Była jak matka, którą kochasz, ale której gniewu się obawiasz. Inni obecni na balkonie mówili to samo. Wszyscy o niej rozmawialiśmy.

Tak długa wypowiedź sprawiła, że Tibo się rozkaszał. Charczał jak umierający i przycisnął obie ręce do piersi. Wszelkie kolory zniknęły z jego twarzy i jęknął. Ksander zobaczył, że plama krwi na bandażu się powiększa.

Sięgając po swój skórzany wór, wstał i zwrócił się do rannego wojownika.

– Panie, jeżeli mi pozwolisz, być może zdołam ci pomóc.

XX. WYBÓR ANDROMACHY

Andromacha stała na dziobie *Ksantosa* i oddychała świeżym morskim powietrzem, kiedy ogromny okręt ślizgał się po drobnych falach. Zawsze uwielbiała te wiosenne dni, gdy na wielkiej Idzie i rzekach oraz strumieniach w małych Tebach topniały śniegi i wypełniały koryta czystą, lodowatą wodą, porośnięte lasami góry i doliny zaś ubierały się w bladozielone liście skąpane w deszczu.

Kiedy ojciec wysłał ją jako kapłankę na Terę, postrzegła Teby pod Plakos jako swój dom. Ale patrzyła tak na nie tylko do czasu, kiedy została nieszczęśliwie wygnana do Troi, aby wyjść za Hektora. Później jej domem stała się Tera. A teraz gdzie jest twój dom, Andromacho, zapytywała samą siebie, znajdując się na pokładzie *Ksantosa* mniej niż dzień żeglugi od Złotego Miasta. Czy to w Troi pragniesz trzymać w ramionach syna? Czy na tym statku, gdzie żyłaś i kochałaś przez długie, niekończące się dni strachu, tęsknoty i rozkoszy?

Kiedy załoga przyzwyczaiła się do obecności kobiety na pokładzie i kiedy przestali nazywać ją księżniczką bądź kapłanką oraz przy każdej okazji ukradkiem zerkać na jej nogi i piersi, poczuła się na okręcie jak w domu. W nocy przyłączała się do ludzi zgromadzonych na plaży dookoła ognisk, dzieliła z nimi posiłki, roznosiła sakwy z wodą, a kiedy okręt płynął o wiosłach, pomagała myć pokład. Raz poproszono ją nawet, żeby zszyla poszarpany żagiel po ciężkim dniu na niespokojnych morzach.

– Jestem córką króla i żoną Hektora – śmiała się – a wy jesteście żeglarzami. Wiecie na temat szycia więcej ode mnie! – A mimo to zrobiła, co mogła, za pomocą ostrej igły i mocnej nici, jakie jej dali, i nie przejęła się wcale tym, że jej kiepskie szwy zostały poprawione przez siwowłosego żeglarza, który mimo swojego wieku miał palce zwinniejsze niż ona.

Pewnego spokojnego dnia Oniakos zaoferował, że nauczy ją wiosłowania. Złapała wielkie wiosło i nauczyła się ciągnąć zgodnie z rytmem morza, ale szybko jej dłonie pokryły się krwawiącymi bąblami i Helikaon z gniewem kazał jej przestać.

Helikaon! Nie musiała się odwracać, bo wiedziała, że będzie stał na rufie, obserwując ją, z jedną ręką na wielkim wiosle sterowym. Zamknawszy oczy, mogła przypomnieć sobie każdy szczegół jego twarzy; ciemne, gęste brwi, dokładne ułożenie kącików ust, kształt uszu. Oczami wyobraźni widziała jego opalone ramię, z delikatnymi jasnymi włoskami, ułożone na rumplu, tak

jak widziała to wcześniej setki razy. Znała każdą bliznę na jego ciele, zarówno z dotyku, jak i smaku. Miał na sobie długą zimową szatę z niebieskiej wełny, tego samego koloru, co jego oczy, kiedy ogarniał go gniew, na stopach zaś stare sandały oznaczone solą i upływającym czasem.

Na początku próbowali postępować zgodnie z radą Odyseusza i trzymali się z dala od siebie, nie dotykając się, nie ocierając w wąskich przejściach, wymieniając ledwie pojedyncze słowa, gdy w pobliżu byli inni członkowie załogi. Ich postanowienie trwało do momentu, kiedy dotarli do Siedmiu Wzgórz.

Andromacha była zachwycona małym, szybko rozwijającym się miastem wybudowanym przez Helikaona i Odyseusza tak daleko od ich domów. Otoczony drewnianą palisadą fort znajdował się na górze, którą opływała wielka rzeka Thybris, jego pracowita społeczność zaś uprawiała miękką, żyzną ziemię, tak różną od ziem Itaki i Dardanos. Ludzie zaczęli budować kamienny mur dookoła fortu, bo musieli odpierać ataki miejscowych plemion buntujących się przeciwko obecności obcokrajowców zza dalekich mórz. Ale król jednego z plemion, Latinus, powitał przybyszów przyjaźnie i połączył z nimi swoje siły. I tak społeczność Siedmiu Wzgórz szybko się rozrastała. Od bladokórych kupców podróżujących z dalekiej północy, z Ziemi Mgieł, kupili cynę i Helikaonowi udało się wypełnić cennym metalem ładownię *Ksantosa*.

Pewnej nocy wydano ucztę na cześć jednego z plemiennych bogów i załoga *Ksantosa* z radością przyłączyła się do ogólnej zabawy. W świetle ogniska podchmielona Andromacha pochwyciła spojrzenie Helikaona i uśmiechnęła się. Dalsze ustalenia nie były potrzebne. Obydwoje opuścili ukradkiem zabawę i znaleźli porośniętą mchem dolinkę z dala od zgiełku, gdzie kochali się przez większość nocy, na początku łapczywie, ze zwierzęcą pasją, a później łagodnie i delikatnie, do pierwszych błysków świtu. Niewiele mówili, bo też nie potrzebowali słów.

Kiedy wrócili na pokład, żeby z największym pośpiechem wyruszyć w drogę powrotną do Troi, znów trzymali się z daleka od siebie. Helikaon kierował *Ksantosa* wzdłuż wybrzeża Myken, gdzie nie pływały inne okręty, a potem wysoko na północy przeciął Wielką Zielen. Ostatnią noc przed powrotem do Troi spędzili w głębokiej zatoce Samotraki. Andromacha pozostała na okręcie w swoim małym namiocie rozbitym na głównym pokładzie i Helikaon przyszedł do niej pod osłoną mroku.

Noc była nieprzenikniona, a ona usłyszała delikatny szelest odsuwanej płachty namiotu

i poczuła mocny zapach Helikaona, kiedy położył się obok niej. Nic nie mówiąc, uniósł owczą skórę okrywającą jej ciało i pocałował ją w ramię. Obróciła się do niego. Pocałował ją głęboko i uczucie od dawna tłumionej tęsknoty wyrwało się z niej niemal z bólem. Jęknęła. Zakrył jej usta dłonią.

– Cicho – wyszeptał jej do ucha. Kiwnęła głową, a potem delikatnie ugryzła w dłoń i poczuła smak soli na ustach. Uśmiechnął się przy jej policzku. Potem wślizgnął się pod ciepłą owczą skórę i wspiał na Andromachę, ocierając chłodne ciało o jej płonący brzuch. Uniosła nogi, aby go przyjąć, i znalazł się w jej ciepłe i wilgoci, w przepelnionym zwierzęcym zapachem mroku.

Na kilka nieznośnie długich uderzeń serca znieruchomiał, po czym powoli zaczął się poruszać. Zbyt powoli. Wykręciła się, szukając szybkiego ujścia dla niemal bolesnego uczucia w swoim ciele. Poczekał, aż znieruchomiała, po czym znów zaczął się poruszać, drocząc się z nią. Kiedy przeszło ją spełnienie, potrzeba krzyku była niemal nie do powstrzymania i raz jeszcze położył dłoń na jej ustach, po czym głęboko ją pocałował. Przez chwilę leżeli bez ruchu, a potem zaczęli od nowa.

W końcu, wyczerpany, odsunął się od niej i zepchnęli mokrą zwierzęcą skórę, aby ich ciała obeschły z potu.

- Jutro będziemy z powrotem w Troi – wyszeptała mu do ucha.

- Nie teraz, najdroższa – wymamrotał. – Jutro będziemy mieli wystarczająco dużo czasu, żeby o tym porozmawiać. – Tej nocy nie zamienili już ani słowa.

Teraz, stojąc na dziobowym pokładzie okrętu, Andromacha zamknęła oczy i pozwoliła, aby jej ciało sennie poruszało się w rytmie fal, wspominając tamtą wspaniałą noc i własny rytm.

Kiedy otworzyła oczy, na niebieskim morzu po lewej stronie dostrzegła ciemną plamkę.

- Statek od bakburty! – krzyknęła i po kilku chwilach poczuła, jak wielki okręt ustawia się w kierunku nowego zagrożenia. Zmrużyła oczy. Mogła dojrzeć, że nie była to zwykła łódź rybacka, a galera pod żaglem, ale nie mogła zobaczyć jej oznaczeń.

- To Dardańczycy, panie! – krzyknął Praksos, który dołączył do załogi poprzedniego lata i miał bystry wzrok młodzieńca. – Widzę czarnego konia!

Wioślarze wzniesli radosny okrzyk, gdyż większość z nich była Dardańczykami i z niecierpliwością wyczekiwała powrotu do rodzin. Na oczach Andromachy drugi okręt zwinął żagiel, do pracy zaś wzięli się wioślarze. Galery płynęły ku sobie. Kiedy odległość zmalała, wioślarze po stykających się burtach wciągnęli wiosła i z obu stron rzucono liny, łącząc

jednostki.

Andromacha przeszła pomiędzy wioślarzami i zatrzymała się na rufie. Helikaon spojrzał na nią z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

– To *Boreasz* – powiedział.

Czekali w ciszy, kiedy młody jasnowłosy kapitan dardańskiego okrętu wspiał się po linie, wdrapał na pokład i upadł na kolana przed Helikaonem.

- Dzięki łasce Posejdona, że cię spotkaliśmy, Złocisty – wyrzucił z siebie, łapiąc oddech. – Spodziewaliśmy się, że *Ksantos* będzie płynął wzdłuż wybrzeża, i większość naszych statków oczekuje cię za Lesbos.

- Uspokój się, Asjosie. Dlaczego *Boreasz* tu czekał?

- Troja jest oblężona, panie – poinformował młody kapitan. – Mykeńska flota Menadosa zaś blokuje wejście do Hellespontu. Agamemnon obozuje z tysiącem okrętów w Zatoce Heraklesa. Mieliśmy nadzieję cię ostrzec, zanim nieświadomie byś na nich wpłynął.

Andromacha zamknęła oczy. Zostawiła Astinaksa z myślą, że będzie bezpieczny w Troi. Znany demon, poczucie winy, zaczęło szarpać jej duszę. Zostawiła syna, aby być z kochankiem. O kim myślała częściej w czasie podróży, o jedynym synu czy Helikaonie?

- Co z Dardanos? – zapytał Helikaon.

- Mykeńczycy zignorowali fortecę. Nasi ludzie są bezpieczni, przynajmniej na razie. Agamemnon odciągnął swoje oddziały również spod Teb, pani. – Spojrzał na Andromachę i oblał się rumieńcem. – Rzucił wszystkie siły, zarówno własne, jak i zachodnich królów, na Złote Miasto.

- A Hektor? – zapytała Andromacha.

- Hektor dowodzi obroną Troi, ale wróg ma znaczną przewagę liczebną. Ostatnio słyszeliśmy, że księżę został zepchnięty do Dolnego Miasta. Przeciwnik zdobył Radość Króla i równinę Skamandra – zawahał się. – Księżę Parys i jego żona nie żyją. I księżę Antifones.

Oszołomiona wieściami Andromacha zobaczyła, że kolory odpływają z twarzy Helikaona.

- Wszyscy martwi? – zapytał głębokim, grobowym głosem.

- Panie, po obydwu stronach były olbrzymie straty. Stosy pogrzebowe płoną dzień i noc. Gdyby *Ksantos* przybył po zmroku, zobaczyłbyś ich płomienie z drugiej strony Wielkiej Zieleni.

- Czy miasto jest otoczone?

- Nie, panie. Wszystkie ich wysiłki skoncentrowane są na południu miasta, przy rowie

fortyfikacyjnym. Ludzie ciągle mogą uciekać przez bramy Skajską i Dardańską. Wszyscy opuszczają miasto. Ale to było sześć dni temu. Sytuacja zmienia się z godziny na godzinę. Od tamtego czasu nie mieliśmy na *Boreaszu* żadnych wieści.

Oniakos wystąpił do przodu.

– Złocisty, Agamemnon zostawił swoje okręty bez osłony w Zatoce Heraklesa. Nasze miotacze ognia mogą je zniszczyć w ciągu jednej nocy, tak jak zrobiliśmy to na Imbros.

Helikaon zmarszczył brwi.

– Może później. Ale, niestety, na razie nie mam takiej możliwości. Miasto czeka na nasz ładunek cyny, czyż nie, Asjosie?

Ten skinął głową.

– Miejskie kuźnie stoją zimne – powiedział. – Trojanie rozpaczliwie potrzebują broni i pancerzy.

Nagle spojrzął zaskoczony w kierunku wybrzeża i wszyscy się obrócili. W oddali, na cyplu ziem trojańskich, Przylądka Pływów, błysnęło światło.

Helikaon spojrział tam i zmarszczył brwi.

- Sygnał, ale co oznacza? Asjosie, czy Przylądek Pływów jest w trojańskich czy mykeńskich rękach?

- Nie wiem, panie. Ostatnio mieli go Trojanie. – Wzruszył ramionami.

- A więc sygnał nic nam nie mówi – stwierdził Helikaon, podjąwszy decyzję. – Oniakosie, popłyniemy do Hellespontu i Zatoki Troi, a potem w górę Simoeis. Tam rzucimy kotwicę i jeżeli Atena będzie nam sprzyjać, przeszmuglujemy cynę do miasta od północy.

- Ale Hellespont blokuje flota Menadosa – powtórzył kapitan. – Nawet *Ksantos* nie pokona jego pięćdziesięciu okrętów!

- Być może – powiedział w zamyśleniu Helikaon – uda się to *Ksantosowi* i *Boreaszowi*.

Mykeński admirał Menados spojrział w górę z wysokiego pokładu swojego okrętu patrolowego i dostrzegł jasny sygnał na najwyższej skale Przylądka Pływów.

- Admirale, co to znaczy? – zapytał go przyboczny, syn jego siostry, chłopak dość bystry, ale pozbawiony inicjatywy.

- Nie wiem – odparł admirał. – Trojanie dają komuś sygnały, ale nie potrafimy określić komu i nie wiemy, co oznaczają. Na niewiele im się to zda – mruknął – i tak wszyscy są trupami.

Tak samo jak jego załoga, Menados był znudzony i sfrustrowany długimi dniami pływania w tę i z powrotem po Hellesponcie. Z floty pięćdziesięciu siedmiu okrętów, trzydzieści wysłał na patrolowanie wybrzeża Troi od cypla trackiego brzegu aż po Zatokę Heraklesa. Siedem okrętów zaś, w tym jego nowa dwurzędowa galera *Alektruon*, walcząc z prądem, trzymało wartę na Hellesponcie. Pozostałe dwadzieścia okrętów wyciągnięto na plażę na wybrzeżu Tracji, a załogom pozwolono wypoczywać. Patrolujące okręty się zmieniały, ale wiedział, że to nie jest zajęcie dla wojowników. Nieustanne pływanie w tę i z powrotem, raz na wiosłach, raz pod żaglami, męczyło wiosłarzy i przytępiało umiejętności kapitanów. Menados po cichu sądził, że zadanie to jest karą Agamemnona za litość, jaką Helikaon okazał admirałowi w Dardanos.

Więści o blokadzie szybko obiegły ziemie graniczące z Hellespontem i jak na razie niewiele okrętów próbowało ją przełamać i wypłynąć z cieśniny. Zatopili jedną dardańską galere próbującą się przedostać pod osłoną mroku. Blokadę chcieli też ominąć dwaj hetyccy kupcy, którzy byli wściekli na to, że zablokowano cieśniny dla wszystkich statków, i starali się dostać do domu.

Kiedy skazani na zagładę hetyccy marynarze miotali się w zimnych, zdradzieckich wodach, Menadosowi zadano pytanie, czy mykeńskie okręty powinny ich wyłowić. Niech zdychają, rozkazał. Gdyby to zależało od niego, kazałby ich uratować. Miał szacunek dla marynarzy wszystkich nacji, a wypuszczenie ich na trackim wybrzeżu, skąd do domu mogliby się dostać na piechotę, nie stanowiłoby większego problemu. Ale do hetyckiego imperatora nie mogły dotrzeć wieści, że Mykeńczycy zatapiają jego statki. Kilku dobrych pływaków, którzy mieli szanse na dopłynięcie do brzegu, zostało dościgniętych przez okręty, po czym, gdy nie przejawiali chęci utonięcia, zastrzelili ich łucznicy.

– Okręt na północy!

Admirał obrócił się i osłonił oczy. Członkowie załogi *Alektruona* poderwali się i rozglądali, chętni do akcji. Daleki okręt płynął pod żaglem, popychany w ich kierunku przez silny wiatr z północy. W gasnącym świetle Menados nie mógł ustalić jego oznakowań, ale miał nadzieję, że to jednostka dardańska albo trojańska.

Większość floty trojańskiej była zablokowana w Zatoce Troi. Nie mogła wydostać się na zewnątrz, choć z tego samego powodu mykeńska flota nie mogła dostać się do środka. Priam nigdy nie zbudował takiej floty, jakiej wymagałoby miasto tej wielkości, zamiast tego powierzając handel i obronę ogromnej dardańskiej armadzie wybudowanej przez jego kuzynów,

Anchizesa i Helikaona. W zatoce nie było więcej jak osiemnaście trojańskich statków, ale mówiło się, że wiele z nich wyposażono w miotacze płomieni, co równoważyło przewagę liczebną Menadosa. Sytuacja była patowa. Mając do dyspozycji więcej okrętów, Menados z łatwością zdobyłby zatokę, ale Agamemnon potrzebował każdego piechura do zdobywania miasta, gdyż ginęli tam tysiącami.

Admirał westchnął. Marynarze przydzieleni na jego okręty powinni się cieszyć. Każdego dnia na niebie nad Troją widzieli oznaki palenia stosów pogrzebowych – słupy dymu w dzień i ognistą poświatę w nocy.

– Panie, to dardański statek – wykrzyknął jego przyboczny. – Jakie są rozkazy?

Teraz Menados mógł już sam dostrzec czarnego konia na żaglu. To nie *Ksantos*, pomyślał. Za mały. Szkoda.

– Pięć okrętów – rozkazał. – Niech przeprowadzą abordaż. Mogą mieć informacje przydatne dla Agamemnona. Inne statki nich się zbliżą do wroga, ale trzymają na dystans. Mogą mieć na pokładzie miotacze płomieni.

Jego rozkazy przekazano za pomocą jasnych, kolorowych płóciennych flag, systemem, który Menados osobiście wymyślił na potrzeby przesyłania informacji na morzu. Pięć okrętów, cztery mykeńskie i jeden ateński, ruszyło w kierunku zbliżającej się jednostki, z zamiarem zniszczenia jej żagla, staranowania i przeprowadzenia abordażu. Inne mykeńskie okręty również obróciły się na północ. Dardańska galera była coraz bliżej, nie zmieniając kursu, najwyraźniej zdeterminowana, aby przedrzeć się przez szyk płynących na nią okrętów.

Kiedy galery zbliżyły się do siebie, z ateńskiego statku wystrzelono płonące strzały, wycelowane w czarnego konia. Dwie spadły do morza, ale pięć trafiło w cel i żagiel zaczęły lizać płomienie. Kiedy całkowicie stanął w ogniu, okręt zwolnił, ale ciągle płynął naprzód. Kiedy płonące szczątki masztu spadły na pokład, rozległ się potężny syk i nagle cały statek zapłonął jak pochodnia.

W ostatniej chwili Menados zobaczył trzy sylwetki skaczące z pokładu w odmęty.

– Płonący okręt! – krzyknął. – Zawracać! Odsunąć się!

Ale płonąca galera płynęła dalej i ateńska jednostka nie zdążyła wykonać uniku. Ognisty pocisk wbił się w jej pokład, kiedy wciąż jeszcze robiła zwrot, i ześlizgnął po drewnianej konstrukcji. Siła uderzenia sprawiła, że płonący maszt dardańskiego okrętu zawalił się i runął na pokład greckiej jednostki. Kawałki płonącego płótna, poderwane przez silny wiatr, spadły na

żagle jednego z mykeńskich okrętów i po chwili również one zajęły się ogniem.

– Głupcy! – krzyczał Menados, patrząc na dwa płonące okręty, kiedy ich załogi rzuciły się w morską toń. Inne galery odpląnęły na bezpieczną odległość. Admirał pomyślał o głupcach na pokładzie płonącej jednostki. Po co w ten sposób niszczyć statek?

Odwrócił się gwałtownie. Za nimi zobaczył *Ksantosa*, z maksymalną prędkością mknącego przez zapadające ciemności i prześlizgującego się przez szczelinę między mykeńskimi galerami a Przylądkiem Pływów. To była wietrzna noc i wioślarze okrętu flagowego walczyli z północnym wiatrem i silnym prądem opływającym przylądek.

– *Ksantos!* – krzyknął Menados. – Do zwrotu, idioci! Szybko!

Jego sternik całym ciężarem oparł się na wiosła, a Menados obok niego. Ale zanim obrócili galere, by ścigać wielki okręt, zapadł już zmrok i *Ksantos* oddalił się od świateł trzech płonących okrętów, znikając w ciemnościach Hellespontu.

Ksantos powoli sunął przez noc, podążając na wschód wzdłuż Simoeis. Niebo było czyste i usiane gwiazdami, ale na rzece leżała lekka mgła. Jedynymi dźwiękami były ciche pluśnięcia wiosła oraz porykiwania osłów w oddali. Było tak cicho, że Andromacha mogła usłyszeć szelest w trzinie, kiedy jakieś małe stworzenia uciekały przed mijającym je wielkim okrętem.

Ksantos wpłynął do cieśniny z prędkością niebezpieczną w ciemnościach, przeciążony dodatkowo załogą *Boreasza*. Tylko tak doświadczony wilk morski jak Helikaon był w stanie zaryzykować coś takiego, gdyż znał silne prądy i zdradzieckie skały Przylądka Pływów lepiej niż ktokolwiek inny. Ale kiedy znaleźli się w Zatoce Troi, wioślarze zwolnili. Potem w ciemnościach zamajaczyło więcej okrętów – była to trojańska flota, która utknęła w zatoce. Andromacha oczekiwała, że na widok przepływającego Złotego Statku podniesie się krzyk radości, ale zamiast tego przywitała ich nienaturalna cisza, kiedy marynarze stawali na pokładach, aby zobaczyć *Ksantosa*, który zmierzał przez zatokę w kierunku północnej rzeki Troi.

– Skąd ta cisza? – zapytała Oniakosa, który stał na pokładzie dziobowym z drągiem do mierzenia głębokości i usiłował przejrzeć mgłę. – Przecież ciągle jesteśmy daleko od Troi i obozów wroga.

Żeglarz odpowiedział, nie odrywając wzroku od rzeki:

– Nocą dźwięk niesie się nad wodą na bardzo duże odległości. Ostrożności nigdy za wiele.

– Wyglądają na ponurych.

Skinął głową.

– Racja. Wydaje się, że dużo się zmieniło od czasu, kiedy wyruszyliśmy.

Simoeis była płytka i zarośnięta nawet wiosną, więc Helikaon skierował *Ksantosa* na środek rzeki. Andromacha niewiele widziała w mglistej nocy i czas upływał powoli. W końcu poczuła, jak okręt zwalnia i się zatrzymuje. Dookoła panowała przytłaczająca i nieprzyjemna cisza.

– Dalej nie możemy płynąć – powiedział cicho Oniakos. – Zrzucimy tutaj kotwicę i wyładujemy cynę. Pozostaje nam mieć nadzieję, że wrogowie się nas nie spodziewają.

Andromacha poczuła, jak przebiega ją dreszcz strachu. Uwieczony na płytkiej, wąskiej rzece *Ksantos* był niemal bezbronny wobec Mykeńczyków, gdyby ci zdołali go odnaleźć. Czy admirałowi Menadosowi udało się przesłać wieści do Agamemnona? Czy miał na to czas?

Wioślarze wyciągnęli wiosła i niemrawy nurt rzeki delikatnie przechylił okręt na bok. Andromacha wyteżała wzrok, aby przeniknąć mgłę spowijającą brzeg.

Nagle rozblęśla pochodnia. Jakiś głos zawołał cicho:

– Ahoj, *Ksantos*! – Ciemna sylwetka, zakapturzona i odziana w płaszcz, pojawiła się pośród mroku. W świetle pojedynczej pochodni wyglądała imponująco.

Helikaon opuścił wiosło sterowe i zszedł na główny pokład. Z długim nożem w dłoni, przeskoczył nad burtą i wylądował lekko na miękkiej ziemi.

Andromacha usłyszała znajomy głos.

– Nie ma powodów, abyśmy chwyтали za noże, Złocisty. – Hektor od rzucił kaptur, postąpił krok do przodu i zamknął Helikaona w niedźwiedzim uścisku. Księżniczka usłyszała, jak zapytał: – Czy Andromacha jest bezpieczna? – I przeszła bliżej burty, skąd można było ją dostrzec.

Hektor spojrział w górę i w świetle pochodni zauważyła, że jego twarz jest zmęczona i spięta. Ale kiedy ją zobaczył, uśmiechnął się.

Jeden z członków załogi zrzucił z pokładu na brzeg rzeki trap i szybko zeszła na dół. Stojąc przed mężem, zawahała się, szarpana sprzecznymi emocjami, po czym pozwoliła się wziąć w objęcia. Spojrzała mu w oczy.

- Astinaks? – zapytała.

Skinął uspokajająco głową.

- Nic mu nie jest.

Cofnęli się i cała trójka patrzyła na siebie. Andromacha nie przewidziała tej chwili. Spodziewała się, że wróci do Troi w towarzystwie Helikaona, ale podejrzewała, że Hektor będzie

daleko na wojnie. Spędziła bezsenne noce na pokładzie, zamartwiając się, jak w mieście pełnym plotkarzy i szpiegów utrzymać ich zakazaną miłość w tajemnicy. Teraz jej przyszłość zmieniła się w mgnieniu oka. Widząc znowu Hektora i jego twarz świadczącą o brzemieniu trosk, które ledwo mógł unieść, poczuła, że wstydzi się siebie i swoich samolubnych planów. Helikaon wydawał się szczerze zadowolony z widoku starego przyjaciela.

- Miło cię widzieć, kuzynie – powiedział. – Skąd wiedziałeś, że tu będziemy?

- Sygnał świetlny na Przylądku Pływów. Wydałem rozkazy, aby rozpalić ogniska, kiedy czatownicy dostrzegą *Ksantosa*. Długo oczekiwaliśmy twojego powrotu, Złocisty. Wiedzieliśmy, że uda ci się przebić przez blokadę Menadosa.

- Trzech dzielnych ludzi oddało życie, żeby nas tu bezpiecznie doprowadzić – powiedział Helikaon. – Asjos i dwóch żeglarzy z *Boreasza*.

- Nazywali się Lykaon i Perifas – dopowiedziała Andromacha.

Helikaon spojrzał na nią i kiwnął głową.

- Masz rację, Andromacho. Ich imiona nie powinny zostać zapomniane. Asjos, Lykaon i Perifas.

- Jeżeli przywiozłeś cynę, ci trzej żeglarze mogą przynieść Troi zbawienie.

- Mamy pełną ładownię, kuzynie.

Hektor westchnął z ulgą.

- Twój szalony mistrz kowalski Kalkeus mówi, że może wykuwać mocne miecze z metalu Aresa, ale na razie nic mi nie pokazał. A tymczasem w naszych kuźniach panują mroki. Nie bylibyśmy w stanie kontynuować walki bez cyny. Niech rozładują ją najszybciej jak to możliwe, a my porozmawiamy.

Dał znak i z ciemności wychynęli mężczyźni prowadzący wozy zaprzężone w osły. Zarzuconą liny na pokład *Ksantosa*. Słysząc było ciche słowa powitań, kiedy spotykali się starzy znajomi, po czym ładownia została otwarta i wszyscy zaczęli wyładowywać jej cenną zawartość. Hektor poprowadził Helikaona i Andromachę przez niewysokie zarośla, gdzie mała górka ukrywała płonące ognisko. Cała trójka usiadła. Hektor zdjął płaszcz i Andromacha zobaczyła, że mąż jest w pełnej zbroi.

- Wieści, które dotarły do nas z Troi, są ponure – zaczął Helikaon. – Antifones i Parys nie żyją. I biedna Helena.

- Co z dziećmi? – zapytała Andromacha.

Hektor pokręcił głową i jego przeciągające się milczenie wszystko im powiedziało. Andromacha widziała w świetle ogniska, że księżę postarzał się o dziesięć lat. Oczy miał podkrążone, a smutek i żal wydawały się na stałe wtopione w rysy jego twarzy. Wystawił dłonie do ognia. Zdawał się pogrążony w myślach, po czym wzdrygnął się, jakby gorzkie wspomnienia znowu próbowały go osaczyć.

Pokręcił głową i przemówił:

– W najczarniejszych koszmarach nie wierzyłem, że Agamemnon może zgromadzić tylu wojowników. – Na chwilę zamilkł z udręką malującą się na twarzy. – Słyszeliście, jak przegraliśmy bitwę o Skamander? Zdrada Grubego Króla i jego Likijczyków przechyliła szalę zwycięstwa na rzecz zachodnich władców. Potem wróg w ciągu jednego dnia zajął rów fortyfikacyjny. Obsiedli go niczym szarańcza. W nozdrzach czuli woń zwycięstwa, a nam utrudniały walkę próby ratowania rannych. Broniliśmy Dolnego Miasta przez dziesięć dni, zmuszając armie Agamemnona do bitwy o każdy mur, najmniejszy kamień, każdy krok okupowali rzekami krwi. Po obu stronach była rzeź. Ale przez cały czas walki o miasto nie mogli okrążyć wielkich murów i mogliśmy wyprowadzić kobiety i dzieci. Teraz, kiedy tu jesteście, z łaski Ateny, przeszmyglujemy do miasta cynę. Kuźnie zaczną pracować przed świtem. Potem – Hektor spojrzał na nich – jutro w nocy, pod osłoną ciemności, ściągniemy z powrotem nasze oddziały, cofniemy się za mury, zostawimy wrogowi Dolne Miasto i zabarykadujemy bramy.

Przez chwilę panowała martwa cisza, a potem odezwała się Andromacha.

– Ale zawsze mówiłeś, że oblężona Troja będzie zgubiona.

Hektor skinął głową i spojrzał w dół, po czym zaczął pocierać dłonie, jakby nie mogąc ich rozgrzać.

– Ale wtedy byłem młodszym człowiekiem – powiedział gorzko – który nie widział okrucieństw, jakie widziałem teraz. Zawsze bałem się zdrady. Nasza historia i twoja, Helikaonie, mówi, że zawsze znajdzie się zdrajca. Ale teraz zamykamy wielkie wrota. Bramy Zachodnia i Wschodnia zostały zamurowane. Tylko bramy Skajską i Dardańską będzie można otworzyć. Ale wyłącznie na mój osobisty rozkaz. Albo Politesa.

– Politesa? – zapytał Helikaon, marszcząc brwi.

Hektor westchnął.

– Teraz, kiedy Dios i Antifones nie żyją, ojciec... Ojcu nie można już ufać, jeśli chodzi o podejmowanie decyzji. Bardzo dużo straciłeś tego sezonu. Od dzisiaj Polites dowodzi obroną

Troi. Tej nocy już tam nie wrócę. A jutro o świcie Koń Trojański wyjedzie ze Złotego Miasta i nie wróci, dopóki Agamemnon się nie podda. Albo nas nie zniszczy.

Helikaon skinął głową ze zrozumieniem, ale Andromacha zapytała:

- Koń Trojański opuści Troję? Dlaczego?

- Nie możemy dać się zamknąć w mieście, Andromacho – wyjaśnił łagodnie Hektor. – Siłą jazdy jest impet, a jeżeli oblężenie przeciągnie się do jesieni, nie będziemy w stanie wykarmić koni. Wody też będziemy mieli niewiele. Koń Trojański musi mieć swobodę ruchów, aby atakować wroga tam, gdzie najmniej się tego spodziewa. Niszczyć dostawy Agamemnona, wyszukiwać najsłabsze ogniwa jego maszyny wojennej i je przerywać.

- Rozumiem, że muszą opuścić miasto – powiedział Helikaon. – Ale czy musisz iść z nimi, kuzynie? Jeżeli zostaniesz w Troi, dasz nadzieję swojemu ludowi. Polites jest dobrym człowiekiem, ale nie potrafi natchnąć ludzi zapalem, tak jak ty to robisz samą swoją obecnością. Jesteś sercem i duszą Troi. Jesteś tam potrzebny. Mianuj dowódcą jazdy Kalliadesa. Ma giętki, bystry umysł i jest urodzonym strategiem.

- Myślałem o tym wiele i długo – przyznał Hektor. – Ale nie będę miał nic do roboty w czasie oblężenia. Muszę zrobić tę jedną rzecz, w której jestem dobry... – przerwał i westchnął. – Potrafię walczyć i zabijać. Nie mogę tego robić, siedząc za wysokimi murami. – Helikaon otworzył usta, żeby ponownie przemówić, ale Hektor podniósł dłoń. – Podjąłem już decyzję, Helikaonie. Mury są nie do zdobycia. Polites będzie musiał decydować o racjach żywnościowych, opiece dla rannych i zabezpieczeniu bram. Będzie w tym lepszy niż ja.

Spojrzał na nich, przenosząc wzrok z Helikaona na Andromachę.

- Ale wy dwoje musicie wyjechać tak szybko jak to możliwe, kiedy tylko okręt zostanie rozładowany. Helikaonie, *Ksantos* jest jak Koń Trojański. Niewiele może zdziałać, uwięziony w zatoce. Ale jest nieoceniony dla naszej sprawy na otwartych morzach, atakując statki zaopatrzeniowe Agamemnona i zatapiając jego okręty. Nazwa *Ksantos* sieje postrach wśród wszystkich żeglarzy. Musisz sprawić, żeby Agamemnon bał się wieści nadchodzących z jego zaplecza, i zmusić jego sojuszników, aby zaczęli się kłócić, kiedy zaczną tracić okręty i skończą im się zapasy. Im dłużej będzie to trwało, tym bardziej każdy król będzie się martwił o to, co się dzieje u niego w domu, i rozmyślał, który z ambitniejszych przywódców przymierza się do zajęcia jego miejsca i wymordowania jego rodziny.

Helikaon wciągnął głęboko powietrze i skinął głową na znak zgody.

- Menados nie będzie się spodziewał, że tak szybko ponownie wyjdę w morze. – Spojrzał na niebo, gdzie na wschodzie pojawił się pierwszy promień słońca. – Możemy wypłynąć przed świtem.

- Trojańska flota ma rozkaz popłynąć z tobą – powiedział Hektor. – Ty będziesz jej dowódcą. Zatop tyle okrętów Menadosa, ile zdołasz. Chociaż oni boją się twoich miotaczy ognia, więc najprawdopodobniej będą uciekać.

- Kończy się nam neftar – powiedział Helikaon.

- Przywieźliśmy wam dwa pełne wozy. – Hektor uśmiechnął się nieznacznie. – Z wielką ostrożnością. – Wstał i powiedział: – Niech Posejdon patrzy na was przychylnym okiem.

- Zawsze tak było – odparł Helikaon.

Andromacha popatrzyła na mężczyzn i poczuła, jak w jej piersi narasta gniew.

– Mówicie tak, jakby wszystkie decyzje zostały już podjęte. Ale to ja decyduję o mojej przyszłości! Nie płynę z tobą – zwróciła się do Helikaona. – Tak jak planowałam, wrócę do miasta i do syna.

Hektor schylił się do niej i ujął za rękę.

- Andromacho, uciekaj, póki możesz – poprosił. – Błagam cię! Zostań na *Ksantosie*. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wszyscy ci ludzie – wskazał na brzeg rzeki i ciężko pracujących mężczyzn wyładowujących cynę – rankiem będą martwi. Wyżyłowaliśmy nasze szczęście do granic możliwości, wychodząc zza murów. Jeżeli przesznujemy cynę do miasta, do kuźni, gdzie jest potrzebna, będzie to oznaczało, że Atena w istocie nam sprzyja. – Cienie wokół jego oczu się pogłębiły. – A ostatnimi czasy jej twarz była zwrócona w inną stronę.

- I dokąd miałabym się udać, Hektorze?

– Na Terę albo do ojca, do Teb. Nie są już celami ataku.

Pokręciła głową.

- Nie, nie mogę. Agamemnon chce mojej śmierci. Mamy na to wystarczająco wiele dowodów. Dokądkolwiek się udam, sprowadzę na to miejsce niebezpieczeństwo. Jeżeli Troja upadnie, Agamemnon będzie mógł zrobić, cokolwiek zechce, być może nawet zaatakuje Terę i jej kapłanki. Jeżeli jest dla mnie choćby w miarę bezpieczne miejsce, to właśnie Troja. Poza tym jest tam Astinaks.

- Mój syn Deks też – dodał Helikaon. – Dlaczego nie wyprowadziłeś ich z miasta, Hektorze? Powiedziałeś, że kobiety i dzieci są wyprowadzane.

Hektor westchnął.

- Priam nie pozwoliłby odejść chłopcom. Są teraz razem w pałacu. Ojciec mówi, że spadkobiercy Troi i Dardanos będą najbezpieczniejsi w Troi. Lub raczej grożące im niebezpieczeństwo wszędzie indziej będzie większe. A więc to jest twój argument, ukochana. – Spojrzał na Andromachę i uniósł brew. – I jest on mocny.

- To prawda – przyznała. – Agamemnon będzie ścigał ich obydwu. Hektor ma rację, Helikaonie. Deks zostanie z Astinaksem i ze mną. Zaopiekuję się nim.

Stali przez chwilę we troje, po czym, kiedy powoli kierowali się w stronę brzegu rzeki, Helikaon odezwał się do Hektora:

- Menados ma nowy okręt, z dwoma rzędami wiosł, prawie tak duży jak *Ksantos*.

- Wiem o tym – powiedział Hektor. – Nazywa się *Alektruon*. Przeklęte imię. Nie ma serca takiego jak *Ksantos*. To tylko mizerna kopia.

- I nie został zbudowany przez Szaleńca z Miletu – dodał ponuro Helikaon. – Złamie się, kiedy Posejdon zechce się rozhulać.

Na *Ksantosie* wyładunek dobiegł końca. Hektor odwrócił się do swoich towarzyszy i rzekł:

– Obawiam się, że nasza trójka nie spotka się ponownie po tej stronie Ciemnej Drogi. Ta historia nie ma dobrego zakończenia.

Andromacha ujęła jego dłoń.

- Spotkamy się ponownie, Hektorze. Wiem o tym.

Uśmiechnął się.

- Czy to przepowiednia, Andromacho?

- Wiesz, że nie daję wiary przepowiedniom, wizjom ani proroczym snom. Nie jestem Kasandrą. Po prostu czują w kościach, że to jeszcze nie koniec. – Delikatnie ucałowała jego dłoń. – Do następnego spotkania, mężu.

Zauważyła wyraz twarzy Helikaona i poczuła, jakby jej serce rozrywano na dwie części. Stała z dwoma mężczyznami, których kochała, i była bliska utraty ich obu w jednej chwili. I nie mogła dobrze się pożegnać z żadnym z nich. Patrząc w podkrążone oczy Hektora, poczuła znajome ukłucie winy, iż nigdy nie będzie w stanie pokochać go tak, jak na to zasługiwał. Pod intensywnym spojrzeniem niebieskich oczu Helikaona zaś nienawidziła się za to, że rani go, wybierając pozostanie z synem.

Z bólem w sercu przeniosła spojrzenie na dalekie miasto, ukryte w mroku, jedna rzecz była pewna. Przed końcem tej historii czekało ich jeszcze dużo rozpaczy.

XXI. MĘŻOWIE ODWAGI

Z nadejściem świtu *Ksantos* wciąż jeszcze przedzierał się przez wąską *Simoeis*. *Helikaon* stał przy wiosle sterowym i wypatrywał sygnałów od *Oniakosa* będącego na dziobie. Jaśniejące za nimi niebo rzucało na rzekę przed okrętem głęboki cień i *Oniakos* używał długiego znakowanego drąga, aby określić głębokość. Okręt powoli posuwał się naprzód i *Helikaon* dawno już porzucił pierwotny plan zaatakowania *mykeńskiej* floty przed wschodem słońca.

Starał się skupić na planach czekającej go bitwy, ale myślami ciągle wracał do *Andromachy*. W chwili, kiedy tak dawno temu po raz pierwszy zobaczył ją podczas tej naznaczonej nieszczęściem nocy, jego serce popadło w niewolę. Do tamtej pory zawsze mówił swoim przyjaciołom, że ożeni się tylko z miłości. Ale też do tamtej pory nie wiedział, co to miłość. I arogancko zakładał, że decyzja o ożenku będzie należała do niego. Nigdy mu się nie śniło, że beznadziejnie zakocha się w kobiecie, która będzie nieosiągalna, zaręczona z jego najbliższym przyjacielem. Pomyślał, że bogowie patrzą na taką uchwałę z niemalą uciechą.

Pod wieloma względami ostatnie sto dni były najszczęśliwszymi w jego życiu. *Ksantos* stanowił jego prawdziwy dom, jedyne miejsce, gdzie mógł się do końca spełnić. Dzielenie tego domu z kobietą, którą kochał, było prawdziwym szczęściem. Kiedy tej zimy pływali od wyspy do wyspy, zdarzały się momenty, czy to w czasie dobrej czy złej pogody, że spoglądał na *Andromachę* siedzącą na dziobie i wpatrującą się w morze albo przechadzającą się niczym ognistowłosa bogini wśród żeglarzy, z sakwami z wodą. Lub też skuloną i trzymającą się mocno masztu, kiedy okręt przedzierał się przez niespokojne wody. Myślał wtedy, że nigdy nie będzie szczęśliwszy. Była jego gwiazdą północną, stałym punktem, dookoła którego obracał się jego świat. Wierzył bowiem, że tak długo, jak będą biły ich serca, zawsze będą dzielić swój los.

Nie spodziewał się, że tej nocy tak nagle ją straci, i będzie patrzył, jak odchodzi przy jednym z wózków ciągniętych przez osły, ruszając pośród mroku w niebezpieczną drogę do oblężonego miasta. Dokonała wyboru i postanowiła zostać z synem *Hektora*. Nie oglądała się za siebie. Zresztą nawet się tego nie spodziewał.

Wraz ze wschodem promienie słońca przebiły się przez mgłę i oświetliły okręty *trojańskiej* floty czekające w miejscu, gdzie rzeka *Simoeis* wpływała do zatoki. W bladym świetle poranka kołysały się spokojnie ze zwiniętymi żaglami, a wiosłarze odpoczywali na ławkach w oczekiwaniu na działanie. Walczymy w największej wojnie, jaką kiedykolwiek widział świat,

pomyślał Helikaon, naszą najbardziej prawdopodobną przyszłością zaś jest śmierć i zniszczenie, a ty myślisz o ukochanej kobiecie, zamiast kreślić plany bitewne. Jeżeli to właśnie miłość może zrobić z mężczyzną, zapewne byłoby ci lepiej bez niej.

Uśmiechnął się do siebie. Nie wierzę w to, pomyślał.

Oddał ster i poszedł na główny pokład do Oniakosa.

- Zbierz kapitanów trojańskich okrętów – polecił. – Mamy wiele do omówienia.

- Poproszę, aby do nas dołączyli, Złocisty – odpowiedział Oniakos. Odwrócił się, po czym ponownie spojrzął na niego z wahaniem. – Mówi się, że niektóre okręty mykeńskie mają teraz własne miotacze ognia.

Helikaon się roześmiał.

- Nareszcie dobre wieści – powiedział, a Oniakos popatrzył nań ze zdziwieniem. – Oniakosie, nie mają żadnego doświadczenia bitewnego – wyjaśnił. – Wiemy, jak niebezpieczne są pociski z neftarem, i traktujemy je z wielką ostrożnością. W ferworze walki Mykeńczycy najprawdopodobniej wyrządzą więcej szkód sobie niż naszym jednostkom. To dobra wiadomość. Poczekaj, a zobaczysz, przyjacielu.

Trochę trwało, zanim kapitanowie osiemnastu trojańskich okrętów zebrali się razem. Mniejsze galery dryfowały w kierunku *Ksantosa*, aż dowódcy mogli wdrapać się na pokład, czasami przechodząc po drodze przez kilka sąsiednich okrętów. Kiedy Helikaon zobaczył jednostki, kołyszące się i delikatnie uderzające o swoje burty, w jego umyśle zrodził się nowy plan.

W końcu kapitanowie wszystkich okrętów znaleźli się na głównym pokładzie *Ksantosa*. Helikaon znał ich wszystkich i poczuł dumę rozpierającą mu pierś. Wszyscy byli ludźmi znanymi z odwagi i zdolnymi żeglarzami. Wielodniowe oczekiwanie na kotwicowisku w zatoce wszystkich mocno deprymowało. Każdy był skory do działania, ale najmniej cierpliwy z nich był Chromis Kariańczyk, kapitan *Artemizy*, jednego z najszybszych, choć i najmniejszych, okrętów w trojańskiej flocie. Chromis, mężczyzna o czerwonej twarzy i imponujących mięśniach, stał na czele grupy, z rękami wspartymi na biodrach.

- Jest nas dziewiętnastu – powiedział Helikaon, rozglądając się. – Czy mamy dokładny raport na temat liczby okrętów Menadosa?

- Więcej niż pięćdziesiąt – odpowiedział Chromis. – Do dzisiaj połowa patrolowała wybrzeże aż do Zatoki Heraklesa. Jednak pojawienie się *Ksantosa* sprawiło, że Menados

rozkazał wszystkim udać się na Hellespont. Wróg ma nad nami znaczną przewagę liczebną. Ale wie, że będziesz się starał szybko to zmienić, panie.

- Oczekiwania Menadosa są kluczową częścią mojego planu – powiedział w zamyśleniu Helikaon. – Które z waszych okrętów mają miotacze ognia?

- *Najada* i *Tarcza Ilosa* – odpowiedział młody czarnowłosy mężczyzna, który mocno utykał.

- A jakie masz doświadczenie w ich używaniu, Akamasie?

- W bitwie żadnego, panie. Ale moi ludzie na *Tarczy* i załoga *Najady* spędzili wiele dni, ciskając w cele puste gliniane kule. W zatoce niewiele było do roboty, więc ćwiczyliśmy z nudów – mówił Akamas z goryczą. – Nasze załogi zyskały spore doświadczenie w rzucaniu pocisków na inne okręty. – Większość dowódców uśmiechnęła się i rozległy się śmiechy.

- Czy któryś z was widział okręt podpalony neftarem? – zapytał Helikaon chłodnym tonem; jego twarz stężała.

Wszyscy pokręcili głowami. Helikaon skinął głową.

- Tak właśnie myślałem. Musicie zrozumieć, tak samo jak i wasze załogi, że kiedy kula z neftarem uderzy w okręt i się rozbije, jest on skazany na zagładę, zupełnie jakby już spoczywał na dnie Wielkiej Zieleni. Nie czekajcie na ogniste strzały. Cała załoga musi opuścić okręt bez wahania. Czy to jasne? – Spojrzał po wszystkich, wpatrując się w każdego kapitana przenikliwymi oczami, dopóki wszyscy nie skinęli głowami.

- Bardzo dobrze. Wierzę ci, Akamasie, lecz umieszczę część mojej załogi, mającej doświadczenie w bitwach, na pokładzie *Najady* i *Tarczy Ilosa*, aby wam doradzali. Nie czujcie się urażeni. Nie miejcie złudzeń, przed nami ciężka przeprawa. Musimy spożytkować nasze umiejętności tam, gdzie są najbardziej potrzebne. Mamy też dodatkowych wioślarzy z *Boreasza*, którzy uzupełnią braki na ławkach wioślarskich każdej jednostki, która będzie tego potrzebowała.

- Złocisty, być może *Artemiza* nie ma miotaczy ognia – powiedział niecierpliwie Chromis – ale jest o wiele szybsza od niektórych większych okrętów. Jeżeli tylko rozkażesz, możemy poprowadzić Mykeńczyków wesoło tany.

- Szybkość może być niezwykle ważna – zgodził się Helikaon – ale zazwyczaj przy uciekaniu z pola bitwy, a nie płynięciu w jego kierunku.

Inni kapitanowie roześmiali się, Chromis zaś zaczerwienił, obawiając się, że robią z niego głupca.

- Nie drwię z ciebie, Chromisie – zwrócił się do niego Helikaon. – *Artemiza* będzie miała

rolę do odegrania, i to kluczową. Będziesz potrzebował całej szybkości i zwrotności swojego okrętu.

Chromis wyszczerzył zęby i rozejrzał się dookoła z dumą wybrańca.

- A więc, Złocisty, kiedy zaatakujemy? – zapytał. – Im szybciej nasze okręty wychyną na Wielką Zieleń, tym szybciej możemy zacząć się odgrywać i uderzyć na wroga w Zatoce Heraklesa.

- Nie zaatakujemy – odparł Helikaon. – Poczekamy, aż Mykeńczycy nas zaatakują.

Chromis parsknął.

- Ale jak możesz być tego pewien? Są całkiem zadowoleni z tego, że trzymają nas schwytych w zatoce jak... jak kraby w sieci.

- Sam zauważyłeś, że sytuacja znacząco się zmieniła wraz z przybyciem *Ksantosa* – powiedział Helikaon. Spojrzał po zgromadzonych trojańskich kapitanach. – Musimy uzbroić się w cierpliwość. Czyli coś, czego nie mają Mykeńczycy. Są gwałtowni i agresywni. Wykorzystamy to przeciwko nim. Mój plan zaś nie polega tylko na prześlizgnięciu się obok Menadosa i ucieczce. Zamierzam zniszczyć całą jego flotę.

Na wodach Hellespontu dzień mijał z dającą się we znaki powolnością i kiedy słońce zaczęło powoli chylić się ku zachodowi, ciągle nie było oznak, iż *Ksantos* i okręty trojańskie planują wyrwać się z zatoki. Menados zmusił się do zaprzestania spaceru w tę i z powrotem po pokładzie *Alektruona*. Siedział w swoim kapitańskim fotelu i zewnętrznie był wcieleniem spokoju i pewności siebie. Ale za to w myślach aż się gotował – ze złości na przebiegłego Helikaona i na swoją potrzebę, aby wpłynąć do zatoki i rozbić *Ksantosa* na wióry. Jego kapitanowie chcieli rzucić się w ślad za znenawidzoną galerą, ale Menados nie zgodził się na pościg po zmroku.

Pozostałych pięćdziesiąt pięć okrętów znajdowało się teraz na morzu, czy to zebrane przy wejściu Hellespontu, czy patrolujące cieśninę. Wioślarze byli zmęczeni, więc rozkazał, żeby pracowali na zmianę – zawsze wiosłowała połowa stanu. Trudno było znaleźć wioślarzy. Każdy mężczyzna, który mógł sobie pozwolić na pancerz i broń, wołał walczyć na polu, niż znosić upał i zaduch na ławach wioślarskich. Część dowódców wykorzystywała niewolników. Ale było mało prawdopodobne, że zakuci niewolnicy będą pracowali równie ciężko jak wolni ludzie, tak więc załoga *Alektruona* w całości składała się z mykeńskich wojowników, dumnych z przydziału na najwspanialszy okręt w całej flocie.

Kiedy drugiego wieczoru zaczęła zapadać ciemność, z jednostki znajdującej się najbliżej Przylądka Pływów rozległ się okrzyk. Dostrzeżono okręt, który chciał przebić się przez blokadę. Z narastającym podnieceniem Menados rozkazał *Alektruonowi* i czterem najbliższymi okrętami przechwycić intruza. Przeciąć kurs, ale na razie nie atakować, zdecydował.

Wpatrując się w mrok, wkrótce sam mógł się przyjrzeć galerze. Nie był to *Ksantos*, ale mniejszy okręt, z postawionym czarnym żaglem, który zdobił biały księżyc w pełni. Płynął wzdłuż linii wybrzeża, blisko skał przylądka, ryzykując dla uzyskania większej prędkości.

- To nie *Ksantos* – stwierdził siostrzeniec admirała z rozczarowaniem. – Ale może wykorzystują mały statek, aby wywieźć z Troi rodzinę królewską?

- To musiałyby być naprawdę mały statek – uznał sucho Menados. Poza tym, pomyślał, Priam nigdy nie zostawiłby miasta ani swojego skarbcza.

Mały statek ślizgał się po falach, zbliżając się do mykeńskich galer, po czym nagle zwinął żagiel i do roboty wzięli się wiosłarze. W ciągu kilku chwil okręt się odwrócił i szybko pomknął w kierunku zatoki.

- Nie ścigać – nakazał admirał i jego rozkaz szybko przekazano do pozostałych okrętów. Mykeńskie galery powoli odbiły w bok, jakby niechętnie, pomyślał Menados.

Co ten Helikaon kombinuje? – zastanawiał się. Czy sytuacja rzeczywiście przedstawia się tak, jak na to wygląda? Jeden próbujący się przedostać okręt? Nie, Helikaon nie wykorzystałby dwa razy tego samego podstępu. Menados znowu zaczął przechadzać się po pokładzie, oficerowie zaś popatrywali nań z wyczekiwaniem w oczach.

W końcu podjął decyzję. Gdyby Helikaon znowu się prześlizgnął, drugą noc z rzędu, on i jego oficerowie stanęliby w obliczu długiej i bolesnej śmierci z rąk Agamemnona. Nie mógł pozwolić, żeby z zatoki wymknął się choćby jeden statek. Była to kolejna ciemna noc rozświetlana tylko księżycem, musiał więc założyć, że spróbują znowu.

- Dzisiaj nasze załogi nie będą odpoczywać! – zwrócił się do oficerów. – Dziś w nocy wszystkie nasze okręty będą na patrolu!

Helikaon obudził się przed świtem, kiedy światło dnia było jeszcze tylko różowym lśnieniem na wschodzie. Spał głęboko. Poprzedniej nocy wysłał ku wejściu do zatoki dwa okręty, aby odgrywały rolę nocnych stróżów. Reszta załóg porządnie się wyspała i była gotowa na nadchodzący dzień.

Zobaczył galerę trojańską zmierzającą w ich kierunku od strony przylądka, gdzie jej kapitan odebrał raporty o mykeńskiej flocie, uzyskane od usadowionych tam obserwatorów.

– Patrolowali całą noc! – krzyknął radośnie do Helikaona. – Wszyscy ich wioślarze będą zmęczeni jak psy!

Oniakos wyszczerzył zęby do Złocistego.

– Zmęczona załoga i zmęczeni dowódcy – powiedział.

Helikaon skinął głową.

– A zmęczeni ludzie podejmują kiepskie decyzje. Czas, żeby zwabiła ich *Artemiza*.

Po raz drugi patrzyli, jak okręt Chromisa zuchwale rusza w kierunku mykeńskiej floty. Popis umiejętności kapitana i jego załogi zrobił na Helikaonie spore wrażenie. Pomyślał, że Chromis być może lubił się przechwalać, ale miał prawo być dumny. Niech Posejdon darzy go przychylnością.

Załoga *Ksantosa* była zajęta przygotowaniem do bitwy. Gliniane kule pełne neftaru, każda wielkości ludzkiej głowy, transportowano ostrożnie z ładowni do wyłożonych sianem koszy obok miotaczy ognia. Same miotacze były sprawdzane i natłuszczane. Specjalnie przygotowane strzały i piecyki z ogniem trzymano na głównym pokładzie, z dala od neftaru. Każdy członek załogi przywdział skórzany napierśnik oraz wziął miecz i łuk, jak również kołczan pełen strzał. Aby pokrzepić ludzi, na pokładzie rozdawano jęczmienne placki i ser.

Kiedy zrobiło się jaśniej, Helikaon rozkazał swojej małej flocie uformować się w dwie linie – jeden okręt obok drugiego, w kierunku północnym, z dala od wejścia do zatoki. *Ksantos* znajdował się z przodu i na środku. *Tarcza Ilosa* i *Najada*, z miotaczami płomieni, zostały umieszczone na obu końcach pierwszej linii. Obydwa okręty, które przez całą noc patrolowały, przesunięto na tył, na względnie bezpieczne pozycje.

Helikaon wdział napierśnik z brązu i włożył dwa miecze o ostrzach w kształcie liści do pochew na plecach. Brązowy hełm umieścił w zasięgu ręki.

- Dzisiaj ty jesteś sternikiem, Oniakosie – zwrócił się do swojego zastępcy. – Czy strategia jest zrozumiała?

- Tak, Złocisty – odpowiedział Oniakos. Zawahał się. – Jeszcze nigdy nie przegraliśmy bitwy – dodał z troską w oczach. – I jak zawsze, zastosuję się do twoich poleceń bez zadawania pytań. Ale tkwimy w tej zatoce niczym mysz w dzbanie, a wydaje mi się, że zamierzasz jeszcze zwabić do tego dzbana kota.

Helikaon roześmiał się i jego śmiech potoczył się nad wodą, sprawiając, że inni również się uśmiechnęli, co rozładowało napięcie.

– To prawda, że utknęliśmy tutaj – odpowiedział – ale mysz jest bezpieczna tylko w dzbanie. Nieprzyjaciel ma nad nami dużą przewagę, Oniakosie. Nie możemy sobie pozwolić na zaatakowanie Mykeńczyków na otwartym morzu. Zostalibyśmy zatopieni, spaleni bądź też schwytani, co do ostatniego okrętu. A więc musimy zwabić Mykeńczyków do zatoki, gdzie to my dzierzemy wszystkie atuty. Oni są na morzu od tygodni. Są znudzeni i sfrustrowani, a teraz na dodatek zmęczeni. Każdy z mykeńskich kapitanów chce, aby to jemu przypadł zaszczyt zatopienia bądź schwytania *Ksantosa*. A zwłaszcza Menados. Pamiętajcie, że pozwoliłem mu żyć. Nie sądzę, żeby mi to wybaczył.

Oniakos podrapał się po kędzierzawej czuprynie.

– A więc miejmy nadzieję, że połkną haczyk.

Helikaon wzruszył ramionami.

– Tak albo nie. W tym drugim wypadku i tak niedługo zaatakują. To Mykeńczycy. Nie będą w stanie się powstrzymać.

Wydawało się, że oczekiwanie trwało bardzo długo, ale dzielna *Artemiza* w końcu pojawiła się w oddali, okrążając przylądek, popychana przez bryzę z północy. Helikaon obserwował, jak okręt Chromisa ślizga się przez środek zatoki w ich kierunku. Było jasne, że został zaatakowany. W deskach pokładu tkwiły strzały. Podpłynął do *Ksantosa* i Helikaon spojrział w dół. Wprawdzie byli ranni, ale obrażenia wydawały się powierzchowne.

- Byliśmy blisko, Złocisty – zawołał do niego krępy Chromis – ale obawiam się, że nie chwycili przynęty.

- Zajmij swoje miejsce, Chromisie – polecił Helikaon. Spojrział w kierunku Hellespontu na północ. – Wygląda na to, że jesteś w błędzie.

Zza głównego lądu wychynęła mykeńska flota, tuziny okrętów w uporządkowanym szyku. Na oczach trojańskich załóg jednostki nieprzyjaciela ustawiły się do ataku. Helikaon uśmiechnął się, kiedy zobaczył, że pierwsza linia jest długa na dwanaście okrętów. Galery były szeroko rozstawione, zostawiając dużo miejsca na wiosła.

- Dwanaście z przodu – powiedział, szczerząc zęby Oniakos. – Dokładnie tak, jak przewidziałeś.

- Menados nie jest żeglarzem – wyjaśnił Helikaon. – To jeden z przybocznych Agamemnona. Został admirałem po sukcesach w polu. A więc nie zna Zatoki Troi. I zdaje się, że to samo dotyczy jego kapitanów.

Rzeki Simoeis i Skamander wlewały się do Zatoki Troi ze wschodu i południa, niosąc ze sobą osad z wyżej położonych terenów. Wraz z upływem lat wody stawały się coraz płytsze, po każdej stronie zatoki zaś potworzyły się ukryte błotne mielizny. Kapitanowie znający te pułapki obierali ostrożny kurs przez środek, aby uniknąć zagrożeń czyhających po bokach.

Wejście do zatoki było szerokie, ale szybko się zwężało. Przez zatokę mogło płynąć nie więcej niż osiem statków obok siebie. Dwunastki Menadosa będą musiały precyzyjnie przycisnąć się przez kanał, gdzie, na co liczył Helikaon, zaczęły zderzać się wiosłami i ich formacja się rozpadnie. Gdyby atakujące okręty zaczęły zmieniać kurs i odsłoniły swoje boki, *Ksantos* mógłby wykorzystać potężny taran dziobowy.

Taranowanie było manewrem trudnym. Tylko dobrze wyszkolona załoga i kapitan o doskonałym wyczuciu miejsca i czasu mogli liczyć na sukces. W momencie uderzenia taranujący okręt musiał się poruszać z precyzyjnie wyliczoną prędkością: zbyt wolno – przeciwnik mógłby się wycofać poza jego zasięg, za szybko – taran mógłby wejść tak głęboko w kadłub, że zaklinowałby się i wystawił jednostkę na atak.

Kalkeus wyposażył *Ksantosa* w tępo zakończony taran pokryty brązem, który pruł morze tuż poniżej poziomu wody. Celem takiego rozwiązania było nie przebicie kadłuba przeciwnika, ale uderzenie, które obluzowywało deski dookoła miejsca trafienia.

– Na co czekamy? – zapytał szeptem Oniakosa jeden z wiosłarzy.

Ranek powoli mijał wraz ze wspinaczką słońca po nieboskłonie, a mimo to żadna z flot nie uczyniła najmniejszego ruchu.

Helikaon usłyszał pytanie i odpowiedział:

– Czekamy na Kosę. – Następnie zwracając się do Oniakosa, dodał: – Dziś północny wiatr jest naszym sprzymierzeńcem. Być może Menados myśli tak samo, ale się myli.

Silny północny wiatr, który gwizdał na ulicach Troi przez większą część roku, był przewidywalny jak wschód słońca. Lekki poranny wiaterek nabierał siły wraz z upływem dnia. Po południu Kosa potrafiła wyziębnić kości, po czym zamierała wraz z zapadnięciem mroku.

Helikaon spojrzał w górę, na Troję znajdującą się wysoko nad nimi, od strony sterburty. Złote mury lśniły w promieniach słońca i będąc w zatoce, nie sposób było się domyślić, że pod

nimi toczy się wojna. Widział ruch w Dolnym Mieście i tumany kurzu, słyszał też stłumione krzyki, lecz brzmiały one jak dalekie, leniwe szczebiotanie ptaków morskich. Jediną złowrogą oznaką był dym unoszący się z dwóch stosów pogrzebowych. Jeden na zachodzie miasta, a drugi na południu, na równinie Skamandra.

Helikaon przeniósł wzrok na flotę wroga i w końcu poczuł na twarzy zacinający wiatr. Wzniósł miecz, sternicy pobiegli na swoje stanowiska.

Wtedy krzyknął:

– Tempo cztery!

Wioślarze przyłożyli się porządnie do pracy i *Ksantos* wystrzelił do przodu wraz z trzymającymi się przy nim okrętami trojańskimi. Mykeńskie galery u wejścia do zatoki podjęły wyzwanie i również zaatakowały.

Kiedy wioślarze wroga rozpędzili okręty i obydwie floty mknęły ku sobie, Helikaon uniósł i gwałtownie opuścił ramiona.

– Cała wstecz! – krzyknął.

Mocarni wioślarze naparli na wiosła. Trojańska flota znacznie zwolniła, tak jakby dowodzący bał się starcia. Widząc to, mykeńskie okręty przyśpieszyły, zwabione głębiej na wody zatoki. Przez chwilę utrzymywały klasyczną formację do ataku.

A potem, kiedy Helikaon przyglądał się zmrużonymi oczami, okręty na obu końcach pierwszej linii wpłynęły na mielizny i straciły rytm, wpadając na jednostki płynące obok, a zmęczeni wioślarze zaczęli zderzać się wiosłami. Nie dostrzegając tego, środek linii ciągle parł do przodu wprost do zwężającego się kanału. Helikaon raz jeszcze wydał rozkaz do ataku i trojańska flota ponownie ruszyła naprzód. Oficerowie na *Alektruonie* w końcu zorientowali się, że okręty na końcach ich linii szamoczą się bezradnie w płytkiej wodzie z zaklinowanymi wiosłami. Wydano rozkaz zwolnienia tempa, ale druga i trzecia linia okrętów, które płynęły szybko, aby czym prędzej przyłączyć się do akcji, dodatkowo popychane przez Kosę, nie były w stanie się zatrzymać. Mknące galery z tyłu zaczęły się wbijać we własne linie.

Helikaon dostrzegł, że okręt z drugiej linii uderzył w wiosło sterowe *Alektruona*, powodując, że okręt flagowy Menadosa zaczął się obracać. Jego burta znalazła się w zasięgu *Ksantosa*.

– Taran! – krzyknął.

Alektruon ciągle sunął naprzód z dziobem bezradnie dryfującym na sterburtę, kiedy uderzył w niego Złoty Okręt. Dopiero kilka uderzeń serca przed zderzeniem Helikaon zakrzyknął:

– Cała wstecz! – I zdyscyplinowani wiosłarze zaczęli wycofywać okręt.

Dwie galery zderzyły się z odgłosem porównywalnym z gromem Zeusa. *Ksantos* uderzył cel tuż za dziobem, zakołysał się, po czym się wycofał. Na głównych pokładach obydwu okrętów wojownicy czekali z linami, hakami, mieczami i tarczami w pogotowiu. Ale wielu straciło równowagę w momencie uderzenia i *Ksantos* wycofał się na znaczną odległość, zanim członkowie załogi któregoś z wrogich okrętów mogli przeskoczyć. Helikaon poczuł zimny dreszcz triumfu. Wiedział, że *Alektruon* jest zgubiony. W momencie zderzenia poczuł, jak galera pęka, kiedy puściły deski położone poniżej poziomu wody.

Na pokładach mykeńskich okrętów wybuchła panika. Ich jeszcze do niedawna dumny okręt flagowy zaczął przechylać się na prawą burtę, galery zaś po obu stronach formacji miały się w płytkiej wodzie i gęstym błocie. Rozległy się gniewne okrzyki i przekleństwa, kiedy spanikowane załogi zaczęły się nawzajem obwiniać. Potem, tak jak przewidział Helikaon, wystrzelili z miotaczy ognia.

Rozkazał, aby jego flota oddaliła się tak szybko jak to możliwe. Niektóre z lecących glinianych kul wpadły do wody w pobliżu trojańskich okrętów, ale żaden z miotaczy przeciwnika nie miał wysokości ani zasięgu tych znajdujących się na *Ksantosie*. Helikaon poinstruował załogę obsługującą miotacze ognia, aby była w pogotowiu.

Ale było to niepotrzebne.

Na oczach trojańskich i dardańskich załóg dwie kule z neftarem wyrzucone przez mykeńskie galery uderzyły w okręty własnej floty. Helikaon szybko wydał rozkaz, aby łucznicy skierowali na nie ogniste strzały. Obydwa cele z sykiem stanęły w płomieniach. Kadłuby były uszczelnione smołą, więc ogień rozprzestrzeniał się z przerażającą łatwością. Załogi rzucały się w wody zatoki, a niektórzy wbijali się po pas w lepkie błoto.

Wkrótce już cała mykeńska flota stała w płomieniach, kiedy ogień dosięgnął kul z neftarem na innych okrętach bądź przewróciły się piecyki. Żeglarze, którzy utknęli w środku huraganu ognia, umierali z krzykiem na ustach. Jeszcze więcej ich zginęło, kiedy wpłynęli w zasięg trojańskich strzał. Inni dopłynęli do brzegu Przylądka Pływów i zostali zabici przez trojańskich żołnierzy, którzy kontrolowali ląd. Kilku niedobitków dotarło do położonej na wschodzie plaży i stacjonującej tam mykeńskiej armii.

Z daleka dobiegły słabe okrzyki radości i Helikaon spojrział na mury Troi, gdzie tłumy zgromadziły się, aby oglądać zniszczenie floty wroga. Rozkazał marynarzom z dwóch swoich

okrętów, aby wyłowili rozbitków w celu przesłuchania, po czym ruszył na tylny pokład *Ksantosa*.

Oniakos pokręcił głową w podziw, jego twarz była blada.

– Stracili więcej niż pięćdziesiąt okrętów i setki ludzi, my zaś mamy tylko trzech żeglarzy z ranami od strzał – powiedział, ledwie wierząc w to, co właśnie się wydarzyło. Spojrzał na Helikaona. – Wiele mykeńskich okrętów było napędzanych siłą niewolników przykutych do ławek. Cóż za okropna śmierć!

Helikaon wiedział, że Oniakos przypomina sobie wydarzenia z Zatoki Błękitnej Sowy, kiedy to sprzeciwiał się losowi zgotowanemu mykeńskim piratom.

– Nie życzyłbym im takiej śmierci – powiedział. – Wojna czyni z nas wszystkich okrutników. Nie ma zwycięstwa, z którego można być dumnym. Ci Mykeńczycy i ich niewolnicy skazali się na śmierć przez ignorancję, arogancję i niecierpliwość.

– *Alektruon* to przeklęte imię – stwierdził Oniakos.

Helikaon skinął głową.

- To prawda. Mało prawdopodobne, żeby Agamemnon chciał zdenerwować Posejdona, nazywając tak kolejny okręt. Teraz mamy tylko jeden problem.

- Tak, panie?

- Musimy opuścić zatokę, zanim Agamemnon będzie miał czas na wysłanie kolejnej floty z Imbros albo z Zatoki Heraklesa. A nasza droga jest zablokowana. – Helikaon zaklął. – Okręty mogą płonąć do zmroku.

- Neftar płonie gwałtownie, ale odkryliśmy, iż stosunkowo szybko się wypala – krzyknął do nich Akamas, kapitan *Tarczy Ilosa*. – Wtedy się przekonasz, iż *Tarcza* i inne okręty mogą przepłynąć tam, gdzie nie da rady wielki *Ksantos*, *Złocisty*.

Kiedy czekali na wygaśnięcie pożarów, Helikaon przesłuchiwał część Mykeńczyków, których wyłowiła jego załoga. Większość była prostymi żeglarzami, którzy nic nie wiedzieli. Zostali zabici i wrzuceni w wody zatoki. Uratowano jednego oficera, ale umarł od oparzeń, zanim powiedział cokolwiek ważnego.

Kiedy *Artemiza* po raz ostatni wyruszyła w kierunku mykeńskiej floty, słońce chyliło się ku zachodowi. Wykorzystując wiosła jako bosaki, załoga utworzyła wąski kanał w dymiącej masie pocerniałego drewna, wynajdując i usuwając podwodne zagrożenia, jak również wyławiając większe kawałki wraków. Za nią rzędem popłynęły kolejne okręty, od najmniejszego do

największego – każdy z nich przez wejście do zatoki poszerzał drogę ucieczki.

W końcu dwa okręty, *Najada* i *Delfin*, wróciły. Załoga *Ksantosa* rzuciła liny i dwa trojańskie statki pohołowały wielką galerę kanałem utworzonym przez inne jednostki. Wciągnawszy wiosła, załoga *Ksantosa* w ciszy patrzyła na mijane upiorne wraki z setkami zwęglonych zwłok na pokładach. Niektórzy ze spalonych żeglarzy ciągle stali w miejscu, znieruchomiali w momencie śmierci. Większość zginęła przykuta do wioślarskich ławek, z ciałami powykęcanyimi w żarze. Wielu żeglarzy z załogi *Ksantosa* odwracało się, do głębi poruszonych zgrozą oglądanej sceny. Mykeńskie okręty tu i ówdzie ciągle się tliły i unoszący się smród był nie do wytrzymania.

Upłynęło sporo czasu, zanim umykająca flota wypłynęła na otwarte wody i świeższe powietrze. Kiedy słońce dotknęło horyzontu, *Ksantos* i jego mała świta pomknęli w kierunku Hellespontu i dalej w stronę bezpiecznej Wielkiej Zieleni.

Tak jak przez większość dnia, Andromacha stała na zachodnim murze Troi, obserwując wydarzenia rozgrywające się w zatoce. Nie przyłączyła się do wiwatów, które rozbrzmiewały wokół, kiedy płonęła mykeńska flota. Stała sztywna i cicha, obawiając się, że jeżeli otworzy usta, zaleje się łzami. W sercu ostatni raz żegnała się z mężczyzną, którego kochała ponad wszystko. Kiedy zaczęło się robić chłodno, ludzie wrócili do domów bądź baraków, ale ona stała, dopóki na murach nie został nikt poza nią i jej czterema przybocznymi.

Wcześniejsza nocna podróż do miasta okazała się spokojna. Sznur osłów przeszedł równinę Simoeis, po czym ruszył północnym skrajem płaskowyżu, na którym zbudowano Troję. Kiedy zbliżali się do miasta, Andromacha mogła dostrzec światła wysoko w górze. Były to okna komnaty królowej na ścianie wysokiego klifu, zwrócone ku północy. Było mało prawdopodobne, żeby żołnierze wroga stacjonowali pod gołą skalną ścianą. Ale kiedy dotarli do podnóża północno-wschodniej fortyfikacji, wysłano przodem zwiadowców z zadaniem sprawdzenia, czy droga do Bramy Dardańskiej jest bezpieczna. Czekali w mroku, wiedząc, że mają do przejścia tylko kilka kroków. Ale były one najbardziej niebezpieczne. Gdyby oddziały Agamemnona dotarły do bramy, byliby zgubieni. Wydawało się, że minęły wieki, zanim zwiadowcy zameldowali, iż droga jest otwarta. Karawana osłów bezpiecznie skryła się za murami miasta.

Spotkanie z Astinaksem było pełne radości. Kiedy objęła chłopca, ciepłego, zaspanego i zdziwionego nagłą pobudką w środku nocy, zobaczyła inne dziecko, jasnowłose i blade, stojące

w nocnej koszulce w rogu pokoju. Ciągle tuląc syna, uklękła i uśmiechnęła się.

- Deks? – zapytała łagodnie i malec tępo skinął głową. Zobaczyła, że jego twarz jest mokra od łez, jakby zasnął zmęczony płaczem. Objęła go i przytuliła. – Jestem Andromacha – wyszeptała – i będę się tobą opiekować, jeżeli zechcesz. Chcesz zostać tu z Astinaksem i ze mną? – Usiadła i spojrzała w jego ciemne oczy. Chłopiec coś powiedział, ale tak cicho, że nie dosłyszała. Pochyliła się do jego ust i poprosiła: – Powtórz, Deks.

- Gdzie jest Słoneczna Kobieta? Nie mogę jej znaleźć – wyszeptał chłopiec.

Teraz, stojąc na zachodnim murze, patrzyła, jak północny wiatr rozwiewa kłęby dymu nad spaloną flotą. Zdała sobie sprawę, że rozwiewa się też mgła, która w poprzednich dniach spowijała jej myśli, mgła zrodzona ze sprzecznych uczuć, strachu i zmęczenia. Cieszyła się z powrotu do Troi, gdzie było jej miejsce, u boku synka i jego małego osieroconego kuzyna. Była niczyją kochanką, niczyją córką, niczyją żoną. Jeżeli wszyscy mają umrzeć, tak jak się obawiała, to będą razem. Będzie broniła dzieci do końca i zginie razem z nimi.

Poczekwała, aż *Ksantos* dotarł do wejścia do zatoki, uniosła ramię w pożegnalnym geście, którego nikt nie widział, i z sercem bijącym spokojnie pierwszy raz od wielu dni ruszyła do pałacu, do swojego domu.

XXII. ZDRAJCY U BRAMY

Na zachodnim murze stał również przyglądający się wszystkiemu Kalkeus, ale kiedy mykeńskie okręty zaczęły płonąć, odwrócił się i odszedł ze spuszczoną głową. Wiedział, że Złocisty ucieknie z ognistego piekła i przedostanie się na *Ksantosie* na otwarte morze. Wynalazca nie miał ochoty oglądać dalszych scen.

Pomyślał, że w istocie jest to Okręt Śmierci. Nazwę tę nadali mu cypryjscy szkutnicy, którzy go zbudowali, ale odmówili wypłynięcia na nim, obawiając się, że będzie on wyzwaniem dla Posejdona, który zatopi arogancką załogę.

Jednak Kalkeus zaprojektował *Ksantosa* jako statek kupiecki, który byłby w stanie szybciej od konkurencji przewieźć więcej towarów i, co najważniejsze, był wystarczająco solidny, aby zmierzyć się z burzliwymi morzami na wiosnę i w lecie, co pozwoliłoby przedłużyć sezon o wiele dni, podczas gdy inne statki powróciłyby już do swoich bezpiecznych portów. Efekt przeszedł jego najśmielsze oczekiwania, gdyż w poszukiwaniu cyny *Ksantos* przepłynął zdradzieckie zimowe wody aż na daleki zachód i z powrotem. Kalkeus oczekiwał jego powrotu, gdyż chciał omówić to wszystko ze Złocistym i usłyszeć, jak chwali on jego umiejętności budowniczego okrętów, jak również porozmawiać o ewentualnych modyfikacjach, których mógł dokonać.

Zamiast tego obserwował, tak samo jak tego przeklętego dnia w Zatoce Niebieskiej Sowy, jak w cieniu żagli Okrętu Śmierci płonęli ludzie.

Powtarzał sobie, że Mykeńczycy to nieczuła i bezwzględna rasa. Sami sprowadzili na siebie zagładę. Ale miotacze ognia były jego wynalazkiem. To on zbudował je dla Helikaona, aby odstraszać piratów i bandytów, a teraz ogarnął go smutek z powodu losu ludzi zabitych w tak okrutny sposób na skutek bezrozumnego skopiowania broni ogniowej *Ksantosa*. Mówiono o nim Szaleniec z Miletu. Kalkeus pomyślał, że może to racja. Tylko szaleniec mógłby stworzyć tak śmiercionośną broń.

Przepchnął się przez podekscytowane tłumy Trojan, którzy wiwatowali, pokazując na płonące okręty, po czym zszedł po schodach z zachodniego muru i ruszył labiryntem ulic na północny wschód. Idąc, rozglądał się i patrzył dookoła zatroskanym wzrokiem. Kiedy pierwszy raz przybył do Troi, miasto prezentowało się wspaniale, niepodobne do żadnego innego na

świecie. Dachy wielkich pałaców pokryte były brązem i zdobione wizerunkami legendarnych stworzeń. Siedziba Priama pyszniła się dachem z czystego złota, który lśnił, odbijając promienie słońca, i który żeglarze widzieli już z daleka. Na szerokich, brukowanych ulicach gromadzili się szlachetnie urodzeni mieszkańcy w drogich strojach o jasnych kolorach, ozdobieni biżuterią, spragnieni nowych widoków i sami wystawiający się na widok. Cały świat przybywał do Troi, aby zachwycić się jej pięknem, jak również czerpać korzyści z jej bogactwa.

A teraz świat przybył do Troi, aby rzucić ją na kolana i splądrować skarby.

Ulice zastawione były budami i barakami skleconymi przez uchodźców z Dolnego Miasta, którzy liczyli na bezpieczeństwo za wielkimi murami. Setki tych chat, zbudowanych z surowego drewna i skór, tuliło się do wysokich pałaców bogaczy. Mieszkali w nich kupcy i rzemieślnicy, część z nich pracowała – jeżeli mieli materiały. Ale większość żyła nadzieją, że wojna wreszcie się skończy i będą mogli powrócić do swoich zawodów i znowu zarabiać.

Panowała atmosfera strachu i złości, niewielu ryzykowało wyjście po zmroku. Zaczynało brakować jedzenia i składy ze zbożem były dobrze pilnowane, tak samo jak piekarnie. Woda też zaczynała być problemem. W obrębie murów znajdowały się dwie studnie, ale większość wody w mieście pochodziła ze Skamandra, znajdującego się teraz za liniami wroga, i z Simoeis, z której od czasu do czasu przywożono wozami napelnione beczki. Studnie miejskie również były strzeżone, aby wśród oczekujących spragnionych ludzi nie wybuchały bójk. Trzeba też było zabezpieczyć mizerne zapasy wody przed zatruciem przez agentów wroga.

Kalkeus przebił się przez zadziwiająco płataninę uliczek utworzonych przez baraki. Wydawało się, że ich rozkład zmienia się z dnia na dzień. W jednym miejscu ścieżka, którą podążał, skończyła się ślepym zaułkiem, więc zaklął sfrustrowany. Myślał, że w cuchnącej i ciemnej uliczce jest sam, ale usłyszał głos kobiety.

– Dam ci kilka chwil, których nie zapomnisz do końca życia, panie. Tylko jeden miedziany pierścień. – W drzwiach jednej z bud siedziała chuda dziewczyna, z oczami podkrążonymi ze zmęczenia i rozczarowania; jej policzki zdobiły jasne plamy czerwonej farby. Przechyliła głowę i uśmiechnęła się do niego – wtedy zobaczył, że ma szare i zgniłe zęby.

Nerwowo pokręcił głową i pośpieszył z powrotem alejką, w końcu odnajdując drogę na plac przed pałacem Priama. Wielkie drzwi były otwarte, portyk z czerwonymi kolumnami zaś jak zawsze był strzeżony przez rząd Królewskich Orłów w brązowych napierśnikach i wysokich hełmach z ochroniaczami na policzki, zdobionych srebrnymi i białymi piórami.

Kalkeus spojrział w górę na błyszczący złoty dach, symbol bogactwa i potęgi Priama. Na rozkaz Hektora z dachów innych pałaców zdarto brąz, aby przekuć go na broń. Został tylko ten jeden, błyszcząca przynęta przyciągająca wrogów, urągająca im i zapraszająca, aby po nią sięgnęli.

Ruszył dalej. Przy Bramie Dardańskiej pod północno-wschodnimi fortyfikacjami zatrzymał się, zmuszony poczekać, aż wjedzie karawana wózków ciągniętych przez osły. Dwa załadowane były beczkami z wodą. Inne zajęte były przez rodziny i dobytek, płaczące dzieci i podenerwowane matki, mężowie dreptali obok. Jeden z wozów wyładowano chwiejną stertą klatek z kurczakami.

Podszedł do niego ogorzały strażnik.

- To znowu ty, kowalu. Lubisz ryzykować, prawda? Któregoś dnia Agamemnon zaatakuje tę bramę, a wtedy mamy rozkaz zamknąć ją i zabezpieczyć. Nie byłoby dobrze, gdybyś utknął na zewnątrz.

- Zamknięcie miasta nie leży w najlepszym interesie Agamemnona, jeszcze nie teraz – odpowiedział Kalkeus, który nie miał ochoty wdawać się w dyskusję z tym człowiekiem.

- Wypuszcza rodziny – kontynuował żołnierz. – Moja żona i dzieci wyjechały dwa dni temu, aby szukać schronienia w Zelei.

- Ilu dzisiaj wyjechało, a ilu przyjechało?

Strażnik zmarszczył brwi.

- Jestem tu od świtu i widziałem ponad pięćdziesięcioro wjeżdżających. Wyjechały dwie rodziny.

- A więc do miasta przychodzi więcej osób, niż z niego odchodzi – warknął Kalkeus, zdenerwowany brakiem rozumności mężczyzny. – Idioto, nie rozumiesz, że właśnie tego chce Agamemnon? Troi przeładowanej uchodźcami, którzy wyjadają zapasy zboża i wypijają cenną wodę. Oni nie przydadzą się miastu. Nie przynoszą ze sobą broni, większość z nich nie potrafi walczyć. To farmerzy i ich rodziny. Sprowadzają tylko strach... – Wskazał na kobiety i dzieci, po czym wydusił z siebie: – I dzieci!

Strażnik spojrział na niego ze złością.

- To dlaczego wróg pozwala ludziom wyjeżdżać? – zapytał gniewnie.

Kalkeus ugryzł się w język, po czym ruszył w kierunku bramy. Wiedział, że rodzina żołnierza już nie żyje. Tych ludzi zabijano, kiedy tylko zniknęli z pola widzenia, tak że nie

można było tego zobaczyć z murów miasta. Agamemnon nie pozwoli opuścić Troi dzieciom, wiedząc, że w mieście są syn Hektora i spadkobierca tronu Dardanii.

Poza murami spojrzął na obóz wroga odległy o niecałe dwieście kroków na południe, po czym ruszył wybrukowaną drogą na północ od równiny, kuląc się przed wiatrem. W końcu dotarł do szeregu opustoszałych kuźni.

Kuźnie rozświetlały ten teren od momentu narodzin miasta. Z północy dął silny wiatr, uderzając w wysokie wzgórza i rozpalając paleniska do temperatury, której nigdy by się nie osiągnęło za pomocą miechów. Ale kiedy rozpoczęła się wojna, Priam rozkazał wszystkim swoim mistrzom kowalskim skryć się za murami miasta i teraz kuźnie stały porzucone. Interesował się nimi tylko Kalkeus.

Kiedy był jeszcze bardzo młody, zdał sobie sprawę, że myśli w odmienny sposób niż inni. W jego głowie ciągle roily się nowe idee. Nie miał wyrozumiałości dla ludzi niepotrafiących znaleźć rozwiązań prostych problemów, które dla niego były oczywiste. Był ciekawy świata i wszędzie widział wyzwania. Kiedy obserwował wioślarzy, zastanawiał się, co można by zrobić, aby okręt płynął szybciej. Instynktownie rozumiał, dlaczego jeden dom runął w czasie zimowej nawałnicy, podczas gdy inny w pobliżu pozostał nienaruszony. Nawet kiedy wcześniej odrzucał awanse dziwki, część jego umysłu zastanawiała się, z czego zrobiona była czerwona farba, którą umalowała ona policzki, jak również dlaczego zęby jednych ludzi psują się szybciej niż innych.

Ale jego obsesją od dziesięciu albo i więcej lat były poszukiwania materiału, z którego można by wykuć miecz doskonały.

Wszyscy znali grudy szarego metalu, który spadał z niebios. Większość myślała o nich jako o darze Aresa. Były cenione i bardziej wartościowe od złota. Priam miał kilka w swoim skarbcu, jak również wykonane z zimnego szarego metalu mniejsze przedmioty – broszki oraz kilka grotów strzał.

Mówiono, że Hetyci nauczyli się robić z owego gwiazdnego metalu miecze, ale pilnie strzegli swego sekretu. Kalkeus nigdy nie widział takiej broni, ale wierzył opowieściom. W ciągu lat zebrał kilka kawałków metalu i badał. Odkrył, że nie można ich zadrapać za pomocą brązu, było to możliwe tylko przy użyciu kamieni szlachetnych. Wierzył, że istnieje sposób, aby przekuć ten metal na miecz mocniejszy od najlepszego brązu, miecz, który mógłby się zginać, a nie pękać, jak również pozostał ostry i wystarczył wojownikowi na całe życie.

Największym zaskoczeniem w czasie jego badań było to, że kawałki metalu czerwieniały

i korodowały, gdy pozostawiło się je w wodzie. Kruche czerwone resztki sprawiły, że zaczął rozmyślać o czerwonych skałach wykopywanych na terenie całego kraju przy okazji wydobywania złota i ulotnej cyny – skałach uważanych za bezwartościowe i wyrzucanych przez górników. Zatrudnił robotników, którzy przywieźli pełne wozy owej czerwonej skały do jego kuźni. Inni kowale szydzili z niego, kiedy rozgrzewał je nad paleniskiem. Doprowadzony do temperatury, w której topiła się miedź, nowy metal nie spełnił jego oczekiwań – nie stał się płynny i elastyczny, odłączając się od szklistych włókien i niespalonego węgla. Jedyne, co zostało, to szara, gąbczasta masa, która po schłodzeniu pękała pod uderzeniem młota.

Sfrustrowany, przez dłuższy czas rozmyślał nad tym problemem. Widząc, że metal można osłabić wodą, uznał, iż musi go wzmacniać ogień. Potrzebował wyższych temperatur. Przekonał króla Priama, aby sfinansował większe piece, wyższe niż jakiegokolwiek wcześniej w Troi, tak żeby szara masa mogła zostać szybko rozgrzana do tego stopnia, aby w pełni się stopiła i wypuściła swój czysty metal. Sąsiadujący z nim kowale początkowo się z niego śmiali, ale przestali, kiedy dwa pierwsze piece spłonęły, zabierając ze sobą pobliskie kuźnie. Potem do Troi zawitała wojna, mistrzowie kowalscy posłuchali rozkazu króla i przenieśli się do miasta.

Ale nie Kalkeus. Teraz, pozostawiony w końcu sam sobie na zboczach, z dala od ciekawskich oczu i kpiących komentarzy, spojrzął na olbrzymi komin, który budował. Otoczony drewnianym rusztowaniem, już teraz miał wysokość dwóch mężczyzn. Zacierając ręce, Kalkeus zabrał się do pracy.

Zanurzona w miękkiej stercie słodko pachnących prześcieradeł i miękkich poduszek, Andromacha spała długo, głębokim snem osoby nieprzyzwyczajonej do wygody prawdziwego łóżka. Kiedy obudził ją tłumiony szloch, słońce było już wysoko na niebie.

Przeciągnęła się leniwie, po czym przewróciła na drugi bok i usiadła.

– Czemu płaczesz, Akso? Stało się coś złego?

Służąca, stawiająca dużą miskę perfumowanej wody na stole, odwróciła zapłakaną twarz w jej kierunku.

- Przepraszam, pani. Jesteś taka zmęczona. Nie chciałam cię obudzić.

- Myślałam, że się ucieszysz z mojego powrotu – droczyła się z nią Andromacha, przeczesując dłońmi gęste, płomienne włosy i odgarniając je do tyłu.

Aksa uśmiechnęła się blado.

- Oczywiście, że się cieszę, pani. Ale kiedy tylko bezpiecznie wróciłaś, odszedł mój Mestares. – W jej oczach ponownie błysnęły łzy i zwiesiła głowę. – Przepraszam, ale boję się o swoje dzieci, księżniczko. Wróg wypuszcza kobiety z dziećmi. Chciałam wyruszyć do Frygii. Wiem, że to daleko, ale mam tam rodzinę. Moje dzieci byłyby bezpieczne. Ale Mestares mi nie pozwolił. Zakazał mi opuszczać miasto. Pani, nie narzekałam, gdy był tutaj ze mną. Ale teraz Koń Trojański wyjechał w nocy. A on nic mi nie powiedział. Ani słowa.

- Wiem. Wyruszyli o świcie.

– Nie, pani, w środku nocy.

Andromacha skinęła głową w zamyśleniu.

– Hektor nie może nikomu ufać. Przez cały czas, kiedy do miasta napływają uchodźcy, Agamemnon będzie wysyłał razem z nimi swoich szpiegów. Mestares nie mógł ci powiedzieć, dokąd się udaje. Być może nawet sam tego nie wiedział. Hektor powiedział mi, że wyruszą o świcie. Widzisz, nie mógł powiedzieć prawdy nawet mnie.

Aksa pociągnęła nosem i otarła łzy.

– Wszyscy mówią, że jesteśmy bezpieczni za wielkimi murami. Wierzysz w to, pani, prawda? Wróciłaś.

Andromacha nie potrafiła jej okłamać.

- Nie wiem, Akso. Wróciłam, ponieważ tu jest mój syn. Gdzie przebywa teraz?

- Chłopcy bawią się w ogrodzie. Bardzo się zaprzyjaźnili. Miło widzieć, że tak razem bez troski i grają.

Słyszając jej słowa, Andromacha poczuła jednak ukłucie strachu. Rozmowa o szpiegach sprawiła, że poczuła się mniej pewnie.

– W ogrodach? Czy ktoś ich pilnuje?

Aksa skinęła głową.

– Cały czas są pilnowani, pani. Księżę Hektor osobiście wybrał im strażników. Są bezpieczni.

Księżniczka zobaczyła, że twarz pulchnej służki znowu się zachmurza, kiedy ta pomyślała o swojej trójce dzieci, więc szybko rzuciła:

- Myślę, że dzisiaj włożę szkarłatną suknię.

- Oho, podróże cię odmieniły, pani – zauważyła zdziwiona Aksa. – Zazwyczaj nie przywiązujesz wagi do stroju. Poza tym rzadko nosisz tę szkarłatną szatę. Mówiłaś, że wyglądasz

w niej jak... – ściszyła głos – ... jedna ze służek Afrodyty.

Andromacha się roześmiała.

– Spędziłam całą zimę, mając tylko trzy suknie. Niedobrze mi się od nich robi i jestem nimi zmęczona. Wynieś je i spal. Może nawet sama to zrobię. A teraz, Akso, musisz opowiedzieć mi o wszystkich pałacowych plotkach, które mnie ominęły. Słyszałam, że księżniczka Kreusa uciekła z miasta.

Zasłona w drzwiach się odsunęła i do środka weszła służąca, skośnooka Penthesilea.

- Pani, król chce cię widzieć.

- Dziękuję, Penthesileo. Akso, nasze plotki będą musiały poczekać. Szybko, pomóż mi się przygotować.

Kiedy Andromacha przybyła do megaronu Priama, zbliżało się południe i ciepłe powietrze niesło nadzieję lata. Mimo to atmosfera wewnątrz była zimna i ponura. Kiedy podeszła do ozdobnego, pozłacanego tronu, na którym w otoczeniu sześciu Orłów, z Politesem i Polidorosem u boku, siedział Priam, poczuła gęsią skórę na ramionach.

Podchodząc bliżej, Andromacha zauważyła, że król wygląda na wymizerowanego i kruchego. Odnosiła wrażenie, że starzec zapadł się w głąb samego siebie. Pamiętała pełnego sił i wigoru potężnego mężczyznę, którego spotkała pierwszy raz na Wielkiej Wieży. Potem spojrzała mu w oczy i zadrżała. Król, którego kiedyś znała, mimo iż okrutny i kapryśny, miał umysł niczym ostrze miecza. Teraz wszystko, co widziała w jego oczach, to zimna pustka. Przypomniała sobie, jak Kasandra opisywała oczy Agamemnona.

– One są puste. Nie ma w nich duszy.

Czy wszyscy królowie tak kończą? – pomyślała.

– Andromacho – powiedział znajomy, choć łamiący się i słaby głos. – Zbyt długo nie było cię wśród nas. Opowiedz o swoich podróżach.

Stojąc przed królem niczym grzeczna dziewczynka, Andromacha zaczęła opowiadać o minionych wydarzeniach – pojedynku między Helikaonem a Persjonem, rozmowie z Ifigenią, podróży do Siedmiu Wzgórz oraz o powrocie z ładownią pełną cyny. Pominęła tylko atak na Itakę. Opisała wszystko szczegółowo, więc zajęło to dużo czasu. Kiedy skończyła swoją opowieść, była przemarznięta do szpiku kości. Przez cały ten czas przyglądała się królowi, zastanawiając się, ile informacji do niego trafia. Jego oczy stawały się czasami rozkojarzone, a potem powoli zwracały się na nią.

W końcu zamilkła. Nastąpiła długa przerwa, po czym Priam zapytał:

- A Itaka? Zapomniałaś o tym opowiedzieć. Z pewnością był to jeden z najbardziej interesujących momentów podróży.

- Itaka, mój królu?

Nachylił się do przodu, zobaczyła, że białka jego oczu są żółte.

- Na Wielkiej Zieleni mówi się, że Odyseusz zaatakował własny pałac, aby ocalić swoją żonę. Był z nim Achilles. Widziano tam też *Ksantosa*. Eneasza pomaga swojemu dobremu przyjacielowi, a naszemu wrogowi. Wiem o wszystkim, co się dzieje na Wielkiej Zieleni, dziewczyno. Nie próbuj mnie przechytrzyć.

Andromacha nic nie powiedziała. Król zakasłał boleśnie, po czym kontynuował ostrym głosem:

- Ogłaszam Eneasza wrogiem Troi. Kiedy powróci do miasta, zostanie stracony. Słyszysz, Politiesie?

- Tak, ojcze. – Księżę pochwycił wzrok Andromachy i pokręcił lekko głową. – Ojcze, jesteś zmęczony. Musisz odpocząć.

Priam nie zwrócił na niego uwagi.

- Nie włożyłaś sukni, którą ci dałem – powiedział do Andromachy.

- Panie? – Spojrzała w dół na szkarłatną suknię.

- Zdobioną złotem szatę i szal. Powiedziałaś, że włożysz je dzisiaj. – Stary król raz jeszcze pochylił się w jej kierunku, marszcząc brwi. Potem wyciągnął rękę o szponiastych palcach i przyciągnął ją do siebie. Ciągłe był silny i Andromacha poczuła jego nieświeży oddech na swoim policzku, ciepły i zdradzający oznaki gorączki. Zaciśnięte palce trzymały jej ramię niczym szczęki imadła. – Kim jesteś? – zapytał chrapliwym głosem. – Nie jesteś moją Hekabe. Czy jesteś jednym z duchów? Powtarzam wam, nie boję się was!

- Jestem Andromacha, żona Hektora – powiedziała spokojnie.

- Gdzie jest Hekabe? – Puścił ją i odtrącił, rozglądając się dookoła. – Powiedziała, że włoży złotą suknię.

Polidoros zbliżył się i podsunął staremu królowi złoty puchar, Polites zaś podszedł do Andromachy.

- Możesz już iść – powiedział cicho. – Znam jego nastroje. Jego umysł zwrócił się teraz ku przeszłości i już o tobie zapomniał.

- Hektor mówił, że królowi nie można ufać. Nie wyjaśnił jednak niczego – rzekła Andromacha, kiedy wyszli z megaronu na świeże powietrze.

Polites opowiedział jej o odwrocie oddziału Skamandryjskiego i o spaleniu mostów, czego wysłuchała z przerażeniem.

- Ale jeżeli Orły ciągle są mu posłuszne, Helikaon zostanie zabity, kiedy wróci do Troi – zauważyła.

Polites uśmiechnął się smutno.

- Ojciec nie ma już żadnych Orłów pod swoją komendą.

- Ale ci w megaronie... – Kiedy zrozumiała, ściszyła głos. – Rozumiem. To nie są Orły.

- Nie, to wszystko ludzie Hektora, wybrani specjalnie do ochrony króla. Gdybyś przyjrzała się bliżej, zobaczyłabyś, że jednym z nich jest Areoan, nosiciel tarczy Hektora i jeden z jego najbardziej lojalnych przyjaciół. Nie robią tego, co każe im Priam. Każdy wydany przez niego rozkaz konsultują ze mną.

- A więc w istocie jesteś królem Troi, Politiesie.

Skinał głową z goryczą.

- Tak, na to wygląda.

- Więc Hektor nie powinien wyjeżdżać – rzuciła ostro. – Przykro mi, ale nie jesteś żołnierzem.

- Sam mu to mówiłem. Chodź, przejdźmy się.

Weszli do ogrodów, gdzie Andromacha zobaczyła bawiących się chłopców, pilnowanych przez strażników. Chciała podbiec do Astinaksa i wziąć go w ramiona. Zamiast tego kroczyła wolno u boku Politesa.

- Wiesz, ludzie mówią, że Priam miał pięćdziesięciu synów – po wiedział. – Ale wiele rzeczy, które mówi się o królu, to bzdury. Wielu myśli, że to on spłodził moje dzieci. Był to swego rodzaju miejski dowcip. Ale to nieprawda. Moja żona, Suso, przez większą część naszego małżeństwa mieszkała z dala od Troi, gdyż obawiała się awansów króla. Zmarła w zimie. Wiedziałaś o tym? – Andromacha pokręciła głową, przytłoczona współczuciem dla kobiety, której nie знаła. – Na suchoty – wyjaśnił Polites głosem pozbawionym emocji, jakby opowiadał o pogodzie. – Ale dwójka naszych chłopców jest bezpieczna. Wysłałem ich daleko od miasta, ponad rok temu. Oprócz mnie nikt nie wie, gdzie są. Byli dziedzicami tronu Troi, dopóki nie urodził się twój Astinaks. Ale nigdy się o tym nie dowiedzą. Nawet dobry kupiec i jego żona,

którzy wychowują ich jak własne potomstwo, nie wiedzą, kim oni są. – Polites zamilkł na chwilę. – Ale odbiegam od tematu, siostró. Widzisz, Priam miał wielu synów, ale postępował z nimi dość kapryśnie. Wiem na pewno, że pięciu kazał zamordować, a pewnie było ich więcej. A teraz stracił Diosa i mojego dobrego przyjaciela, Antifonesa. I Parysa. A więc jedyny syn, jaki mu został, to biedny Polites, który, jak sama mówisz, nie jest żołnierzem.

Andromacha chciała coś powiedzieć, ale książę podniósł rękę.

- Hektor wierzy, że murów nie da się zdobyć, i myślę, że ma rację. Więc ci z nas, którzy zostali w mieście, nie mają nic innego do roboty poza doglądaniem racjonowania żywności i wody oraz dbaniem, żeby Brama Skajska nie została zdradziecko otwarta.

- Ale jeżeli jakoś uda im się włamać i polegiesz, Politiesie, kto będzie wtedy dowodził obroną miasta?

- Andromacho, jeżeli polegną, miasta będą bronić wodzowie.

W tym momencie od strony portyku rozległy się krzyki i przez bramy z brązu wbiegł żołnierz, kierując się do ogrodów.

- Panie, Mykeńczycy forsują mury! Mają setki drabin.

Polites się zasępił.

- Gdzie? – zapytał nagłaco.

- Wschodnie i zachodnie mury, panie.

- Kto dowodzi dziś na murach?

- Skamandryjczycy Banoklesa pilnują zachodu, a Lukan wschodu.

- A więc udam się na zachodnie mury. Przynieś mi zbroję, żołnierzu. – Polites zerknął na Andromachę. – Księcia powinno się oglądać w zbroi – wyjaśnił wstydliwie.

Odwrócił się, żeby odejść, i prawie zderzył się z rudobrodym mężczyzną, który zmierzał w stronę pałacu. Andromacha poznała mistrza kowalskiego Kalkeusa. Stary kowal był pokryty kurzem i wyglądał na wycieńczonego, jakby całą noc pracował.

- Muszę się zobaczyć z królem – stwierdził krótko.

- Nie możesz widzieć się teraz z królem – odpowiedział Polites.

- A więc chcę się widzieć z tobą, książę Politiesie – powiedział Kalkeus, krzyżując ramiona na piersiach i zastępując drogę księciu. – To bardzo ważne. Muszę mieć więcej środków. Moja praca jest niezwykle ważna.

- Innym razem, Kalkeusie. Wróg zaatakował mury.

Kalkeus w zdumieniu uniósł brwi.

– Zaatakował? Z drabinami? – Polites skinął głową i przepchnął się obok niego. – Ciekawe!
– rzucił kowal. – Pójdę z tobą.

Andromacha patrzyła za nimi, gdy się oddalali – Polites w długich, białych szatach, furkoczących dookoła chudych nóg, i krępy Kalkeus depczący mu po piętach. Odwróciła się i z sercem przepełnionym strachem ruszyła ku dwóm chłopcom bawiącym się w skąpanych w promieniach słońca ogrodach.

Kalkeus szedł za księciem, który przemierzał miasto, eskortowany przez oddział Orłów. Całkowicie zapomniał o swojej trosce o kuźnię, bo jego uwagę przykuł nowy obrót wydarzeń. Już dawno odrzucił możliwość, że wróg zaatakuje za pomocą drabin. Wielkie mury były wysokie, nachylenie najniższego odcinka zaś wymuszało niemożliwą długość drabin, co uczyniłoby je nieporęcznymi w manewrowaniu i zupełnie niestabilnymi.

Wyglądało na to, że toczącą się na zachodnich murach walkę kontrolują obrońcy. Blanki były gęsto obsadzone przez oddział Skamandryjski. Wrogowi udało się wdrapać na szczyt tylko w jednym miejscu. Kalkeus patrzył, jak bezlitosny mykeński renegat Banokles wraz ze swymi ludźmi sprawnie zabijają atakujących, po czym odzierają ich ze zbroi i wyrzucają ciała za mur.

Ostrożnie wyjrzał za krawędź, aby spojrzeć na scenę rozgrywającą się poniżej. O mury oparto ponad pięćdziesiąt drabin. Wszystkie prawie sięgały blanków i kiedy wojownicy nieprzyjaciela zaczęli się wspinać, ich ciężar sprawiał, że drabiny trudno było odepchnąć. Niemniej jednak trojańscy żołnierze nieźle sobie radzili. Wychylali się i chwytali za ostatnie szczeble, po czym odpychali drabiny, z hukiem ciskając wojowników przeciwnika na głowy kompanów. Grecy padali, łamiąc sobie ręce, nogi i karki.

– Przesuwajcie drabiny! – krzyknął Polites, widząc, co się dzieje. – Poczekajcie, aż będzie na nich sporo ludzi, i przesuwajcie je na bok. Wtedy padając, pociągną za sobą inne.

Nad blankami przeleciały strzały, godząc w żołnierzy próbujących odpychać drabiny, i Polites w pośpiechu włożył napierśnik i hełm. Kalkeus rozejrzał się dookoła, zerwał hełm z głowy martwego trojańskiego żołnierza i szybko wcisnął na głowę. Poczul zapach krwi i potu.

Po kamiennych stopniach wbiegł oddział frygijskich łuczników gotowych zasypać Greków deszczem strzał. Ale przyboczny wodza, wysoki Kalliades, ich powstrzymał.

– Nie strzelajcie. Są zbyt daleko. Niech oni strzelają. Ich strzały się nam przydadzą.

Kalliaades zerknął na Politesa, który skinieniem głowy potwierdził jego rozkaz.

– Tak, potrzebujemy strzał. I innych pocisków. Ci kłębiący się poniżej żołnierze są łatwym celem.

Wycierając kawałkiem materiału krew z jednego ze swoich mieczy, podszedł do nich Banokles.

– To było zabawne – skomentował. Wyjrzał zza blanki, po czym odskoczył, kiedy strzała odbiła się od jego hełmu. – Gorący olej, tego potrzebujemy – powiedział, podchwytyjąc myśl Politesa. – Albo wrzątek. To by im dało do myślenia.

– Oleju jest niewiele, a wody jeszcze mniej – odparł Polites. – Nie możemy marnować wody, której możemy potrzebować do picia pod koniec lata. – Mężczyźni spojrzeli po sobie, bez wątplenia myśląc o tym samym: Czy z końcem lata jeszcze tu będziemy?

Kalkeus wystąpił do przodu.

– Piasek – zaproponował. Trzej mężczyźni spojrzeli na niego. – Piasek jest tym, czego potrzebujemy. Zwykły piasek z plaży. I to dużo. Czy znajdzie się coś wewnątrz miasta?

Polites zmarszczył brwi.

– Piasek wykorzystuje się w królewskich ogrodach. Mnóstwo. Jest zmieszany z ziemią tam, gdzie potrzebny jest odpływ. – Zobaczył wyraz zaskoczenia na twarzach Kalliaadesa i Banoklesa i uśmiechnął się blado. – Jak już dzisiaj powiedziano, nie jestem żołnierzem. Ale znam się na roślinach. – Odwrócił się do Kalkeusa. – Możesz wziąć, ile chcesz, kowalu, ale po co ci piasek?

W tym momencie potężny mykeński wojownik przeskoczył przez mur za nimi. Oczyszczając blanki, Kalliaades rzucił się w jego kierunku i przeszył mu serce mieczem. Mężczyzna osunął się na mur, a jego miecz brzęknął na kamieniach. Kalliaades i Banokles złapali go z dwóch stron i przerzucili za mur. Kalkeus spojrzał w dół i zobaczył, że spadający wojownik zahacza o drabinę, po której się wspiał, i powala ją, zabierając ze sobą czterech kolejnych żołnierzy.

- Marnują tylko ludzi – chrząknął Banokles. – Możemy tak cały dzień. To nie ma sensu.

- Masz rację – przyznał przygnębiony Polites. – To nie ma sensu. A Agamemnon jest człowiekiem inteligentnym. – Nagle jego twarz pojaśniała i spojrzał na Kalliaadesa. – To dywersja!

Kalliaades pobiegł w kierunku stopni.

- Skoro atakują wschodnie i zachodnie mury, to oczekują, że wycofamy nasze wojska

z południowego!

- Brama Skajska – krzyknął Polites, biegnąc za nim. – Zabierz ze sobą ludzi! – zwrócił się do Banoklesa.

Zamiast gonić ich po kamiennych schodach, Kalkeus szybko przeszedł szczytem zachodniego muru, a potem wzdłuż południowego aż do Wielkiej Wieży Ilionu. Pod nim, wewnątrz Bramy Skajskiej, toczyła się zażarta walka. Desperacko broniący bramy przed grupą czarno odzianych wojowników strażnicy byli spychani w tył. Na jego oczach powalono ostatniego strażnika i atakujący rzucili się do wielkiej dębowej belki. Kalkeus wiedział, że trzeba sześciu mężczyzn, żeby ją unieść, ale ich było ośmiu i właśnie wzięli się do roboty, kiedy przybyli Kalliades i Banokles.

Banokles ruszył na nich z rykiem, niemal odcinając głowę jednemu i tnąc drugiego w twarz. Belka opuściła obejmę z jednej strony. Rozległ się łomot i brama pod wpływem uderzenia wgięła się lekko do środka. Kalliades rzucił się całym ciężarem ciała na koniec belki, wspomagany przez żołnierzy, którzy przybyli wraz z nim. Wielka dębowa belka wskoczyła z powrotem na miejsce, kiedy z zewnątrz uderzono ponownie.

Na murze powyżej Kalkeus pośpieszył na drugą stronę i spojrzał w dół. Pięćdziesięciu lub więcej ludzi dzierżyło niczym taran ogromny pień dębu. Za nimi oczekiwali uzbrojeni i opancerzeni wojownicy. Taran uderzył raz jeszcze, ale wielka brama ledwie drgnęła.

Jeden z oczekujących wojowników zwrócił wzrok na Kalkeusa i ten zobaczył, że jest to król Itaki. Ich spojrzenia się spotkały i Kalkeus wolno pokręcił głową. Odyseusz wsunął miecz do pochwy, po czym odwrócił się i oddalił od bramy.

XXIII. WOJNA KRÓLÓW

Kroczący zrujnowanymi ulicami Dolnego Miasta Odyseusz gniewnie zdarł hełm z głowy. Tak jak przewidywał, Trojanie szybko przejrzeni ich plany. Musiał przyznać, że taktyka dywersyjna Agamemnona nie była złym pomysłem. Gdyby przyniosła efekty, byłaby warta setek rannych i zabitych w ataku na mury ludzi. Ale nie przyniosła efektów, stracili dzielnych żołnierzy i – co ważniejsze – ośmiu agentów w mieście. Ci, którzy przeżyli, zostaną przesłuchani, ale nie wiedzieli nic, co mogłoby pomóc Trojanom. Itacki król nie miał pojęcia, ilu agentów Agamemnona przeniknęło do miasta, ale był pewny, że teraz nie będzie już żadnego. Hektor lub ktokolwiek inny, kto dowodzi Troją, z pewnością zamknie teraz wszystkie bramy, aby powstrzymać napływ uchodźców – i mykeńskich szpiegów.

Odyseusz od początku przewidywał, że prędzej czy później ze strony jego sprzymierzeńców padnie propozycja zdobycia wielkich murów. Wrócił pamięcią do nocy sprzed dwóch dni. Wraz z częścią załogi *Krwawego sokoła* obozowali na dziedzińcu pałacu, który kiedyś należał do Antifonesa, a teraz był domem Myrmidonów Achillesa. Tego dnia nie było walk, przybyła za to świeża dostawa wina i nastrój był nadzwyczaj radosny.

Patroklos, nosiciel tarczy Achillesa, stojąc z pucharem wina w jednej ręce i kawałem pieczonej baraniny w drugiej, wyklócał się o próbę sforsowania murów.

– Spójrzcie na nie – powiedział, chwiejąc się lekko i wskazując pucharem na mury. – Dziecko mogłoby się na nie wspiąć. Między kamieniami jest wystarczająco dużo szczelin i zaczepów dla rąk. – Pociągnął łyk wina. – Poczekamy na ciemną noc, a potem Myrmidoni sforsują zachodni mur, zanim Trojanie się zorientują. Wywalczymy sobie drogę do Bramy Skajskiej i miasto będzie nasze. Co na to powiesz, Odyseuszu?

- Powiem, że czasy wspinaczki się skończyły, Brama Zachodnia zaś to kiepski wybór. Wszyscy wiedzą, że jest najniższa i stanowi najsłabsze ogniwo w łańcuchu murów, więc będzie najbardziej pilnowana.

- Jaki byłby twój wybór, Odyseuszu? – zapytał Achilles, który leżał na plecach, wpatrując się w gwiazdy.

– Spróbowałbym na północnych murach.

Patroklos parsknął drwiąco.

- Pionowa ściana skalna i gładkie mury powyżej? Założę się, że nikt by się tam nie wspiał.
- Założę się, że ty nie wspiałbyś się na zachodni mur – odparł Odyseusz.

Patroklos nigdy nie potrafił się oprzeć zakładowi, o czym Brzydki Król dobrze wiedział. Wraz z Odyseuszem i Achillesem oraz tłumem rozradowanych i mocno podpitych Myrmidonów i wojowników z Itaki opuścił pałac i okrężną drogą zbliżył się do zachodniego muru. Oświetlone światłem gwiazd, potężne mury strzelały wysoko w górę.

- O co się założysz, stary królu? – zapytał Patroklos.
- Pięć moich okrętów przeciwko napierśnikowi Achillesa.
- Dlaczego chcesz mój napierśnik? – zdziwił się Achilles, unosząc brwi.

- Ponieważ powszechnie wiadomo, że Patroklos nie ma przy sobie ani jednego miedzianego pierścienia i że zawsze wypiera się swoich długów. A ty jesteś człowiekiem honoru i spłacisz długi przyjaciela, tak jak zawsze.

Niestropiony Patroklos wyszczerzył zęby, Achilles zaś wzruszył ramionami.

- Niech będzie – zgodził się. – A co, jeżeli Patroklos zdoła się wspiąć na mur i zostanie zabity?

- Dotrzymam warunków zakładu i dostaniesz pięć itackich okrętów.

Młody wojownik związał włosy na karku, zdjął sandały i podbiegł do muru, lekko wskakując na pierwszy wystający kamień. Wynajdując punkty oparcia dla rąk i stóp, szybko wspiał się do miejsca, gdzie mur piął się pionowo. Tam przystanął, spoglądając w górę. Po prawej stronie znalazł uchwyt dla dłoni i udało mu się zahaczyć czubkami palców. Podciągnąwszy się wyżej, przez chwilę szukał oparcia dla stóp, po czym próbował znaleźć kolejny zaczep dla rąk po lewej stronie. Nie było żadnego. Krawędź ogromnego kamienia, do którego przyłgnął, znajdowała się wysoko poza zasięgiem jego dłoni.

Widząc, że jest w opałach, ziomkowie Odyseusza zaczęli pokpiwać z niefortunnego wspinacza, ale król ich uciszył. Spojrzał na szczyt muru. W ciemnościach nie widział strażników, ale wiedział, że tam są.

Patroklos ostrożnie przesunął prawą stopę do wąskiej szczeliny. Wcisnął palce najgłębiej, jak mógł. Raz jeszcze spojrzął w górę, aby sprawdzić, dokąd zmierza. Potem, biorąc głęboki oddech, skoczył na wyższy kamień. Ledwie mu się udało i chwycił się czubkami palców. Prawa noga mu się ześlizgnęła, ale w tym samym momencie udało mu się złapać ręką za górną krawędź kamienia i trzymał się tak, rozpaczliwie szukając oparcia dla stóp.

Ale szmer zaalarmował strażników. Odyseusz zobaczył, jak jeden z żołnierzy wygląda zza szczytu murów wysoko powyżej i szybko się wycofuje, krzycząc do swoich towarzyszy. Nad murem pochylił się łucznik. Patroklos stanowił łatwy cel.

Potem Odyseusz zobaczył ruch po prawej stronie. W ciągu jednego uderzenia serca Achilles wyciągnął nóż i cisnął w kierunku łuczniaka. Stary król zobaczył, jak ostrze błysnęło, obracając się w świetle księżyca, po czym z plaśnięciem uderzyło w zarys głowy łuczniaka. Był to bez mała niemożliwy wyczyn – tak mały cel, na takiej wysokości, trafiony tylko przy świetle gwiazd.

Achilles skoczył do przodu.

– Patroklosie, złaź natychmiast!

Ten szybko zsunął się po murze, zeskoczył na ostatnim odcinku i obydwaj pobiegli w kierunku Myrmidonów, którzy osłaniali ich, szyjąc strzałami w kierunku zbierających się trojańskich łuczników. Patroklos śmiał się, kiedy dotarli do czekającego Odyseusza.

- Cóż, stary królu, co teraz z naszym zakładem?

- Nie dotarłeś na szczyt muru.

- Zatrzymały mnie działania wroga.

– Działań wroga nie brano pod uwagę. To był chybiony zakład.

Patroklos beztrąsko wzruszył ramionami i wszyscy wrócili do pałacu. Ale wieść o wspinaczce młodego wojownika dotarła do Agamemnona i następnego dnia wojowniczy król wymyślił fatalny plan wspięcia się na mury i zdobycia Bramy Skajskiej.

Dwa dni później, idąc przez zalane słońcem miasto, Odyseusz uśmiechnął się do siebie mimowolnie. Lubił Patroklosa. Tak jak wszyscy. Zawsze był radosny i często dla uciechy króla robił z siebie głupca, był też dzielny niczym lew. Odyseusza dziwiło to, że wyraźna sympatia Patroklosa dla Achillesa sprawiła, że zazwyczaj ponury i małomówny król Tesalii stał się popularny wśród swoich oddziałów.

Patroklos dostarczał w ciągu tych długich dni rozrywki, potrzebnej Odyseuszowi. Stary król spędzał z Agamemnonem i królami zachodu tak mało czasu, jak tylko było to możliwe. Między nimi zawsze wybuchały sprzeczki. Nestor i Idomeneos odzywali się rzadko po tym, jak pewnego dnia Szablozęby nieoczekiwanie wycofał swoich łuczników podczas ataku na jeden z pałaców w Dolnym Mieście, pozostawiając wojska Nestora bez wsparcia. Szablozęby unikał Odyseusza, gdyż ten nie przegapiał żadnej okazji, żeby przypomnieć mu o złocie i srebrnym napierśniku,

które ten był mu winien po zakładzie o wynik walki na pięści, jaką dawno temu stoczył Banokles. Ponadto Agamemnon i Achilles nie cierpieli się nawzajem i ciągle toczyli o coś spory, nawet o prawo własności do niewolnicy, córki kapłana. Odyseusz wiedział, że Agamemnonowi najbardziej by odpowiadało, gdyby Achilles zginął pod Troją. Kiedy w końcu wróciliby do swoich domów, Agamemnon nie chciałby mieć za sąsiada i potencjalnego wroga tak potężnego i hardego króla.

Idąc przez Dolne Miasto, Brzydki Król rozglądał się ze smutkiem dookoła. W tej części Troi było niewiele pałaców. Mieściły się tu domy rzemieślników – farbiarzy, garncarzy, tkaczy, jak również służących w domach możnych panów. Przed wojną po ulicach i alejkach biegały dzieci, na każdym placu był kolorowy targ, kupcy zaś zawierali umowy, kłócąc się, śmiejąc i nierzadko bijąc. Teraz wszędzie widoczny był obraz zniszczenia i czuć było zaduch śmierci. Wprawdzie ulice oczyszczono z ciał, ale zwłoki zabitych we własnych domach pozostały i gniły w ciepłe wczesnego lata.

Z oddali usłyszał pogrzebowy zaśpiew. *Wysłuchaj nas, o Hadesie, panie Najczarniejszej Czerni.* Polegli wojownicy zachodnich armii po ceremonii pogrzebowej ładowali na stosie, jednak ludzi, których sami zabili, pozostawiano, żeby gnili tam, gdzie padli.

Pograżony w myślach Odyseusz dotarł do szpitala. Kiedyś były to koszary Ilean, potem lecznica dla rannych Trojan, którzy po zdobyciu Dolnego Miasta zostali wymordowani. Teraz leżeli w nim ranni i umierający żołnierze armii Agamemnona. Odyseusz zawahał się przed wejściem. Chciał odwiedzić rannych ludzi, ale nie cieszył go ten obowiązek. Przy drzwiach natknął się na wychodzącego młodego uzdrowiciela, Ksandra. Chłopiec wyglądał na zmordowanego, jego tunikę zaś pokrywała krew – zarówno zaschnięta, jak i świeża. Czerwone kropelki były nawet pomiędzy piegami na jego twarzy.

- Odyseusz! – krzyknął chłopiec, ożywiając się. – Chcesz odwiedzić swoich ludzi? Oprócz Achillea jesteś jedynym królem, który odwiedza rannych.

- Co u Tibo? Czy już nie żyje?

- Nie, jest tutaj. Za kilka dni wróci do walki. To bardzo silny człowiek.

- Ty jesteś z nich najsilniejszy, młodzieńcze – powiedział Odyseusz, kładąc mu rękę na ramieniu. – Każdego dnia radzisz sobie z cierpieniem umierających, z okropieństwami gangreny i amputacji. Nawet najdzielniejsi żołnierze unikają tego miejsca. Przyznaję, że sam wolałbym być gdzie indziej.

Chłopiec skinął głową ze smutkiem.

– Nieprzyjaciel... znaczy się, wasze armie sprowadziły niewielu chirurgów i uzdrowicieli. Wasi ranni mogą liczyć najwyżej na pomoc dziwek i kobiet włóczących się za obozami. Kobiety mają żołądki silniejsze niż mężczyźni, ale brakuje im umiejętności. Białooki pracuje dzień i noc. Martwię się o niego. Wiesz, że Machaon umarł? – Ksander zdawał się oszołomiony zmęczeniem i jego myśli skakały z tematu na temat. – Powiedziano mi, że umarł w dniu, kiedy wasze oddziały przedarły się przez Skamander. Ale tamtej nocy słyszałem, jak mówił do mnie. Chciał mnie nakłonić, żebym odszedł. Ale byłem zbyt powolny. Powinienem być wrócić do miasta, póki jeszcze było to możliwe. Zawiodłem go.

Spojrzał na Odyseusza oczami pełnymi łez. Król popchnął go delikatnie na drewnianą ławkę przed szpitalem.

– Chłopcze, jesteś zmęczony ponad wszelkie wyobrażenie. Kiedy ostatnio spałeś?

Chłopak tępo pokręcił głową. Nie był w stanie sobie przypomnieć.

– Dopilnuję, byś dostał pomoc. Czy jest tu mój człowiek, Leukon?

Ksander skinął głową. Był chyba zbyt słaby, żeby odpowiedzieć.

– Posłuchaj mnie, chłopcze – zwrócił się do niego stanowczo Odyseusz. – Kiedy miasto padnie, musisz stąd natychmiast odejść. Opuść to miejsce i udaj się do Zatoki Heraklesa najszybciej, jak to będzie możliwe. Zawsze są tam cypryjskie statki, które przywożą zapasy. Wsiądź na jeden z nich i powiedz dowódcy, że ja cię przysłałem.

Ale Ksander pokręcił głową.

– Nie, nie mogę, Odyseuszu. Jeżeli miasto padnie, muszę spróbować pomóc swoim przyjaciółom. Zeotos i inni uzdrowiciele ciągle są w Domu Węży. No i jest jeszcze pani Andromacha i jej syn. To moja przyjaciółka. Nadal pozostaję Trojaninem, nawet jeżeli pomagam waszym wojownikom.

Wściekły Odyseusz zaklął i złapał młodego uzdrowiciela za tunikę.

– Posłuchaj mnie, mały – wysyczał – słuchaj uważnie. Widziałem upadające miasta zbyt wiele razy, żeby to zliczyć. Żołnierze w takich chwilach zamieniają się w zwierzęta. Każdy cywil, mężczyzna, kobieta czy dziecko, w chwili otwarcia bram zostaną bestialsko zamordowani. Nikt nie ucieknie. Jeżeli tam będziesz, zabiją cię, być może nawet ci, którym pomagałeś i ratowałeś życie. Będziesz jak owca między wilkami.

Ksander raz jeszcze pokręcił głową i Odyseusz widział, że jest zbyt zmęczony, aby

protestować. Puścił chłopca i przez chwilę siedzieli w milczeniu.

Potem Ksander cicho zapytał:

- Jak myślisz, Odyseuszu, kiedy Troja upadnie?

- Za kilka dni, a może za kilka lat. Jutro albo po dziesięciu latach. Nie wiem, chłopcze. Na kartach tej bohaterskiej historii jestem tylko piechurzem. – Westchnął i przemówił cicho, jakby do siebie: – Złożyłem Agamemnonowi przysięgę, której szczerze żałuję, związałem się słowem, iż wszyscy jego wrogowie będą moimi wrogami, a jego przyjaciele moimi przyjaciółmi. Cóż, ten człek nie ma przyjaciół. Ale przysięgałem trwać u jego boku, dopóki jego wrogowie nie zostaną pokonani. A więc zostanę tutaj, dopóki miasto nie wpadnie w nasze ręce, kiedykolwiek to się stanie. Potem zbiorę swoich ludzi, wrócimy na okręty i odpłyniemy. I będę musiał z tym żyć, choć nie będzie to proste, chłopcze. Ksandrze, ja też mam przyjaciół w Troi, ludzi, których znałem całe życie. Ale nie pobiegnę do miasta, żeby im pomóc. Im już nie da się pomóc. Młodzieńcze, każdy żyjący za tymi murami już jest martwy. Mogą chodzić po ulicach Troi, oddychać jej powietrzem, jeść, spać i uprawiać miłość. Ale wszyscy nie żyją.

Następnego dnia o świcie królowie zachodu zebrali się w Domu Kamiennych Koni. Odyseusz czerpał ponurą satysfakcję z faktu, iż Agamemnon wprowadził się do pałacu Helikaona. Złocisty zadał mykeńskiemu królowi wiele dotkliwych ciosów, zatapiając jego okręty, zabijając sprzymierzeńców i napadając na jego wybrzeże. Zniszczenie floty Menadosa było upokarzającą porażką. Chęć Agamemnona, aby zająć pałac Helikaona w Troi, dom, do którego sam właściciel przywiązywał niewielką wagę i rzadko w nim bywał, wiele mówiła o królu. Wszyscy słudzy dawno uciekli, pokoje zaś stały puste. Odyseusz zachichotał. Nigdy nie przeceniał małostkowości potężnych ludzi, pomyślał.

W megaronie siedzieli królowie ze swoimi przybocznymi. Czarnobrody Meriones, jeden z najstarszych przyjaciół Odyseusza, siedział u boku Idomeneosa, Patroklos zaś kręcił się przy oknie, z nudów gapiąc na puste ulice poniżej. Kygonesowi, Grubemu Królowi Likii, towarzyszył bratanek Sarpedon, bardzo wartościowy wojownik. Niektórzy sycili głód mięsem i jęczmiennymi plackami. Odyseusz sączył wodę z pucharu.

Kiedy przybył Agamemnon, jego zwyczajny spokój wydawał się mocno nadwreżony.

– Ostatniej nocy straciliśmy dostawę zaopatrzenia – powiedział bez powitania. – Szesnaście wozów zboża, wina, paszy dla koni i suszone go mięsa oraz ryb, które wieziono z Zatoki

Heraklesa. Koń Trojański, w liczbie ponad trzech setek, uderzył na równinie Skamandra. Zabili strażników i woźniców i zabrali całą karawanę. Z Radości Króla wysłano oddział jazdy – ich również zabili i zabrali konie.

W megaronie zapadła cisza, po czym odezwał się Odyseusz:

- Można to było przewidzieć. Wysyłanie karawan z zaopatrzeniem przez równinę z ochroną mniej liczną niż oddział jest co najmniej głupotą.

- Ale ty – Agamemnon wycelował w niego chudy palec – cały czas chodzisz ze swoimi ludźmi w tę i z powrotem do Radości Króla. I jakoś cię nie zaatakowano.

- Jeden stary gruby król nie jest specjalnie wart zachodu – odpowiedział Odyseusz.

- Przez Helikaona Podpalacza straciłem kolejnych pięć okrętów – wtrącił się Menestheos z Aten. – Dwa dni temu w pobliżu Lesbos *Ksantos* i trojańska flota zaatakowali dziesięć moich galer.

- Spalił je? – zapytał Idomeneos trzeszczącym głosem, podobnym do dźwięku, jaki wydaje galera ciągnięta po kamyczkach.

- Nie, trzy zostały staranowane, a dwie przechwycone, załogi zaś zabite. Ale w Zatoce Heraklesa stacjonuje moja flota, pięćdziesiąt okrętów. Muszą być chronione. Nie możemy zapominać, że w Zatoce Troi Helikaon zniszczył całą flotę.

- Mało prawdopodobne, że o tym zapomnimy. – Splunął gniewnie Agamemnon. – Moje floty patrolują morza poza zatoką. *Ksantos* nie zdoła się przez nie przebić.

- Helikaon nie będzie tego próbował – wytknął Odyseusz. – Chce, żeby nasze okręty znajdowały się tutaj, abyśmy wszyscy mogli odpłynąć. Atakując je, niczego nie zyska. Ale przechwyci każdy statek zaopatrzeniowy, jaki tylko wytropi.

- Wygląda na to, że dobrze wiesz, co chodzi po głowie Helikaonowi – powiedział z niesmakiem Idomeneos.

Odyseusz westchnął.

- Po prostu mówię o zdrowym rozsądku. Największą nadzieją Troi jest to, że skończą nam się zapasy i będziemy zmuszeni się wycofać. *Ksantos* na morzu i Koń Trojański na lądzie mogą sprawić, że do lata będziemy głodować. Żołnierzy trzeba karmić, i to często.

- Jeźdźcy Konia Trojańskiego też potrzebują żywności – odparł Agamemnon. – W ciągu lata nie będą w stanie wyżyć tylko z płodów ziemi, a ich konie będą potrzebowały paszy. Mogą się pokusić o zaatakowanie naszych wozów z zaopatrzeniem, nawet jeżeli będą dobrze pilnowane.

Możemy to wykorzystać.

- Czy wczorajszym atakiem dowodził Hektor? – zapytał Odyszeusz.

- Tak. To jedyne dobre wieści. Hektora nie ma w Troi. Jest na zewnątrz i kieruje oddziałami jazdy.

- A więc kto dowodzi obroną miasta? – zapytał Szablozęby. – Priam? Wieść niesie, że stracił rozum. To twoi przyjaciele, Odyszeuszu – warknął. – Kto dowodzi teraz obroną Troi?

Odyszeusz wzruszył ramionami, nie dając się wyprowadzić z równowagi, choć w jego piersi wzbierał gniew.

- Skoro Antifones nie żyje, nie wiem. Być może jeden z wodzów. Może Polites.

- To dobre wieści – powiedział korpulentny Menelaos, powtarzając słowa swojego brata Agamemnona. – Mam na myśli to, że wiemy, iż Hektor nie dowodzi obroną. Myślę, że musimy spróbować kolejnego ataku na mury.

- Oszalałeś, człowieku? – ryknął Odyszeusz, podrywając się na nogi i przewracając krzesło, które upadło z hukiem. – Na jaja Apolla, po wczorajszej rzezi chcesz wysłać na pewną śmierć kolejnych ludzi? Ilu straciliśmy, trzystu, czterystu?

- Być może mój brat ma dobry pomysł – wtrącił gładko Agamemnon, kiedy Menelaos cofnął się przed gniewem Odyszeusza.

- Menelaos w ciągu całego swojego życia nie miał ani jednego dobrego pomysłu – warknął Odyszeusz. – Podąża za tobą jak szczeniak, ujadając, kiedy mu każesz, i czasami szczając na twoje buty. Ten zawoszony plan jest twój, Agamemnonie, i chcę wiedzieć, skąd ten pomysł. Bo w przeciwieństwie do tego szczeniaka, ty nie jesteś głupcem.

Agamemnon zbladł i gniew błysnął w jego ciemnych oczach.

- Ja też chciałbym wiedzieć, dlaczego mielibyśmy wysłać więcej naszych żołnierzy na pewną śmierć – wtrącił obojętnie Menestheos.

Agamemnon wziął głęboki oddech.

- Wczoraj grupie moich wojowników udało się zdobyć część muru i utrzymać ją na krótko, zanim nie wyparł ich renegat Banokles ze swoimi ludźmi. Jeżeli dzielny oddział byłby w stanie zdobyć i utrzymać choćby niewielki odcinek muru, moglibyśmy wysłać za nim setki żołnierzy z drabinami. Trojanie nie byłiby w stanie ich powstrzymać. Ale potrzebujemy najdzielniejszych wojowników, gotowych zaryzykować życie dla słusznej sprawy. – Rozejrzał się po pokoju i jego oczy spoczęły na Achillesie.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z tym szaleństwem – powiedział król Tesalii. – Ja i moi Myrmidoni nie będziemy brali udziału w kolejnych samobójczych atakach na mury.

- A więc – powiedział Agamemnon lodowatym głosem – nasz wielki wojownik i niepokonany mistrz Achilles się boi...

Achilles wstał i jednym skokiem znalazł się przy Agamemnonie, przykładając mu czubek miecza do szyi. Ruch był tak szybki i zwinny, że nikt nawet nie drgnął. Odyseusz zobaczył, że Patroklos położył dłoń na rękojeści swojego miecza, tak samo jak dwóch przybocznych Agamemnona. W megaronie zapadła śmiertelna cisza.

Agamemnon, wpatrując się w oczy Achillesa, kontynuował bez jednego mrugnięcia.

– Chciałem powiedzieć, że Achilles boi się o życie swoich ludzi. To zrozumiałe i jest cechą prawdziwego dowódcy. Dzielni Myrmidoni jak na razie byli kluczem do naszego sukcesu.

Achilles odczekał chwilę, po czym schował miecz do pochwy. Nie odrywając oczu od Agamemnona, wrócił na swoje miejsce.

- Wszyscy jesteśmy ludźmi honoru – kontynuował Agamemnon. – Achilles to nasz najlepszy i najdzielniejszy wojownik, nikt też nie wątpi w odwagę jego pobratymców. Ale jeżeli będzie trzeba, przeprowadzimy atak bez udziału Tesalii.

- I bez Itaki – wtrącił Odyseusz. – Moi ludzie nie będą się wspinać na mury po pewną śmierć. Możesz dostać moich łuczników i mój łuk, aby zapewnić swoim wojownikom osłonę z ziemi – to wszystko.

- Niech więc tak będzie – zgodził się Agamemnon chłodnym tonem. – A jaki jest twój plan zdobycia murów, tkaczu opowieści? Czy jesteś tu tylko po to, żeby opowiadać dziecinne bajki o zaczarowanych świniach i latających statkach?

Czarnobrody Meriones wstał i rzucił gniewnie:

- Król Itaki setki razy dowiódł swojego męstwa w walce. Gdyby nie on, ciągle tkwilibyśmy po drugiej stronie Skamandra.

- Tak, tak – wtrącił niecierpliwie stary Nestor – wszyscy tu jesteśmy wojownikami. Walczyłem w setce bitew, kiedy młody Achilles był zaledwie błyskiem w oku swojego ojca. Ale chciałbym wiedzieć, królu Agamemnonie, po co potrzebujesz nas wszystkich, skoro planujesz wysłać tylko jeden oddział swoich ludzi.

- Atak odbędzie się w ten sam sposób co wczoraj – odpowiedział cierpliwie wojowniczy Mykeńczyk. – Użyjemy wszystkich drabin i każdego żołnierza, którego możemy ściągnąć.

Trojanie nie mogą wiedzieć, na czym koncentruje się nasze spojrzenie.

- A na czym się koncentruje? – zapytał król Pylos.

- Naszym celem będzie południowy mur obok Wielkiej Wieży Ilionu. Jeżeli uda nam się zdobyć i utrzymać ten niewielki odcinek, przez wejście prowadzące na blanki uzyskamy dostęp do Wielkiej Wieży. Wtedy będziemy mieli dwie drogi – po schodach do południowego muru albo w dół przez wieżę, która, jak wszyscy wiecie, wychodzi na tyły Bramy Skajskiej. Wystarczy, że przeprowadzimy sześciu ludzi do bramy, i miasto jest nasze.

Kiedy zachodnie wojska gotowały się do nowego ataku, Odyseusz z wielkim łukiem Akiliną na ramieniu czekał w bezpiecznej odległości od południowego muru. To nie miał być atak z zaskoczenia. Widział, jak słońce odbija się od hełmów Trojan stojących wzdłuż blanków.

Pomimo poniesionych strat Agamemnon ciągle mógł wystawić ponad trzydzieści tysięcy wojowników. Król Itaki szacował, że do obrony murów Troi nie zostało więcej niż jakieś pięć tysięcy zbrojnych. Pomyślał, że na dzisiaj powinno to wystarczyć. Najnowszy plan Agamemnona mógł się udać, ale było to mało prawdopodobne. Każdy mijający dzień i każdy kolejny atak utwierdzał Odyseusza w przekonaniu, że miasto można zdobyć jedynie podstępem.

Na ziemi leżały ułożone drabiny. Zostały zbudowane z pni dębów porastających podnóże Idy, związanych pasami z mocnej skóry. Były ciężkie i każda wymagała przynajmniej sześciu mężczyzn, aby wnieść ją do murów.

Wydano rozkaz. Atakujący podnieśli drabiny i ruszyli biegiem w kierunku podstawy murów. W jednej chwili wzniesiono tuziny drabin i opancerzeni wojownicy zaczęli się wspinać. Odyseusz cofnął się o kilka kroków, osadził strzałę na cięciwie i znieruchomiał, tak samo jak obrońcy. Trojanie czekali, aż każda drabina będzie pełna wojowników, nim odepchną ją od muru. Odyseusz zaś czekał, aż obrońcy się wychylą.

Brodaty żołnierz trojański z bosakiem wychylił się zza szczytu muru, aby zahaczyć o drabinę i pchnąć ją w bok. Odyseusz dostrzegł niewielką plamkę bieli pomiędzy hełmem a pancerzem okrywającym szyję. Wymierzył starannie i zwolnił cięciwę. Strzała przeszła gardło wojownika i ten osunął się po murze. Brzydki Król nałożył kolejną strzałę i czekał dalej.

Drabina w pobliżu Wielkiej Wieży została przez obrońców szybko powalona. Kolejni żołnierze podbiegli, żeby z powrotem ją podnieść i wspinać się dalej, nie zwracając uwagi na zagrożenie. Agamemnon obiecał chwałę i tyle złota, ile waży owca, pierwszemu, który dotrze do

szczytu murów i przeżyje. Odyseusz zdjął dwóch kolejnych obrońców. Jeden z żołnierzy na murach dostrzegł go i wskazał frygijskim łucznikom. Odyseusz wyszczerzył zęby. Był daleko poza zasięgiem ich zabawkowych łuków.

Atakujący podjęli czwartą próbę wspięcia się na drabinę przy wieży. Kiedy została odepchnięta, znajdowało się na niej siedmiu wojowników, którzy spadli wraz z towarzyszami z dwóch sąsiednich drabin, gdy o nie zahaczyli. Z blanków podniosły się ciche wiwaty. Ale atakujący się nie zawahali. Naprzód skoczyli kolejni żołnierze i ponownie wzniesli drabiny. Tak wielka odwaga skazana na porażkę, pomyślał Odyseusz.

Zerknąwszy raz jeszcze na szczyt murów, nagle zauważył, że obrońcy się wycofali. Zmarszczył brwi. Zastanawiał się, co oni teraz kombinują.

Na całej długości południowego muru pojawili się ludzie niosący w osłoniętych dłoniach olbrzymie płytkie misy ze lśniącego metalu. Wrzący olej czy gorąca woda? – pomyślał Odyseusz. Misy zostały jednocześnie przechylone i ich zawartość spłynęła na atakujących.

Prawie natychmiast wybuchł dziki zamęt, kiedy wspinający się na całej długości muru wojownicy zaczęli krzyczeć i miotać się, próbując zdjąć pancerze i spadając z drabin. Ci, którzy zdołali zerwać pancerze, zawadzili w udręce, aż włosy stawały dęba.

Odyseusz schował Akilinę i pobiegł w kierunku murów, krzycząc do swoich łuczników, aby dalej strzelali. Dotarł do mykeńskiego wojownika, który wił się w agonii, rozpaczliwie próbując pozbyć się napierśnika. Odyseusz zdarł go z niego, ale niewiele to pomogło. Mężczyzna krzyczał dalej. Brzydki Król zerwał też z niego tunikę.

– Odyseuszu, co to jest? Co się z nimi dzieje? – zapytał, klękając u jego boku, Meriones.

Ranny wojownik zemdlął z niewyobrażalnego bólu i Odyseusz wskazał na jaskrawoczerwoną skórę na jego piersi i ramionach. Wyglądało to tak, jakby zanurzono go we wrzątku.

– Piasek – wyjaśnił – wymieszany z opiłkami metalu i podgrzewany, dopóki nie stanie się gorący jak ogień. Przesypuje się pod zbroją i wżera głęboko w ciało ofiary. Słyszałem, że wykorzystuje się tę metodę na pustyni. To diabelska tortura.

W ziemię obok niego wbiła się strzała i wraz z Merionesem szybko wzniesli tarcze nad głowy. Potem chwycili za ramiona rannego żołnierza i zaczęli odciągać od murów. Ale kolejna strzała wbiła się w jego pierś, zabijając go na miejscu. Upuścili ciało i zawrócili w kierunku murów, próbując ratować innych.

– Na jaja Apolla – wymamrotał Odyseusz – lepiej dla niego, że nie żyje.

Razem z Merionesem odnieśli kilku żołnierzy spod murów. Wszystkich trawił niewyobrażalny ból. Brzydki Król nigdy nie czuł się tak bezsilny.

Dla wszystkich będzie lepiej, jeśli umrą, pomyślał ponuro.

XXIV. STRZAŁĄ I ŁUKIEM

Ciepła wiosna przeszła w bezdeszczowe i gorące lato. Oblężone miasto było wysuszone niczym pergamin.

Kiedy Andromacha szła z Domu Węży do pałacu Hektora, tęsknie myślała o pucharze zimnej wody, który powita ją, kiedy dotrze na miejsce. Prześlizgnęła się przez bramy, odprawiając przybocznych skinieniem głowy, po czym wkroczyła do ogrodów.

Wszystkie rośliny umierały. Delikatniejsze uschły już dawno; klomby i rabaty ogrodzone kamieniami i palikami wypełnione były tylko brązowymi korzeniami. Nawet drzewa zaczęły usychać. W świetle wczesnego wieczoru dwaj chłopcy biegali dookoła po suchej, popękanej ziemi, nie zwracając uwagi na martwe rośliny oraz rozpaczliwe losy miasta. Po prostu bawili się w berka.

- Mamo! – radośnie zakrzyknął Astinaks i podbiegł do Andromachy z wyciągniętymi ramionami. Stęknąwszy z wysiłku, podniosła chłopca do biodra.

- Robisz się dla mnie za ciężki! – westchnęła. Deks również do niej podbiegł i potargała jego jasne włosy, uśmiechając się do ciemnych oczu chłopca.

Był zamknięty w sobie, naznaczony cierpieniem. Czasami w nocy, kiedy bał się zasnąć z powodu koszmarów, zakradał się do łóżka Andromachy i szeptał jej o swojej mamie, którą nazywał Słoneczną Kobieta, o Szarej i Starszym Czerwonym Człowieku. Dowiedziała się, że Szara była jego piastunką, a Stary Czerwony Człowiek to dardański wódz Pauzaniasz. Oboje zginęli w czasie ataku Mykeńczyków na Dardanos. Mały układał o nich historie, umieszczając ich pomiędzy bogami i boginiami, o których opowiedziano mu wcześniej. W kółko recytował te same bajki, znajdując w nich pocieszenie. Pewnej nocy wprowadził do swoich opowieści „mamę”. Rozpoznała w niej siebie i podniosło ją to na duchu. Zaczynał łączyć swoje obecne życie w Troi z minionym życiem w Dardanos. Jego serce ciągle było zranione, ale wierzyła, że w końcu się zagoi.

Postawiła Astinaksa na ziemi i biorąc obydwu chłopców za ręce, zaprowadziła ich do pałacu. Przeszła przez przedsionek i znalazła swoje służki, Penthesileę i Anio, szepczące coś do siebie. Kiedy pojawiła się Andromacha, oblały się rumieńcem i udawały, że są zajęte polerowaniem ciężkiej złotej biżuterii Laodike, teraz nienoszonej i pozostawionej w ozdobnym pudełku z kości słoniowej. Księżniczka uśmiechnęła się do dziewczyn i wyszła na przyjemnie zacieniony taras.

Aksa szybko się zakrzętnęła i przyniosła chłopcom słodkie ciastka i mleko. Podąła Andromasze puchar z wodą i księżniczka z wdzięcznością wypila. Smak był specyficzny.

– Gdybyś chciała się umyć, zaniósłm miskę z wodą do twojej komnaty – powiedziała służąca.

Andromacha spojrzala na nią twardo.

- Akso, mówiłam ci, że nie możemy marnować wody na mycie. Oczekuję, że ani ty, ani chłopcy, ani twoje dzieci nie będziecie się myli. – Przed upadkiem Dolnego Miasta trójka dzieci Akso została przeniesiona do pałacu.

- Ale pani, księżę Polites zaprosił cię na spotkanie dziś wieczór z nim i wodzami. Będiesz chciała się umyć przed zmianą sukni – odparła służąca, wskazując jej szatę.

Andromacha spojrzala w dół na szafranową suknię, poplamioną po dniu pracy z chorymi i rannymi w domu uzdrowicieli.

- Dlaczego miałabym się przebierać? – zapytała. – Nie mam niczego czystego.

- Zamówiłam dla ciebie sześć białych szat – powiedziała Akso. – Farbiarze nie mogą pracować, ale szwaczki tak. Poza tym daje im to jakieś zajęcie – dodała na swoją obronę.

– Ale biała tkanina jest potrzebna na bandaże.

Akso pokręciła energicznie głową.

– Pytałam Zeotosa i powiedział, że ostatnio jest niewiele rannych i ma zapas bandaży, który wystarczy na dziesięć lat.

Andromacha się roześmiała.

– A więc masz rację, Akso – przyznała. – Nie ma powodu, dla którego nie możemy mieć białych sukni. Zamów kilka dla siebie i Penthesilei oraz Anio. Ale wodę wlej z powrotem do beczki.

- Ale, pani, już ją poperfumowałam – upierała się służąca. – Nikt nie może jej teraz wypić.

- A więc daj ją koniom. Im nie będzie przeszkadzał zapach płatków róży.

- Ale...

- Teraz, Akso. Konie będą ci wdzięczne.

Akso wzięła miskę i mamrocząc pod nosem, opuściła komnatę. Andromacha przeszła na drugą stronę tarasu, skąd widać było stajnie na ulicy Barwnych Tancerzy, i spojrzala w dół. W końcu zobaczyła pulchną służąca. Kobieta przystanąła i spojrzala w górę. Andromacha pomachała jej ręką. Akso z miską ruszyła dalej w kierunku stajni.

Andromacha z uśmiechem opadła na sofę. Nastaly dziwne dni, pomyślała. W mieście panował letargiczny bezruch, którego nigdy wcześniej nie zaznała. Ciepło przygniatało niczym wełniany koc, tłamsząc ruch i trzymając wszystkich w cienistych wnętrzach domostw. Poza wieczorami, kiedy zmęczeni ludzie ustawiali się po podpłomyki i wodę, ulice były puste. Nikt nie miał wystarczającej ilości wody ani jedzenia.

Mimo iż wszyscy każdego dnia mogli zginąć, Andromacha czuła się dziwnie spokojna. Jej mąż i kochanek byli na wojnie i nie dręczył jej już męczący konflikt pożądania i poczucia odpowiedzialności. Dokonała wyboru. Pozostanie ze swoim synem i z Deksem, dopóki nie nastanie koniec i na ulice nie wyleją się żądni krwi żołnierze, a potem będzie bronić chłopców za cenę własnego życia.

Każdego dnia pracowała w Domu Węży. Od ostatniego większego ataku armii Agamemnona minęło ponad pięćdziesiąt dni i teraz jedynymi obrażeniami były rany od strzał albo połamane kości, kiedy żołnierze, otrzymawszy przydział wina, spadali z murów. Praca w domach uzdrowicieli nie była trudna. Ksander zniknął w tajemniczych okolicznościach i Andromacha się zastanawiała, co się z nim stało, ale większość kapłanów i uzdrowicieli pozostała. Umierających nie karmiono i otrzymywali tylko tyle wody, aby mogli zwilżyć usta. Tym, którzy mieli szanse na wyzdrowienie, dawano wodę, aż zaczynali narzekać na głód, i wtedy byli również karmieni. Andromacha nienawidziła przebywać cały dzień w pałacu, gdzie wszyscy bezradnie wyczekiwali na rozwój wydarzeń. Wolała zająć się pracą pośród rannych i umierających, karmiąc ich i rozmawiając z nimi, a czasami trzymając za rękę, kiedy odchodzili.

Pomyślała, iż prawda jest taka, że nikt nie miał dość zajęć, żeby oderwać myśli od tragicznej codzienności. Miasto zamierało w bezruchu z powodu braku zapasów, zmęczenia wywołanego głodem i pragnieniem, jak również wysysającego energię upału. Ludzie, którzy akurat nie stali w kolejkach po żywność, pozostawali w domach. Bezczynność podsyciała plotki i budziła w ludziach poczucie strachu i zagrożenia. Moje służki Penthesilea i Anio mają zbyt wiele wolnego czasu, pomyślała, i z innymi królewskimi sługami spędzają go na omawianiu rozpaczliwej sytuacji miasta.

Wróciła myślami do poprzedniego lata i tego, co powiedziała Kasandra do dziewcząt, kiedy ostatnio była w tych pokojach. „Musicie nauczyć się strzelać! Kobiety Konia Trojańskiego ze strzałą i łukiem! Widzisz? Czy widzisz, Andromacho?”

– Tak, Kasandro – zwróciła się Andromacha do pustego pokoju. – Teraz widzę.

Kiedy Andromacha przybyła do megaronu, czekali już tam Polites z Banoklesem i Kalliadesem. Uśmiechnęła się do obu wojowników, jednego potężnego z blond brodą, drugiego zaś wysokiego i ciemnowłosego. Zawsze będzie pamiętała, jak biegli jej na ratunek po zboczu w noc, kiedy umarła Kaliope. Wtedy byli mykeńskimi renegatami walczącymi z napastnikami, którzy chcieli ją zabić. Teraz stali się najbardziej szanowanymi wojownikami w armii trojańskiej. Słyszała o śmierci żony Banoklesa i przepełniało ją współczucie, ale gdy jedyny raz próbowała mu je okazać, zignorował ją i odszedł bez słowa.

– Zakładam – zwróciła się do Politesa, siadając na wyściełanym krześle i składając dłonie – że mamy omówić racjonowanie żywności oraz opiekę nad rannymi. Nie zaprosilibyście mnie na rozmowę o strategii.

Polites westchnął.

– Nasza jedyna strategia polega na utrzymaniu się przy życiu. Nie zaatakowano nas od pięćdziesięciu pięciu dni. Temperatura i brak pożywienia oraz wody to teraz nasi najwięksi wrogowie. Jedzenia wystarczy nam ledwie do końca lata. Studnie mogą wyschnąć każdego dnia.

- To możliwe? – spytał Kalliades.

- Zdarzało się już wcześniej. – Lukan szybko wszedł do megaronu u boku Polidorosa i Ifeusa, młodego dowódcy Orłów. – Jakieś czterdzieści lat temu obydwie studnie wyschły w czasie letnich upałów – wyjaśnił. – A rzeki zamieniły się w cienkie strumyki. To było ciężkie lato. Wyzdychało wtedy całe bydło i nierogaczyna. Musieliśmy zarznąć większość koni. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Ale tamtego roku deszcze przyszły wcześniej i przetrwaliśmy.

- Wróg też cierpi – wtrącił Kalliades. – Mają dużo wody, ale nie przedostają się do nich dostawy żywności. Możemy za to podziękować Hektorowi i Helikaonowi. Armie Agamemnona spustoszyły okolice miasta. Nie ma już żadnych plonów ani inwentarza. A głodni żołnierze to nieszczęśliwi żołnierze. Wiemy, że jeden z najemnych oddziałów odjechał dziesięć dni temu, kierując się na południe. Reszta zacznie dezertować, kiedy się zorientują, że wojna tak szybko się nie skończy.

- To nasza największa nadzieja – powiedział Polites.

- Nie – wtrącił Banokles, drapiąc się w brodę. – Naszą największą nadzieją jest to, że Agamemnon i jego zgraja zapchlonych królów złoży broń się i podda. Ale to mało prawdopodobne.

Wszyscy mężczyźni się uśmiechnęli, ale Andromacha odezwała się niecierpliwie:

- Politiesie, co mamy tu omawiać? Sytuacja w Domu Węży jest taka sama jak wtedy, kiedy spotkaliśmy się trzy dni temu. Opiekujemy się teraz wieloma starszymi ludźmi i dziećmi, które źle znoszą upały i suszę. Przyprawiono kolejnych dziesięciu rannych łuczników. Dwóch zmarło. Trzech ma zakażenie i najprawdopodobniej też umrą. Zeotos twierdzi, że pozostali przeżyją. – Po czym dodała gniewnie: – Nie rozumiem, dlaczego nasi łucznicy są narażani, skoro nie jesteśmy atakowani. Pojedyncze strzały posyłane we wroga pod murami przynoszą niewiele pożytku. Gdyby każdy z naszych łuczników zabijał codziennie jednego wrogiego żołnierza, ciągle byłaby to kropla wody w Wielkiej Zieleni.

- Siostrzo, musimy przypominać wrogowi, że Troja mocno się broni – odpowiedział Polites. – Każdy atak, choćby pojedyncza strzała nad murami, musi się spotkać z odpowiedzią.

- A jeżeli Brama Skajska zostanie otwarta i miasto upadnie, wtedy kilku łuczników nie zmieni naszego losu, pani – dodał ponuro Kalliades.

- Żeby zabić króla, wystarczy jedna strzała – odparła rezolutnie.

Potem omawiali bardziej restrykcyjne racjonowanie żywności, gdyż Polites martwił się o gwałtownie topniejące zapasy zboża. Andromacha powiedziała, że odwiedziła każdego piekarza w mieście, udzielając rad dotyczących przechowywania ziaren, tak by zachowały świeżość i by nie załęgło się w nich robactwo, oraz upewniając się, że wszyscy się do nich stosują.

Opuściła megaron, kiedy mężczyźni zaczęli omawiać rotację oddziałów przy Bramie Skajskiej. Czuła niepokój i pod wpływem impulsu zawołała swoich przybocznych, którzy pod portykiem grali w kości, i ruszyła do pałacu Priama. Poczwała nagłą chęć porozmawiania z królem na osobności, kiedy Polidoros był na spotkaniu. Młody żołnierz trwał ciągle u boku króla i mimo iż go lubiła, czuła się skrępowana na myśl o otwartej rozmowie z Priamem w jego obecności.

Zaprowadzono ją do komnat królowej, gdzie król mieszkał od śmierci Hekabe. Myślała, że będzie wypoczywał. Ale kiedy żołnierz ją wprowadził, była zaskoczona, bo zastała Priama na szerokim kamiennym balkonie. Stał, wpatrując się w ciemniejące niebo, mimo upału owinięty białym płaszczem z wełny. Odwrócił się do niej i przez chwilę przypominał jej króla, którego pierwszy raz spotkała na Wielkiej Wieży Ilionu. Wtedy był jeszcze potężny i bystry, ona zaś była dwudziestoletnią dziewczyną, która ryzykowała śmierć, odmawiając ukłęknięcia przed władcą. Tyle arogancji, tyle dumy, pomyślała z przyganą starsza Andromacha.

- Mam nadzieję, że znajduję cię w dobrym zdrowiu, mój królu – powiedziała.

- Andromacha z Teb! – krzyknął i w świetle pochodni jego oczy rozbłyły życiem. Zorientowała się, że nie jest to zagubiony staruszek z ostatnich dni, ale potężny i kapryśny król, którego się bała, choć tego nie okazywała. – Chodź, stań obok mnie i spójrz na nasze miasto.

Ujęła wyciągniętą dłoń. Pociągnął ją na balkon. Spojrzała na jego profil, orli nos i mocno zarysowaną szczękę, zastanawiając się, czy niecni bogowie nie przenieśli jej z powrotem do pierwszych dni w Troi.

- Opowiedz mi o Orlim Dziecięciu – zażądał mocnym głosem. I zacytował przepowiednię Melite. – *Pod Tarczą Gromu już czeka Orle Dziecię, niemy świadek, by krążyć nad grodem człeka, po kres dni, królów upadek.* Mówią na niego Astinaks – kontynuował. – Pan Miasta. Powiedziano mi, że stare głupie kobiety próbują dotknąć jego tuniki, kiedy idzie ulicą. Jest nadzieją Troi. – Głos mu się zmienił i stał się bardziej natarczywy. – On musi pozostać w mieście, Andromacho.

Właśnie miała się z nim zgodzić, kiedy złapał ją za ramiona i popchnął w kierunku balustrady.

- Nie pozwolę, żeby opuścił Troję! – wycharczał jej w ucho. – Wiem, o czym myślisz, dziewczyno! Chcesz go przeszmugłować przez bramy, zawiniętego w koc, jak żołnierska dziwka z tobołkiem ubrań. Ale nie zrobisz tego. Każę go pilnować dzień i noc. Moje Orły dopilnują, żebyś nie wyrządziła mu krzywdy. – Z siłą szaleńca podniósł ją, próbując wypchnąć przez szeroką kamienną balustradę. – Powstrzymam cię! – wykrzyknął. – Nie zabierzesz go!

Próbowała z nim walczyć, ale ścisnął ją za ramiona i była bezradna, kiedy popychał ją w kierunku stromego spadku. Zmusiwszy się do zachowania spokoju, zwiotczała w jego ramionach. Przypominając sobie ostatnią rozmowę z królową Hekabe, zalotnie wyszeptala królowi do ucha słowa, które usłyszała, choć niewiele z nich rozumiała.

- Panie, dokąd dziś wypłyniemy? *Skamandrios* już czeka.

Wzdrygnął się mocno i puścił ją. Andromacha z sercem trzepoczącym niczym ptak chwiejnie przeszła w bezpieczne miejsce, odsuwając się od króla i obserwując go czujnie.

- Hekabe? – zapytał niepewnie drżącym głosem, z bólem i zagubieniem w oczach.

- Idź odpocząć, mój mężu – powiedziała miękko. – Zaraz do ciebie dołączę.

Priam się zawahał, po czym poczłapał do swojego szerokiego łóża i położył się, z wysiłkiem podnosząc nogi, i niczym posłuszne dziecko pozostał tam. Andromacha mierzyła go wzrokiem,

przepełniona sprzecznymi uczuciami. Strach przed szalonym królem na balkonie szybko ustąpił współczuciu dla zagubionego starca. Czym prędzej opuściła komnatę. Pogrążona w myślach szła oświetlonym pochodniami korytarzem, kiedy odezwał się za nią głos.

– Wszystko w porządku, pani?

Obróciła się szybko, miała nerwy napięte jak postronki, i zobaczyła, że to Kalliades. Zdała sobie sprawę, że musi być zaczerwieniona i ma suknię w nieładzie, więc szybko wzięła się w garść.

– Cieszę się, że tu jesteś, Kalliadesie. Muszę z tobą pomówić. Chcę, żeby jutro rano do pałacowych ogrodów przyniesiono jakiegokolwiek łuki i strzały, bez których możesz się obejść. Zamierzam nauczyć strzelać Kobiety Konia Trojańskiego.

- Kobiety Konia Trojańskiego? – zapytał, marszcząc brwi.

- To żony i córki jeźdźców, którzy zginęli w służbie miastu. Ulokowano je w królewskich kwaterach. Moje dwie służące są córkami Ursosa.

- Znałem go – odpowiedział Kalliades. – To był dobry człowiek. Zginął w bitwie pod Dardanos.

- Jego córki są jednymi z wielu młodych kobiet, które przebywają w mieście. Jeżeli mury zostaną zdobyte, ich los będzie przerażający. Chciałabym je nauczyć, jak się bronić.

Wojownik spojrzał na nią ze smutkiem, jakby się wahając, czy się odezwać.

- Powiedz, o czym myślisz, Kalliadesie – zażądała.

- Pani, kiedy zjawią się tu wrogowie, będą ich tysiące. Łuk i strzała niewiele zmienią los kobiety. – Opuścił wzrok, nie chcąc spojrzeć jej w oczy.

- Uczestniczyłeś w ataku na pałac – powiedziała.

- Byłem wśród mykeńskich najeźdźców, razem z Banoklesem. To powszechnie znany fakt, ale ta część naszego życia to przeszłość.

- Nie wspomniałam o tym, żeby cię zawstydzić. Widziałeś mnie wtedy?

Skinął głową.

- Strzelając z łuku, zabiłaś i okaleczyłaś wielu naszych ludzi – przerwał. – Pani, byłaś wspaniała.

Słyszając ten niespodziewany komplement, oblała się rumieńcem.

- Ale – kontynuował – my, Mykeńczycy, przybyliśmy gotowi na walkę wręcz. Pośród naszych było niewielu łuczników. W przeciwnym razie byłabyś martwa.

Uznała prawdę zawartą w jego słowach, ale rzekła:

– Kalliadesie, gdyby atakowali cię zbrojni mężczyźni, wolałbyś mieć łuk czy być kompletnie bezbronny?

Kalliades skinął głową.

- Dopilnuję, żebyś dostała łuki i strzały, których potrzebujesz. Na pewno nie zaszkodzi. Ile?

- W mieście znajduje się ponad trzydzieści Kobiet Konia Trojańskiego.

– Dam wam to, czym możemy się podzielić. Ale nie możemy zaniedbywać naszych łuczników.

Pograżony w myślach Kalliades opuścił pałac i idąc powoli przez ciche miasto, skierował się do wschodniego muru. Przeszedł wzdłuż niego do wieży i po schodach wspinał się na blanki. Znalazł tam wojowników oddziału Skamandryjskiego, rozmawiających cicho, jedzących i grających w kości. Wielu spało na twardych kamieniach głębokim snem, jak potrafią tylko weterani – nawet w najbardziej niesprzyjających warunkach.

Kalliades szukał Banoklesa, ale ponieważ nigdzie nie widział przyjaciela, usiadł z wyciągniętymi nogami, opierając się o mur. Westchnął i z wdzięcznością zamknął oczy. Myślał o tym, co Andromacha powiedziała o łuczniczkach. Nie miała racji, ale wyklócanie się z nią nie miało sensu. Gdyby był nieuzbrojony i miał naprzeciwko siebie wojowników, polegałby na swojej sile i umiejętnościach walki wręcz, a nie na zwodniczym łuku. Jego brak zaufania do łuczników był głęboko zakorzeniony. Mykeńscy wojownicy pogardzali łuczniczkami, procarzami i wszystkimi, którzy walczyli na odległość. Prawdziwi wojownicy uzbrajali się w miecz, nóż czy włócznię i spotykali z nieprzyjaciółmi oko w oko. Przypomniał sobie, jak Kolanos zabił wielkiego Arguriosa zdradziecką strzałą, i nawet po tak długim czasie zalała go fala goryczy. Prosił Ojca Zeusa, aby przeklął Kolanosa za ten czyn. Uśmiechnął się ponuro, wspominając jego bolesną śmierć.

Pomyślał, że nikomu nie zaszkodzi, jeżeli kobietom da się łuki do zabawy. To je zajmie i odciągnie ich myśli od czekającego je losu. Andromacha miała rację co do jednej rzeczy – potrzeba tylko jednej strzały, aby zabić króla.

Kalliades powoli zdał sobie sprawę, że ktoś mu się przypatruje, i otworzył oczy. Przed nim stał młody żołnierz o jasnych długich włosach.

- Tak, żołnierzu? – zapytał, znowu zamykając oczy.

- Wodzu... – wymamrotał chłopak.
- Nie jestem wodzem, tylko prostym żołnierzem. Mów, o co chodzi.
- Chciałeś mnie widzieć.

Kalliades otworzył oczy. Młody żołnierz kiwał głową, jak gdyby na potwierdzenie swoich słów.

- Tak? Dlaczego? Kim jesteś?
- Panie, jestem Boros. Mówią na mnie Boros Rodyjczyk.

Kalliades przypomniał go sobie w nagłym przebłysku i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Ty jesteś żołnierzem z prostokątną tarczą!
- Tak, panie. Choć straciłem ją w czasie ucieczki znad rzeki. – Boros spuścił głowę. – Dał mi ją brat. Przykro mi, że ją zgubiłem. To była dobra tarcza.
- Siadaj, chłopcze. Uratowałeś mi życie. Chciałem ci tylko podziękować. Nie poznałbym cię. Żołnierz się zaczerwienił, ale usiadł obok Kalliadesa.
- Powiedziano mi, że mnie szukasz. Nie wiedziałem dlaczego. Myślałem, że zrobiłem coś złego.

Kalliades się roześmiał.

- To było tak dawno temu, na wiosnę. Udawało ci się unikać mnie przez cały ten czas? Boros uśmiechnął się nerwowo, po czym potarł lewe oko.
- Byłem ranny. Złamałem nogę i przebywałem w domu uzdrowicieli. Długo się goiła. – Znowu potarł oko.
- Coś się stało z twoim okiem, Borosie?
- Nie, nic. Raz otrzymałem cios w głowę. Czasami mnie boli, to wszystko.
- Wiem, co masz na myśli. Cięto mnie mieczem przez twarz... dawno temu. A ciągle boli mnie w mroźną pogodę albo kiedy jestem zmęczony.

Przez chwilę siedzieli w przyjaznym milczeniu, po czym Boros spytał:

- Nigdy nie byłem w oblężonym mieście, panie. Czy kiedy się tu wedrą, wymordują wszystkich?

Kalliades skinął głową.

- Tak, chłopcze. Nagromadzone podczas długich dni oblężenia gniew i żądza krwi sprawiają, że ludzie są zdolni do okropnych rzeczy. Żołnierzy zabijają szybko, zginie każdy, kto będzie miał

na sobie zbroję. Taki jest mykeński zwyczaj. Ale mieszkańców miasta, uchodźców, mężczyzn, kobiety i dzieci czeka straszliwy los.

- Ale nie da się zdobyć murów – mówił Boros. – Wszyscy tak twierdzą. Nie próbowali nawet atakować, odkąd spuściliśmy na nich płonący piasek. Wielu naszych uważa, że powinniśmy zamurować ostatnią bramę, Skajską, i przeczekać. – Po chwili dodał konspiracyjnym tonem: – Brama Skajska to nasz najsłabszy punkt, to pewne.

Kalliades skinął głową.

– To prawda, żołnierzu. Ale nasi wodzowie wierzą, że wraz z przeciągającym się oblężeniem wróg będzie tracił ducha. Jeden oddział najemników już się wycofał, inni pójdą w ich ślady. Większość z nich jest tutaj nie dla honoru i chwały, lecz dlatego, że węszy łupy. A łup nie pachnie już tak słodko, kiedy obozuje się w zrujnowanym mieście, gdzie kiepsko karmią i nie ma kobiet, które mogłyby cię zabawić. Wiemy, że Mykeńczycy zostaną niezależnie od wszystkiego, tak samo jak Kreteńczycy Szablozębego i Myrmidoni Achillesa. Ale kiedy pozostaną tylko ich oddziały, otworzymy Bramę Skajską, wypadniemy na zewnątrz i zaatakujemy. Potem, z Aressem prowadzącym nasze miecze, zwyciężymy i lud Troi przetrwa.

Dookoła niego rozległy się wiwaty i zdał sobie sprawę, że mówi głośno i przysłuchiwali mu się trojańscy żołnierze. Okrzyki były nierówne i szybko ucichły, ale mowa o zwycięstwie podniosła ludzi na duchu. Kalliades westchnął. Nie wierzył w swoje słowa, ale być może dzięki nim niektórzy będą tej nocy lepiej spali.

Następnego ranka Kalliades udał się do królewskich ogrodów, gdzie Andromacha próbowała nauczyć strzelać z łuku grupkę rozglądających się nerwowo kobiet.

Służące kiepsko radziły sobie z bronią. Większość była zbyt onieśmielona obecnością Andromachy, żeby zwracać uwagę na to, co im mówiła. Wiele łuków było zbyt twardych, żeby mogły je naciągnąć kobiety. Widział, że księżniczka zaczyna się coraz bardziej denerwować, i zastanawiał się, czy nie pożałowała swojego pomysłu.

Usłyszał, jak zwraca się do szczupłej dziewczyny o czarnych włosach.

– Słuchaj, co do ciebie mówię, Anio. Zrób wydech i kiedy całe powietrze opuści twoje ciało, wyceluj, po czym zwolnij cięciwę. – Strzała o czarnych lotkach chybiła celu, ale tylko na szerokość dłoni, i Anio się uśmiechnęła, kiedy Andromacha ją pochwaliła.

Jedyna kobieta zdradzająca prawdziwe zdolności łucznicze stała samotnie na końcu szeregu.

Była wysoka. Żadna piękność, pomyślał Kalliades. Miała wyraźnie zarysowany podbródek, gęste brwi i długie, czarne włosy zaplecione w gruby warkocz odrzucony na plecy. Była silna i panowała nad łukiem. Posyłała do celu strzałę za strzałą, zdeterminowana, aby nauczyć się strzelać. Zastanawiał się, kim jest, a potem usłyszał, jak Andromacha zwraca się do niej Penthesilea.

Kalliades krótko przebywał w ogrodach, bo zorientował się, że nie pomaga Andromasze. Obecność wojownika weterana sprawiała, że kobiety jeszcze bardziej uświadamiały sobie swą niedoskonałość. Ciągłe zerkwały na niego nerwowo i szeptały między sobą. Szybko opuścił ogrody i na zewnątrz spotkał opartego o mur Banoklesa.

- Nie mogłem na to patrzeć – powiedział jego przyjaciel, kręcąc głową. – Wszystkie są do niczego.

- Pamiętasz, jak ty pierwszy raz podniosłeś łuk? – spytał Kalliades, przyłapując się na tym, że broni ambicji Andromachy. – Nie byłeś dużo lepszy.

- Teraz też nie jestem – przyznał Banokles. – Tak samo jak ty.

Razem ruszyli w kierunku zachodniej części miasta.

- Ludzie mi powiedzieli, że zeszłej nocy gadałeś o wyjściu na zewnątrz i zaatakowaniu wszystkich – kontynuował. – Znaczą wojska Agamemnona.

Kalliades pokręcił głową.

- Mówiłem, że jeżeli kolejne oddziały najemników się wyniosą, możemy zrobić wypad i przenieść walkę na ich teren. Ale ciągle mają nad nami przewagę pięciu wojowników do jednego. I są silniejsi. Mają dużo wody.

- Cóż, miałem powiedzieć, że to głupi plan – odparł Banokles. – Ale poszedłbym na to. Mam już dość tego czekania. Dokąd idziemy?

Kalliades prowadził ich przez labirynt baraków uchodźców. W wejściach siedziały kobiety i dzieci odprowadzające ich tępymi spojrzeniami. Nie licząc żalostnego płaczu dzieci, na ulicach panowała cisza.

- Do obozu Traków – odpowiedział. – Chcę porozmawiać z Hillasem.

- Dobrze. Ciekawe, czy ciągle mają ten swój trunek, Górski Ogień.

- Ten, o którym mówiłeś, że smakuje niczym stare sandały gotowane całą zimę, a potem podpalone?

- Tak, był dobry. Ciekawe, czy coś im zostało.

Kalliades zatrzymał się nagle i Banokles przeszedł kilka kroków, zanim wrócił do niego.

- Co się stało?

- Banoklesie, myślałeś kiedyś, co powinniśmy zrobić, ty i ja, jeżeli przeżyjemy?

Przyjaciół wzdrynął ramionami.

- Podejrzewam, że pójść gdzie indziej. Nie możemy wrócić na zachód. Być może udamy się na północ razem z Hillasem i jego Trakami i pomożemy im odzyskać ich ziemię. A co?

Kalliades wziął głęboki oddech.

- Chyba pozbędę się miecza – powiedział.

- Miecza Arguriosa? Mogę go dostać?

- Mam na myśli to, że porzucę żołnierkę.

- Nie możesz – zaprotestował Banokles, marszcząc brwi. – Jesteśmy braćmi miecza. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

- Pamiętasz, kiedy pierwszy raz przybyliśmy do Troi?

Banokles wyszczerzył zęby.

- To była niezła bitka, nieprawdaż? Jedna z najlepszych.

- Niewiele brakowało, abyśmy zginęli – przypomniał mu Kalliades.

- Poległo wielu naszych przyjaciół. Między innymi Erutros, którego podobno chciałeś mieć za brata miecza. – Banokles wzdrynął ramionami, a Kalliades mówił dalej: – Od tego czasu wiele przeszliśmy, czyż nie?

Przyjaciół skinął głową.

- Wtedy myślałem, że ludzie dzielą się na lwy i owce. My byliśmy lwami, a nasza siła dawała nam władzę nad owcami. – Kalliades pokręcił głową. – Teraz już tak nie myślę. Wszystko stało się bardziej skomplikowane. Ale doszedłem do wniosku, przyjacielu, że zło tego świata ma swoje źródło w ludziach takich jak ty czy ja.

- My nie rozpoczęliśmy tej wojny – odparł wyraźnie zbity z tropu Banokles.

- Można by się z tym kłócić. Można by się też upierać, że zaczął ją Alektruon. Albo Helikaon. Nie w tym rzecz. Spójrz na te wszystkie armie po drugiej stronie murów. Niektóre oddziały odeszły. Nie dlatego, że odrzucili wojnę, ale dlatego, że nie toczyły się tu żadne bitwy i nie było łupów do zdobycia. Poszli zabijać i ranić gdzie indziej. A wszystko to są ludzie tacy jak ty czy ja, sprzedający swój miecz dla śmierci bądź sławy albo żeby złupić królestwo.

- Więc co będziesz robił? Zostaniesz kapłanem? – zapytał Banokles z goryczą w głosie.

- Nie wiem – przyznał smutno Kalliades. – Ale wiem, że mnie zrozumiesz, Banoklesie. Nie tak dawno sam mówiłeś o porzuceniu wojaczki i zajęciu się uprawą ziemi.

- To było kiedyś – rzucił krótko Banokles i jego twarz pociemniała. Odwrócił się i ruszył dalej. Od czasu ich rozmowy na polu bitwy o Skamander Banokles nie mówił o Rudej i swoim krótkim małżeństwie. Kiedy Kalliades próbował poruszać ten temat, Banokles po prostu odchodził.

W milczeniu dotarli do obozu Traków. Plemieńcy obozowali pod zachodnim murem. Wieczorami było to jedno z najchłodniejszych miejsc w mieście, ale za dnia Trakowie stawiali baldachymy o jasnych kolorach, aby się schronić przed palącym słońcem.

Młody Peryklos, syn zmarłego króla Rhesosa i prawowity pan utraconych ziem Tracji, zrezygnował z pałacowego życia i mieszkał ze swoimi ludźmi. Chłopak miał czternaście lat, ale wyglądał na znacznie starszego. Postanowił ubierać się w tradycyjny strój Kikonów i Kalliades nie miał wątpliwości, że jeżeli chłopiec ruszy do bitwy, jakkolwiek krótka miałyby być, pomaluje twarz tak samo jak jego ludzie.

Tylko dziesięciu Traków nie odniosło jeszcze ran. Kolejnych pięciu znajdowało się w domach uzdrowicieli, ale ich rodacy spodziewali się, że przeżyje tylko dwóch. Reszta z pięćdziesięciu jeźdźców zginęła w czasie odwrotu znad rzeki i w obronie Dolnego Miasta. Rozglądając się po obozie, Kalliades się zastanawiał, co teraz myśli ich dowódca o swej nagle podjętej w Dardanos decyzji, aby sprowadzić ludzi do Troi.

– Witajcie w naszym obozie, przyjaciele – pozdrowił ich Hillas, pan Zachodniej Góry, wstając. – Możemy zaoferować wam trochę wody i jęczmiennych placków.

Kalliades pokręcił głową. Wtedy, jakby usłyszawszy jego myśli, Hillas powiedział:

- Nie chciałbym ginąć w obcym mieście, ale nie żałuję ani jednego dnia spędzonego tutaj. W moim kraju mamy powiedzenie: „Starość nie jest tak honorowa jak śmierć, ale większość ludzi jej pragnie”. Wojownicy Kikonów nie pragną starości. Wszyscy moi synowie nie żyją. Jeżeli zginiemy z honorem, nie będzie miało znaczenia, gdzie umrzemy. – Splunął na ziemię.

- Przybyłem prosić cię o przysługę, Hillasie – powiedział Kalliades.

- Proś.

- Wśród swoich rodaków masz wspaniałych łuczników. Chciałbym wypożyczyć jednego, aby zademonstrował swoje umiejętności.

Hillas zmarszczył brwi.

- Myślałem, że Mykeńczycy gardzą łucznikami. Dlaczego o to prosisz?

- Pani Andromacha uczy kobiety strzelać. – W tym momencie wśród mężczyzn w obozie rozległy się krzyki i wybuchy śmiechu niedowierzania. Banokles szczerzył się razem z innymi.

Kalliades brnął dalej.

- Księżniczka jest dobrą łuczniczką, dla niej to wrodzony dar i nie ma doświadczenia w nauczaniu innych. Ponadto wiele łuków trzeba dostosować do kobiecych sił. Może jeden z twoich ludzi zechciałby... ?

Hillas się roześmiał i pokręcił głową; warkocze trzęsły mu się od uciechy.

- Nie, mój przyjacielu. Moi ludzie mogliby nauczyć Trojanki wielu rzeczy, ale nie jak robić z siebie głupca za pomocą łuków i strzał.

- Ja pomogę – odezwał się Peryklos, podchodząc do Kalliadesa. – Troja i jej mieszkańcy udzielili mi schronienia. Pani Andromacha była miła, przyjmując mnie i mojego brata do swojego domu, kiedy tu przybyliśmy. Nasza niańka Myrine otrzymała miejsce w królewskim domostwie, mimo iż jest stara, ułomna i potrzebuje opieki. Jeżeli mogę zrobić cokolwiek, aby się zrewanżować, zrobię to. – Odwrócił się do trackiego plemieńca. – Masz coś przeciwko temu, Hillasie?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie, mój królu. To honorowy gest. Poza tym będziesz lepszym nauczycielem niż ktokolwiek inny z tej zbieraniny. – Wyszczrzył się, wskazując na swoich ludzi.

W tym momencie usłyszeli krzyki dochodzące z niewielkiej odległości. Potem dobiegł ich tupot stóp, kolejne wrzaski i szcęk metalu.

Wyciągnąwszy miecze, Kalliades i Banokles natychmiast pobiegli w tamtym kierunku.

Dookoła jednej z dwóch studni Troi zebrał się tłum. Na ziemi leżało trzech mężczyzn, dwóch nie żyło, trzeci zaś przyciskał do piersi złamane ramię. Sześciu strażników strzegących studni stało z obnażonymi mieczami naprzeciw rozgniewanego tłumu. Na ziemi leżało puste wiadro, którego cenna zawartość wsiąkała w ziemię.

- Co się tu dzieje? – zapytał Banokles.

- Wodzu, studnia wyschła. Ci głupcy walczyli o ostatnie wiadro wody – odpowiedział jeden ze strażników.

XXV. ZASADZKA!

Daleko na południu miasta Skorpios leżał wtulony w kamieniste podłoże górskiego grzbietu i spoglądał w dół na długą karawanę wozów rozciągającą się wzdłuż równiny Skamandra.

Uśmiechnął się. W latach swojej służby dla Konia Trojańskiego jako zwiadowca nigdy nie widział tak kuszącego i powolnego celu. Naliczył czterdzieści wozów ciągniętych przez osły, a za nimi dziesięć wózków zaprzężonych w woły. Osły zatrzymywano od czasu do czasu, żeby wolniej poruszające się woły mogły je dogonić. Karawany pilnowało ponad stu jeźdźców uzbrojonych we włócznie. Ale za Skorpiosem, w lasach, czekało ponad sześciuset wojowników Konia Trojańskiego.

Skorpios rozmyślał, co może się znajdować na wózkach ciągniętych przez woły. Być może ciężkie pancerze dla mykeńskiej piechoty lub sztabki miedzi z Cypru. Albo dzbany wina z Lesbos.

Przeturlał się na plecy i poczuł skurcze w żołądku. Był głodny i minęło dużo czasu, odkąd ostatnio kosztował wina. Ostatnie amfory, które wpadły im w ręce, pochodziły z karawan kursujących pomiędzy Zatoką Troi i armiami obozującymi pod miastem. Od tego czasu Agamemnon sporo się nauczył. Każda karawana na tej uczęszczanej trasie była teraz eskortowana przez oddział zwiadowców i ciężko opancerzonych jeźdźców zbrojnych we włócznie.

Hektor z niechęcią odwołał ataki. Zamiast tego wziął na cel oddziały Agamemnona wysyłane w poszukiwaniu Konia Trojańskiego do lasów i dolin u podnóża Idy. Konni Hektora znali gęsto zalesiony teren o wiele lepiej od najeźdźców i wmanewrowywali wrogów w wiele niebezpiecznych pościgów, wabiąc ich do zamkniętych wąwozów, gdzie ich wybijano co do jednego. Niekiedy Trojanie wymykali się ukrytymi przejściami, kiedy ścigającym wydawało się, że wreszcie dopadli nieuchwytnych przeciwników. Takie pościgi zawsze kończyły się śmiercią ścigających. W rezultacie sprzymierzeni z Agamemnonem królowie odmówili wysyłania swoich ludzi w lasy wokół Idy, nawet w celu wycinki dębów, które dostarczały im drewna i opał.

Ale lato mijało i zapasy Hektora zaczęły się kurczyć. To były pierwsze wozy, które widzieli od trzydziestu dni, i to tak daleko na południu.

Skorpios przeturlał się z powrotem na brzuch i raz jeszcze zerknął za krawędź. Karawana

znajdowała się teraz prawie na jego wysokości. Jej dowódca był wysoki, miał na sobie czarny hełm i napierśnik. Skorpios próbował sobie przypomnieć, co o pancerzach przeciwnika mówił im Mestares, prawa ręka Hektora. Wszyscy wiedzieli, że Achilles zawsze nosi czarną zbroję, ale Skorpios wątpił, żeby Achilles Zabójca dowodził podrzędną karawaną z zaopatrzeniem. Część Myrmidonów, jego przybocznych, również nosiła się na czarno na cześć swojego przywódcy, choć większość używała typowych tesalskich zbroi. Jedyny inny wojownik, który zawsze ubierał się na czarno, to Meriones, przyjaciel Odyseusza i przyboczny króla Krety. Ale Skorpios nie dostrzegł żadnej kreteńskiej zbroi.

Usłyszał szelest na skałach za sobą i obok niego pojawił się Justinos.

- Co tam, chłopcze? Jak myślisz, kim oni są? – zapytał, uważnie spoglądając ponad urwiskiem.

- Nie wiem. Ale to pięćdziesiąt wozów.

- Hm – mruknął Justinos. – Prawdopodobnie jakiś zamorski kupiec pomyślał, że może zbić fortunę, wysyłając zaopatrzenie wojskom Agamemnona. Uznał, że to warte ryzyka. Musieli wyciągnąć swoje statki w jakiejś małej zatoce na południu.

Skorpios ziewnął. Tej nocy rozbili obóz daleko na południu i jechali od świtu. Hektor trzymał ich w nieustannym ruchu. Nowy obóz każdej nocy. Dni były długie i ciężkie, a noce krótkie. Skorpios zaś nie jadł niczego od poprzedniego świtu.

- Jestem głodny – poskarżył się, zresztą nie pierwszy raz. – Zgadzam się z Banoklesem. Nie można walczyć o pustym żołądku.

- A więc jeżeli Banokles ciągle żyje, będzie jęczał jeszcze głośniejsze od ciebie, synu. Te wozy mogą okazać się dla nas dziś w nocy niezłą gratką. Byłoby miłą odmianą zjeść coś innego niż koninę.

Odczołgali się i zeszli po skalnym zboczu do miejsca, gdzie przykazali konie. Po krótkiej przejażdżce trafili na polanę, gdzie czekał Hektor wraz z całym Koniem Trojańskim. Niektórzy jeźdźcy wsiedli na konie w momencie, kiedy dostrzegli zwiadowców, ale Hektor dalej siedział przy ognisku, polerując swój srebrno-złoty wielki napierśnik.

- Zauważyliście, co wiozą? – zapytał, kiedy zsiadli z wierzchowców.

Justinos pokręcił głową.

- Wszystkie wozy są szczelnie zakryte. Jest ich około pięćdziesięciu. I są mocno wyładowane.

- A straż?

- Dobrze ponad setkę. Dowódca jest odziany na czarno od stóp do głów.

Hektor uniósł brwi.

– Czy to może być Achilles?

Justinos znowu pokręcił głową.

– Nigdy go nie widziałem, ale mówią, że jest wielkim mężczyzną, tak samo rosłym jak ty, panie. – Hektor skinął głową. – A więc to nie Achilles – uznał Justinos. – Ten wojownik jest wysoki, ale smukły.

Hektor siedział przez chwilę pogrążony w myślach, dopóki jeden z jeźdźców nie zadał mu pytania:

- Hektorze, obawiasz się zasadzki?

- To prawdopodobne – odpowiedział. – Jeżeli miałbym urządzić zasadzkę, wykorzystałbym do tego dużą, wolno poruszającą się karawanę. Ale jest to kuszące. Nasi zwiadowcy nie odkryli żadnych sił wroga czekających w ukryciu. Na południe od nas nie ma oddziałów przeciwnika, tego możemy być pewni.

- A na północy przeprowadziliśmy zwiad, aż zobaczyliśmy Troję.

Hektor podjął decyzję. Wstał.

- No to zabijmy ich wszystkich – powiedział ponuro.

Jeźdźcy podprowadzili wierzchowce ku grzbietowi górskiemu. Kiedy Skorpios pomyślał o nadchodzącej bitwie, poczuł znajome ciepło strachu rozlewające się w żołądku. W oddziale zostało około sześciuset konnych, plus dwie mniejsze grupy, które Hektor wysłał na północ i wschód od Troi. Byli o wiele liczniejsi od jeźdźców eskortujących karawanę, ale Skorpios miał tak złe przeczucia, że było mu niedobrze. Oblał się zimnym potem i bolała go głowa. Wiedział, że słabość minie z chwilą rozpoczęcia walki. Zawsze tak było.

Dotarłszy na szczyt, dostrzegł, jak Hektor wbija pięty w bok wierzchowca i galopuje w dół łagodnego zbocza w kierunku rzeki. Karawana z zaopatrzeniem była po drugiej stronie Skamandra, ale obecnie rzeka zamieniła się w strumyk. Sześciuset jeźdźców przegalopowało na drugą stronę, wznosząc tumany kurzu.

Skorpios przylgnął do karku wierzchowca i spojrzał przez kłęby kurzu przed nimi. Zobaczył, że wozy się zatrzymały. Ciężkozbrojni jeźdźcy mieli włócznie i miecze. Nie wycofali się, pozostali przy wozach i obrócili w kierunku nacierających, zamiast odjechać i spotkać w polu

z jazdą przeciwnika. Zobaczył, jak Hektor zatacza mieczem krąg nad głową. Otoczyć ich!

Jadący u boku Justinosa Skorpios odbił tarczą włócznię i pogalopował na tył wozu. Odciągnął jednego z jeźdźców i runął na niego. Ten rzucił włócznię w momencie, kiedy Skorpios uderzył, ale kiepsko wycelował i Trojanin z łatwością ją odbił, po czym wbił miecz w jego gardło. Zablokował niebezpieczne cięcie w głowę ze strony kolejnego jeźdźcy i niemal odrąbał mu ramię. Odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć lecącą w jego kierunku włócznię, i zasłonił się tarczą, ale siła uderzenia zrzuciła go z konia i ciężko upadł na ziemię.

Wiele osłów wpadło w panikę i próbowało się oddalić, ciągnąc wozy we wszystkie strony. Skorpios odkulnął się z drogi jednego z ciężkich wozów, który przetoczył się obok niego. Potem wstał i rozejrzał się za swoim koniem.

W tym momencie wszystko uległo zmianie. Płachta na wozie przed nim została rozdarta od środka przez ostre noże i na zewnątrz wyskoczyło dwudziestu lub więcej uzbrojonych wojowników. Ze wszystkich wozów wyskakiwali wojownicy z mieczami.

To była pułapka.

Dwóch Mykeńczyków w skórzanych napierśnikach zeskoczyło z wozu i rzuciło się na Skorpiosa z uniesionymi mieczami. Skorpios odbił pierwsze cięcie brzegiem tarczy, po czym sparował drugie. Z chmury kurzu wychynął jeździec. Justinos. Zarąbał jednego z Mykeńczyków ciosem w kark. Skorpios uchylił się przed kolejnym pchnięciem następnego wroga. Kucnął i wbił ostrze w jego krocze.

Wyteżając wzrok pośród kurzu i piachu, raz jeszcze rozejrzał się za koniem. Wrogi jeździec zbliżał się w jego kierunku z chmury pyłu, broniąc się przed zaciekłym atakiem ze strony trojańskiego konnego. Nie dostrzegł Skorpiosa, który złapał go za kostkę i ściągnął z wierzchowca. Potem wbił mu miecz w twarz i wskoczył na jego konia. Obrócił wierzchowca i pogalopował w kierunku czoła kolumny, gdzie widział wysokiego wojownika w czarnej zbroi.

Pierwszy dotarł tam Hektor. Jego również zrzucano z konia, ale nie starał się znaleźć innego. Z bojowym okrzykiem rzucił się na wojowników i biorąc na cel dowódcę w czerni, schylił się, podniósł włócznię i cisnął z ogromną siłą. Jeździec zdołał zasłonić się tarczą, ale włócznia ją strzaskała i uderzyła w zbroję, zrzucając go z konia.

Wojownik przeturlał się i wstał, ale przy upadku z głowy spadł mu hełm. Był przystojnym blondynem, z włosami zaplecionymi w warkocze.

– Patroklos – szepnął Hektor.

Patroklos uśmiechnął się, po czym wyprowadził podstępne pchnięcie mieczem. Obydwaj dorównywali sobie umiejętnościami, ale Hektor był większy i silniejszy. Wiedział o tym, ale też zdawał sobie sprawę, że Patroklos może górować nad nim zwinnością ruchów.

Ich ostrza spotykały się raz za razem i Patroklos był nieustannie zmuszany do cofania się. Hektor zaatakował raz jeszcze i Mykeńczyk wyprowadził błyskawiczną ripostę, raniąc Hektora w policzek. Teraz to Patroklos parł naprzód, ale Hektor parował każde pchnięcie. Nagle Trojanin poszedł do zwarcia, ostrza się spotkały i księżę wyprowadził potężny cios prosto w szczękę Patroklosa. Ten jęknął i upadł. Hektor ciął w jego głowę, ale Patroklos przeturlał się, po czym pchnął go mieczem w krocze. Blokując pchnięcie, Hektor wykręcił nadgarstek i odwrotnym sztychem sięgnął brzucha przeciwnika. Ostrze odbiło się od czarnego napierśnika, ale wbiło się w bok. Patroklos osunął się na kolano, ale wstał, po czym obrócił się lewą stroną, starając się chronić ranę.

Hektor rzucił się naprzód tylko po to, żeby natknąć się na ripostę, która niemal zerwała mu hełm z głowy. Widział jednak, że Patroklos słabnie. Krew sączyła się ze zranionego boku i w dół po nodze wojownika. Jego klęska była kwestią czasu. Dla Myrmidona istniała tylko jedna nadzieja – błyskawiczny atak i morderczy cios w głowę lub kark. Hektor dał mu więc tę nadzieję i udał, że słabnie. Miecz Patroklosa śmignął w przód, a Hektor kucnął i wbił ostrze pod napierśnik przeciwnika, przesywając mu serce.

Patroklos nie padł jeszcze na ziemię, a Hektor już się odwracał i oceniał sytuację na polu bitwy. Osły rozpaczliwie odciągały wozy, wzbijając tumany kurzu. Wielu wojowników ciągle siedziało na wierzchowcach, ale sporo koni bez jeźdźców wycofało się z pola bitwy i stało z boku, czekając, tak jak je nauczono. Hektor podbiegł do jednego z nich i wskoczył na jego grzbiet. Dookoła widział tylko chmury pyłu. Bitwa była bezładną rąbaniną. Nie sposób było określić, kto ma przewagę.

Hektor kątem oka zobaczył ruch i podniósł tarczę akurat na czas, aby zablokować miecz mknący ku jego szyi. Wróg ciął raz jeszcze. Księżę sparował, po czym pchnął ostrzem w bok przeciwnika. Miecz się zaklinował i wymknął z ręki Hektora, kiedy koń Mykeńczyka stanął dęba. Bezbronny księżę dostrzegł, jak w jego kierunku zmierza kolejny jeździec z uniesionym mieczem. Podniósł tarczę, ale obok jeźdźca pojawił się trojański konny i wbił ostrze w niechronioną pachę przeciwnika.

Justinos wyszarpnął ostrze i ciało Mykeńczyka osunęło się z konia. Wybawiciel wyszczerzył zęby do Hektora, który skinął głową w podziękowaniu. Właśnie wtedy z chmury kurzu wyłonił się kolejny wrogi jeździec, celujący włócznią w plecy Justinosa. Hektor ostrzegł towarzysza okrzykiem i Justinos niemal zdążył się odwrócić, ale było za późno. Włócznia wbiła się w jego plecy z taką siłą, że wyszła brzuchem, rozbryzgując dookoła fontannę krwi. Justinos posłał ostatnie spojrzenie Hektorowi, po czym opadł na grzbiet konia. Ten zaś ruszył stępą w kierunku chmury kurzu.

Hektor z okrzykiem wściekłości wyszarpnął sztylet i rzucił się na wroga. Ten, straciwszy włócznię, rozpaczliwie sięgnął po miecz. Hektor złapał go za napierśnik i pociągnął, tnąc po gardle nożem. Wziął jego miecz, a potem spiął konia i galopował dookoła pola bitwy, usiłując przebić wzrokiem pył i licząc trupy oraz rannych. Dostrzegł go jeździec wroga i z opuszczoną włócznią rzucił się za nim w pogoń. W ostatniej chwili Hektor się uchylił i drzewce przeleciało obok, a księżę jednym zamachem miecza ściął jeźdźcowi głowę.

Z pyłu wyjechał Mestares na swoim ogierze. Nosiciel jego tarczy był wyraźnie przechylony na jedną stronę, chroniąc ranę.

– Hektorze, mają nas! – krzyknął. – Są liczniejsi. Nie wygramy!

Klnąc siarczyście, Hektor sięgnął po róg bojowy i przycisnął do ust.

Zagrał krótki sygnał oznaczający odwrót. Przez chwilę zdawało się, że nikt go nie usłyszał, a potem trojańscy jeźdźcy zaczęli wyłaniać się z kurzu. Niektórzy byli ranni, inni pomagali rannym towarzyszom. W ciągu kilku chwil zaczęli się oddalać, kierując się w stronę rzeki. Hektor zebrał zdrowych jeźdźców i runął na konnych nieprzyjaciela, zmuszając ich do wycofania, co pozwoliło uciec jego ludziom.

W końcu wbił pięty w bok wierzchowca i pogalopował z powrotem w kierunku zalesionych wzgórz.

Następnego ranka o świcie Skorpios siedział wśród drzew w miejscu, gdzie Skamander wylewał się z lasów i przepływał pod drewnianym mostem.

Miał obserwować, ale jego oczy ciągle zachodziły mgłą. Zawsze przed bitwami bał się o swoje życie, ale nigdy o Justinosa. Rosły przyjaciel wydawał się niezniszczalny. Walczyli razem od lat, na początku z Ennionem, Kerio, Ursosem i Olganosem. Wszyscy już nie żyli. Z ich szóstki pozostał tylko on.

Ogrom żalu niemal kompletnie go rozbił. Przez większość nocy nie spał. Słuchając, jak inni chrapią, nieustannie rozmyślał, jak powinna potoczyć się ostatnia bitwa. Justinos zawsze na niego uważał, ochraniał jego tyły, a on zawiódł swojego starego przyjaciela, kiedy powinien był zrobić to samo dla niego. Myśl ta odbijała się echem w jego głowie, dopóki zmęczony nie zapadł w płytką, niespokojną drzemkę.

Obudził się przed świtem, obolały i w melancholijnym nastroju. Hektor wysłał go z powrotem na miejsce bitwy, żeby sprawdził, czy wróg zabrał swoich martwych i rannych. Tak było. Zniknęły nawet połamane wozy, które pewnie zostaną wykorzystane na opał.

W nocy Skorpios postanowił, że z końcem wojny wróci na farmę ojca. Jako weteran, z latami służby w Koniu Trojańskim na koncie, nie będzie się już bał starego człowieka. Za złoto, które Hektor wręczy mu za wierną służbę, kupi mały dom i będzie pomagał ojcu przy bydle i owcach. Osada leżała daleko na zachodzie, przy granicy z ziemiami Hetytów. Po raz pierwszy się zastanowił, czy farma jeszcze istnieje... ojciec i bracia budzący się bladym świtem, aby rozpocząć pracę lub bronić inwentarza przed drapieżnikami grasującymi na polach... i matka, która harowała od świtu do nocy, aby nakarmić rodzinę. Pomyślał, że jego najmłodsza siostra powinna mieć teraz dwanaście lat, jest prawie kobietą. Pokręcił głową ze smutkiem. Nic już o nich nie wie. Być może bracia odeszli z farmy, żeby zostać żołnierzami. Jeżeli tak, być może też nie żyją.

Nagle Skorpios poczuł się bardzo samotny. Ostatni obraz Justinosa ciągle pojawiał się w jego myślach. Odkrył, że nie potrafi przypomnieć sobie twarzy przyjaciela, kiedy ten się uśmiecha bądź odpoczywa. Wciąż widział tylko jego grymas w momencie śmierci. Zamknął oczy z żalu.

Kiedy znowu je otworzył, zobaczył małą plamkę w oddali, jeźdźca zbliżającego się od strony Troi, który zatrzymał się i zsiadł z konia. Skorpiosowi się wydawało, że mężczyzna coś krzyczy, ale był zbyt daleko, aby rozróżnić słowa.

Po pewnym czasie jeździec wsiadł na konia i ruszył dalej wzdłuż brzegu rzeki. Kiedy się zbliżył, Skorpios dostrzegł, że jest ubrany w czarną zbroję. Wpatrywał się w niego ze zdziwieniem. Osamotniony, uzbrojony wojownik aż tutaj. Musi być jednym z naszych, pomyślał. Z pewnością nie jest to przeciwnik, który na własną rękę udał się na tak niebezpieczny teren.

Jeździec znowu się zatrzymał. Tym razem Skorpios mógł usłyszeć wykrzykiwane słowa niesione przez północną bryzę.

– Hektorze! Hektorze! Chodź i walcz! Chodź i walcz ze mną, ty tchórze!

Skorpios obserwował przez długi czas, jak jeździec kieruje się wzdłuż rzeki i zatrzymuje co kilkaset kroków. Zastanawiał się, co robić – wrócić i zdać raport Hektorowi czy też obserwować wojownika. W pobliżu byli inni zwiadowcy, więc oparł się plecami o drzewo i patrzył dalej, zakładając, że inni zaniósą Hektorowi dziwne wieści.

Ciągle obserwował jeźdźca, kiedy usłyszał za sobą nikły szmer i odwrócił się, żeby napotkać miecz przystawiony do swego gardła.

- Byłbyś martwy – powiedział Hektor, chowając miecz i wyłaniając się z listowia.

- Przepraszam, panie – odpowiedział Skorpios, czerwieniąc się. – Zawiodłem cię.

Księżę przykucnął obok niego.

– Chłopcze, nie wyglądasz najlepiej. Straciłeś wczoraj dobrego przyjaciela.

Skorpios żałośnie skinął głową. Hektor położył mu dłoń na ramieniu.

– Justinos był dobrym wojownikiem. Rzadko spotykałem lepszych. Postaraj się dzisiaj coś zjeść, a wtedy będziesz lepiej spał w nocy. – Zwrócił wzrok w kierunku jeźdźca w czerni. – Co o tym myślisz?

- Myślę, że to szaleniec. Musi wiedzieć, że w tych lasach jest setka wojowników, którzy mogą zjechać na dół i zabić go w mgnieniu oka.

- A mimo to wie, że tego nie zrobią, ponieważ jest człowiekiem honoru, a tacy ludzie wbrew wszelkiemu rozsądkowi wierzą, że inni są tacy sami. – Nastąpiła długa chwila ciszy. – To Achilles, chłopcze, a ja wczoraj zabiłem jego przyjaciela, Patroklosa.

- Czy zejdiesz i będziesz z nim walczył? – bezmyślnie wyrzucił z siebie pytanie Skorpios.

Hektor myślał przez długą chwilę, po czym przemówił:

– Pewnie przyjdzie taki czas, Skorpiosie. Ale nie zrobię tego dzisiaj, kiedy poza honorem dwóch ludzi nic od tego nie zależy.

Czy to niewystarczający powód? – chciał zapytać Skorpios, ale nic nie powiedział.

Następnego dnia jeźdźcem był kapłan Aresa. Skorpios wraz z innymi członkami Konia Trojańskiego zatrzymali konie w polu widzenia, wysoko na szczycie wzgórza. Obserwowali, jak ubrany w czarne szaty z bliźniaczymi czerwonymi pasami kapłan wędruje w górę rzeki, zatrzymując się od czasu do czasu, by wykrzyknąć wyzwanie Achillesa. Trojanie obserwowali go przez większość dnia, dopóki słońce nie zaszło za horyzont i kapłan nie wrócił do miasta.

XXVI. GNIEW ACHILLESA

Trzeciego dnia jeźdźcem okazał się król Itaki. Jadąc na krępym rudobrazowym wałachu, Odyseusz boleśnie zdawał sobie sprawę, iż brakuje mu gracji Achilleasa, a nawet i kapłana. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś Penelopa, drocząc się z nim, powiedziała, iż jeździ konno niczym wór marchewek. Nie przyznał jej wtedy racji.

– Moja miłości, wór marchewek wstydziłby się jeździć tak kiepsko.

Powoli podprowadził konia do miejsca, gdzie niedaleko od zbrocza Skamander przepływał pod drewnianym mostem, zeskoczył niezgrabnie i usiadł. Przywiózł jedzenie dla dwóch osób, ale był gotów cieszyć się spokojem i ciszą w pojedynkę.

Kiedy w końcu zobaczył jeźdźcę wynurzającego się zza linii drzew, słońce chyliło się już ku zachodowi. Na pierwszy rzut oka, po wzroście wojownika i stylu jazdy, mógł poznać, iż jest to Hektor. Kiedy się zbliżył, Odyseusz zauważył, iż księżę mocno się postarzał od ich ostatniego spotkania. Hektor zatrzymał konia i przez chwilę spoglądał na Odyseusza w milczeniu, a potem zsiadł.

– Cóż, królu – zaczął chłodno – znów się spotykamy w dziwnych okolicznościach. Czy to ty jesteś dzisiaj ustami Achilleasa?

Odyseusz przeżuł kawałek placka i przelknął kęs. Ignorując pytanie, wskazał na czarnego konia, na którym przyjechał Hektor.

- Gdzie jest Ares? Nie może być jeszcze stary. Pamiętam, że był żrebakiem nie więcej jak sześć lat temu.

- Wielki Ares nie żyje – westchnął Hektor i kiedy usiadł na brzegu rzeki, jego sztywność się ulotniła. – Poległ w bitwie o Skamander, ugodzony włócznią w pierś.

- Widziałem to – odpowiedział Odyseusz, marszcząc brwi. – Ale potem zobaczyłem, jak się podniósł i przebył rzekę, ratując twoje oddziały.

Hektor skinął głową, jego twarz była ściągnięta smutkiem.

- Miał wielkie serce. Ale zostało ono śmiertelnie zranione. Padł, zanim udało się nam dotrzeć do miasta.

- Ten ma dziki błysk w oku – skomentował król, wbijając wzrok w czarnego konia, który również spojrzał na niego złowieszczo.

Hektor się uśmiechnął.

– Nazywa się Bohater. Ma gniewną naturę. To koń, który przeskoczył nad przepaścią w Dardanos. Słyszałeś tę opowieść?

– Ja ją wymyśliłem – zachichotał Odyszeusz. – Jestem zaskoczony, że ten koń nie ma skrzydeł i nie bucha płomieniami z nozdrzy.

Hektor roześmiał się donośnie.

– Naprawdę dobrze cię widzieć, morski krewniaku. Brakowało mi ciebie i twoich opowieści.

Odyszeusz zobaczył, jak ciężar wojny i trosk na barkach księcia trochę się zmniejsza.

– Masz tu kawałek placka i sera. Wątpię, żebyś ostatnio jadł jedno albo drugie. Będzie to niczym uczta w Sali Bohaterów.

Hektor z ochotą zabrał się do jedzenia, Odyszeusz zaś ze skórzanej sakwy u boku wyjął jeszcze kilka placków i kawał sera oraz trochę suszonych owoców. Miał też dzban rozcieńzonego wina. Obydwaj wypili trochę, po czym Odyszeusz położył się z rękoma pod głową. Błękit nieba był tak blady, że wydawało się ono prawie białe. Król wciągnął powietrze, smakując bryzę.

– W powietrzu wyczuwa się pierwsze oznaki jesieni – skomentował Hektor, przelitykając ostatni kęs. – Niedługo pewnie spadną deszcze. Wtedy miasto mogłoby się utrzymać do zimy.

– Bez jedzenia? – parsknął Odyszeusz.

Hektor spojrzał na niego.

- Ani ty, ani ja nie wiemy, ile jedzenia jeszcze im zostało. Możecie mieć szpiegów w Troi, ale nawet setka szpiegów jest nic niewarta, jeżeli nie mogą dostarczyć informacji na zewnątrz.

- A całe jezioro nie jest wiele warte, jeżeli nie mają zboża ani mięsa – odgryzł się Odyszeusz.

– Obydwaj wiemy, że sytuacja w Troi musi być teraz dramatyczna.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy, słuchając plusku rzeki i czystych treli ptaków, po czym Hektor zapytał:

– Przybyłeś, aby wyzwąć mnie na pojedynek z Achillesem?

Król pociągnął łyk wina i otarł usta wierzchem dłoni.

– Agamemnon składa interesującą propozycję. Myślę, że powinieneś jej wysłuchać. – Kiedy Hektor nie zareagował, ciągnął dalej: – Jeżeli stoczysz z Achillesem pojedynek na śmierć i życie, Agamemnon pozwoli kobietom i dzieciom Troi opuścić bezpiecznie miasto, niezależnie od wyniku walki.

Hektor spojrział mu w oczy.

– Wliczając w to moją żonę i syna?

Odyseusz westchnął i spuścił wzrok.

– Nie, na to nie pozwoli. Żaden z członków rodziny królewskiej nie może opuścić Troi. Ani ten dardański chłopiec, syn Helikaona. Dwaj tracy księżęta też muszą zostać w mieście.

- Ufasz Agamemnonowi?

Odyseusz wybuchnął śmiechem.

- Nie, na czarne jaja Hadesa! – Pokręcił głową z rozbawieniem.

- Więc dlaczego ja powinienem?

- Ponieważ dopilnuję, żeby warunki zostały publicznie ogłoszone wszystkim królom i ich wojskom. Większość to parszywa zbieranina, ale nie pozwolą na rzeź niewinnych, jeżeli wszyscy zagwarantują im bezpieczeństwo. Pogwałcenie tych ustaleń byłoby sprzeczne z ich pojęciem honoru. Moi itaccy wojownicy zaś zapewnią kobietom i dzieciom bezpieczne przejście do neutralnych statków w Zatoce Heraklesa.

- A dlaczego powinienem ufać tobie, Odyseuszu? Jesteś przecież wrogiem Troi, który opłacił zabójcę, aby zamordował ojca naszego krewniaka Eneasza?

Odyseusz z trudem się powściągnął. Duma kusila go, aby opowiedzieć księciu prawdziwą historię Karpoforosa i planu zabicia Helikaona, ale nie zrobił tego. Pomyślał, że to historia Helikaona. Jeżeli ten zechce, pewnego dnia sam ją opowie Hektorowi.

Zamiast tego powiedział więc:

– Wydaje mi się, chłopcze, że nie masz wyboru. Pokazałem ci sposób, dzięki któremu możesz ocalić setki trojańskich kobiet i dzieci. Jeżeli teraz się odwrócisz i odjedziesz, nigdy nie będziesz mógł spojrzeć sobie w oczy. Jesteś człowiekiem honoru. Nie możesz postąpić inaczej.

Hektor skinął głową, ale nic nie powiedział. Siedzieli przez długi czas; mrok zaczął gęstnieć, a powietrze się ochłodziło.

W końcu Hektor przemówił głosem dziwnie napiętym, jakby powstrzymywał silne emocje:

- Rzekłeś, że jestem człowiekiem honoru. Mnie się jednak wydaje, że większa część mojego życia była kłamstwem, a każde moje słowo fałszem.

- Jesteś najbardziej uczciwym ze znanych mi ludzi – odpowiedział bez wahania Odyseusz.

Hektor zmierzył go wzrokiem i król zobaczył w jego oczach udrękę.

– Jeżeli powtarza się jakieś kłamstwo wystarczająco długo, w końcu staje się ono prawdą.

Odyseusz pokręcił gwałtownie głową.

– Prawda i kłamstwo są dwiema różnymi bestiami, różnymi niczym lew i jaszczurka. Są skomplikowanymi stworzeniami i mają wiele cech wspólnych – mają po czworo kończyn, dwoje oczu i ogonie. Mimo to nie da się pomylić jednej z drugą. Poznaję prawdę, kiedy ją widzę, i potrafię rozpoznać kłamstwo. – Myślał przez chwilę. – Czy znałeś żonę Parysa, Helenę?

Hektor skinął głową.

- Przelotnie. Była nieśmiałą kobietą i gorąco kochała mojego brata.

- Ja spotkałem ją raz. Pomyślałem, że ma dobre serce, ale jest prosta i bezbarwna jak szara mysz – powiedział Odyseusz. – Wiesz, jak zginęła? – Hektor skinął głową, a jego oblicze spochmurniało. – Wojownicy, którzy tam byli, kiedy rzuciła się wraz z dziećmi z Radości Króla, mówią o niej jako o wielkiej piękności – kontynuował Odyseusz. – W obozowiskach mówi się o pięknej Helenie i jej szlachetnej śmierci.

- Co masz na myśli, morski krewniaku?

- Tylko tyle, że nie kłamią. Żołnierze nie potrafią wyrażać się o kobietach za pomocą pojęć, których nie rozumieją. Nie cenią dobroci, skromności ani bezinteresowności. Ale podziwiają ofiarę Heleny, więc mówią, że była piękna niczym krocząca po ziemi bogini. I taka jest prawda. Cierpisz pod wpływem ogromnego ciężaru, Hektorze. Już wcześniej o tym rozmawialiśmy i nie chcesz mi wyjawiać, co cię dręczy. Ale ukrywanie czegoś na temat własnej osoby nie czyni cię kłamcą. Swoją prawdziwą naturę potwierdzasz każdym czynem.

Hektor milczał i Odyseusz zastanawiał się, czy jego udręka ma źródło w miłości Helikaona i Andromachy. Księżę zdawał się cierpieć z powodu czegoś, co toczyło go od wewnątrz. Obwinał się, zamiast przeklinać kogoś innego. Król nie miał pojęcia, o co chodzi. Jeżeli Hektor nie zamierzał dzielić się swoimi problemami, nie mógł nic na to poradzić.

– Już raz, podczas igrzysk, spuściłeś Achillesowi niezłe lanie w walce na pięści, i to na oczach tysięcy – powiedział, wracając do swojego zadania. – To będzie walka na miecze, na śmierć i życie. Achilles pragnie zemsty. Dwa dni temu zabiłeś jego nosiciela tarczy, Patroklosa.

Hektor skinął głową.

- Wiem. Poznałem go. Był zręcznym wojownikiem.

- W istocie. I bardzo go lubiłem.

- Czyim pomysłem była zasadzka?

- Agamemnona. Wykalkulował, że będzie wam teraz brakowało zapasów i skusicie się na

karawanę z zaopatrzeniem. Patroklos zgłosił się na ochotnika jako jej dowódca. Strasznie się nudził i długie lato bez żadnych wydarzeń znosił gorzej niż inni.

- Achilles się zgodził?

- Nie, zakazał mu się oddalać. Ale Patroklos pojechał wbrew rozkazowi swojego króla. Teraz poszedł na stos, a Achilles szaleje z gniewu. Myśli, że specjalnie zaatakował Patroklosa, chcąc mu się zrewanżować za ciosy, jakie ci wymierzył w walce podczas igrzysk.

- To szaleństwo! Dlaczego miałby tak myśleć?

Odyseusz zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Potem się odezwał:

- Bardzo lubię Achillesea. Często walczyłem u jego boku i żyliśmy blisko siebie przez całe lato. Lubię go – powtórzył – ale, tak samo jak jego siostra Kaliope, ma on własne demony, z którymi musi walczyć każdego dnia. Honor jest dla niego wszystkim, ale zarazem to on zmusza go do ciągłego współzawodnictwa, z samym sobą i z innymi. Dla niego honor oznacza, że musi zawsze wygrywać, a gdy przegra, toczy go to od środka, jak choroba. Oczywiście zakłada, że ty czujesz tak samo i uchylasz się od walki z nim. Nie może zrozumieć, dlaczego się wahasz. Więc nazywa cię tchórzem, chociaż wcale tak nie myśli.

Myśl o tej walce ogromnie cieszy Agamemnona – kontynuował Odyseusz. – Jeżeli zginiesz, będzie to potężny cios dla Troi. Jeżeli zginie Achilles, Agamemnon również po cichu będzie się cieszył.

- Dlaczego?

- Ojciec Achillesea, król Peleus z Tesalii, był okrutny i tchórzliwy. Agamemnon mógł nim manipulować i uznał, że to odpowiedni sąsiad na północy. Ale Achilles będzie silnym królem i jeżeli obaj wrócą na swoje ziemie, Agamemnon stanie w obliczu nowej wrogiej potęgi u swoich granic.

- Jeżeli powrócą, Odyseuszu. Głupi są ci królowie, myśląc, że mogą przebywać z dala od swoich ziem przez tak długi czas i nie stanąć w obliczu problemów, kiedy wrócą do domów. Dla nich nic już nie będzie takie samo.

- W istocie – zgodził się radośnie Odyseusz. – Mówi się, że żona Agamemnona, Klitajmestra, gardzi nim. Jestem pewien, że znalazła już sobie nowego męża.

Na te słowa twarz Hektora pociemniała i Odyseusz przeklął się w myślach. Hektor obawia się, że Andromacha tylko czeka na jego śmierć, aby mogła poślubić Helikaona. Jakże wielkimi durniami jesteśmy wszyscy, pomyślał smutno.

– Robi się ciemno i nie mam ochoty na przejażdżkę po nocy – powiedział Odyszeusz. – Rozbiję obóz tutaj. Będę czekał na ciebie jutro do południa. Jeżeli nie przybędziesz, wrócę do miasta sam.

Obydwaj wstali, po czym objęli się jak starzy przyjaciele. Odyszeusz poklepał księcia po ramieniu.

– Wróć ze mną do Troi! Walcz z Achillesem! To największa walka, jaką nam, śmiertelnikom, będzie dane oglądać, imię Hektora zaś zostanie zapamiętane po wsze czasy!

Następnego dnia Priam i przyboczny króla, Polidoros, w złoconym rydwanie podskakiwali na ulicach miasta, osłaniani przez towarzyszących im ciężkozbrojnych jeźdźców. Król okryty był ciężkim wełnianym płaszczem, mimo iż Polidoros w dusznym cieple popołudnia pocił się pod swoją zbroją z brązu.

Spojrzał na starca, który rozglądał się dookoła. Twarz króla zastygła w maskę zagubienia i strachu. Od początku lata Priam opuścił swój pałac po raz pierwszy, a w mieście wiele się zmieniło, wcale nie na lepsze.

Tego ranka król ogłosił swoją wolę udania się do Wielkiej Wieży Ilionu. Polidoros znalazł powód, by odłożyć tę wizytę, mając nadzieję, że Priam o niej zapomni, jak zdarzało się wielokrotnie wcześniej. Ale tym razem starzec się uparł i w końcu Polidoros kazał przyprowadzić pod bramy złoty rydwan. Obawiał się, że ludzie zobaczą swojego króla zagubionego i zadziwionego, kazał więc woźnicy jechać do wieży jak najszybciej i nie zatrzymywać się, nawet na rozkaz króla.

– Nie znam tego miasta – wymamrotał zdenerwowany Priam, kiedy lśniący rydwan mijał brudne baraki uchodźców. – Gdzie jesteśmy, chłopcze? Czy to Ugarit? Musimy szybko jechać do domu. Moi synowie spiskują przeciwko mnie. Chcą mnie zabić. Nigdy nie ufałem Troilusowi. Hekabe mnie ostrzegła. Będzie wiedziała, jak się z nim załatwić.

Polidoros nic nie powiedział i król ucichł, rozglądając się po mieście, które było dla niego obce. Na ulicach znajdowało się niewielu ludzi, choć Polidoros wiedział, że baraki skrywają setki umierających powoli z głodu, pragnienia i rozpacz. Dzieci i starcy poddawali się pierwsi. Kiedy druga studnia wyschnie, co, jak wiedział, może nastąpić w każdej chwili, wszyscy w mieście umrą w ciągu trzech, czterech dni.

Dotarli do schodów prowadzących na południowy mur. Polidoros pomógł Priamowi wysiąść

z rydwanu i król zaczął się powoli wspinać, z obstawą w pełnych zbrojach kroczącą przed nim i za nim. Strażnicy na murze patrzyli z niedowierzaniem, jak król przechodzi obok nich chwiejnym krokiem. Niektórzy zaczęli wiwatować, ale okrzyki szybko ucichły, pozostawiając po sobie nieprzyjemną ciszę.

Zanurzając się w ciemności Wielkiej Wieży, Polidoros z przerażeniem zerknął w górę na wąskie kamienne schody i poczuł ciężar w piersi. Ale Priam wspinał się tędy tysiące razy i kiedy ruszył, jego kroki były pewne i miarowe. Polidoros szedł za nim, wbijając wzrok w jego chude kostki, zamiast w głęboką przepaść po prawej stronie. Wiedział, że jeżeli król runie, to on razem z nim. Oczywiście starałby się go uratować, ale wiedział, że byłoby to niemożliwe. Zginęliby obaj, roztrzaskując się o kamienie poniżej. Starzec zatrzymał się w połowie drogi i odpoczął, opierając się o mokrą ścianę, po czym wziął głęboki oddech i ruszył dalej.

Polidoros westchnął z ulgą, kiedy znów wyszli na światło dzienne. Był to jeden z rzadkich dni w Troi, kiedy nie wiał wiatr i powietrze na szczycie wieży było prawie nieruchome. Nad wieżą rozciągało się już tylko bładoniebieskie i bezchmurne niebo.

Priam ciaśniej owinął się płaszczem i podszedł do blanków. Zerknął w dół na zrujnowane Dolne Miasto. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. Spojrzał w dal. Nagle wskazał coś i powiedział:

– Hektor się zbliża.

Polidoros spojrział w tamtym kierunku i zobaczył dwóch konnych jadących powoli od strony równiny Skamandra do Dolnego Miasta. Jeździec na czarnym koniu był roslym mężczyzną, tak dużym jak Hektor, ale Polidoros nie mógł zobaczyć twarzy żadnego z nadjeżdżających.

– Mój syn. Mój syn wraca – powtarzał z radością starzec.

Polidoros pomyślał o własnym synku. Niemowlę było jeszcze karmione piersią i młodemu przybocznemu zapało dech, kiedy pomyślał o chłopcu, jego kręconych czarnych włoskach, miękkich puciołowatych policzkach i radosnym uśmiechu. Polidoros podjął decyzję już dawno temu. Kiedy miasto upadnie, pozostawi starego króla własnemu losowi i pośpieszy do Casilli i syna. Będzie ich bronił za wszelką cenę. To wszystko, co mógł zrobić.

– Kto z nim jedzie? – zapytał król.

Polidoros raz jeszcze przyjrzał się jeźdźcom. Właśnie przekraczali nowy szeroki most, który nieprzyjaciel wybudował nad rowem fortyfikacyjnym. W ciszy popołudnia wydawało mu się, że słyszy stukanie podków na deskach. Nagle zdał sobie sprawę, że to jest Hektor, jadący

swobodnie, z wodzami w jednej ręce i z hełmem z wysokim pióropuszem w drugiej. Obok niego jechał król Itaki. Dlaczego Hektor wjeżdża do obozu wroga? – pomyślał.

– Odyseusz! – krzyknął starzec, wymachując pięścią. – Zdradziecki pies! Mój synu, zdejmij mu głowę! Zabij bydlaka!

Poniżej rozległy się krzyki i z cienia ruin zaczęli wychodzić wojownicy. Setki żołnierzy: Mykeńczyków, Tesalczyków i najemników biegło w kierunku głównej ulicy, po której jechał Hektor. Ustawili się po obu stronach i patrzyli na trojańskiego księcia z Odyseuszem u boku. Sypnęły się drwiny, które jednak szybko ucichły, i dwaj jeźdźcy w ciszy podjechali w górę do Bramy Skajskiej.

Polidoros pośpieszył do miejsca na wieży, z którego można było widzieć bramę. Stał tam ogromny mężczyzna, z długimi czarnymi włosami, obleczonego w czarną zbroję. Polidoros rozpoznał go natychmiast. Co tu się dzieje? – myślał.

Trzej mężczyźni przed bramą wymienili kilka zdań, po czym Achilles ustąpił z drogi i oddalił się, najwyraźniej usatysfakcjonowany. Hektor spojrział w górę i powietrze przeszył jego donośny głos.

– Otworzyć bramę! Tak rozkazuję ja, Hektor, książę Troi!

Polidoros pobiegł do wewnętrznej strony wieży i przechylił się nad blankami.

– Otworzyć wrota! – krzyknął do strażników. – Hektor wrócił! Natychmiast otwórzcie bramę!

Andromacha leżała na sofie na wschodnim tarasie, kiedy dotarły do niej odległe wiwaty. Usiadła i zerknęła na Akse, która spojrzała na nią ze zdziwieniem. Obydwie wstały i podeszły do balustrady, ale nic nie było widać. Wiwaty stawały się coraz głośniejsze.

- Pójdę i dowiem się, co się stało – powiedziała Andromacha.

- Może nieprzyjaciel się wycofał i jesteśmy uratowani – zgadywała Aksa.

- Być może – odparła sceptycznie Andromacha. Opuściła komnaty i ruszyła przez pałac.

Królewscy strażnicy stojący na zewnątrz również nie byli pewni, co się dzieje. Wyjęli miecze z pochew, gotowi do walki. Potem pojawił się Polites ze swoim przybocznym. Wyglądał na zaniepokojonego.

– Skąd te wiwaty, Politiesie? – zapytała Andromacha, ale pokręcił tylko głową.

Potem na brukowanych ulicach pojawił się jeździec, który galopował w ich kierunku.

Zeskoczył z konia i krzyknął:

– Książę Hektor wrócił, panie! Jest tutaj, w mieście!

Wiwaty się zbliżały i teraz Andromacha mogła usłyszeć powtarzane w kółko imię.

– Hektor! Hektor! HEKTOR!

W jej piersi zakwitła nadzieja, ale zaraz potem poczuła ukłucie strachu. Lato było męczące, ale nie przyniosło niczego konkretnego. Mimo iż wrogowie stali u bram, nie można było bać się przez cały czas i w końcu nastał okres względnego spokoju, kiedy jeden po drugim następowały długie, gorące dni. Teraz wydarzenia znowu nabrały tempa i coś mówiło Andromasze, że jest to początek końca.

Kiedy jej mąż w końcu pojawił się w polu widzenia, powoli kierując się w stronę pałacu królewskiego, otaczał go tłum wiwatujących Trojan. Żołnierze uformowali wokół niego krąg, ale ludzie i tak próbowali przebić się przez kordon, żeby dotknąć jego szaty bądź sandałów. Czarny rumak był wyraźnie podenerwowany, ale Hektor prowadził go spokojnie i pewnie, mocno trzymając wodze w garści. Kiedy dotarli do pałacu, królewska straż odepchnęła tłum, ale ludzie dalej wiwatowali i wykrzykiwali imię księcia.

Kiedy Hektor zobaczył Andromachę, uśmiechnął się i zatrzymał konia. Zsiadł ciężko, po czym objął ją i wyciągnął rękę do brata.

- Andromacho, Politiesie. Dobrze jest znów was zobaczyć.

- Dziękujemy bogom, że tu jesteś, Hektorze – odpowiedział Polites. – Ale dlaczego przybyłeś i jak to się stało? Tak nieoczekiwanie.

Hektor pokręcił głową.

- Najpierw muszę porozmawiać z ojcem.

- Ale on nie czuje się dobrze... – zaczął Polites.

- Wiem – powiedział ze smutkiem w głosie Hektor. – Niemniej ciągle jest królem i najpierw muszę porozmawiać z nim.

Przez jedno uderzenie serca ścisnął mocno rękę Andromachy, po czym wypuścił ją i obróciwszy się, wraz z bratem ruszył do pałacu Priama. Andromacha wróciła do swoich komnat z zamętem w głowie. Czekanie nigdy nie przychodziło jej łatwo i złapała się na tym, że spaceruje po tarasie, targana niepewnością. Zmierzchało i chłopcy udali się do swoich łóżek. Hektor ciągle się nie zjawiał.

W końcu drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem i oto był, ubrany w starą szarą tunikę

i złachmaniony płaszcz. Rzuciła mu się w ramiona. Przez chwilę tulił ją, z twarzą ukrytą w jej włosach. Potem spojrzała na niego i z uśmiechem powiedziała:

- Mówiłam ci na brzegu Simoeis, że jeszcze się spotkamy.

- Odbędzie się pojedynek, Andromacho – poinformował ją z powagą na twarzy, patrząc jej w oczy.

Wzięła głęboki oddech i zapytała:

- Z Achillesem, prawda?

Skinął głową.

- Zabiłem jego przyjaciela Patroklosa i teraz chce zemsty.

Poczuła, jak narasta w niej gniew, i wysunęła się z jego ramion.

- To nie jest zabawa, mężu! Ten przyjaciel Achillesa przybył tu, tak samo jak on, żeby złupić miasto, zabijać i ranić. Jesteś winny Achillesowi walkę, ponieważ zabiłeś jego przyjaciela? Hektorze, odkąd zaczęła się ta wojna, zabiłeś w walce setki ludzi. Czy będziesz musiał walczyć również ze wszystkimi ich przyjaciółmi? – Słyszała sarkazm w swoim głosie i nienawidziła się za to, ale nie mogła się po wstrzymać. – Mężu, to bzdura! – Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale krzyknęła: – I nie mów mi o honorze! Mam go dość i robi mi się od tego niedobrze. Wydaje mi się, że honor oznacza cokolwiek, co wy, mężczyźni, chcecie, żeby znaczył.

Hektor obserwował ją, aż jej gniew częściowo minął.

- Jeżeli stoczę walkę z Achillesem, Achajowie wypuszczą kobiety i dzieci. Agamemnon złożył takie przyrzeczenie, a jego gwarantem jest Odyseusz.

- I ty im wierzysz? – zapytała, ale jej gniew osłabł i nie była w stanie dłużej się spierać. – Czy Astinaks zostanie zabrany w bezpieczne miejsce?

Ze smutkiem pokręcił głową.

- Jeżeli zgodziliby się na to, nie zaufałbym im.

- To ciągle jest strasznie głupie – powtórzyła ze smutkiem.

- Co się stało, Andromacho? – zapytał delikatnie.

Pokręciła głową, starając się rozjaśnić myśli. Co się ze mną dzieje? – pomyślała. Mąż wraca do mnie, zabezpieczywszy życie trojańskich kobiet i dzieci, a ja krzyczę na niego jak przekupka. Uśmiechnęła się.

- Przepraszam, ukochany. Ale co się stanie, jeżeli Achilles cię zabije? Czy Agamemnon również wtedy dotrzyma słowa? Dlaczego miałby to zrobić?

- Bramy zostaną otwarte o świcie i kobiety wraz z dziećmi będą mogły wyjść – wyjaśnił. – Zostaną odprowadzeni do Zatoki Heraklesa, skąd odpłyną na Lesbos. Potem, w południe, zamknie się bramy i rozpoczniemy pojedynek. A więc Achilles i ja nie spotkamy się, dopóki niewinni nie zostaną uwolnieni.

- Czy możesz wygrać?

- Pokonałem każdego, kto kiedykolwiek stanął mi na drodze. I już raz pokonałem Achilleusa. Byłaś przy tym.

- Tak. To było brutalne.

Skinął głowę.

- Walki na pięści takie bywają. Ale to będzie pojedynek na miecze, starcie na śmierć i życie.

Kiedy o tym pomyślała, jej krew ściała mróz.

- To się musi odbyć szybko – powiedziała, wracając myślami do pojedynku Helikaona z Persjonem.

- Tak. – Skinął głowę. – Im dłużej będzie trwała walka, tym większe ryzyko, że mnie zabije. Jest bardzo utalentowany, szybki i młodszy ode mnie. Ale ma swoje słabe strony. Duma i próżność stale mu towarzyszą. To niepewni przyjaciele i często podszeptują złe rady.

- To nie jest pocieszające – zauważyła, uśmiechając się lekko.

Pokręcił głowę.

- To wszystko, co mogę zaoferować, Andromacho.

Potem Hektor posłał po posiłek i zjadł soloną rybę oraz placki jęczmienne, po czym obydwójce sączyli wino i rozmawiali do późnej nocy. Opowiedziała mu o dramatycznej sytuacji w Troi, o tym, iż całe miasto jest teraz zależne od jednej niepewnej studni, oraz o opłakanym stanie składów. Omówili sukcesy *Ksantosa* i Konia Trojańskiego. Zapytał o Astinaksa i wtedy doprowadziła go do śmiechu, opowiadając trywialne pałacowe plotki.

W końcu Hektor, zmęczony ponad wszelką miarę, rzucił się na łóżko i natychmiast zasnął. Andromacha z bolącym sercem obserwowała go przez pewien czas, po czym wyszła z powrotem na taras.

Księżyc stał wysoko na niebie i przez chwilę wpatrywała się w niego. Potem zrobiła coś, czego nie robiła, odkąd opuściła sanktuarium Tery. Pomodliła się do bogini księżyca Artemis.

- O Pani dzikości – błagała – obrończyni małych dzieci, zlituj się nad swoją siostrą i bacz jutro na mego męża. Strzeż go, aby mógł wrócić i bronić swojego syna.

Potem położyła się na sofie, słuchając nocnych odgłosów miasta, i w końcu zapadła w niespokojny sen.

Kiedy nagle obudził ją przeszywający krzyk, było już jasno. Zaskoczona, zerwała się i wbiegła do komnaty. Tam zastała małego Astinaksa stojącego w drzwiach swojej sypialni, spoglądającego z przestachem na Hektora, który włożył zbroję z brązu oraz wysoki hełm z czarno-białym pióropuszem.

Hektor roześmiał się i zdjął hełm.

– Chłopcze, nie bój się. – Uklęknął przed malcem i podniósł go ku swojej twarzy. – Widzisz, pamiętasz mnie. Jestem twoim ojcem.

Astinaks wyszczerzył się radośnie i krzyknął:

- Tatko! Przywiozłeś mi kucyka?

- Jeszcze nie, chłopcze. Kiedy będziesz trochę starszy, dostaniesz kucyka, tak jak ci obiecałem.

Chłopiec sięgnął ręką i przesunął małym palcem po wizerunku złotego konia na napierśniku Hektora.

- Takiego jak ten, tatku?

- Tak, takiego jak ten. – Hektor spojrzał na Andromachę i zobaczyła udrękę w jego oczach, kiedy tulił chłopca. Pokręcił głową. Andromacha wiedziała, o czym myślał.

- Synowie wielu innych mężczyzn będą żyli dzięki temu, czego dzisiaj dokonasz, ukochany – zapewniła.

Westchnął głęboko, spoglądając na ogniste włosy dziecka.

– To za mało – odpowiedział. – Nigdy nie zdołam dokonać tego, co powinienem.

XXVII. NAJDZIELNIEJSZY Z TROJAN

Kiedy nad miastem zaróżowiło się poranne niebo, masywna Brama Skajska uchyliła się odrobinę i wygramoliła się przez nią mała dziewczynka. Miała duże niebieskie oczy i złociste loki. Kiedy zobaczyła uzbrojonych mężczyzn stojących w szeregu na zewnątrz, zatrzymała się zaskoczona, po czym nagle usiadła w kurzu i zaczęła płakać. Młoda kobieta wyszła za nią, krzycząc:

– Susa, mówiłam ci, żebyś na mnie poczekała! – Zobaczyła żołnierzy wroga i jej twarz spopieliała, ale pobiegła i podniosła dziecko. Pod jedną pachą nosła bezkształtny tobolek z dobytkiem, pod drugą zaś wzięła płaczącą dziewczynkę. Potem rozejrzała się dookoła.

Odyseusz wystąpił naprzód.

– Wiesz, dokąd masz iść, kobieto?

Nerwowo skinęła głową.

- No to ruszaj się! – ryknął, wskazując drogę biegnącą przez Dolne Miasto i równinę Skamandra, aż do bezpieczeństwa, jakie dawało morze.

- Dziękuję, panie – wyszeptwała, mijając go z opuszczoną głową. – Dziękuję.

Następnie bramę przekroczyła chuda starucha z dwójką dzieci, chłopcem i dziewczynką, które ścisnęła mocno za ręce. Kiedy zobaczyła żołnierzy, jej wzrok stwardniał i przemknęła wzdłuż szeregów tak szybko, jak było to możliwe.

Kiedy coraz więcej kobiet wychodziło przez bramę, Odyseusz zasygnalizował swoim itackim jeźdźcom, aby towarzyszyli im w drodze do Zatoki Heraklesa. Jeden podprowadził konia do pierwszej z kobiet, podniósł płaczące dziecko i posadził je przed sobą na wierzchowcu. Dziewczynka natychmiast przestała płakać, pewnie z zaskoczenia.

Przez cały ranek z miasta wylewał się strumień uchodźców, dopóki, jak domyślał się Odyseusz, nie sięgnął od Bramy Skajskiej aż do zatoki. Pojawiło się kilka wózków ciągniętych przez osły oraz parę wygłodzonych koni, ale większość kobiet szła pieszo. Były to matki z małymi dziećmi, czasami młode kobiety podróżujące w grupkach, ale większość uchodźców stanowiły krępe starsze kobiety, żony żołnierzy, bądź ładaczniczki podążające za wojskiem, przyzwyczajone do dalekich marszów za przemieszczającymi się armiami. Nie bladły, kiedy mijały wojowników przeciwnika, i szły z wysoko podniesionymi głowami.

Odyseusz od czasu do czasu spoglądał na Agamemnona. Wysoki i przygarbiony w swoim czarnym płaszczu, mykeński król bacznie przyglądał się uchodźcom. Odyseuszowi przypominał głodnego sępa, którego pozbawiono ofiary. Obok niego stał chudy, ciemnoskóry Dolon. Za każdym razem, kiedy przez bramę wychodziła kobieta bądź dziecko o czerwonych włosach, Agamemnon spoglądał na Dolona, który kręcił przecząco głową. Odyseusz wiedział, że mężczyzna pracował kiedyś w majątku króla Troi, i zgadywał, że zostanie dobrze wynagrodzony za swoją dzisiejszą pracę.

Krótko przed południem strumień uchodźców się urwał. Pośród stojących żołnierzy zaległa przepelniona oczekiwaniem cisza i w końcu w bramie pojawił się sam Hektor. Był w pełnej zbroi. Pod jedną pachą umieścił hełm z czarno-białym pióropuszem, a w drugiej ręce trzymał cztery miecze. Wyglądał na dwukrotnie większego od każdego z wojowników stojących dookoła i patrzył na nich beznamyślnie. Brama Skajska zamknęła się za nim i wszyscy usłyszeli, jak ze szczękiem wraca na miejsce wzmacniająca ją belka.

Odyseusz podszedł do księcia, który zadał mu pytanie:

– Czy moi rodacy będą bezpieczni, morski krewniaku?

Król skinął głową.

– Masz na to moje słowo. Pierwsi już znajdują się na statkach Cypryjczyków. Kapitanowie zostali sownie opłaceni, aby zabrać ich na Lesbos. A wielu uchodźców będzie miało wystarczająco dużo pierścieni, aby zapłacić za podróż daleko stąd.

Twarz Hektora była poważna i Odyseusz dostrzegł napięcie w jego oczach.

– A więc załatwmy to – powiedział.

Odprowadzani przez setki wojowników, ruszyli wzdłuż murów do zachodniej części miasta. Tu mur był najniższy i mieszkańcy Troi mogli oglądać przebieg walki ze szczytu. W nocy wyrównano szeroki plac, wykopano też olbrzymi rów w kształcie okręgu, szerszy niż długość skoku mężczyzny. Wypełniono go rozżarzonymi węglami i unoszące się ciepło sprawiało, że powietrze nad rowem drgało niespokojnie. Arena walki w obrębie rowu miała ponad piętnaście kroków średnicy i Odyseusz wiedział, że ziemia została dokładnie oczyszczona ze wszystkich małych kamyków, przez które wojownik mógł stracić równowagę. Dookoła kręgu zbierały się tysiące żołnierzy w rzędach głębokich na sześć do ośmiu osób, przepychających się, żeby zdobyć lepsze miejsca. Ci z tyłu pchali się do przodu, a ci z przodu starali się trzymać z dala od żaru wydzielanego przez węgle.

Achilles już czekał u boku kapłana Aresa. Był ubrany w swoją czarną zbroję i hełm. Nawet jeżeli było mu gorąco, nie okazywał tego. Zgodnie z umową, u jego stóp leżały cztery miecze. Hektor sprawdził rzemienie swojego napierśnika, po czym nałożył hełm. Położył własne miecze na ziemi, przy stopach kapłana. Odyseusz zauważył, że ich rękojeści zdobione były sylwetkami koni, insygniami domu Priama.

Ubrany na czarno chudy kapłan wznosił ręce i zaskrzeczał:

– O Aresie, panie wojny, zabójco mężczyzn, zwiastunie chwały, wysłuchaj naszych słów. Spójrz na tych dwóch wielkich wojowników. Każdy z nich dobrze ci służył, o nienawidzący ludzkości. Dziś, jeżeli taka będzie twa wola, jeden będzie kroczył przez skąpane w świetle słońca Pola Elizejskie. Imię drugiego będzie się odbijało echem w historii i wszyscy będą oddawali mu cześć po kres czasów.

Przyciągnięto dwie chude kozy beczące ze strachu. Kapłan poderżnął im gardła zakrzywionym ostrzem. Ich krew zrosiła ziemię, natychmiast wysychając na gorącym podłożu.

Duży kawał drewna, drzwi, jak zgadywał Odyseusz, został zmoczony wodą, po czym przerzucony nad rowem w charakterze kładki. Obydwaj wojownicy podnieśli miecze, po czym przeszli na drugą stronę w kłębach pary unoszącej się znad węgla. Zabrano kładkę. Odyseusz spojrział na zachodni mur. Wypełniali go milczący obserwatorzy. Świadcami tej walki na śmierć i życie były tysiące widzów, ale wszyscy zachowywali się tak cicho, że król Itaki słyszał tylko kroki dwóch wojowników, którzy kierowali się na środek areny.

Zetknęli ostrza w pozdrowieniu. Potem zaczęli krążyć. Achilles zaatakował jako pierwszy. Hektor zablokował i sparował cios, szybko się rewanżując i zmuszając Achilleśa do odskoku. Znowu zaczęli krążyć, wpatrując się sobie w oczy.

- Odyseuszu, załóżysz się ze mną? – zapytał jego krewniak Nestor, król Pylos, stojący obok.
– Nasz wspomniały Achilles przeciwko twojemu przyjacielowi Hektorowi?

- Z dumą nazywam Hektora moim przyjacielem, ale nie postawię na niego – odparł Odyseusz. – Na cycki Hery, nawet bogowie nie będą się zakładać o wynik tej walki.

Hektor ciął z góry i pchnął, Achilles sparował i skontrolował uderzenie. Nagle przypuścił gwałtowny atak, w którym jego ostrze migotało niczym płynne srebro. Hektor zablokował cios, po czym obrócił się na pięcie i uderzył Achilleśa pięścią w twarz. Ten potknął się, złapał równowagę i szybko wznosił ostrze, aby powstrzymać mordercze pchnięcie w kark. Jego reakcja była tak szybka, że Hektor musiał się rzucić na ziemię, ale błyskawicznie się przeturlał

i w mgnieniu oka stanął na nogi. Znowu zaczęli krążyć wokół siebie.

Odyseusz patrzył jak urzeczony na rozgrywający się przed nim pojedynek. Obydwaj wojownicy byli obdarzeni naturalnym zmysłem równowagi i prędkością. Obydwaj doskonalili swoje umiejętności w tysiącach bitew. Achilles był młodszy, ale spędził swoje krótkie życie na walkach, których sam szukał. Hektor walczył i zabijał tylko wtedy, kiedy musiał. Teraz obydwaj walczyli rozważnie i cierpliwie. Każdy z nich wiedział, że najdrobniejszy błąd może kosztować go życie. Jeden szukał słabości u drugiego i próbował przewidzieć następny ruch przeciwnika.

Tempo walki wzrosło i miecze zderzały się w migotliwych wirach brązu. Atakując z kontrolowaną furją, Achilles spychał Hektora w kierunku płonącego rowu. Obydwaj musieli uważać, gdyż brzegi zapadały się pod wpływem ciepła. Hektor się pośliznął. Tłum zebrany na murach jęknął. Achilles skoczył do przodu. Hektor sparował uderzenie, odzyskał równowagę i wyprowadził błyskawiczne pchnięcie, które ześlizgnęło się po napierśniku Achillesa. Obydwaj wojownicy, jak na umówiony znak, cofnęli się i wrócili na środek kręgu.

Odyseusz wiedział, że większość pojedynków zaczyna się w ogniu furii, po czym przechodzi w test wytrzymałości i koncentracji. Wszyscy wiedzieli, że nigdy nie zdarza się sytuacja, żeby dwaj walczący prezentowali dokładnie takie same umiejętności. Zawsze przychodził też moment, kiedy do umysłu jednego z wojowników wdzierала się niepewność – czy on jest lepszy ode mnie? W tym pojedynku obydwaj uczestnicy chcieli wygrać. Ale czy różnica nie polegała na tym, że Achilles bał się przegrać? Hektor nie miał takich rozterek. Odyseusz zastanawiał się, czy słabość Hektora, którego w głębi serca nie obchodziło, czy przeżyje, czy zginie, nie była w istocie przewagą.

Achilles ponownie zaatakował. Hektor kucnął pod morderczym cięciem, jego ostrze zaś wystrzeliło do przodu i przecięło policzek Achillesa. Ten cofnął się o krok, wycierając krew, i Hektor pozwolił sobie na chwilę przerwy.

Potem zaatakował. Achilles zablokował cięcie, okręcił nadgarstek i wbił ostrze w ramię Hektora. Książę zatoczył się do tyłu, a miecz wypadł mu z na wpół sparaliżowanej ręki. Tłum jęknął i kilka osób na murze zaczęło krzyczeć. Achilles cofnął się o dwa kroki i dał znak Hektorowi, żeby podniósł miecz.

Kiedy tylko Hektor dotknął rękojeści, Achilles skoczył na niego, tnąc w głowę. Hektor z niewiarygodną prędkością zablokował uderzenie, ale silny oburęczny atak zmusił go do oddania pola. Raz za razem Achilles był o włos od zadania morderczego ciosu, ale każdy atak był

niezwykle umiejętnie kontrowany.

Długie popołudnie ciągnęło się, ale tłum był całkowicie zaabsorbowany, pogrążony w ciszy i nieruchomy.

Częściowo sparowane błyskawiczne pchnięcie otworzyło kolejną ranę na policzku Achillesa. Hektor cierpiał z powodu zranień na obu ramionach. Każdy z nich stępił bądź złamał dwa ostrza, odziany w czerń kapłan natychmiast je wymieniał, rzucając nowe z wyćwiczoną celnością prosto w ręce walczących.

Odyseusz widział, że obydwu wojownikom zaczynają słabnąć ramiona, w których dzierżyli miecze. Krążyli bardziej ostrożnie, oszczędzając siły. Hektor skoczył do przodu. Klingi się spotkały i nagle ponad tępy dźwięk zderzającego się brązu wzniosła się wysoka, dźwięczna nuta.

Miecz Achillesa przebił się przez obronę Hektora, uderzając w brązowy napierśnik. Ostrze się odbiło, nie wywołując żadnej szkody, ale siła ciosu sprawiła, że Hektor się zachwiał. Straciwszy równowagę, ciął w nogi Achillesa. Ostrze odbiło się z kolei od nagolennika, a Hektor się potknął. Achilles rękojeścią miecza uderzył go w głowę. Hektor kucnął i przeturlał się, teraz już wolniej, po czym wstał, aby stawić czoło kolejnemu atakowi.

Znowu się potknął, wyraźnie zmęczony. Obserwując go, Odyseusz się uśmiechnął. Była to sztuczka, którą sam wykorzystywał, dostępna w pojedynku tylko starszemu mężowi. Achilles skoczył do przodu, pewien śmiertelnego ciosu. Hektor zatoczył się, unikając pchnięcia. Miecz przeszedł z boku, tuż pod napierśnikiem. Achilles wypadł z rytmu i otrzymał mocny cios. Hektor uderzył go rękojeścią miecza w tył głowy i Achilles upadł. Przeturlał się na plecy w samą porę, aby zablokować potężne cięcie miecza w twarz. Ostrza zderzyły się z dźwiękiem, który odbił się od murów Troi niczym sygnał obwieszczający koniec świata.

Miecz Hektora pękł.

Kiedy kapłan Aresa rzucił Hektorowi jego czwarty miecz, Achilles wstał. Nowe ostrze śmignęło, ale Achilles z łatwością je zablokował i wyprowadził ripostę, która rozcięła skórzaną zomę Hektora, minimalnie chybiając wewnętrznej części uda. Hektor błyskawicznie odpowiedział na atak i jego miecz ugodził w hełm Achillesa. Achilles upadł na plecy i potrząsnął głową, jakby chciał go zrzucić.

Hektor zaatakował. Achilles sparował i wtedy Hektor uderzył lewą pięścią. Achilles zatoczył się i w rewanżu uderzył Hektora hakiem w szczękę. Siła ciosu odrzuciła Hektora i ledwie zdążył się odwrócić, ale miecz Achillesa dźgnął powietrze.

Achilles cofnął się i poświęcił chwilę, aby zdjąć uszkodzony hełm. Podeszedł do krawędzi kręgu i cisnął go daleko ponad głowami widzów. Hektor upuścił miecz i zerwał własny hełm, po czym rzucił go w tłum. Podniósł ostrze. Potem z rykiem rzucił się ku środkowi kręgu.

Achilles podbiegł do niego, oburącz trzymając miecz. Hektor szybko kucnął i ostrze ze świstem przeleciało nad jego głową. Straciwszy równowagę, Achilles przewrócił się. Przeturlał się dwa razy, po czym płynnie wstał. Atakując dziko, zadawał kolejne ciosy, które lądowały na brązowym napierśniku Hektora. Na środku złotego konia pojawiła się głęboka szczelina. Trojanin szarpnął za ramię i zrzucił napierśnik. Achilles przystanął, po czym zrobił to samo ze swoim czarnym pancerzem.

Wojownicy wznowili walkę z odsłoniętymi piersiami, z których lał się pot. Odyseusz przyglądał się im z podziwem i przerażeniem zarazem. Widział w swoim życiu wiele walk, z których większość była tępą wymianą potężnych ciosów, bez odrobiny umiejętności czy zdolności przewidywania. To zaś było tytaniczne starcie siły i umiejętności, jakiego nikt jeszcze nie widział i już nigdy nie zobaczy.

Z tego, co mógł usłyszeć Odyseusz, żaden z walczących nie odezwał się choćby słowem. Przechwałki i obelgi były dla ludzi mniejszego formatu. Każdy z wojowników skupiał wolę i umysł, wybiegając myślą naprzód i starając się przewidzieć posunięcia drugiego.

Miecz Achillesa ciał w pierś Hektora, posyłając w powietrze fontannę krwi. Hektor jęknął i tłum na szczycie murów niczym echo powtórzył jęk, tak samo jak wielu obserwatorów na zewnątrz kręgu. Achilles skoczył do ostatniego uderzenia. Hektor odchylił się w prawo i pchnął mieczem. Achilles odskoczył, ale ostrze Hektora zdążyło otworzyć ranę w jego boku.

Obydwaj broczyli teraz krwią. A Hektor naprawdę się męczył. Odyseusz to widział. Achilles też. Spróbował zamarkować cios, po czym pchnął prosto w serce. Hektor sparował uderzenie i w odpowiedzi ciał Achillesa pod obojczykiem.

Nagle Achilles się zachwiał.

Upadł na jedno kolano, potrząsając głową. Hektor ruszył naprzód i Achilles przeturlał się, próbując wstać. Hektor zatrzymał się z mieczem uniesionym do śmiertelnego ciosu. Z olbrzymim wysiłkiem Achilles podniósł się na kolana, po czym znowu upadł. Hektor cofnął się o dwa kroki, marszcząc brwi. Wtedy Achilles rzucił się do przodu niczym szaleniec. Porzucając wszelkie próby obrony, rozpoczął brutalny atak, który zmusił Hektora do cofania się przez całą arenę.

Hektor się bronił, podchodząc coraz bliżej zdradzieckiego rowu. Pod Achillesem nagle

ugięły się nogi i znowu upadł.

Ze szczytu muru rozległy się kpiące okrzyki. Na rozkaz Agamemnona nad rowem przerzucono prowizoryczny most i kapłan Aresa pośpieszył do dwóch wycieńczonych wojowników. Wyjął Hektorowi miecz z ręki i powąchał ostrze. Potem podniósł je wysoko.

- Trucizna! – krzyknął. – Ostrze zostało posmarowane trucizną! Trojanin zdradził Achillesa!

- Zdrada! – ryknął Agamemnon i jego okrzyk został szybko podjęty przez Myrmidonów i mykeńskich wojowników. – Zdrada!

- Kłamstwo! – rozległ się krzyk Hektora, powtórzony na wszystkich murach.

- Zabijcie tego zdradzieckiego psa! – wrzeszczał Agamemnon i zanim Hektor zdążył sięgnąć po miecz, trzech wojowników przebiegło przez most, żeby go zaatakować. Hektor kucnął pod pierwszym cięciem, po czym trzasnął Mykeńczyka w twarz ogromną pięścią. Kiedy ten padł na ziemię, Hektor wziął jego miecz i wbił w kark następnego napastnika. Trzeci zginął od pchnięcia mieczem w oko.

Myrmidoni Achillesa utknęli z dala od areny, bez możliwości przedostania się na drugą stronę, otoczeni ciasno stłoczonymi ludźmi. Rozwścieczeni zdradą, która zgubiła ich króla, stali i mogli tylko bezsilnie patrzeć, tak samo jak ludzie na murach. Żołnierze zgromadzeni dookoła kręgu, w których już wcześniej gotowała się krew, zaczęli krzyczeć i się przepychać, a w tylnych szeregach wybuchły bójki.

Odyseusz z desperacją torował sobie drogę w tłumie, klnąc i wytlukując łokciami ścieżkę do miejsca, gdzie uciekł kapłan Aresa z mieczem Hektora.

Straciwszy trzech swoich przybocznych, Agamemnon posłał resztę swojej elitarniej gwardii. Śmiertelnie ranny Hektor, widząc, że idzie na niego dziewięciu przeciwników, podniósł drugi miecz i zaatakował. Ale nawet on nie był w stanie sprostać tak wielu wojownikom. Jednego ciął przez gardło. Drugi padł z mieczem w brzuchu. Hektor podniósł kolejne ostrze, ale wojownicy go otoczyli, a on słabł z każdą chwilą.

Niespodziewanie Achilles otrząsnął się i poruszył. Wspiął się na kolana, po czym wstał. Jego twarz była szara od bólu i działania trucizny. Tłum natychmiast ucichł i bójki na obrzeżach się urwały.

Achilles się zatoczył.

– To nie... Hektor – wydusił.

Potem powoli podniósł miecz i wbił w gardło jednego z przybocznych. Pozostali ludzie

Agamemnona rzucili się do ataku i Hektor z Achillosem stanęli plecami do siebie, aby stawić czoło im wszystkim.

Tysiące widzów patrzyło oniemiałych, jak dwaj zakrwawieni wojownicy, obydwaj pozbawieni nadziei na przeżycie, walczyli przeciwko siedmiu strażnikom Agamemnona. Hektor krwawił z tuzina ran, a jedno ramię miał zupełnie bezwładne. Niemożliwe było, żeby Achilles ciągle stał na nogach, a co dopiero walczył. Koniec był nieuchronny. A mimo to wydawało się, iż żaden z wielkich wojowników nie upadnie, dopóki ciągle stoją przed nim wrogowie.

Odyseusz, dysząc i przeklinając, w końcu dotarł do kapłana, który oczami jaśniejącymi radością obserwował bitwę. Odyseusz chwycił go za gardło i z rykiem podniósł z ziemi. Kapłan szarpał się w panice w potężnym uścisku króla, a jego twarz robiła się coraz bardziej czerwona. Brzydki Król pogrzebał w sakiewce u boku mężczyzny i wyciągnął z niej małą złotą fiołkę. Puścił kapłana.

– Dosyć! – ryknął i jego głos potoczył się nad zgłębkiem bitwy niczym grom.

Walka w kręgu ustała i trzej pozostali przy życiu strażnicy cofnęli się niepewnie. Odyseusz otworzył fiołkę, która do połowy wypełniona była mleczną ciecżą. Powąchał ją.

– Tu macie swoją zdradę! – krzyknął, podnosząc fiołkę. – A tu macie truciciela! – Popchnął kapłana do przodu.

Agamemnon podszedł gniewnie i zabrał fiołkę z trucizną.

- Co to jest? – zapytał głosem drżącym z prawdziwego gniewu.

- Nazywa się atropa – odpowiedział Odyseusz, podnosząc głos tak, żeby wszyscy mogli usłyszeć. – Wykorzystują ją Scytowie do zatruwania strzał. Powoduje mdłości, delirium, paraliż i śmierć. To silna trucizna. Broń tchórza!

- Ty psie! – Agamemnon złapał zatruty miecz i wbił w brzuch kapłana. Siła ciosu rzuciła mężczyznę na gorące węgle. Krzyknął przeraźliwie, a jego szaty stanęły w płomieniach. W ciągu kilku chwil desperacka szamotanina ustała i przypalone ciało znieruchomiało.

Na arenie Hektor padł na kolana z jękiem, który odbił się od murów Troi; z ran na jego ciele ciekła krew. Achilles, trzymający się na nogach już tylko dzięki sile woli, podniósł miecz i z ostatnim okrzykiem wbił w pierś jednego ze strażników. Potem martwy upadł na ziemię. Nie wiedząc, co robić, dwaj pozostali gwardziści spojrzeli na Agamemnona.

Ostatnim wysiłkiem Hektor drżącymi rękami podniósł miecz Achillesa i położył na jego piersi, po czym zamknął jego martwe dłonie na rękocyści. Sam kucnął na piętach i pochylił

głowę. Odyseusz usłyszał jego ostatnie westchnienie. Potem zapadła cisza.

Hektor nie żył.

Z pękającym sercem Odyseusz opadł na jedno kolano. Zobaczył, jak po drugiej stronie kręgu nosiciel tarczy Achillesa, Tibo, robi to samo, a za nim wszyscy Myrmidoni. Potem wojownik za wojownikiem, wszyscy ludzie stojący dookoła miejsca bitwy, uklękli, aby oddać cześć dwóm wielkim wojownikom.

Tylko Agamemnon stał samotnie. Odwrócił się gniewnie na pięcie i odszedł.

Odyseusz pochylił głowę i poczuł, że dręczy go myśl, iż przyłożył rękę do śmierci tych bohaterów. Potem w ciszy usłyszał syk. W rowie nad gasnącymi węglami unosiła się para. Brzydki Król podniósł wzrok. Podczas tytanicznej walki, niezauważone przez nikogo, na niebie zebrały się chmury burzowe. Na jego oczach stały się jeszcze ciemniejsze, po czym rozległ się ogłuszający grzmot i niebo nad murami Troi przecięła błyskawica. Niebiosa się otworzyły i spadł deszcz.

Odyseusz nie miał pojęcia, jak długo klęczał tam w deszczu i błocie. W końcu zdał sobie sprawę, że dookoła zaczęli się kręcić ludzie. Z trudem otworzył oczy. Myrmidoni zbrali się przy Achillesie, przygotowując się do zabrania zwłok króla.

Odyseusz podniósł się i podszedł do areny. Przy ciele Hektora stał czerwonobrody Tibo.

- Zwróćcie ciało Hektora jego miastu? – zapytał Odyseusz.

- Tak zrobię, królu – powiedział wojownik. – Gdyby żył, wielki Achilles potraktowałby swojego powalonego wroga z honorami. Potem zbiorę Myrmidonów i odpłyniemy do domu. Nasz król spocznie na stosie pogrzebowym, ale nie w tym przeklętym miejscu.

Odyseusz skinął głową. Nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy dookoła ucichli i jedyny dźwięk wydają krople deszczu uderzające w zbroję. Spojrzał w górę i zobaczył Andromachę. Szła ku nim samotnie, ubrana w szkarłatną szatę, z powagą na twarzy i wysoko podniesioną głową.

Podszła do niego. Twarz miała koloru popiołu, włosy przyklejone do głowy i ramion, a mimo to pomyślał, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Helikaon miał rację. To w istocie bogini.

Spojrzała na ciało Hektora i kiedy znowu uniosła wzrok, z jej oczu polały się łzy.

- I cóż, Gawędziarzu? Jesteś zadowolony ze swojej dzisiejszej pracy?

- Dwaj moi przyjaciele nie żyją. Dziewczyno, co mam ci powiedzieć?

- Że to wszystko zakończy się teraz, że powrócicie na swoje okręty i odpłyniecie do domu.

- Wrócę na moje okręty i popłynę do domu.

Podniosła brwi z niedowierzaniem.

- Doprawdy?

- Itaka opuszcza to miejsce – powiedział. – Nie wierzę, że to kapłan zdecydował się zatruć ostrze, które zabiło Achillesa. – Spojrzał pytająco na Tibo, który pokręcił głową.

- Podejrzewam, że stoi za tym Agamemnon – zgodził się wojownik. – To był podły czyn.

- To Tibo z Myrmidonów. – Odyseusz przedstawił go Andromasze. – Dopilnuje, żeby ciało Hektora zostało z honorami zwrócone miastu. Potem zbierze wojowników Achillesa i wróci do domu, do Tesalii. A ja przed świętem Demeter wrócę do Penelopy i mojego nowo narodzonego syna.

Zobaczył nadzieję w szarych oczach Andromachy i szybko ją zgasił.

- Ty i ja zawarliśmy kiedyś pakt, że będziemy sobie mówić tylko prawdę. – Skinęła głową, wspominając Zatokę Niebieskiej Sowy, gdzie spotkali się po raz pierwszy. – Agamemnon nie wycofa się ze swoimi armiami i flotami. Andromacho, Troja upadnie. Deszcz was nie uratuje. W praktyce to oznacza, że wszyscy w mieście zostaną zaszlachtowani, zanim umrą z pragnienia.

Słyszając jego brutalne słowa, Andromacha wstrzymała oddech.

- Troi nie można uratować. – Zerknął na słuchających żołnierzy, po czym spojrzał jej w oczy. – Ale jeżeli chcesz uratować swojego syna – powiedział – zwróć wzrok na północ.

Odwrócił się i pozostawił ją stojącą w deszczu.

Agamemnon był wściekły. Kroczył drogą w kierunku swojego pałacu, otoczony przez mykeńską straż i z ostatnimi dwoma przybocznymi. Czy nikt nie potrafi zrealizować prostego planu? – pomyślał. Kapłan miał niezauważenie pokryć ostrze trucizną, kiedy wszyscy przypatrywali się walce, po czym cisnąć fiolkę w gorące węgle. Zamiast tego chciwość sprawiła, że ją zatrzymał, i tym samym przyniosła mu zgubę. A co do tego wtrącającego się we wszystko wołu, Odyseusza, to czas najwyższy, żeby coś z nim zrobić. Już od dawna był bardziej kłopotliwy niż przydatny. Agamemnon wkroczył do megaronu, gdzie już zaczęli się zbierać królowie, radośnie wychylający puchary wina. Kiedy go zobaczyli, ich radość zastąpiło ostrożne wyczekiwanie. Wiedział, że boją się jego nieprzewidywalnych reakcji, i sprawiło mu to

przyjemność. Rozejrzał się dookoła, po czym westchnął i pokręcił głową.

– Nasz wielki Achilles nie żyje – powiedział głosem przepelnionym smutkiem. – Padł ofiarą zdrady.

Kygonos z Likii patrzył nań przez chwilę spod przymrużonych powiek.

- Tak, to tragedia dla nas wszystkich – skomentował sucho.

- Słyszałem, iż Myrmidoni zamierzają teraz odejść i zabrać jego ciało do domu – wybelkotał Menelaos, który raczył się nierozcieńczonym winem przez większą część dnia.

- Nie potrzebujemy Myrmidonów. Tym więcej łupów zostanie dla nas – stwierdził chciwy Idomeneos.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Odyseusz w towarzystwie starego Nestora. Król Itaki podszedł ciężko do Agamemnona, z twarzą czerwoną od gniewu.

- Przekonaj mnie, królu – natarł – że to nie ty kazałeś temu zawsonemu kapłanowi zatruc miecz Hektora.

- Odyseuszu, to szaleństwo – odpowiedział gładko Agamemnon. – Dlaczego miałbym mu zlecić zabicie naszego najlepszego wojownika?

- Ponieważ, na wielkiego Zeusa, śmierć Hektora nigdy by ci nie wystarczyła. Chciałeś, żeby obydwaj zginęli. A jeżeli ostrze Achillesa również zostało zatrute i gdyby dożył momentu, w którym by się o tym dowiedział, sam by cię zabił, tak jak ja mam ochotę to zrobić po wydarzeniach dzisiejszego dnia.

Agamemnon odskoczył i wyciągnął miecz, przybocznicy zaś stanęli po jego bokach z obnażonymi ostrzami. Król był dobrze przygotowany do walki. Od dawna już marzył o chwili, w której zobaczy mściciela Odyseusza leżącego na podłodze w kałuży krwi. Dookoła nich inni królowie położyli ręce na rękojeści mieczy, ale Agamemnon z przerażeniem się zorientował, że przynajmniej dwóch z nich, stary Nestor i Menestheos z Aten, patrzy gniewnie na niego.

Wziął głęboki oddech.

– Zwodzi cię twój smutek, Odyseuszu – powiedział ugodowo. – Ten dzień jest tragedią dla nas wszystkich. Nasz wspaniały Achilles kroczy Ciemną Drogą. Nigdy już nie zobaczymy kogoś takiego jak on. – Przypomniał sobie słowa umierającego kapłana z Jaskini Skrzydeł. – Czas herosów przemija – dodał.

– Dość już tego, na bękarty wszystkich bogów! – zaklął Odyseusz. – Zabieram swoich ludzi i wieczorem wracam do zatoki. Rano odpływamy do Itaki.

Agamemnon poczuł satysfakcję i ulgę. Tłusty głupiec w końcu odchodzi, pomyślał. Bogowie muszą naprawdę kochać Mykeńczyków.

- A więc twoja przysięga jest nic niewarta... – powiedział chłodnym tonem.

- To nie przysięga jest nic niewarta, ale ten, któremu ją złożyłem – rzucił gorzko Odyseusz.

Zanim Agamemnon zdążył zareagować, odezwał się Nestor:

- Moi ludzie również odejdą spod Troi. Jestem stary i nie mam ochoty oglądać więcej mordów i śmierci – powiedział. – O świcie wypływam do Pylos.

Agamemnon obrócił się w jego stronę.

- Nie zapomnę o twej zdradzie, starcze. – Splunął. – Jesteś królem tylko z mojej łaski. Kiedy oddziały mykeńskie w chwale wrócą do domu, gotuj się do obrony swoich pól lnu i piaszczystych plaży.

Nestor poczerwieniał i odparł gniewnie:

- Nie próbuj mnie straszyć, Agamemnonie. Dzięki straszliwemu Helikaonowi wszyscy moi synowi nie żyją, ale nie brakuje mi krzepkich wnuków. Jeżeli twoje oddziały ruszą na nasze granice, będą tam czekali na ciebie z ostrymi mieczami. Jeżeli w ogóle wrócisz do Sali Lwów – dodał. – Drzewo życia ma tysiące liści, ale bogowie znajdują tysiące sposobów, żeby je zrywać – zacytował.

- Ty stary, pobożny głupcze – warknął Idomeneos. – Nawet bogowie są już zmęczeni twoimi pompatycznymi radami i nudnymi opowieściami o czasach, kiedy byłeś młodym wojownikiem. Będzie nam lepiej bez ciebie.

Powietrze niemal wrzało od wzajemnej wrogości zebranych. Odyseusz zerknął na swojego starego przyjaciela Merionesa. Jako jedyny mężczyzna w megaronie nie wyciągnął jeszcze miecza. Itacki król zgadywał, że jego przyjaciel ma podobne odczucia, ale lojalność Merionesa w stosunku do Idomeneosa była legendarna.

Agamemnon schował miecz i usiadł na rzeźbionym krześle. Napił się odrobinę wody i gładko zmienił temat:

- Tej nocy Trojanie będą świętować – zaczął, tak jakby gniewna wymiana zdań nie miała miejsca. – Teraz będą mieli wystarczająco dużo wody, aby dotrzeć do jesieni. Nie możemy już czekać, aż umrą z pragnienia. Nadszedł więc czas, żeby wprowadzić w życie plan opracowany przez Odyseusza. – Wskazał na Brzydkiego Króla. – Itako, zostań z nami, a już jutrzejszej nocy nasi żołnierze mogą znaleźć się za murami Troi. Bardzo długo byłeś naszym sojusznikiem. Nie

odchodź teraz, w przeddzień triumfu. – Słowa pozostawiły cierpki posmak w jego ustach, ale napięcie w megaronie się rozładowało i mężczyźni schowali miecze, znów podnosząc puchary z winem.

- Wypływamy o świcie – powiedział Odyseusz zmęczonym głosem.

- Szczęśliwej drogi. Tym więcej łupów zostanie dla nas – powtórzył Idomeneos.

Odyseusz odwrócił się w jego kierunku.

– A właśnie, Szablozęby. Ciągłe jesteś mi winien swój napierśnik wygrany w walce na pięści przez wojownika Banoklesa. Odbiorę go od ciebie przed wypłynięciem.

Idomeneos skrzywił się.

Uśmiechając się, Odyseusz po raz ostatni opuścił kompanię królów.

CZEŚĆ TRZECIA

KRES DNI

XXVIII. KOŃ TROJAŃSKI

Koń płynął. Skorpion wiedział, że konie potrafią pływać. W rzeczy samej, widział wiele koni, jak walczyły o życie, płynąc w Hellesponcie po bitwie pod Karpeą. Ale oprócz tego jednego przypadku nigdy nie siedział na płynącym koniu. Widok był bardzo kojący. Morze było niebieskie, choć niebo nad nimi było czarne niczym smoła, a księżyc wisiał na horyzoncie, wydając się dziurą w niebiosach. Był większy, niż Skorpion kiedykolwiek widział, a wierzchowiec płynął ku niemu po srebrnej ścieżce księżycowego światła.

Z ciekawością się rozglądając, zobaczył, że dookoła jest pełno ryb. Były bardzo duże i przemykały blisko jego nóg. Zastanawiał się nerwowo, czy ryby mają zęby. Dostał odpowiedź, kiedy jedna z nich podpłynęła do niego i ugryzła w kolano. Nie zabolalo, ale łaskotało. Wierzgnął i ryba odpłynęła.

Zauważył, że obok płynie na koniu Mestares. Jego przystojna twarz powleczone była trupią szarością i brakowało mu jednego ramienia.

– Morze jest czerwone – zauważył wojownik.

Skorpion zobaczył ze zdziwieniem, że w istocie tak jest.

– Wracaj, Skorpiosie. Wracaj, póki możesz – powiedział Mestares, uśmiechając się życzliwie.

Skorpion się zorientował, że od ugryzienia ryby zaczęła go boleć noga. Także w boku pojawił się ból. Jechał zbyt długo. Był bardzo zmęczony. Zawrócił wierzchowca i, tak jak mu kazał Mestares, skierował się z dala od księżycy. Ale wtedy zrobiło się ciemno i poczuł się bardzo samotny.

Kiedy się obudził, nie chciał się ruszać. Leżał, oparty plecami o coś ciepłego. Otworzył oczy i zobaczył swoich towarzyszy śpiących dookoła niego. Zdał sobie sprawę, że jest środek dnia, i wstał ze stęknieniem.

A potem sobie przypomniał. Przyszli w nocy, mykeńska armia, setki wojowników. Zaskoczeni Trojanie szybko rzucili się do obrony i bitwa była bardzo zaciekle. Ale nieprzyjaciół było zbyt wielu, a oni byli nieprzygotowani. Skorpion został dźgnięty w kolano włócznią, ale zdołał zabić jej właściciela, wbijając miecz w wewnętrzną stronę jego uda. Wydawało mu się, że zabił czterech albo pięciu przeciwników, kiedy obrócił się i zobaczył rękojeść miecza

uderzającego go w głowę.

Z powodu rżenia koni ciągle bolała go głowa. Czuł też ból w boku i w kolanie, a jedno oko miał sklezione zaschniętą krwią. Z jękiem przewrócił się na drugi bok i stanął na czworakach, po czym zwymiotował. Rozejrzał się dookoła. Na leśnej polanie było cicho i spokojnie. Wszędzie dookoła leżeli martwi mężczyźni i konie. On sam opierał się plecami o czerwonobrazowego ogiera. Wydawało się, że koń spokojnie śpi. Nie widział żadnej rany. Pomyślał, że to Pan Wojny, wierzchowiec Mestaresa. Potem wspomniał swój sen. Zobaczył ciało Mestaresa leżące w pobliżu, ze złamanym mieczem wbitym w brzuch i oczami pełnymi kurzu.

Skorpios wstał, ściskając się za bok. Odsunął zakrwawioną tunikę, żeby obejrzyć ranę. Miecz czysto przebił ciało; mógł zobaczyć wyraźny kształt ostrza na swojej białej skórze. Rana krwawiła, ale niezbyt mocno. Nie przypominał sobie, żeby raniono go w bok. Obejrzał sobie nogę. Zobaczył długie, głębokie cięcie, które mocno krwawiło. Ale większość znajdującej się na nim krwi zdawała się pochodzić z jego głowy. Wyczuł skrzep nad prawym uchem. Próbował sobie przypomnieć, co o bandażowaniu ran opowiadał mu jego przyjaciel Olganos. Niektóre musiały być bandażowane ciasno, a inne pozostawione luźno w celu odsączenia. Nie pamiętał, które były które.

Poczuwszy, że ma wyschnięte gardło, zaczął szukać sakwy z wodą. Dopiero wtedy się zorientował, że ciała wszystkich Trojan, a także on sam, zostały odarte ze zbroi.

– Wzięli mnie za martwego, powiedział do siebie.

Zmarszczył brwi. Rozglądając się dookoła, zaczął liczyć ciała swoich towarzyszy. Było ich za mało. Pomyślał, że niektórym udało się uciec, i nastrój mu się poprawił.

Zataczając się pomiędzy ciałami przyjaciół i wrogów, w końcu znalazł swoje rzeczy, w tym w połowie pełną sakwę z wodą. Odrzucił do tyłu głowę i pociągnął porządny łyk. Woda smakowała niczym nektar i poczuł, jak do jego ciała powraca siła. Ból w głowie trochę zelżał.

Znalazł bandaże i obwiązał sobie nogę, uprzednio polewając ranę odrobiną wody. Raz jeszcze spojrzął na swój bok i stwierdził, że nie da się go zabandażować. Pogrzebał w sakwach innych wojowników, dopóki nie uzbierał trochę jedzenia. Znalazł sakwę pełną wody. Najlepszym jego znaleziskiem był nieuszkodzony miecz, ukryty pod ciałem mykeńskiego żołnierza. Wsunął go do pochwy u pasa i od razu poczuł się silniejszy. Podniósł nóż z brązu. Był tępy, ale i tak go wziął.

Potem, rzuciwszy ostatnie spojrzenie martwym towarzyszom, ruszył na północ, utykając

z powodu zranionego kolana.

Szedł tak przez pewien czas i siły zaczęły go już opuszczać, kiedy zobaczył pasącego się luzem konia, pogryzającego suchą trawę pod drzewem. Miał wodze, a na grzbiecie czaprak z lwiej skóry. Gwizdnął i dobrze wyszkolony wierzchowiec podbiegł doń kłusem. Dekoracyjnie splecione wodze podpowiedziały Skorpiosowi, że jest to koń mykeński.

Z wysiłkiem wspiął się na jego grzbiet, po czym obrócił się w kierunku Troi. Wkrótce spotka wrogów i wtedy zabije ich tylu, ilu się da, zanim sam zginie.

Nie czuł strachu.

– Wielki Zeusie, jestem głodny – narzekał Banokles. – Mój żołądek myśli, że podcięli mi gardło.

– Mówisz tak każdego dnia, odkąd tu jesteśmy – wytknął mu Kalliades.

– Bo czuję się tak każdego dnia, odkąd tu jesteśmy.

Stali na południowym murze Troi, spoglądając w dół na wrogie wojska. Popioły ze stosu pogrzebowego Hektora ciągle unosiły się na wietrze. Wielki stos palił się całą noc, karmiony drewnem przyniesionym przez Trojan ze wszystkich części miasta. Kalliades widział, jak młodzi mężczyźni nieśli kosztowne meble, aby je porąbać, i starszych ludzi niosących garście gałązek martwych roślin. Każdy chciał odegrać swoją rolę, nieważne jak małą, w ceremonii pogrzebowej ich bohatera.

Na szczycie stosu położono perfumowane gałęzie cedru i pachnące zioła, a potem ciało Hektora w bogato zdobionej złotem szacie, z rękoma zaciśniętymi na rękojeści miecza i złotym pierścieniem dla Przewoźnika w ustach.

Kiedy olbrzymi stos płonął, Kalliades zobaczył, że na balkon pałacowy wyszedł wspierany przez przybocznych Priam, żeby ostatni raz popatrzeć na syna. Kalliades był zbyt daleko, żeby zobaczyć twarz starca, ale poczuł ukłucie żalu. Hektor był ulubionym synem króla i Kalliades wierzył, że Priam kochał go tak bardzo, jak tylko był w stanie pokochać kogokolwiek. Teraz, poza Politesem, wszyscy jego synowie nie żyli. Na balkonie Priam trzymał przy sobie Astinaksa. Podekscytowany chłopiec krzyczał i klaskał, kiedy trzaskające płomienie strzelały wysoko w nocne niebo.

Po ceremonii pogrzebowej na mury powrócił znajomy wszystkim letarg. Pojedynek i śmierć Hektora rozgniewały ludzi, a deszcz ich orzeźwił. Przez dwa dni chodzili z dumą w sercu. Tak

jak Hektor, byli wojownikami Troi i zamierzali walczyć o miasto do ostatniego żołnierza. Ale brak pożywienia i długie, pozbawione zajęć dni odcisnęły na nich swoje piętno i znów popadli w apatię i znużenie.

Kalliades obserwował chmurę kurzu w oddali. Sucha ziemia wchłonęła całą deszcz i podłoże było tak samo pyliste jak przed burzą.

Obok Kalliadesa i Banoklesa stał Rodyjczyk Boros.

– Widzisz już, co to jest? – zapytał Kalliades jasnowłosego młodzieńca. – Masz młodsze oczy.

- Nie jestem pewien, panie – przyznał żołnierz. – Czy to krowa?

Banokles spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Czy co jest krową, baranie? – zapytał.

- Tam. – Młody żołnierz wskazywał w kierunku Grobu Ilosa, gdzie pasł się przeznaczony na ofiarę wykastrowany byk.

- Chodziło mi o teren za Skamandrem – powiedział Kalliades. – Widać tam chmurę pyłu. Może jeźdźcy, a może jakaś bitwa.

Żołnierz zmrużył oczy.

- Nie wiem.

- Być może stado świń pędzonych na ucztę do Troi – zasugerował Banokles. Zmarszczył brwi. – Musiałyby być niewidzialne, żeby przekraść się przez linie wroga. Ale – kontynuował, mówiąc bardziej do siebie niż do towarzyszy – nie możemy otworzyć bram, więc jak wejść do środka? Muszą zatem być zaczarowanymi niewidzialnymi świniami ze skrzydłami, gotowymi przelecieć nad murami prosto na ruszty.

Kalliades się uśmiechnął. Boros, najwyraźniej ożywiony monologiem Banoklesa, podjął próbę dialogu:

- Wodzu, mam prośbę.

- O co chodzi? – mruknął Banokles bez zainteresowania.

- Kiedy wygramy tę wojnę, chciałbym wrócić do rodziny na Rodos.

- Po co mi to mówisz? Nie obchodzi mnie, co zamierzasz – fuknął na niego Banokles.

Boros spojrział na niego niepewnie, jak na obcego i potencjalnie groźnego psa, po czym wyznał:

– Ale nie mam pierścieni, panie. Byłem ze Skamandryjczykami przeszło rok, a tylko raz

dostałem żołąd, na święto Persefony, trzy srebrne pierścienie i sześć brązowych. To dawno już przepadło, a pierścienie mojego brata skradziono mu, gdy zginął. Nie mogę wrócić na Rodos, dopóki nam nie zapłacą.

Banokles pokręcił głową.

– Nie wiem, dlaczego martwisz się o powrót do domu. Najprawdopodobniej i tak wszyscy tu zginiemy – powiedział. – Z głodu – do dał ponuro.

Kalliades wyszczerzył zęby i poklepał przyjaciela po plecach.

– Co ci mówiłem na temat motywowania ludzi, wodzu? – zapytał.

Banokles chrząknął.

– Cóż, nie ma powodu martwić się o jakieś zauszone pierścienie, skoro najpierw musimy się załatwić z tymi owcojebcami za pomocą krowiego łajna – wyrzucił z siebie, machając ręką w kierunku obozów przeciwnika.

Banokles miał rację. Poza tym Kalliades wiedział, że w skarbcu Priama nie zostały już żadne pierścienie dla regularnych oddziałów. Opłacono najemników z Frygii, Zelei i zza granic hetyckich. Trojanie mają zginąć za Troję bez zapłaty, pomyślał.

- Jeżeli przeżyjemy, dopilnuję, żebyś dostał pierścienie – obiecał Borosowi, wiedząc, że to najprawdopodobniej obietnica bez pokrycia.

- Obóz wroga opuściło sporo ludzi – stwierdził młodzieniec. – To chyba dobry znak, prawda? – zapytał z nadzieją w głosie.

- Nie jest to zły znak. – Kalliades był w stanie zdobyć się tylko na tyle. Obserwowali, jak odchodzą Myrmidoni, jak również dwa inne oddziały, ale nie potrafił określić czyje. Zastanawiał się nad politycznymi niesnaskami, które to spowodowały. Achilles został otruty, ale przez kogo? Na pewno nie przez Hektora. Nawet nieprzyjaciel w to nie wierzył. Jego ciało zostało zwrócone z honorami przez tesalskich żołnierzy. Czy Achilles został zamordowany przez kogoś z własnego obozu? Była to zagadka, która najprawdopodobniej nigdy nie znajdzie rozwiązania.

- Co zrobisz, jeżeli powrócisz na Rodos? – zapytał Borosa.

- Dołączę do ojca, który jest złotnikiem. Będzie mnie szkolił w swoim fachu.

Kalliades uniósł brwi.

- Na wielkiego Zeusa, chłopcze, gdyby mój ojciec był złotnikiem, zostałbym w domu i nauczył się zawodu, a nie sprzedawał swój miecz.

- Moja matka była Trojanką i powiedziała, że muszę walczyć za honor naszego miasta.

Chciała też, żebym się dowiedział, czy Echios żyje. Widzisz, panie, on był pierworodnym. Nie widziała go od piętnastu lat.

Banokles zmrużył oczy w promieniach słońca.

– Jeźdźcy – stwierdził.

Daleka chmura pyłu rozdzieliła się na dwa obłoki, które kierowały się do Troi. Poruszały się szybko, tak jakby jedna grupa jeźdźców ścigała drugą. Kalliades oparł się o mur, zirytowany, że nie widzi lepiej. Zerknął na Borosa i zobaczył, że młodzieniec wpatruje się w niewłaściwą stronę.

– Borosie, czy widzisz coś na lewe oko?

Chłopak pokręcił głową ze smutkiem.

– Nie. Kiedyś widziałem światło i cienie, ale teraz tylko ciemność – przyznał. – Wszystko jest czarne. Zostałem ranny w Tracji.

Kalliades wiedział, że jednooki żołnierz nie przetrwa długo w bitwie. To, że chłopak jeszcze żyje, było wprost cudem.

Zwrócił uwagę na dwie grupy jeźdźców w oddali. Ta na przedzie liczyła około pięćdziesięciu ludzi, a szybko doganiało ją około dwustu następnych. Przekroczyli Skamander i ścigali się przez równinę w kierunku miasta. Zebrani na murach nawoływali towarzyszy, żeby dołączyli do oglądania wyścigu, a żołnierze przeciwnika w obozie poniżej wychodzili z namiotów i zrujnowanych domów. Szybko kompletowali broń, zakładając pasy z mieczami i hełmy, podnosząc włócznie, łuki oraz kołczany strzał.

Potem ktoś krzyknął.

– Koń Trojański!

Teraz Kalliades mógł zobaczyć, że jeźdźcy na przedzie mają biało-czarne hełmy jazdy Hektora. Przyłgnęli do grzbietów wierzchowców, smagając je wiodzami i krzykami ponaglając do galopu. Ci z tyłu zaś byli wstrzymywani przez chmurę kurzu i odstali trochę, galopując w górę z równiny w kierunku miasta.

Kiedy pierwsi jeźdźcy przebyli drewniany most prowadzący do Dolnego Miasta, łucznicy przeciwnika zaczęli słać w ich kierunku strzały, ze wszystkich stron posypały się też włócznie. Niektóre sięgnęły celów i dwaj jeźdźcy z brzegu spadli z wierzchowców. Wojownicy obserwujący wszystko z murów krzyczeli, dopingując uciekinierów.

Kalliades patrzył z duszą na ramieniu, jak prowadzący jeździec galopuje przez zrujnowane miasto. No dalej, myślał. Szybko, uda ci się! Wydawało się, że jeźdźcy przeciwnika jeszcze

zwolnili.

– Otworzyć bramy! – krzyknął ktoś i komenda została powtórzona na wszystkich murach. – Szybko, otwórzcie bramy. Otwórzcie bramy! Wpuście ich!

I wtedy Kalliades nagle wszystko zrozumiał i przejął go nagły chłód.

- Nie! – krzyknął. Rozpaczliwie przepychając się przez zastępy wiwatujących żołnierzy, pobiegł wzdłuż muru ku blankom nad Bramą Skajską. Zebrani w dole wojownicy z zapalem zabrali się do podnoszenia masywnej belki.

- Nie! – ryknął z góry. – Stójcie! Nie otwierajcie bram! – Ale jego głos nie mógł się przebić przez okrzyki setek ludzi, więc Kalliades zbiegł w dół po kamiennych schodach, wymachując rękoma i ciągle krzyząc: – Nie otwierajcie bram! Na wszystkich bogów, nie otwierajcie bram!

Ale masywne dębowe wrota już skrzypiały, otwierając się na oścież, i natychmiast jeźdźcy galopem przemknęli przez szczelinę. Było ich ponad pięćdziesięciu, odzianych w trojańskie zbroje i uzbrojonych we włócznie. Kopyta wzbijały tumany kurzu, kiedy zwolnili i zaczęli krążyć wewnątrz bramy. Za nimi strażnicy zaczęli ponownie zamykać wrota. Wstawiali właśnie ciężką belkę na miejsce, kiedy jeden z nich upadł z włócznią w brzuchu.

Kalliades wyciągnął miecz i rzucił się na najbliższego jeźdźcę.

– Zabić ich! To nieprzyjaciel! – krzyknął i wbił włócznię w bok wojownika, za napierśnikiem.

Zobaczył miecz innego jeźdźcę zataczający krąg w kierunku jego głowy i kucnął pod brzuchem konia, po czym wyskoczył, by dźgnąć wroga włócznią z drugiej strony. Kiedy jeździec padł, Kalliades złapał jego tarczę.

Kątem oka zobaczył obok siebie Banoklesa. Zaatakował on wroga, siekąc i zabijając. Kalliades krzyknął do niego:

– Broń bramy! – Ale obydwaj nie mieli jak do niej dojść; ugrzęźli w gromadzie koni i jeźdźców.

Kalliades pchnął kolejnego przeciwnika i sparował cios drugiego, wbijając tarczę w jego twarz. Raz jeszcze rozpaczliwie spojrzął na bramę. Wojownicy wroga w skradzionych zbrojach Konia Trojańskiego starali się podnieść belkę. Kalliades ciął i dźgał, i przepychał się w ich kierunku. Uderzył jednego z wojowników tarczą w głowę i rzucił się całym ciężarem na masywną belkę.

Zdał sobie sprawę, że młody Boros jest u jego boku, i krzyknął:

– Żołnierzu, pomóż mi tutaj!

Boros wyszczerzył się do niego i mocno uderzył go w szczękę.

Kiedy Kalliades się zatoczył, Boros kopnął go w twarz i ogłuszony Kalliades poleciał do tyłu, ledwie świadomy, co się dzieje dookoła. Kolorowe światła wirowały wokół jego głowy. Leżał oszołomiony, patrząc z przerażeniem, jak kolejni spieszeni jeźdźcy przeciwnika chwytają wielką dębową belkę i zrzucają z zaczepów. Wysokie wrota zaczęły się powoli otwierać, po czym rozwarły się gwałtownie, kiedy pchnięto je od zewnątrz.

Wróg wpadł do środka.

Kalliades, ukryty za jednym ze skrzydeł otwartej bramy, starał się stanąć na nogi, potrząsając głową. Potem zdał sobie sprawę, że jasnowłosy wojownik stoi obok i patrzy na niego. Kiedy Kalliades próbował się podnieść, chłopak przytknął czubek miecza do jego szyi, popychając go z powrotem na ziemię.

- Borosie! – wyszeptał.

- Boros zginął dawno temu w czasie bitwy na równinie Skamandra – odpowiedział żołnierz triumfalnie. – Ja jestem Leitos, pierworodny syn Alektruona, wierny sługa króla Agamemnona, i przybyłem, aby pomścić mojego ojca i rzucić dumnych Trojan na kolana.

Pochylił się, przyciskając miecz do gardła Kalliadesa. Pocięła krew. Kalliades nie mógł mówić ani się ruszyć.

– To było takie proste, zająć miejsce tego idioty, kiedy cała kompania została wycięta, a jego wódz nie zadał sobie nawet trudu, że by zapamiętać swoich żołnierzy. Bawiło mnie, że udało mi się zwieść wielkiego Kalliadesa, myśliciela, stratega i zdrajcę Myken. A więc giń, zdrajco!

Jego twarz stężała i znieruchomiała, aby wbić miecz w szyję Kalliadesa. W ostatniej chwili Kalliades zobaczył, jak za chłopakiem staje Banokles z uniesionym mieczem. Ostrze jednym gwałtownym cięciem skróciło go o głowę. Odbiwszy się od muru, głowa Mykeńczyka potoczyła się po ziemi.

Banokles podał Kalliadesowi rękę i postawił go na nogi.

– Za dużo gadał – mruknął. – A to zawsze błąd. Nic ci nie jest? – Kalliades skinął głową i przełknął krew, ciągle nie będąc w stanie mówić. – No to chodź – powiedział Banokles ponuro. – Do miasta, za które trzeba umrzeć.

XXIX. OSTATNIA BARYKADA

Kiedy Kalliaides i Banokles wbiegli na kamienne stopnie na zachód od Bramy Skajskiej, Mykeńczycy deptali im po piętach. Na szczycie muru Banokles skinął przyjacielowi, po czym odwrócił się i ruszył biegiem przed siebie. Zmierzał do następnych schodów prowadzących w dół, żeby spróbować znaleźć drogę na tyły nowej barykady. Kalliaides miał zostać i dopilnować, żeby mur pozostał w ich rękach.

Tuż obok na szczycie schodów pojawił się opancerzony wojownik mykeński. Na górze czekało dwóch trojańskich żołnierzy, wypatrujących okazji do potyczki. Jeden z nich ciął przeciwnika w ramię, w którym trzymał on miecz, podczas gdy drugi chlasnął go po gardle. Ten upadł, brocząc krwią. Z brzękiem spadł po schodach, po drodze przewracając wojownika idącego za nim.

Kalliaides wyszczerzył zęby do dwóch obrońców.

– Zgrajcie się – rozkazał. – Zaraz będzie ich tu więcej.

Spoglądając z muru, przyjrzał się pasowi śmierci wewnątrz bramy.

Trojańscy wodzowie przygotowywali się do tego dnia przez długi czas. Jeżeli wojska Agamemnona zdobyłyby ulice, jedynym schronieniem dla obrońców pozostawał królewski pałac. Ponieważ największa nadzieja leżała w utrzymaniu przeciwnika jak najdłużej przy bramie, żołnierze pracowali przez całe lato, rozbierając kamień po kamieniu budynki daleko w Górnym Mieście. Kamienie zostały przetransportowane na ulice i uliczki prowadzące od Bramy Skajskiej, gdzie wykorzystano je do zbudowania murów o wysokości dwóch mężczyzn.

Dookoła okrągłego otwartego placu za bramą wykopano rowy. Wypełniono je wszystkim, co mogło się palić: gałęziami i uschniętymi roślinami, jak również resztkami drewna ze stosu pogrzebowego Hektora. W wielu miejscach dookoła pasa śmierci umieszczono amfory wypełnione odpadkami dostępnego w mieście oleju.

Kiedy żądni krwi najeźdźcy wdarli się przez bramę, znaleźli się w pułapce na obszarze nie większym niż czterdzieści kroków, otoczeni ze wszystkich stron wysokimi ścianami budynków. Do wyboru mieli tylko cztery drogi – po schodach na blanki po każdej stronie bramy, w górę stromych schodów wewnątrz Wielkiej Wieży Ilionu albo na wprost.

Na wprost zaś pozostawała jedyna niezabarykadowana droga, wybrukowana aleja

prowadząca w górę do pałacu Priama. Polites rozkazał zabarykadować z obydwu stron wejście na nią i pozostawić tylko wąski korytarz na środku służący do codziennego ruchu.

To właśnie tutaj zbierali się teraz obrońcy ze wszystkich części miasta.

Kalliades obrócił się do drzwi w murze Wielkiej Wieży prowadzących na blanki. Będzie łatwo je utrzymać. Aby się do nich dostać, wróg musiałby wspinać się w ciemnościach po stromych stopniach. Kiedy dotarłby do wyjścia, wyszedłby z mroku na światło, przez wąskie drzwi znajdujące się nad wysokim urwiskiem. Jeden krzepki wojownik mógł bronić drzwi przez cały dzień, posyłając kolejnych przeciwników w przepaść, aby połamali sobie kości na kamieniach daleko w dole.

Ten odcinek muru utrzymywała setka mężczyzn. Kalliades wiedział, że każdy z nich był zdecydowany drogo sprzedać swoje życie.

Po długim lecie oczekiwania nadejście tego dnia przyniosło niemal ulgę. Kalliades rozejrzał się dookoła i głęboko wciągnął powietrze. Wydawało się świeższe, a kolory wyraźniejsze. To jest to, co umiesz robić, powiedział sobie, jedyna rzecz w życiu, na jakiej kiedykolwiek się znałeś. Jeżeli nie jesteś wojownikiem, to kim, Kalliadesie?

W drzwiach wieży pojawił się wrogi wojownik. Jeden ze Skamandryjczyków skoczył do przodu, i dźgnął go w pierś. Mykeńczyk podniósł tarczę, ale siła ciosu wytrąciła go z równowagi. Z krzykiem runął do tyłu w ciemność. Kalliades pomyślał z ponurą satysfakcją, że każdy z pokonujących stopnie wieży będzie musiał mijać rosnący stos martwych i rannych towarzyszy.

Rzucił okiem na scenę rozgrywającą się poniżej. Przez Bramę Skajską wlewał się coraz szerszy potok wrogów płonących chęcią dołączenia do walki. Pas śmierci przepelniony był wojownikami. Zgodnie z planem, trojańscy obrońcy cofnęli się do najwęższego miejsca szerokiej drogi. Tutaj tylko trzydziestu mężów, same Orły, stawiało czoło trzonowi wrogiego ataku. Za nimi znajdowała się przerwa w barykadzie, której bronili, szybko się zwięzająca dzięki żołnierzom, którzy w pocie czoła zabudowywali ją kamieniami, drewnem i gruzem.

Kalliades patrzył z dumą, jak Orły dawały odpór hordzie przeciwnika. Na komendę wojownicy na końcach szeregu karnie się cofali i znikali w szczelinie. W końcu pozostało już tylko trzech wojowników. Kalliades usłyszał rozkaz wycofania się. Zamiast tego wojownicy zaatakowali jak jeden mąż. Wprawdzie szybko polegli, ale przerwa za nimi została zamknięta i barykada była teraz szczelna.

Padł rozkaz i drewno polano olejem, po czym z otaczających budynków ciśnięto płonące

poходnie. W ciągu kilku chwil ogień rozprzestrzenił się na całej linii rowów i podsycane olejem płomienie buchnęły wysoko, podpalając wszystko w pobliżu. Znajdujący się najbliższej wojownicy wroga próbowali rozpaczliwie się odsunąć, ale kolejni ciągle wlewali się przez bramę za nimi. Lniana spódniczka Kreteńczyka zajęła się ogniem i w ciągu jednego uderzenia serca stał się on krzyżącą ludzką pochodnią. Zataczając się w kierunku swoich towarzyszy, również ich podpalał. W płomieniach stanęli też inni wojownicy w pobliżu rowów, gdy nagle podmuchy wiatru pchnęły strumienie ognia w ich stronę.

Przez chwilę się zdawało, że płomienie będą skakać z jednego człowieka na drugiego, skazując wszystkich na zagładę. Ale karni mykeńscy wojownicy nie wpadli w panikę. Uzbrojeni we włócznie wykorzystali je, aby bezlitośnie zabić bądź utrzymać na dystans płonących towarzyszy, dopóki nie padli trupem. Tuziny poparzonych i osmalonych wojowników jęczało, wijąc się na kamieniach, ale pożar został opanowany.

Na dachach budynków wokół Bramy Skajskiej i na murach znajdujących się za siłami przeciwnika gromadzili się łucznicy. Wrogów zasypał grad strzał ze wszystkich stron i Kalliades zobaczył, jak kilku wojowników padło, trafionych w kark, gardło bądź twarz.

Rad z tego, że południowe blanki są dobrze bronione, Kalliades ruszył za Banoklesem i pobiegł wzdłuż muru i po schodach, aby dostać się na tyły głównej barykady. Tu znalazł Politesa rozmawiającego w napięciu z wodzem Lukanem i dowódcą Orłów, Ifeusem.

- Twoje Orły to dobrzy wojownicy – powiedział Ifeusowi Kalliades. – Gdybyśmy tylko mieli ich tysiąc.

- Gdyby tylko wypełniali rozkazy – burknął Lukan. – Tych trzech przy barykadzie zginęło niepotrzebnie. Trzech wojowników może stanowić różnicę w końcowych dniach.

- Byli odważnymi ludźmi – skomentował cicho Ifeus.

- Nie przeczę – mruknął stary wódz. – Ale tak samo jak nauczyliśmy się oszczędzać pożywienie, wodę oraz broń, musimy się nauczyć oszczędzać odwagę. Wprawdzie nigdy jej nam nie brakowało, ale nie możemy jej tracić w samobójczych wypadach.

- Mieliśmy nadzieję, że pożary się rozprzestrzenia i wzbudzą panikę wśród wroga – zauważył Polites ponuro. – Co teraz? Jak długo wytrzyma barykada?

- Mają setki ludzi gotowych do ataku, ale na bardzo wąskim odcinku – odpowiedział Kalliades. – Kolejne tysiące czekają za bramą, żeby dostać się do środka. Jeżeli będą dalej rzucać ludzi na barykadę, co zresztą niewątpliwie uczynią, to w końcu się przebiją. Najprawdopodobniej

możemy utrzymać ją do wieczora, być może do jutra. Nie widzę możliwości, żeby wytrwać dłużej.

Spojrzał na Lukana, który skinął głową. W tym momencie przybiegł Banokles.

- Potrzebujemy więcej łuczników – zażądał. – Są tam stłoczeni jak bydło. Dobrzy łucznicy mogliby ich zdejmować niczym kleszcze z psa.

- Brakuje nam łuczników – przyznał Kalliades. Potem dodał z wahaniem: – Pani Andromacha uczyła Kobiety Konia Trojańskiego strzelać. Niektóre z nich są w mieście. Może...

- Nie! – Polites przerwał mu z gniewem. – Kiedy wróg się przedrze, budynki zostaną odcięte i wszyscy łucznicy będą zgubieni. Nie wystawię na niebezpieczeństwo kobiet.

Kalliades pomyślał, że wszystkie kobiety znajdujące się w mieście i tak są zgubione, ale zachował to dla siebie.

– A więc wezwę trackiego dowódcę Hillasa. Jego łucznicy są najlepsi w Troi.

Na ich oczach krępy wojownik w kreteńskiej zbroi jako pierwszy przesadził rów i wdrapał się na barykadę, zabijając trojańskiego żołnierza potężnym ciosem topora w głowę. Został natychmiast powalony, ale tuż za nim podążyło dwóch kolejnych Kreteńczyków. Jeden z nich się poślizgnął, upadł na chwiejnym drewnie i kamieniach i został ugodzony w bok przez trojańskiego wojownika. Drugiemu udało się dziko zamachnąć mieczem, zanim został ogłuszony ciosem tarczy i odrąbano mu głowę.

Kalliades odwrócił się, aby iść poszukać Traków, i zorientował się, że plemięcy czekają zaledwie kilka kroków dalej. Pomalowali twarze w barwy bitewne i byli uzbrojeni po zęby, tak samo jak ich chłopięcy król Peryklos.

- To długo nie wytrzyma – stwierdził, podchodząc bliżej, wysoki Hillas, lekceważąco machając ręką w stronę barykady. – Kiedy runie, będziemy czekać. Barykada z ciał będzie trwalsza niż z kamienia i drewna.

- Potrzebujemy więcej łuczników – powiedział Kalliades. – Na pasie śmierci wróg będzie nieruchomym celem dla waszych strzał.

Do przodu wystąpił młody Peryklos.

– Ja i moi łucznicy pójdziemy tam, gdzie jesteśmy potrzebni. Dokąd mamy się udać?

Kalliades był w rozterce. Jeżeli skieruje młodego króla i jego Traków na dach budynku, to gdy wróg się przedrze, znajdą się w potrzasku. Gdyby z kolei postawił ich na murze, po którym mogliby w razie potrzeby uciec, nie mieliby osłony przed strzałami wroga.

- Nie lękaj się o moje bezpieczeństwo, Kalliadesie – ponaglił młodzik, widząc jego wahanie.

– Umieść nas tam, gdzie jesteśmy potrzebni. Poniosę takie samo ryzyko jak moi ludzie.

- Ilu was jest?

- Tylko ośmiu łuczników i Penthesilea.

Dopiero w tym momencie Kalliades zdał sobie sprawę, że jeden z łuczników stojących w niewielkim oddaleniu od reszty jest kobietą o zaciętym wyrazie twarzy, którą widział na pierwszym ćwiczebnym strzelaniu Andromachy. Na tunikę sięgającą kostek nałożyła krótki skórzany bezrękawnik; przez ramię miała przewieszony frygijski łuk. W dłoni trzymała dwa kołczany.

– Penthesilea jest jedną ze służących Andromachy. Ma wspaniały naturalny talent do strzelania – wyjaśnił Peryklos, lekko się czerwieniąc. – Będzie cenną wojowniczką.

Kalliades zastanawiał się, co na temat nowo przybyłej mają do powiedzenia inni Trakowie.

- Dlaczego nie opuściłaś miasta, kiedy miałaś okazję? – zapytał.

- Mój ojciec Ursos oddał życie za Troję – odparła. Miała szorstki głos i zauważył, że spod gęstych brwi patrzy przenikliwie zielone oczy. – Nie mogę postąpić inaczej.

Kalliadesowi nagle przypomniała się Piria. Tak, pomyślał, stałaby tu teraz ze swoim łukiem.

– Przejdźcie na mur na wschód od bramy. Jeżeli staniecie w odpowiedniej odległości, będziecie mieli częściową osłonę przed strzałami przeciwnika – powiedział do Peryklosa.

Bitwa o barykadę trwała cały dzień i jeszcze długo po zachodzie słońca. Na szczęście dla uwięzionych obrońców w nocy nie było księżyca ani gwiazd. Przez chwilę walki trwały przy świetle pochodni, ale w końcu wróg wycofał się do bramy. Trojanie natychmiast zabrali się do odbudowywania zniszczonych w ciągu dnia punktów obrony.

Kalliades i Banokles opuścili na noc swoje posterunki i ruszyli w kierunku świątyni Ateny, gdzie wydawano jedzenie i wodę. W ciemnościach czekali w kolejce. Dookoła nich wyczerpani mężczyźni spali, jak i gdzie się położyli. Inni siedzieli w małych grupach, wpatrując się w dal martwym wzrokiem.

- Przegniły jęczmienny placek i łyk wody – parsknął Banokles, ściągając hełm i przeczesując przesiąknięte potem blond włosy. – O takim żarciu nie da się walczyć cały dzień.

- Gdyby Agamemnon wstrzymał swoje wojsko jeszcze dziesięć dni, nie mielibyśmy nawet tych placków.

- Ale to był dobry pomysł, no nie? Koń Trojański. Kto by im nie otworzył bramy, kiedy tak galopowali? – Banokles w podziwieniu pokręcił głową.

- Podejrzewam, że maczał w tym palce Odyseusz – odpowiedział Kalliades. – Jest przebiegły.

- Nie zapominasz czasem, dla kogo walczysz? – zapytał niespodziewanie Banokles.

Kalliades zmarszczył brwi.

- Nie, ale wiem, co masz na myśli. Widzimy mykeńskich wojowników idących na barykadę po śmierć i wiemy, że niektórzy byli naszymi towarzyszami. Gdyby nasze losy potoczyły się odrobinę inaczej, to my bylibyśmy po tamtej stronie.

- Nie to miałem na myśli. – Banokles pokręcił głową. – Chciałem zapytać, o co my walczymy? O Troję? Nic z niej nie zostało. Dolne Miasto jest spustoszone, tak jak i reszta. Mówią, że król Agamemnon chce zagarnąć skarbiec Priama, ale Polites twierdzi, iż nic w nim nie zostało. Więc walczymy, żeby ocalić króla? On już nawet nie wie, kim jest. – Podrapał się w głowę. – Choć w sumie nie ma to większego znaczenia. Ty i ja jesteśmy wojownikami, wybraliśmy stronę i będziemy walczyć, dopóki nie wygramy albo nie zostaniemy zabici. Po prostu się zastanawiałem... – urwał.

Kalliades rozmyślał o tym, stojąc w kolejce po jedzenie. Uciekli z mykeńskich ziem przed gniewem Agamemnona i od tego czasu postępowali po linii najmniejszego oporu. Przyłączyli się do Odyseusza w drodze do Troi, ponieważ zaoferował im sposób opuszczenia wyspy piratów. Dzięki kaprysowi losu czy też woli bogów znaleźli się w mieście na czas, żeby uratować Andromachę, kiedy zaatakowali ją zabójcy. To zapewniło im miejsce w Koniu Trojańskim Hektora. Kalliades uśmiechnął się do siebie. Zdziwiający sukces Banoklesa jako dowódcy zaś uratował ich przed porażką w Karpei, Dardanos i pod murami Troi.

Pokręcił głową i roześmiał się. Śmiech odbił się echem po placu i sprawił, że zmęczeni żołnierze obrócili ze zdziwieniem głowy.

- Szczęście w bitwie przyczepiło się do nas niczym rzep do psiego ogona – powiedział do przyjaciela. – Tylko bogowie wiedzą dlaczego.

Banokles milczał i Kalliades odwrócił się, by na niego spojrzeć.

- Oddałbym je całe, żeby mieć z powrotem Rudą – powiedział smutno wojownik.

W nocy panował względny spokój. Napastnicy utrzymywali Bramę Skajską, podczas gdy

obrońcy kontrolowali barykadę czterdzieści kroków dalej. Od strony oddziałów Agamemnona dobiegały z ciemności złośliwe uwagi i obelgi – część wojowników nie brała jeszcze udziału w boju i nie mogli się doczekać.

Wraz z nadejściem pierwszego brzasku Kalliaides i Banokles zajęli swoje miejsca za barykadą. Kalliaides sprawdził rzemienie napierśnika, lepiej osadził hełm, wyważył w ręku miecz Arguriosa i czekał, aż ciemność zacznie ustępować miejsca szarości. Banokles zakreślał w powietrzu ósemki, rozciągając mięśnie ramion i warcząc do najbliższej stojących:

– Zróbcie miejsce, owcojebcy!

Wojownicy wroga zaczęli atakować barykadę.

Kalliaides odbił pchnięcie miecza, po czym oburącz ciął z góry w szyję przeciwnika. Wyszarpnął ostrze w samą porę, żeby zablokować kolejne cięcie. Rzucona włócznia odbiła się od krawędzi jego tarczy, chybiając o włos głowy. Miecz Kalliaidesa śmignął do przodu i wycofał z obrotem, wypruwając flaki przeciwnikowi, który z krzykiem padł u jego stóp. Kalliaides gwałtownie podniósł tarczę, aby zablokować mordercze cięcie, a potem jego ostrze przecięło wysoko powietrze, rozbijając głowę wojownikowi, który stracił hełm. Poczul przeszywający ból w nodze i zobaczył, że ranny, przytrzymując ręką wypływające wnętrzności, dźgnął go nożem w udo. Wbił miecz w jego kark. Znajdujący się obok niego Banokles nagle wskoczył na barykadę i dwoma błyskawicznymi cięciami rozplątał gardła dwóch wspinających się atakujących. Zeskoczył i wyszczerzył się do Kalliaidesa.

Ranek toczył się dalej i obrońcy po obu stronach Kalliaidesa i Banoklesa padali i byli zastępowani innymi, których po chwili również zmieniano. Koncentrując się na walce, tnąc i siekąc mieczem oraz blokując ciosy, Kalliaides powoli zauważył zmianę. Zaczynał się męczyć i dekoncentrować. Udo, choć przestało krwawić, bolało. Miał też inne cięcia i zadrapania. Szybko rzucił okiem na Banoklesa. Masywny wojownik walczył z ponurą determinacją, pozornie bez wysiłku operując dwoma mieczami z błyskawiczną prędkością. Ale Kalliaides, który walczył u jego boku przez wiele lat i w wielu bitwach, ocenił, że on również zaczyna się męczyć. Posługiwał się mieczami z zimnym rozmysłem, nie zadając ani jednego niepotrzebnego cięcia, i oszczędzał siły.

A zabijanie przeciwników stawało się coraz trudniejsze. Kalliaides zdał sobie sprawę, że teraz ma do czynienia z mykeńskimi weteranami. Pomyślał, że Agamemnon musiał trzymać ich w rezerwie. Wyczuł zwolnienie tempa walki, jakby coś uległo zmianie, i wiedział, że jest to

kluczowy moment.

Trojanie przegrywali.

Na barykadzie pojawił się olbrzym, z gęstą czarną brodą i ogoloną głową. Dzierżył prostokątną tarczę obciążoną białą-czarną krowią skórą i z brzegami wzmocnionymi brązem. Górował nad otaczającymi go ludźmi niczym nad karłami i wyszczerzył zęby w uśmiechu, kiedy zobaczył, z kim przyszło mu walczyć. Ajaks Rozbijacz Czaszek zeskokczył z barykady z gracją szczupłego mężczyzny.

– Banokles! Kalliaades! Wy zasrane sucze syny! – warknął entuzjastycznie.

Skoczył do ataku, zamachując się wielkim szerokim ostrzem, i zaczął sobie wycinać przejście w ich kierunku. Mykeńscy weterani stanęli po bokach, formując klin, który zaczął spychać Trojan z barykady. Banokles zaatakował, tnąc i dźgając obydwoma mieczami. Zabił wojownika u boku Ajaksa, ale wielka tarcza mykeńskiego mistrza i ciężar jego miecza sprawiała, że natarcie było nie do odparcia.

Kalliaades rozpaczliwie rzucił się do tyłu, kiedy zataczające łuk ostrze cięło go w prawy naramiennik. Przeturlał się, zerwał i przeszył pachę winowajcy. Potem usłyszał trzykrotny sygnał rogu rozkazujący odwrót do pałacu.

Ajaks tymczasem spychał Banoklesa. Stracił on jeden miecz i zastąpił go tarczą z brązu. Mykeński mistrz potężnym uderzeniem odepchnął ostrze i doskoczył, aby uderzyć Banoklesa w szczękę pięścią niewiele mniejszą od talerza. Ten zatoczył się, ale odzyskał równowagę i zablokował tarczą oddolne pchnięcie miecza. Podbiegł Kalliaades. Ajaks ponownie wznosił miecz i zamasyście ciął po łuku w nich obu. Banokles kucnął, Kalliaades się odchylił. Straciwszy równowagę, Ajaks próbował ją odzyskać, ale Banokles doskoczył do niego i rąbnął tarczą w głowę. Uderzenie oszołomiło Ajaksa, ale nie stracił przytomności. Banokles uderzył go raz jeszcze, a potem ponownie i w końcu Mykeńczyk runął twarzą w kurz pomieszany z krwią.

– Nie żyje? – zapytał chrapliwie Banokles.

Kalliaades wznosił oburącz miecz Arguriosa, aby wbić go w plecy Mykeńczyka, ale wstrzymał się na uderzenie serca. Miecz Arguriosa, pomyślał. Nie byłoby ich tutaj, gdyby nie lojalność Arguriosa i łaska Priama. Lojalność i łaska. Zerknął na Banoklesa, który wzruszył ramionami. Kalliaades opuścił miecz. Ponownie usłyszeli dźwięk rogu rozkazujący wycofanie się i obróciwszy się, pobiegli do pałacu.

XXX. RADA ODYSEUSZA

Późnym popołudniem drugiego dnia wojownicy czekający cierpliwie za murami, aż ich towarzysze przełamią barykadę Trojan, zaczęli radośnie wiwatować. Młody uzdrowiciel Ksander zadrżał w gorącym powietrzu, patrząc, jak tysiące wojowników wlewają się przez Bramę Skajską.

Przypomniawszy sobie, kiedy pierwszy raz przybył do Troi, w wózku ciągniętym przez osła, w towarzystwie Odyseusza i Andromachy. Miał dwanaście lat i pozostawił stado owiec swojego dziadka na Cyprze, aby wyruszyć na wielką przygodę. Tak samo jak teraz, drżał wtedy ze strachu, kiedy wózek z turkotem przejechał przez bramę, a on po raz pierwszy zobaczył Złote Miasto wraz z jego pałacami o dachach z brązu, przestronnymi ogrodami i bogato odzianymi mieszkańcami.

Pomyślał o swoim ojcu, który zginął w walce z mykeńskim piratem Alektruonem, i Zidantasie, który był mu ojcem przez kilka krótkich dni, i zastanawiał się, co pomyśleliby o nim teraz, kiedy udziela pomocy i przynosi ulgę wojownikom Agamemnona, wdzierającym się do miasta, aby gwałcić, plądrować i mordować.

Odwrócił się i powoli ruszył do baraków szpitala. Wziął starą skórzaną sakwę leżącą z boku łóżka i pogrzebał na dnie. Wyciągnął dwa kamyki, które nosił ze sobą, odkąd opuścił Cypr, aby przypominały mu o domu. Ważył je przez chwilę w dłoni, po czym podszedł do drzwi i wyrzucił kamyki na ulicę. Potem zaczął wkładać do sakwy swoje mikstury i zioła.

– Młody Ksandrze, pamiętaj o radzie Odyseusza.

Chłopiec spojrział w górę i zobaczył, że obok stoi Białooki. Spoglądał nerwowo, kiedy Ksander ostrożnie zawijał suszone zioła w szmatki i umieszczał w sakwie.

- Biegnij do zatoki, chłopcze – popędzał go stary medyk. – Wsiądź na statek płynący na Cypr i wracaj do matki i dziadka. Tutejszym już nie da się pomóc.

- Ty ciągle tu jesteś, Białooki – odpowiedział Ksander, nie odrywając wzroku od sakwy i medykamentów – mimo iż Myrmidoni odpłynęli.

- Niektóre z naszych statków wciąż są załadowywane, głównie końmi. Kiedy ostatnia galera wypłynie do Tesalii, będę na jej pokładzie. Tu już nic nie możemy zrobić, chłopcze. Troja stanie się trupiarnią, pełną okropieństw i śmierci. Przejdź przez te wrota, a zginiesz – to pewne jak to,

że po dniu przychodzi noc.

Ksander dalej pakował sakwę.

- Muszę pomóc przyjaciółom – wyszeptał.

- Masz przyjaciół, dokądkolwiek pójdziesz, chłopcze. Taka twoja natura. Ja jestem twoim przyjacielem. Zrób to dla swojego przyjaciela Białookiego.

Ksander znieruchomiał. Odwrócił się do towarzysza i powiedział:

- Kiedy przybyłem tu pierwszy raz, na pokładzie *Ksantosa*, był wielki sztorm i omal się nie utopiłem. Moje życie ocaliło dwóch ludzi – Egipcjanin zwany Gershomem i mykeński bohater Argurios. Obydwaj walczyli o mnie, niemal na granicy wytrzymałości, ryzykując swoje życie. Nie wiem dlaczego, ale czuli, że moje życie warte jest ocalenia. Białooki, nie potrafię tego wytłumaczyć, ale zawiódłbym ich, gdybym teraz odwrócił się do Trojan plecami i uciekł do domu. Wiem, że przybyłem tu w jakimś celu, nawet jeżeli go nie rozumiem.

Białooki pokręcił głową ze smutkiem.

- Nie mogę się z tobą kłócić, chłopcze. Niezbadane są wyroki bogów. Nie wiem, dlaczego Bóg Wąż mnie tu wysłał. Myślałem, że być może chodzi o to, iż miałem cię spotkać i zabrać do Tesalii. Ksandrze, masz zadatki na wielkiego uzdrowiciela, ale twoje umiejętności się zmarnują, jeżeli teraz zginiesz.

- Przykro mi, że nie spotkałeś się z bratem, zanim umarł – powiedział Ksander, chcąc szybko zmienić temat. Bał się, że jego postanowienie osłabnie.

- Tak samo jak i mnie, chłopcze, ale prawda jest taka, że ja i Machaon nigdy się nie rozumieliśmy. Mimo że wyglądaliśmy podobnie, mieliśmy bardzo różne poglądy na drogę Boga Węża. Prawdopodobnie kiedyś byśmy się pobili.

Ksander uśmiechnął się, zobaczywszy oczyma wyobraźni, jak dwaj delikatni uzdrowiciele krążą wokół siebie z zaciśniętymi pięściami. Przez kilka uderzeń serca kusiło go, żeby pójść z Białookim, wsiąść na statek do Tesalii i do nowego życia, daleko po drugiej stronie Wielkiej Zieleni. Ale zamiast tego rzekł:

- Pamiętaj mnie, Białooki.

Uzdrowiciel skinął głową i Ksandrowi wydawało się, że zanim ten odszedł pośpiesznie, zobaczył w jego oczach łzy. Biorąc głęboki oddech, młody uzdrowiciel podniósł ciężką sakwę. Kiedy ruszył pod górę w kierunku miasta, zaczęło padać.

Kiedy doszły ich wieści o upadku barykady, Andromacha została przeniesiona do ostatniego bastionu, pałacu Priama, a wraz z nią dwóch chłopców i jej służka Anio.

W dniu śmierci Hektora, kiedy z miasta wypuszczono kobiety i dzieci, ze łzami w oczach przyłączyła się do nich wraz ze swoją trójką Aksa, wyruszając do Frygii i rodziny Mestaresa. Błagała córki Ursosa, aby poszły z nią. Ale siostry odmówiły, twierdząc, że tak samo jak ojciec oddadzą życie w obronie miasta. Andromacha nie próbowała zmieniać ich decyzji. Powiedziała im, że ją szanuje, choć serce krajało się jej na myśl o ich losie.

A potem Penthesilea udała się na barykadę z trackimi łucznikami. Młodziutki król Peryklos osobiście pojawił się u Andromachy i poprosił o zwolnienie Penthesilei ze służby. Andromacha była zaskoczona, choć nie wątpiła w umiejętności strzeleckie dziewczyny i była poruszona jej odwagą. Kiedy Penthesilea odeszła z Peryklosem, Andromacha była pewna, że już nigdy jej nie zobaczy.

Wielki pałac był pusty. Jak jej powiedziano, Priam przebywał w swoich komnatach, choć go nie widziała. Kręciło się tylko kilku służących i nawet przyboczny Andromachy został wezwany na barykadę. Chłopcy bawili się hałaśliwie, podekscytowani pobytem w nowym domu. Andromachę frustrowało to uwięzienie. Zostawiła chłopców i zeszła na dół do pustego megaronu.

W ciągu ostatnich lat rzadko się zapuszczała do tego ogromnego pomieszczenia. Wiązały się z nim tylko wspomnienia śmierci i przerażenia. Pod wpływem kaprysu podeszła do ozdobnego, złoczonego tronu i usiadła na nim. Rozejrzała się po wysokich kamiennych ścianach, udekorowanych tarczami bohaterów. Teraz przy Tarczy Arguriosa pojawiła się Tarcza Hektora. Spojrzała na wielkie schody, gdzie Argurios został śmiertelnie ranny. Cisza w megaronie była niemal przytłaczająca i dalekie odgłosy szcękającego metalu i krzyki ludzi wydawały się cienkie i delikatne niczym ćwierkanie ptaków w letnie popołudnie.

Spojrzała w górę na Tarczę Hektora i opuściła rękę, aby dotknąć pasa okalającego jej biodra. Był precyzyjnie wykonany z brązowych dysków przeplatanych złotym drutem i ogłaszał, że jest Kobietą Konia Trojańskiego.

Po raz pierwszy od wielu dni była sama i poczuła, jak jej opanowanie rozmywa się w wielkiej, pustej kamiennej sali, i łzy zaczęły spływać jej po policzkach. Mówili o nim Księżę Wojny, ale nigdy nie postrzegła Hektora jako wojownika. Dla niej był uczynnym, wrażliwym mężczyzną noszącym na swych barkach troski, których nikt nie powinien doświadczyć.

Przypomniała sobie scenę w ogrodzie, kiedy patrzyła, jak bawił się w piasku z Astinakse, z wyrazem wielkiej czułości na twarzy, który bardzo ją wzruszył. Poczowała niewyobrażalne ukłucie winy, tak rzeczywiste, że skuliła się z bólu, bo nigdy nie kochała Hektora tak, jak na to zasługiwał, i ruszył na śmierć, wiedząc, że nie jego pragnie, ale innego mężczyzny.

A potem, tak jak każdego dnia, zaczęła się zastanawiać, gdzie jest *Ksantos* i czy Helikaon żyje. Jej zdradzieckie serce w jednej chwili oplakiwało Hektora, a w drugiej tęskniło za Helikaonem. Z obecnej perspektywy wydawało się, że ten rozkosznie beztroski czas, który z nim spędziła, ponad sto dni w podróży na zachód, wydarzył się w innym życiu.

Siedząc na wysokim złotym tronie, oplakiwała obydwu mężczyzn, których kochała.

Nagle podskoczyła i otarła łzy z policzków. Młody posłaniec, nieledwie chłopiec, wbiegł przez wysokie drzwi. Zatrzymał się i patrzył szeroko otwartymi oczami na księżniczkę siedzącą na tronie Priama, więc wstała.

– Pani, wróg przełamał naszą obronę. Nadchodzą!

Andromacha stała przy tronie, czując napięcie prawie nie do zniesienia. Czuła, że powinna coś zrobić, ale nie wiedziała co. Na zewnątrz usłyszała daleki grom niosący się nad morzem.

Po wydającym się trwać wiecznie oczekiwaniu dwóch żołnierzy, chwając się, wkroczyło do megaronu, podtrzymując swojego towarzysza. Wszyscy trzej byli ranni, ale widziała, że ten w środku umiera. Krew lała się strumieniami z głębokiej rany na nodze i Andromacha wiedziała, że jedna z arterii została rozerwana.

– Zabierzcie go do komnat królowej – rozkazała, wskazując kamienne schody. – Tam będziemy opiekować się rannymi. – Zastanawiała się, ilu uzdrowicieli – jeżeli w ogóle – ciągle znajdowało się w mieście.

Wkrótce przez drzwi zaczął się wlewać strumień ludzi: wchodzili ranni żołnierze, starsi mężczyźni i kilka kobiet. Na każdej twarzy malowały się strach i wyczerpanie i wszyscy spoglądali na nią, oczekując, że powie im, co mają zrobić. Wysłała rannych do komnat królowej i kazała kobietom opiekować się nimi, jak tylko potrafią. Mężczyznom nakazała zdjąć broń ze ścian.

W końcu przybył Polites. Wyglądał o dziesięć lat starzej, niż kiedy widziała go dwa dni temu. Jego chuda postać niknęła w czyjejs zbroi i z wyraźną ulgą ściągnął wysoki hełm.

- Wróg zdobył miasto – oznajmił krótko. – Nasi dowódcy sądzą, że nie zaatakują pałacu

przed jutrzejszym dniem. A więc mamy czas, żeby się przygotować.

- Wysłałam rannych do komnat królowej – poinformowała. – W kuchniach zostało trochę pożywienia i sporo wody. Potrzebujemy broni. – Wskazała na trzy kobiety, które niosły w ramionach pęki zużytych strzał, które należało podzielić na przydatne lub nie.

- Dlaczego tu ciągle są kobiety? – zapytał Polites z udręką. – Dlaczego nie odeszły, kiedy mogły?

- Z tego samego powodu co ty, Politiesie – odparła Andromacha. – Są Trojankami, gotowymi zostać i umrzeć dla swojego miasta. Mogłeś odejść dawno temu, tak jak zrobiła to Kreuza. Mogłeś też uciec w dniach, które nastąpiły po zdobyciu Radości Króla. Te kobiety podjęły taką samą decyzję jak ty. Szanuj je za to.

- Dopilnuj, żeby pozostały w pałacu – powiedział Polites. – Dziś w nocy miasto będzie przerażającym miejscem dla kogokolwiek, kto znajdzie się poza pałacowymi murami. Wojska Agamemnona będą odreagowywały frustrację beczynnego lata. Nikt nie zostanie przy życiu.

Andromacha pomyślała o swoich dwóch chłopcach. Chwilowo byli bezpieczni, ale nie na długo. Czując panikę zaczynającą trawić jej pierś, stanowczo ją zdławiła.

- Gdzie jest Polidoros? – zapytała szybko. – Powinien tu być. Planował obronę pałacu.

- Widziałem go przy barykadzie – odpowiedział Polites. – Jest żołnierzem. Nie mógł tutaj czekać i nic nie robić, podczas gdy atakowano miasto.

- Czasami najtrudniej jest po prostu czekać i nic nie robić. – Poczula, jak narastającą panikę zastępuje gniew. – Polidorosowi powierzono dowodzenie pałacem. Opuścił swój posterunek. I króla.

- Andromacho, jesteś zbyt surowa – zganił ją Polites. – Polidoros zawsze był oddanym synem Troi. Denerwowało go opiekowanie się królem. Jego miastu grozi zagłada, a on jest żołnierzem – powtórzył.

Andromacha spojrzała na niego zaskoczona.

- Jako żołnierz – powiedziała gorzko – miał obowiązek opiekować się królem, a nie walczyć na ulicach. To może robić każdy prosty wojownik. Polidoros został wyróżniony za dzielność w obronie pałacu i uczyniony przybocznym króla, strażnikiem Priama. Porzucił swoje zadanie. Jak możesz go bronić, Politiesie?

Książę odpowiedział, zmarszczywszy brwi.

- Czasami istnieją ważniejsze zobowiązania. Każdego człowieka ostatecznie wiąże jego

sumienie.

Andromacha wzięła głęboki oddech i westchnęła.

– Przepraszam, Politiesie. Nie powinnam się z tobą kłócić. Robi się ciemno i muszę chłopców położyć spać. Jeżeli Polidoros nie wróci, zbierzemy się i poczynimy własne plany. Być może będą tu już wtedy wodzowie.

Pośpieszyła w górę po kamiennych schodach, czując, jak głośno bije jej serce. Z goryczą przyznała przed sobą, że lęk o chłopców objawił się jako gniew. Znalazłszy się w komnatach królowej, ruszyła do sypialni chłopców. Anio nigdzie nie było widać. Potem przypomniała sobie, że kazała dziewczynie szukać materiału na bandaż. Znalazła samotnego Deksa, który siedział na podłodze i bawił się swoją ulubioną zabawką, sfatygowanym drewnianym konikiem z niebieskimi oczami, którego przywiózł z Dardanos.

Rozejrzała się, po czym kucnęła obok chłopca.

- Gdzie jest Astinaks? – zapytała, odgarniając mu z czoła jasną grzywkę.

- Poszedł z tym panem – odpowiedział chłopczyk, podając jej zabawkę, aby się pobawiła.

Zmarszczyła brwi i nagle do jej serca zaczęło sączyć się przerażenie.

- Jakim panem, Deks?

- Stary pan go wziął – odparł.

XXXI. ŚMIERĆ KRÓLA

Znajdę twojego syna – obiecał Andromasze Kalliades. – Nie spocznę, dopóki go nie znajdę. Przeszukali cały pałac, ale po Astinaksie nie było ani śladu. Priam też przepadł.

Osobisty sługa króla powiedział Politesowi, że zostawił staruszka owiniętego w koc na krześle na balkonie. Służący tłumaczył, że król był słaby, zagubiony, i szukał pocieszenia we wspomnieniach o świecie dawnej przeszłości. Od śmierci Hektora nie opuszczał tej wymyślonej rzeczywistości.

Wróciwszy do megaronu, Kalliades szybko zdjął zbroję, pozostawiając jedynie wzmocnioną brązem skórzaną zomę i sandały.

- Znajdź dla mnie ciemny płaszcz – powiedział Andromasze. Spojrzała na niego i przez chwilę w jej oczach strach ustąpił miejsca zdenerwowaniu, ale dała znak jednej ze swoich służek.

- Niech będą dwa – powiedział Banokles, zrzucając napierśnik.

- Wodzu – Kalliades przemówił do niego z naciskiem. – Będziesz potrzebny tutaj, aby zebrać wojsko.

- Dziś w nocy nie zaatakują – odpowiedział z pewnością siebie wojownik.

- Nie – przyznał Kalliades. – Agamemnon da im dzisiaj wolną rękę, aby mogli plądrować, ile wlezie. Ale o brzasku musimy być na nich przygotowani. I tak mamy już braki w ludziach na murach pałacu. Nasi wojownicy ci ufają i będą walczyli dla ciebie do ostatniego tchu.

Polites nerwowo wystąpił do przodu.

- Kalliadesie, ja z tobą pójdę – zaproponował. – Jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Znam swojego ojca i mogę się domyślić, dokąd się udał.

Spodziewał się, że wojownik odmówi, ale zamiast tego Kalliades powiedział:

- Dziękuję, panie. Nie mógł zajść daleko. Możemy tylko mieć nadzieję, że nie został wraz z chłopcem schwytany.

Służka powróciła z dwoma czarnymi płaszczami z kapturem. Kalliades szybko nałożył pas z mieczem, a potem płaszcz. Polites obserwował go, po czym niepewnie zrobił to samo.

- Zamęt i burza będą dzisiaj naszymi sprzymierzeńcami. Będziemy się ukrywać, dopóki nie znajdziemy dwóch mykeńskich żołnierzy. Wtedy zabierzemy im zbroje – wyjaśnił Kalliades księciu.

Polites, nie odzywając się, skinął głową, obawiając się, że głos mu zdrzży. Nigdy nie był wojownikiem. Pozostawił to swoim braciom, Hektorowi, Agatonowi i Diosowi. Zawsze był pod wrażeniem żołnierzy, którzy rozmawiali o zabijaniu tak swobodnie jak on o przycinaniu róż.

– Niedługo będziemy potrzebowali twoich kobiet z łukami. Umieść je na frontowym pałacowym balkonie, aby osłaniały odwrót z murów. Jeżeli mury i dziedziniec zostaną zdobyte, wycofaj je na galerię megaronu. W końcu, jeżeli do tego dojdzie, uciekajcie do komnat królowej – powiedział Kalliades, odwracając się do Andromachy.

Skinęła głową.

– Przyniosą nam dumę – obiecała.

Kiedy opuścili pałac, Kalliades przystanął i Polites obejrzał się na niego. Zaczynała silna ulewa i smagał gwałtowny wiatr. Niebo na północy rozjaśnił piorun, za murami po ich lewej stronie płonął olbrzymi pożar trawiący krzaki. Nie widzieli oddziałów wroga, aczkolwiek z Dolnego Miasta niosły się wrzaski i odgłosy zderzającego się metalu.

- Dokąd? – zapytał Kalliades; silny wiatr porwał jego słowa.

Polites przystawił usta do ucha wojownika.

- Wielka Wieża – krzyknął.

Kalliades uniósł brew i Polites pokiwał energicznie głową.

– Jestem pewny – wykrzyknął.

Zaczęli biec ulicami w dół w kierunku wieży. Za każdym razem, kiedy Kalliades się zatrzymywał, Polites zamierał z szybko bijącym sercem. Potem wojownik zaczynał truchtać dalej, trzymając się wąskich alejek i przemykając po obrzeżach placów i otwartych przestrzeni. Pomimo zacinającego deszczu wszędzie płonęły pożary. Widzieli wiele ciał – czasami mieszkańców miasta, ale głównie żołnierzy, jak również kilku rannych. Kalliades zatrzymał się tylko raz i ukląkł, aby krótko porozmawiać z ciężko rannym trojańskim wojownikiem, który leżał z wnętrznościami rozrzuconymi dookoła. Kalliades wyjął zakrzywiony nóż i poderżnął mu gardło, a potem ruszył dalej z ponurym wyrazem twarzy.

Gdy przez szum deszczu usłyszeli odgłos maszerujących stóp, Kalliades zatrzymał się w jednej z bocznych uliczek. W ich kierunku zmierzali w ciemności żołnierze wroga niosący pochodnie. Nie biegli, nie śmiali się ani nie krzyczeli – maszerowali w ciszy, jakby koncentrowali się na zadaniu. Kalliades wepchnął Politesa w najbliższe drzwi, ale wejście było

plytkie i dostrzeżono by ich, gdyby żołnierze podeszli bliżej. Kalliades otworzył drzwi i wszedł do środka. Z sercem na ramieniu Polites ruszył za nim.

Znaleźli się na podwórku. Było tam ponad dziesięciu żołnierzy mykeńskich, ale skupiali się na czymś leżącym na ziemi. Kalliades i Polites usłyszeli agonalny krzyk i błagalny głos kobiety. Polites spojrział na Kalliadesa z udręką. Twarz wojownika pociemniała, ale pokręcił głową. Polites zobaczył w jego oczach ból.

Niezauważeni wyslizgnęli się z powrotem na alejkę i pobiegli dalej. Polites zobaczył, że Kalliades lekko utyka. Zastanawiał się, jak ciężka rana sprawiła, że wojownik pokroju Kalliadesa kuleje.

W końcu znaleźli dwóch Mykeńczyków w zbrojach. Jeden opierał się o ścianę z rękoma na biodrach, jak gdyby starał się złapać oddech. Drugi za coś go kłął, pochylając się i krzycząc mu do ucha. Kalliades dał znak Politesowi, żeby ten poczekał. Potem podszedł do Mykeńczyków. Obydwaj spojrzeli na niego bez strachu. Zanim zdążyli się ruszyć, Kalliades poderżnął gardło jednemu z nich. Drugi odskoczył, przeklinając i wyszarpując miecz. Wykrzywił się w grymasie i wyprowadził cios w twarz Kalliadesa. Ten kucnął i odchylił się jednym płynnym ruchem, a potem zatopił sztylet w kroczu przeciwnika. Dopiero wtedy wyjął miecz z pochwy. Mykeńczyk walczył dzielnie przez kilka uderzeń serca, a potem runął u boku swojego towarzysza. Polites widział, jak jego krew spływa na zalaną deszczem ulicę. Rozglądając się dookoła, Kalliades zaczął szybko zdejmować zbroję z martwego wroga i podał ją Politesowi. Nim się z tym uporali, drugi Mykeńczyk również umarł i Kalliades wdział jego zbroję.

Ruszyli dalej i mieli już podstawę Wielkiej Wieży w polu widzenia, kiedy natknęli się na kolejną grupę mykeńskich wojowników. Dowódca ich przywołał i Kalliades ciężko ruszył do przodu, mocniej utykając.

- Jak się nazywasz, żołnierzu? – zapytał dowódca.

- Kleitos z Panter, panie – odpowiedział Kalliades, lekko płaczącym się językiem. – To Toas. Jest pijany.

- Polujemy na dzieci – poinformował dowódca. – Król Agamemnon chce, aby każdy smarkacz w mieście został znaleziony i doprowadzony do niego.

- Szukamy kobiet, a nie bachorów – zaśmiał się Kalliades.

Dowodzący wyszczerzył zęby.

- Oczywiście, żołnierzu, ale często można znaleźć ich razem. A Agamemnon daje srebrny

pierścień za każde przyprowadzone dziecko. Kiedy wrócimy do domu, za srebrny pierścień kupisz tyle kobiet, ile zechcesz.

- Będę to miał na uwadze – odparł radośnie Kalliades. – Ale lepiej dosiąść jednej kobiety teraz, niż mieć dziesięć obiecanych. A dziś w nocy nie kosztuje mnie to nic! – Obrócił się do Politesa. – Ruszaj się, ty nędzny pijaczyno! – krzyknął i ruszyli dalej.

Teren przy Bramie Skajskiej, na którym dzień wcześniej rozciągał się pas śmierci, był teraz pozbawiony życia. W deszczu leżało kilka osmalonych ciał, ale nie widać było nikogo żywego. Wielka brama była zamknięta, a ciężka belka znajdowała się na miejscu, więżąc ich wewnątrz miasta równie skutecznie, jak wcześniej trzymała wroga na zewnątrz. Polites spojrzął w górę na wieżę i przez chwilę zdawało mu się, że widzi ruch przy drzwiach prowadzących na blanki. Wskazał to Kalliadesowi, który zmrużył oczy.

– Jesteś pewny? – zapytał z powątpiewaniem wojownik.

Polites skinął głową i obydwaj ruszyli w kierunku kamiennych stopni. Mimo ciężkiej zbroi i zranionej nogi Kalliades biegł bez wysiłku. Polites wolno podążał za nim.

Wewnątrz wieży panował gęsty mrok, ale brak wiatru przywitali z ulgą. Jedyne odgłosy wydawał teraz deszcz bębniący o drewniany dach wysoko w górze. Nie musieli już porozumiewać się krzykiem.

– Trzymaj się lewej strony, jak najbliżej ściany – poradził Polites. – Stopnie są mocno wytarte, ale nie powinny być śliskie.

Wspinaczka w kompletnych ciemnościach była przerażająca, nawet dla Politesa, który wiele razy podążał tędy w świetle pochodni. Zaczęły dręczyć go wątpliwości. Czy Priam mógł dotrzeć tak daleko? Czy dał radę wprowadzić Astinaksa po schodach bez światła? Pomyślał, że najpierw powinni sprawdzić u podstawy wieży, czy nie leży tam małe ciało. Zanim dotarli na szczyt, Polites był przekonany, że gonią duchy.

W końcu poczuł na twarzy czyste nocne powietrze i deszcz i zobaczył, że idący przed nim Kalliades wyszedł na zewnątrz. Niebo pojaśniało i zorientował się, że niedługo będzie świtać. Grzmoty i pioruny waliły nieprzerwanie. Znowu poczuł strach – słyszał o ludziach w zbroi, którzy zostali powaleni uderzeniem pioruna.

Wyszedł na szczyt wieży. Przez jedno uderzenie serca nic nie widział, gdyż musiał przymknąć oczy przed chłoszczącym deszczem. Ponad nimi przetoczył się grom i niebo rozświetlił rozbłysk rozszczępionego pioruna. W jego świetle zobaczyli Priama stojącego na

blankach po drugiej stronie. Jego długie białe włosy i szara szata łopotały na wietrze, jakby już spadał. W wyciągniętych ramionach trzymał nieruchome dziecko.

Z walącym sercem Polites ruszył w kierunku ojca, obawiając się, że ten w każdym momencie zniknie za krawędzią.

Priam odwrócił się i zobaczył go.

- Politiesie, ty głupcze, co robisz? – Wiatr przyniósł donośny i pełen pogardy głos króla. – Nie wzywałem cię.

- Ojcie, przyszedłem po chłopca. Andromacha się niepokoi. Nie wie, gdzie jest. – Polites mógł teraz dostrzec twarz dziecka. Jego niebieskie oczy były szeroko otwarte i z przerażeniem wpatrywał się w księcia.

- Jest ze swoim ojcem – odparł król. – Kto inny może zapewnić mu bezpieczeństwo, Politiesie? Nie ty, głupcze. Ani jego dziwka matka. Pokazuję go wielkiemu Zeusowi. Jest Orlim Dziecięciem, drogim Ojcu Wszystkich.

Ze swoim ojcem? Polites zastanawiał się, co Priam miał na myśli. Stojący obok niego Kalliades zapytał ze zdziwieniem:

- Jak udało mu się tutaj dostać i uniknąć schwymania?

- Król zna swoje miasto lepiej niż ktokolwiek inny. A przy zdrowych zmysłach Priam jest przebiegły jak trzy lisy.

Kiedy rozmawiali, Priam spojrział na chłopca i na jego twarzy odmalowało się poczucie zagubienia. Zobaczyli, jak jego blada twarz przybiera znajomy grymas strachu i rozpacz.

Polites szybko postąpił do przodu, obawiając się, że starzec w panice upuści chłopca.

- Pozwól mi wziąć małego Hektora – powiedział. – Królowa o niego prosi.

Priam raz jeszcze spojrział na dziecko.

- Hektor – wymruczał. – Mój najlepszy chłopak.

Polites wyciągnął ręce i Priam podał mu Astinaksa. Dopiero wtedy chłopiec zaczął cicho płakać. Polites popchnął go w kierunku Kalliadesa.

- Zabierz go do matki – rozkazał.

Kalliades spojrział z wahaniem na księcia, a potem na króla.

- Idź już, Kalliadesie. On musi ocaleć. Jest Orlim Dziecięciem.

Kalliades zmarszczył brwi. Najwyraźniej te słowa nic dla niego nie znaczyły. Ale skinął głową.

- Tak, panie – przytaknął i odszedł, szybko znikając w wejściu do wieży z chłopcem na rękach.

- Chodź, ojcze, musisz odpocząć – powiedział łagodnie Polites, biorąc starego za rękę i sprowadzając z blanków.

- Gdzie jestem? – zapytał z przestachem król. – Nie wiem, gdzie jestem.

- Jesteśmy na Wielkiej Wieży Ilionu, ojcze. Wypatrujemy wrogów Troi. Kiedy się pojawią, zniszczymy ich.

Starzec skinął głową i osunął się na posadzkę. Polites widział, że jest wycieńczony ponad wszelkie wyobrażenie. Usiadł obok i zaczął zdejmować część zbroi. Wiedział, że umrą tu obydwaj.

Wróg w końcu pojawił się w osobach dwóch mykeńskich wojowników. Jeden z nich był duży, z długimi rudymi włosami w nieładzie i długą brodą, a drugi mały i szczupły. Wspięli się na wieżę i kiedy zobaczyli chorego starca i jego syna, obydwaj się wyszczerzyli, wymieniając drapieżne spojrzenia.

Polites wstał z wysiłkiem, wyciągając miecz, i starał się przypomnieć sobie lekcje, których udzielano mu w zamierzchłych czasach. Trzymając miecz oburącz przed sobą, wystąpił przed ojca.

Rudy wojownik wyjął miecz z pochwy i ruszył w jego kierunku. Drugi stał i patrzył, uśmiechając się w oczekiwaniu.

Rudzielec zadał cios w klatkę piersiową, ale Polites nerwowo odskoczył i miecz odbił się od brązowych dysków napierśnika. Mykeńczyk zamarkował uderzenie w lewo i kiedy Polites wolno zaczął przyjmować postawę obronną, zbliżył się i zatopił ostrze w jego boku. Księżciu wydawało się, że ktoś uderzył go młotem. Nogi ugięły się pod nim i w agonii upadł na zalaną deszczem posadzkę.

Spojrzał w górę, kiedy wojownik uniósł miecz, żeby zadać śmiertelny cios, i nagle został zalany krwią, gdy gardło mężczyzny rozplątał umiejętnie ciśnięty nóż. Priam wystąpił do przodu, warcząc:

– Gińcie, psy! – I podniósł miecz martwego wojownika.

Drugi Mykeńczyk rzucił się naprzód z furją.

– Na Hadesa, zapłacisz za to, stary sukinsynu! – krzyknął i gniew nie zamachnął się na króla.

Priam uniósł swój miecz i ostrza się zderzyły, krzesząc iskry w półmroku.

Król zatoczył się do tyłu – stare nogi zawiodły go i upadł na jedno kolano.

Kiedy wojownik stanął nad Priamem, Polites wyszarpnął nóż z gardła zabitego i pchnął w udo atakującego. Chybił celu, ledwie muskając skórę, ale kiedy wojownik obrócił się w jego kierunku, Priam uniósł miecz i wbił mu go w plecy. Mykeńczyk osunął się na kolana, z wyrazem zaskoczenia w oczach, po czym martwy padł na wznak.

Tonąc w morzu bólu, Polites doczołgał się do króla.

– Zabiłeś ich, ojcze – wydyszał słabo. – Ale przyjdą następni.

Priam obnażył zęby w pewnym sobie uśmiešku.

– Mój syn nas uratuje – obiecał. – Hektor przybędzie na czas. Nigdy mnie nie zawiódł.

Polites skinął głową, przyciskając rękę do boku i patrząc, jak krew przepływa mu między palcami.

– Jest dobrym synem – zgodził się ze smutkiem.

Potem zamknął oczy i zasnął.

Kiedy znów otworzył oczy, był już jasny dzień. W ich kierunku szło ponad tuzin mykeńskich wojowników. Polites westchnął i spróbował się poruszyć, ale członki nie chciały go słuchać i leżał bezsilnie. Był okrutnie zmęczony, ale nie czuł strachu. Obrócił głowę i zobaczył, że ojcu w jakiś sposób udało się wspiąć z powrotem na blanki. Przypomniały mu się słowa Kasandry. Priam przeżyje wszystkich swoich synów, pomyślał i uśmiechnął się.

– Żegnaj, ojcze – wyszeptał, kiedy starzec rzucił się z wieży. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był miecz zmierzający w kierunku jego karku.

Burza nadeszła od strony Tracji, z zimnych Rodopów. Jej brzemię w postaci lodowatego deszczu niewiele spowolniło północny wiatr, wystarczająco silny, aby zrywać dachy z chatk wieśniaków i rybaków oraz łamać grube konary drzew. Stuletnie dęby, z korzeniami osłabionymi przez suche lato, pod jego naporem waliły się na zboczach Idy i dzikie zwierzęta rozpaczliwie szukały schronienia przed furią żywiołów. Złoty dach pałacu Priama klekotał ponuro, kiedy wichur próbował zerwać jego cenne pokrycie. W całym mieście niczym liście fruwały po ulicach płytki z dachów, a mury zniszczonych pałaców się waliły. Na stromym zboczu na zewnątrz Troi mistrz kowalski Kalkeus patrzył na wichurę i cieszył się.

– Boreasz, północny wiatr. Nazywają go Pożeraczem – mamrotał do siebie radośnie. – Niech

Pożeracz pochłonie gwiazdne kamienie i wypłuje je dla mnie!

Z dumą spojrzął na wysoki piec, największy, jaki zbudował po wielu nieudanych próbach. Kamienna wieża była kwadratowa u podstawy, o boku długim ledwie na dwa kroki, a mimo to wysokością dorównywała murom miasta. Jego pierwsze dzieło zawaliło się wbrew jego obliczeniom dotyczącym grubości ścian. Drugi i trzeci piec zniszczyli żołnierze wroga, kiedy ukrywali się niedaleko w lesie. Kalkeus pienił się na bezinteresowną destrukcję owoców swojej pracy. Ale odważył się udać do obozu Mykeńczyków i porozmawiał z Agamemnonem. Od tego czasu wojownicy zostawili go w spokoju. Jego ostatnie próby do pewnego stopnia się powiodły. Piece wytworzyły odpowiednią temperaturę, ale obydwie spłonęły, zabierając ze sobą pozostałe na zboczu budynki. Kalkeus po prostu zaczął więc jeszcze raz.

– Cierpliwości, cierpliwości – powtarzał sobie. – Bez cierpliwości nie zbudowano jeszcze niczego przydatnego.

Żałował, że nie ma z kim omówić projektu. Złocisty wykazałby zainteresowanie, zrozumiał konstrukcję pieca i pochwalił Kalkeusa za pracę, jaką wykonywał. Z metalu Aresa Kalkeus zrobi miecz doskonały, który nie będzie się zginał ani łamał i nigdy się nie stępi.

Był miło zaskoczony rozmową z Agamemnonem. Kalkeus gardził Mykeńczykami jako narodem. Byli grabieżcami, piratami i mordercami. Zawsze wyobrażał sobie, że ich król to osiłek pozbawiony inteligencji i wyobraźni. Ale Agamemnon zadawał przemyślane pytania na temat pracy Kalkeusa i obiecał sfinansować jego eksperymenty, kiedy wojna się skończy. Mistrz kowalski nie ufał mu do końca, ale z pewnością nie mógł oczekiwać więcej wsparcia od Trojan.

W jego myśli zakradło się zwątpienie. Kolejna broń, Kalkeusie? – zapytał sam siebie. Widziawszy tyle śmierci zadanej twoimi wynalazkami, naprawdę chcesz stworzyć kolejną broń, która spocznie w rękach gwałtowników? Potrząsnął głową, chcąc się pozbyć denerwującej myśli.

Kalkeus przewidział burzę jeszcze poprzedniego dnia i aby rozgrzać piec, pracował całą noc. Jak szaleniec, zachichotał, Szaleniec z Miletu!

Piec został wypełniony suchymi gałęziami drzewa oliwnego i kawałkami białego wapienia w celu oczyszczenia płomieni. Potem Kalkeus ułożył warstwę szarej gąbczastej masy, którą udało mu się uzyskać na skutek opalania czerwonych skał. Na dole pieca znajdowały się kwadratowe drzwi, a w środku płytka gliniana misa, do której miał spłynąć stopiony metal. Z podstawy misy wystawała rura, która biegła od pieca do formy w kształcie miecza. Specjalnie skonstruowane drzwiczki kontrolowały przepływ powietrza. Były teraz szeroko otwarte

i gwałtowny wiatr szalejący po płaskowyżu podgrzał piec do temperatury o wiele wyższej niż dotychczas.

Kalkeus cofnął się nerwowo kilka kolejnych kroków od intensywnego żaru. Nie mogę tego teraz powstrzymać, powiedział sobie. Wszystko jest w rękach bogów. Przetaczające się grzmoty były ledwie słyszalne w ogłuszającym huku pieca. Wydawał dźwięk niczym pomruk Cerbera w gęstniejącym mroku.

A potem, tak jak Kalkeus się obawiał, wielki piec zatrzęsł się i nagle rozpadł. Przez wzgórze z rykiem strzelił podmuch gorąca, przewracając Kalkeusa. Kiedy ogień wyrwał się z zamknięcia, dookoła spadł deszcz kawałków skał i gruzu, ledwie chybiając mistrza kowalskiego. Na wpół ogłuszony, zaczął bezsilnie krzyczeć i gasić rękoma przypalone włosy i brodę.

Przetoczywszy się, zaczął iść na czworakach, drżąc, w kierunku krawędzi płaskowyżu i zerknął zza niej, osłaniając oczy przed intensywnym blaskiem. Za ledwie kilka kroków od miejsca, gdzie leżał, w środku ruin ze zdziwieniem dostrzegł, że przed zniszczeniem piec spełnił swoje zadanie. Wściekły płomień przemienił metal Aresa w płynną substancję i, zgodnie z zamierzeniem, wlała się ona do formy w kształcie miecza w momencie, gdy zawalił się komin.

W piersi starego mężczyzny zaczęła kiełkować nadzieja. Oto miecz, ale czy jest to miecz doskonały, o jakim marzył?

Na oczach niedowierzającego Kalkeusa ostatnia część komina powoli runęła w kierunku formy. Kowal przeraźliwie krzyknął ze strachu, kiedy gruzy uderzyły w jej brzeg, przewracając ją i wyrzucając rozgrzany do białości miecz na deszcz. Ostrze krzyknęło niczym żywe, kiedy w mgnieniu oka zamieniło wodę w parę.

Ruszył w jego kierunku na czworakach, starając się nałożyć grube skórzane rękawice zawieszane na szyi. Kiedy dotknął jarzącego się miecza rękawica zatliła się i Kalkeus szybko zabrał rękę. Siedział, wpatrując się zachłannie w ostrze, ledwie zdając sobie sprawę, że pożar podpalił resztkę pozostałych drzew i chaszczki.

Powoli, stopniowo światło miecza gasło, kiedy chłodził się on pod nieustającym deszczem. Kalkeus sięgnął i ostrożnie podniósł ostrze.

Było tuż przed wschodem słońca i burza już minęła, kiedy Kalliades powrócił do pałacu z Astinaksem. Kiedy opuszczał Wielką Wieżę, dotarło do niego, w jaki sposób dostał się tam Priam. Przeszedł murami. Musiał to być pierwszy raz od pokoleń, kiedy mury nie były

obsadzone. Kalliades, szybko krocząc drogą, którą przebył Priam, spotkał tylko dwóch żołnierzy. Obydwaj byli pijani, a tej nocy nikt nie zadawał pytań niosącemu dziecko mężczyźnie w mykeńskiej zbroi.

Kiedy zbliżył się do pałacu na odległość strzału z łuku, zaczął krzyżeć:

- Otwórzcie bramy! To ja, Kalliades! – Nie chciał, aby strzelił do niego jakiś zbyt entuzjastycznie nastawiony łucznicz. Usłyszał, jak jego imię wykrzykują na murach, i wysoka wzmocniona brązem brama powoli się otworzyła, pozwalając mu wślizgnąć się przez wąską szczelinę. Po drugiej stronie czekali już na niego Andromacha i Banokles. Podał księżniczce dziecko, a ona mocno przytuliła do siebie chłopca.

- Mama – powiedział chłopczyk sennym głosem.

Po policzkach Andromachy popłynęły łzy ulgi i radości. Delikatnie pocałowała synka w policzek.

- Jestem twoją dłużniczką, Kalliadesie. Bądź pewny, że o tym nie zapomnę – powiedziała poważnym głosem. – Co z Priamem i Politesem?

- Zostawiłem ich razem. – Nie chciał dawać jej fałszywej nadziei. – Nie sądzę, żeby przeżyli. Być może w tej chwili to dziecko jest już królem Troi.

Smutno skinęła głową, po czym odwróciła się i ruszyła do pałacu, mocno ściskając syna.

- Chcesz dalej w tym chodzić? – zapytał Banokles, wskazując na mykeńską zbroję. – Nie pragniesz chyba, żeby przez przypadek zabił cię któryś z naszych chłopców. To byłoby przykre.

Kalliades wyszczerzył zęby i wysłał żołnierza po własną zbroję. Potem zmęczony podążył za Banoklesem po schodach na górę umocnień. Mury pałacu miały wysokość dwóch mężczyzn. Atakujący będą potrzebowali drabin, ale mieli wystarczająco dużo czasu, aby je zrobić.

- Cóż, *strategosie* – zwrócił się Kalliades do Banoklesa, patrząc na czekających wojowników. – Jaki mamy plan?

- Rozmawiałem z ludźmi – odparł Banokles – i kazałem im zabić każdego skurczybyka, który ich zaatakuje, i robić to tak długo, aż wszyscy będą martwi.

- Dobry plan – powiedział Kalliades. – Podoba mi się. Jego zaletą jest prostota. – Uśmiechnął się i poczuł, że uchodzi z niego całe napięcie. Banokles miał rację. Dotarli do końca i nie mieli już o czym decydować. Będą walczyć i przeżyją albo zginą.

Banokles wyszczerzył się do niego i wzruszył ramionami.

- Wszyscy lubią plany, które potrafią zrozumieć.

- Ilu nas jest?

- Mniej niż trzystu, w większości ranni. Około pięćdziesięciu Orłów. I niektórzy z Konia Trojańskiego. Przydałby się nam teraz Hektor – zniżył głos do szeptu – i jest jeszcze ta kobieta. – Skinął głową, wskazując miejsce, gdzie z łukiem w ręku obserwowała miasto Penthesilea. Miała wysoki hełm, jak również napierśnik. Patrząc na jej profil, Kalliaades pomyślał, że wygląda jak Atena wybierająca się na wojnę.

- Hillas uważa, że jest genialna – zdradził Banokles. – Odstrelili pchle jaja z odległości pięćdziesięciu kroków.

- Hillas tak uważa? Ten sam Hillas, który twierdzi, że walczące kobiety powinny zostać pochowane żywcem za swoją impertynencję?

- Wiem. Też bym w to nie uwierzył. Może się zakochał – rozważał Banokles. – Chociaż jest prosta jak skała i chuda jak ostrze. Nie lubię kościstych kobiet. Jaki z nich pożytek?

Słuchając jednym uchem, Kalliaades usiadł, opierając się plecami o mur, i ziewnął. Był zmęczony ponad wszelkie wyobrażenie, bolała go noga i było mu ciężko na sercu. Nigdy nie chciał być Trojaninem. Wojownicy z Sali Lwa zawsze pogardzali wojskami Złotego Miasta. Wierzyli, że prawdziwi wojownicy są lwami pośród owiec, przynoszącymi wrogowi wojnę w imię Aresa. Wojownicy Troi ukrywali się za wysokimi murami, wylegując się na bogactwach Priama.

Banokles miał rację, pytając, za co walczą. Nie było skarbcza, nie było króla, wysokość murów zaś straciła znaczenie.

Kalliaades powrócił myślami do dnia, kiedy jako dziecko ukrył się na polu lnu, gdy brutalni mężczyźni zgwałcili i zamordowali jego siostrę. Tego dnia poprzysiągł, że pomści ją, wyszukując i zabijając takich ludzi. Trwając w tym postanowieniu, dołączył do sił Mykeńczyków. Ale w ciągu lat zapomniał o swojej przysiędze i odkrył, że walczy z takimi okrutnikami ramię w ramię. Kalliaades nigdy nie zgwałcił kobiety ani nie zabił dziecka, ale zrobiło to wielu jego towarzyszy, ludzi, których z dumą nazywał przyjaciółmi. Uratowanie Pirii z rąk piratów pod wieloma względami zmieniło jego życie. Sprawilo, że przypomniał sobie swoją przysięgę. I teraz wiedział, że nie może jeszcze raz jej porzucić.

- Odpowiadając na twoje pytanie... – zwrócił się do Banoklesa.

- Jakie pytanie?

- Pytałeś mnie, o co walczymy. O tego małego chłopca. Astinaks jest teraz królem Troi.

Walczyliśmy dla niego. Ale nie dlatego, że jest królem. Dzisiaj walczyliśmy za te wszystkie kobiety i starców, którzy na nas polegają. Za ludzi, którzy sami nie mogą walczyć. Będziemy wykorzystywać nasze miecze, aby chronić słabych, a nie zabijać ich i zabierać to, co posiadają. Tak postępują podli ludzie.

Banokles wzruszył ramionami.

– Niech ci będzie... – zgodził się. Potem spojrzał na teren za murami, mrużąc oczy. – Nadchodzą! – poinformował.

Kalliades szybko wstał i zaryzykował rzut oka ponad blankami. Na sercu spoczął mu kamień. Ciągłe mieli do czynienia z liczną hordą wrogów. Wydawało się, że setki, które zabili przy Bramie Skajskiej, w ogóle się nie liczyły. Jedyne pocieszenie stanowiło to, że obrońcy wypali się w nocy, podczas gdy napastnicy pili i mordowali.

Usłyszał, że drabiny uderzają o mur po drugiej stronie.

Nagle Banokles wstał i ryknął:

– Jestem Banokles! Chodźcie do mnie i gińcie, ścierwa! – Nad murem przeleciała chmura strzał. Jedna drasnęła wojownika w okaleczone ucho i Banokles szybko kucnął, szczerząc zęby w gniewnym i drwiącym uśmiechu.

Patrząc na siebie, obydwaj poczekali kilka uderzeń serca, po czym jak jeden mąż szybko się podnieśli, aby stawić czoło wrogowi. Wielki mykeński wojownik dotarł na szczyt drabiny i miecz Arguriosa wbił się w jego twarz. Kalliades zadał odwrotne cięcie w brodaty podbródek kolejnego napastnika, po czym zerknął na zewnętrzną stronę muru. Na tym odcinku było tylko około dwudziestu drabin. Wszystko, co musimy zrobić, pomyślał, to zabić dwudziestu wojowników, a potem robić to tak długo, aż atak się załamie.

Po jego prawej stronie Banokles ciął mieczem przez gardło jednego z atakujących, po czym wytłukł mózg z czaszki następnego. Wojownik z zaplecioną brodą zaczął przechodzić przez mur z toporem w ręku. Banokles nie przeszkadzał mu, kiedy ten przesadzał umocnienia, po czym kucnął i wbił mu miecz w brzuch. Kiedy wróg padał, Banokles dźgnął go w plecy. Złapał jego topór i zamachnął się na następnego przeciwnika, trzaskając mu ramię i napierśnik.

Nad murem ponownie przeleciały strzały. Większość poszła za wysoko i nie czyniąc nikomu krzywdy, wyładowała na podwórku, ale dwaj obrońcy padli, a jedna ze strzał utkwiała wysoko w napierśniku Banoklesa.

Po lewej stronie Kalliades zobaczył, że trzem mykeńskim żołnierzom udało się wedrzeć na

umocnienia, co dało wrogowi przyczółek i umożliwiło wejście następnym. Rzucił się na nich, natychmiast powalając jednego, a drugiego zwałając z nóg uderzeniem barku. Głowa napastnika odbiła się od muru. Trzeci wojownik dźgnął mieczem w brzuch Kalliadesa. Ostrze zablokował Królewski Orzeł, po czym ciął atakującego w kark. Drugi spróbował się podnieść i Kalliades wbił mu ostrze w obojczyk, aż utknęło głęboko w klatce piersiowej. Spojrzał na Orła, który mu pomógł, i zorientował się, że jest to Polidoros.

– Za króla! – krzyknął młody przyboczny, wbijając miecz w brzuch kolejnego napastnika, po czym tnąc w kark następnego.

I bitwa toczyła się dalej.

XXXII. KOBIE TY TROI

Andromacha położyła pęk strzał na balustradzie balkonu. Cienkim rzemykiem związała na karku niesforne włosy, po czym wytarła spocone dłonie o tunikę. Rozejrzała się po pałacowym balkonie, patrząc na inne kobiety. Niektóre spoglądały na nią, nerwowo powtarzając jej czynności; inne stały nieruchomo, zafascynowane zaciekłością bitwy toczącej się po drugiej stronie podwórza. Wszystkie wiedziały, że nie potrwa już ona długo. Ich dzielni wojownicy broniący umocnień odpierali kolejne ataki wroga. Ale teraz, kiedy nastąpiło parne popołudnie, chłód w kościach Andromachy mówił jej, że to już prawie koniec.

Patrzyła, jak noszowi, głównie starszaki, męczą się ze swoimi ciężarami. Po co? – zastanawiała się. Nasi ranni są ratowani po prostu do czasu, aż umrą z rąk wroga, gdy ten wdrze się do pałacu. Nie możemy utrzymać muru. Nie jest wystarczająco wysoki i mamy za mało ludzi. Nie utrzymamy pałacu. Bała się, że zaraz ogarnie ją czarna, bezsilna rozpacz.

– Pani, czy możesz mi pomóc. – Anio walczyła z wręczonym jej skórzanym naramiennikiem. Mimo iż był przeznaczony dla niezbyt rosnącego mężczyzny, okazał się za szeroki i rzemienie spadały ze szczupłych dziewczęcych ramion.

Andromacha cierpliwie rozwiązała rzemyki, po czym zawiązała je ciasniej.

– Proszę – powiedziała – tak jest lepiej. Wyglądasz jak żółw, któremu wręczono za dużą skorupę.

Anio uśmiechnęła się, a inna dziewczyna roześmiała głośno i Andromacha poczuła, że atmosfera nieco się rozluźnia. Zostało dziesięć Kobiet Konia Trojańskiego, kobiety i niekiedy ledwie piętnastoletnie dziewczyny, które nie uciekły z miasta. Jedne zostały, ponieważ nie miały rodzin, do których mogłyby się udać, inne nie odeszły, ponieważ ich krewni pozostali, przekonani, iż wielkie mury nie zostaną zdobyte. Tak jak rozkazał Kalliades, księżniczka przyprowadziła je na wysoki balkon górujący nad podwórzem. Tylko Penthesilea udała się na umocnienia, aby walczyć wraz z trackimi łucznikami.

Andromacha zmarszczyła brwi, zła na siebie, iż poddała się rozpaczyci choć na chwilę. Jesteś córką króla, powiedziała sobie. Nie marudzisz i nie narzekasz na swój los. Mała Anio potrafi znaleźć w sobie siłę, żeby pomimo przeciwności losu się uśmiechać. Powinnaś czuć się zaszczycona, że stoisz obok niej.

Gdy patrzyła na mężczyzn na murze, jej pierś wypełniła duma. Oto trojańscy wojownicy, pomyślała. My jesteśmy synami i córami Troi. Będziemy tutaj walczyć i możemy zginąć, ale opowieść o nas przetrwa i imię Troi nigdy nie zostanie zapomniane.

Znajomy głos zaszeptał w jej uchu.

– Tak, Andromacho, tak! Bądź silna! Zwróć swój wzrok na północ, a pomoc nadejdzie. Spotkamy się jeszcze przed końcem, siostrze.

Kassandra! Głos dziewczynki był tak czysty, że Andromacha rozejrzała się dookoła. Wymówiła w myślach imię siostry, ale nie usłyszała odpowiedzi. Zwróć wzrok na północ, powiedziała Kassandra. Odyseusz rzekł jej to samo.

W tym momencie wrogowie, nacierając dziko i zajadle, przedarli się przez mur. Ośmiu Mykeńczyków wywalczyło sobie przejście, zbiegając po schodach umocnień i kierując się przez wybrukowane podwórze do pałacu.

– Przygotujcie się! – krzyknęła do łuczniczek, szybko biorąc łuk i zakładając strzałę. Pozostałe kobiety zrobiły to samo. – Czekajcie! – Patrzyła z opanowaniem na zbliżających się wojowników. Potem krzyknęła: – Teraz! – I deszcz strzał spadł na biegnących. Każda kobieta miała czas na wypuszczenie dwóch do trzech strzał i pięciu napastników zostało trafionych. Dwóch upadło, a trzech z wysiłkiem ruszyło dalej. Kiedy dotarli do zamkniętych drzwi megaronu, musieli się zatrzymać i spróbowali wspiąć się na jednolitą ścianę z kamieni. Tylko jednemu udało się dotrzeć do balkonu. Kiedy chwycił ręką za krawędź muru, Andromacha wyciągnęła sztylet z brązu. Poczekała, aż nad murem pojawi się twarz wroga, po czym wbiła ostrze w jego oko. Spadł, nie wydając żadnego dźwięku.

Raz jeszcze spojrzała na walkę toczącą się na umocnieniach. Linia obrońców w kilku miejscach się załamała i coraz więcej Mykeńczyków przebijało się na drugą stronę. Trojanie zaczęli cofać się krok po kroku, nie dając rozerwać szyku. Próbowali utrzymać linię, choć Mykeńczycy nieustannie spychali ich w kierunku pałacu.

– Czekajcie! – rozkazała kobietom, widząc, że niektóre znowu podnoszą łuki. – Natychmiast opuście łuki! Pamiętajcie o naszych rozkazach.

Pod sobą usłyszały zgrzyt i trzask, z jakim otworzyły się drzwi megaronu.

Ostatni jeźdźcy znajdujący się w mieście wyjechali z pałacu z łoskotem kopyt na kamieniach. W środku szyku obrońcy szybko się rozstąpili. Jeźdźcy runęli w lukę. Włócznie wbiły się w szeregi wroga. W tej ostatniej szarzy wzięły udział wszystkie pozostałe jeszcze

w mieście konie. Andromacha zobaczyła czarnego ogiera, Bohatera, który niósł Hektora w czasie jego ostatniej jazdy. Stawał dęba i powalał na ziemię Mykeńczyków, młóćąc powietrze kopytami. Potem wszystko mieszało się w jeden wir koni i ludzi, Andromacha zaś słyszała jedynie krzyki, rżenie, szcęk zderzającego się metalu i obrzydliwy chrzęst łamanych kości.

Było to ostatnie, niesłychanie dzielne natarcie Trojan, ale nawet ono nie wystarczyło. Mykeńczycy sforsowali bramę w murze pałacowym i setki żądnych krwi i łupów wojowników dołączały do obecnej już hordy. Trojanie ciągle się cofali, walcząc dzielnie, ale cały czas oddając teren.

– Przygotujcie się – rozkazała Andromacha kobietom. – Strzelajcie na zimno i z rozwagą. Dajcie sobie czas, żeby wycelować. Nie możemy ryzykować postrzelenia własnych żołnierzy. Upewnijcie się, że każda strzała trafi. Zawsze celujcie wysoko. Jeżeli nie traficie w twarz pierwszego napastnika, możecie trafić stojącego za nim. – Były to instrukcje, które intensywnie wpajała łuczniczkom w ciągu ostatnich kilku dni, dopóki nie złapała się na tym, że mamrocze je przez sen.

Przeciwnik posunął się do przodu na tyle, że znalazł się w zasięgu strzału z łuku, ale księżniczka ciągle czekała. Potem zobaczyła brodatego zbryzganego krwią wojownika, który spojrzał na nią w górę i wyszczerzył zęby.

– Teraz! – krzyknęła. Mierząc wysoko w jego twarz, wypuściła strzałę. Grot wbił się w policzek mężczyzny. W ciągu uderzenia serca miała już kolejną strzałę na cięciwie. Wystrzeliła ją w wojownika z podniesionym mieczem. Strzała wbiła się głęboko w biceps i zobaczyła, jak miecz wypada z ręki napastnika.

Przerwała na chwilę, aby spojrzeć na inne kobiety bezlitośnie szyjące z łuków w zbliżającą się hordę. Na twarzach miały wyraz determinacji, a ich ruchy były pewne. Każda z kolejnych strzał znajdowała cel. Serce Andromachy przepęłniła duma.

– Jesteśmy kobietami Troi! – krzyknęła w kierunku wroga. – Stańcie przeciwko nam, a zginiecie!

Nie widziała już trojańskich obrońców znajdujących się poniżej, bo zakrył ich wystający balkon. Wraz z łuczniczkami dalej strzelała w kłębiącą się masę. Nie usłyszała, jak drzwi megaronu się zamykają.

Kiedy strzelała, wydawało się, że czas stanął w miejscu, ale nagle zdała sobie sprawę, że robi się ciemno. Bolało ją ramię.

- Andromacho, wycofaj się! Andromacho! – Poczwała dłoń na ramieniu i zorientowała się, że ktoś odciąga ją z balkonu. Próbując się uwolnić, spojrzała w górę.

- Kalliadesie! Musimy walczyć dalej! – krzyknęła.

- Andromacho, walczymy dalej. Ale musisz odpocząć. Jesteś ranna.

- Czy drzwi są zamknięte?

- Wycofaliśmy się do megaronu i drzwi są zamknięte. Nieprzyjaciół ściąga drabiny, żeby dostać się na balkon. Tu będziemy walczyć wręcz. To jedyne miejsce, gdzie mogą mieć nadzieję na przedarcie się, dopóki nie sforsują drzwi megaronu. Twoje kobiety były wspaniałe i ciągle mają ważną rolę do odegrania. Potrzebujemy waszych łuków na galerii. Ale najpierw musisz odpocząć – powiedział z naciskiem. – Mamy czas. Odpoczniesz i będziesz gotowa do dalszej walki.

Skinęła głową i spojrzała na ranę na ramieniu. Długa i wąska, prawdopodobnie była dziełem strzały, ale Andromacha niczego nie pamiętała.

- Każę zabandażować ranę, kiedy tylko zajmiemy się resztą kobiet.

- Już się zajęliśmy. Opuuszczasz balkon jako ostatnia.

- Czy któraś jest ranna?

- Tak, ale to tylko powierzchowne rany.

- Muszę zobaczyć syna.

Skinął głową.

- Dobrze. Idź zobaczyć syna. Ja tymczasem przyślę kogoś, kto opatrzy ci ranę.

Andromacha ruszyła przez pałac, przepychając się przez megaron pełen wojowników i koni, ledwie dostrzegając gwałtowną krzątanie dookoła. Nadal myślała o walce. Ciągle czuła twardość łuku w dłoni, gładź strzały w palcach, napięcie mięśni, kiedy naciągała cięciwę, i jej płynne zwolnienie, raz za razem.

Komnaty królowej były pogrążone w mroku i pełne kurzu. Cisza ciążyła w pomieszczeniach niczym warstwa brudu. W sali przyjęć zajmowano się rannymi wojownikami, więc szybko przemknęła do dalej położonych komnat, gdzie spali chłopcy. Astinaks i Deks, pogrążeni w głębokim śnie, leżeli na jednym łóżku.

Andromacha patrzyła, jak spokojnie oddychają, i pogłaskała ich po główkach, jednej rudej i jednej jasnej. Uspokajała się powoli.

- Andromacha? – Rozległ się za nią niepewny głos.

Znieruchomiła i odwróciła się.

– Ksander! – powiedziała z zaskoczeniem, obejmując piegowatego uzdrowiciela.

Kalliades, który go przyprowadził, uniósł brew.

- Chłopak mówi, że jest uzdrowicielem. Najwyraźniej go znasz.

- To mój dobry przyjaciel, tak jak i Odyseusza. Podróżowaliśmy razem. Bałam się, że cię zabito, Ksandrze. Tak długo cię nie było.

Kiedy opatrywał jej ramię i nakładał maści oraz opatrunek, opowiedziała mu o swoich podróżach i o nagłym odejściu Gershoma z *Ksantosa*. Ksander wytłumaczył, jak znalazł się w obozie wroga, i opowiedział o czasie, który spędził z Odyseuszem i Achillesem.

- Powinieneś być skorzystać z rady Brzydala – powiedziała – i uciec z miasta.

- Ty tak nie zrobiłaś – sprzeciwił się cicho.

Przypomniała sobie swoją ostatnią rozmowę z Politesem i uśmiechając się, pokręciła głową.

- Masz rację, Ksandrze. Nie mam prawa cię ganić.

Ksander obejrzał głębokie cięcie na udzie Kalliadesa.

- Rana jest zaogniona – stwierdził, marszcząc brwi – i chyba wdało się zakażenie. – Wyjął z sakwy wysuszoną roślinę. – To mech porastający pewne drzewa – wyjaśnił. – Jest stary, ale ciągle ma właściwości oczyszczające. – Przywiązał suszonkę do rany bandażem. – Rana powinna zostać zaszyta już dawno temu – powiedział. – Obawiam się, że zawsze już będziesz czuł ból w tej nodze.

– Jeżeli uda mi się przeżyć ten dzień, będę się rozkoszował owym bólem przez długi czas – odpowiedział Kalliades.

Uzdrowiciel i wojownik wyszli, Andromacha zaś została ze śpiącymi chłopcami. Przypatrywała się twarzy Astinaksa, szukając podobieństwa do ojca w łuku brwi bądź kształcie ucha. Znowu zastanawiała się, gdzie są Helikaon i *Ksantos*. Potem, jak zwykle w takich wypadkach, w jej sercu pojawiło się poczucie winy i pomyślała o Hektorze. Zdała sobie sprawę, jak bardzo go jej brakuje, i złapała się na tym, że chciałaby, żeby był przy niej teraz. Z Hektorem zawsze czuła się bezpiecznie. Przy Helikaonie zawsze czaiło się niebezpieczeństwo.

Podeszła do okna wychodzącego na północ. Na równinie Simoeis powoli zapadał zmrok. Przypomniała sobie, jak wjechała do miasta z ładunkiem cyny na wózkach ciągniętych przez osły. Tamtej nocy patrzyła w górę na wysokie okna i zastanawiała się, czy ktoś ją obserwuje. Teraz spoglądała w dół i podejrzewała, że nikogo tam nie ma. Mając w garści miasto,

Agamemnon nie będzie marnował ludzi na pilnowanie pionowych północnych murów.

Północne mury. Zwróć wzrok na północ. Nagle Andromacha zdała sobie sprawę, co znaczyły te słowa. Wychyliła się przez okno i spojrzała na skały daleko poniżej. Gdyby znalazła linę, czy udałoby się jej opuścić dwójkę dzieci? Poruszyła rannym ramieniem. Wymachy w przód i w tył nie bolały tak bardzo, ale kiedy podniosła rękę nad głowę, przeszył ją straszliwy ból. Nigdy by się jej to nie udało.

A mimo to Odyseusz i Kasandra zawsze dawali dobre rady, każde na swój sposób. I mieli rację. Jeżeli chciała uratować syna, była to teraz dla niej jedyna droga. Raz jeszcze wychyliła się przez okno. Mrok gęstniał, ale kiedy spojrzała w dół, zobaczyła niewyraźną sylwetkę, która wspinała się po murze.

Wydawało się jej, że serce zwalnia, a uszy wypełnia jego głośnie bicie. Nie widziała twarzy wspinającego się; nie mogła nawet określić jego wieku ani budowy ciała, ale wiedziała bez cienia wątpliwości, że jest to Helikaon.

Wcześniej tego dnia, kiedy słońce było wysoko na niebie, Helikaon stał niecierpliwie na dziobie *Ksantosa*, kiedy wielka galera po raz ostatni płynęła w górę Simoeis.

W głowie i sercu miał zamęt, odkąd przed dwoma dniami w pobliżu Lesbos napotkali cypryjską barkę przewożącą uciekinierów z Troi, od których dowiedział się o śmierci Hektora i upadku miasta. Hektor nie żyje! Nie potrafił w to uwierzyć. Już wcześniej obawiano się, że Hektor zginął. Ale teraz usłyszał opowieści uchodźców o pojedynku z Achillesem, o truciznie i zdradzie oraz o wielkim stosie pogrzebowym i z bólem w sercu pojął, że to prawda.

Nie mieli żadnych wieści o Andromasze, ale był pewien, że ciągle żyje – wiedział, że cząstkę jego ciała zalałoby morze bólu, gdyby nie było jej już wśród żywych.

Galera mknęła w górę wąskiej rzeki, a on spojrzał na południe w kierunku Troi. Wioślarze też ponuro łypali wzrokiem na miasto, patrząc, jak z murów strzelają w górę płomienie, zabarwiając blade niebo na brązowy kolor.

W końcu Helikaona ogarnęła desperacja i pojął, że nie może czekać ani chwili dłużej. Wydał rozkaz, aby wioślarze przy sterburcie wciągnęli wiosła, a ci z drugiej strony ustawili okręt bokiem. W momencie, kiedy *Ksantos* delikatnie uderzył w porośnięty trzcinami brzeg, Helikaon obrócił się i przemówił do załogi:

– Wszyscy jesteście Dardańczykami – powiedział poważnym, głębokim głosem. – To będzie

moja walka, a nie wasza. Udam się do miasta sam. Jeżeli ktokolwiek z was chce wrócić do Dardanos, niech odejdzie teraz i niech bogowie mają go w opiece. Pozostałym mówię, że *Ksantos* wypływa o świcie. Jeżeli nie wrócę, kapitanem zostanie Oniakos. Pokieruje okręt na Terę, a potem popłynie za trojańską flotą do Siedmiu Wzgórz. – Spojrzał na pierwszego oficera, który kiwnął głową. Rozmawiali o tym już wcześniej i wiedział, że Oniakos wykona jego rozkazy co do joty.

Załoga skwitowała jego słowa okrzykami:

– Złocisty, pójdziemy z tobą!

Helikaon pokręcił głową.

– Pójdę sam – powtórzył. – Nie wiem, czy ktokolwiek może się dostać teraz do miasta. A gdyby nawet, to nasza osiemdziesiątka prawych i dzielnych mężczyzn niewiele by wskórała przeciwko hordom wroga. Udajcie się do Siedmiu Wzgórz. Wielu z was ma tam już rodziny. Tam jest teraz wasz dom.

Ze strony załogi rozległy się kolejne okrzyki i prośby, ale Helikaon je zignorował. Przypiął do pleców pochwę z bliźniaczymi ostrzami w kształcie liścia, po czym zarzucił na ramię zwój liny.

Krzyki ucichły, po czym ktoś zapytał:

- Zamierzasz umrzeć za Troję, panie?

Spojrzał zimno na pytającego.

- Mam zamiar przeżyć – odpowiedział.

Potem lekko przeskoczył nad burtą i wylądował na brzegu rzeki. Nie oglądając się na *Ksantosa*, ruszył biegiem w kierunku Złotego Miasta.

Myślał o Andromasze i chłopcach. Jeżeli ona żyje, Deks i Astinaks też powinni przeżyć. Był pewien, że Andromacha się nie podda i będzie walczyła o chłopców. Odkąd wróg wdarł się do miasta, minęły dwie noce i dwa dni. Czy ktoś mógł tam pozostać przy życiu? Jak długo obrońcy zdołają utrzymać pałac Priama? W czasie poprzedniego oblężenia była ich ledwie garstka, ale udało im się opierać najeźdźcom przez całą noc. Tym razem siły wroga mogły być setki razy liczniejsze. Potrząsnął głową, przerywając niekończące się spekulacje. Najpierw musi znaleźć sposób, żeby się dostać do miasta.

Kiedy dotarł do północnych murów, zapadał już zmrok. Doszedł do miejsca, które znajdowało się bezpośrednio pod komnatami królowej. Spojrzawszy w górę, zobaczył światła

w wysokich oknach. Wydawały się tak blisko. A mimo to, żeby się tam dostać, musiał się wdrapać na suchą, osypującą się pionową ścianę klifu. To była łatwiejsza część. Powyżej piął się jednolity, wzniesiony z bloków wapienia mur Troi.

Kiedy wraz z Hektorem byli młodzi, raz dla zabawy spróbowali wspiąć się na tym odcinku. Pokonując klif, z licznymi uchwyty dla rąk i oparciami dla stóp, szybko pięli się w górę ramię w ramię. Potem dotarli do miejsca, gdzie kończył się klif, a zaczynały mury. Była tam szeroka skalna półka, więc przystanęli. Obydwaj spojrzeli w górę na złotawe kamienie. Były masywne – każdy przewyższał wysokością mężczyznę – i tak dokładnie ociosane, że nie było pomiędzy nimi nawet niewielkiej szczeliny na palce. Obaj spojrzeli na siebie i parsknęli śmiechem. Zgodzili się, że jest to niemożliwe, i zeszli, na tym kończąc swój przyjacielski pojedynek.

Teraz, choć starszy o dziesięć lat, Helikaon zamierzał zrobić coś, co nie udało się młodzieńcowi w pełni sił. Tylko desperacja sprawiła, że podejmował tę próbę, ale nie widział innego wyjścia.

Zaczął się wspinać. Tak jak pamiętał, znalazł wiele punktów oparcia dla dłoni i stóp, choć gorące lato wysuszyło glazy, które stały się kruche. Początkowy etap nie był trudny i Helikaon szybko znalazł się na krawędzi, która wyznaczała koniec klifu i początek muru. Zatrzymał się, żeby złapać oddech, i jeszcze raz spojrzął w górę. Zaszedł tak daleko, że nie mógł się teraz zatrzymać. Ale w gęstniejącym mroku nie widział ani jednego uchwytu dla dłoni.

Upuścił zwój liny na skalną półkę. W desperacji ponownie spojrzął w górę. Zdumiewający zbieg okoliczności pozwolił mu zobaczyć Andromachę wychylającą się przez okno wysoko nad nim. Kasztanowe włosy ukochanej lśniły niczym płomień w świetle płynącym z głębi pokoju.

Oto moja bogini, wyszeptał do siebie. Los w istocie mi sprzyja.

– Andromacho! – krzyknął. – Chwyć linę!

Nie odpowiadając, skinęła głową. Podniósł linę, lekko przydeptując luźny koniec stopą. Zaparł się, po czym stęknąwszy z wysiłku, podrzucił linę. Zrobił to zbyt ostrożnie i lina nie sięgnęła celu. Andromacha zagarnęła powietrze. Lina opadła, mijając Helikaona i rozwijając się daleko w dół klifu. Złocisty cierpliwie zwinął linę raz jeszcze. Teraz wiedział, ile sił w to włożył, więc przy drugiej próbie podrzucił linę mocniej i jej koniec wylądował wprost w dłoniach Andromachy. Księżniczka na chwilę zniknęła w głębi komnaty, po czym szybko wróciła, wołając:

– Umocowałam linę!

Ostrożnie zawisnął na linie, trzymała mocno. W ciągu kilku uderzeń serca wspiął się po niej i wskoczył przez okno.

Andromacha wpadła mu w ramiona. Dopiero wtedy pozwolił sobie uwierzyć, że ukochana żyje. Schował twarz w jej włosach. Pachniały dymem i kwiatami.

- Kocham cię – powiedział po prostu.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – odpowiedziała, patrząc mu w oczy. – Bałam się, że już nigdy cię nie zobaczę.

W jej oczach pojawiły się łzy, więc przyciągnął ją do siebie i poczuł, jak bije jej serce. Czas zamarł dla obojga na długą chwilę. Helikaon zapomniał o wojnie i poddał się czarowi Andromachy. Wszystkie obawy, które go trapiły – że znajdzie ją nieżywą, a synów zamordowanych, wyparowały, kiedy trzymał ją mocno w ramionach, a ich serca były niczym jedno.

– Deks? – wyszeptał.

Odsunęła się od niego i wzięła go za rękę.

Zaprowadziła go do małego łóżka w następnym pokoju, gdzie leżeli dwaj chłopcy. Schylił się, żeby spojrzeć na twarz syna, i dotknął je go jasnych włosów.

Kiedy się odwrócił, twarz Andromachy spoważniała. Wyszli z pokoju i objęła go ramionami, biorąc głęboki oddech.

– Miłości moja, muszę ci coś powiedzieć.

W tym momencie drzwi do komnaty się otworzyły i do środka wpadło dwóch wojowników. Kalliades i Banokles zatrzymali się zaskoczeni. Helikaon nie wiedział, co zaszokowało ich bardziej – jego obecność w pokoju czy to, że obejmował Andromachę.

Kalliades otrząsnął się jako pierwszy.

- Helikaonie! Przybyłeś bez zapowiedzi! – Spojrzał w kierunku okna i zobaczył przywiązaną linę.

- Nie oczekujcie, że po murach wejdzie cała armia. Przyszedłem sam. Ale jeżeli to zrobi jakąś różnicę, macie mój miecz.

- Zawsze będzie czynił różnicę, panie – powiedział Kalliades. – Choć sytuacja jest poważna.

- Mów!

- Agamemnon rzucił przeciwko nam tysiące wojowników. Nas jest niewiele ponad stu. Zdobyli mury pałacu. Sforsowanie drzwi megaronu zajmie im trochę czasu, ale nie wytrzymamy

długo.

Helikaon przypomniał sobie, że Priam kazał naprawić i wzmocnić drzwi po poprzednim oblężeniu. Zrobiono je z trzech warstw nieregularnie ułożonego dębu i wzmocniono metalowymi sztabami, które wchodziły w otwory w podłodze i suficie. Był pewien, że napastnicy będą musieli porąbać wrota. Nie dadzą się wyważyć.

– Król? – zapytał.

– Priam i jego synowie nie żyją. Królem jest Astinaks.

Andromacha rzuciła Helikaonowi udręczone spojrzenie i zerknęła w kierunku okna. Skinął głową.

– Mam tu obowiązek do spełnienia. Potem uratujemy dzieci.

Wojownicy przeszli do megaronu, gdzie Helikaon z dumą zobaczył ład i porządek, mimo iż powietrze było przesycone odorem śmierci. Była tu setka ciężkozbrojnych żołnierzy; większość stanowili ranni i broczący krwią, a wszyscy byli zmęczeni do tego stopnia, że ledwo stali na nogach. Kilku czekało w pogotowiu, zwróconych w stronę drzwi, gdzie drewno zaczynało pękać pod ciężkimi ostrzami toporów. Większość siedziała lub leżała, oszczędzając siły. Ludzie byli zbyt zmęczeni, żeby mówić. Ale jeden z nich, w zbroi Orła, zerwał się na nogi, kiedy przechodzili.

– Helikaon! – krzyknął.

Helikaon odwrócił się i uśmiechnął.

- Miło widzieć, że żyjesz, Polidorosie.

- Przeprowadziłeś armię, przyjacielu?

- Nie. Przyniosłem tylko swój miecz.

– A więc przynosisz nam nadzieję. Teraz mamy jej niewiele.

Helikaon skinął głową. Spojrzawszy w dół, zobaczył końskie łajno na podłodze.

- Konie? – zapytał.

Banokles wyszczerzył zęby.

- Zostało jeszcze kilka. Kazałem je zamknąć w bezpiecznym miejscu.

– Kto tu dowodzi? – zapytał Helikaon. – Lukan?

Banokles pokręcił głową.

– Lukan poległ przy Bramie Skajskiej. Twardy, stary sukinsyn. Myślałem, że będzie żył wiecznie. Jesteś jedynym królem po tej stronie drzwi, panie.

Ale Helikaon pokręcił głową.

– Walczyłeś dla tego miasta przez całe lato, wodzu. Znasz tu każdego człowieka i wiesz, do czego jest zdolny. Ty tutaj dowodzisz. Ja jestem tylko zwykłym żołnierzem, Banoklesie. Mój miecz i życie są twoje.

Banokles westchnął i spojrzał na Kalliadesa, który odrzucił głowę i parsknął śmiechem. Odbił się on echem w megaronie i ludzie odwrócili głowy, odwykli od tego dźwięku.

– A więc, wodzu, przedstaw nam swój plan – poprosił Kalliades przyjaciela, ciągle się uśmiechając.

– Tych bękartów są tysiące, a większość to mykeńscy weterani – odpowiedział Banokles. – I nie ma wśród nich tchórzy czy mięczaków. Nas jest tylko setka. Uderzą jak grom i pokonają nas. Ale na włócznie Aresa, każemy im drogo zapłacić za każdy krok!

Setka obrońców stała w linii głębokiej na trzech mężów twarzami do drzwi. W pierwszych dwóch szeregach stali ostatni z Orłów. Na przedzie i pośrodku znajdował się Helikaon w zbroi Królewskiego Orła, razem z Banoklesem i Kalliadesem. Za nimi stał Polidoros. Z przodu, z obydwu stron drzwi, znajdowali się dwaj traccy łucznicy.

Andromacha z łukiem w ręku patrzyła na nich z galerii. Przypomniała sobie ostatni raz, kiedy tych czterech znalazło się razem w megaronie. Banokles i Kalliades walczyli dla Mykeńczyków, Helikaon i Polidoros zaś bronili schodów. Dziwiła się ironii losu i kaprysom bogów, które połączyły ich raz jeszcze.

Widziała profil Helikaona i zobaczyła, jak na krótko odwrócił głowę, aby na nią spojrzeć. Zastanawiała się, czy widzi go żywego ostatni raz. Wiedziała, że przybył tu, żeby ją ratować. Ale znalazłszy się tutaj, nie potrafił opuścić przyjaciół i towarzyszy, żeby walczyli bez niego. W ogniu bitwy zapomni o niej i chłopcach. Na krótką chwilę zrobiło jej się żal samej siebie. Znaleźć się znów w jego ramionach tylko po to, żeby odebrał go jej obowiązek i poczucie lojalności – to wydawało się takie okrutne. Potem zacisnęła zęby. Helikaon musi spełnić swój obowiązek i przeżyje albo zginie. Jej obowiązkiem dzisiaj było walczyć, dopóki bitwa nie zostanie przegrana, po czym w jakiś sposób uciec z synami w dół klifu. Ponownie pomyślała o słowach Kasandry – „Spotkamy się jeszcze przed końcem” – i to dodało jej otuchy.

Topory uderzające niezmordowanie w ciężkie dębowe wrota w końcu wyrąbały w nich dziurę. Widziała ruch po drugiej stronie. Potem zobaczyła, jak Banokles występuje przed szereg,

ważąc włócznię w rękę, a potem z zaskakującą celnością i siłą rzuca ją przez wyrwę. Z drugiej strony posypała się lawina przekleństw i Trojanie zaczęli wiwatować. Okrzyk został podjęty w całym megaronie:

– Banokles! Banokles! BANOKLES!

Potem dziura w drzwiach się powiększyła i do środka zaczęli się wdzierać wojownicy. Dwaj łucznicy ślali w nich strzałę za strzałą. Sześciu Mykeńczyków padło, zanim ich towarzysze zdolali dotrzeć do linii obrońców. Na początku gramolili się do środka pojedynczo i wojownicy w pierwszym szeregu poradzili sobie z nimi z łatwością. Potem zaczęli się wlewać szerszą falą i udało im się usunąć metalowe sztaby. Zniszczone wrota zgrzytnęły przeraźliwie i stanęły otworem.

Andromacha patrzyła z dumą i strachem zarazem, jak mała grupa trojańskich wojowników stawia zaciekły opór wojom Agamemnona. Mimo gwałtownego naporu Mykeńczycy składali srogą ofiarę krwi. Helikaon, Kalliaides i Banokles, każdy zbrojny w tarczę i miecz, walczyli z zimną skutecznością. Kosili atakujących jak doświadczeni żniwiarze dojrzały łan i Andromacha odetchnęła na chwilę. Potem spojrzała przez drzwi, zobaczyła szeregi uzbrojonych po zęby wrogów gotowych zastąpić poległych kompanów i straciła resztki nadziei.

Rozejrzała się. Szereg stojących w poprzek megaronu Trojan bronił kamiennych schodów i galerii. Gdyby zepchnięto ich choćby kilka kroków, wróg mógłby dotrzeć do bocznej strony galerii, postawić drabiny i dostać się na tyły obrońców. Mykeńczycy nie popełnią tego samego błędu co ostatnio i nadmiernie pewni siebie nie będą próbowali atakować schodów, ignorując galerię. Zimny i wyrachowany Agamemnon z pewnością o tym pomyślał.

Łuczniczkom kazano ochraniać galerię. Było z nimi trochę cywilów, kupcy, wieśniacy oraz grupka starych żołnierzy, którzy dni wojaczki mieli już dawno za sobą. Powierzono im zadanie odpychania drabin i ochrony kobiet.

Brutalna siła mykeńskiego natarcia szybko zaczęła dawać się we znaki wycieńczonym obrońcom i szereg na każdym końcu zaczął się cofać. Andromacha zobaczyła padających Trojan, których natychmiast zastępowali towarzysze. Mimo to obydwie skrzydła szyku powoli spychano w głąb. Trzymał się tylko środek.

– Przygotujcie się! – krzyknęła i kobiety podniosły łuki.

Ponad głowami Mykeńczyków przekazywano z rąk do rąk drabiny, a potem usłyszała łupnięcie o ścianę galerii. W pierwszego wspinającego się wojownika uderzyło pół tuzina strzał.

Jedno ze skrzydeł linii obrony zostało zepchnięte jeszcze dalej.

– Utrzymać szyk! – krzyknął ktoś. Grupa weteranów, wnosząc bojowe okrzyki, pośpieszyła po kamiennych schodach w dół, by wzmocnić załamujące się skrzydło.

Wznoszono coraz więcej drabin i wkrótce wojownicy mykeńscy zaczęli się wspinać na galerię. Andromacha zobaczyła, jak cywile atakują ich mieczami i pałkami, walcząc nieumiejętnie, ale z desperacją. Kobiety dalej utrzymywały pozycje, zasypując wroga deszczem strzał.

Obrońcy poniżej zostali zepchnięci do schodów i Andromacha ujrzała, jak kilku trojańskich żołnierzy biegnie na górę. Potem zdała sobie sprawę, że pośpieszyli na pomoc obrońcom galerii.

Kalliades zostawił Helikaona i Banoklesa walczących ramię w ramię na schodach i podbiegł do niej. Mijając ją, warknął:

– Andromacho, uciekaj teraz! – Uzbrojony w dwa miecze, wpadł na gromadę nadchodzących Mykeńczyków.

Andromacha krzyknęła do kobiet, żeby się wycofały do komnat królowej. Jedna nie żyła, ale kilka rannych łuczniczek, utykając, przebiegło obok. Była wśród nich Anio – z jej ramienia kapą krew. Pozostałe walczyły dalej, wypuszczając w Mykeńczyków strzałę za strzałą. Zostały powalone. Penthesilea sama stawiała czoło wrogowi, po czym upadła z nożem w boku.

Księżniczka złapała pęk strzał i obróciła się, żeby uciekać, ale zobaczyła zbliżających się w jej stronę dwóch mykeńskich żołnierzy, którzy odcięli jej drogę ucieczki. Pierwszy wyprowadził cios mieczem. Instynktownie zablokowała uderzenie strzałami, po czym zacisnęła w garści jedną z nich i skoczyła przed siebie. Z okrzykiem wściekłości wbiła grot w oko atakującego. Runął na ziemię, kurczowo ściskając drzewce.

Drugi wojownik uniósł miecz, aby zadać mordercze uderzenie. Nagle padł na kolana, uderzony z tyłu w głowę pałką. Oszolomiony Mykeńczyk odwrócił się i wbił miecz w brzuch atakującego. Andromacha podniosła miecz pierwszego napastnika i tak długo rąbała w szyję drugiego, aż ten przestał się ruszać. Przeszła nad ciałami, aby dotrzeć do swojego wybawcy, który skulił się pod ścianą; przód jego ubrania zrosiła gęsta krew. Uklękła.

– Pamiętasz mnie, pani? – wyszeptał mężczyzna i z jego ust spłynęła strużka krwi.

Przez kilka uderzeń serca Andromacha nie mogła go sobie przypomnieć. Potem zobaczyła, że u jego prawej dłoni brakuje trzech palców, i powróciło do niej wspomnienie, kiedy pijany mężczyzna na ulicy, weteran Konia Trojańskiego, nazwał ją boginią.

– Jesteś Pardones. Dziękuję za uratowanie mi życia.

Umierający coś powiedział, ale jego głos był tak słaby, że nie mogła go usłyszeć. Nachyliła się nad nim.

– Zatrzymałem ją – wymamrotał. Potem jego chrapliwy oddech gwałtownie się urwał.

Odchyliła się do tyłu ze łzami w oczach i zobaczyła, że na podłodze obok dłoni martwego weterana leży złota broszka, którą dała mu kiedyś za jego dzielność i wierność.

Ocierając twarz wierzchem dłoni, wstała i rzuciła ostatnie spojrzenie na megaron, gdzie dalej walczył Helikaon, po czym posłuszna rozkazowi Kalliadesa pobiegła kamiennym korytarzem do komnat królowej.

Sala przyjąc wyglądała jak jatki. Tuziny śmiertelnie rannych żołnierzy leżały na podłodze; przyciągnęli ich tu towarzysze bądź cywile. Było też kilka rannych kobiet. Andromacha zobaczyła, że przyniesiono tu Penthesileę; dziewczyna żyła jeszcze, ale jej twarz powlekała już szarość. Razem z nią leżała Anio, z głową na kolanach siostry. Młody Ksander przechodził od jednego rannego do drugiego, przytłoczony ich liczbą, ale zatrzymując krwawienie, pocieszając rannych i trzymając za rękę umierających. Spojrzał na nią i zobaczyła, że jego twarz poszarzała.

Pokryty krwią Kalliades wszedł za nią; część krwi pochodziła z rany wysoko na piersi.

- Zdobyli galerię – rzucił nagłaco. – Możemy przez chwilę utrzymać kamienny korytarz, ale musisz przygotować się do ucieczki z dziećmi.

- Helikaon? – zapytała, wkładając w to całą duszę.

W tym momencie do komnaty weszli Helikaon i Banokles niosący ciężko rannego Polidorosa. Położyli go na podłodze, a potem Helikaon zwrócił się do Andromachy.

– Musisz już iść. – Usłyszała udrękę w jego głosie.

Ty musisz iść, pomyślała z ukłuciem strachu. Wiedziała, że Złocisty zostanie i będzie walczył do końca. Nie będzie próbowała tego zmienić.

Pośpieszyli do pokoju, gdzie spali chłopcy. Obudziła ich i zaczęli przecierać oczy, patrząc ze zdziwieniem na zbryzganych krwią wojowników stojących dookoła łóżka.

Helikaon podniósł dłoń Andromachy do ust, a ona skrzywiła się z bólu.

- Jesteś ranna? – zapytał z przestraszeniem.

- To było wczoraj – przyznała się, pokazując mu ramię. – Rana znowu się otworzyła. Ktoś musi mi pomóc znieść dzieci.

- I tak nie możesz sama opuścić się po linie z dwójką chłopców – powiedział. – Zniosę ich. –

W jej piersi wezbrała nadzieja, ale rozproszyła się, kiedy opuścił oczy. – Potem muszę wrócić – powiedział.

- Weź Deksa – zasugerował Kalliades. – Ja poniosę Astinaksa. Zna mnie i już wcześniej dzieliliśmy przygody. – Podniósł chłopca, który ufnie otoczył ramionami jego szyję.

- Cokolwiek zamierzacie zrobić, zróbcie to szybko – ponaglił ich Banokles, który nasłuchiwał odgłosów bitwy w korytarzu.

- Przywiąż do mnie chłopca – powiedział do niego Kalliades, podając mu bandaż. Po chwili Banokles przymocował dziecko ciasno do jego piersi. Kalliades podszedł do okna. Astinaks uśmiechnął się do Andromachy nad jego ramieniem i pomachał jej ręką, zachwycony przygodą.

- Lepiej weź to ze sobą – powiedział nagle Banokles.

Kalliades spojrzął na ostrze, które trzymał przyjaciel.

- Miecz Arguriosa. Straciłem go!

- Znalazłem go na schodach. Weź go ze sobą.

- Będzie mi przeszkadzał w czasie wspinaczki. Zatrzymaj go, dopóki nie wrócę.

- Nie wiesz, co może się wydarzyć na dole. Weź go.

Kalliades wzruszył ramionami i włożył miecz do pochwy. Wspiął się na okno i zniknął w mroku nocy.

- Ty następna, miła – powiedział Helikaon do Andromachy. – Dasz radę zejść?

- Tak – zapewniła go, mimo iż miała co do tego wątpliwości. Serce kołatało się jej w piersi. Rzuciła ostatnie spojrzenie na wojownika o blond włosach. – Dziękuję, Banoklesie – powiedziała. Po tym wszystkim, co dla niej zrobił, wydawało się jej to niewystarczające. Zanim zdążył się cofnąć, skoczyła do przodu i pocałowała go w policzek.

Banokles skinął głową, czerwieniąc się. Andromacha usiadła na oknie i przerzuciła nogi na drugą stronę. Potem złapała linę i zaczęła się zsuwać.

XXXIII. OSTATNI KRÓL TROI

Helikaon opuszczał się dłoń za dłonią, ze swoim małym synkiem przywiązany do pleców, jako następny za Kalliadesem i Andromachą. Chciał jak najszybciej wrócić do pałacu i myślał tylko o potyczce. Wiedział, że w końcu pojawi się sam Agamemnon, i wtedy on będzie na niego czekał. Niezależnie od tego, ilu najlepszych wojowników wyśle na niego król Myken, zamierzał przetrwać wystarczająco długo, żeby stanąć z nim twarzą w twarz i – jeżeli będzie w stanie – zabić.

Jego stopy dotknęły ziemi i Kalliades zręcznie odwinął bandaż mocujący do niego Deksa.

– Ciągle jest ciemno – zauważył. – Andromacha będzie potrzebowała pochodni. Banoklesie, zrzuć pochodnię! – krzyknął w kierunku okna.

Po chwili powietrze przecięła płonąca żagiew i wylądowała parę kroków dalej. Kalliades podbiegł, aby ją wziąć, zdeptując iskry, które padły na suche rośliny, i podał pochodnię Andromasze. Stała wyprostowana w jej świetle, w ognistej czerwonej sukni, i nigdy nie wyglądała równie pięknie, pomyślał Helikaon.

- *Ksantos* będzie czekał tylko do wschodu słońca, więc musisz się śpieszyć. Kieruj się bezpośrednio na północ. Widzisz, północna gwiazda świeci dzisiaj jasno – zwrócił się do niej. Zdając sobie sprawę, że jej ramiona drżą od wysiłku związanego z zsuwaniem się po linie, przytulił ją. Andromacha spojrzała prosząco na Kalliadesa, który odsunął się poza zasięg słuchu.

- Proszę, chodź z nami, moja miłości – prosiła Helikaona. – Przysięgam sobie, że cię o to nie poproszę. Ale ty i Kalliades wróćcie na pewną śmierć.

Helikaon pokręcił głową.

- Wiesz, że nie mogę. Mam tam przyjaciół, towarzyszy, których znałem przez większość życia. Niektórzy bronili dla mnie Dardanos. Nie mogę ich opuścić. To mój obowiązek.

- Już wcześniej wybieraliśmy drogę obowiązkowi – protestowała. – Była to trudna droga, ale szliśmy nią, wiedząc, że każde z nas postępuje właściwie. Ale teraz Troja jest miastem umarłych. Wracasz tam tylko po to, żeby zginąć wraz z przyjaciółmi. Co im to da? Musimy zostawić martwych za sobą i zwrócić oblicza ku wschodowi słońca. Twoim obowiązkiem jest teraz twój statek i twoja rodzina – ja i twoi synowie.

Ale jej ostatnie słowa zagłuszył krzyk Kalliadesa. Pociągnął za linę, gotowy wspiąć się

z powrotem w górę klifu, ale lina poleciała, lądując w zwojach na ziemi. Helikaon spojrział na gładko ucięty koniec. Gdy zobaczył tę oznakę zdrady, w jego piersi wezbrała zimna furia.

– Banoklesie! – krzyknął gniewnie Kalliades do sylwetki, którą widzieli na tle okna.

Z góry spłynęło ku nim ostatnie pozdrowienie jasnowłosego olbrzyma.

– Niech Ares prowadzi twoją włóczęgę, Kalliadesie!

Helikaon zobaczył, jak Kalliades na chwilę opuszcza głowę, a potem bierze głęboki wdech i woła do przyjaciela:

– Zawsze tak robi, bracie miecza!

Zobaczyli, że Banokles podnosi rękę w geście pożegnania. Potem zniknął.

Helikaon poczuł, że w jego piersi narasta głęboki gniew.

- Na Hadesa, co ten idiota wyprawia? – wybuchnął.

- Ratuje mi życie – odpowiedział cicho Kalliades. Gwałtownie potarł oczy grzbietem dłoni, po czym dodał, jakby do siebie: – Powinienem się do tego przyzwyczać.

Helikaon spojrział w górę na gładki mur.

– Sam się wespnę – stwierdził.

Andromacha odwróciła się do niego z gniewnym wyrazem twarzy.

– Nie możesz tego zrobić! Tym razem nie będzie nikogo, kto rzuci ci linę – chyba że będzie to wróg. Musisz teraz odejść, Helikaonie. Pogódź się z darem, który ofiarowali ci los i Banokles. Wróć na *Ksantosa* i odpuść od cieni przeszłości.

Spojrzała na Kalliadesa, ale wojownik stał, pogrążony we własnych myślach, wpatrując się w wysokie okna. Położyła dłoń na piersi Helikaona i zbliżyła się do niego.

– Moja miłości, nie słyszałeś, co powiedziałam. Miałam nadzieję, że wyznam ci to w innych okolicznościach. Astinaks jest twoim synem. Musisz ratować swojego syna.

Helikaon spojrział na nią ze zdumieniem w oczach. To nie może być prawda!

– Jak to możliwe?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Helikaonie, uwierz mi. To prawda. Stało się to, kiedy byłeś chory, leżałeś w gorączce. Opowiem ci o tym, kiedy będzie czas i będziemy sami. Ale obaj chłopcy są twoimi synami. Musisz pomóc mi zabrać ich w bezpieczne miejsce. Zbliża się świt i nie uda mi się doprowadzić ich samej do *Ksantosa* na czas.

Helikaon pokręcił głową, nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia. Nagle poczuł się jak

dryfujący statek – fakty, które przyjmował za pewniki i którymi kierował się w życiu, zostały zmyte przez burzę przeznaczenia.

Spojrzał na okno, rozdarty pomiędzy obowiązkiem wobec towarzyszy i synów. Każdy nerw podpowiadał mu, żeby wspiął się z powrotem do pałacu. Nawet teraz wierzył, że może coś zmienić i pomimo wszystko pokonać hordy wroga. A potem pomyślał o tym, co powiedział swojej załodze. Mam zamiar przeżyć.

W tym momencie skinął głową, godząc się ze swoim losem.

– Dobrze, udamy się na statek. Kalliadesie?

Wojownik obrócił się w jego kierunku i przyznał:

– Nie dam rady wspiąć się na skały bez liny. Moja zraniona noga nie jest wystarczająco silna. Przyjmę dar, jaki ofiarował mi stary przyjaciel. Pójdę z wami na *Ksantosa*, jeżeli uda nam się dotrzeć tam na czas. – Spojrzał na wschód, gdzie na niebie pojawiały się pierwsze ślady czerwieni. – Być może zdążymy w ostatniej chwili.

W świetle pochodni droga była trudna. Niegdyś były to równinne pastwiska poprzecinane małymi strumieniami, ale teraz wszystko wyschło i musieli przeskakiwać nad rowami albo gramolić się na drugą stronę. Helikaon, który dobrze znał tę okolicę, prowadził, trzymając Deksa. Oszołomiony słowami Andromachy myślał o tym, co mu powiedziała. Przypomniał sobie erotyczne sny, które nawiedzały go, kiedy pogrążony w gorączce leżał w pałacu Hektora. Przez wszystkie te lata hołubił owe sny, dopóki nie zastąpiła ich cudownie żywa pamięć ciała Andromachy. Zastanawiał się, dlaczego nie wspomniała mu o tym w czasie ich wspólnej podróży, ale potem pomyślał o Hektorze i zrozumiał.

Przystanął i spojrzał w tył, gdzie z Astinaksem w ramionach szedł za nimi Kalliades. Twarz wojownika była blada – widać było wyraźnie, że noga sprawia mu kłopot.

- Nie bój się o mnie, Złocisty – powiedział, widząc wzrok Helikaona. – Dotrzymam wam kroku.

- Przykro mi z powodu Banoklesa.

- Banokles przeżywał każdy dzień tak, jakby był jego ostatnim. Nigdy nie znałem człowieka, który tyle czerpałby z życia. Nie powinniśmy go opłakiwać.

Rozjaśniało się, kiedy Helikaon zatrzymał się, usłyszawszy hałas, i z ciemności wychylną grupą mężczyzn. Helikaon szybko postawił chłopca i wyciągnął miecze. Kalliades stanął u jego boku z mieczem Arguriosa w dłoni.

To była armia obszarpańców – dwudziestu lub więcej, część w zbrojach i wielu rannych. Wszyscy mieli nieubłagany wzrok ludzi gotowych na wszystko. Spomiędzy nich wyszedł przywódca. Wydawał się poszarzały i chudszy, ale kiedy Helikaon rozpoznał admirała Menadosa, jego krew ściał chłód.

– Cóż, Helikaonie, to ciekawe spotkanie jak na nocny spacer – po wiedział przyjacielskim tonem admirał. – Mykeński renegat Kalliaides, Podpalacz, najbardziej znenawidzony z wrogów, i rodzina uchodźców. Dwaj chłopcy. Można popatrzeć? Czy to możliwe, że jeden z nich jest prawowitym królem Troi?

Helikaon nie odpowiedział, patrząc na wojowników, szacując ich siły i planując, w jakiej kolejności nacierać. Wraz z Kalliaidesem odsunęli się od siebie, robiąc miejsce na zamachy mieczem.

- Helikaonie, dzięki tobie ci dzielni wojownicy i ja jesteśmy wygnańcami. Agamemnon nie był zadowolony, że zniszczyłeś całą naszą flotę. Ale może odzyskamy łaskę króla, jeżeli dostarczymy mu ostatniego dziedzica tronu Troi.

- Rób, co chcesz, Menadosie – rzucił Helikaon. – Ale bacz, że nie mamy na to całej nocy. – Kątem oka zobaczył, jak zza horyzontu pojawiają się pierwsze promienie słońca.

Menados zignorował go, zwracając się do Kalliaidesa:

- Możesz do nas dołączyć, Kalliaidesie, sam jesteś wyrzutkiem. Nie udajemy się do Złotego Miasta, tylko z powrotem do Myken i Sali Lwa, gdzie poddamy się sądowi Agamemnona – jeżeli w ogóle wróci.

- Prawo drogi stanowi, że walka Helikaona jest moją walką. Zostanę u jego boku – odpowiedział zimno Kalliaides.

Menados skinął głową, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Lojalność jest bardzo ceniona wśród Mykeńczyków, mimo iż wydaje się, że często obdarzamy nią nie tych, co trzeba. Nie jesteś pierwszym mykeńskim wojownikiem, który zdecydował się walczyć ramię w ramię z Trojanami. Wielki Argurios był moim towarzyszem. Razem walczyliśmy w wielu bitwach. Cenilem go bardziej niż jakiegokolwiek innego znanego mi człowieka. Helikaonie, kiedy ostatnio się spotkaliśmy, wybrałeś drogę łaski. Niewątpliwie teraz tego żałujesz. Powiedziałeś mi też, że jeżeli jeszcze kiedyś się spotkamy, wytniesz mi serce i nakarmisz nim kruki. Nadal masz taki zamiar?

- Sprawdź, Menadosie! – warknął Helikaon.

- Bierzmy ich, admirale! Podpalacz jest przeklęty i musi umrzeć! – krzyknął ktoś za Menadosem.

- Panie, bogowie są z nami. Sprowadzili w nasze ręce Podpalacza! – krzyknął inny. Dało się słyszeć zgodny chór i w szarzyźnie przedświtu Helikaon usłyszał brzęk mieczy wyciąganych z pochew.

Menados odwrócił się do swoich ludzi i powiedział z przyganą:

– Mówiłem o lojalności i łasce, dwóch cechach, które kiedyś cenili Mykeńczycy.

Za Helikaonem jeden z chłopców zaczął płakać, ze zmęczenia bądź też ze strachu.

Menados westchnął i schował miecz do pochwy.

– Idź swoją drogą, Helikaonie. Jesteśmy kwita. Daruję tobie i twoim ludziom życie, tak samo jak kiedyś ty darowałeś je mnie. W imię wielkiego Arguriosa.

Wśród ludzi Menadosa rozległy się gniewne okrzyki, ale nikt się nie ruszył. Helikaon zgadywał, że są lojalni wobec Menadosa albo że strach przed nim jest większy od chęci zemsty.

Z mieczami w pogotowiu, obydwaj wojownicy, mając się na baczności, ominęli grupkę Mykeńczyków. Za nimi, prowadząc Deksa za rękę, podążała Andromacha z Astinaksem na drugim ramieniu.

Kiedy szli dalej, Helikaon mrużył oczy, próbując dostrzec ciemny kształt *Ksantosa* w oddali. Kula słońca wynurzająca się z mgły po prawej stronie już prawie oderwała się od horyzontu, a oni ciągle mieli kawałek drogi do przebycia.

– Nie zdążymy – stwierdził Kalliades.

Helikaon poczuł ciężar na sercu. Racja. Nie dostaną się do okrętu, zanim odpłynię.

Nagle usłyszał krzyk od zachodu. Przystanął i odwrócił się. Przez wysuszoną ziemię, przeskakując nad rowami, kłusował w ich stronę jeździec, który machał i coś do nich krzyczał. Kiedy się zbliżył, Helikaon zobaczył, że ma na sobie zbroję Konia Trojańskiego.

- Skorpios! – krzyknął radośnie Kalliades. – Na Hadesa, jak się tutaj znalazłeś? Myśleliśmy, że nie żyjesz.

- Nieważne! – krzyknął Helikaon. – Złaż, chłopcze! Nie wiem, kim jesteś ani co tutaj robisz, ale potrzebuję tego konia!

Jasnowłósy jeździec szybko zsunął się z wierzchowca i na jego miejsce wskoczył Helikaon. Złapał wodze i wbijając pięty w boki konia, zmusił go do galopu, kierując się w stronę rzeki na północy. Usłyszał jeszcze pytanie nowo przybyłego:

– Dokąd on jedzie na moim koniu? I gdzie jest Banokles?

Banokles patrzył, jak Helikaon opuszcza się po linie w mrok nocy. Potem usłyszał, jak Kalliaades woła o pochodnię. Złapał jedną ze ścian i rzucił. Patrzył, jak wolno się obracając, znika w ciemności. Potem wrócił do zatłoczonej sali przyjęć, żeby zobaczyć, kogo jeszcze można uratować. Ale wśród wielu rannych i umierających nie było już nikogo, kto miałby siły opuścić się po linie w bezpieczne schronienie na dole. Oprócz uzdrowiciela.

– Zmykaj, chłopcze. W komnacie na tyłach z okna zwisa lina. Zsuń się po niej i ratuj się – powiedział krótko.

Młodzieniec dalej zszywał ranę na głowie żołnierza. Wszędzie była krew i palce ślizgały mu się na brązowej igle.

– Zostanę.

Banokles złapał chłopca za tunikę i postawił go na nogi, potrząsając nim jak lalką.

- Chłopcze, to nie była grzeczna prośba, tylko rozkaz. Idź, kiedy ci mówię!

- Z całym szacunkiem, panie – odparł uzdrowiciel, czerwieniejąc na twarzy. – Nie jestem żołnierzem pod twoim dowództwem i nie pójdę. Jestem potrzebny tutaj.

Zaskoczony uporem chłopca Banokles zostawił go w spokoju. Nie miał pomysłu, jak go zmusić do odejścia. Co miał zrobić, cisnąć go przez okno? Wkroczył z powrotem do komnaty i bez wahania odciął linę. Czekał, szczerząc się do siebie, i chwilę potem usłyszał krzyk Kalliaadesa:

– Banoklesie!

Wyjrzał przez okno i krzyknął do starego przyjaciela:

– Niech Ares prowadzi twoją włócznię, Kalliaadesie!

Na moment zapanowała cisza, po czym Kalliaades odkrzyknął:

– Zawsze tak robi, bracie miecza.

Banokles pomachał im na pożegnanie. Ruda zawsze mu mówiła, że Kalliaades doprowadzi go do śmierci, a oto on ratował przyjaciela przed pewną zgubą. Podniesiony na duchu, wyszedł na kamienny korytarz, gdzie trzy ostatnie Orły trzymały wroga na dystans. Miejsca było tyle, że można było ciąć tylko jednego wroga w danej chwili, więc każdy z walczących stawał do pojedynku na śmierć i życie. Zobaczył, jak jeden z Orłów pada na ziemię z brzuchem przeszytym mieczem, a towarzysz zajmuje jego miejsce. Zostało jeszcze dwóch, pomyślał i wrócił do

rozległej komnaty.

Zobaczył przybocznego króla Polidorosa leżącego i opartego o ścianę; krew zastygła na jego piersi i brzuchu. Zawsze go lubił. Tak jak Kalliades, był myślicielem i do tego dzielnym wojownikiem. Patrząc na twarz Polidorosa okiem weterana, zgadywał, że ten pewnie by przeżył, gdyby dać mu czas na ozdrowienie. Banokles zawsze mówił Kalliadesowi, że wie, kiedy ranny żołnierz przeżyje, a kiedy umrze, i bardzo rzadko się mylił. Cóż, w sumie często się mylił, ale tylko on jeden zapisywał wyniki.

Przykucnął.

- Jak nam idzie? – zapytał Polidoros, uśmiechając się słabo.

- Zostały dwa Orły, które trzymają korytarz, a potem pójdę ja.

- A więc lepiej idź teraz, Banoklesie.

Banokles wzruszył ramionami.

- Za chwilę. Wy, Orły, macie jaja. – Zmarszczył brwi. – Uwierzysz, że ten chłopiec odmówił odejścia? – Kiwnął głową w kierunku uzdrowiciela.

Polidoros uśmiechnął się.

- Ty też mogłeś odejść, Banoklesie. Ale zdecydowałeś się zostać. Co za różnica?

Przez chwilę Banokles był zaskoczony. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że też mógł zejść po linie.

- Jestem żołnierzem – odpowiedział słabo.

- A mimo to nie podlegasz niczym rozkazom. Banoklesie, czy przyszło ci do głowy, że teraz, kiedy syn Hektora opuścił miasto, to ty, jako najstarszy rangą, jesteś w istocie królem Troi?

Banoklesowi bardzo spodobał się ten pomysł i roześmiał się.

- Królem? Nigdy nie myślałem, że będę królem. Nie powinienem mieć korony albo co?

Polidoros słabo pokręcił głową.

- Nigdy nie widziałem, żeby Priam nosił koronę.

- Więc skąd ludzie będą wiedzieć, że jestem królem?

- Podejrzewam, że im o tym powiesz, przyjacielu, jeżeli będziesz miał po temu okazję. – Potem Polidoros spowaźniał. – Już czas. Niech Ojciec Wszechrzeczy ma cię w opiece, Banoklesie.

Banokles wstał, odwrócił się i ruszył do korytarza.

Ostatni Orzeł walczył dzielnie. Korytarz był zawałony ciałami i Banokles odciągnął dwa

trupy do sali przyjęć, żeby zrobić sobie trochę miejsca do walki. Jeden z trojańskich żołnierzy leżał oparty o ścianę korytarza, ściskając ranę na brzuchu. Kiedy Banokles się do niego zbliżył, podniósł rękę.

– Wolę umrzeć tutaj niż tam – powiedział.

Banokles skinął głową. Zamknął dębowe drzwi sali przyjęć i czekał. Nie trwało to długo. Ostatni Orzeł, osłabiony z powodu rany, upadł na jedno kolano i przeciwnik zamachnął się mieczem, na wpół odcinając mu głowę.

Banokles poszedł jako następny. Mykeńczyk wyglądał znajomo, ale Banokles nie mógł przypomnieć sobie jego imienia. I tak to nie ma znaczenia, pomyślał. Wyszarpnął miecz z pochwy, zablokował gwałtowne uderzenie znad głowy i ciął przeciwnika przez twarz. Ten potknął się i Banokles wbił ostrze w jego pierś.

Na chwilę odwrócił się do rannego Trojanina.

– Pierwszy – powiedział.

Potem wyjął drugi miecz. Poczul, jak ogarnia go znajome uczucie spokoju. Od śmierci Rudej jedyne chwile, kiedy czuł satysfakcję, zdarzały się w ogniu bitwy. Smutek po stracie żony, ciężar odpowiedzialności – wszystko się rozplynęło. Banokles poczul spokojną radość.

W jego stronę z uniesionym mieczem skoczył wielki wojownik w tunice ze skóry lwa. Banokles odbił uderzenie i odwrotnym cięciem rąbnął go w kark. Ostrze uderzyło w zbroję i pękło. Banokles odrzucił je i pochylając się głęboko, uniknął drugiego uderzenia, po czym odwrócił nadgarstek i drugi miecz ze świstem przeciął powietrze, trafiając w krocze przeciwnika. Kiedy ten się zatoczył, Banokles rąbnął go w szyję, przecinając kręgosłup. Wojownik upadł na ziemię i Banokles wziął jego miecz.

– Drugi. – Usłyszał rannego Trojanina i roześmiał się.

Następny przeciwnik był trudniejszy. Zadał Banoklesowi dwie lekkie rany, jedną w nogę, a drugą w policzek, zanim ten zablokował zamach, obrócił ostrze i wbił je pod hełm wroga.

– Trzeci.

Z czwartym wojownikiem stoczył już regularny pojedynek. Banokles spróbował zamarkować cios, po czym zadać pchnięcie w serce. Mykeńczyk sparował i w odpowiedzi ugodził Banoklesa w kark, i rozciął mu skórę. Tempo potyczki wzrosło i obydwaj wojownicy wymieniali ciosy, rąbiąc, uderzając sztychem i błyskawicznie zmieniając pozycje. Banokles zdał sobie sprawę, że zaczyna się męczyć. Wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. Musiał szybko

kończyć każdą potyczkę. Zamarkował cios lewym mieczem i kiedy Mykeńczyk parował uderzenie, ciął drugim ostrzem od brzucha do piersi przeciwnika, wypruwając mu wnętrzności.

Kiedy Mykeńczycy odciągali swoich martwych i umierających, miał kilka chwil odpoczynku, po czym ku Banoklesowi ruszył kolejny wojownik.

Walka się przeciągała i Banokles poczuł, że jego koncentracja powoli słabnie. Po zabiciu jednego z przeciwników zerknął w dół i zobaczył, że krew ciągle płynie z głębokiego cięcia na nodze. Miał też inne, pomniejsze rany, między innymi na lewym ramieniu, skutkiem czego ręka reagowała zbyt powoli.

- Umierasz, Banoklesie – powiedział ktoś. Zdał sobie sprawę, że to stojący przed nim wojownik, Mykeńczyk w starej zbroi osobistej gwardii Atreusa. Banokles zachwiał się, kiedy ostrze przeciwnika wbiło mu się pod żebra, odbiwszy się od brązowych dysków skórzanego napierśnika. Potem się pozbierał i skoczył do przodu, gwałtownie tnąc po szerokim łuku prawym mieczem. Uderzył w osłonę szyi wojownika, przedarł się przez nią i otworzył głęboką ranę w jego gardle. Przeciwnik zatoczył się do tyłu, dławiąc się krwią, i Banokles doskoczył do niego, wbijając mu miecz w twarz.

- Ilu teraz? – krzyknął.

Nie było odpowiedzi, więc zerknął za siebie na rannego Trojanina. Żołnierz zmarł.

Siedemnastu, zdecydował Banokles. Może więcej. Podniósł tarczę ostatniego przeciwnika, żeby zastąpić lewy miecz i lepiej chronić tę stronę.

Korytarzem szedł w jego kierunku olbrzymi wojownik. Banokles przygotował się, żeby go przywitać, ale miecz wydawał mu się bardzo ciężki i wyciągnął go przed siebie z ogromnym wysiłkiem.

- Banoklesie – zagrzemiał głęboki bas wojownika i Banokles zobaczył, że to Ajaks Rozbijacz Czaszek.

Banokles był rad, że mykeński mistrz i weteran przeżył bitwę o Bramę Skajską. Wiedział, że będzie musiał skupić całą swoją siłę, żeby go zabić. Ale czuł głęboką potrzebę snu.

- Kalliades? – zapytał Ajaks.

Banokles wyszczerzył się z trudem.

- Jest z tyłu, odpoczywa i coś przegryza. Będzie następny. A wiesz, że on mógłby nauczyć mnie kilku rzeczy na temat szermierki.

Ajaks roześmiał się i śmiech sprawił, że kamienie korytarza lekko zadrżały.

– A więc razem ruszycie Ciemną Drogą – obiecał.

Zaatakował z szybkością, która przeczyła jego wielkim rozmiarom.

Był szybki, ale Banokles już się rozruszał. Kucnął pod cięciem szerokiego ostrza i kopnął, trafiając Ajaksa w kolano. Olbrzym zachwiał się, ale miał tak dobry zmysł równowagi, że w ciągu uderzenia serca ją odzyskał i ciął w gardło Banoklesa. Ten zablokował cios i odskoczył krok do tyłu.

Ajaks ponownie zaatakował. Ich ostrza się spotkały. Ajaks ciął i rąbał, ale Banokles blokował każde uderzenie, instynktownie wprawiając w ruch ciało zalewane falami bólu. Nagle Ajaks obrócił się na pięcie i wbił masywną pięść w twarz Banoklesa, który poleciał do tyłu.

Mrugnął. W oczach musiał mieć pot albo krew, ponieważ co chwilę tracił wzrok. Nagle zorientował się, że klęczy na jednym kolanie i nie może się podnieść. Niedługo się prześpię, pomyślał.

Z zaskoczeniem zobaczył, że Ajaks chowa miecz, po czym odwraca się i idzie w dół korytarza. Banokles wiedział, że powinien skoczyć do przodu i wbić ostrze w plecy starego towarzysza. Miał zamiar tak zrobić, ale minęło trochę czasu i odkrył, że ciągle klęczy na podłodze. Z drugiej strony korytarza rozległy się gniewne głosy. Byli tam uzbrojeni ludzie, którzy go obserwowali.

- Rozkazuję ci go zabić! – krzyczał wściekle jeden z nich. Jego głęboki głos brzmiał znajomo, ale Banokles nie potrafił sobie przypomnieć, do kogo należy.

- Nie pozbędę się go za ciebie, królu Agamemnonie – odburknął Ajaks gniewnie. – Ty też kiedyś byłeś wojownikiem.

Ostatnim widokiem, jaki zobaczył Banokles, była wysoka sylwetka idąca w jego stronę korytarzem. Zdał sobie sprawę, że to Ruda, i kiedy gasło światło, wyszczerzył się do niej w uśmiechu.

To był dobry dzień, pomyślał radośnie.

XXXIV. BÓG MYSZY

Agamemnon wyszarpnął miecz z piersi Banoklesa i podał go przybocznemu, żeby go oczyścił. Miał dobry humor. Zabicie Banoklesa położyło kres irytującemu uczuciu, przypominającemu swędzenie po ugryzieniu pchły, którego nie można podrapać. Nie miał wątpliwości, że współpracujący ze zdrajcą Kalliaades leży gdzieś pośród stosów ciał obrońców, które widział pomiędzy Bramą Skajską a tym korytarzem.

Przez cały ranek czekał ze swoimi braćmi, królami Menelaosem i Idomeneosem, z narastającym gniewem, kiedy kolejni wojownicy wysyłani do kamiennego korytarza nie byli w stanie zabić renegata. Ale teraz nie żył i nic już nie stało na drodze dwóch ambicji Agamemnona: zabicia króla-chłopca, pomiotu Hektora, i ostatecznego zdobycia wielkiej nagrody – skarbcza Priama. Wiedział, że musi być bliski zaspokojenia ich obu, gdyż wielu Trojan zginęło, strzegąc tej drogi.

Na końcu korytarza znajdowały się proste dębowe drzwi.

– Otwórzcie je! – rozkazał i dwóch toporników pobiegło do przodu. Ale drzwi nie były zabarykadowane i otworzyły się pod pierwszym dotknięciem. Poprzedzany przez toporników i otoczony przybocznymi, Agamemnon wkroczył do środka.

Pokój przypominał Dom Węzy. Około czterdziestu martwych i umierających Trojan, w tym kilka kobiet, leżało na podłodze wielkiej kwadratowej komnaty. Smród był okrutny i odór śmierci unosił się w powietrzu niby dym. Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Niektóre były pełne strachu, z większości zaś wycierała rezygnacja.

Przed rannymi, trzymając oburącz uniesiony miecz, stał chłopak w zbryzganej krwią szacie.

Ignorując go, Agamemnon rozejrzał się dookoła. W tym pomieszczeniu nie było dzieci. Musieli je ukryć. Zmarszczył brwi, czując że jego dobry nastrój się ulatnia.

Chłopiec z mieczem coś mówił. Agamemnon słuchał go z niecierpliwością.

- Nie zabijaj tych ludzi – powiedział drżącym głosem. – Nie mogą już skrzywdzić ciebie ani twoich wojowników.

- Zabić go – rozkazał Agamemnon.

– Poczekaj! – Meriones, przyboczny Idomeneosa, wystąpił do przodu.

Topornicy zatrzymali się i niepewnie spojrzeli na Agamemnona.

– Znam cię, chłopcze – powiedział Meriones. – Widziałem cię z Odyseuszem.

Młodzieniec skinął głową i lekko opuścił miecz.

- Jestem Ksander. Miałem zaszczyt być uzdrowicielem w służbie Achilleasa i jego Myrmidonów. Jestem przyjacielem Odyseusza.

- A więc co robisz tutaj z Trojanami?

- To długa opowieść – przyznał Ksander.

- Opowieść, którą chciałbym usłyszeć – nalegał Meriones, patrząc na Agamemnona. – Królu Agamemnonie, oszczędź chłopca. Przydałaby się nam jakaś historyjka albo dwie, skoro Odyseusz odszedł.

- Szerokiej drogi – warknął Idomeneos. – Nie chcę więcej opowieści. Zabij chłopca i poszukajmy skarbcza.

Zirytowany ponad wszelkie wyobrażenie towarzystwem kreteńskiego króla przez całe lato, Agamemnon uciął rozmowę.

– Niech tak będzie, Merionesie. Jak zawsze, ty dajesz mi dobrą radę. Uzdrowicielu, oszczędzę ciebie i twoich rannych, jeżeli powiesz mi, gdzie jest syn Hektora.

Chłopak odpowiedział nerwowo:

– Panie, Astinaksa tu nie ma. Złocisty zabrał go dziś w nocy.

Znowu Helikaon! Agamemnon poczuł, jak gniew rośnie w jego piersi z gwałtownością letniej burzy.

- Helikaon był tutaj? Tej nocy? Jak to możliwe? Kłamiesz!

- Nie, panie, mówię prawdę. Wspiął się na północny mur i zabrał chłopców. Pani Andromacha udała się z nim i...

- Północny mur? Ale na niego nie można się wspiąć!

– To prawda, panie. Podejrzewam, że lina ciągle tam jest.

Wskazał w kierunku tylnych komnat i Agamemnon dał znak żołnierzowi, żeby sprawdził pomieszczenia. Menelaos poszedł za nim.

Zawsze Helikaon, pomyślał Król Wojny. Podpalacz niweczy moje plany na każdym kroku! Nawet w momencie zwycięstwa.

– Nic nam nie każe zabijać syna Hektora – zgrzytnął Idomeneos. – Troja jest skończona, niezależnie od tego, czy linia Priama przetrwa czy nie. Boisz się, że Helikaon i król-chłopiec zwołają armię i spróbują odzyskać miasto? Dlaczego mamy się tym martwić? Znajdziemy skarb

Priama i wrócimy na nasze ziemie.

Agamemnon skinął głową. Szablozęby jak zwykle kierował się wyłącznie chciwością, ale tym razem miał rację. Chłopca można było ścigać później dla rozrywki. Nie będzie dla niego bezpiecznego miejsca na całej Wielkiej Zieleni. Kiedy Troja znajdzie się w rękach Mykeńczyków i będzie nią dowodzić ktoś oddany Agamemnonowi, król będzie mógł powrócić do Sali Lwa, żony i syna i świętować zwycięstwo nad Priamem i jego Złotym Miastem. Król Agamemnon, Zdobywca Wschodu! Przejdzie do historii jako ten, który zniszczył Troję.

Znów w dobrym humorze odwrócił się do Ksandra.

- Dotrzymuję słowa, chłopcze. Zajmij się rannymi. Z rąk Króla Wojny nie umrze już żaden Trojanin.

- Bracie!

Agamemnon się odwrócił. Menelaos wrócił błady z tylnych komnat.

- No i? Jest tam lina? Uzdrowiciel mówi prawdę?

- Tak, bracie, ale jest coś innego, co musisz zobaczyć. – Niecierpliwie dał znak Agamemnonowi, aby poszedł za nim.

Król westchnął. Z przybocznymi u boku ruszył za Menelaosem do małej komnaty na tyłach. Okno wychodziło na północ, a do kamiennej kolumny przywiązana była gruba lina. Ucięto ją blisko węzła.

Menelaos ponagląco przywołał go do okna. Agamemnon wyjrzał na zewnątrz.

Było dobrze po południu i słońce grzało łąki nad rzeką Simoeis. Suche przez całe lato, dzięki ostatnim deszczom szerokie równiny pokryły się zielenią. Ale teraz niewiele było jej widać. Jak okiem sięgnąć równina wypełniona była uzbrojonymi ludźmi, jazdą i piechotą w zdyscyplinowanych formacjach, wojownicy stali nieruchomo w oczekiwaniu na rozkazy.

– Hetyci, bracie! Jest tu armia hetycka! – wykrztusił Menelaos.

Na skalistym klifie na wschód od miasta stary kowal Kalkeus spał snem sprawiedliwego, ochraniając doskonały miecz własnym ciałem. Mocno poparzył sobie dłonie, ujmując ostrze. Na początku ból tłumił brak czucia w palcach. Pomyślał też, że nie jadł od kilku dni, choć ze zdziwieniem stwierdził, że nie potrzebuje jedzenia. Resztkę wody brzydko pachniała, ale od czasu do czasu upijał niewielkie łyki.

O świcie zdecydował się wrócić do miasta, aby zaprezentować miecz królowi. Jego mizerny

dobytok spłonął wraz z namiotem, w którym mieszkał przez całe lato. Wetknął na wpół pustą sakwę z wodą pod pachę i delikatnie tuląc miecz na przedramieniu, wyruszył w drogę.

Ból w dłoniach stanowił istną torturę. Kalkeus był na siebie zły. Kowal z jego doświadczeniem nie powinien popełniać takich błędów jak terminator. Krwistoczerwone dłonie będą się długo goiły i spowolnią jego pracę.

Szedł coraz szybciej, wyobrażając sobie podziw i radość na twarzy mykeńskiego króla, kiedy zobaczy miecz, jak również natarczywość, z jaką będzie błagał Kalkeusa, aby udzielił informacji, jak to zrobił. Przez chwilę stary kowal czuł żal, że to nie Helikaon dostanie broń. Zawsze wykonywał swoje największe dzieła dzięki zachęcie dardańskiego króla, ale nie miał wątpliwości, że do tej pory wszyscy Trojanie i ich sojusznicy zostali zniszczeni. Kiedy szedł w kierunku miasta, widział buchające wysoko płomienie i słyszał odgłosy bitwy. Był ciekaw, jak królom zachodu udało się w końcu zdobyć miasto. W jego głowie kształtowała się koncepcja wielkiego taranu zawieszzonego na łańcuchach na ruchomej platformie. Rozkojarzony, potknął się na skalistej ziemi i o mało nie upadł. Ostrożnie, pomyślał w chwili jasności umysłu, nie możesz sobie pozwolić na upadek, nie z tymi obolałymi rękami. Krocząc w mroku, zaczął ostrożniej stawiać stopy.

Zatrzymał się dla złapania oddechu pod murami Troi przy północno-wschodnim bastionie i napił się trochę wody. Usiadł na chwilę i natychmiast zapadł w sen.

Kiedy znów się obudził, świt już dawno minął. Ręce mu płonęły i niemiłosiernie bolała go głowa. Wysuszył pozostałą w sakwie wodę jednym haustem, po czym większość zwymiotował. Odrzucił sakwę i wstał powoli. Długie spojrzenie na doskonały miecz ożywiło go i ruszył wzdłuż murów. Minął Bramę Dardańską, a potem Wschodnią, ale obydwie były zamknięte i zapieczętowane, więc ruszył do Bramy Skajskiej.

Jednak kiedy tam dotarł, okazało się, że i ona jest zamknięta. Podniósł głowę, żeby spojrzeć na szczyt muru, ale nie zobaczył żadnych strażników. Pokręcił się po zrujnowanym Dolnym Mieście, lecz było opuszczone. Wyczerpany, usiadł w kurzu pod murem. Sześć kamiennych posągów strzegących Bramy Skajskiej łąpało nań wrogo kamiennymi ślepiami.

Minął długi czas, zanim rozległ się zgrzyt i trzask poprzedzający otwarcie bramy, przez którą wymaszerował oddział żołnierzy. Po zbrojach poznał, że to Mykeńczycy, i z wysiłkiem stanął na nogi.

– Hej, zabierzcie mnie do Agamemnona! – krzyknął. Walcząc z falami bólu, ujął miecz

w obie ręce i pomachał nim w ich kierunku.

Oddział zignorował go i odmaszerował.

– Wasz król mnie oczekuje! – krzyknął zdesperowany. – Idioci, ten miecz jest dla niego!

Jeden wojownik oddzielił się od grupy i ruszył ku niemu z obnażonym mieczem. Kalkeus zobaczył, że połowa jego twarzy jest ohydnie okaleczona. Piasek, pomyślał z nagłym zainteresowaniem. To musi być efekt kontaktu rozgrzanego do czerwoności piasku ze skórą.

Wojownik nie zawahał się.

– Jesteśmy idiotami, tak? – zapytał. Wbił miecz w pierś Kalkeusa, wyciągnął i dołączył do towarzyszy.

To było jak uderzenie młotem, pomyślał Kalkeus, opadając, doskonały miecz upadł w kurz koło niego. Z ulgą pomyślał, że ból w rękach ustępuje.

Miał dziwny sen. Śniło mu się, że jest na pokładzie *Ksantosa* i silna bryza wydyma żagiel z czarnym koniem. Okręt pruć wodę, która była ciemnozielona i dziwnie spokojna. Żłocisty kroczył ku niemu; promienie słoneczne obramowały jego sylwetkę, ale pokryły cieniem rysy twarzy. Kalkeus nie widział zbyt dobrze i czuł się bardzo słaby. Potem zdał sobie sprawę, że złoty mężczyzna jest większy od Helikaona. W rzeczy samej był olbrzymem, światło zaś dookoła jego sylwetki nie pochodziło od słońca, lecz emanowało z niego samego. Czy to Apollo, bóg słońca? – zastanawiał się. Lecz kiedy zobaczył, że bóg utyka, zrozumiał.

Bóg nachylił się nad nim i delikatnie wziął z jego rąk doskonały miecz.

– Dobrze się spisałeś, kowalu – zagrział jego głęboki głos. – Teraz śpij, a jutro zaprzęgniemy cię do pracy.

Imperator Hetytów Tudhalias IV wkroczył do megaronu Priama otoczony swoją świtą. Ksander przyglądał mu się z zainteresowaniem. Nigdy wcześniej nie widział imperatora. Oprócz hetyckich najemników, których opatrywał i którzy wydawali się tacy sami jak inni wojownicy, jedynym Hetytą, jakiego znał, był Zidantas. Był on wielki, z ogoloną głową i czarną rozdwojoną brodą. Imperator zaś był szczupły i bardzo wysoki, z kręconą brodą, ubrany jak kobieta w lśniące szaty. Członkowie jego świty odziali się jeszcze dziwniej w kolorowe spodniczki i różnobarwne szale. Ale tak samo jak gospodarze, byli uzbrojeni po zęby.

Ksander chciał zostać z rannymi, ale kiedy Agamemnon wychodził z sali przyjęć królowej, zwrócił się nagle do Merionesa:

– Zabierz uzdrowiciela – rozkazał.

Teraz zdenerwowany Ksander stał u boku Merionesa, czując, że czarno odziany Kreteńczyk jest jego jedynym przyjacielem w tym pomieszczeniu.

Imperator i król spotkali się na środku megaronu ciągle zasłanego ciałami i porzuconą bronią. Tudhalias w ciszy rozejrzał się dookoła; jego ciemne oczy nie zdradzały żadnych emocji.

Agamemnon przemówił pierwszy.

– Moje kondolencje z powodu śmierci twojego ojca. Hattusilis był wielkim mężem i mądrym przywódcą – powiedział i Ksandra zaskoczyła szczerść w jego głosie. – Witaj w Troi, mieście mykeńskiego imperium.

Tudhalias przyglądał mu się przez chwilę, po czym spokojnie odpowiedział:

– Imperator Hetytów jest przyzwyczajony, że jego wasale padają przed nim na twarz.

Wzrok Agamemnona stwardniał, ale odpowiedział tym samym tonem co poprzednio:

- Nie jestem niczym wasalem. Walczyłem o to miasto i wkraczasz do niego dzięki mojemu pozwoleniu. Otworzyłem dla ciebie Bramę Skajską w geście przyjaźni. Wszystko tutaj należy do mnie. I do moich sprzymierzeńców – dodał, widząc, jak Idomeneos marszczy brwi.

- Walczyłeś, żeby zdobyć tę trupiarnię? – skomentował Tudhalias, patrząc na ciała, krew i pożogę. – Musisz być z siebie dumny.

- Nie chciałbym, żebyśmy się źle zrozumieli – odparł gładko Agamemnon. – Zjednoczeni królowie zachodu walczyli, aby zdobyć to miasto, co w końcu nam się udało dzięki lepszej strategii, większej potędze militarnej i woli bogów. Twoja sława jako *strategosa* cię wyprzedza, imperatorze. I wiesz, że jeżeli ktoś chce zapanować nad Wielką Zielenią, musi najpierw zdobyć Troję.

– Masz rację, Mykeńczyku – zgodził się Tudhalias. – Ważne, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Priam władał tym miastem z łaski hetyckich imperatorów. Pod jego panowaniem Troja prosperowała i stała się bogata oraz panował pokój. Miasto strzegło hetyckich szlaków handlowych na morzu i lądzie, przynosząc korzyści naszemu wielkiemu Hattusas. Oddziały trojańskie walczyły dla imperium w wielu bitwach. Mojemu przyjacielowi Hektorowi – umilkł, żeby podkreślić te słowa – zawdzięczamy po części triumf nad Egipcjanami pod Kadesz.

Teraz zaś – kontynuował Tudhalias twardszym tonem – Troja leży w ruinie, a jej zatoka przestała być splawna. Wszyscy mieszkańcy miasta nie żyją bądź uciekli, a armia została rozbita. Teren jest opustoszały, zniszczono pola uprawne, inwentarz zaś zdycha. Dlatego zadałem sobie

trud, żeby przybyć tu osobiście wraz z moimi trzydziestoma tysiącami wojowników.

Przerwał i zapanowała wymowna cisza.

– Hetyckie imperium niewiele obchodzi, kto rządzi w Troi, dopóki miasto prosperuje i dzieli się swoimi bogactwami. Ale martwe miasto na wyniszczonej ziemi przyciąga tylko mrok i chaos. Imperium musi interweniować.

Ksander poczuł, jak atmosfera w megaronie staje się lodowata. W komnacie było więcej Mykeńczyków niż hetyckich wojowników, ale ci ostatni byli wypoczęci, lepiej uzbrojeni i wyglądali, jakby palili się do walki.

Agamemnon rozejrzał się dookoła, być może myśląc o tym samym.

– Pod władaniem Myken Troja będzie znów prosperować – obiecał. – Do następnego lata zatoka ponownie zapełni się statkami handlowymi. Miasto zostanie odbudowane i pod naszym silnym przywództwem rozkwitnie.

Tudhalias nagle ruszył do przodu i Agamemnon instynktownie się cofnął. Imperator z przybocznym, poruszającym się za nim niczym cień, podszedł do zdobionego złotem tronu Priama i usiadł na nim z gracją. Agamemnon był zmuszony stać przed nim, aby kontynuować rozmowę.

- Jak mi powiedziano, Zatoka Troi zamulała się od ostatnich stu lat – powiedział Tudhalias. – Obecnie leżą tam wraki mykeńskich okrętów i nawet teraz na dziobach tworzą się nowe mierzeje. Moi eksperci oceniają, że w ciągu jednego pokolenia zatoka zniknie i miasto zostanie otoczone lądem. Statki kupieckie będą je omijać na rzecz nowych miast rozwijających się w górze Hellespontu. Dzięki tobie, Agamemnonie, Troja jest skończona.

- Nie ja zacząłem tę wojnę, imperatorze! – rzucił Agamemnon, tracąc panowanie nad sobą. – Szybciej niż ktokolwiek inny zobaczyłem zagrożenie, jakie stanowiła Troja dla innych narodów Wielkiej Zieleni. Ambicja Priama, wspierana przez jazdę jego syna i dardańską flotę piracką, miała na celu podporządkowanie wszystkich wolnych ludzi jego woli. I podczas gdy inni byli przez niego przekupywani i kuszeni, Mykeńczycy nie dali się zwieść.

Tudhalias odchylił się na tronie i roześmiał; śmiech rozbrzmiał głośno w wielkiej kamiennej sali. Potem przemówił:

- Te bzdury mogły omamić twoich marionetkowych królów, kiedy siedzieliście dookoła ognisk w nocy, opowiadając sobie nawzajem, jakim to Priam jest ambitnym potworem chcącym zapanować nad całym światem. Ale ten potwór przyniósł czterdzieści lat pokoju, dopóki nie

zdecydowałeś się go zniszczyć.

- Walczyłem o to miasto! – ryknął Agamemnon. – Prawem broni jest moje.

W tym momencie do megaronu wszedł hetycki wojownik i skinął głową imperatorowi. Tudhalias rzucił na niego okiem, po czym znów spojrzał na mykeńskiego króla.

– A więc powołujesz się na prawo broni – odpowiedział, uśmiechając się. – W końcu jest coś, co do czego możemy się zgodzić.

Wstał i spojrzał z góry na Agamemnona.

– Za murami miasta znajduje się trzydzieści tysięcy hetyckich wojowników. Wszyscy są dobrze odżywieni, uzbrojeni i maszerowali długo bez okazji do dobrej walki.

Przerwał, kiedy mykeński wojownik wszedł do megaronu i pośpieszył do Agamemnona. Przemówił królowi do ucha i Ksander zobaczył, jak ten blednie.

– Widzę, że już wiesz, królu – powiedział Tudhalias. – Moi wojownicy zdobyli Bramę Skajską i właśnie zaczynają ją rozbierać. Odpieczętują wszystkie bramy i rozbiorą jedna po drugiej. Wkrótce Troja będzie otwartym miastem.

Ksander wstrzymał oddech, przygotowując się na wybuch gniewu, którym – jak podejrzewał – z pewnością zaraz zawrze Agamemnon. Nic takiego jednak się nie stało.

– Mówiliśmy wcześniej o nieporozumieniach – kontynuował gładko Tudhalias. – Nie chcę Troi. Zanim wraz z armią opuściłem naszą stolicę Hattusas, skonsultowałem się z naszymi... wieszczami. Tak ich chyba nazywacie. Jeden opowiedział mi o założeniu tego miasta. Rzekł, że kiedy ojciec Troi, półbóg o imieniu Skamander, po raz pierwszy przybył na te ziemie z dalekiego zachodu, został powitany na plaży przez boga słońca. Przełamali się chlebem i bóg słońca poradził Skamandrowi, że jego lud powinien osiedlić się tam, gdzie pod osłoną ciemności zostanie zaatakowany przez wrogów zrodzonych z ziemi. Skamander zastanawiał się nad słowami boga, ale tej nocy, gdy obozował na tym wzgórzu, ich namioty zaatakowała horda wygłodniałych myszy polnych, które poprzegryzały im cięciwy, rzemienie napierśników i pozostały sprzęt. Skamander poprzysiągł, że jego ludzie zostaną tutaj, i wybudował świątynię poświęconą bogu słońca.

Ale bogowie, których Trojanie sprowadzili z zachodnich ziem, nie byli naszymi bogami. Wasz bóg słońca zwany jest Apollem, jak również Panem Srebrnego Łuku i Niszczycielem. Jest bogiem potęgi i walki. Nasz bóg słońca to uzdrowiciel zwany też bogiem myszy. Kiedy nasze dzieci chorują, dajemy im do zjedzenia mysz umoczoną w miodzie jako ofiarę dla boga

uzdrowiciela. Przez lata, kiedy miasto rosło, świątynia boga myszy została zaniedbana. Trojanie budowali większe świątynie, zdobione złotem, miedzią i kością słoniową, jako znak oddania dla Zeusa, Ateny i Hermesa. Kiedy dookoła miasta wybudowano wielkie mury, świątynia boga myszy znalazła się poza nimi. Kiedy budowla zawaliła się podczas trzęsienia ziemi, nie została odbudowana i w końcu porosła ją trawa; o słodka ironio, po jej korytarzach biegały polne myszy. Teraz ostatni Trojanie odeszli, zabierając ze sobą swoich okrutnych i kapryśnych bogów. Wy, którzy czcicie tych samych bogów zachodu, pójdziecie w ich ślady. Być może mysi bóg znów będzie stał na plaży i patrzył, jak odchodzicie, zastanawiając się, po co w ogóle tu przybyliście.

Kiedy imperator snuł swoją opowieść, do megaronu cicho wkroczyli ciężkozbrojni Hetyci. Agamemnon rozejrzał się i Ksander zobaczył, że jego twarz jest blada, wodził dookoła dzikim wzrokiem, zdając sobie sprawę, jak wraz z kolejnymi uderzeniami serca jego ambicje obracają się w nicość.

Tudhalias wstał i jego głos stał się lodowaty.

– Ogłaszam, że to miasto zostanie zniszczone. Zostanie rozebrane, kamień po kamieniu, a potem same kamienie zostaną roztrzaskane. To miasto mroku zniknie z powierzchni ziemi.

Idomeneos wystąpił do przodu.

- Nic mnie nie obchodzą twoje opowieści ani też Troja i jej los – wycharczał. – Przybyłem tu tylko po słynne bogactwa Priama. Tyle się nam należy. Nie możesz nas pozbawić naszego łupu!

- A kimże ty jesteś? – zapytał cierpko imperator.

- Jam jest Idomeneos, król Krety – odparł mężczyzna, czerwieniejąc z gniewu.

Hetyta lekceważąco machnął ręką.

– Idźcie, mali królowie, szukajcie swojego łupu. Ale szybko zanieście go na okręty. Każda galera znajdująca się o świcie w Zatoce Heraklesa zostanie zdobyta, a członkowie załóg poćwiartowani.

Odwrócił się i wydał w swoim języku krótki rozkaz, po czym wyszedł z megaronu. Jego świta ruszyła za nim, ale reszta hetyckich wojowników pozostała.

Agamemnon wyglądał na mniejszego, jakby się skurczył pod pogardą Hetyty. Rozejrzał się po pomieszczeniu wzrokiem pełnym bezsilnej wściekłości i jego spojrzenie padło na Ksandra.

– Ty! – krzyknął. – Uzdrowicielu! Zabierz mnie do skarbcza Priama!

Ksander przez chwilę stał jak sparaliżowany, więc Meriones po pchnął go delikatnie i wtedy chłopak odpowiedział:

– Tak, królu.

Wiedział, gdzie jest skarbiec. Nie było to żadną tajemnicą. Poprowadził królów korytarzem z tyłu megaronu, a potem długimi schodami w dół. Dalej ruszyli szerokim tunelem głęboko pod ziemią. Ponad nimi z obu stron patrzyły na nich wyrzeźbione mityczne stworzenia z pazurami i zębami oraz ślepyimi oczami błyskającymi w świetle pochodni.

Na końcu korytarz przechodził w okrągłą komnatę. Ksander i Meriones wraz z trzema królami i ich strażnikami zebrali się w środku.

Ksander poczuł, że w powietrzu unosi się silny zwierzęcy zapach. Przed nimi znajdowały się wysokie drzwi bogato zdobione brązem, płytkami rogowymi i z kości słoniowej. Za czasów Priama pilnowało ich sześciu Orłów. Teraz nie było strażników i intruzów powstrzymywała tylko pojedyncza belka wzmocniona brązem.

Przyboczny króla Kleitos pobiegł do przodu i podniósł belkę. Pociągnął drzwi i Agamemnon wkroczył do środka. Buchający z wewnątrz odór był obezwładniający i Ksander się skrzywił.

Król Wojny wkroczył w spowijającą skarbiec Priama ciemność w towarzystwie Idomeneosa i Menelaosa, po czym wszyscy się zatrzymali. Stojący na zewnątrz usłyszeli gwałtowne wciąganie powietrza, a potem grad przekleństw. Ksander wcisnął się bokiem przez drzwi, aby zobaczyć, co się dzieje.

W świetle pochodni w ciemnościach mrugało do nich tuzin koni. Nerwowo kręciły się, rozdeptując kupki nawozu, który pokrywał podłogę, i wznagając smród bijący z komnaty.

Agamemnon zaklął i zabrał jednemu z żołnierzy pochodnię. Zaczął przepychać się wśród koni, szukając skarbu. Wraz z Idomeneosem i Menelaosem rozpaczliwie przeszukiwał niskie kwadratowe pomieszczenie. Pomijając konie i ich odchody, skarbiec był pusty. Dopiero w dalekim rogu znaleźli dwa zakurzone puchary i dużą skrzynię z uniesionym wiekiem. Agamemnon sięgnął do środka i wyciągnął trzy miedziane pierścienie, po czym cisnął je na kamienną posadzkę. Zwrócił się do pozostałych królów z furją.

– Helikaon! – ryknął. – Podpalacz ukradł nam skarb Priama sprzed nosa!

Menelaos zmarszczył brwi.

- Ale to niemożliwe, bracie – zaoponował nerwowo. – Jak udało mu się wydostać go z miasta?

- Wraz z załogą musiał opuścić go nocą po północnym murze – zgadywał Agamemnon. –

Dlatego przecięto linę! Aby uniemożliwić komukolwiek pościg i odebranie skarbu! Teraz, na *Ksantosie*, będą już daleko stąd.

- To najszybszy okręt na Wielkiej Zieleni – dodał żałośnie Menelaos. – Nigdy go nie złapiemy.

- Złapiemy, jeżeli się dowiemy, dokąd popłynął! – krzyknął Agamemnon. Odwrócił się do Ksandra i złapał go za tunikę. – Mów, chłopcze – warknął mu w twarz. – Hetyci nie uratują twoich rannych przyjaciół. Nie będzie ich obchodzić, czy przeżyją, czy umrą. Powiedz nam, dokąd zmierza Helikaon, albo każę ich poćwiartować na twoich oczach jednego po drugim!

Ksander rozejrzał się z udręką, ale nie zobaczył swojego opiekuna Merionesa, a jedynie twarze trzech wpatrujących się w niego zachłannie królów.

Wybacz mi, Złocisty, pomyślał.

– Płyną na Terę – powiedział.

XXXV. UCIECZKA Z TERY

Andromacha przyglądała się chmarom ptaków na niebie nad Terą i zastanawiała, jakiego są gatunku. Były ich tysiące – małe i czarne, kręciły kółka w powietrzu, nurkowały, wznosiły się, rozdzielały na dwie chmury, a potem na trzy i cztery, żeby znowu złączyć się w całość płynnym lotem pełnym wdzięku. Cała załoga *Ksantos*a je obserwowała i okręt dryfował w ciepłej porannej bryzie. Nagle, jak na niesłyszalną komendę, ptaki utworzyły jedno stado i odleciały znad wyspy. Przez jedno uderzenie serca znajdowały się nad okrętem i przysłoniły światło. Żeglarze instynktownie pochylili głowy, a potem ptaki pomknęły dalej na północ i wkrótce znikły z pola widzenia.

Wioślarze wznowili pracę i *Ksantos* zaczął zwawiej pruć fale w drodze do Błogosławionej Wyspy. Andromacha siedziała na drewnianej ławce przy maszcie i spoglądała na pokład poniżej, gdzie chłopcy oddawali się beztroskiej zabawie. Uśmiechnęła się do siebie. Przez kilka pierwszych dni podróży nie spuszczała z nich oka, przestraszona, że mogą wypaść za burtę. Ale potem odkryła, że na *Ksantosie* chłopcy mają ponad sześćdziesięciu ojców, którzy baczenie ich doglądają. Wioślarze, którzy w większości też mieli dzieci, traktowali chłopców jak własnych synów, grając z nimi w gry i opowiadając im historie o morzu. Czasami sadzali ich na ławkach dla wioślarzy i pozwalali udawać, że napędzają wielką galerę.

Podczas rejsu Astinaks i Deks rozkwitli. Przebywając na słońcu, opalili się na orzechowo i Andromacha była przekonana, że przez ostatnie kilka dni urosli. Deks był ciągle ostrożny i trochę nieśmiały, jak również mniej skory do śmiechu od swojego brata. Astinaks był zuchwały, czasami lekkomyślny, i za każdym razem kiedy przebywał na otwartym górnym pokładzie, Andromacha patrzyła na niego wzrokiem pełnym niepokoju zrodzonego z matczynej miłości.

Od opuszczenia Troi Helikaon ustanowił szybkie tempo w drodze na Terę. Miał zamiar zatrzymać się krótko na Błogosławionej Wyspie, żeby zabrać na pokład Kasandrę, a potem ruszyć na Itakę, gdzie mieli opuścić okręt Kalliades i Skorpios. Potem *Ksantos* wyruszyłby w swój być może ostatni długi rejs do Siedmiu Wzgórz, aby dotrzeć tam na zimę.

Znalazłszy się bezpiecznie na morzu, poza wodami trojańskimi, nie mieli powodu śpieszyć się na Terę, ale mimo to Andromacha cały czas odnosiła wrażenie, że coś ich nagli. Nie mogła tego zrozumieć. Nie musieli się już obawiać Mykeńczyków, pogoda zaś była umiarkowana

i spokojna, ale ciągle wyczuwała w sobie przytłumioną panikę, tak jakby byli już spóźnieni. Helikaon przyznał, że również to czuje, i podejrzewali, że to samo dotyczy reszty załogi, choć nigdy o tym nie rozmawiano.

Andromacha wstała i przeszła na przedni pokład, gdzie odpoczywali dwaj wojownicy. Lubiała jasnowłosego Skorpiosa. Był niepodobny do żołnierzy, jakich wcześniej spotkała. Rozmawiała z nim w czasie długich, leniwych wieczorów spędzanych na kamienistych wybrzeżach i piaszczystych plażach. Młody mężczyzna znał nazwy ptaków i małych stworzeń zamieszkujących skalne sadzawki. Nadawał własne nazwy obrazom utkany z gwiazd na nocnym niebie i opowiadał jej historie na ich temat. Kupił zestaw piszczałek od kupca na Lesbos i czasami grywał łagodne, ckiwe melodie, kiedy słońce zniknęło za horyzontem. Opowiadał jej o swoim dzieciństwie; smutne opowieści o brutalnym ojcu i zmęczonej troskami matce oraz radośniejsze o swoich braciach i siostrach, jak również o codziennym życiu w ich wiosce. Zamierzał opuścić *Ksantosa* na Itace, ale miała nadzieję, że zostanie z nimi do czasu przybycia do Siedmiu Wzgórz.

Kiedy się zbliżyła, Kalliades spojrział w górę i uśmiechnęła się do niego ciepło. W czasie podróży odpoczął i jego noga zaczęła się w końcu goić. Zmieniała opatrunek na ranie każdego dnia aż do dzisiaj, kiedy to wyrzuciła zużytą roślinę leczniczą przyłożoną do rany przez Ksandra.

– Delfiny – krzyknął jeden z żeglarzy i spojrzęła w kierunku, który wskazywał. W czasie swoich podróży często widywali pojedynczego delfina lub parę i była ciekawa, skąd podekscytowanie w jego głosie.

Potem zdała sobie sprawę, że nie wskazywał jednego czy dwóch delfinów, ale setki, które mijają okręt od strony sterburty; ich smukłe szare grzbiety wznosiły się i opadały, kiedy płynęły na północ.

- Defliny, defliny! – Usłyszała krzyk jednego z chłopców, gdy wbiegli na pokład i rzucili się na reling. Zobaczyła, jak dwóch żeglarzy przytrzymuje ich mocno, kiedy się wychylali, aby zobaczyć przemykające delfiny.

- To dość niezwykle – mruknął Kalliades, który wstał, żeby przyjrzeć się zjawisku. Znowu usiadł, ale Skorpios dalej patrzył na morze długo po tym, jak delfiny zniknęły. Kiedy usiadł, na jego twarzy malowało się podekscytowanie nie mniejsze niż u chłopców.

- Nigdy wcześniej nie widziałem delfinów – wyjaśnił. – W gruncie rzeczy nigdy wcześniej nie byłem na morzu, nie licząc przekradania Hellespontu.

- A więc nigdy nie byłeś na Terze, Błogosławionej Wyspie – powiedziała Andromacha. – Jest jedyna w swoim rodzaju.

- Jak to? – zapytał, mrużąc oczy i patrząc na znajdującą się przed nimi wyspę. – Ponieważ nie mają tam wstępu mężczyźni?

- Po części – odpowiedziała. – Ale jest ona ukształtowana jak żadna inna wyspa. Ma kształt pierścienia z jedną tylko przerwą, przez którą wpływają statki. Na środku znajduje się szeroki okrągły port, który jest bardzo głęboki. Statki nie mogą rzucać tam kotwicy, bo nie dosięgłaby dna. W centrum portu znajduje się mała czarna wysepka, zwana Spaloną Wyspą.

Wkrótce zaczęli zawiązać do portu i Kalliades skomentował:

– Wcale nie taka mała ta wysepka!

Andromacha obejrzała się i gwałtownie wciągnęła powietrze. Spalona Wyspa, czarnoszara niczym góra węgla, była dwukrotnie większa, niż ją zapamiętała. Zajmowała teraz większą część portu i *Ksantos* musiał ją opłynąć, żeby dostać się na plażę. Widziała, że ze szczytu bije gęsty czarny dym, który następnie odlatywał na wschód. Spojrzała ta tylny pokład, gdzie Helikaon i Oniakos rozmawiali wzburzeni, pokazując i wpatrując się ze zdziwieniem w rosnącą wyspę.

– Statek na wprost, panie! – krzyknął młody Praksos.

Andromacha również widziała galerę wyciągniętą na dalekiej plaży. Z tej odległości nie mogła nic o niej powiedzieć, ale po kilku chwilach bystrooki Praksos krzyknął:

– Żłocisty, to *Krwawy sokół*.

Odyseusz! Cóż za szczęście! Andromacha się uśmiechnęła. Ale w tym momencie usłyszała łoskot trzęsienia ziemi przetaczającego się pod nimi, morze się wzburzyło i zobaczyła, jak kawałek Spalonej Wyspy zwałił się do morza. Fale, które się wytworzyły, uderzyły w *Ksantosa* i okręt mocno się zakołysał. Andromacha spojrzała na chłopców, ale obydwaj znajdowali się bezpiecznie na niższym pokładzie. Raz jeszcze spojrzała na wyspę i zadrżała.

Wkrótce *Ksantos* dopłynął do plaży i załoga zjechała po linach, przygotowując się do wciągnięcia okrętu obok *Krwawego sokola*. Helikaon ześlizgnął się po linie, dla Andromachy zaś przerzucono drabinkę sznurową. Kiedy znalazła się na plaży, Odyseusz już czekał i obejmował Helikaona ramieniem. Obydwaj szczyrzyli do niej zęby, więc również się uśmiechnęła. Ze smutkiem zauważyła, że dawniej rude włosy króla Itaki całkowicie pokryła siwizna.

Ujął ją za rękę i pocałował.

- Na Zeusa, bogini, me serce się raduje, że obydwójce jesteście bezpieczni. Słyszałem, że

Troja została zdobyta i splądrowana, ale nic nie wspomniano o ocalonych. Założę się, że macie dla mnie porywającą opowieść!

- W istocie, Odyseuszu, ale jest to też smutna opowieść – odpowiedział Helikaon, wpatrując się w Brzydkiego Króla z radością. – Co tutaj robisz? Myśleliśmy, że do tej pory będziesz już bezpiecznie w ramionach Penelopy.

- Chciałbym, żeby tak było. Mam syna, którego jeszcze nie widziałem. Ale przybyłem, żeby ocalić Kasandrę. Teraz, kiedy Troja padła, mykeńscy śmieciarze nie będą mieli powodu, żeby dalej szanować świętość Tery. Ale to miejsce wygląda na opuszczone. – Rozejrzał się dookoła. – Przybyliśmy zeszłego wieczoru i jak do tej pory nie widzieliśmy nikogo. Przybywające okręty zawsze witała jakaś kapłanka... – Wzruszył ramionami. – Rozważałem sprzeciwienie się półbogu i samotną wspinaczkę do Wielkiego Konia. Potem zobaczyliśmy *Ksantosa*.

Kiedy Andromacha usłyszała jego słowa, wstrząsnął nią dreszcz i nagłące przecucie wróciło z pełną siłą. Musiała wykorzystać całą siłę woli, żeby nie ruszyć biegiem stromą skalistą ścieżką.

- Pójdę i znajdę Kasandrę, a potem przyprowadzę ją na okręt.

- Jeżeli ciągle tam jest – wyraził wątpliwość jej ukochany, marszcząc brwi i spoglądając na szczyt wyspy, gdzie ledwie widać było końską głowę.

- Wiem, że tam jest – odparła – choć nie wiem, dlaczego nie przyszła, żeby nas powitać. – Zobaczyła wyraz jego twarzy i zgadła, o czym myśli. – Nie możesz rozgniewać Minotaura i udać się do świątyni. Sama pójdę i ją znajdę.

Helikaon zerknął na niebo, po czym ujął jej dłoń.

- Jeżeli nie wrócisz do południa, pójdę po ciebie i żaden półbóg czy potwory mi w tym nie przeszkodzą.

- A ja pójdę z nim – dodał Odyseusz. – W tej wyspie jest teraz coś niebezpiecznego i nie mam tu na myśli zagrożenia ze strony gwałtownych mężczyzn. – Zadrżał w świetle słońca i skinął głową w kierunku Spalonej Wyspy. – Powiedzcie mi, że ta wysepka nie rośnie i że to tylko przywidzenie wynikające z podeszłego wieku.

- Mówią, że Spalony wzniósł się z morza tylko raz, sto lat temu – odpowiedziała Andromacha. – Tak, masz rację, wyspa szybko rośnie obawiam się, że jest to zły znak. Będę się śpieszyć.

Uśmiechnęła się do Helikaona, a potem przeszła przez czarny piasek plaży i zaczęła się

wspinać skalistą ścieżką. Szła pewnie w starych sandałach o podeszwie wzmocnionej ciasno splecioną liną. W połowie drogi zatrzymała się i spojrzała w dół na mężczyzn i statki. Jej wzrok powędrował w kierunku Spalonej Wypsy i ze strachem stwierdziła, że jest już prawie tak wysoka jak otaczające ją skały. Powietrze przesiąknięte było dymem bijącym z jej szczytu. Na rękach i ramionach Andromachy powiła się cienka warstwa szarego kurzu. Szybko ruszyła dalej, smagana strachem i złymi przecuciami, które cięły ją niczym ogniste bicze.

Kiedy dotarła na szczyt klifu, raz jeszcze przystanęła, spoglądając na Wielkiego Konia. Olbrzymia biała świątynia zdawała się nad nią kołysać i Andromacha zastanawiała się, czy to nie ona się chwieje. A potem wyspą targnęło kolejne trzęsienie ziemi, towarzyszył mu łoskot, od którego niemal rozboleły ją zęby. Andromacha rzuciła się na ziemię i przywarła do skalistego podłoża, obawiając się, że wstrząsy ją podrzucą i cisną w dół klifu. Usłyszała łopot skrzydeł i zgrzytliwy skrzek. Obróciła się i zobaczyła ogromne stado mew przelatujące nad brzegiem i kierujące się na południe.

– Wszystkie stworzenia opuszczają wyspę. – Usłyszała spokojny głos. – Nawet ptaki w powietrzu i ryby w morzu.

Andromacha zerwała się na nogi. Od strony świątyni Wielkiego Konia powoli szła w jej kierunku pierwsza kapłanka. Ifigenia zobaczyła zaskoczenie Andromachy i zachichotała.

- Myślałaś, że już dawno nie żyję, Andromacho. Cóż, mam stare kości, ale mój czas jeszcze nie nadszedł.

- Cieszę się, że cię widzę – odpowiedziała Andromacha i była to prawda. Ifigenia wydawała się starsza niż świat, ale w jej oczach jak zawsze błyszczały inteligencja i wyrachowanie. – Czy kobiety również opuszczają wyspę? Wygląda na opustoszałą.

Ifigenia zmarszczyła brwi.

- Kiedy w święto Artemis zaczęły się trzęsienia ziemi, Kasandra przekonała wszystkie dziewczyny, że wyspa ulegnie zniszczeniu. Ze swoimi snami i wizjami twoja siostra potrafi być bardzo przekonująca. Mimo moich prób zatrzymania ich odeszły jedna po drugiej. Ostatnia, mała Melissa, opuściła wyspę dwa dni temu. – Ifigenia zakaszłała gwałtownie. Andromacha wiedziała, że kapłanka w ten sposób się śmieje. – Zabrała ze sobą nawet osły, mówiąc, że nie chce, żeby cierpiały, kiedy nadejdzie koniec. Statek pełen osłów. – Pokręciła głową. – Głupia dziewczyna – powiedziała łagodnie.

- Jak się czuje Kasandra?

Ifigenia spojrzała na nią współczująco i Andromacha zastanawiała się, jak mogła kiedykolwiek uważać tę starą kobietę za nieczułą.

- Andromacho, ona umiera. Jej wizje... ranią jej umysł i przyprawiają o okropne ataki. Każdy zabiera jej coś cennego i stają się one coraz częstsze. Jest bardzo krucha, ale wizje nieustannie ją nawiedzają.

- Gdzie ona jest? Muszę jej pomóc.

- Jest w świątyni. Chodź ze mną, moja droga.

Andromacha czuła, że ogarnia ją niemożliwe do opanowania przerażenie. Mimo to ujęła ramię starej kapłanki i ruszyła z nią powoli w kierunku ciemnego budynku.

Kasandra leżała na wąskim łóżku w kącie wysokiej, wyblakłej komnaty. Było tam ciemno i bardzo zimno. Jedyne okna znajdowały się wysoko w górze i dziewczyna wpatrywała się w rzucane przez nie włócznie światła i wirujące w nich drobinki kurzu, poruszając ustami, jak gdyby rozmawiała.

- Kasandro... – zwróciła się do niej łagodnie Andromacha.

Po długiej chwili siostra spojrzała na nią. Widząc jej stan, Andromacha doznała szoku. Była brudna i jej włosy sterczały zmierzwiłone. Oczy trawionej gorączką i wychudzonej niczym szkielet dziewczynki przypominały wyloty płonącego czernią pieca.

- Czy to już? – zapytała słabo. – Czy mogę iść?

Obok niej stał dzban wody i puchar, więc Andromacha napełniła naczynie, a potem delikatnie uniosła siostrę i wlała jej kilka kropel wody do ust. Po paru łykach Kasandra zaczęła pić bardziej łapczywie, ściskając puchar. Woda spływała po jej brudnej sukni na podłogę.

- Andromacho – odezwała się w końcu, trzymając ją kościstymi palcami. – Tak się cieszę, że przybyłaś. Muszę ci dużo opowiedzieć, i czasu jest niewiele...

- Siostro, posłuchaj mnie – przerwała jej Andromacha nagłym tonem. – Musisz iść ze mną. Zabiorę cię na *Ksantosa*. Jest tutaj, tak samo jak Helikaon. Znowu będziemy razem podróżować.

- Jest zbyt chora, żeby ją przenosić – upomniała ją Ifigenia.

- Przyprawdzą ludzi z *Ksantosa*. Helikaon przyjdzie i cię zabierze, kochana.

- Mężczyźni nie skalają tej świątyni – szczerknęła stara kapłanka. – Andromacho, nie bądź tak arogancka, żeby sprowadzić na nas gniew boga.

- Więc sama ją zaniosę – odparła wyzywająco Andromacha.

- Andromacho, posłuchaj. Ty nigdy nie słuchasz! – krzyknęła Kasandra, przyciągając ją do

siebie. – Umieram i zawsze wiedziałam, że umrę tutaj. Wiesz o tym. Tyle razy ci mówiłam. To moje przeznaczenie i przyjmuję je z radością. Znowu zobaczę mamę. Czeka na mnie tuż obok, tak blisko, że prawie mogę jej dotknąć. Wie, że nadchodzę. To moje przeznaczenie. Musisz mnie zostawić.

Andromacha poczuła, że po jej twarzy spływają łzy, i Kasandra delikatnie je otarła.

– Łzy z mojego powodu, siostrze? Hektora też oplakiwałaś. Widziałam cię. Widzisz, nigdy nie powinni go zabić. Hektor i Achilles byli ostatnimi wielkimi bohaterami. A po Wiek Bohaterów przychodzi Wiek Ciemności. – Kasandra zdawała się zyskiwać siły wraz z kolejnymi słowami. – Nawet teraz nadchodzą z północy barbarzyńcy, przetaczając się po ziemiach zachodnich królów. Wkrótce odkryją sekret gwiazdowego metalu i wtedy nic ich nie powstrzyma. W ciągu jednego pokolenia zburzą kamienne pałace możnych. W Sali Lwa, gdzie kiedyś ucztowali bohaterowie, będą posilać się tylko szczury i robactwo, a potem ruiny porośnie zielona trawa, na której będą się pasły owce.

- A co się stanie z Troją, siostrze?

- Troja stanie się legendarnym miastem. Tylko imiona jej bohaterów przetrwają.

- Czy oni wszyscy zginęli?

Ale Kasandra zamilkła, słuchając głosów.

- Astinaks i Deks? – zapytała nagle. – Czy są bezpieczni?

- Tak. Siostrze, czy przepowiednia Melite była prawdziwa? Czy Astinaks jest Orlim Dziecięciem?

Wtedy Kasandra się uśmiechnęła. Jej zachowanie stało się mniej gwałtowne i głos przybrał dziewczęce brzmienie, zniknęły z niego pasja i napięcie.

- Przepowiednie są zwodnicze – powiedziała, klepiąc Andromachę po ręce. – I śliskie niczym węże. Priam i Hekabe przez wiele lat szukali znaczenia słów Melite. W końcu znaleźli wieszczka, który zinterpretował je zgodnie z ich oczekiwaniami. Powiedział im, że przepowiednia oznacza, iż królewski syn urodzony przez ciebie pod Tarczą Gromu nigdy nie zostanie pokonany w bitwie, jego miasto zaś będzie wieczne.

- Ale ty w to nie wierzysz? – zapytała Andromacha. – Czy Astinaks nie jest Orlim Dziecięciem? Priam wierzył, że założy dynastię.

Kasandra roześmiała się i czysty, radosny śmiech odbił się od sufitu i ścian świątyni. Przez chwilę wydawało się, że drobinki kurzu tańczą w promieniach światła.

- Tak samo jak jego ojciec, Hektor, Astinaks nie będzie miał synów – powiedziała, uśmiechając się. – Ale z jego powodu zostanie założona dynastia i ona przetrwa tysiąc lat. To prawda, Andromacho. Widziałam to wypisane na kamieniach przyszłości.

- Ale to nie jest przepowiednia Melite.

- Nie, to przepowiednia Kasandry.

Kiedy uderzyło kolejne trzęsienie ziemi, przez świątynię przetoczyło się drzenie i jeden z rogów sufitu się zawalił, przesycając powietrze komnaty kolejną chmurą kłębiącego się kurzu.

– Musisz już iść – powiedziała Kasandra do Andromachy. Spojrzały na siebie ze spokojem.

Andromacha poczuła, jak zamęt w jej sercu się uspokaja i jego miejsce zajmuje pogodzenie z losem. Skinęła głową, po czym po raz ostatni objęła siostrę. Ale Kasandra nagle odsunęła się od niej, a w jej oczach znów zagościła dzikość.

- Idź już! – krzyknęła, wymachując ramionami. – Nadchodzi Agamemnon! Musisz wyjść teraz! – Popychała Andromachę, dopóki ta nie wstała.

- Agamemnon?

- Przybywa, żeby mnie uratować – wyjaśniła Ifigenia. – Kasandra mówiła mi, że przyplynie tutaj z flotą przed południem. Wrócę z nim o Myken.

Nie wahając się dłużej, Andromacha ruszyła biegiem do drzwi, przystając, żeby ostatni raz pomachać Kasandrze. Ale dziewczynka odwróciła się już i znowu rozmawiała ze swoimi niewidzialnymi przyjaciółmi. Andromacha podkasła suknię i wybiegła ze świątyni w kierunku skalnej ścieżki.

Na plaży Helikaon patrzył, jak Andromacha rusza w górę ścieżki w kierunku świątyni. Plecy miała wyprostowane, a jej biodra kołysały się rozkosznie pod suknią w kolorze ognia. Odyseusz obserwował go z szerokim uśmiechem.

- Szczęśliwy z ciebie człowiek, Helikaonie.

- Zawsze miałem szczęście do przyjaciół, Odyseuszu. Nauczyłeś mnie stawiać czoło swoim lękom i je poskramiać. Od Andromachy zaś dowiedziałem się, że życiem można się cieszyć tylko wtedy, kiedy spogląda się w przyszłość i pozostawia zemstę bogom.

- Dobra kobieta i mądra filozofia – zgodził się Odyseusz. – A jeżeli na tej plaży pojawiłby się teraz Agamemnon?

- Zabiłbym go w gnieniu oka – przyznał z uśmiechem Helikaon. – Ale nie będę sam szukał

zemsty i nie pozwolę, żeby kierowała moim życiem.

– Płyniesz na zimę do Siedmiu Wzgórz?

Helikaon skinął głową.

- Trojańska flota udała się tam przed nami. Ze wszystkimi nowo przybyłymi mężczyznami w osadzie będzie wiele do zrobienia.

- Wielu mężczyzn i niewiele kobiet – zauważył Odyseusz. – Z pewnością będziesz miał zajęcie, rozsądzając dysputy i łagodząc żale. Spróbuj to robić bez oddzielania głów od ciał.

Helikaon się roześmiał i napięcie w jego piersi zelżało. Potem zobaczył Kalliadesa i Skorpiosa idących w ich kierunku i jego serce znów przygniół smutek. Próbował nakłonić wojowników, żeby zostali na okręcie, dopóki nie dotrą do Siedmiu Wzgórz, ale domyślał się, o co przyszli zapytać.

- Kalliadesie! – krzyknął Odyseusz. – Dobrze cię widzieć! Gdzie twój przyjaciel Banokles?

- Zginął w Troi – odparł Kalliades.

- Zakładam więc, że zabrał ze sobą całkiem sporo wrogów?

- Banokles nigdy nie bawił się w półśrodki. Był dzielnym wojownikiem i dobrym towarzyszem. Często mówił o Sali Bohaterów. Jestem pewien, że ucztuje tam teraz z Hektorem i Achillesem, opowiadając im, jaki jest waleczny.

Wszyscy się roześmiali, a potem Kalliades kontynuował:

- To jest Skorpios z Konia Trojańskiego. Obydwaj chcemy udać się na Itakę. Czy przewieziesz mnie jeszcze raz, Odyseuszu?

- Tak, chłopcze, z przyjemnością. A w ramach zapłaty możesz raczyć mnie opowieściami o upadku Troi.

Wysoki wojownik odpiął pas z mieczem i wyciągnął go do Helikaona.

– Panie, zawdzięczam ci życie, tak samo jak Arguriosowi. Weź jego miecz. Należy do ludu Troi, a nie do wędrujących Mykeńczyków.

Helikaon przyjął miecz w milczeniu. Wysunął go z pochwy i spojrzął z podziwem na ostrze.

- To piękny dar. Ale czy nie będziesz go potrzebować, przyjacielu?

- Nie znam swojej przyszłości, Złocisty, ale wiem, że nie będę jej kształtował za pomocą miecza.

Potem usiedli na czarnym piasku i Kalliades opowiadał o ostatnich dniach w Troi, Helikaon zaś opowiedział Odyseuszowi o ucieczce z miasta. Słońce szybko pięło się po niebie, kiedy

Helikaon dostrzegł płomień sukni Andromachy na kamiennej ścieżce. Wyglądało na to, że się śpieszy, choć stąpała ostrożnie po zdradzieckim zboczu. Kasandry nie było widać.

Wstał i ruszył jej na spotkanie. W tym momencie zobaczył tuziny szczurów wybiegających z nor u podstawy zbocza i kierujących się w stronę morza.

- Gdzie jest Kasandra? – zapytał, biorąc Andromachę za rękę.

- Nie przyjdzie. Umiera.

Helikaon zmarszczył brwi i ruszył w kierunku ścieżki, ale Andromacha go powstrzymała.

– Ona chce tutaj umrzeć. Mówi, że takie jest jej przeznaczenie. Nie przyjdzie i nie byłoby słuszne zmuszać ją do tego.

– A więc pójdę i pożegnaj się z nią.

Złapała go za rękę.

– Kasandra mówi, że zbliża się Agamemnon z flotą. Będzie tu do południa. Wiem, że nie wierzysz jej przepowiedniom. Takie jest jej przeznaczenie: nikt jej nie wierzy. Ale pierwsza kapłanka potwierdza, że brat po nią płynie. Ukochany, musimy odpłynąć tak szybko jak to możliwe. – W jej głosie pojawiła się nuta paniki.

Helikaon spojrział w górę skalnej ścieżki, ale odwrócił się do kobiety, którą kochał ponad wszystko.

– Jak zawsze, skorzystam z twojej rady. Chodź.

Kiedy szli do okrętu, Helikaon krzyknął do swojej załogi, żeby się przygotowała. Szybko przekazał nowiny Odyseuszowi i król Itaki bez pożegnania pośpieszył w kierunku *Krwawego sokoła*. Helikaon poczuł, że coś muska jego stopy, i spojrział w dół. W kierunku okrętów zmierzały stada szczurów, które biegły i wspinały się po zwisających linach.

Usłyszał krzyki załogi i znowu spojrział na plażę. Na czarnym piasku kłębiły się tysiące gryzoni. Wszystkie kierowały się ku wybrzeżu.

Załoga *Ksantosa* zaczęła krzyczeć i przeklinać, kiedy szczury zaczęły wdrapywać się na pokład. Ludzie skakali dookoła, nabijając je na miecze, ale pojawiała się ich coraz więcej.

– Nie próbujcie wytluc wszystkich! – ryknął Helikaon. – Zepchnijcie okręt do morza!

Szybko podniósł Andromachę. Kiedy stanęła na pokładzie atakowanym przez gryzonia, zobaczył, że jest blada od troski o chłopców. Potem, próbując ignorować szczury biegające mu po stopach i gryzące go w nogi, Helikaon wraz z innymi żeglarzami naparł ramieniem na dziób okrętu. Załoga *Krwawego sokoła* zostawiła swój okręt, aby pomóc zepchnąć *Ksantosa*. Powoli

wielka galera zaczęła się przesuwać, a potem, zgrzytając o piasek, zsunęła się do morza i uniosła na wodzie, otoczona pływającymi uparcie szczurami.

Marynarze *Krwawego sokoła* pobiegli z powrotem do swojego okrętu, a Helikaon razem z nimi. Nie dało się biec po dywanie szczurów, nie depcząc ich. Ludzie potykali się i ślizgali na zgruchotanych ciałach i krwi gryzoni. Naparli na deski kadłuba i w ciągu kilku uderzeń serca zepchnęli okręt do wody. Helikaon wspiął się na pokład. Ludzie rozpaczliwie zabijali szczury, przebijając je mieczami oraz nożami, i wyrzucali za burtę. Teraz, kiedy statek zdryfował na czyste wody, na pokład przedostawało się mniej gryzoni. Helikaon zerknął na *Ksantosa*. On też unosił się na czystej wodzie i załoga właśnie wyciągała wiosła.

Przebił jakiś tuzin gryzoni i wyrzucił do wody, a potem podszedł do Odyseusza, który energicznie dźgał każdego szczura, jakiego zobaczył.

– Przyjacielu, będzie z tego świetna opowieść – powiedział Helikaon ze śmiechem narastającym w piersi, kiedy obserwował, jak Brzydki Król tańczy dookoła, nabijając szczury na miecz.

Odyseusz zatrzymał się, dysząc, i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie potrzebuję więcej opowieści, nawet o szczurach – zaprotestował. – Historie zawsze brzęczą w mojej głowie niczym ul pełen pszczoł! – Potem spoważniał. – Helikaonie, wracaj na swój okręt. Musimy się śpieszyć. Nie damy rady stawić czoła całej mykeńskiej flocie.

Helikaon postąpił do przodu i objął starego mentora.

- Pomyślnych wiatrów, przyjacielu.

Odyseusz skinął głową.

- Wyglądaj mnie na wiosnę.

Wyciągnąwszy ramię w pożegnalnym geście wobec Kalliadesa i Skorpiosa, Helikaon pobiegł na główny pokład i dał nura do morza. Płynąc w kierunku *Ksantosa*, starał się ignorować unoszące się na wodzie martwe i umierające szczury oraz drapanie pazurów, kiedy tonące gryzonie starały się wdrapać na jego plecy. Złapał linę, którą rzuciła mu załoga, i wspiął się na pokład. Dopiero wtedy wzdrygnął się i strząsnął niewidzialne szczury ze swoich ramion.

Rozejrzał się dookoła. Andromacha stała przy maszcie, wpatrując się w Wielkiego Konia. Oniakos czekał w pogotowiu przy wiosle sterowym. Wioślarze patrzyli na Helikaona, czekając na jego słowa.

– Raz! – krzyknął i pióra wiosel plusnęły w wodę.

Podążając za *Krwawym sokołem*, *Ksantos* opuścił wyspę, kiedy słońce stało w zenicie.

XXXVI. OGIEŃ NA NIEBIE

Agamemnon lubił myśleć o sobie, że jest pragmatycznym człowiekiem. Stojąc na pokładzie swojego szybko zmierzającego ku Terze okrętu flagowego, ciągle był zły, ale spoglądając wstecz na ostatnie dni w Troi, wiedział, że nie mógł podjąć innych kluczowych decyzji.

Ten chełpliwy dureń Idomeneos zbeształ go za otworenie Bramy Skajskiej przed hetyckimi hordami, ale czy miał wybór?

Gdyby zabarykadowali bramy, żeby utrzymać Hetytów na zewnątrz, oddziały Agamemnona zostałyby zamknięte w mieście, tak samo jak wcześniej Trojanie, z niewielkimi zapasami wody i żywności. W ciągu kilku dni zostaliby zagłodzeni. Musieliby stawić czoło przewyższającym ich liczebnie Hetytom osłabieni i bardziej podatni na straty.

Mimo iż wyrzucenie z Troi przez samozwańczego imperatora było upokarzające, w gruncie rzeczy obróciło się to na jego korzyść. Agamemnon nie miał zamiaru odbudowywać zrujnowanego miasta. Osiągnął przecież swój cel. Wszyscy, jak Wielka Zieleń długa i szeroka, będą wiedzieli, że to on zniszczył Troję, pokonał Priama i zabił wszystkich jego synów. Był Agamemnonem Zdobywcą i wszyscy mężowie korzyli się przed nim. Jego imię będzie odbijało się echem w sercach i umysłach po kres czasów, tak jak przepowiedział kapłan z Jaskini Skrzydeł.

Uśmiechnął się do siebie. Kiedy znajdzie skradziony skarb Priama, triumfalnie powróci do Sali Lwa. Nie musiał zawracać sobie głowy królem Astinaksem. Mykeńscy żołnierze, szpiedzy i agenci będą tropili chłopca nieustannie, tak samo jak Helikaona Podpalacza i tę sukę Andromachę; choć ciągle miał nadzieję, że znajdzie ich na Terze. Miałby wielką przyjemność, zadając im długą i bolesną ponad wszelkie wyobrażenie śmierć.

Kiedy flota zbliżała się do portu, król zobaczył ciężki szary całun spowijający niebo nad Terą. Czarna wyspa na środku była o wiele większa, niż pamiętał, a z jej szczytu strzelał w niebo słup dymu. Usłyszał łoskot małego trzęsienia ziemi, który zabrzmiał niczym zapowiedź zagłady. Zadrzał.

- Królu – powiedział jego przyboczny Kleitos – plaża jest pusta. Nie ma tam *Ksantosa*.

- A więc plugawy Helikaon już opuścił wyspę. Nie może być dalej niż pół dnia drogi przed nami. Nie będzie się spodziewał, że ktoś go ściga, więc nie będzie się śpieszył.

– Co zrobimy, mój królu?

Agamemnon myślał szybko.

– Wyślij sześć okrętów dookoła czarnej wyspy, żeby się upewnić, iż *Ksantos* nie kryje się po drugiej stronie. Zejdziemy na brzeg i znajdziemy szaloną córkę Priama. Zmuszę ją, żeby nam powiedziała, gdzie jest Helikaon. Twierdzi, że ma dar widzenia, będzie więc miała okazję to udowodnić. Jeżeli jej tu nie będzie i nie znajdziemy żadnego skarbu, popłyniemy na Itakę.

Moja wizyta na Itace jest już wielce spóźniona, pomyślał. Będę radował się śmiercią tego grubego durnia Odyseusza i jego rodziny.

Okręt flagowy Agamemnona i kreteńska galera wojenna zostały wciągnięte na czarny piasek i trzej królowie wraz ze swoimi przybocznymi zeszli na brzeg. Na piasku leżały setki martwych szczurów i trudno było przejść po plaży, nie deptając po trupach. Nad wyspą unosił się odór krwi i spalenizny.

– Skąd się wzięły tutaj te wszystkie szczury? – zapytał nerwowo Menelaos. – Poza tym ta czarna wyspa rośnie. Unosi się tu smród ohydnych czarów. Nie podoba mi się to miejsce.

Idomeneos, który jak zwykle ubrany był w pełną zbroję, warknął:

- Wyspa kobiet to rzecz przeciwna naturze. Wszyscy słyszeliśmy opowieści o nieprzyzwoitych praktykach, którym się radośnie oddają. Miło będzie zobaczyć te wiedźmy sprzedane w niewolę.

- Ale one są kapłankami – odparł wstrząśnięty Menelaos. – A niektóre z nich to córki naszych sprzymierzeńców!

Idomeneos odwrócił się do niego.

– A pobiegiesz i opowiesz im o tym, gruby pieszczoszku Agamemnona? – rzucił.

Agamemnon zwrócił się do nich z irytacją:

– Zbliżamy się do kresu naszej podróży. Nie będziemy musieli znosić swojego towarzystwa wiele dłużej. A teraz za mną!

Narzucił szybkie tempo i ruszył kamienną ścieżką pod górę z przybocznymi idącymi z przodu i z tyłu. Zbliżali się już do szczytu, kiedy usłyszeli niski łoskot kolejnego wstrząsu. Na uderzenie serca wszyscy zamarli, po czym rzucili się na ziemię, kiedy ta zadrżała. Wstrząs zrzucił ze ścieżki dwóch strażników idących przed nimi i spadli na kamienne wybrzeże. Agamemnon zamknął oczy i ponuro czekał, aż ziemia przestanie drżeć. W jego wnętrzu jakiś głos krzyczał, żeby pobiegł do swojego okrętu i uciekł z wyspy wiedźm najszybciej jak to

możliwe. Bezlitośnie stłumił ten odruch.

Minęła chwila, zanim królowie ostrożnie wstali. Pokryła ich gruba warstwa popiołu, strzepnęli go więc z ubrań. Agamemnon gniewnie ruszył dalej.

– Ta wyspa jest przeklęta – zgodził się ze swoim bratem. – Weźmiemy, co będzie nam potrzebne, i szybko odpłyniemy!

Menelaos rozejrzył się dookoła.

– Jest bardzo cicho – wymamrotał.

Kiedy Agamemnon wdrapał się na szczyt klifu, zobaczył górującą nad nim świątynię Wielkiego Konia. Gdzieś w głębi umysłu obudziło się ulotne, dalekie wspomnienie, ale zapomniał o nim, kiedy zobaczył jedną z kapłanek, która z trudem szła w jego kierunku. Była starą wiedźmą i miała kłopoty z poruszaniem się, ale brnęła naprzód, wyciągając przed siebie ręce, jakby chciała go dotknąć. Agamemnon wyciągnął miecz. Przebił nim chudą pierś staruszki i ruszył dalej, zostawiając ją w kałuży krwi.

Podał pięknie zdobiony miecz do wyczyszczenia żołnierzowi, a potem wsunął go z powrotem do pochwy, czując radość, jakiej nie zaznał podczas niedawno minionych dni. Wkroczył pomiędzy przednie kopyta Świątyni Konia i wszedł do środka.

Wewnątrz było zimno i bardzo ciemno. Widział jedynie strumienie światła padające pionowo z sufitu. Przystanął, żeby dać czas swoim przybocznym na rozstawienie się przed nim w półkolu. Wprawdzie były tu tylko kobiety, ale odmienność wyspy niepokoiła go i działała mu na nerwy.

– Królu! – Przyboczny wskazał mieczem mroczny kąt, gdzie na zwykłej pryczy leżała młoda kobieta o czarnych włosach. Cicho nucila z zamkniętymi oczami.

Nie otwierając oczu, krzyknęła:

– Ogień na niebie i góra wody dotykająca niebios! Strzeż się drewnianego konia, królu Agamemnonie! – Słowa poruszyły ulotne wspomnienie w głowie króla.

Potem dziewczyna usiadła i obróciwszy się, spojrzała na nich, zsuwając się na brzeg łóżka i machając nogami jak dziecko. Pomyślał, że jest brzydka, brudna i chuda jak ostrze miecza.

– Słowa przepowiedni, królu! – powiedziała. – Słowa mocy! Ale nie słuchałeś mnie wtedy i nie posłuchasz teraz. – Agamemnon zdał sobie sprawę, że szalona dziewczynka cytuje słowa wypowiedziane przez kapłana z Jaskini Skrzydeł dawno temu. Skąd je znała? Był jedynym żyjącym człowiekiem, który słyszał przepowiednię.

Dziewczynka przechyliła głowę i zmarszczyła brwi.

– Zabiłeś Ifigenię – powiedziała smutno. – Nie przewidziałam tego. Biedna Ifigenia.

Agamemnon usłyszał, że ktoś gwałtownie wciąga powietrze, i odwrócił się, żeby zobaczyć, jak Menelaos wybiega ze świątyni. A więc ta stara wiedźma była naszą siostrą, pomyślał. Nigdy nie mogłem jej znieść.

– Zbzechceciłeś świątynię swoją zbroją i ostrymi mieczami – powiedziała Kasandra. – Zabiłeś kapłankę dziewicę.

Agamemnon parsknął.

- Czy półbóg mnie pożre? – zapytał kpiąco.

Spojrzała na niego i wpiła się w jego oczy.

- Tak – odpowiedziała prosto. – Coś się budzi i wzbiera w głębi ziemi.

Poczuł zimno spływające w dół kręgosłupa i zdał sobie sprawę, że ziemia trzęsie się teraz nieprzerwanie, wydając nieskończenie głęboki pomruk, który przyprawiał go o ból zębów. Wściekle bolała go głowa.

– Podnieście ją! – rozkazał, znów wyjmując miecz.

Dwaj żołnierze złapali Kasandrę za ramiona i podnieśli. Zwisiała pomiędzy nimi niczym lalka, stopami ledwie sięgając posadzki. Król przystawił czubek miecza do jej brzucha, ale ostrze zdawało się migotać i pęcznić mu w oczach, jakby zostało umieszczone w piecu. Zamrugał i zespolił wzrok i słuch. Startł popiół i kurz zalepiające mu oczy.

- Gdzie jest Helikaon? – zapytał i z ulgą zauważył, że jego głos brzmi twardo i pewnie.

- Ofiarowałabym ci las prawdy, ale ty chcesz rozmawiać tylko o pojedynczym liściu – zacytowała. – Helikaon jest daleko stąd. – Jej wzrok zwrócił się w głąb siebie. Zmarszczyła brwi. – Pośpiesz się, Helikaonie. Musisz się śpieszyć!

- Czy udaje się na Itakę?

Pokręciła głową.

- Helikaon już nigdy nie zobaczy Itaki.

- A skarbiec Priama, dziewczyno? Czy ma skarb?

– Królu, nie ma żadnego skarbu. Wszystko wydano dawno temu. Na ostre miecze i błyszczące napierśniki. Polites mi powiedział. Widziałam go z jego żoną. Są bardzo szczęśliwi. Zostały tylko trzy miedziane pierścienie. Cena jednej dziwki.

Doprowadzony do furii Agamemnon chciał ją uderzyć, ale kolejny wstrząs pozbawił go

równowagi i zatoczył się. Kasandra wypadła z uścisku żołnierzy i prześlizgnęła się obok nich, wybiegając ze świątyni. Klnąc jak woźnica, Agamemnon ruszył za nią.

Nie zaszła daleko. Stała na zewnątrz i wpatrywała się w Spaloną Wyspę, z której szczytu bił gęsty czarny dym. Na ziemi leżała teraz gruba warstwa popiołu. Niedaleko siedział Menelaos, płacząc nad ciałem siostry. Obydwoje byli pokryci popiołem i wyglądali niczym kamienne posągi.

Kasandra zerknęła na Agamemnona.

- Widzisz, pod Terą znajduje się wielka komnata, pełna ognia i płonących kamieni. Być może właśnie tam mieszka bóg, nie wiem dokładnie. Ale rosła od pokoleń i niedługo zerwie się z uwięzi. Na zewnątrz wylecą gorące powietrze, kurz i skały. Potem, kiedy ognista komnata się opróżni, jej sklepienie pęknie i do środka wleje się woda. Widzisz, woda morska i ogień są wrogami. Stoczą bitwę, żeby trzymać się od siebie z daleka, i wyspa wzleci w niebo niczym podrzucony przez dziecko kamyczek. A my polecimy razem z nią. To będzie wielka chwila! – Obróciła się do niego z ujmującym uśmiechem, zachęcając go, aby przyłączył się do niej w radości.

- Dziewczyna jest obłąkana! – krzyknął Idomeneos, ale jego głos zabrzmiał cienko i był pełen strachu.

Niebo pociemniało i Agamemnon spojrzał w górę. Zobaczył ogromne stado ptaków przelatujących nad nimi i kierujących się na zachód. Były ich tysiące i zasłoniły szare niewyraźne światło, skrzeczając niczym harpie. Kasandra pomachała im po dziecinnemu.

– Pa, pa, ptaszki – powiedziała. – Pa, pa.

Król Myken wzdrygnął się i poczuł narastającą panikę.

– Wszyscy na mnie czekają – powiedziała królom radośnie, kiedy ziemia raz jeszcze gwałtownie się zatrzęsa. – Mama. I Hektor, i Laodike. Są tuż obok.

Nagle stanęła na palcach i wskazała na Spaloną Wyspę. Rozległ się łoskot niczym huk tysiąca piorunów i ze szczytu wulkanu wystrzelił w niebo czarny gorący słup. Grzmot ogłuszył Agamemnona i z krzykiem upadł on na ziemię z krwią ciekącą z uszu. Zatykając uszy rękami, spojrzał w górę i zobaczył słup czarnego ognia bijący coraz wyżej. Hałas był nie do zniesienia, a podmuch gorąca zaczął wysuszać skórę na jego twarzy. Wulkan wypluł wielkie głązy, które frunęły w niebo niczym kamyczki, po czym spadły do morza i na położoną w pobliżu wyspę, niszcząc budowle i ledwie chybiając świątyni. Łoskot był przerażający i Agamemnon pomyślał,

że oszaleje.

Tylko Kasandra ciągle stała, bez strachu patrząc na kolumnę ognia. Ognisty słup rósł w nieskończoność, po czym zwolnił i rozszczępił się u góry, rozsiewając smugi dymu i popiołu na coraz szerszym obszarze, spowijając mrokiem ziemię i zasłaniając słońce.

Wieszczka spojrzała ze współczuciem w oczach na Agamemnona. Wydawało się, że urosła. Była teraz wyższa i silniejsza i król zastanawiał się, dlaczego przedtem uważał, że jest brzydka. Jej twarz jaśniała i emanowała pięknem niczym ostrze w ogniu. Potem wskazała ręką raz jeszcze i ze szczytu wulkanu wystrzeliła czerwobrazowa ciecz, która niczym lśniąca lawina zaczęła się wylewać i spływać po wzgórzach. Szybko prześlizgnęła się po czarnych kamieniach Spalonej Wyspy i wkrótce dotarła do morza. Agamemnon z trudem utrzymywał się na nogach, gdyż wszyscy stali po kolana w ciepłym popiele. Zobaczył, że na jego okrętach wyciągnięto wiosła, które uderzały w wodę tak szybko, jak tylko można, kierując statki do wyjścia z portu. Zostawiają mnie, tchórze, wrzasnął głos w jego głowie. Zobaczył krzyżącego Idomeneosa, ale nie mógł zrozumieć, co mówi.

Liczył na to, że czerwona, gorąca lawina zatrzyma się, kiedy dotrze do morza, ale zamiast tego płynęła dalej, przetaczając się po powierzchni wody w kierunku jego okrętów. Pierwszy stanął w ogniu, nim jeszcze zdążyła do niego dotrzeć. Płonął jasno, zanim pochłonęła go obrzydliwa masa. Jedna po drugiej, wszystkie galery zostały zalane i zniszczone, a załogi w okamgnieniu przekształciły się w skupiska szerniałych zwęglonych trupów. Kiedy lawina dotarła do podnóża skał, na których stali, zaczęła pięć się w górę w ich kierunku, ale potem się zatrzymała. Roztrzęsiony Agamemnon wypuścił powietrze z płuc.

Jego ulga trwała tylko przez kilka uderzeń serca. Z głębi ziemi dobiegł kolejny przerażający odgłos. Na oczach Agamemnona pośrodku wód portu zaczął się tworzyć olbrzymi wir, na początku nieśpiesznie, a potem z coraz większą prędkością. Rozległ się kolejny huk, niczym armia gromów, i nagle morze się cofnęło, pochłonięte w mgnieniu oka przez ziemię. Cała zwęglona flota zniknęła w ciągu kilku chwil, kiedy woda pośpieszyła na powrót do portu, aby wlać się w ogromne, gigantyczne wprost zapadlisko.

Dobiegł ich ryk i ziemia zaczęła się gwałtownie trząść.

Ostatnim obrazem, jaki zastygł w oczach Agamemnona, był wizerunek machającej mu na pożegnanie z radosnym uśmiechem Kasandry.

Zamknął oczy.

Wyspa wzniosła się pod nimi i wraz z wrzeszczącymi przeraźliwie królami wystrzeliła ku niebu.

Niezbyt daleko na zachód Helikaon stał na tylnym pokładzie *Ksantosa*, opierając się swobodnie na kole sterowym, i patrzył na żagiel wydymany wiatrem. Był najszczęśliwszy, kiedy czarny koń tańczył nad falami. Mimo iż po pokładach kręciło się przeszło sześćdziesięciu marynarzy, plotkujących, jedzących, pijących, śmiejących się i opowiadających buńczuczne opowieści, kiedy okręt płynął pod pełnym żaglem, miał wrażenie, że znajduje się na nim sam. Czuł przesunięcia i jęki desek pod bosymi stopami, słyszał najdrobniejsze łopotanie wielkiego żagla i przez dąb wiosła sterowego wyczuwał dzielne serce galery. Jesteś królem mórz, mówił swojemu okrętowi, kiedy ten pruć fale, wznosząc się i opadając z wdziękiem.

Jak zawsze kiedy miał ku temu okazję, przeniósł spojrzenie na Andromachę. Siedziała na przednim pokładzie pod żółtym baldachimem. Chłopcy leżeli obok niej. Przez cały ranek biegali po okręcie, uradowani tym, że wiosłarze są gotowi na każde ich skinienie i zawołanie, skłonni zagrać z nimi w rozmaite gry i opowiadać historie o morzu. Teraz, zmęczeni, spali pod baldachimem chroniącym ich przed południowym słońcem.

Andromacha spoglądała w kierunku Tery, mimo iż wyspa zniknęła im z oczu. Teraz Helikaon pojmował jej serce i rozumiał, że nie żałowała, iż pozostawili Kasandrę, tak jak prosiła o to sama dziewczynka. Ale księżniczce było smutno, że zostawiła siostrę na śmierć jedynie w towarzystwie starej kapłanki. Po odpłynięciu Helikaon przez pewien czas przeklinał się za to, że nie wdrapał się na skały, żeby przynieść dziewczynkę, ale potem bezwzględnie odepchnął te myśli. Decyzja została podjęta. Zawsze będzie z miłością wspominał Kasandrę, ale teraz była częścią przeszłości.

Zostawił wiosło sterowe Oniakosowi i przeszedł przez okręt, nie mogąc oprzeć się czarowi, jaki rzucała nań ukochana. Zmusił się do zatrzymania, jakby chciał przyjrzeć się stosom broni – mieczom, tarczom, łukom i strzałom – składowanym pod relingami. Dzięki uważnemu oku Oniakosa były jak zwykle zadbane, wyczyszczone i gotowe do użycia, kiedy tylko zajdzie taka potrzeba.

- Złocisty, gdzie się dzisiaj zatrzymamy? – zapytał siwobrody Naubulos, weteran, który pływał na *Ksantosie* od czasu dziewiczego rejsu z Cypru, a wcześniej na *Itace*.

- W Zatoce Świńskiej Głowy albo na Kalliste, jeżeli wschodni wiatr będzie nam sprzyjał.

Żeglarze wydali radosne okrzyki i pomruki. Nawet przed wojną dziwki na Kalliste były bardziej chętne niż gdziekolwiek indziej na Wielkiej Zieleni. Teraz po tych wodach pływało mniej okrętów, więc galera wielkości *Ksantosa* z pewnością została by entuzjastycznie powitana.

Helikaon ruszył dalej. Sprawdził wielkie skrzynie kryjące kule z neftarem w ochronnych kokonach z trzciny. Zostało ich tylko dziesięć. Zmarszczył brwi, po czym doszedł do wniosku, że teraz jest to jeden z pomniejszych problemów. Nic nie można było na to poradzić. Istniało spore prawdopodobieństwo, że dotrą do celu podróży, nie natykając się na inny okręt, a już z pewnością nie spotkają wrogów.

Jego stopy zarejestrowały niewielką zmianę w kursie okrętu i odwrócił się, żeby spojrzeć wzdłuż pokładu. Oniakos zmieniał kurs, żeby galera złapała wiatr, który przesunął się delikatnie na północ. Helikaon zerknął w kierunku, z którego przybyli. Po *Krwawym sokole* nie było już śladu. *Ksantos* rozwijał większą prędkość od mniejszego okrętu i zostawił go w tyle.

– Jak się czujesz, Agriosie? – zapytał ogorzałego starego żeglarza siedzącego na pokładzie i opartego plecami o ławkę wiosłarza. Latem w czasie bitwy pod Chios marynarz został dotkliwie ranny w ramię, kiedy mykeński okręt przeorał burtę *Ksantosa*, wrzynając się w wiosła. Drzewce uderzyło Agriosa, zanim ten zdążył się odsunąć. Miał ramię złamane w tylu miejscach, że nie można było go nastawić, więc odcięto mu je przy barku. Żeglarz przeżył amputację i kiedy odzyskał siły, Helikaon pozwolił mu wrócić na ławkę wiosłarzy, gdyż Agrios przysięgał, że może wiosłować jedną ręką równie dobrze jak inni obydwoma.

Agrios skinął głową.

– Lepiej, zwłaszcza ze świadomością, że wieczorem trafimy na Kalliste. – Wyszczrzył się w uśmiechu i puścił oko.

Helikaon się roześmiał.

– Tylko jeżeli wiatr będzie nam sprzyjał – ostrzegł.

Przeszedł na przedni pokład, zdając sobie sprawę, iż Andromacha obserwuje każdy jego krok. Pomyślał, że księżniczka pięknie dzisiaj wygląda, w szafranowej szacie sięgającej kolan. Miała na sobie grawerowany bursztynowy wisior, który jej podarował. Ciepłe iskry migające w kamieniu doskonale podkreślały ognisty kolor jej włosów.

Jednak jej twarz była poważna.

- Myślisz o Kasandrze – zaryzykował.

- To prawda, że Kasandra zawsze gości w moich myślach – przyznała. – Ale w tej chwili

myślałam o tobie.

- A o czym dokładnie, bogini? – zapytał, ujmując jej dłoń i pokrywając pocałunkami.

Uniosła brwi.

– Zastanawiałam się, jak długo mamy udawać, że nie jesteśmy kochankami – powiedziała, uśmiechając się. – Wydaje mi się, że znalazłam odpowiedź.

Odwrócony tyłem do załogi, Helikaon poczuł setkę oczu wpatrujących się w jego plecy i zapanowała cisza, kiedy wszyscy przestali rozmawiać. Potem, niemal natychmiast, wrócił zwykły szum pogawędek, i tak jakby nic się nie wydarzyło.

– Wygląda na to, że nie są zdziwieni – stwierdził.

Pokręciła głową i jej twarz rozjaśniła radość.

– Złocisty! – Helikaon odwrócił się i zobaczył Praksosa biegnące go do niego przez pokład. Chłopak pokazywał za siebie. – Myślę, że zbliża się burza!

Helikaon popatrzył w kierunku Tery, gdzie pokazywał Praksos. Na jasnej linii horyzontu widać było niewielką smugę, podobną do pasa burzowych chmur. Ale to nie była burza. Na jego oczach zamieniła się w ciemną wieżę. Jego trzewia ścisnęła trwoga. Dał się słyszeć daleki huk gromu i cała załoga się obróciła, żeby popatrzeć, jak czarny słup złowieszczo wzbija się w górę na tle bladego nieba.

Mijały kolejne uderzenia serca, a czarna kolumna wznosiła się coraz wyżej, potem zaś nagle została pochłonięta przez wybuch ognia i płomieni wypełniających niebo na wschodzie. Huk wybuchu uderzył w nich z siłą stokroć wzmocnionego grzmotu, niczym głęboki zew rogu Aresa bądź też łoskot ostatecznej zagłady.

– To Tera! – krzyknął ktoś. – Bóg zerwał łańcuchy.

Helikaon spojrział na Andromachę. Jej twarz była biała niczym czyste płótno, a z oczu wyzierał strach. Wskazała na horyzont i spojrział tam raz jeszcze. Chmura po eksplozji powiększała się wokół wyspy i w górę, zasłaniając wschodnią część nieba, ale w jakiś tajemniczy sposób zniknęła od poziomu morza wzwyż. Oszolomiony Helikaon wpatrywał się w horyzont, kiedy ten podnosił się na jego oczach.

Z przerażającą jasnością zrozumiał, co się dzieje.

– Zwinąć żagiel! – krzyknął. – Do wiosł, migiem!

Kazał Oniakosowi obrócić okręt dziobem do odległej Tery i kiedy jego drugi oficer wykrzykiwał rozkazy do wiosłarzy, złapał kawałek liny z pokładu. Przeciął go nożem z brązu na

trzy kawałki i wcisnął Andromasze.

– Weź chłopców na niższy pokład i przywiąż ich mocno do czegoś solidnego. A potem sama się przywiąż.

Wbiła w niego wzrok.

- Dlaczego? – zapytała. – Co się dzieje?

- Nie pytaj, tylko po prostu to zrób! – ryknął. Zwrócił się do załogi, wskazując wysoki horyzont. – W naszym kierunku zmierza ściana wody, wysoka niczym góra! Za chwilę nas pochłonie. Musimy się przywiązać. Zginie każdy, kto nie będzie mocno przywiązany. Powiosłujemy wprost na falę i *Ksantos* się na nią wespnie! To nasza jedyna nadzieja!

Teraz wszyscy już widzieli, czym naprawdę jest zjawisko. Ciemna linia wznoszącego się zbyt wysoko horyzontu zmierzała w kierunku okrętu z szybkością nurkującego orła. Przed wielką falą leciało ogromne stado mew, rozpaczliwie starając się uciec przed zagładą. Kiedy mijały *Ksantosa*, niebo pociemniało i ich krzyki uderzyły w uszy załogi, a skrzydła wytworzyły podmuch, który zakołysał okrętem.

Żeglarze siedzieli na swoich ławkach, wiosłując jak szaleńcy, żeby obrócić galerę dziobem ku gigantycznej fali. Inni zrywali liny, przycinając kawałki dla siebie i dla wioślarzy. Wszyscy spoglądali z przerażeniem na potworny wał wody, który nieubłaganie niczym śmierć sunął w ich stronę.

Helikaon złapał kawałek liny i pobiegł na tylny pokład, gdzie Oniakos z całej siły starał się utrzymać wiosło sterowe. *Ksantos* obracał się po ciasnym okręgu. Helikaon napał na wiosło i raz jeszcze rzucił szybkie spojrzenie na falę. Była olbrzymia i rosła z każdą chwilą, wypełniając całe pole widzenia. Czy statek się na nią wespnie? – zastanawiał się. Pewny był tylko tego, że fala nie może uderzyć ich w burtę. Wtedy galera uległaby zniszczeniu w mgnieniu oka. Ich jedyną nadzieją było pokierowanie okrętu prosto na nadciągającą ścianę wody. Wiosła, jak również drewniane płetwy przybite przez Kalkeusa do kadłuba, powinny ich utrzymać we właściwej pozycji.

- Przywiążemy wiosło w pozycji środkowej – powiedział do Oniakosa. – Ale żeby to zrobić, będziemy musieli wykorzystać wszystkie nasze siły.

- Jeżeli w ogóle nam się to uda – odparł ponuro przyjaciel, poskramiając strach.

Okręt kierował się teraz na falę. Helikaon przeciął linę na pół, a potem obwiązał się jednym kawałkiem w pasie i przywiązał do bocznego relingu. To samo zrobił dla Oniakosa, który

trzymał wiosło.

– Złocisty, neftar! – krzyknął nagle. – Co z glinianymi kulami? Jeżeli to przeżyjemy, będą strzaskane.

Helikaon spojrział w górę na falę, która była tuż przy nich.

– Zmyje je fala! – krzyknął. – To najmniejszy z naszych problemów.

Dziób okrętu zaczął się wznosić, kiedy dotarło do nich wybrzuszenie poprzedzające falę. Helikaon widział szeroko otwarte oczy przerażonych żeglarzy napierających na wiosła ze świadomością koszmaru za ich plecami, wiosłujących niczym opętani.

– Wiosłować, krowie syny! Wiosłować, bo wszyscy zginiemy! – ryknął.

Fala uderzyła i Helikaon poczuł, że okręt zadrżał, jakby miał pęknąć na pół. Potem rozległ się straszliwy jęk i *Ksantos* zaczął się wznosić. To niemożliwe, powiedział sobie. Fala jest za wysoka. Stłumił panikę narastającą w piersi. Jeżeli jakkolwiek okręt może tego dokonać, to tylko *Ksantos*, pomyślał.

Potem znaleźli się pod wodą. Helikaon nie widział nic poza kipiela i kiedy galera, przechylając się na jedną burtę, rzuciła go na wiosło sterowe, poczuł, że uderzenie wyciska mu powietrze z płuc. Miotano nim niczym szmacianą lalką i skoncentrował się tylko na zaciskaniu rąk na wiosła; czuł też ręce Oniakosa. Nie mieli możliwości sterowania. Wszystko, co mogli zrobić, to trzymać się mocno i starać nie utonąć.

Na chwilę wyłonił się z wody i kątem oka dostrzegł przerażający widok: pokład stał pionowo nad nim, a wiosłarze wiosłowali jak szaleńcy, mimo iż większość wiosła była poza wodą. Potem znów przykryło go morze i jedyne, co mógł zobaczyć, to błękit i zieleń jego głębin.

Okręt przechylał się, obracał, podskakiwał, wznosił i opadał. Trwało to tak długo, że Helikaon myślał, iż nigdy się nie skończy. Nie potrafił już powiedzieć, gdzie jest góra, a gdzie dół, jak również czy wznoszą się nad powierzchnię, czy nurkują w odmęty. Nie potrafił stwierdzić, czy przeraźliwy dźwięk w jego uszach to jęk statku, płacz ludzi czy też krzyk jego katowanych płuc.

Nagle znowu poczuł powietrze i gwałtownie zaczerpnął tchu, gotów na kolejne zanurzenie. Ale zorientował się, że nie są już pod wodą. Okręt pokonał olbrzymią falę.

Przez chwilę obawiał się, że spadają i *Ksantos* leci wprost w olbrzymią nieckę za falą. Ale patrząc przed siebie, stwierdził, że po drugiej stronie fala jest łagodnym pagórkem. Wyglądało to tak, jakby wspaniały i wielki *Ksantos* wspiął się na wysoki morski stopień. Helikaon przechylił

się i miotany torsjami opróżnił żołądek z morskiej wody.

Spojrzał wzdłuż pokładu. Niemal połowa ławek wiosłarskich była pusta, bo wiosłarzy zabrał Posejdon. Wielu ludzi zwisało utopionych bądź nieprzytomnych z lin, którymi byli przywiązani do ławek. Maszt został oderwany, tak samo jak większość relingu i wiele wiosel.

Obok niego leżał na pokładzie na wpół utopiony Oniakos, z jednym ramieniem wygiętym pod przerażającym kątem. Helikaon zaczął odwiązywać oplatające go liny z trwogą w sercu. Musiał znaleźć Andromachę i chłopców. Jeżeli on nieomal utonął, znajdując się na górnym pokładzie, jak ktokolwiek poniżej mógł przeżyć?

Poczuł dotknięcie ręki na ramieniu. Szary na twarzy z bólu i przerażenia Oniakos podciągnął się i wyciągnął zdrową rękę, żeby powstrzymać Helikaona przed odwiązywaniem ich. Wskazał na wprost z udręką w oczach.

– Zbliża się kolejna! – krzyknął.

XXXVII. ŚWIT NOWEGO DNIA

Mężczyzna nazywany kiedyś Gershomem stał pogrążony w spowijającym Egips mroku i spoglądał ku północy.

Cierpliwość była cechą, której nabył dopiero niedawno. Jako młody człowiek musiał być tylko tak cierpliwy, jak przystało księciu przyzwyczajonemu do tego, że każda jego zachcianka jest natychmiast spełniana – więc w zasadzie wcale nie musiał być cierpliwy. Potem przyszedł dzień, kiedy w gniewie zabił dwóch królewskich strażników. Miał do wyboru zostać oślepiiony bądź spalony żywcem albo uciec z Egiptu. Uciekł. Jako zbieg pracujący w kopalniach miedzi na Cyprze też nie potrzebował wiele cierpliwości. Pracował, aż padał z wyczerpania, potem spał i znowu pracował.

Później zbratał się z ludźmi morza – kupcami, piratami i najeźdźcami z położonej na dalekiej północy Wielkiej Zieleni. Teraz rzadko wracał myślami do tamtych dni, do czasu spędzonego z Helikaonem na wielkim *Ksantosie*, do swojego dobrego przyjaciela Oniakosa, Ksandra i mieszkańców Troi, których znał przez kilka krótkich lat. Dotarły do niego wieści, że Troję obległy wrogie wojska. Dopiero kilka dni temu dowiedział się o śmierci Hektora i opłakiwał go, choć ledwie go znał. Zastanawiał się nad losem Andromachy i jej syna i miał nadzieję, że jest z Helikaonem i odnalazła szczęście.

Nieszczęścia, które spadły na Egipt w ciągu ostatnich dwóch dni, przysły z północy: wielkie fale zniszczyły ziemię, a czarna chmura popiołu, która przetoczyła się przez niebo, przyniosła kompletny mrok. Fale wdarły się w górę Nilu, zalewając niższe brzegi, niszcząc uprawy, demolując domy i topiąc tysiące ludzi. Potem z rzeki zanieczyszczonej popiołem i zabarwionej na krwisty kolor przez naniesione czerwone błoto wychynęły miliony żab i chmary dokuczliwych i kąsających komarów. Żaby zaatakowały ląd, pełzały i skakały po niewielkich zapasach żywności. Komary wypełniały powietrze tak gęsto, że trudno było zaczerpnąć tchu, nie wciągając ich w płuca. Kąsały każdy skrawek odsłoniętej skóry, przenosząc choroby.

Stojący w ciemnościach na dachu Prorok usłyszał za sobą dźwięk. Odwrócił się i zobaczył Jezusę o orlej twarzy.

- Słońce znowu dziś nie wstanie – powiedział jego przyjaciel ze strachem w głosie. – Ludzie błagają cię, żebyś ich ocalił. Wierzą, że to ty jesteś przyczyną tej katastrofy.

- Dlaczego?

- Poprosiłeś faraona, żeby uwolnił pustynny lud z niewoli. Odmówił. Potem słońce zniknęło i nadeszły fale. Egipcjanie wierzą, że nasz bóg, Jedyne Bóg, jest silniejszy od ich bóstw i że to On ich karze.

- A czy faraon w to wierzy?

- Jest twoim bratem. Jak myślisz?

Ahmośe udał się na audiencję do faraona, swojego przyrodniego brata Ramzesa, ryzykując sprowadzenie na siebie okrutnej kary, przed którą tak długo uciekał, i zapytał władcę, czy pozwoli niewolnikom z pustyni opuścić Egipt. Ramzes odmówił. Siedząc na wysokim zdobionym złotem tronie, z ukochanym synem u boku, Ramzes śmiał się z naiwności brata.

– W imię naszej przyjaźni z czasów dzieciństwa – powiedział – tym razem nie każe cię zabić. Ale nie zakładaj, że nasza przyjaźń trwa dalej. Naprawdę myślałeś, że machnę ręką i uwolnię niewolników tylko dlatego, że ty, uznawany za przestępcę, prosisz mnie o to?

Kiedy zawiedziony Ahmośe odchodził, dogonił go syn faraona. Ahmośe zatrzymał się i uśmiechnął do niego. Chłopiec miał około dziesięciu lat, grzywę czarnych włosów, inteligentne oczy i usta skore do śmiechu.

- Powiadają, że jesteś moim wujem – powiedział. – Czy to prawda?

- Być może – odparł Ahmośe.

- Przykro mi, że nie możemy zostać przyjaciółmi – rzekł chłopiec. – Ale porozmawiam z ojcem na temat niewolników. Mama mówi, że ojciec nie potrafi mi niczego odmówić. – Uśmiechnął się, po czym odwrócił i pobiegł z powrotem do tronu ojca.

Stojąc teraz w ciemnościach, Ahmośe zwrócił się do Jezui.

– Myślę, że Ramzes jest człowiekiem upartym i pełnym sprzeczności. Powiedziałem mu, czego od niego chcę, i będzie to ostatnia rzecz, jaką dla mnie zrobi.

– Więc być może powinieneś go poprosić, żeby zmusił nasz lud do pozostania w Egipcie.

Prorok odwrócił się zdziwiony i zdał sobie sprawę, że Jezua o zimnych oczach żartuje. Roześmiał się i jego śmiech przetoczył się dziwnym echem nad ziemią pełną rozpaczy.

– Pójdę i porozmawiam z nim jeszcze raz. Może teraz będzie bardziej wyrozumiały.

Kiedy ruszył do pałacu, przypomniał sobie noc dawno temu na wyspie Minoa, kiedy leżał przy ognisku z płonących gałązek. Odnalazł w pamięci sny oraz wizje, których wtedy doznał, oszołomiony ziołami przez niezwykłą, udręczoną kapłankę Kasandrę. Widział wielkie fale, rzeki

spływające czerwienią, ciemności w południe, rozpacz i zniszczenie. Widział swojego przyrodniego brata z oczami zaczerwienionymi od żalu. Zastanawiał się, jaka tragedia może przyprawić zimnokrwistego faraona o takie cierpienie.

Jeszua pośpieszył za nim i złapał go za ramię.

- Nie możesz iść! Tym razem z pewnością cię zabije.

- Miej wiarę, przyjacielu – odparł Ahmose. – Bóg jest wielki.

Był ranek trzeciego dnia po zniszczeniu Tery i nadejściu fal. Helikaon wraz z synem spacerował w pierwszych promieniach świtu po szarym brzegu nieznaney wyspy, pluskając bosymi stopami w płyćźnie.

Astinaks ciągle się zatrzymywał, żeby zerknąć w płytką wodę. Jeden z marynarzy zrobił dla niego sieć na krewetki i chłopiec niecierpliwił się, chcąc coś złapać. Jak na razie jego łupem padły tylko drobne przezroczyste małże, które kotłowały się na dnie siatki. Helikaon czekał cierpliwie za każdym razem, kiedy chłopiec zatrzymywał się, żeby złapać kolejnego małża albo dwa. Tak czy owak, nigdzie się nie śpieszyli.

Astinaks znowu uniósł siatkę, żeby pokazać ją ojcu.

– Zuch chłopak – chwalił go Helikaon. – A teraz wracajmy do obozu, żeby je zjeść.

Niebo ciągle było zasnute popiołem i nadal zdarzały się jego drobne opady pozostawiające na wszystkim nalot ziarnistej szarości. Trzeba było chronić nawet rozniecane przez żeglarzy ogniska, bo w przeciwnym razie szybko zostałyby zagaszone. Kiedy ojciec i syn mijali pagórek z małych kamieni wzniesiony na miejscu pochówku ich towarzyszy, Helikaon zauważył, że teraz wyglądał tak, jakby był wyciosany z pojedynczego gładkiego kamienia.

Ksantos przetrwał wszystkie cztery wielkie fale, każdą mniejszą od poprzedniej. Po strasznym uderzeniu pierwszej Helikaon nawet nie próbował sterować okrętem. Po prostu trzymał się, jedną rękę przerzuciwszy przez reling, a drugą oplótłszy Oniakosa, który stracił przytomność. A mimo to okręt niestrudzenie i niezawodnie wbijał się niczym włócznia w kolejne wysokie fale, jakby sam był sobie sternikiem. Kiedy minęła czwarta fala, Helikaon zerknął na morze. Zniosło ich na nieznaną wodę. Nie miał pojęcia, gdzie się znajdują. Szybko odwiązał siebie i Oniakosa, po czym rzucił się na niższy pokład.

Nigdy nie zapomni strasznego widoku, który roztoczył się przed jego oczami. Andromacha zwisała nieruchomo i bezwładnie na linach, którymi przywiązała się do ławki wiosłarza. Miała

bladą twarz, a jej włosy unosiły się w płytkiej wodzie na deskach pokładu niczym wodorosty. Ciągle trzymała chłopców w martwym uścisku. Obydwaj żyli, choć byli przemoczeni, bladzi i zszokowani.

Helikaon odwiązał ich, po czym z przerażeniem w sercu podniósł Andromachę. Jej głowa opadła swobodnie na bok, a niewidzące oczy były na wpół otwarte. Rzucił się na zalany pokład, obracając ją na brzuch i naciskając na plecy, żeby wypompować z niej wodę. Wydawało się, że to nic nie daje. Krzycząc w udręce, objął ją w pasie i podniósł, tak że głowa jej zwisała, i potrząsnął nią niczym lalką. Dopiero wtedy cicho westchnęła, a potem woda wylała się z jej ust. Zakaszła słabo. Potrząsnął nią jeszcze raz i wypłuła więcej wody, po czym zaczęła mocniej kasłać, próbując oswobodzić się z jego uścisku. Podniósł ją i mocno do siebie przytulił. Po policzkach spływały mu łzy wdzięczności i ulgi.

Z sześćdziesięciu ośmiu żeglarzy stracili dwudziestu dziewięciu towarzyszy. Dziwny kaprys losu pozwolił przetrwać weteranowi Agriosowi, a młody Praksos został zmieciony z pokładu. Wielu ocalonych było rannych i dwóch zmarło dwa dni później.

Helikaon nastawił Oniakosowi złamane ramię, porządnie je unieruchomił, po czym oddał rannemu wiosło sterowe. Potem on i Andromacha dołączyli do zdrowych członków załogi, żeby powoli wiosłować przez pokryte popiołem morze. W otaczającej ich szarości trudno było cokolwiek zobaczyć i Helikaon prawie stracił nadzieję na znalezienie schronienia przed zmrokiem, kiedy w półmroku zamajaczył ciemniejszy kształt. Była to mała niska wysepka, w dużej mierze kompletnie splukana przez fale. Nie mogli wciągnąć okrętu na plażę, bo nie mieli wystarczająco dużo ludzi, żeby później zepchnąć go na morze. Zarzucili więc kamienne kotwice na płyciznie i z wysiłkiem dotarli do brzegu. Wyczerpani, położyli się spać byle gdzie, nie zwracając uwagi na fale muskające ich stopy. Rankiem Helikaon wysłał ludzi na poszukiwanie świeżej wody. Szybko odkryli w pobliżu czysty strumień i pierwszy raz od opuszczenia Tery Helikaon uwierzył, że przynajmniej chwilowo są bezpieczni.

Osobliwa gra brązowego, czerwonego i purpurowego blasku na ciemnym niebie uświadomiła im, że słońce już zaszło. Teraz Helikaon wiedział, gdzie jest zachód, i poczuł się pokrzepiony.

Następnego dnia odprawili uroczystości pogrzebowe. Nie mając żadnych zwierząt na ofiary, wylali wino z ostatniego ocalałego dzbanka, żeby zjednać sobie Posejdoną, który przyprowadził ich do tego miejsca, i Apolla, którego błagali o zwrot słońca. Jako wódz Helikaon wziął udział

w uroczystościach, ale odszedł tak szybko, jak było to możliwe. Nie potrafił zrozumieć prostej wiary swych ludzi i przypomniał sobie rozmowę na temat niepewnych bogów, którą przeprowadził kiedyś z Odyseuszem.

- Wszyscy żeglarze są przesądni bądź też gorliwi w wierze, jakkolwiek to nazwać – powiedział wtedy król Itaki. – Znajdują się w ciągłym niebezpieczeństwie, na łasce wiatru i zdradzieckiego morza. Nadawanie żywiołom imion i traktowanie ich jak żywych ludzi odczuwających znajome emocje daje im poczucie panowania nad zjawiskami, które w innym przypadku stałyby się kompletnie niezrozumiałymi kaprysmi losu. Są prostymi ludźmi i oddają cześć bogom tak, jak czcili własnych ojców. Kiedy ojcowie byli źli, mogli ich skrzywdzić. Kiedy czuli się szczęśliwi, karmili ich i zapewniali im bezpieczeństwo. Więc starają się zadowolić bogów, obdarowując ich jedzeniem i winem oraz wychwalając ich i czcząc. Nie krzyw się na ich wiarę, Helikaonie. Wszyscy musimy w coś wierzyć.

- Odyseuszu, ty nie wierzysz w bogów.

- Tego nie powiedziałem – odparł król. – Nie sędzę, żeby bóg słońca Apollo jeździł rydwanem po niebie każdego dnia, jak niewolnik zmuszony wypełniać nudny obowiązek, ale to nie znaczy, że nie wierzę. Podróżowałem po całej Wielkiej Zieleni i spotkałem ludzi, którzy czczą hetyckiego boga pogody i Ozyrysa, egipskiego boga śmierci, jak również pożeracza dzieci Molocha i samotnego, ponurego boga ludu pustyni, ale żaden naród nie wydaje się bardziej błogosławiony od innych. Każdy ma swoje triumfy i tragedie.

Przez chwilę pogrążył się w zadumie.

– Wierzę, że istnieje niepojęta dla nas istota czy byt, który wskazuje nam drogę i nas osądza. Tylko tyle wiem. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, po czym dodał: – I mam ogromną nadzieję, że nie ma Sali Bohaterów, gdzie musielibyśmy spędzić wieczność, uczując w towarzystwie krwiożerczych drabów, takich jak Herakles i Alektruon.

Na szarej plaży nieruchomego, wciąż pogrążonego w mroku świata Helikaon spojrzął na wschód. Wydawało mu się, że wyczuwa bryzę i po tej stronie niebo chyba się przejaśniało. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek ujrzą jeszcze bezchmurny dzień albo gwiazdzistą noc. Potem się uśmiechnął. Zobaczył Andromachę i Deksa idących w ich kierunku brzegiem morza. W szarym, nikłym świetle nawet jej ognista suknia jakby wyblakła.

Podeszli do siebie i stanęli twarzą w twarz. Podniósł dłoń i starł popiół z jej policzka, wpatrując się w jej szarozielone oczy.

– Jesteś piękna – powiedział. – Jak możesz być tak piękna, skoro twarz pokrywa ci popiół?

Uśmiechnęła się i zapytała:

- Znowu udałeś się na przylądek? Ciągłe masz nadzieję zobaczyć *Krwawego sokoła*?

- Nie – odparł gorzko. – Jest mniejszy od *Ksantosa* i znajdował się bliżej Tery. Nie sądzę, żeby przetrwał. Ale być może udało się to załodze. Albo jej części. Odyseusz był dobrym pływakiem, choć minęło dużo czasu, zanim się o tym dowiedziałem. – Uśmiechnął się do tego wspomnienia. – Twierdził też, że potrafi się unosić na plecach przez cały dzień, balansując postawionym na brzuchu pucharem wina.

Roześmiała się i jej śmiech jakby rozświetlił powietrze. Spojrzała w górę.

– Myślę, że niebo robi się coraz jaśniejsze.

Skinął głową.

– Jeżeli zerwie się wiatr, być może wypłyniemy dzisiaj.

Główny maszt *Ksantosa* zabrało morze wraz z żaglem zdobionym wizerunkiem czarnego konia, ale ciągle mieli zapasowy maszt leżący wzdłuż pokładu i teraz postawiono go w oczekiwaniu na lepsze warunki pogodowe. Pod pokładem mieli też złożone zapasowe wiosła i żagiel z prostego, mocnego płótna. Kiedy załoga go rozwinęła, chcąc znaleźć słabe punkty i rozdarcia, Oniakos zapytał:

– Czy namalujemy na nim Czarnego Konia Dardanos, Złocisty?

Helikaon pokręcił głową.

- Myślę, że nie. – Powiedział sobie, że potrzebują nowego symbolu na przyszłość.

- Nie wiesz, gdzie jesteśmy. Skąd możesz wiedzieć, dokąd zmierzamy? – zapytała Andromacha.

- Popłyniemy na zachód. W końcu natkniemy się na znajome ziemie.

– Morze zniosło nas na wody daleko poza znanymi obszarami.

Znowu pokręcił głową.

- Miłości moja, kiedy byliśmy przerażeni, wydawało nam się, że wielkie fale przewalają się całą wieczność. Ale tak naprawdę nie trwało to zbyt długo. Nie możemy być daleko od znanych ziem, ale być może fale zmieniły ich kształt i trudno nam będzie je rozpoznać.

- A więc dopłyniemy do Siedmiu Wzgórz przed zimą?

- Jestem pewien, że tak – powiedział szczerze. Jego serce uradowało się na myśl o rozwijającym się mieście, gdzie rodziny z Troi i Dardanos będą mogły zbudować swoje życie

od nowa. Tamtejszy krajobraz był bogaty i urozmaicony, niebo czyste, ziemia urodzajna, a góry roily się od zwierząt. Ich czwórka zaczęła tam od nowa jako rodzina i zostawiła stary świat za sobą. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek wróci do Troi, ale już w momencie, kiedy o tym pomyślał, od razu zrozumiał, że nigdy się tak nie stanie. To będzie ostatnia wielka podróż *Ksantosa*.

- Kiedy dotrzemy do kontynentu albo większej wyspy, powinniśmy zwerbować nowych wiosłarzy.

- Jeżeli będzie trzeba, mogę znów wiosłować – powiedziała Andromacha.

Delikatnie ujął jej ręce i obrócił. Miała dłonie zaczerwienione i pokryte bąblami od pomagania przy wiosłach *Ksantosa* w drodze na tę jałową wyspę. Nic nie powiedział, ale spojrzał na nią pytająco.

– Zabandażuję je, tak jak żeglarze, a potem będę mogła wiosłować – odezwała się spokojnie i z powagą. – Nie ustępuję siłą mężczyźnie.

Serce Helikaona wypełniła miłość.

– Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem – wyszeptał. – Pokochałem cię od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. Jesteś moim życiem, snami i przyszłością. Bez ciebie byłbym nikim.

Spojrzała na niego zdziwiona i w jej oczach pojawiły się łzy. Wziął ją w ramiona i przytulił, czując bicie jej serca na swojej piersi. Potem odwrócili się i trzymając za ręce, ruszyli plażą w drogę powrotną, z synami idącymi za nimi w pewnym oddaleniu.

Lekka bryza od wschodu wzmogła się. Niebo zaczęło się przejaśniać na chwilę zaświeciło słońce.

EPILOG

Przez cały ranek królowa Andromacha stała bez ruchu na trawiastym wzgórzu. Teraz jaśniejące słońce opadało na zachodzie, a ona ciągle patrzyła na krzątaninę na starym statku poniżej. Była ubrana w płową brązową szatę i owinęła się starym, zielonym szalem. Czuła ciężar lat. Bolały ją kolana, plecy zaś płonęły, ale ciągle stała.

Zobaczyła, jak ktoś oddziela się od tłumu na plaży, i westchnęła. Kolejna służąca z kubkiem gorącego koziego mleka i radą, żeby chwilę odpoczęła? Zmrużyła niedowidzące oczy, po czym uśmiechnęła się. Sprytnie, pomyślała.

Jej mały wnuczek wdrapał się na górę i bez słowa usiadł na trawie u jej stóp. Po chwili uklękła przy nim, ignorując ból w kolanach.

– Cóż, Diosie? – zapytała. – Co ci kazał powiedzieć mi twój ojciec?

Siedmiolatek zerknął na nią spod czarnej grzywki, a ona niecierpliwie odgarnęła mu włosy z twarzy. Taki sam jak jego imiennik, pomyślała.

- Tatko mówi, że już czas.

Zerknęła na słońce.

- Jeszcze nie – odpowiedziała.

Przez chwilę siedzieli w przyjaznym milczeniu. Zobaczyła, że malec skupia wzrok na *Ksantosie*.

– O czym myślisz, chłopcze? – zapytała.

- Mówią, że dziadek będzie dzisiaj ucztował z bogami w Sali Bohaterów – zaryzykował.

- Być może.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

– Babciu, czy to prawda? Dziadek będzie ucztował z Arguriusem, Hektorem, Achillesem i Odyseuszem? – zapytał z naciskiem.

- Z pewnością nie z Odyseuszem – odpowiedziała szybko.

- Dlaczego? Ponieważ jest Księciem Kłamstw?

Uśmiechnęła się.

– Odyseusz jest najbardziej prawdopodobnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam. Nie, nie będzie go tam, bo Odyseusz nie umarł.

Spoleczność Siedmiu Wzgórz ostatnie wieści z Itaki otrzymała dziesięć lat temu. Spowodowany śmiercią przywódców, rozproszeniem armii i pustymi skarbcami upadek imperium mykeńskiego otworzył drogę barbarzyńcom z północy, którzy przetoczyli się przez kontynent i tam, gdzie kiedyś trwały dumne miasta, pozostawili tylko strach mrok. Ale mała Itaka się trzymała i Penelopa wraz z dorastającym synem Telemachem codziennie stała na skałach w promieniach zachodu słońca i wyczekiwała powrotu króla do domu. Andromacha przypomniła sobie Odyseusza rysującego twarz żony na piasku i zastanawiała się, czy nadal gdzieś to robi.

- Skąd wiesz, że nie umarł? – zapytał mały Dios.

- Ponieważ Odyseusz jest bajarzem, a bajarze nie giną dopóty, dopóki żyją ich opowieści.

Ożywiona tą myślą wstała, zaklęła, kiedy strzyknęło jej w kolanach, po czym ruszyła w dół zbocza. Chłopiec pobiegł za nią. Od tłumu oddzieliło się dwóch mężczyzn, którzy pobiegli w górę, żeby spotkać się; nią w miejscu, gdzie w małym zagłębieniu płonęło niewielkie ognisko. Obok niego leżał stary łuk Andromachy i specjalnie przygotowane strzały.

Wzięła obu synów za rękę i spojrzała na nich czule. Astinaks miał jej płomiennorude włosy i niebieskie oczy Helikaona. Jego twarz szpeciła okropna szrama po mieczu, pamiątka po bitwie z Sykulami osiem lat wcześniej, kiedy o mało nie zginął, ratując życie bratu. Mimo to, kiedy się uśmiechnął, wyglądał tak samo jak ojciec. Deks miał jasne włosy swojej matki oraz potężną budowę i ciemne oczy asyryjskiego przodka. Jako gest oddania wobec swojego przybranego ludu przyjął imię Ilosa, ale miejscowi nazywali go Iulosem.

– Jestem gotowa – oznajmiła. – Pożegnałam się.

Przez całą noc leżała targana rozpaczą przy stosie pogrzebowym króla, z pękniętym i zbolalym sercem i pustą duszą. Jej łzy spływały po twarzy i dłoniach męża. Rankiem otarła oczy, pocałowała jego zimne usta i czoło, po czym odeszła od niego na zawsze.

Astinaks odwrócił się i dał sygnał, na który kilkunastu mężczyzn skoczyło, aby przyłożyć się barkami do *Ksantosa*. Rozległ się zgrzyt drewna na piasku oraz jęk protestujących klepek poszycia, a potem stary okręt raz jeszcze znalazł się na wodzie. Maszt został zdemontowany, a wiosło sterowe przywiązane. Galera była wyładowana pachnącymi gałęziami cedru i ziołami. Na środku na złotej tkaninie spoczywało ciało Helikaona. Był ubrany w prostą białą szatę, a na jego piersi leżał miecz Arguriosa. Tylko na prawą nogę założono mu stary sandał.

Kiedy dryfujący okręt dotarł na środek rzeki i został porwany przez nurt, słońce dotknęło

horyzontu. Andromacha schyliła się, żeby podnieść łuk. Przyłożyła owinięty nasączonymi oliwą szmatami grot strzały do ognia, aż rozbłysnął jasnym płomieniem. Nałożyła strzałę na cięciwę i na chwilę zamknęła oczy, żeby przywołać swoją dawną siłę i odwagę. Potem westchnęła i wypuściła strzałę.

Wzleciała w niebo niczym gwiazda, zanurkowała i trafiła w rufę Złotego Statku. Ogień rozbłysnął natychmiast. W ciągu kilku uderzeń serca łucznicy wzdłuż całego brzegu rzeki wystrzelili ogniste strzały w okręt i nastąpiła eksplozja, po której *Ksantos* rozgorzał płomieniem od jednej burty do drugiej. Było tak jasno, że ludzie zasłonili sobie oczy, a trzask płonącego drewna niósł się niczym grom. Wysoko na błękitnym niebie na falach ciepłego powietrza wznosił się orzeł.

Andromacha zaś oczyma wyobraźni ujrzała twarze: Hektora, najdzielniejszego z Trojan, jego braci Diosa i Antifonesa, bazarza Odyseusza oraz Arguriosa, Kalliadesa i Banoklesa, prawych wojowników mykeńskich. I Helikaona, jej ukochanego, męża i strażnika jej serca.

Żyłam pośród bohaterów, pomyślała.

Poczuła, że jej serce znów wypełnia radość, i uśmiechnęła się. Potem w geście ostatniego pozdrowienia uniosła nad głowę zaciśnięty w dłoni łuk, żegnając płonący statek, który odpływał na zachód.